

BESTSELLER TYGODNIOWY W 23 JĘZYKACH

SWIAT PRAWOSŁOWNY

NOOWA

JULIANNA BAGGOTT

ZIEMIA



Literacki
EGMONT

Asher Bridget (Baggott Julianna)

Nowa ziemia

Świat po wybuchu

Tom 1

PROLOG

Mniej więcej tydzień po Wybuchu - trudno było określić dokładny czas - w górze rozległ się głuchy warkot. Niebo ugięło się pod zwałami czarnych chmur, a powietrze było gęste od popiołów i pyłu, toteż nie mogliśmy się zorientować, czy to nadleciał samolot lub inny statek powietrzny. Wydaje mi się, że przez moment widziałem matowy błysk metalowego kadłuba jakiegoś zniżającego się pojazdu, jednak zaraz zniknął. Nie mogliśmy też jeszcze dostrzec Kopuły. W oddali na wzgórzu majaczyła jedynie przydymiona półkuliasta poświata. Przypominała oświetlony pomponik i zdawała się swobodnie unosić nad ziemią.

Warkot oznaczał jakąś powietrzną misję. Zastanawialiśmy się, czy spadną kolejne bomby. Ale jaki to by miało sens? Wszystko już zostało zniszczone - starte z powierzchni ziemi lub strawione przez ogień - i pozostały tylko ciemne kałuże po czarnych deszczach. Niektórzy pili tę wodę i potem umierali.

Boleśnie dokuczały nam blizny, otwarte rany i złamania. Ci, którzy przeżyli, wlekli się, kulejąc i utykając, niczym procesja śmierci, w nadziei, że znajdą jakieś miejsce, które nie ucierpiało od bomb. Byliśmy zrezygnowani i nie dbaliśmy o to, by skryć się przed ewentualnym nalotem. Być może niektórzy z nas łudzili się, że oto nadchodzi pomoc humanitarna. Możliwe, że ja też tak myślałem.

Kto jeszcze zdołał, wstawał chwiejnie z rumowiska. Ja nie mogłem - straciłem prawą nogę poniżej kolana, a dłoń miałem całą w pęcherzach od ściskania kawałka rury, na której wspierałem się jak na lasce. Ty, Pressio, miałaś zaledwie siedem lat i byłaś drobna jak na swój wiek. Wciąż jeszcze bolał cię obtarty nadgarstek, a twarz paliła od oparzeń, ale poruszałaś się zwinnie. Wspięłaś się na stertę gruzu, żeby znaleźć się bliżej źródła tego

dźwięku, który przyciągał cię, gdyż był zniewalający i dochodził z nieba.

Wtedy całe niebo wypełniło kłębowisko pojedynczych trzepoczących bezcielesnych skrzydełek.

Skrawki papieru.

Spadały i osiadały wokół ciebie na ziemi niczym olbrzymie śnieżne płatki, jakie dzieci urycinają ze złożonych kartek i przylepiają do szyb w klasie - tyle że te już poszarzały od zanieczyszczonego powietrza i niesionych wiatrem popiołów.

Podniosłaś jeden świstek, podobnie jak inni, którzy zdołali, aż wreszcie zebrano wszystkie.

Podalaś mi tę karteczkę, a ja odczytałem nagłos:

Nasi bracia i siostry, wiemy, że tu jesteście. Pewnego dnia wyjdziemy z Kopuły i przyłączymy się do Was w pokoju. A na razie przyglądamy się Wam życzliwie z oddali.

„Jak Bóg - wyszeptalem. - Czuwają nad nami jak dobrotliwe oko Bożej Opatrzności”. Nie tylko ja tak pomyślałem. Na twarzach wielu ludzi malował się trwożny podziw, choć inni wyglądali na wściekłych. Jednak wszyscy zastygliśmy bez ruchu, oszołomieni i zszokowani. Zastanawialiśmy się, czy tamci zaproszą niektórych z nas do wkroczenia przez bramy Kopuły, czy może odmówią nam do niej wstępu.

W rzeczywistości miną lata i oni o nas zapomną.

Jednak wtedy, na początku, te skrawki papieru wydawały się nam drogocenne jak banknoty. Nasza nadzieja nie przetrwała długo. Zbyt wiele przecierpieliśmy.

Po przeczytaniu złożyłem kartkę i powiedziałem: „Przechowam to dla ciebie, dobrze?”.

Nie wiem, czy mnie zrozumiałaś. Nadal milczałaś i wydawałaś się nieobecna, a twoja twarz z szeroko rozwartymi oczami była pusta jak twarz twojej lalki. Zamiast skinąć głową, pokiwałaś głową lalki, która już na zawsze

stała się częścią ciebie. Kiedy jej oczy mrugnęły, ty również zamrugałaś.

I tak było przez długi czas.

PRESSIA SZAFKI

PRESSIA LEŻAŁA W SZAFCE. Właśnie tu będzie spała, kiedy za dwa tygodnie skończy szesnaście lat. Mocno opierała się plecami o pociemniałą sklejkę; w nieruchomym, dusznym powietrzu unosiły się drobiny popiołu. Aby przeżyć, będzie musiała zachowywać się grzecznie i cicho, a nocami ukrywać się, gdy OPR patroluje ulice.

Pchnęła łokciem drzwi szafki i ujrzała swojego dziadka siedzącego na krześle przy wyjściu. Wiatraczek w jego gardle terkotał cicho; kiedy dziadek wdychał powietrze, małe plastikowe łopatki obracały się w jedną stronę, a w przeciwną - gdy je wydychał. Pressia tak przywykła do tego wiatraczka, że całymi miesiącami w ogóle go nie zauważała, ale potem przychodziła chwila taka jak teraz, kiedy czuła się oderwana od swego życia i wszystko ją dziwiło.

- Uważasz, że możesz sypiać w środku? - zapytał. - Podoba ci się tam?

Nie cierpiała tej szafki, ale nie chciała go urazić.

- Czuję się tu przytulnie, jak grzebień w futerale - odpowiedziała.

Mieszkali w magazynie na zapleczu spalonego zakładu fryzjerskiego. W tym niewielkim pomieszczeniu były tylko dwa krzesła, stół i dwa sienniki na podłodze - na jednym sypiał teraz dziadek, a drugi był jej dawnym posłaniem; na haku wbitym w sufit wisiała sklecona przez nią klatka dla ptaków. Tylne drzwi magazynu wychodziły na małą ulicę. W czasach zwanych obecnie Przedtem w szafce trzymano przybory fryzjerskie - pudełka z czarnymi grzebieniami, flaszki niebieskiego płynu po goleniu Barbasol, pojemniki z kremem do golenia, starannie złożone ręczniki i małe białe fartuszki, które zawiązywano klientom wokół szyi. Pressia była pewna, iż przyśni się jej, że jest niebieskim płynem Barbasol uwięzionym w butelce.

Dziadek się rozkaszał i jego twarz spurpurowiała, a wiatraczek zawirował

jak szalony. Pressia wygramoliła się z szafki, szybko podeszła do dziadka i mocno uderzyła go w plecy. Z powodu tego kaszlu ludzie przestali tu przychodzić i korzystać z jego usług - w czasach Przedtem był przedsiębiorą pogrzebowym, a później zasłynął jako krawiec ciał stosujący do żywych umiejętności, jakie zdobył, zajmując się zmarłymi. Pressia dawniej pomagała mu przemywać rany alkoholem i układać instrumenty, a czasem przytrzymywała wyrywające się chore dziecko. Obecnie jednak ludzie sądzili, że jest zarażony.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Powoli odzyskał oddech i kiwnął głową.

- Świetnie - odpowiedział.

Podniósł z podłogi cegłę i położył ją na kikucie nogi, tuż nad wtopionym weń kłębem drutów. Cegła była jego jedynym środkiem obrony przed OPR.

- Ta sypialnia to najlepsze, co mamy - rzekł. - Przekonasz się.

Pressia wiedziała, że powinna być mu bardziej wdzięczna. Zbudował tę kryjówkę przed kilkoma miesiącami. Szafki stały wzdłuż całej tylnej ściany, za którą mieścił się właściwy dawny zakład fryzjerski. Uległ on niemal całkowitemu zniszczeniu, a większość z tego, co ocalało, znalazła się pod gołym niebem, gdyż eksplozja zdmuchnęła wielki kawał dachu. Dziadek powyjmował z szafek szuflady i półki i umieścił na tylnej ścianie fałszywy panel, który działał jak kłapa. W razie zagrożenia Pressia mogła go pchnąć i umknąć do lokalu zakładu fryzjerskiego. Tylko dokąd miałyby dalej pójść? Dziadek pokazał jej starą rurę irygacyjną, w której będzie mogła się ukryć, gdyby żołnierze OPR zaczęli przetrząsać magazyn i odkryli pustą szafkę. Jej dziadek powie wtedy, że wnuczka odeszła przed kilkoma tygodniami, prawdopodobnie na zawsze, a do tej pory może już nawet nie żyje. Wmawiał sobie, że mu uwierzą, że ona będzie mogła wrócić, a OPR zostawi ich potem w spokoju. Oboje wiedzieli jednak, że to nieprawdopodobne.

Znała kilkoro starszych dzieci, które zdołały uciec: chłopca oimieniu

Gorse i jego młodszą siostrę Fandrę - z którą się przyjaźniła, zanim oboje odeszli przed kilkoma laty - oraz chłopaka bez dolnej szczęki i dwoje dzieciaków zapowiadających, że się pobiorą, gdy już znajdą się daleko stąd. Opowiadano sobie o podziemiach, którymi te dzieci wydostały się z miasta, minęły Stopione Ziemie i Martwe Ziemie i dotarły do miejsca, gdzie podobno żyją inni ocalali, całe cywilizacje. Kto wie? Lecz były to tylko plotki, kłamstwa głoszone w dobrej wierze, ku pokrzepieniu. Te dzieciaki po prostu zniknęły i nikt więcej ich nie widział.

- Myślę, że będę miała czas do tego przywyknąć, całą wieczność, licząc od dziś za dwa tygodnie - powiedziała.

Kiedy skończy szesnaście lat, zostanie zamknięta w tym pomieszczeniu na zapleczu i będzie spała w szafce. Dziadek wciąż powtarzał, że nie pozwoli jej stąd wyjść.

„Opuszczenie tego miejsca byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne - mówił. - Moje serce by tego nie wytrzymało”.

Obydwoje słyszeli pogłoski o tym, co grozi, jeśli w swoje szesnaste urodziny nie stawisz się w głównej kwaterze OPR. Przyjdą po ciebie i wywloką cię z łóżka. Zgarną cię wędrującego samotnie przez rumowiska. Zabiorą cię bez względu na to, komu zapłacisz i ile - co nie znaczy, że jej dziadka stać było na to, by komukolwiek dać łapówkę.

Wezmą cię, jeśli się do nich nie zgłosisz. To nie tylko plotka, lecz prawda. Powiada się, że wywożą ludzi do zewnętrznego obszaru, gdzie oduczają ich czytać - jeśli ktoś w ogóle wcześniej posiadał tę umiejętność tak jak Pressia. Dziadek nauczył ją liter i pokazał jej Przesłanie: Nasi bracia i siostry, wiemy, że tu jesteście... (Nikt już teraz nie wspominał o Przesłaniu, a dziadek gdzieś schował tę kartkę). Krążą plotki, że potem uczą ich zabijania, używając do tego żywych celów - i że albo się tego nauczysz, albo jeśli jesteś zbyt zniekształcony przez eksplozje, sam skończysz jako żywy cel.

Jak się obchodzi szesnaste urodziny w Kopule? Pressia przypuszczała, że

tak jak Przedtem - tort, prezenty opakowane w kolorowy papier oraz wiszące sztuczne zwierzątka wypchane cukierkami, które uderza się kijkiem.

- Czy mogę skoczyć na targ? - zapytała. - Już prawie skończyły się nam korzonki.

Umiała dobrze gotować pewne rodzaje korzonków, które stanowiły ich główne pożywienie. A poza tym chciała się przewietrzyć.

Dziadek popatrzył na nią z niepokojem.

- Mojego imienia nie ma nawet jeszcze na wywieszonej liście - przypomniała mu.

Oficjalną listę tych, którzy muszą się zgłosić do OPR, rozlepią się w całym mieście - imiona i daty urodzin w dwóch równych kolumnach, zgodne z danymi zebranymi przez OPR. Ta grupa powstała zaraz po Wybuchu - wówczas skrót oznaczał Operację Poszukiwawczo-Ratowniczą - i zajmowała się odbudowywaniem zniszczonych przychodni lekarskich, sporządzaniem spisów ocalałych i zabitych, a później formowaniem niewielkich oddziałów milicji w celu utrzymania porządku. Lecz pierwszych przywódców obalono i OPR stała się Organizacją Przenajświętszej Rewolucji, a jej liderzy rządili za pomocą zastraszania i zamierzali pewnego dnia zdobyć Kopułę.

Obecnie OPR ustanowiła obowiązek rejestrowania wszystkich noworodków pod groźbą kary dla ich rodziców. Urządzała też naloty na losowo wybrane domy. Ludzie przemieszczali się tak często, że OPR nie była nigdy w stanie ustalić miejsc ich pobytu. Nie istniało już nic takiego jak adresy - zniknęły, zostały zniszczone wraz z nazwami ulic. Ponieważ Pressii nie było na owej liście, zagrożenie wciąż nie wydawało się jej realne. Miała nadzieję, że jej nazwisko nigdy się tam nie pojawi. Może znajdowało się w jakiejś stercie akt, która zaginęła. Może zapomniano o jej istnieniu.

- Poza tym - dodała - musimy zrobić zapasy.

Zamierzała zgromadzić tyle jedzenia, ile zdoła, zanim dziadek zastąpi ją w wyprawach na targ. Zawsze była lepsza od niego w handlu wymiennym i

martwiła się, jak on sobie z tym poradzi.

- No, dobrze - zgodził się niechętnie. - Kepperness wciąż jest nam winien za to, że zszylem szyję jego synkowi.

- Kepperness... - powtórzyła.

Kepperness już jakiś czas temu spłacił ten dług. Czasami dziadek pamiętał tylko to, co chciał. Pressia podeszła do parapetu pod stłuczonym oknem, gdzie stały w rzędzie zwierzątka, które zrobiła z kawałków metalu, starych monet, guzików, zawiasów, kół zębatach i innych znalezionych rzeczy - małe nakręcane zabawki: skaczące kurczaki, śmigające gąsienice, żółw z małym kłapiącym dziobem. Najbardziej lubiła motyle, których wykonała aż pół tuzina. Miały szkielety z zębów starych czarnych grzebieni fryzjerskich i skrzydła z kawałków białych fartuszków. Kiedy się je nakręciło, machały tymi skrzydłami, ale nigdy nie udało się jej sprawić, aby pofrunęły.

Wzięła do ręki jednego motyla i nakręciła go. Jego skrzydła zadrgały, wzbijając kilka drobin pyłu. Unoszący się w powietrzu pył to całkiem niebrzydkie zjawisko. W gruncie rzeczy może być nawet ładny - rozświetlony wir. Mimo woli dostrzegła w tym piękno. Jego ulotne przejawy znajdowała wszędzie, nawet w szpetocie. Ciężkie chmury spowijające niebo, niekiedy otoczone granatową obwódką; rosa, która wciąż jeszcze unosi się parą z ziemi i skrapla się na odłamkach szerniałego szkła.

Dziadek wyglądał przez uchylone drzwi na uliczkę, więc ukradkiem wsunęła motyla do torby. Używała tych zabawek do wymiany, odkąd ludzie przestali do niego przychodzić, żeby zszywał im rany.

- Jesteśmy szczęściami, że mamy to miejsce, a teraz także drogę ucieczki - odezwał się. - Od początku dopisywało nam szczęście. Dzięki niemu dotarłem na lotnisko na tyle wcześnie, by złapać ciebie i twoją matkę w strefie odbioru bagaży. A gdybym się nie dowiedział, że na autostradzie są korki? Gdybym wyjechał za późno? Twoja matka była taka młoda i piękna - dodał.

- Wiem, wiem - westchnęła Pressia, starając się ukryć zniecierpliwienie,

choć słyszała to już wiele razy, do znudzenia.

Mówił o dniu Wybuchu sprzed ponad dziewięciu lat, kiedy była małą siedmioletnią dziewczynką. Jej ojciec przebywał wówczas poza miastem w interesach. Jasnowłosy architekt i dobry rozgrywający, chociaż stawiał stopy do środka, jak mawiał o nim jej dziadek. Futbol to był sport rządzący się jasnymi regułami, rozgrywany na trawiastym polu przez zawodników w hełmach zapinanych pod brodą i z udziałem funkcjonariuszy rzucających kolorowe chusteczki.

- Co z tego, że mój ojciec był rozgrywającym, który stawiał stopy do środka, skoro go nie pamiętam? - rzekła z goryczą. - Jakie to ma dla mnie znaczenie, że miałam piękną matkę, jeśli nie mogę przywołać z pamięci jej obrazu?

- Nie mów tak - odparł dziadek. - Oczywiście, że pamiętasz ich obydwójce!

Nie umiała odróżnić historii opowiadanych jej przez dziadka od prawdziwych wspomnień. Na przykład strefa odbioru bagaży. Dziadek wciąż wyjaśniał: torby na kółkach, wielka ruchoma taśma, ochroniarze krążący jak psy pasterskie. Ale czy to jest wspomnienie? Powiedział jej, że matkę trafił główny impet pękającej szklanej tafli okna i zginęła na miejscu. Ale czy Pressia naprawdę to pamiętała, czy tylko sobie wyobraziła? Matka była Japonką, co tłumaczyło lśniące czarne włosy i migdałowe oczy córki, a także jej gładką jędrną skórę - z wyjątkiem jaskrawo różowej półkolistej oparzeliny wokół lewego oka. Pressia miała cerę usianą jasnymi piegami odziedziczonymi po rodzinie ze strony ojca. Dziadek, jak twierdził, wywodził się ze Szkotów i Irlandczyków, lecz nic jej to nie mówiło. Japonka, Szkot, Irlandczyk? Z tego, co było wiadomo, miasto, do którego jej ojciec wyjechał wtedy w interesach, jak również reszta świata zostały zrównane z ziemią, unicestwione. Nie ma już Japończyków, Szkotów ani Irlandczyków.

„To lotnisko nosiło nazwę BWI - mawiał z emfazą dziadek. - A my

wydostaliśmy się stamtąd, podążając za innymi, którzy przeżyli. Wlekliśmy się, szukając jakiegoś bezpiecznego miejsca. W końcu zatrzymaliśmy się w tym mieście. Niewiele z niego zostało, ale jednak nie uległo całkowitemu zniszczeniu, ponieważ leżało w pobliżu Kopuły. Mieszkamy kawałek na zachód od Baltimore i na północ od DC”.

Te nazwy też nic dla Pressii nie znaczyły. BWI, DC to tylko litery.

Dziewczynę najbardziej dręczyło to, że skoro nigdy nie pozna swoich rodziców, nie zdoła też poznać siebie. Czasami czuła się oderwana od świata, jakby unosiła się w powietrzu - maleńki wirujący pyłek.

- Nie pamiętasz Myszki Miki? - zapytał dziadek. Chyba najbardziej irytowało go właśnie to, że nie potrafiła sobie przypomnieć Myszki Miki i wycieczki do Disneylandu, z której wtedy niedawno wrócili. - Miała wielkie uszy i białe rękawiczki.

Pressia podeszła do klatki Freedle'a zrobionej ze szprych starego roweru, z podłogą i małymi podnoszonymi drzwiczkami z cienkich kawałków blachy. W środku na drążku siedział Freedle - mechaniczna skrzydlata cykada. Wetknęła palec między cienkie pręty i pogładziła filigranowe skrzydełka. Mieli go, odkąd sięgała pamięcią. Był stary i zardzewiały, ale nadal czasem trzepotał skrzydłami. To jej jedyne domowe stworzenie. W dzieciństwie nazwała go Freedle, ponieważ kiedy puszczali go, aby fruwał wokół pokoju, wolał piskliwie coś jakby: „Freedle! Freedle!”. Przez wszystkie te lata konserwowała jego ruchome elementy oliwą, której dawniej fryzjerzy używali do czyszczenia elektrycznych golarek.

- Pamiętam Freedle'a - powiedziała. - Ale żadnej przerośniętej myszy w białych rękawiczkach.

Obiecywała sobie, że któregoś dnia okłamię dziadka w tej kwestii, aby dał już temu spokój.

A co pamiętała z Wybuchu? Jaskrawe światło - jakby wielu słońc, jednych na drugich. I to, że trzymała w ręku lalkę. Czy nie była już na to za

duża? Ta lalka miała tułów z brązowej tkaniny oraz gumowe ręce, nogi i głowę. Eksplozjom na lotnisku towarzyszył ostry błysk, który na moment oślepił Pressię, zanim świat wybuchnął i częściowo się stopił. Ludzkie życia zlały się ze sobą, a głowa lalki stała się dłonią Pressii. I teraz oczywiście dziewczyna dobrze знаła tę głowę, będącą częścią jej ciała - oczy mrugające przy każdym poruszeniu, czarne plastikowe rzęsy, otwór w plastikowych ustach, do którego powinna pasować plastikowa buteleczka. Gumowa głowa zamiast pięści Pressii.

Przesunęła drugą, zdrową ręką po głowie lalki. Przez gumową powłokę wyczuwała wewnątrz gruzłowate kości palców, krawędzie i guzy kłykci - swoją utraconą dłoń, która stopiła się z gumą czaszki lalki. W tej okaleczonej dłoni doświadczała tępego, niewyraźnego wrażenia dotyku zdrowej ręki. Właśnie w taki sposób pamiętała czasy Przedtem - jak niewątpliwe, ale lekkie i ledwo wyczuwalne pobudzenie nerwów. Lalka zamknęła oczy; otwór wydatnych ust był pobrudzony pyłem i popiołem, jakby też oddychała tym zanieczyszczonym powietrzem. Pressia wyjęła z kieszeni wełnianą skarpetkę i naciągnęła na głowę lalki. Zawsze zakrywała jej głowę, kiedy wychodziła na zewnątrz.

Gdyby zwlekała z wyjściem, dziadek zacząłby opowiadać, co działo się z tymi, którzy przeżyli Wybuch - o krwawych bitwach we wnętrzościach olbrzymich supermarketów, o poparzonych i zdeformowanych ludziach walczących o kuchenki turystyczne i noże myśliwskie.

- Muszę iść, zanim zamkną stragany - oświadczyła.

I zanim na ulice wyjdą nocne patrole OPR. Podeszła do dziadka siedzącego na krześle i pocałowała go w szorstki policzek.

- Ale tylko na targ. Żadnego grzebania w śmieciach - napomniął ją, a potem pochylił głowę i zakaszał w rękaw koszuli.

Pressia jednak zamierzała pomyszkować w śmieciach. Uwielbiała wyszukiwać odpadki, z których robiła swoje zwierzątka.

- Dobrze - powiedziała ugodowo.

Dziadek wciąż ścisnął w ręku cegłę. Dziewczynę uderzyło nagle, jak

bardzo ten gest jest rozpaczliwy i żaloszny, niczym przyznanie się do słabości. Tą cegłą mógłby ogłuszyć pierwszego żołnierza OPR, ale już nie drugiego ani trzeciego. Oni zawsze przychodzili grupami. Chciała powiedzieć na głos to, co obydwójce dobrze wiedzieli: „To się nie uda”. Mogła się ukrywać w tym pokoju i sypiać w szafce. Mogła odsunąć fałszywy panel i umknąć, ilekroć usłyszy w bocznej uliczce warkot ciężarówki OPR. Ale w istocie nie miała dokąd pójść.

- Wróć szybko - rzekł.

- Wrócę - obiecała, a potem dodała, by poprawić mu humor: - Masz rację. Jesteśmy szczęściami.

Lecz naprawdę wcale tak nie myślała. Szczęściami są mieszkańcy Kopuły. Uprawiają swoje sporty w hełmach zapinanych pod brodą, jedzą torty, trzymają się razem i nigdy nie czują się jak drobiny wirującego pyłu.

- Pamiętaj, moja droga - powiedział i wiatraczek w jego gardle zafurkotał.

W momencie Wybuchu trzymał w ręku mały wentylatorek na baterie - zdarzało się tak podczas letnich upałów - a teraz ten wiatraczek pozostanie w nim już na zawsze. Czasami dziadek ma przez to trudności z oddychaniem, gdyż mechanizm obrotowy zatarł się od popiołu i śliny. Kiedyś to uśmierci jej dziadka - pył przeniknie do płuc, a wiatraczek przestanie terkotać i znieruchomieje.

Pressia podeszła do drzwi wychodzących na boczną uliczkę i otworzyła je. Usłyszała niemal ptasi wrzask, a potem coś pokrytego ciemnym futrem czmychnęło na pobliską kupę kamieni. Zobaczyła wpatrujące się w nią wilgotne oko. Stworzenie warknęło, rozłożyło ciężkie skrzydła i wzleciało ku szaremu niebu.

Niekiedy Pressii wydawało się, że słyszy w górze warkot silnika jakiegoś powietrznego statku. Przyłapywała się na tym, że t obserwuje niebo, szukając skrawków papieru, które niegdyś je wypełniły - och, tak właśnie opisał to dziadek: jako bezlik małych skrzydełek! Może pewnego dnia nadejdzie kolejne Przesłanie.

Nic nie trwa wiecznie, pomyślała. Przeczuwała, że wkrótce jej życie nieodwracalnie się zmieni.

Wychodząc na uliczkę, zerknęła za siebie i pochwyciła spojrzenie dziadka. Patrzył na nią tak, jak mu się to czasem zdarzało - jakby już zniknęła na zawsze, a on ćwiczył się w smutku.

V

PARTRIDGE MUMIE

PARTRIDGE SIEDZIAŁ na lekcji historii powszechnej, prowadzonej przez Glassingsa, usiłując się skupić. System wentylacyjny powinien już wzmóc pracę, dostosowując się do większej liczby osób w sali. Obecność tylu uczniów - wszystkich tych hałaśliwych chłopców, emanujących energią niczym wysokoprężne silniki - może sprawić, iż w klasie zrobi się duszno i gorąco, jeśli w porę się temu nie zapobiegnie. Na szczęście stolik Partridge'a stał pod niewielkim wentylatorem w suficie i chłopiec tkwił jakby w kolumnie chłodnego powietrza.

Glassings wykladał o starożytnych cywilizacjach. Wałkował ten temat już bity miesiąc. Ścianę zapełniały zdjęcia Bryn Celli Ddu, Newgrange, Dowth i Knowth, Durrington Walls i Maeshowe - neolitycznych kopców pochodzących mniej więcej z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Glassings nazywał je prototypami Kopyły. „Myślicie, że my pierwsi wynaleźliśmy Kopyłę?” - mawiał.

Jasne, pomyślał Partridge, ludy pierwotne, kopce, grobowce, bla, bla, bla. Glassings stał przed uczniami w swojej przyciasnej marynarce, z wyszytym w odpowiednim miejscu emblematem akademii, i ciemnogramatowym krawacie, zawsze zawiązanym zbyt ciasno. Partridge wolałby usłyszeć coś o niedawnej historii, ale na to nigdy by nie zezwolono. Uczniowie wiedzieli tylko tyle, ile im powiedziano: Stany Zjednoczone nie uderzyły pierwsze, ale zareagowały, działając w obronie własnej. Kolejne eksplozje spowodowały niemal całkowite

zniszczenie planety. Kopuła była eksperymentalnym projektem, w którym badano możliwość prowadzenia życia nienaruszającego równowagi środowiska naturalnego. W obliczu eksplozji nuklearnych i użycia broni bakteriologicznej podjęto w niej stosowne środki ostrożności i obecnie ten obszar jest prawdopodobnie jedynym miejscem na świecie, w którym ocaleli ludzie - mieszkańcy Kopuły oraz niedobitki w jej okolicach rządzone przez chwiejną dyktaturę wojskową. Lokatorzy Kopuły czuwają nad tymi nieszczęśnikami i pewnego dnia, gdy ziemia się odrodzi, powrócą, by zaopiekować się nimi i zacząć od nowa. Ujmuje się to tak prosto, jednak Partridge wiedział, że sytuacja jest znacznie bardziej złożona, i był pewien, iż sam Glassings miałby w tej kwestii wiele do powiedzenia.

Niekiedy Glassings zapamiętywał się w swoim wykładzie, odchodził od notatek na pulpicie, rozpinął guziki marynarki i ogarniał wzrokiem klasę, zatrzymując przez chwilę spojrzenie na każdym z chłopców - jakby chciał, aby głębiej zrozumieli jego słowa, aby zaczerpnęli naukę z tego, co im mówi o zamierzonych czasach, i zastosowali ją do dnia dzisiejszego. Partridge pragnąłby to uczynić i miał wrażenie, że niemal mógłby, gdyby tylko uzyskał trochę więcej informacji.

Podniósł głowę i wystawił twarz na powiew chłodnego powietrza. Nagle przypomniał sobie, jak matka podawała na stół posiłek dla niego i brata - szklanki mleka z bąbelkami przywartymi do ścianek, tłuste sosy pieczeniowe, ciepłe bułki o miękkich wnętrzach. Parujące potrawy, którymi można się było naprawdę najeść. Obecnie łykał specjalnie opracowane pigułki zapewniające optymalny stan zdrowia. Czasami obracał je w ustach; pamiętał, że nawet pastylki, które dawniej dawano jemu i bratu, były w kształcie zwierzątek, miały cierpko-słodki smak i przyklejały się do zębów. Po chwili to wspomnienie się ulotniło.

-

Te przelotne wspomnienia były przenikliwe i bolesne. Ostatnio

nachodziły go niespodziewanie jak nagłe ciosy - niepohamowane zderzenia terażniejszości z przeszłością. Nasiliły się jeszcze, odkąd ojciec zwiększył liczbę sesji kodowania aplikowanych Partridge'owi. Owe sesje to dziwaczne połączenie leków wstrzykiwanych do krwiobiegu i napromieniania. Lecz najgorsze, że jest się wtedy uwięzionym w formie stanowiącej rodzaj odlewu sylwetki, aby podczas danej sesji tylko określone części ciała i mózgu zostały wystawione na działanie promieniowania. Formy mumii. Tak kilku przyjaciół Partridge'a zaczęło nazywać te powłoki po niedawnej lekcji Glassingsa o starożytnych cywilizacjach, w których praktykowano zawijanie zwłok zmarłych. Przed sesją kodowania uczniów ustawiano w rzędzie, a następnie przewożono kolejno do gabinetów w centrum medycznym. Tam każdy chłopiec rozbierał się i wciskał do rozgrzanej formy mumii, a po skończonym zabiegu znów wkładał swój mundurek i był przywożony z powrotem do akademii. Technicy uprzedzili uczniów, że w trakcie przystosowywania się ich organizmów do nowych umiejętności mogą się u nich sporadycznie pojawić zawroty głowy i nagłe utraty równowagi. Te objawy ustąpią, gdy dojdzie do ugruntowania nabytych siły i szybkości. Chłopcy przywykli do tego i pogodzili się z kilkumiesięczną przerwą w grach sportowych spowodowaną przejściowym upośledzeniem koordynacji ruchowej. Chwiali się, potykali i upadali jak dłudzy na ziemię. W tym okresie mózg również był rozkojarzony - i stąd dziwne nagłe przyływy wspomnień.

- Piękne barbarzyństwo - powiedział teraz Glassings o jednej ze starożytnych kultur. - Szacunek dla zmarłych.

Był to jeden z tych momentów, gdy nauczyciel nie czytał z notatek. Wpatrzył się w swoje dłonie, którymi wspierał się o blat biurka. Nie powinien czynić takich dygresji - określenie „piękne barbarzyństwo” mogłoby zostać niewłaściwie zrozumiane, a on mógłby stracić pracę. Lecz szybko się opamiętał i polecił całej klasie, by odczytała chórem z telepromptera: „Usankcjonowane sposoby pozbywania się ciał zmarłych i gromadzenia ich rzeczy osobistych w Archiwum Utraconych Bliskich...”. Partridge przyłączył się do reszty.

Kilka minut później Glassings opowiadał o roli upraw zbóż w starożytnych cywilizacjach.

Zbóż? - zastanawiał się Partridge. - Naprawdę? Zbóż?

W tym momencie zapukano do drzwi. Zaskoczony nauczyciel podniósł wzrok. Wszyscy uczniowie zeszywnieli. Pukanie rozległo się ponownie.

- Przepraszam, chłopcy - rzucił Glassings.

Wyglądził notatki i zerknął na małe, czarne, świdrujące oko jednej z kamer umieszczonej w kącie sali. Partridge zastanawiał się, czy urzędnicy Kopuły przechwycili uwagę o „pięknym barbarzyństwie”? Czy mogło się to stać tak szybko? Czy zaraz wywloką Glas-singsa z klasy na oczach uczniów?

Nauczyciel wyszedł na korytarz. Po chwili dobiegło stamtąd przytłumione mamrotanie kilku głosów.

Arvin Weed, klasowy geniusz siedzący przed Partridge'em, odwrócił się do niego i posłał mu pytające spojrzenie, jakby sądził, że kolega musi wiedzieć, co się dzieje. Partridge wzruszył ramionami. Często myślano, że wie więcej niż inni. Był synem Ellery'ego Willuksa. Ludzie uważali, że nawet komuś tak wysoko postawionemu musi się od czasu do czasu coś wypsnąć. Mylili się. Tacie Part-ridge'a nigdy nic się nie wypsnęło. Między innymi właśnie dlatego osiągnął w Kopule tak eksponowaną pozycję. A ponieważ Partridge mieszkał w szkolnym internacie, rzadko rozmawiał z ojcem nawet przez telefon, a jeszcze rzadziej go widywał. Był jednym z tych uczniów, którzy przebywali tu przez cały rok, podobnie jak wcześniej jego brat Sedge, który ukończył akademię przed nim.

Glassings wrócił do klasy.

- Partridge, zbierz swoje rzeczy - polecił.

- Co? Ja? - wyjąkał chłopiec.

- Pośpiesz się.

Partridge poczuł w żołądku nerwowy skurcz. Wepchnął notatnik do plecaka i wstał. Wokół niego chłopcy zaczęli szeptać - Vic Wellingsly, Algrin

Firth, bliźniacy Elmsford. Któryś z nich rzucił jakiś żart - Partridge wychwycił swoje imię, ale nic więcej - i wszyscy parsknęli śmiechem. Ci chłopcy trzymali się razem i tworzyli tak zwaną Pakę. Po zakończeniu szkolenia trafią do nowej elitarnej jednostki wojskowej o nazwie Oddział Specjalny. Są wybrańcami. Nigdzie tego nie napisano, ale rozumiało się samo przez się.

Glassings kazał klasie się uciszyć.

Arvin Weed kiwnął głową Partridge'owi, jakby życząc mu powodzenia.

Partridge podszedł do drzwi.

- Mogę później zabrać notatki? - zapytał.

- Oczywiście - odrzekł Glassings i klepnął go w plecy. - Wszystko w porządku.

Z pozoru, na użytek klasy, mówił o notatkach, lecz patrzył na chłopca znacząco, jakby miał na myśli coś więcej, i Partridge pojął, że nauczyciel stara się go uspokoić. Cokolwiek się wydarzy - wszystko będzie dobrze.

Na korytarzu na Partridge'a czekało dwóch strażników.

- Dokąd idziemy? - spytał.

Obydwaj byli wysocy i muskularni. Ten odrobinę szerszy w ramionach odpowiedział:

- Twój ojciec chce się z tobą zobaczyć.

Partridge'a nagle przeniknął chłód. Dłonie mu zwilgotniały, więc je roztarł. Nie ma ochoty spotkać się z ojcem; nigdy nie miał.

- Mój stary? - rzucił, starając się, by zabrzmiało to beztrąsko. - Mała pogawędka ojca z synem?

Strażnicy poprowadzili go lśniącymi korytarzami, obok olejnych portretów dwóch dyrektorów szkoły - jednego wylanego, drugiego nowego; obaj mieli ziemistą cerę i srogie, martwy wygląd - a potem na dół, do piwnic akademii, gdzie przebiega linia kolejki wahadłowej. Czekali w milczeniu w przestronnych podziemiach. Właśnie tą kolejką wozi się chłopców do centrum medycznego, gdzie trzy dni w tygodniu pracuje ojciec Partridge'a. Kilka pięter

ośrodka przeznaczono dla chorych i ściśle odizolowano od i. reszty. W Kopule choroby traktuje się nadzwyczaj poważnie. Zaraza mogłaby uśmiercić ich wszystkich, toteż nawet osoby z niewielką gorączką wysyła się na krótkotrwałą kwarantannę. Partridge kilka razy przebywał na tym oddziale i leżał w małym i nudnym sterylnym pokoiku.

A umierający? Ich nikt nie odwiedza. Umieszcza się ich na wydzielonym piętrze.

Chłopiec zastanowił się, czego ojciec od niego chce. Nie należał do Paki i nie wybrano go do żadnego elitarnego korpusu. Ta rola przypadła Sedge'owi. Kiedy Partridge wstąpił do akademii, nie był pewien, czy jest znany ze względu na swego ojca, czy brata. Nieważne. Nie dorówna reputacji ani jednego, ani drugiego. Nie wygrał żadnych zawodów sportowych, a we wszystkich meczach, niezależnie od dyscypliny, głównie grzeje ławkę rezerwowych. Nie odznacza się wystarczającą inteligencją, by dostać się do innego programu treningowego - rozrostu mózgu. Ten program jest zarezerwowany dla bystrzaków, jak Arvin Weed, Heath Win-ston czy Gar Dreslin. On zawsze dostawał przeciętne stopnie. Najwyraźniej jest kimś poślednim podobnie jak większość pozostałych chłopców, których poddaje się kodowaniu, by zwiększyć ich ogólne zdolności i w ten sposób poprawić jakość populacji.

Czy ojciec chce tylko skontrolować postępy swojego przeciętnego syna? A może nagle zapragnął nawiązać więź ze swym potomkiem? Czy w ogóle będą mieli o czym rozmawiać? Partridge usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spędzili razem czas na jakiejś rozrywce. Raz, po śmierci Sedge'a, ojciec zabrał go na kryty basen akademii. Partridge pamiętał tylko, że ojciec był wspaniałym pływakiem i mknął w wodzie jak wydra morska, a kiedy wynurzył się, by nabrać powietrza, a potem wycierał się ręcznikiem, Partridge po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, zobaczył jego nagą klatkę piersiową. Czy kiedykolwiek wcześniej widział go choćby na wpół ubranego? Na piersi ojca po lewej stronie, nad sercem, widniało sześć niewielkich blizn. Nie pochodziły z wypadku - były

zbyt równe i symetryczne.

- *

Kolejka się zatrzymała i Partridge'a ogarnęło przelotne pragnienie, żeby czmychnąć. Wiedział jednak, że wówczas strażnicy poraziliby go ładunkiem elektrycznym. Miałby na plecach i ramionach wypaloną czerwoną pręgę. Oczywiście, powiadomiono by ojca i sytuacja jeszcze by się pogorszyła. Poza tym, dlaczego w ogóle miałby uciekać? I dokąd? Biegałby w kółko? Przecież to jest Kopuła.

Zajechali przed wejście centrum medycznego. Strażnicy okazali swoje odznaki. Wpisali Partridge'a na listę i zeskanowali jego siatkówkę oka, a następnie przez wykrywacze metali wprowadzili go do środka i powiedli krętymi korytarzami pod drzwi gabinetu ojca.

Zanim strażnik zdążył zapukać, otworzyła im kobieta technik. Za nią Partridge spostrzegł ojca prowadzącego wykład dla kilkorga innych techników. Wszyscy spoglądali na rząd ekranów na ścianie, na których widniały w powiększeniu podwójne spirale kodujących łańcuchów DNA.

- Dziękuję - rzuciła kobieta do strażników i wskazała chłopcu niewielki skórzany fotel obok olbrzymiego biurka jego ojca, które stało pod ścianą przeciwległą do tej z ekranami.

- Tak to wygląda - powiedział ojciec do słuchaczy. - Zakłócenie w kodowaniu zachowań spowodowane oporem.

Technicy wpatrzyli się przerażonym, rozbieganym wzrokiem w ojca Partridge'a, który nadal ignorował obecność syna. Dla chłopca nie było to nic nowego. Przywykł do tego, że ojciec nie zwraca na niego uwagi.

Rozejrzał się po gabinecie i zauważył oprawione w ramki kserokopie pierwotnych planów Kopuły, wiszące na ścianie nad biurkiem.

Znów zaczął się zastanawiać, dlaczego go tu sprowadzono. Czy ojciec chciał się przed nim popisać i czegoś mu dowieść? Jakby Partridge nie wiedział, że Ellery Willux jest bystry i wzbudza respekt, a nawet strach.

- Wszystkie pozostałe rodzaje kodowania przebiegają u niego prawidłowo. Skąd więc wzięły się problemy w kodowaniu

? zachowań? - zwrócił się Willux do techników. - Czy ktoś z was zna odpowiedź?

Partridge zabębnił palcami w poręcz fotela i zerknął na siwe pasma we włosach ojca, który z irytacją potrząsał głową i wyglądał na rozgniewanego. Partridge widywał u niego takie wybuchy gniewu od czasu pogrzebu brata. Sedge zmarł po tym, jak ukończono jego kodowanie i dostał się do Oddziału Specjalnego - nowego elitarnego korpusu złożonego z zaledwie sześciu niedawnych absolwentów akademii. Ojciec nazwał tę śmierć tragedią, jakby nadanie odpowiedniej nazwy pozwalało mu się z nią pogodzić.

Technicy popatrzyli po sobie i odpowiedzieli:

- Nie, proszę pana. Jeszcze nie.

Ojciec ze zmarszczonymi brwiami i poczerwieniałym mięsistym nosem spojrzał gniewnie na ekran, a potem na Partridge'a, jakby dopiero teraz go zauważył. Machnięciem ręki odprawił techników, którzy pośpiesznie wymknęli się za drzwi. Partridge'a ciekawiło, czy czują ulgę za każdym razem, gdy schodzą z oczu jego ojcu będącemu w takim podłym nastroju. Czy w głębi duszy nienawidzą jego starego? Wcale by się nie dziwił.

- Jak leci? - zagadnął ojca, nerwowo skubiąc pasek plecaka.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego cię wezwałem?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Chcesz złożyć mi spóźnione życzenia urodzinowe?

Ukończył siedemnaście lat przed prawie dziesięcioma miesiącami.

- Życzenia urodzinowe? - powtórzył ojciec. - Nie dostałeś prezentu, który ci wysłałem?

- Zaraz, co to było? - mruknął Partridge, drapiąc się w policzek.

Po chwili sobie przypomniał. Dostał w prezencie bardzo drogie wieczne pióro ze świecą żaróweczką na końcu. „Żebyś mógł uczyć się do późna i

prześcignął kolegów z klasy” - napisał ojciec w dołączonym do prezentu krótkim liściku. Czy ojciec pamięta, co mu podarował? Zapewne nie. Czy w ogóle sam skreślił te słowa? Partridge nie znał jego charakteru pisma. Kiedy był mały, zwykle to matka pisała zagadkowe liściki, by pomóc im odgadnąć, gdzie ukryła prezenty. Powiedziała mu, że ten zwyczaj zapoczątkował jego ojciec, gdy pierwszy raz umówił się z nią na randkę: krótkie rymowane zagadki i podarki. Partridge to zapamiętał, ponieważ uderzyło go, że rodzice kiedyś jednak się kochali, chociaż później przestali. Ojciec nigdy nawet nie zjawiał się na jego urodzinach.

- Powód, dla którego cię wezwałem, nie ma żadnego związku z twoimi urodzinami - rzekł ojciec.

- Wobec tego przypuszczam, że chodzi o ojcowskie zainteresowanie moimi postępami w szkole. Zaraz zapytasz: „Czy nauczyłeś się czegoś ważnego?”.

Ojciec westchnął. Prawdopodobnie nikt inny nie odzywa się do niego w ten sposób.

- Czy nauczyłeś się czegoś ważnego? - spytał.

- Wydaje się, że nie my pierwsi wynaleźliśmy kopuły. Istniały już w czasach prehistorycznych - kopce Newgrange, Knowth, Mae-showe i inne.

Ojciec rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu. Zaskrzypiały sprężyny.

- Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem zdjęcie kurhanu Mae-showe. Byłem dzieciakiem, miałem może czternaście lat. Znalazłem je w książce o prehistorycznych osadach. - Przerwał i kolistym ruchem potarł palcami skronie.

- To był ich sposób na uzyskanie nieśmiertelności - zbudować coś, co będzie trwać. Rodzaj dziedzictwa. Utkwiło mi to w pamięci.

- Sądziłem, że dziedzictwem mężczyzny są jego dzieci.

Ellery Willux spojrzał na syna ostro, jakby ten dopiero teraz pojawił się w gabinecie.

- Tak, masz rację. I właśnie z tego powodu cię wezwałem. Wystąpił u

ciebie pewien opór wobec niektórych aspektów twojego kodowania.

Formy mumii. Coś poszło niezgodnie z planem.

- Jakich aspektów mojego kodowania?

- Umysł i ciało Sedge'a przyjmowały kodowanie łatwo i bez wysiłku - rzekł ojciec. - A ty genetycznie jesteś do niego bardzo podobny, ale...

- Jakich aspektów? - powtórzył Partridge.

- O dziwo, kodowania zachowań. W sferze aspektów fizycznych - siły, szybkości, zwinności - wszystko przebiega prawidłowo. Odczuwasz jakieś dolegliwości? Umysłowe albo cielesne? Zaburzenia równowagi? Niezwykłe myśli lub wspomnienia?

Wspomnienia, tak. Ostatnio częściej rozmyślał o matce, ale nie chciał wyznać tego ojcu.

- Poczulem przenikliwe zimno - odrzekł - w momencie, gdy usłyszałem, że mnie wezwales. Przejmujące zimno w całym ciele.

- Interesujące - skomentował ojciec i być może przez ułamek sekundy poczuł się dotknięty tą uwagą.

Partridge wskazał obrazki w ramkach na ścianie.

- Pierwotne fotokopie? Wcześniej ich tu nie było.

- Prezent z okazji dwudziestolecia mojej służby - wyjaśnił ojciec.

- To bardzo miło - powiedział Partridge. - Podoba mi się twoje dzieło architektoniczne.

- Ono nas ocaliło.

- Nas? - mruknął chłopiec pod nosem.

Pozostali już tylko oni dwaj - rodzina, która skurczyła się do nękaniej kłopotami pary - ojciec i syn. I wtedy, jakby to wynikało wprost z poprzedniego wątku rozmowy, ojciec zaczął wypytywać go o zachowanie matki przed Wybuchem, w tygodniach poprzedzających jej śmierć, o tę pamiętną wyprawę na plażę, którą odbyła jedynie z Partridge'em.

- Czy matka zmusiła cię do połknięcia jakichś pigułek?

Za umieszczonym na ścianie monitorem komputerowym prawdopodobnie siedzą jacyś ludzie. Ekran jest wygaszony, pusty i przypomina lustro weneckie. A może nikogo tam nie ma. Może ojciec machnięciem ręki ich także odesłał. Jednak z pewnością ta rozmowa jest rejestrowana. Musi być. Z każdego kąta gabinetu przypatruje się im czujne oko kamery.

- Nie pamiętam. Byłem wtedy mały - odpowiedział Partridge.

W istocie przypomniał sobie niebieskie pigułki. Miały wyleczyć go z grypy, jednak wydawało się, że jeszcze ją zaostrzyły. Trząśł się pod kocami, nękany dreszczami gorączki.

- Zabrała cię na plażę. Pamiętasz to, prawda? Tuż przedtem. Twój brat nie chciał z wami pójść. Miał mecz piłki. Brali udział w mistrzostwach.

- Sedge przepadał za baseballem. Uwielbiał mnóstwo rzeczy.

- Nie chodzi teraz o twojego brata - rzucił ojciec.

Z trudem przychodziło mu wymówienie jego imienia. Od czasu śmierci Sedge'a Partridge liczył, ile razy ojciec wypowiedział imię brata - i wyszło mu tylko kilka takich przypadków. Matka zginęła w dniu Wybuchu, próbując pomóc ocalałym ludziom dostać się do Kopuły. Ojciec początkowo nazywał ją świętą i męczennicą, a potem stopniowo niemal zupełnie przestał o niej wspominać. Partridge pamiętał, jak kiedyś powiedział: „Oni na nią nie zasługiwali. Pociągnęli ją za sobą w przepaść”. Niegdyś ojciec nazywał ocalałych „naszymi mniejszymi braćmi i siostrami”. Przywódców Kopuły, w tym siebie, określał mianem „życzliwych nadzorców”. Tego rodzaju sformułowania wciąż pojawiały się niekiedy w publicznych przemówieniach, lecz w codziennych rozmowach nazywano ocalałych ludzi żyjących poza Kopułą „nieszczęśnikami”. Partridge wiele razy słyszał, jak ojciec używał tego określenia. A on sam musiał przyznać, iż często przepełniała go nienawiść do owych nieszczęśników, którzy zginęli, pociągając za sobą jego matkę. Jednak ostatnio podczas lekcji Glassingsa z dziejów świata mimo woli zastanawiał się, co się naprawdę wydarzyło. Glassings sugerował, że historia jest czymś

plastycznym, co można zmieniać. Po co? Aby opowiedzieć przyjemniejszą historyjkę.

Tymczasem ojciec mówił dalej:

- Chodzi o twoją matkę - o to, że dawała ci jakieś pigułki i zmuszała cię, żebyś je połknął.

- Nie pamiętam. Miałem wtedy osiem lat. Rany, czego ode mnie chcesz?

Nawet mówiąc to, Partridge przypominał sobie jednak poparzenia słoneczne, jakich oboje doznali, chociaż było pochmurno, i że kiedy mieli mdłości i wymiotowali, matka opowiadała mu przed snem bajkę o łabędziej żonie z czarnymi nogami. Często przywoływał z pamięci obraz matki - jej kręcone włosy, miękkie dłonie o kostkach drobnych jak kości ptaka. Była też krótka piosenka o łabędziej żonie. Miała melodię, rymowane słowa i towarzyszące im gesty. Matka mówiła: „Kiedy zaśpiewam ci tę historię, mocno chwyć ten naszyjnik”. Chłopiec ścisnął go kurczowo w piąstce. Krawędzie rozpostartych łabędzich skrzydeł wisiora były ostre, ale nie rozluźniał chwytu.

Pewnego razu opowiedział tę bajkę Sedge'owi. To było w Kopule, w dniu, gdy ogarnęła go dojmująca tęsknota za matką. Brat orzekł, że to dziewczynska bajeczka dla dzieci, które wierzą we wróżki. „Dorośnij wreszcie, Partridge. Ona umarła i już jej nie ma. Nie widzisz tego? Jesteś ślepy?”.

Teraz ojciec naciskał na niego:

- Zamierzamy przeprowadzić na tobie jeszcze więcej badań. Mnóstwo badań. Zostaniesz pokłuty tyloma igłami, że poczujesz się jak poduszczyk do szpilek.

„Poduszczyk do szpilek” - jedno z tych określeń, które już nic nie znaczą. Poduszczyk na szpilki? Czy to rodzaj groźby? Tak to zabrzmiało.

- Pomogłoby nam, gdybyś opowiedział, co się wtedy zdarzyło.

- Nie mogę. Chciałbym, ale naprawdę nie pamiętam.

- Posłuchaj, synu. - Partridge nie lubił, gdy ojciec wymawiał słowo „syn” takim tonem, jakby to była nagana. - Musisz wyteńczyć pamięć. Twoja matka...

Ojciec urwał. W jego oczach widniało znużenie. Wargi miał wyschnięte. Wydawało się, jakby rozmawiał z kimś innym. Mówił oficjalnym tonem, jakiego używał przez telefon. „Halo, tu Willux”. Skrzyżował ramiona na piersi. Przez moment twarz mu obwisła.

- Nie pamiętam. Miałem wtedy osiem lat. Rany, czego ode mnie chcesz?

Nawet mówiąc to, Partridge przypominał sobie jednak poparzenia słoneczne, jakich oboje doznali, chociaż było pochmurno, i że kiedy mieli mdłości i wymiotowali, matka opowiadała mu przed snem bajkę o łabędziej żonie z czarnymi nogami. Często przywoływał z pamięci obraz matki - jej kręcone włosy, miękkie dłonie o kostkach drobnych jak kości ptaka. Była też krótka piosenka o łabędziej żonie. Miała melodię, rymowane słowa i towarzyszące im gesty. Matka mówiła: „Kiedy zaśpiewam ci tę historię, mocno chwyć ten naszyjnik”. Chłopiec ścisnął go kurczowo w piąstce. Krawędzie rozpostartych łabędzich skrzydeł wisiora były ostre, ale nie rozluźniał chwytu.

Pewnego razu opowiedział tę bajkę Sedge'owi. To było w Kopule, w dniu, gdy ogarnęła go dojmująca tęsknota za matką. Brat orzekł, że to dziewczynska bajeczka dla dzieci, które wierzą we wróżki. „Dorośnij wreszcie, Partridge. Ona umarła i już jej nie ma. Nie widzisz tego? Jesteś ślepy?”.

Teraz ojciec naciskał na niego:

- Zamierzamy przeprowadzić na tobie jeszcze więcej badań. Mnóstwo badań. Zostaniesz pokłuty tyłoma igłami, że poczujesz się jak poduszczyk do szpilek.

„Poduszczyk do szpilek” - jedno z tych określeń, które już nic nie znaczą. Poduszczyk na szpilki? Czy to rodzaj groźby? Tak to zabrzmiało.

- Pomogłoby nam, gdybyś opowiedział, co się wtedy zdarzyło.

- Nie mogę. Chciałbym, ale naprawdę nie pamiętam.

- Posłuchaj, synu. - Partridge nie lubił, gdy ojciec wymawiał słowo „syn” takim tonem, jakby to była nagana. - Musisz wyteńczyć pamięć. Twoja matka...

Ojciec urwał. W jego oczach widniało znużenie. Wargi miał wyschnięte.

Wydawało się, jakby rozmawiał z kimś innym. Mówił oficjalnym tonem, jakiego używał przez telefon. „Halo, tu Willux”. Skrzyżował ramiona na piersi. Przez moment twarz mu obwisła i wyglądał, jakby przypomniał sobie coś przykrego. Znów potrząsnął głową. Nawet jego dłonie drżały z gniewu.

- Twoja matka zawsze sprawia kłopoty - dokończył.

Wymienili spojrzenia. Partridge nie odezwał się ani słowem, lecz w duchu wciąż powtarzał: „Zawsze sprawia kłopoty. Zawsze sprawia”. To nie był czas przeszły. Nie mówi się w ten sposób o kimś, kto nie żyje.

Ojciec się opanował.

- Ona miała źle w głowie. - Potarł dłońmi uda, a potem nachylił się ku Partridge'owi. - Zdenerwowałem cię - powiedział.

To również było dziwne. Nigdy nie mówił o emocjach.

- Nic mi nie jest.

Willux wstał.

- Sprowadźmy tu kogoś, żeby zrobił nam zdjęcie. Kiedy ostatnio nas razem sfotografowano? - zapytał. Prawdopodobnie na pogrzebie Sedge'a, pomyślał Partridge. - Będziesz je miał w akademiku, żebyś nie tęsknił za domem.

- Nie tęsknię za domem - powiedział chłopiec.

W Kopule nigdy nie czuł się u siebie w domu, więc jak mógłby za nim tęsknić?

Jednak ojciec wezwał techniczkę - kobietę z gruzłowatym nosem i równo obciętą grzywką - i polecił jej, żeby przyniosła aparat fotograficzny.

Potem obydwaj stanęli obok siebie przed niedawno zawieszonymi fotokopiami, sztywno wyprostowani jak żołnierze. Błysnął flesz.

PRESSIA GRZEBANIE W ŚMIECIACH

JUŻ Z ODLEGŁOŚCI PRZECZNICY Pressia poczuła zapachy targowiska - zepsutego mięsa i ryb, zgniłych owoców, spalenizny i dymu.

Dostrzegła przemykające cienie handlarzy domokrażców i rozpoznała ich po rodzajach kaszlu. Czasami w ten sposób można zmierzyć odległość śmierci. Są różne odmiany kaszlu. Kaszel grze-choczący sucho; kaszel zaczynający się i kończący chrapliwym świstem; męczący kaszel, który nie może się skończyć; kaszel z wykrztuszaniem flegmy; kaszel zakończony stęknieniem - ten jest najgorszy, jak powiedział jej dziadek. Oznacza, że w płucach zebrał się płyn, i zapowiada śmierć od zakażenia, utonięcie od wewnątrz. Dziadek w dzień kaszle sucho, ale nocami przez sen jego kaszel kończy się złowrogim stęknieniem.

Trzymała się środka alejki. Mijając przybudówki, usłyszała rodzinną kłótnię: głośny ryk mężczyzny, odgłos walenia czymś metalowym o ścianę. Kobieta wrzasnęła i rozległ się płacz dziecka.

Dochodząc do targowiska, Pressia zobaczyła, że handlarze już zamykają swoje stoiska - budy o zardzewiałych dachach i ścianach z metalowych szyldów przywleczonych z autostrady. Zasłaniali stragany przemokłymi kawałkami dykty, ładowali towary na rozklekotane ręczne wózki, przykrywali stoły podartymi plandekami.

Pressia minęła zbitą w krąg szepczącą grupkę. Dobiegały stamtąd poszeptywania, od czasu do czasu wybuch śmiechu i znowu szepty. Mignęły jej twarze pocętkowane wiórami metalu, błyszczącymi odłamkami szkła, pomarszczonymi bliznami. Ręka jednej z kobiet wydawała się zaplombowana skórzanym paskiem, który otoczył jej nadgarstek jak bransoletka w miejscu, gdzie wtopił się w ciało.

Ujrzała gromadkę dzieciaków niewiele młodszych od siebie. Dwie bliźniaczki z pogruchotanymi zardzewiałymi protezami nóg, widocznymi tuż poniżej skraju ich spódniczek, kręciły sznurem dla trzeciej dziewczynki z jedną ręką wystruganą z drewna, skaczącej pomiędzy nimi. Wszystkie recytowały:

Spal Czystego i wdychaj popiół, Potem zrób szalik zjegojlaków. Z włosów skakankę sobie spleć, A z kości mydło możesz mieć. Umyty, umyty, raz i dwa. Umyty, umyty, Czysty to ja.

„Czyści” to nazwa tych w Kopule. Dzieciaki mają fioła na punkcie Czystych. Wymieniają ich we wszystkich dziecięcych rymowankach, zwykle jako martwych. Pressia zna na pamięć ten wierszyk. Skakała w jego rytm, kiedy była mała, i głupio pragnęła mieć to mydło. Ciekawe, czy te dziewczynki też o nim marzą? Jak to jest - być Czystym? Pozbyć się blizn, mieć znowu dłoń, a nie lalkę?

Był tam też chłopiec z oczami rozstawionymi zbyt szeroko, niemal po bokach głowy jak u konia. Doglądał ognia płonącego w metalowej beczce, nad którym trzymał nabite na dwa różny zwęglone kawałki mięsa - małe stworzenia wielkości gryzoni. Te dzieciaki w momencie Wybuchu były niemowlętami; są odporne i wytrzymałe. Dzieci urodzone przed Wybuchem to Przedki, a te urodzone po Wybuchu - Poki. Poki powinny być Czystymi, lecz tak się nie dzieje. Mutacje spowodowane przez eksplozję z czasu Wybuchu zagnieździły się głęboko w genach tych, którzy ocalili. Niemowlęta nie rodzą się Czyste. Są zmutowane i noszą ślady deformacji swoich rodziców. Podobnie rzecz ma się ze zwierzętami. Zamiast zacząć od nowa, gatunki stają się coraz bardziej poplątane i stanowią mieszaninę rasy ludzkiej, zwierząt, ziemi i martwych przedmiotów.

Istniało jednakże inne ważne rozróżnienie, stosowane przez osoby w wieku Pressii - na tych, którzy pamiętają życie sprzed Wybuchu, i tych, którzy go nie pamiętają. Czasami przy pierwszym spotkaniu dzieciaki rozpoczynały grę w „Pamiętam” i wymieniały się wspomnieniami niczym gotówką. Stopień intymności tych wspomnień świadczył o tym, jak dalece chciałeś się otworzyć na daną osobę, i stanowił rodzaj waluty zaufania. Tymi, którzy byli zbyt młodzi, aby pamiętać, pogardzano, a jednocześnie im zazdrozczono - okropne połączenie. Pressia przyłapywała się na udawaniu, że pamięta więcej niż w rzeczywistości; pożyczala sobie wspomnienia innych ludzi i mieszała je ze swoimi. To ją martwiło. Obawiała się, że może tak bardzo oprzeć się na cudzych wspomnieniach, iż jej własne staną się niewiarygodne. Postanowiła, że musi trzymać się mocno tych nielicznych, które należą do niej.

Obrzuciła spojrzeniem dzieciaki. Blask ognia rzucał dziwaczne cienie, rozbłyskiwał w odłamkach metalu i szkła tkwiących w ich twarzach, oświetlał jaskrawe szramy, oparzeliny i guzowate bli-znowce. Jedna z dziewczynek - którą Pressia rozpoznała, lecz nie potrafiła dopasować do niej imienia - podniosła na nią wzrok i powiedziała:

- Chcesz kawałki Czystego? Są spieczone jak chipsy.

- Nie - odparła Pressia głośniejszym głosem, niż zamierzała.

Dzieciaki się roześmiały - wszystkie oprócz chłopca pilnującego ognia. Obrócił rożen; jego drobne palce poruszały się delikatnie, jakby obsługiwał jakiś nakręcany przyrząd lub silnik. Miał na imię Mikel. Różnił się od pozostałych dzieci. Było w nim coś twardego jak stal. Pressia odgadywała, że wiele razy widział śmierć, a jego rodzice od dawna nie żyją.

«

- Jesteś pewna, Pressio? - rzekł z powagą. - Tylko kawałeczek, zanim zabiorą cię na zawsze.

Mikel bywał złośliwy, chociaż zazwyczaj nie wobec niej, gdyż była od niego starsza. Dlatego jego słowa ją zaskoczyły.

- Miło, że zaproponowałeś, ale lepiej już pójdę.

Popatrzył na nią ze smutną miną. Może chciał, aby wrzasnęła, że nigdy jej nie zabiorą. Tak czy inaczej, współczuła mu. Jego okrucieństwo zawsze sprawiało, iż wydawał się bezbronny - wbrew wrażeniu, jakie chciałby wywrzeć.

Spostrzegła Keppernessa - człowieka, o którym wspomniał dziadek. Od jakiegoś czasu nie natykała się na niego. Był w wieku, w jakim wyobrażała sobie swojego ojca. Wrzucał puste skrzynki do ręcznego wózka. Rękawy miał podwinięte i ukazywał ramiona z wbitymi odłamkami szkła, chude, lecz żyłaste i muskularne. Spojrzał na nią, a potem odwrócił wzrok. W jego koszyku zostało jeszcze kilka czarnych bulw. Pressia pochylila głowę, by ukryć blizny na policzku.

- Jak się ma pański synek? Czy szyja już całkiem mu się zagoiła? - spytała w nadziei, że mężczyzna uzna, iż jest im jeszcze coś winien.

Kepperness wstał, przeciągnął się, a twarz wykrzywił mu grymas. W jednym z jego oczu lśniła złocistopomarańczowa błona - katarakta po wypaleniu promieniowaniem, co nie było niczym niezwykłym.

- Jesteś dzieciakiem tego krawca ciał, tak? Wnuczką? W tym wieku już nie powinnaś się tu kręcić.

- Wcale nie - odparła obronnym tonem. - Mam dopiero piętnaście lat.

Udała, że kuli się przed wiatrem, choć w rzeczywistości usiłowała wydać się mniejsza i młodsza.

- Czyżby? - rzucił. Urwał i wpatrzył się w nią. Skupiła spojrzenie na jego zdrowym oku, jedynym, którym mógł widzieć. - Ryzykowałem życie dla tych bulw. Wykopałem je tuż obok lasu należącego do OPR. Zostało mi tylko kilka.

- No cóż, mam tu coś jedyne w swoim rodzaju. Coś, na co stać tylko prawdziwego bogacza. Wie pan, to nie dla byle kogo.

- Co to takiego?

- Motyl - odpowiedziała.

- Motyl? - parsknął. - Niewiele ich zostało.

To prawda, motyle spotykało się niezwykle rzadko. Jednak w ciągu ostatniego roku Pressia widziała kilka nowych - drobne oznaki odrodzenia.

- To zabawka - wyjaśniła.

- Zabawka? - powtórzył. Dzieci nie miały już prawdziwych zabawek. Bawiły się świńskimi pęcherzami i podartymi włóczkowymi lalkami. - Niech no spojrzę.

Potrząsnęła głową.

- Nie ma sensu się przyglądać, skoro pana na nią nie stać.

- Pozwól mi tylko zerknąć.

Westchnęła, udając wahanie, a potem wyjęła motyla i podniosła w górę.

- Bliżej - polecił mężczyzna.

Teraz zobaczyła, że eksplozje wypaliły mu obydwójce oczu; jedno o wiele bardziej niż drugie. Powiedziała:

- Założę się, że w dzieciństwie miał pan prawdziwe zabawki.

Kiwnął głową i spytał:

- Co on potrafi?

Nakręciła motyla i włożyła do wózka. Zatrzepotał skrzydłami.

- Ciekawa jestem, jak to było dorastać w czasach pańskiego dzieciństwa?

Wszystkie te Gwiazdki i urodziny.

- Jako dziecko wierzyłem w magię. Możesz to sobie wyobrazić? - rzekł, przechylając głowę na bok i wpatrując się w zabawkę. - Ile?

- Zazwyczaj biorę bardzo dużo. To pamiątka z minionych czasów. Ale od pana wezmę tylko tę resztę korzeni. Więcej nam nie trzeba.

Podał jej koszyk, a ona zwinęła korzonki i włożyła do worka, a potem wręczyła mu motyla.

- Dam go mojemu synkowi - oświadczył Kepperness. - On już długo nie pociągnie. - Pressia już się odwróciła, żeby odejść. Usłyszała tykanie nakręcanego mechanizmu, a potem trzepot skrzydeł. - To go trochę rozweseli.

Nie, pomyślała. Idź dalej. O nic nie pytaj. Ale pamiętała jego synka. Miły dzieciak. I twardy. Nie płakał, kiedy jej dziadek zszywał mu szyję, chociaż nie było żadnych środków przeciwbólowych.

- Czy stało mu się coś jeszcze?

- Zaatakował go Pył. Chłopiec polował poza miastem, w pobliżu pól, w okolicach pustyni. Zobaczył oko mrugające z ziemi, a potem Pył wciągnął go w piasek. Była z nim matka i uratowała go. Jednak został pogryziony i dostał zakażenia krwi.

Pyły to ludzie, którzy stopili się z ziemią, a w mieście - ze zrujnowanymi budynkami. Większość z nich zmarła zaraz po Wybuchu, ponieważ nie mogli w żaden sposób zdobyć pożywienia bądź nie mieli ust albo mieli, ale bez układu trawiennego. Niektórzy przetrwali, gdyż stali się bardziej skałami niż ludźmi,

inni zaś okazali się użyteczni, współdziałając z Bestiami, czyli tymi, którzy stopili się ze zwierzętami. Kiedy Pressia szpera w gruzach, ma się na baczności przed Pyłami, które mogą złapać ją za nogę i ściągnąć w dół. Nigdy nie była poza miastem, w miejscu, gdzie napadnięto tego chłopca. Właśnie tam niektórzy stopili się z gruntem. Słyszała, że w Martwych Ziemiach Pyły mrugają z pokrytego popiołem piasku. Ponoć mnóstwo ocalałych, którzy jeszcze przed Wybuchem sądzili, że dostrzegają nadchodzący koniec świata, i przenieśli się do lasów, zostało wchłoniętych przez drzewa.

Słyszała też, że śmierć w wyniku pogryzienia jest straszna. Czasami ranne dziecko toczy pianę z ust i kurczowo chwyta się wszystkiego.

- Sama nie wiem - rzekła z wahaniem. - Może niech pan zatrzyma te bulwy i motyla.

- Nie - odparł Kepperness, wkładając zabawkę do wewnętrznej górnej kieszeni płaszcza. - Widziałem niedawno twojego dziadka. Z nim też jest kiepsko, prawda? Każdy z nas ma kogoś takiego. Umowa to umowa.

Pressia nie wiedziała, co powiedzieć. On miał rację. Każdemu umarł albo umiera ktoś bliski. Skinęła głową.

- Dobrze - odrzekła. - Przykro mi.

Mężczyzna znów zaczął załadowywać wózek i potrząsnął głową.

- Wszystkim nam jest przykro.

Rozwinął płachtę materiału i przykrył nią swoje towary. Kiedy nie patrzył, dziewczyna odwróciła swój worek do góry dnem i parę bulw wturlało się z powrotem do kosza.

Odeszła szybko. Wiedziała, że nie mogłaby zjeść tych wszystkich bulw, mając świadomość, że synek Keppernessa umiera, i że policzyła mężczyźnie więcej, niż zwykle dostawała za swoją pracę.

Teraz będzie jednak musiała pogrzebać w śmieciach. Kepper-ness się nie mylił - jej dziadek nie czuje się dobrze i już długo nie pożyje. A co się z nim stanie, jeśli ją zabiorą albo będzie musiała wkrótce uciec? Powinna zrobić jak

najwięcej zwierzątek, żeby dziadek mógł je wymienić najedzenie i przetrwać.

Szła dalej. Kiedy dotarła do końca targowiska, zatrzymała się. Tutaj na niskim ceglany murze nalepiono nową listę OPR, która trzepotała na zimnym wietrze. Kilku handlarzy pchało ulicą wózki; ich klekot rozbrzmiewał głośnie echem. Zaczekała, aż się oddalą, a potem podeszła do listy Rozprostowała i przycisnęła papier. Druk był drobny. Musiała przysunąć się bliżej. Pośpiesznie przebiegła wzrokiem kartkę.

I wtedy to zobaczyła.

Nazwisko PRESSIA BELZE i swoją datę urodzin.

Powiodła czubkiem palca po wypukłych literach.

Teraz już nie mogła temu zaprzeczyć. Nie będzie żadnych zagubionych akt zawierających dane o niej. Znalazła się na liście. Naprawdę.

Cofnęła się i potknęła o jakieś ukraszone cegły Potem skręciła w pierwszą napotkaną uliczkę.

Zaczęła marznąć. Powietrze było przenikliwie zimne i wilgotne. Podciągnęła w górę swój spodni sweter, żeby zakryć szyję, a rękaw wierzchniego swetra naciągnęła na pięść z głową lalki, nadal zakrytą skarpetką. Wetknęła ją pod pachę, a potem skrzyżowała ramiona na piersi. To jej stały odruch, kiedy przebywała poza domem między ludźmi i była zdenerwowana. Niemal przynosił jej pociechę.

Pośród ruin po obydwu stronach ulicy znajdowało się kilka budynków, których szkielety ocalały. Wewnątrz ludzie urządzili sobie prowizoryczne mieszkania. Minęła dom, który całkowicie się zawalił. W takich najlepiej się szpera. Wcześniej znajdowała w gruzach piękne przedmioty - drut, monety, metalowe klamerki, klucze. Lecz rumowiska są niebezpieczne. Można się tam natknąć na Pyły bardziej przypominające ludzi i na kilka człekokształtnych Bestii, które wykopują sobie kryjówki w gruzach, grzeją się przy dymiących ogniskach i pieką na nich to, co upolują. Wyobraziła sobie synka Keppernessa w Martwych Ziemiach, oko w piasku u jego stóp - a potem rękę wysuwającą się

błyskawicznie znikąd i ściągnając go w dół. Była sama. Jeśli coś ją chwyci i przewróci, zostanie pożarta do ostatniej kosteczki.

Nie dostrzegła żadnej smugi dymu, więc wdrapała się na chwiejną stertę kamieni. Ostrożnie wybierała drogę, wypatrując błysków metalu i małych kawałeczków drutu. Wiedziała, że stertę już dokładnie przetrząsnęto, ale udało się jej znaleźć coś, co kiedyś mogło być struną od gitary, kilka kawałków stopionego plastiku wyglądających na elementy starej gry planszowej i cienką metalową rurkę.

Może zdoła zrobić coś wyjątkowego dla dziadka - prezent wart tego, by go zachować. Nie chciała myśleć o słowie „pamiątka”, gdyż przypominało jej, że być może wkrótce opuści dziadka, ale tkwiło ono w jej umyśle. Pamiątka.

Kiedy wracała do domu przez targ, wszystkie stragany były już zamknięte. Spóźniała się i teraz powinna się już pośpieszyć. Dziadek zacznie się o nią niepokoić. Za targowiskiem znów zauważyła tego chłopca z szeroko rozstawionymi oczami, Mikela. Piekł następne zwierzątko - tym razem całkiem małe, wielkości myszy, ledwie warte zachodu.

Obok niego siedział mały chłopczyk. Kiedy wyciągnął rękę, chcąc dotknąć mięsa, Mikel powiedział:

- Nie rób tego, bo się oparzysz!

Pchnął chłopczyka na ziemię. Malec był bosy, a zamiast palców u nóg miał tylko guzowate wyrostki. Upadając, starł sobie kolano. Na widok krwi wrzasnął i pobiegł do osmalonych drzwi. Wyszły z nich trzy stopione ze sobą kobiety, okryte w talii płataniną ubrań. Części twarzy każdej z nich błyszcząły i wydawały się sztywne, jakby wtopił się w nie plastik. Takie osoby nazywano Gruponami. Jedna z kobiet miała pochyłe ramiona i skrzywiony kręgosłup. Było tam widać wiele rąk - niektóre blade i usiane piegami, inne ciemne. Kobieta znajdująca się pośrodku chwyciła chłopczyka za ramię i powiedziała:

- Zamknij się. No, już cicho. Zamknij się.

Ta z krzywym kręgosłupem, która wydawała się najmniej stopiona z

pozostałymi, jakby tylko na doczepkę, wrzasnęła na Pres-się:

- Ty mu to zrobiłaś?! Ty?

- Nawet go nie dotknęłam - zaprzeczyła dziewczyna i mocniej naciągnęła rękaw swetra.

- Pora, żebyś już wrócił do domu - rzekła kobieta do malca. Rozejrzała się bacznie, jakby wyczuła w powietrzu niebezpieczeństwo. - I to natychmiast.

Wywinął się z jej chwytu i pognał ulicą w kierunku pustego targowiska, płacząc teraz jeszcze głośniej.

Kobieta z krzywym kręgosłupem zerknęła na niego przez ramię, a potem uniosła kościstą gruzłowatą pięść i pogroziła Pressii.

- Widzisz, co narobiłaś?

Nagle dziewczyna usłyszała za plecami krzyk Mikela:

- Bestia! Bestia!

Odwróciła się i ujrzała drapieżną Bestię, która bardziej przypominała zwierzę niż człowieka. Była pokryta futrem, lecz wzdłuż jej żeber tkwiły odłamki szkła. Biegła na czworakach, kulejąc, a potem zatrzymała się i przysiadła na zadzie, niemal osiągając wysokość dorosłego mężczyzny. Miała szponiaste łapy, ale zamiast zwierzęcego pyska różową, niemal bezwłosą ludzką twarz z długą wąską szczęką i wielkimi zębami. Jej klatkę piersiową, która szybko wznosiła się i opadała, opasywał wtopiony łańcuch.

Mikel wdrapał się na beczkę po oleju, a stamtąd wskoczył na metalowy dach domu. Stojące w progu Grupony wpadły do środka i zakryły drzwi drewnianą płytą. Nawet nie zawołały zagubionego chłopczyka, który nadal biegł samotnie w głąb ulicy.

Dziewczyna wiedziała, że Bestia dopadnie najpierw dziecka. Było małe i stanowiło łatwy łup. Lecz oczywiście Bestia mogła zaatakować ich oboje. Niewątpliwie była wystarczająco wielka i silna.

Pressia chwyciła mocno swój worek i puściła się pędem, wymachując ramionami i szybko przebierając nogami. Była dobrą biegaczką i zawsze

poruszała się lekko. Być może odziedziczyła to po ojcu, futbolowym rozgrywającym. Buty miała przetarte na piętach, więc biegnąc, wyczuwała przez cienkie skarpetki nierówności gruntu.

Po zamknięciu targu puste ulice wydawały się jej obce. Bestia gnała za nią wielkimi susami. Pressia i ten chłopczyk byli teraz na ulicy sami. Malec widocznie wyczuł niebezpieczeństwo. Odwrócił się i wybałuszył oczy ze strachu. Potknął się, upadł i przerażony nie mógł wstać. Dziewczyna z mniejszej odległości dostrzegła sinawy ślad po oparzeniu przy oku, przypominający żyłkowany marmur.

Podbiegła do chłopca.

- Chodź! - zawołała. Chwyciła go pod ramiona i podniosła w górę. Mając tylko jedną rękę sprawną, potrzebowała jego współpracy. - Złap mnie mocno! - poleciała.

Rozejrzała się panicznie wokół, szukając czegoś, na co można by się wspiąć. Bestia już ich doganiała. Po obydwu stronach ulicy były jedynie rumowiska, ale przed sobą dziewczyna zobaczyła budynek zrujnowany tylko częściowo. Dostrzegła kratę w metalowych drzwiach do sklepu, które dawniej miały oszkloną płytę, jak i żeber tkwiły odłamki szkła. Biegła na czworakach, kulejąc, a potem zatrzymała się i przysiadła na zadzie, niemal osiągając wysokość dorosłego mężczyzny. Miała szponiaste łapy, ale zamiast zwierzęcego pyska różową, niemal bezwłosą ludzką twarz z długą wąską szczęką i wielkimi zębami. Jej klatkę piersiową, która szybko wznosiła się i opadała, opasywał wtopiony łańcuch.

Mikel wdrapał się na beczkę po oleju, a stamtąd wskoczył na metalowy dach domu. Stojące w progu Grupony wpadły do środka i zakryły drzwi drewnianą płytą. Nawet nie zawołały zagubionego chłopczyka, który nadal biegł samotnie w głąb ulicy.

Dziewczyna wiedziała, że Bestia dopadnie najpierw dziecka. Było małe i stanowiło łatwy łup. Lecz oczywiście Bestia mogła zaatakować ich oboje.

Niewątpliwie była wystarczająco wielka i silna.

Pressia chwyciła mocno swój worek i puściła się pędem, wymachując ramionami i szybko przebierając nogami. Była dobrą biegaczką i zawsze poruszała się lekko. Być może odziedziczyła to po ojcu, futbolowym rozgrywającym. Buty miała przetarte na piętach, więc biegnąc, wyczuwała przez cienkie skarpetki nierówności gruntu.

Po zamknięciu targu puste ulice wydawały się jej obce. Bestia gnała za nią wielkimi susami. Pressia i ten chłopczyk byli teraz na ulicy sami. Malec widocznie wyczuł niebezpieczeństwo. Odwrócił się i wybałuszył oczy ze strachu. Potknął się, upadł i przerażony nie mógł wstać. Dziewczyna z mniejszej odległości dostrzegła sinawy ślad po oparzeniu przy oku, przypominający żyłkowany marmur.

Podbiegła do chłopca.

- Chodź! - zawołała. Chwyciła go pod ramiona i podniosła w górę. Mając tylko jedną rękę sprawną, potrzebowała jego współpracy. - Złap mnie mocno! - poleciała.

Rozejrzała się panicznie wokoło, szukając czegoś, na co można by się wspiąć. Bestia już ich doganiała. Po obydwu stronach ulicy były jedynie rumowiska, ale przed sobą dziewczyna zobaczyła budynek zrujnowany tylko częściowo. Dostrzegła kratę w metalowych drzwiach do sklepu, które dawniej miały oszkloną płytę, jak w zakładzie fryzjerskim. Przypomniała sobie, jak dziadek opowiadał jej, że kiedyś mieścił się tam lombard, i wyjaśnił, że po Wybuchu ludzie splądrowali go w pierwszej kolejności, gdyż były tam rewolwery i złoto - chociaż to drugie ostatecznie straciło jakąkolwiek wartość.

Drzwi były lekko uchylone.

Dzieciak wrzeszczał teraz głośno i przenikliwie i okazał się cięższy, niż przypuszczała. Obejmował ją kurczowo za szyję, dławiąc oddech. Bestia była już tak blisko, że Pressia słyszała jej zdyszane sapanie.

Dziewczyna podbiegła do okratowanych drzwi, pchnęła je, wpadła do

środka i zatrzasnęła je za sobą, wciąż trzymając na rękach dziecko. Szczęknął automatyczny zamek.

Znaleźli się w małym nieumeblowanym pokoju; na podłodze leżało tylko kilka sienników. Pressia zakryła dłonią usta krzyżącemu chłopcu.

- Cicho - poleciła. - Bądź cicho!

Wycofała się do tylnej ściany i usiadła z malcem na kolanach w ciemnym kącie.

Bestia błyskawicznie dopadła do drzwi, ujadając i drapiąc pazurami w kratę. Pomimo ludzkiej twarzy i oczu nie umiała mówić i nie miała dłoni. Drzwi zabrzęczały głośno. Poirytowana Bestia przykucnęła i warknęła. A potem odwróciła głowę, powęszyła w powietrzu i odbiegła, zwabiona jakimś nowym zapachem.

Chłopczyk z całej siły ugryzł Pressię w rękę.

- Au! - jęknęła i potarła dłoń o spodnie. - Dlaczego to zrobiłeś?

Spojrzał na nią szeroko rozwartymi oczami. Sam wydawał się tym zaskoczony.

- Oczekiwałam raczej podziękowania - powiedziała.

Z drugiego końca pokoju dobiegł łomot. Pressia jęknęła cicho i odwróciła się. Chłopczyk też spojrzał w tamtą stronę.

Gwałtownie otwarto klapę w podłodze i z otworu wyłoniły się głowa i ramiona mężczyzny gramolącego się z pomieszczenia poniżej. Miał zmierzwione włosy i ciemne poważne oczy. Był trochę starszy od Pressii.

- Przyszłaś tu na zebranie czy co? - zapytał.

Chłopczyk znów wrzasnął, jakby tylko to potrafił. Nic dziwnego, że tamta kobieta kazała mu się zamknąć, pomyślała Pressia. Krzykacz z niego. A potem podbiegł do okratowanych drzwi.

- Nie wychodź na zewnątrz! - zawołała.

Lecz chłopiec był szybszy. Otworzył zamek, wybiegł na dwór i pognął przed siebie.

- Kto to był? - zapytał mężczyzna.

- Nawet go nie znałam - odrzekła, wstając.

Spostrzegła teraz, że mężczyzna stoi na rozklekotanej składanej drabince prowadzącej do piwnicy pełnej ludzi.

- Za to ja znam ciebie. Jesteś wnuczką krawca ciał.

Zauważyła dwie blizny z boku jego twarzy - być może po ranach zszytych przez jej dziadka. Zorientowała się, że nie są stare, najwyżej sprzed roku czy dwóch lat.

- Nie przypominam sobie, że bym cię spotkała.

- Nie spotkaliśmy się - wyjaśnił. - Poza tym byłem wtedy trochę pokiereszowany. - Wskazał na swoją twarz. - Mogłaś mnie nie rozpoznać. Ale ja pamiętam, że cię tam widziałem.

Spojrzał na nią tak, że się zaczerwieniła. Wydawało się jej, że jest w nim coś znajomego - może tylko ciemny blask jego oczu. Spodobała się jej jego twarz twardziela, który przetrwał, ostro zarysowana szczeka z dwiema poszarpanymi szramami. We wzroku mężczyzny było coś, co nadawało mu wygląd zarazem rozgniewanego i miłego.

- Przyszłaś na zebranie? Właśnie zaczynamy. Mamy jedzenie.

To był ostatni wypadek Pressii na zewnątrz przed ukończeniem szesnastu lat. Jej nazwisko znalazło się na liście. Serce wciąż jeszcze mocno waliło jej w piersi. Uratowała tamtego chłopczyka. Czuła się dzielna. I konała z głodu. Z przyjemnością usłyszała o jedzeniu. Może będzie go tyle, że uda się jej niepostrzeżenie zwędzić trochę dla dziadka.

Niedaleko rozległo się wycie. Bestia wciąż krążyła w pobliżu.

- Tak - odpowiedziała Pressia. - Przyszłam na zebranie. Nieznajomy niemal się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał.

Nie był z tych, którym uśmiech przychodzi łatwo. Odwrócił się i krzyknął do ludzi na dole:

- Jeszcze jedna! Zróbcie miejsce!

Pressia zauważyła trzepoczący ruch na jego plecach pod niebieską koszulą, która zmarszczyła się jak powierzchnia wody.

Teraz go sobie przypomniała - chłopaka z ptakami w plecach.

PARTRIDGE METALOWE PUDEŁKO

WSZYSCY CHŁOPCY Z PROWADZONEJ przez Glassingsa klasy historii powszechnej zachowywali się cicho, co było dziwne, gdyż zazwyczaj wycieczki edukacyjne wyzwały w nich najgorsze instynkty. Jedynie tupot ich nóg rozbrzmiewał echem pośród rzędów ustawionych alfabetycznie metalowych pudeł. Nawet Glassings, który zawsze miał coś do powiedzenia, teraz zaniemówił. Twarz miał napiętą i zaczerwienioną, jakby coś w sobie dusił. Zal czy nadzieję? Partridge nie potrafił tego rozstrzygnąć. Nauczyciel poczłapał w bok i zniknął w głębi jednego z bocznych korytarzy.

Powietrze w Kopule jest zawsze suche, sterylne i neutralne. Jednak w Archiwum Utraconych Bliskich wyczuwało się w nim nikłe napięcie, jakby było naelektryzowane. Partridge nie umiał tego dokładnie określić. Oczywiście, powtarzał sobie, to niemożliwe, aby zgromadzone tutaj rzeczy po zmarłych różniły się układem molekuł od jakichkolwiek innych przedmiotów, lecz wydawało się niemal, iż tak właśnie jest.

A może przyczyna wcale nie tkwi w tych rzeczach po zmarłych ani w powietrzu. Może to chłopcy z akademii są spięci, gdy każdy wypatruje określonego nazwiska. Każdy z nich stracił kogoś podczas Wybuchu, tak samo jak Partridge. Jeśli z całego życia takiej zmarłej osoby zachował się jakiś przedmiot, został umieszczony w metalowym pudełku, opatrzony etykietką i ułożony w porządku alfabetycznym, uwięziony tutaj na zawsze - po co? Aby zostać uhonorowanym? A niektórzy chłopcy stracili także bliskich zmarłych już po Wybuchu, w Kopule. Partridge też miał kogoś takiego. Jednak gdy tracisz kogoś w Kopule, przyjmujesz to spokojniej. Taka śmierć nie budzi wielkich emocji. W obliczu globalnej zagłady, jak można się zbytnio przejmować

jednostkową śmiercią? Zresztą poważne choroby zdarzają się rzadko lub raczej, mówiąc ściślej, są dobrze ukrywane.

Przez lata Glassings wielokrotnie zabiegał o możliwość zorganizowania tej wycieczki edukacyjnej. W końcu uzyskał zgodę i oto znaleźli się tutaj. Z umieszczonych pod sufitem niewidocznych głośników rozbrzmiał nagrany głos lektorki:

- Każdej zmarłej osobie przydziela się jedno małe metalowe pudełko na jej rzeczy osobiste. Ciała są poddawane kremacji, gdyż liczy się każdy centymetr przestrzeni. Musimy ograniczać do minimum wszelkie pozostałości. Ten wymóg będzie obowiązywał, dopóki ziemia znów nie zacznie się nadawać do zamieszkania i odzyskamy należne nam miejsce jako prawowici właściciele i odtwórcy naturalnego środowiska.

- Możemy otwierać pudełka?! - zawołał Arvin Weed. - Znalazłem moją ciocię.

- Ciotka Weed! - krzyknął kpiąco któryś z chłopców.

- Tak - odrzekł z roztargnieniem Glassings, wyraźnie zaabsorbowany własnymi poszukiwaniami. - Nie co dzień macie dostęp do tego miejsca. Zachowujcie się z szacunkiem. Niczego nie dotykajcie.

To oznaczało, że jeśli Glassings odnajdzie metalowe pudełko, którego szuka, otworzy je. Dotychczas Partridge zakładał, że nie będzie im wolno niczego otwierać i że zobaczy tylko rzędy metalowych skrzyneczek. Teraz serce mocniej zabiło mu w piersi. Ruszył szybszym krokiem, aby zdążyć, zanim nauczyciel zmieni zdanie, zanim zjawi się któryś ze starszych wykładowców i zabroni im tego. Prawie puścił się biegiem. Zakręciło mu się w głowie. Chyba już wszyscy chłopcy biegli, ślizgając się na zakrętach i chwiejąc się wskutek wpływu kodowania zakłócającego ich zmysł równowagi.

Minąwszy długie rzędy pudeł, Partridge dotarł do końca alfabetu: Willux. Odnalazł nazwisko swego starszego brata - SEDGE WATSON WILLUX - oraz wypisane drobnym drukiem daty jego urodzin i śmierci, ostateczne i

nieodwołalne. Powiódł palcami po napisie. Atrament jeszcze nie wyblakł jak na niektórych innych pudełkach. Sedge zmarł zaledwie przed rokiem. W pewnym sensie Partridge'owi wydawało się to bardzo dawno, a zarazem miał wrażenie, jakby brat wciąż tutaj był i zaszła jakaś pomyłka urzędnicza. Przypomniawszy sobie, kiedy ostatni raz go widział. Było to podczas uroczystej inauguracyjnej kolacji. Sedge i pięciu innych świeżo upieczonych absolwentów akademii zostali pierwszymi członkami nowo utworzonego elitarnego korpusu. Sedge miał na sobie mundur. Kodowanie młodego mężczyzny zakończyło się pełnym sukcesem. Był wyższy, szerszy w ramionach, o mocniej zarysowanej szczęce. Upomniawszy Partridge'a, że jest zbyt chudy. „Musisz jeść dwa razy więcej batonów proteinowych” - powiedział. Przez chwilę przyglądał się Partridge'owi i spytał: „Pamiętasz historyjki, które mi dawniej opowiadałeś? Te bajki?”. Chłopiec potrząsnął głową. „Niekiedy wciąż jeszcze o nich myślę” - wyznał Sedge ze śmiechem, a potem, zanim odszedł, objął brata i szepnął mu do ucha: „Może tobie się to nie przydarzy”. Wówczas Partridge uznał tę uwagę za złośliwą - jakby nie był w wystarczającym stopniu mężczyzną, by móc ukończyć szkolenie. Lecz po tym, jak Sedge'a znaleziono martwego, zaczął myśleć, że może to było szczere życzenie.

Nie wiedział, co stało się z pozostałymi pięcioma chłopcami wcielonymi tamtego dnia do elitarnego oddziału. Słyszał plotkę, że przechodzą intensywny trening i ich rodzice dostają od nich tylko listy. Przypuszczał, że ci rodzice się nie skarżą. Z pewnością są zadowoleni z tego, że ich dzieci wciąż żyją.

Ujął uchwyt pudełka, lecz z jakiegoś powodu nie mógł zdobyć się na to, by je otworzyć. Sedge nie żyje. Pod jego nazwiskiem widniał napis drobnym drukiem: PRZYCZYNA ŚMIERCI: RANA POSTRZAŁOWA ZADANA WŁASNORĘCZNIE. W przeciwieństwie do czasów sprzed zamieszkania w Kopule tutaj samobójstwo nie naznaczało mrocznym piętnem. Zgromadzone zasoby powinny trafiać do osób zdrowych i wykazujących silną wolę życia. Umierający nie otrzymywali wiele, gdyż byłoby to niepraktyczne. Pewnego dnia

- miejmy nadzieję, iż niezbyt odległego - wszyscy mieszkańcy Kopuły powrócą do zewnętrznego świata - Nowego Raju, jak niektórzy go nazywali - i muszą wtedy być twardzi i wytrzymali. Samobójstwo Sedge'a to tragedia, gdyż był młody i silny, lecz sam akt odebrania sobie życia nie świadczył o skazie charakteru i zasługiwał na podziw - albo przynajmniej wmówiono to Partridge'owi - ponieważ Sedge dostrzegł w sobie ułomność i poświęcił siebie dla dobra ogółu. Partridge nienawidził takiego rozumowania. Pragnął powiedzieć wszystkim, którzy je prezentowali: „Mój brat nie żyje. Był zarazem mordercą i ofiarą. Nigdy go nie odzyskamy”.

Nie chciał oglądać tego, do czego zredukowano jego brata. Zawartości metalowego pudełka. Nie mógłby tego znieść.

Obok stało pudełko matki z napisem ARIBELLA CORDING WILLUX. Partridge był zaskoczony, że w ogóle pozwolono jej tutaj zaistnieć. Inaczej niż w przypadku Sedge'a zamierzał zachować wszelkie wspomnienia po niej, jakie zdoła odnaleźć - bez względu na to, czy zmieściły się w tym pudełku, czy nie. Chwycił małą metalową rączkę, zdjął pudełko i zaniósł je do wąskiego stolika między rzędami. Podniósł wieczko. Nigdy nie zadawał ojcu zbyt wielu pytań o matkę, gdyż wyczuwał, że wprawia go tym w zakłopotanie. W środku znalazł kartkę urodzinową z wizerunkiem baloników, bez koperty, z życzeniami od matki dla niego na dziewiąte urodziny - chociaż wtedy jeszcze nie skończył dziewięciu lat - małe metalowe puzderko oraz zdjęcie przedstawiające jego i matkę na plaży. Uderzyło go, jak realne są te przedmioty. Musiała wnieść je do Kopuły przed Wybuchem. Każdemu zezwolono na wniesienie kilku drobiazgów o szczególnym znaczeniu. Oczywiście, ojciec mówił, że to tylko na wypadek zagrożenia, do którego prawdopodobnie nigdy nie dojdzie. Te rzeczy z pudełka matka widocznie przyniosła ze sobą.

Ona kiedyś naprawdę istniała. Partridge pomyślał o kwestiach, o które niedawno wypytywał go ojciec. Czy matka ingerowała w jego kodowanie? Czy dawała mu pigułki? Czy wiedziała więcej, niż ojciec sądził?

Otworzył kartkę urodzinową i odczytał ręcznie wypisane życzenia: Zawsze zmierzaj ku światłu. Podążaj za swoją duszą. Ona może mieć skrzydła. Jesteś moją gwiazdą przewodnią jak ta, która weszła na wschodzie i prowadziła trzech królów. Szczęśliwych dziewiątych urodzin, Partridge'u! Kocham Cię, Mama.

Czy wiedziała, że nie będzie jej przy nim w jego dziewiąte urodziny? Czy zawczasu to obmyśliła? Usiłował usłyszeć te słowa wypowiedane głosem jego matki. Czy w taki sposób mówiła o urodzinach? Czy naprawdę był jej gwiazdą przewodnią? Dotknął liter nakreślonych z taką siłą, że wyczuł wyłobienia, jakie jej pióro zrobiło w papierze. Wyjął małe metalowe puzderko i spostrzegł niewielki nakręcany mechanizm na spodzie, obok zawiasów wieczka. Otworzył je i rozbrzmiało kilka brzękliwych dźwięków. Pozytywka. Pośpiesznie zatrzasnął wieczko, mając nadzieję, iż wszyscy pozostali są zbyt pochłonięci własnymi znaleziskami, by to zauważyć.

Pod pozytywką znalazł ukryty łańcuszek ze złotym wisiorkiem w kształcie łabędzia z okiem z jasnoniebieskiego szlachetnego kamienia. Podniósł naszyjnik i wisiorek zawirował. Jeżeli matka kiedyś istniała, to może nadal żyje? Znow usłyszał ojca mówiącego: „Twoja matka zawsze sprawia kłopoty”. Zawsze sprawia.

Wiedział, że musi przedostać się na drugą stronę. Jeśli matka żyje - jeśli jest choćby cień nadziei - musi spróbować ją odnaleźć.

Spojrzał w obie strony korytarza. Pusto. Wyjął z pudełka kolejno wszystkie te małe przedmioty i włożył je szybko do różnych kieszeni marynarki. Następnie wsunął pudełko z powrotem w odpowiednią przegródkę. Rozległ się dźwięk metalu uderzającego o metal, a potem cichy trzask.

PRESSIA ZEBRANIE

SALA ZEBRAŃ BYŁA MAŁA I CIASNA. Mieściło się w niej zaledwie tuzin osób - i to na stojąco. Kiedy Pressia zeszła po drabince, wszyscy

przesunęli się i westchnęli, zirytowani, że zabiera im miejsce. Przypuszczała, iż w istocie są źli, ponieważ zjawiała się jeszcze jedna gęba, z którą będą musieli podzielić się jedzeniem. W pomieszczeniu pachniało octem winnym. Nigdy nie próbowała kwaszonej kapusty, ale dziadek opisał jej tę potrawę i zastanawiała się, czy właśnie to będą teraz jeść. Dziadek mówił, że to niemieckie danie.

Mężczyzna, który niedawno wyłonił się spod podłogi, przesunął się pod tylną ścianę. Pressia musiała przecisnąć się obok zgromadzonych, by móc mu się lepiej przyjrzeć. Był barczysty i muskularny. Jego niebieska koszula była rozdarta w kilku miejscach, a rękawy przetarły się na łokciach. Tam gdzie brakowało guzików, zrobił w materiale dziurki i związał je sznurkiem.

Przypomniała sobie, jak pierwszy raz go zobaczyła. Wracała alejką do domu po całym dniu grzebania w śmieciach i z okna dobiegły ją głosy. Przystanęła i zajrzała do środka. Ujrzała tego chłopca - dwa lata młodszego niż obecnie, ale już wtedy żyłastego i silnego - leżącego na boku na stole, podczas gdy jej dziadek zszywał mu twarz. Widziała tę scenę niewyraźnie przez rozprysniętą szybę, mimo to dostrzegła niewielkie ptaszki - trzepoczące skrzydełka, zmierzwione szare piórka, małe pomarańczowe nóżki wciśnięte pod pokryty meszkiem brzusek - tkwiące w jego plecach. Po chwili chłopiec usiadł i włożył koszulę. Pressia podeszła do drzwi i przystanęła poza zasięgiem wzroku. Chłopak nie miał pieniędzy. Powiedział, że jako zapłatę może przynieść broń. Dziadek odrzekł, żeby ją sobie zatrzymał. „Ty musisz się bronić. Poza tym - dodał - kiedyś staniesz się silniejszy, a ja będę tylko coraz starszy i słabszy. Wolę, żebyś był mi winien przysługę”. „Nie lubię być komukolwiek coś winien” - odparł chłopiec. „Szkoda - rzekł dziadek - gdyż właśnie tego potrzebuję”.

Wówczas chłopak wyszedł z pokoju. Skręcił za róg domu i wpadł na stojącą tam Pressię. Zatoczyła się do tyłu, a on chwycił ją za rękę i podtrzymał - za rękę z głową lalki zamiast dłoni. Zauważył to i powiedział: „Przepraszam, bardzo mi przykro”. Było mu przykro, że omal nie przewrócił Pressii, czy z

powodu jej deformacji? „W porządku” - odpowiedziała. Czowała się jednak zakłopotana, gdyż prawdopodobnie domyślił się, że go szpiegowała.

A teraz stał tutaj - chłopak, który nie lubił mieć wobec nikogo długu wdzięczności, ale był winien przysługę jej dziadkowi. Chłopak z ptakami w plecach.

Rozpoczął zebranie słowami:

- Dołączyła do nas nowa.

Wskazał na Pressię. Zgromadzeni odwrócili się i spojrzeli na nią. Jak wszyscy inni mieli szramy, oparzeliny i wielkie czerwone gru-złowate pasma zabliznionej tkanki przypominające sznury. W jednej twarzy z podbródka zwisał płat skręconej skóry, tak szorstkiej i pomarszczonej, że przypominała korę drzewa. Pressia rozpoznała tylko jedną osobę - Gorse'a, który zniknął przed kilkoma laty ze swoją małą siostrzyczką Fandą. Rozejrzała się, szukając wzrokiem Fandry, która miała piękne złociste włosy i uschniętą lewą rękę. Dawniej często żartowały, że idealnie się uzupełniają - Fandra ma sprawną prawą rękę, a Pressia lewą. Lecz nigdzie nie dostrzegła przyjaciółki. Gorse napotkał jej spojrzenie i odwrócił wzrok. Jego widok przyprawił Pressię o zawrót głowy. Może ta sekretna podziemna siatka, o której sobie opowiadano, nie tylko istnieje, lecz naprawdę działa. Wiedziała teraz, że przynajmniej jedna zaginiona osoba przeżyła, a wszyscy w tym pomieszczeniu wyglądali na starszych od niej. Czy to jest ta tajna organizacja? Czy chłopak z ptakami w plecach stoi na jej czele?

I co oni widzą, kiedy się jej tak przypatrują? Spuściła głowę na pierś, aby ukryć półkolistą bliznę na twarzy, i naciągnęła rękaw swetra na głowę lalki. Skinęła głową zgromadzonym, mając nadzieję, że za chwilę przestaną się jej przyglądać.

- Jak się nazywasz? - spytał chłopak z ptakami w plecach.

- Pressia - odpowiedziała i natychmiast tego pożałowała.

Powinna była podać zmyślane imię. Nie wiedziała, kim są ci ludzie.

Pojęła teraz jasno, że popełniła błąd. Zapragnęła stąd wyjść, lecz poczuła się schwyтана w pułapkę.

- Pressia - wymamrotał pod nosem, jakby wypróbował to imię. - No, dobrze - zwrócił się do grupy. - Zaczynamy.

Jakiś chłopiec w tłumie podniósł rękę. Twarz miał w stanie częściowego rozkładu od zakażeń w miejscach, gdzie kawałek metalu w policzku, niegdyś będący lśniącym chromem, lecz teraz pocętkowany plamami rdzy, stykał się z pomarszczoną ściągniętą skórą. Fałdy skóry były zaognione. Jeśli chłopak nie zdobędzie maści z antybiotykiem, może od tego umrzeć. Na targu na niektórych straganach sprzedaje się czasem lekarstwa, ale nie zawsze i są drogie.

- Kiedy pozwolisz nam zajrzeć do szafki? - zapytał.

- Jak zawsze, gdy skończę, Halpern. Dobrze o tym wiesz.

Halpern rozejrzał się zmieszany i rozdrapał sobie strup na policzku.

Pressia dopiero teraz zauważyła nocną szafkę przysuniętą do ściany. Ciekawe, czy właśnie tam trzymają jedzenie?

Dostrzegła w grupie dziewczyny. Jedna miała druty w szyi. Ręka innej stopiła się na stałe z uchwytem kierownicy roweru; metal od-piłowano i sterczał z jej nadgarstka jak wystająca kość. Pressia była zaskoczona, że dziewczyny nie ukrywają tych deformacji. Pierwsza mogłaby nosić szal, a druga skarpetkę na dłoni jak Pressia. Lecz twarze obydwu miały wyraz twardy, stanowczy, niemal dumny.

- Do wiadomości tych z was, którzy po raz pierwszy uczestniczą w zebraniu - rzekł chłopak w ptakami w plecach, spoglądając na Pressię. - Jestem jednym z martwych. - To oznaczało, że został zaliczony do grona osób, które zginęły w wyniku Wybuchu. To oznaczało również, że OPR go nie poszukuje. W sumie to korzystne. - Moi rodzice byli obydwój profesorami i zmarli jeszcze przed Wybuchem. Wyznawali niebezpieczne idee. Mam strzępy książki, nad którą wspólnie pracowali. Właśnie z niej pochodzi olbrzymia większość moich informacji. Po śmierci rodziców wysłano mnie do ciotki i wuja. Mieszkałem u

nich, gdy zaczęły się eksplozje. Oni nie przeżyli. Dałem sobie radę sam, ponieważ miałem już prawie dziewięć lat. Nazywam się Bradwell, a to jest Historia Cieni.

Bradwell. Przypomniała sobie teraz, że słyszała plotki o nim. To zwolennik teorii spiskowych, gardłujący w okolicach Gruzowisk. Ponoć kwestionował wiele idei dotyczących Wybuchu i Kopuły - zwłaszcza tych wyznawanych przez czcicieli Kopuły, którzy mylnie przypisują jej atrybut boskości i uważają ją za życzliwe, choć odległe bóstwo. Mimo iż Pressia nie była czcicielką Kopuły, z miejsca znienawidziła tego osobnika, opierając się na swoich wyobrażeniach o nim. Komu są potrzebne teorie spiskowe? Wszystko skończone. Kropka. Żyjemy tutaj. Po co porywać się z motyką na słońce?

Gdy teraz zobaczyła na własne oczy, jak zaczął przemawiać, przechadzając się z rękami w kieszeniach, poczuła do niego jeszcze większą nienawiść. To zadufany paranoik. Wygłaszał swoje teorie na temat funkcjonariuszy Kopuły, twierdząc, iż ma dowód na to, że spowodowali totalne zniszczenie, aby zmieść z powierzchni ziemi wszystkich oprócz drobnej cząstki światowej populacji, podczas gdy sami byli bezpieczni w Kopule, i że zaprojektowano ją właśnie do tego celu, a nie jako prototyp miejsca chroniącego przed wybuchem epidemii wirusa, katastrofą ekologiczną czy atakiem atomowym ze strony innych państw. Jej konstruktorzy chcieli, aby w Kopule przeżyła jedynie elita, i zamierzali czekać, aż Ziemia sama się odrodzi, a wówczas powrócą na nią i zaczną od nowa.

- Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, dlaczego po Wybuchu nie nastąpiła pełna nuklearna zima? Otóż dlatego, że zaplanowano to tak, by jej uniknąć. Użyto koktajlu bomb oraz nisko i wysoko orbitujących satelitów bojowych, dysponujących systemem spotęgowanego promieniowania neutronowego i emiterami wzmocnionych impulsów elektromagnetycznych. - Następnie Bradwell omówił różnicę między bombami atomowymi i nuklearnymi, które również wykorzystano w tym koktajlu, oraz opisał impulsy

przeznaczone do zniszczenia wszelkich środków łączności. - A skąd się wzięły Pyły? Bomby uszkodziły struktury molekularne. Jednym z celów była dystrybucja nanotechnologii, mająca na celu przyśpieszenie odrodzenia się Ziemi. Owa nanotechnologia sprzyjała spontanicznemu łączeniu się molekuł, a wspomagana przez DNA - który jest nośnikiem informacji, ale także doskonale pobudza spontaniczne łączenie się komórek - spotęgowała proces naszego zrastania się z materią ożywioną i nieożywioną. Gdy ta nanotechnologia uderzyła w ludzi uwięzionych pośród gruzów lub w wypalanej ziemi, pomogła im się zregenerować. Chociaż ci nieszczęśnicy nie mogli się w pełni oswobodzić, ludzkie komórki Pyłów wzmocniły się i nauczyły się, jak przetrwać.

Wyjaśniał jeden spisek po drugim, łącząc je ze sobą tak szybko, że Pressia ledwo nadążała ze zrozumieniem całej tej przemowy, lecz nie była pewna, czy w ogóle powinna rozumieć te teorie. Ten wykład nie był przeznaczony dla nowicjuszy, tylko dla gromadki już nawróconych. Przytakiwali kiwnięciami głów, jakby słuchali bajki na dobranoc. Znali już na pamięć te słowa, tak aby mogli przekazać je innym. Pressia wyrecytowała w myśli Przesłanie: Nasi bracia i siostry, wiemy, że tu jesteście. Pewnego dnia wyjdziemy z Kopuły i przyłączymy się do Was w pokoju. A na razie przyglądamy się Wam życzliwie z oddali. A potem uczyniła znak krzyża, który jej ojciec nazywał irlandzkim. Może Kopuła nie jest dobrotliwym okiem Boga, jak sądzi tak wielu, ale Przesłanie z pewnością nie pochodzi od żadnej złej mocy. Grzechem mieszkańców Kopuły jest to, że przeżyli. Nie mogła ich za to winić, gdyż sama popełniła ten sam grzech.

Nagle uderzyła ją myśl, że skoro usłyszała o Bradwellu, to OPR też musi wiedzieć o jego istnieniu. Przeszył ją dreszcz paniki. Przebywanie tutaj jest dla niej niebezpieczne. Bradwell ma już prawie osiemnaście lat i chociaż zaliczono go do zmarłych, niewątpliwie jest dla OPR głównym celem poszukiwań. Z jego przemowy jasno wynikało kilka rzeczy. Nienawidzi Organizacji

Przenajświętszej Rewolucji, którą uważa za nieudolną, słabą, przeżartą przez chciwość i nikczemność, niezdolną do zniszczenia Kopuły ani dokonania jakichkolwiek realnych zmian. „To tylko jeszcze jeden zdeprawowany tyran” - powiedział. Pogardę Bradwella budziła zwłaszcza całkowita nieprzejrzystość tej organizacji. Nikt nie zna nazwisk najwyższych rangą funkcjonariuszy OPR. Pozwalają oni, by żoldacy wykonywali za nich brudną robotę na ulicach.

Gdyby ktokolwiek usłyszał go mówiącego takie rzeczy, zostałby zabity - prawdopodobnie publicznie rozstrzelany. Wszystkich ich uznano by za wrogów OPR i skazano na śmierć. Zapragnęła stąd wyjść - ale jak?, Drabinkę prowadzącą do klapy w suficie złożyła. Pressia musiałaby wywołać awanturę i wytłumaczyć się ze swojego zachowania. Ale co jest gorsze? A jeśli OPR urządzi nalot na to miejsce i znajdzie ją pośród tych ludzi?

Zarazem desperacko pragnęła się dowiedzieć, co jest w szafce. Ten chłopak o imieniu Halpern najwyraźniej zamierzał się do niej dostać. Muszą w niej być cenne rzeczy. I gdzie jest jedzenie? Przede wszystkim zaś chciała, żeby Bradwell przestał gadać. Mówił o kwestiach, o których nikt inny nawet nie wspominał: prądach wstępujących i zstępujących, które zwały domy, ognistych cyklonach, gadziej skórze konających, zwęglonych ciałach, oleistych czarnych deszczach, stosach, na których palono trupy, ludziach zmarłych wiele dni później - zaczynało się od krwotoków z nosa, a potem gnili od środka. Próbowwała siłą woli zmusić go, żeby się zamknął. „Proszę, przestań! Przestań! Natychmiast!”.

Przemawiając, zerkał na nią i przesunął się ku bocznej ścianie piwnicy. Zezował groźnie, usiłując sprawić wrażenie twardziela, ale gdy ogarnął go gniew - mówił teraz o ruchu politycznym zwanym Powrót do Uprzejmości, kontrolowanym przez nacjonalistyczne ugrupowanie wojskowe o nazwie Sprawiedliwa Czerwona Fala; wszystko to było częścią planu prowadzącego do Wybuchu: rządzenie w imię strachu, olbrzymie więzienia, sanatoria dla chorych, obozy dla dysydentów, których rozrzucone szczątki widać było wszędzie po

opuszczeniu ogrodzonych i strzeżonych podmiejskich dzielnic - w oczach stanęły mu łzy. Pressia domyślała się, że on nigdy nie płacze, ale ma wrażliwą osobowość. W pewnym momencie powiedział:

- Wszystko to było wstrętne. - A potem sarkastycznie szturchnął palcem dołek w policzku i dodał: - Wiecie, Bóg was kocha, ponieważ jesteście bogaci!

Czy naprawdę życie tak wtedy wyglądało? Ojciec Pressii był księgowym. Matka zabrała ją do Disneylandu. Mieszkali na przedmieściu i mieli niewielki ogródek. Dziadek narysował jej to wszystko. Jej rodzice nie byli profesorami wyznającymi niebezpieczne idee. Więc po czyjej stronie byli? Znow zrobiła krok do tyłu w kierunku drabinki.

- Musimy wspominać to, czego pamiętać nie chcemy - ciągnął Bradwell. - Musimy przekazywać nasze opowieści. Moi rodzice już nie żyli; zostali zastrzeleni w swoich łózkach. Powiedziano mi, że zabili ich jacyś rabusie, ale nawet wtedy wiedziałem, że to nieprawda.

Teraz mówił, jakby rozmawiał tylko z nią, jakby była jedyną osobą w tej sali. Wbił w nią spojrzenie, które ją zatrzymało. Miała dziwne wrażenie, jakby została przykuta do ziemi, na której nie ma ani odrobiny popiołu. Opowiadał jej swoją historię - swoje „Pamiętam”.

Po tragicznej śmierci rodziców wysłano go do ciotki i wuja mieszkających na przedmieściach. Wujowi obiecano trzy miejsca w Kopule i poinstruowano go, którędy ma tam dotrzeć, gdy zawyją syreny alarmowe - specjalnie wytyczoną trasą wijącą się pośród barykad. Miał nawet bilety. Zapłacił za nie mnóstwo pieniędzy. On i ciotka załadowali do samochodu wodę butelkowaną i gotówkę.

To się stało w sobotnie popołudnie. Bradwell zawędrował daleko od domu. W tamtym czasie odbywał liczne wycieczki. Nie pamięta wiele - jedynie jaskrawy błysk i zar przepływający przez jego ciało, jakby krew w nim zapłonęła. Cień ptaków wlatujących w niebo za jego plecami... I w gruncie rzeczy właśnie to zobaczyła Pressia dwa lata temu, kiedy zszywano go na stole.

Skrzydła trzepoczące pod jego koszulą.

Doznał ciężkich oparzeń; ciało miał całe w pęcherzach, a gdzieś tam skórkę spaloną do żywego mięsa. Ptasię dzioby wbiły się w niego jak sztylety.

Zdołał wrócić do domu wujostwa pośród tłącego się ognia, powietrza gęstego od popiołów, krzyków ludzi uwięzionych w rumowiskach. Inni ludzie snuli się pokrwawieni, ze stopioną skórą. Wuj w ostatnim czasie często pracował przy samochodzie, upewniając się, że pojazd jest w idealnym stanie, gotowy do przebycia drogi wokół barykad. Kiedy nastąpił Wybuch, leżał pod autem i stopił się z silnikiem. Ciotka została poparzona, bardzo cierpiała i martwiła się o Bradwella, o jego plecy z wbitymi ptakami. Ale poprosiła: „Nie zostawiaj nas”. Wszędzie unosił się odór śmierci, spalonych włosów i skóry. Niebo było szare, zasnuwane chmurami popiołów.

- Świeciło słońce, ale pył tak zaćmił niebo, że w środku dnia wydawało się, iż zapadł zmierzch - rzekł Bradwell.

Czy Pressia to pamiętała? Chciała pamiętać. Po tym jak zapłonęły liczne słońca, jedno na drugich, na wiele dni zapanowały ciemności.

Bradwell został z ciotką w garażu, który był rozpalony niemal do czerwoności i rozchwierutany, lecz dziwnym trafem się nie zawalił. Na podłodze walały się zwęglone skrzynki, sztuczna choinka, szufle i narzędzia. Wuj był umierający, ale usiłował wytłumaczyć żonie, jak ma go uwolnić. Mówił coś o przecinakach do sworzni i podwieszanym bloku, który można by przymocować m syreny alarmowe - specjalnie wytyczoną trasą wijącą się pośród barykad. Miał nawet bilety. Zapłacił za nie mnóstwo pieniędzy. On i ciotka załadowali do samochodu wodę butelkowaną i gotówkę.

To się stało w sobotnie popołudnie. Bradwell zawędrował daleko od domu. W tamtym czasie odbywał liczne wycieczki. Nie pamięta wiele - jedynie jaskrawy błysk i żar przepływający przez jego ciało, jakby krew w nim zapłonęła. Ciężkie ptaków wlatujących w niebo za jego plecami... I w gruncie rzeczy właśnie to zobaczyła Pressia dwa lata temu, kiedy zszywano go na stole.

Skrzydła trzepoczące pod jego koszulą.

Doznał ciężkich oparzeń; ciało miał całe w pęcherzach, a gdzieniegdzie skórę spaloną do żywego mięsa. Ptasie dzioby wbiły się w niego jak sztylety.

Zdołał wrócić do domu wujostwa pośród tłącego się ognia, powietrza gęstego od popiołów, krzyków ludzi uwięzionych w rumowiskach. Inni ludzie snuli się pokrwawieni, ze stopioną skórą. Wuj w ostatnim czasie często pracował przy samochodzie, upewniając się, że pojazd jest w idealnym stanie, gotowy do przebycia drogi wokół barykad. Kiedy nastąpił Wybuch, leżał pod autem i stopił się z silnikiem. Ciotka została poparzona, bardzo cierpiała i martwiła się o Bradwella, o jego plecy z wbitymi ptakami. Ale poprosiła: „Nie zostawiaj nas”. Wszędzie unosił się odór śmierci, spalonych włosów i skóry. Niebo było szare, zasnuwane chmurami popiołów.

- Świeciło słońce, ale pył tak zaćmił niebo, że w środku dnia wydawało się, iż zapadł zmierzch - rzekł Bradwell.

Czy Pressia to pamiętała? Chciała pamiętać. Po tym jak zapłonęły liczne słońca, jedno na drugich, na wiele dni zapanowały ciemności.

Bradwell został z ciotką w garażu, który był rozpalony niemal do czerwoności i rozchwierutany, lecz dziwnym trafem się nie zawalił. Na podłodze walały się zwęglone skrzynki, sztuczna choinka, szufle i narzędzia. Wuj był umierający, ale usiłował wytłumaczyć żonie, jak ma go uwolnić. Mówił coś o przecinakach do sworzni i podwieszanym bloku, który można by przymocować u sufitu. Ale do kogo miała się zwrócić o pomoc? Wszyscy zniknęli, nie żyli, konali albo byli uwięzieni pod gruzami. Próbowwała nakarmić męża, lecz nie chciał jeść.

Bradwell znalazł na zwęglonym trawniku martwego kota. Włożył go do pudełka i nadaremnie usiłował przywrócić zwierzę do życia. Ciotka ochrypla i brakło jej tchu; w tym czasie prawdopodobnie popadła już w lekki obłąd. Oszołomiona i słaba, opatrywała swoje oparzenia i rany, przyglądając się, jak jej mąż powoli umiera.

Bradwell zamilkł na chwilę i wbił wzrok w podłogę, po czym znów spojrzał na Pressię. Powiedział:

- A potem pewnego dnia zaczął ją błagać szeptem: „Włącz silnik. Włącz go”.

W sali panowała cisza i nikt się nie poruszał.

Bradwell mówił dalej:

- Trzymała w ręku kluczyki i krzyknęła do mnie, żebym wyszedł z garażu. A ja usłuchałem.

Pressii zakręciło się w głowie. Wsparła się ręką o cementową ścianę, żeby nie upaść. Podniosła wzrok na Bradwella. Dlaczego im o tym wszystkim opowiada? To obrzydliwe. Gra w „Pamiętam” polega na obdarowywaniu ludzi drobnymi miłymi wspomnieniami, z rodzaju tych, jakie Pressia lubiała kolekcjonować i w jakie pragnęła uwierzyć. Ale dlaczego to? Co dobrego przyjdzie komukolwiek z poznania takiej historii?

Rozejrzała się po innych zgromadzonych w sali. Nie wydawali się podzielać jej gniewu. Jeśli ich twarze w ogóle coś wyrażały, to spokój. Niektórzy mieli zamknięte oczy, jakby chcieli wyobrazić sobie tę scenę. To ostatnia rzecz, na jakiej Pressii by zależało, ale jednak widziała to wszystko - stado ptaków, martwego kota, mężczyznę uwięzionego pod samochodem.

Bradwell kontynuował:

- Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik terkotał przez kilka chwil. Kiedy nie wyszła po mnie, wszedłem do środka. Zobaczyłem krew i bladą twarz wuja. Ciotka kulila się w kącie garażu. Spakowałem do plecaka wodę w butelkach, włożyłem pieniądze do foliowej torebki i przykleiłem ją taśmą do brzucha. I wróciłem do domu rodziców, spalonego na węgiel. Znalazłem tam tę nocną szafkę, którą ukrywali przede mną w pokoju zamykanym na klucz. Powlokłem ją ze sobą z powrotem w mroczny świat i nauczyłem się, jak przetrwać.

Spojrzenie jego czarnych oczu przemknęło po zebranych.

- Każdy z nas ma do opowiedzenia tego rodzaju historię. To oni nam to

zrobili. Nie było żadnego zewnętrznego agresora. Chcieli tej apokalipsy. Chcieli końca świata. I doprowadzili do niego. Wszystko było zaplanowane - kto dostanie się do Kopyły, a kto nie. Istniała lista wybrańców. Nas na niej nie było. Zostawili nas tutaj na śmierć. Chcą nas unicestwić, wymazać przeszłość - ale nie pozwolimy im na to!

Na tym zakończył. Nie było żadnych oklasków. Bradwell tylko odwrócił się i otworzył zamek szafki.

W milczeniu ustawili się w rzędzie i kolejno podchodzili z szacunkiem i zaglądali do środka. Niektórzy sięgali i wyjmowali kartki - kolorowe i czarno-białe. Pressia nie mogła się zorientować, co to za papiery. Pragnęła zobaczyć, co jest w szafce, ale ze strachu serce waliło jej w piersi. Musi stąd wyjść. Spostrzegła, że Gorse rozmawia w kącie z kilkoma osobami. Wspaniale, że on żyje, ale nie chciała wiedzieć, co się stało z Fandrą. Musi się stąd wydostać. Przeszła na tył sali i rozstawiła chwiejną drabinkę. Zaczęła po niej wchodzić, lecz na dole pojawił się Bradwell.

- Nie przyszedłeś na zebranie, prawda?

- Oczywiście, że tak.

- Nie miałaś pojęcia, o co w nim chodzi.

- Muszę iść - rzekła. - Jest później, niż myślałam. Obiecałam wrócić i...

- Jeśli wiedziałaś o zebraniu, to co jest w szafce?

- Papiery, sam wiesz.

Ujął w palce wystrzępiony mankiet jej spodni i pociągnął lekko.

- Chodź zobaczyć.

Spojrzała w górę na klapę.

- Zamek zamyka się automatycznie, gdy zatrzaśnie się klapę, z jednej i z drugiej strony - wyjaśnił. - Tak czy owak, musisz poczekać, aż Halpern ją otworzy. On ma jedyny klucz.

Wyciągnął rękę, oferując pomoc, ale Pressia zignorowała ten gest i sama zeszła na dół.

- Nie mam wiele czasu - oświadczyła.

- To świetnie.,

Nie było już kolejki. Ludzie trzymali w rękach kartki i dyskutowali o nich w małych grupkach. Wśród nich był też Gorse. Spojrzał na nią. Skinęła mu głową, a on odpowiedział tym samym. Zdecydowała, że musi z nim porozmawiać. Stał obok szafki. Pragnęła zajrzeć do środka. Podeszła do niego.

- Witaj, Pressio - rzekł.

Bradwell stanął za nią.

- Wy się znacie? - spytał.

- Znaliśmy się - odparł Gorse.

- Zniknąłeś i wciąż żyjesz - powiedziała Pressia, nie potrafiąc ukryć zdumienia.

- Pressio - rzekł Gorse. - Nie mów o mnie nikomu. Nikomu.

- Nie powiem - przyrzekła. - A co z...?

- Nie - przerwał jej i zrozumiała, że Fandra nie żyje.

Odkąd oboje zniknęli, sądziła, że dziewczyna umarła, ale nie zdawała sobie sprawy, iż widok <i>orse'a nappełnił ją aż taką nadzieją, że Fandra może jednak przeżyć i będzie mogła znów się z nią spotkać.

- Przykro mi - powiedziała.

Potrząsnął głową i zmienił temat.

- Szafka - rzekł. - Podejdz i rzuć okiem.

Zrobiła krok w jej kierunku. Po obu stronach tłoczyli się ludzie. Pressię przebiegł dreszcz. Zajrzała do środka. Szafkę wypełniały tekturowe teczki pobrudzone popiołem. Jedna miała nalepkę MAPY, inna - REKOPIS. Teczka leżąca na wierzchu była otwarta; znajdowały się w niej strzępy magazynów ilustrowanych, gazet i paczek. Pressia nie wyciągnęła ręki. Z początku nie była w stanie i* ich dotknąć. Uklękła i uchwyciła się brzegu szafki. Były tam zdjęcia ludzi tak uradowanych tym, iż stracili na wadze, że owijali sobie brzuchy centymetrami krawieckimi; psów w okularach przeciwsłonecznych i

papierowych kapeluszach; samochodów z wielkimi czerwonymi kokardami na dachach. Uśmiechnięte trzmielce, „gwarantujemy zwrot pieniędzy”, małe puchate pudełeczka z biżuterią w środku. Zdjęcia były zniszczone i podarte. Niektóre miały wypalone dziury i osmalone brzegi. Niektóre poszarzały od popiołu. Lecz nadal były piękne.

Właśnie tak wszystko wtedy wyglądało, pomyślała Pressia. To w niczym nie przypomina rzeczy, o jakich przed chwilą opowiadał im Bradwell. Tak było. Są zdjęcia. Namacalny dowód.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jednego. Ludzie na zdjęciu siedzieli w kinie w okularach z barwnymi szklami. Patrzyli w ekran, śmiali się i jedli coś z małych kolorowych kubeków.

- Nazywano to 3-D. Patrzyło się na płaski ekran kinowy, ale kiedy włożyłeś te okulary, świat wyskakiwał z tego ekranu na ciebie, jak w prawdziwym życiu - wyjaśnił Bradwell.

Podniósł zdjęcie i podał Pressii. Ujęła je w drżące dłonie.

- Nie pamiętałam takich szczegółów. Myślę, że to cudowne. - Popatrzyła na Bradwella. - Skoro masz te zdjęcia, to dlaczego opowiadasz nam zupełnie co innego? Spójrz tylko na nie.

- Ponieważ to, co mówię, jest prawdą. Historią Cieni. A te zdjęcia kłamią. Potrząsnęła głową.

- Mów sobie, co chcesz, a ja i tak wiem, jak było. Jestem pewna, że świat wyglądał tak jak na tych zdjęciach.

Bradwell się roześmiał.

- Nie naśmiewaj się ze mnie! - rzuciła.

- Znam ludzi takich jak ty.

- Co takiego? - zawołała. - Nic o mnie nie wiesz!

- Jesteś z rodzaju tych, którzy chcą, aby wróciło wszystko to, co było dawniej, Przedtem. Ale nie możesz tak oglądać się wstecz. Pewnie nawet uwielbiasz Kopułę. Tam jest tak miło i przytulnie.

Wyglądało na to, że ją ruga.

- Nie oglądam się wstecz. To ty jesteś nauczycielem historii!

- Przyglądam się przeszłości po to, abyśmy nie popełnili ponownie tych samych błędów.

- Nigdy nie będziemy mieć takich luksusów - powiedziała. - A może właśnie to planujesz, wygłaszając te swoje lekcjki? Szukasz sposobu, żeby przeniknąć do OPR i zniszczyć Kopułę? - Cisnęła mu w pierś zdjęcie i podeszła do Halperna. - Otwórz klapę - poleciła mu.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- A co? Jest zamknięta?

Dziewczyna zmierzyła wzrokiem Bradwella.

- Uważasz, że to zabawne?

- Nie chciałem, żebyś odeszła - rzekł. - Czy to źle?

Podeszła szybko do drabinki, a Bradwell podążył za nią.

- Masz, weź to - powiedział i podał jej małą złożoną karteczkę.

- Co to jest?

- Skończyłaś już szesnaście lat?

- Jeszcze nie.

- Tam będziesz mogła mnie znaleźć. Weź ją na wszelki wypadek. Może ci się przydać.

- Co takiego? Na wypadek gdybym chciała usłyszeć jeszcze kilka wykładów? - rzuciła ironicznie. - A w ogóle to gdzie jest to jedzenie?

- Halpern! - zawołał Bradwell. - Gdzie jedzenie?

- Daj spokój - powiedziała Pressia i ściągnęła drabinkę.

Jednak gdy postawiła stopę na pierwszym szczeblu, Bradwell wyciągnął rękę i wsunął jej do kieszeni tę złożoną kartkę.

- Nie zaszkodzi, jeśli ją weźmiesz.

- Wiesz, ty też należysz do określonego rodzaju ludzi - rzekła Pressia.

- Do jakiego?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo takiego jak on. Ptaki w jego plecach wydawały się niespokojne. Ich skrzydełka drżały pod koszulą. W zamyśleniu wpatrywał się intensywnie w Pressię.

- Jesteś bystrym chłopcem - rzekła. - Możesz sam się tego domyślić.

Gdy wchodziła po drabince, odezwał się:

- Przed chwilą powiedziałaś mi coś miłego. Zdajesz sobie z tego sprawę? To był komplement. Przymiłasz się do mnie, prawda?

To tylko jeszcze bardziej ją rozgniewało.

- Mam nadzieję, że już nigdy więcej cię nie spotkam - odrzekła. - Czy to dla ciebie wystarczająco miłe?

Wspięła się już na tyle wysoko, że mogła pchnąć klapę, która otworzyła się gwałtownie i zaskrzypiała, trąc o drewno podłogi. Wszyscy w pomieszczeniu znieruchomieli i spojrzeli w górę na Pressię.

A ona z jakiegoś dziwnego powodu spodziewała się, że gdy popatrzy na pokój nad głową, ujrzy kanapę z haftowanym wzorem w kwiatki, jasne okna z firankami wyдутymi przez wiatr, rodzinę opasaną centymetrami krawieckimi, jedzącą lśniącego od tłuszczu indyka, uśmiechniętego psa w przeciwsłonecznych okularach, a na zewnątrz samochód z kokardą - i może nawet Fandrę, żywą i czeszącą grzebieniem swe piękne złociste włosy.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni tych zdjęć, które przed chwilą oglądała. Pozostaną w jej pamięci na zawsze. A także Bradwell, z potarganymi włosami, podwójną blizną i wszystkim, co mówił. Przymiłała się do niego? O to ją oskarżył? Jakie to mogło mieć znaczenie teraz, gdy usłyszała, że Wybuch zaplanowano, a ich pozostawiono na śmierć.

Nie zobaczyła żadnej kanapy, firanek, rodziny, psa ani kokardy.

Był tylko pokój z zakurzonymi siennikami i okratowanymi drzwiami.

P

PARTRIDGE TYKACZ

SILAS HASTINGS, WSPÓŁLOKATOR Partridge'a, podszedł do lusterka przymocowanego do wewnętrznej strony drzwi szafy i wklepał sobie w policzki płyn po goleniu.

- Nie rób z tego jednej z tych rzeczy, które musisz cyzelować aż do ostatniej chwili. Do diabła, to zabawa taneczna - powiedział do Partridge'a.

Hastings był schludnym chłopcem, o wiele za wysokim, o kościstych kończynach, i zawsze wyglądał na zbyt chudego. Partridge nawet go lubił. To dobry współlokator, staranny i pilny - ale miał jedną wadę: zbytnio się wszystkim przejmował. A poza tym czasami bywał upierdliwy.

Napięcia między nimi wynikały z tego, że Partridge unikał Hastingsa, twierdząc, iż musi się więcej uczyć, i uskarżając się na presję ze strony ojca. W rzeczywistości usiłował zyskać czas dla siebie - podczas gdy Hastings rzucał obręczami lub obijał się w salonie, w czym dawniej Partridge mu towarzyszył - by móc studiować fotokopie z fotografii, którą zrobiono jemu i ojcu w gabinecie i którą później ojciec przysłał mu do skrzynki pocztowej w akademii. Czasami nakręcał pozytywkę i słuchał jej. Wygrywała melodię piosenki o łabędziej żonie, którą matka niegdyś mu śpiewała, a potem nauczyła go jej podczas tamtej wycieczki na plażę. Czy to mógł być zbieg okoliczności? Partridge przeczuwał, że kryje się w tym coś więcej. Właśnie to miał nadzieję robić za kilka minut, kiedy Hastings już wyjdzie: słuchać melodii pozytywki i badać fotokopie, podczas gdy wszyscy inni chłopcy będą na tańcach.

Chwilowo grał na zwłokę. Wciąż jeszcze był owinięty ręcznikiem i miał wilgotne włosy po wzięciu prysznic. Rozłożył na łóżku swoje ubrania. Jakiś czas temu powiększył to zdjęcie siebie i ojca, by móc dostrzec detale fotokopii wiszącej za nimi na ścianie. Zlokalizował system filtracji powietrza, wentylatory wbudowane w tunele w sześciometrowych odstępach. Nocami, po wygaszeniu światel, oświetlał fotokopie słabą żaróweczką umieszczoną na końcu wiecznego pióra, które ojciec sprezentował mu na urodziny. W końcu do czegoś się przydało.

Splawiał Hastingsa także dlatego, że ojciec zrealizował swoją groźbę. Zgodnie z jego zapowiedzią Partridge przechodził wiele badań, mnóstwo badań i stał się poduszeczką do szpilek. Pojął teraz, co znaczy to określenie - był cały pokłuty. Badano jego krew, komórki, DNA. Ojciec zaplanował test tak inwazyjny, że Partridge'a trzeba będzie uspić - w jego ramię zostanie wbita kolejna igła, przymocowana taśmą i wprowadzona do sztucznej przetoki; igła połączona z przezroczystą torebką zawierającą coś, co go zamroczy.

- Przyjdę później - powiedział do Hastingsa. - Idź już.

- Przyjrzałeś się tym ludkom? - spytał Hastings. Wychylił się przez okno wychodzące na trawnik, który oddzielał akademiki dziewcząt i chłopców. - Weed laserowym piórem wysyła wiadomości jakiejś dziewczynie. Wyobrażasz sobie tego idiotę umawiającego się z jakąś idiotką za pomocą komunikatów laserowych?

Partridge zerknął na trawnik. Zobaczył małe, ostre ruchome zygzaki kreślone na trawie czerwonym świetlnym punktem. Spojrzał w górę na oświetlone okna żeńskiego akademika. Ktoś tam potrafił odczytać te znaki. To zadziwiające, jaką inwencją musieli się wykazywać chłopcy, by zyskać szansę porozmawiania z dziewczynami.

- Każdy musi mieć do czegoś dryg - rzekł.

Hastings nie miał drygu do dziewczyn, toteż nie powinien oceniać Weeda, i zdawał sobie z tego sprawę.

- Wiesz - odezwał się - boli mnie, że nie możesz nawet wyskoczyć na zabawę ze mną, twoim compadre. Zabijasz mnie po trochu.

- Co takiego? - spytał Partridge, próbując udawać głupiego.

- Może byś tak powiedział mi prawdę, co?

- Jaką prawdę?

- Splawiasz mnie, ponieważ mnie nienawidzisz. Po prostu to powiedz. Nie przejmę się tym.

Hastings słynął z tego, że przyrzekał nie przejmować się zniewagami, a

potem jednak zawsze się przejmował.

Partridge postanowił wyjawić mu część prawdy, tylko odrobinę, aby go ułagodzić.

- Posłuchaj, mam ostatnio mnóstwo kłopotów. Mój tata zamierza mnie zmusić do specjalnej sesji w formie mumii. Przez cały czas pod narkozą.

Przyjaciel lekko zbladł i dotknął oparcia swego krzesła.

- Hastings - powiedział Partridge. - Chodzi o mnie, nie o ciebie. Nie przejmuj się tym tak bardzo.

- Nie, nie. - Hastings gwałtownym ruchem odgarnął włosy z oczu, co czynił zawsze, gdy był zdenerwowany. - Po prostu... no wiesz, słyszałem plotki o takich sesjach. Niektórzy chłopcy mówią, że w ten sposób wszczepia się podsłuch.

- Wiem - odrzekł Partridge. - Mogą umieścić ci w oczach soczewki kamer, a do uszu włożyć urządzenia nagrywające i potem poprzez ciebie szpiegują wszystkich, a ty nawet o tym nie wiesz.

- To nie są zwykłe pluskwy na czipach, żeby nerwowi rodzice zawsze wiedzieli, gdzie się podziewają ich dzieci. To najnowocześniejsza technologia. Wszystko, co widzisz i słyszysz, jest monitorowane na kolorowych ekranach o wysokiej rozdzielczości.

- Ze mną tak się nie stanie, Hastings. Nikt nie zrobi szpiega z syna Ellery'ego Willuksa.

: *

- A jeśli to coś gorszego? - powiedział Hastings. - A jeśli wstawią ci tykacza?

Tykacz to rzekomo bomba, którą można wszczepić do głowy każdemu. Jest zdalnie sterowana. Jeżeli nagle staniesz się zagrożeniem, po prostu pstrykną włącznik. Partridge nie wierzył w istnienie tykaczy.

- To tylko legenda, Hastings. Nie ma niczego takiego.

- Więc co chcą ci zrobić?

- Chodzi im tylko o analizy biologiczne.

- Do tego nie muszą dawać ci narkozy. DNA, krew, siki. Czego więcej mogliby chcieć?

Partridge wiedział, czego od niego chcą. Pragną zmienić jego kodowanie zachowań, ale z jakiegoś powodu to im się nie udaje. A ma to związek z jego matką. I tak powiedział Hastingsowi więcej, niż zamierzał. Przede wszystkim nie może nikomu wyjawiać, że planuje wyjście na zewnątrz. Wiedział, jak się wydostać z Kopuły. Zebrał informacje i wykonał obliczenia. Wyjdzie przez przewody systemu filtracji powietrza. Potrzebował tylko jeszcze jednej rzeczy: noża - i dzisiejszego wieczoru zamierzał go zdobyć.

- Nie panikuj, Hastings. Poradzę sobie. Zawsze sobie radzę, prawda?

- Człowieku, chyba nie chcesz dostać tykacza, co? Na pewno nie chcesz.

- Słuchaj, już się wystroiłeś. Nie martw się o mnie. Idź i baw się dobrze. Jak sam powiedziałeś: „Do diabła, to zabawa taneczna”.

- No, już dobrze - rzekł Hastings i ruszył do drzwi, stawiając długimi nogami wielkie kroki. - Ale nie każ mi tam czekać samemu przez całą wieczność, dobra?

- Przyjdę szybciej, jeśli przestaniesz zawracać mi głowę.

Hastings zasalutował koledze i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

Partridge usiadł ciężko na materacu. Hastings to idiota, powiedział do siebie, lecz to nie pomogło. Przyjaciel wkurzył go gadką o tykaczu. Dlaczego funkcjonariusze Kopuły mieliby chcieć wykończyć własnych żołnierzy? Mógł powiedzieć Hastingsowi, żeby na siebie uważał. Jego kodowanie zachowań prawdopodobnie już nieco zmodyfikowano. Być może nawet to jeden z powodów tego, że Hastings nie chciał się spóźnić na zabawę. W Kopule ceni się punktualność.

Partridge nie potrafił sobie wyobrazić, jak by się poczuł, gdyby zaczął się zachowywać choćby trochę inaczej niż zwykle. „To po prostu jak dorastanie. Uzyskiwanie dojrzałości”. Właśnie tak rodzice myślą o kodowaniu zachowań -

przynajmniej u chłopców. Dziewczyn nie poddaje się kodowaniu; ma to związek z ich delikatnymi organami rozrodczymi - chyba że nie zakwalifikowano ich do rozmnażania. Jeśli nie będą rodzić dzieci, wówczas można rozpocząć proces spotęgowania funkcji ich mózgów.

Partridge nie chciał się zmienić. Pragnął mieć pewność, że wszystko, co robi, jest powodowane przez niego - nawet błędy. Tak czy inaczej, musi się stąd wydostać, zanim znajdą sposób pomajstrowania w jego kodowaniu zachowań - w przeciwnym razie już nigdy tego nie uczyni: sam siebie powstrzyma lub może nawet straci na zawsze chęć opuszczenia Kopuły. Ale co jest na zewnątrz?

Wiedział jedynie, że to obszar pełen nieszczęśników, z których większość okazała się zbyt głupia lub uparta, by wejść do Kopuły. Pozostali byli umysłowo chorzy, zagrożeni infekcjami wirusowymi albo przejawiali zbrodnicze instynkty - i zostali już wcześniej umieszczeni w odpowiednich zakładach opieki. Sytuacja wyglądała wtedy okropnie; społeczeństwo znajdowało się w stanie rozkładu. Obecnie większość nieszczęśników, którzy zdołali przeżyć, to potwory zdeformowane tak, że już nie przypominają ludzi, uwstecz-nione do stadium pierwotnych prymitywnych form życia. Na lekcji pokazano im zdjęcia - zastygłe fotosy pochodzące z poszarzałych od popiołu filmów dokumentalnych. Czy zdoła przetrwać tam na zewnątrz w śmiertelnościm środowisku naturalnym, pośród agresywnych nieszczęśników? A możliwe, że gdy opuści Kopułę, nikt go nie będzie szukał. Nikomu nie wolno stąd wychodzić pod żadnym pozorem - nawet na rekonesans. Czy podejmuje samobójczą misję?

Już za późno. Podjął decyzję. Teraz nie może pozwolić, by ktokolwiek odwiódł go od tego zamiaru - ani Hastings, ani on sam. Usłyszał kliknięcie systemu wentylacyjnego i spojrzął na zegarek. Wstał i po krótkiej drabince wspiął się na swoje górne posłanie piętrowego łóżka. Wyciągnął mały notes wetknięty pomiędzy materac i ramę. Otworzył go, zanotował czas, a potem zamknął i wepchnął z powrotem na miejsce.

Obecnie, gdziekolwiek się znajdował - czy leżał w swojej formie mumii,

poddawany napromienianiu, czy czekał, aż pobiorą od niego kolejną fiolkę krwi, czy był w klasie na lekcji lub w nocy w swoim pokoju w akademiku - stale śledził charakterystyczny odgłos pracy wirników wentylacyjnych: głuchy warkot rozbrzmiewający w ustalonych odstępach czasu i wprawiający w drgania całą Kopułę. Potem robił zapiski w notesie, w którym powinien prowadzić rejestr swoich szkolnych zajęć oraz sesji kodowania. Dawniej ledwie zauważał te dźwięki. Teraz, gdy już zaczął zwracać na nie uwagę, potrafił czasami przewidzieć ciche kliknięcie tuż przedtem, nim silniki ruszyły. Wiedział już, że przewody systemu filtracji powietrza prowadzą na zewnątrz Kopuły i że wirniki wyłączają się w określonych porach na trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy.

Wyjdzie na zewnątrz, ponieważ być może żyje tam jego matka. „Twoja matka zawsze sprawia kłopoty”. Tak powiedział ojciec, a odkąd Partridge ukradł jej rzeczy z Archiwum Utraconych Bliskich, wydawała mu się jeszcze bardziej realna. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że matka przebywa poza Kopułą, musi spróbować ją odnaleźć.

Ubrał się szybko w spodnie i koszulę, a potem włożył i zawiązał krawat. Włosy miał ostrzyżone tak krótko, że nie potrzebowały grzebienia. W tej chwili musi się skoncentrować na jednej osobie - na Łydzie Mertz.

ŁYDA CIASTECZKO

KIEDY ŁYDA POMAGAŁA dekorować salę jadalni serpentynami i gwiazdkami ze złotej folii przyklejanymi do sufitu, nie była jeszcze umówiona na randkę. Z kilkoma osobami, z którymi chętnie by się spotkała, ale jedynie w przypadku Partridge'a naprawdę pragnęła, aby ją zaprosił. Kiedy to uczynił przy niewielkich metalowych trybunach boiska sportowego, wykorzystując rzadką okazję, gdy nie pilnował jej któryś z nauczycieli, Łyda pomyślała: „Czyż nie byłoby miło, gdyby owiewał nas chłodny wiatr, a po niebie przetaczały się chmury, jak w prawdziwy jesienny dzień?”. Lecz oczywiście nie powiedziała tego. Odrzekła tylko: „Tak, bardzo chętnie się z tobą spotkam! To wspaniały

pomysł!”. I wsadziła ręce w kieszenie, ponieważ bała się, że Partridge mógłby spróbować wziąć ją za rękę, a w tym akurat momencie dłonie się jej spociły.

Kiedy się zgodziła, chłopak rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchał, jakby gotów był odwołać swoje słowa. Ale powiedział: „A więc dobrze. Spotkamy się w jadalni”.

I oto teraz siedzieli przy sąsiednich okrągłych stolikach. Partridge wyglądał doskonale. Ilekroć spoglądał na nią swymi szarymi oczami, w jej sercu coś wzbierało, jakby miało eksplodować. W istocie prawie na nią nie patrzył, chociaż siedzieli obok siebie.

Przez umieszczone pod sufitem głośniki nadawano muzykę - wszystkie najstarsze kawałki z zaaprobowanej listy. Obecnie rozbrzmiewała melancholijna, lecz poniekąd odrażająca piosenka o kimś, kto śledzi każdy krok i oddech innej osoby. Sprawiała, że Łyda poczuła się trochę paranoicznie, nadmiernie kontrolowana, a także zażenowana głębokością dekoltu swojej sukienki.

Współlokator Partridge'a stał oparty o przeciwległą ścianę i gawędził z jakąś dziewczyną. Podniósł wzrok i spostrzegł Partridge'a, który skinął mu głową. Hastings uśmiechnął się głupkowato i odwrócił się do swojej partnerki.

- On się nazywa Hastings, prawda? - upewniła się Łyda.

Próbowała nawiązać rozmowę na jego temat, być może po to, aby dać do zrozumienia, że ona i Partridge mogliby usiąść bliżej siebie i szeptać.

- To mały cud - rzekł Partridge. - On nie ma wrodzonego podejścia do dam.

Łyda pomyślała, że Partridge być może ma wrodzone podejście do dam, lecz z jakiegoś powodu nie używa swego czaru wobec niej.

Ponieważ była to szczególna okazja, ich pigułki odżywcze - pociski, jak nazywali je chłopcy z akademii - zastąpiono okrągłymi ciasteczkami ułożonymi na małych niebieskich talerzach na wszystkich stolikach. Łyda przyglądała się, jak Partridge, posługując się widelcem, wpycha sobie do ust mnóstwo tych

ciasteczek. Wyobraziła sobie, że chłopiec musi się czuć, jakby dusił się jedzeniem - co jest niezbyt miłym doznaniem. Sama powoli skubała swoje ciastko, rozkoszowała się nim, pragnąc przedłużyć tę przyjemność.

Spróbowała ponownie wszcząć rozmowę. Tym razem mówiła o swoich lekcjach plastyki, które należały do jej ulubionych.

- Mojego ptaka z drutu wybrano na następną wystawę prac uczniów w Sali Założycieli. Czy uczęszczasz na zajęcia plastyczne? Słyszałam, że chłopcom nie pozwala się na zajmowanie sztuką, tylko rzeczami mającymi praktyczne zastosowania, takimi jak nauka. Czy to prawda?

- Uczę się historii sztuki. Pozwala się nam zdobyć trochę kultury. Ale rzeczywiście, na co może się przydać umiejętność robienia ptaków z drutu? - rzekł szorstko.

Rozsiadł się wygodnie na krześle i skrzyżował ramiona na piersi.

- Co się stało? Czy powiedziałam coś nie tak? - spytała Łyda.

Wydawał się nią zniesmaczony, więc po co w ogóle się z nią umówił?

- To już teraz nie ma znaczenia - odrzekł, jakby rzeczywiście coś palnęła i chciał ją za to ukarać.

Wbiła widelec w swoje ciastko.

- Posłuchaj - rzekła - nie wiem, jaki masz problem, ale jeśli dzieje się coś złego, powiedz mi o tym.

- Czy właśnie tym się zajmujesz? Wyszukujesz ludzi z problemami? Łowisz nowych pacjentów dla swojej matki?

Matka Łydy pracowała w ośrodku rehabilitacji, do którego wysyłano uczniów mających problemy z adaptacją psychiczną. Niektórzy po jakimś czasie wracali stamtąd, lecz większość zniknęła na zawsze.

Łydę uraziło to oskarżenie.

- Nie wiem, dlaczego się tak zachowujesz. Myślałam, że jesteś sympatyczny.

Nie chciała zerwać się i zostawić go samego, lecz wiedziała, że teraz musi

to zrobić. Powiedziała mu, że jest niesympatyczny, więc nie miała innego wyjścia. Cisnęła serwetkę i odeszła do wazy z ponczem. Nie obejrzała się na niego.

PARTRIDGE NÓŻ

ZANIM ŁYDA ODESZŁA, Partridge czuł się winny, ale kiedy to zrobiła, poczuł ulgę. To była część jego planu. Potrzebował klucza, który miała w torebce. Zachowywał się jak drań, mając nadzieję, że dziewczyna urażona wybiegnie z sali, zostawiając torebkę. Kilka razy omal jej nie przeprosił. Takie podłe zachowanie okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. A ona była ładniejsza, niż zapamiętał - miała mały zadarty nosek, piegi i niebieskie oczy - i to go zaskoczyło. Przecież nie dlatego zaprosił ją na randkę.

Przysunął się do stolika, ukradkiem ściągnął pęk kluczy z rzemyka w torebce Łydy i wsadził je do kieszeni marynarki. Gwałtownie odsunął swoje krzesło, jakby rozgniewany ich kłótnią, i wyszedł, niby to do łazienki, a potem ruszył szybko korytarzem.

- Partridge! - zawołał Glassings, ubrany w garnitur i muszkę.

- Wystroił się pan - powiedział chłopiec, starając się zachowywać jak najzwyczajniej. Lubił Glassingsa.

- Przyprowaździłem partnerkę.

- Naprawdę?

- Tak trudno w to uwierzyć? - spytał Glassings z żartobliwą miną.

- Z tą muszką wszystko jest możliwe - rzekł Partridge.

Glassings był jedynym nauczycielem, z którym mógł w ten sposób żartować - może w ogóle jedynym dorosłym. „A gdyby to on był moim ojcem? - przemknęło mu przez głowę. - Wówczas powiedziałbym mu prawdę”. Naprawdę, chciał mu wszystko wyznać. Jutro o tej porze już go tu nie będzie.

- Będzie pan tańczył dziś wieczorem? - zapytał Glassingsa, unikając jego wzroku.

- Oczywiście. Dobrze się czujesz?

- Świetnie! - odpowiedział Partridge, nie bardzo wiedząc, czym mógł się zdradzić. - Po prostu jestem zdenerwowany. W gruncie rzeczy nie umiem tańczyć.

- W tym nie mogę ci pomóc. Mam dwie lewe nogi - oświadczył Glassings i rozmowa utknęła niezręcznie w martwym punkcie. Potem nauczyciel udał, że poprawia mu krawat i kołnierzyk. - Wiem, co się dzieje, i apróbuję to.

- Wie pan, co się dzieje? - powtórzył Partridge, starając się nadać głosowi obojętny ton.

Mężczyzna spojrzał na niego.

- Daj spokój, Partridge. Wiem, co jest grane.

Chłopiec poczuł mdłości. Czyżby to było aż tak widoczne? Kto jeszcze wie o jego planach?

- Zwędziłeś te rzeczy z metalowego pudełka matki w Archiwum Utraconych Bliskich. - Twarz Glassingsa złagodniała. Uśmiechnął się ciepło. - To całkiem naturalne. Pragniesz odzyskać jej częśćkę. Ja również wziąłem sobie coś z jednego z pudełek.

Partridge wbił wzrok w swoje buty. Rzeczy jego matki. A więc o to chodziło Glassingsowi. Zaszurał nogami i powiedział:

- Przepraszam. Nie chciałem tak postąpić. To był odruch.

- Nikomu o tym nie powiem - rzekł cicho nauczyciel. - Słuchaj, jeśli kiedykolwiek będziesz chciał pogadać, wpadnij do mnie.

Chłopiec kiwnął głową.

- Nie jesteś sam - dorzucił Glassings szeptem.

- Dzięki - odrzekł Partridge.

Wówczas nauczyciel nachylił się do niego i powiedział:

- Nie zaszkodziłoby, gdybyś skumplował się z Arvinem We-edem. On pracuje nad czymś w laboratorium i czyni wielkie postępy. Bystry chłopak, czeka go prawdziwa kariera. Nie chcę wybierać ci przyjaciół, ale to fajny gość.

- Pomyślę o tym.

Glassings klepnął go lekko w ramię i odszedł. Partridge stał jeszcze przez chwilę. Czuł się wytrącony z równowagi, choć właściwie nie miał powodu. To był fałszywy alarm. Powiedział sobie, że musi się skupić. Udał, że coś zgubił. Pomacał kieszenie marynarki - gdzie ukrył klucze - i spodni, a potem potrząsnął głową. Czy ktokolwiek w ogóle zwrócił na niego uwagę? Skręcił w pierwszy pogrążony w półmroku korytarz prowadzący do akademika. Lecz gdy znalazł się za rogiem, skręcił ponownie do drzwi Sali Założycieli. Wyciągnął pęk kluczy Łydy, wybrał największy i włożył go w zamek.

Sala Założycieli była głównym pomieszczeniem wystawienniczym. Aktualnie mieściła ekspozycję artykułów gospodarstwa domowego. Partridge wyjął pióro z żaróweczką, zaświecił ją i omiół promieniem leżące w pudełku metalowe łyżki do odmierzania objętości, niewielki biały minutnik i talerze z misternie zdobionymi brzegami. Tą wystawą zarządzała Łyda. Właśnie dlatego ją wybrał. Było to z jego strony przemyślane posunięcie mające na celu zdobycie kluczy - co brzmiało gorzej, niż w rzeczywistości się przedstawiało. Przypomniawszy sobie, że nikt nie jest doskonały. Nawet Łyda. Dlaczego się zgodziła? Prawdopodobnie dlatego, że on jest synem Ellery'ego Willuksa. Mąciło to wszystkie jego relacje interpersonalne. Dorastając w Kopule, Partridge nigdy nie mógł być pewien, czy ludzie lubią go dla niego samego, czy przez wzgląd na jego ojca.

Światło żaróweczki wydobyło z mroku rząd ostrych błysków. Gabłota z nożami. Podszedł tam szybko. Dotknął zamka i uniósł w górę pęk kluczy Łydy. Zabrzęczały w ciemnościach. Wskutek kodowania słyszał ten dźwięk zbyt wyraźnie, niczym wysokie przenikliwe dźwięczenie dzwoneczków. Wypróbował kolejno klucze, aż wreszcie jeden wsunął się w zamek. Partridge przekręcił go, a gdy rozległ się cichy szcęk, podniósł szklaną pokrywę.

I wtedy usłyszał głos Łydy:

- Co ty tu robisz?

Zerknął za siebie i ujrzał niewyraźny zarys jej sukienki.

- Nic - odpowiedział.

Dotknęła kontaktu i zapaliła elektryczne kinkiety na ścianie, skierowane tak, by rzucały przyćmiony blask. Ich światło odbiło się w jej oczach.

- Czy powinnam to wiedzieć?

- Raczej nie.

Spojrzała ponad jego ramieniem na drzwi.

- Odwróć wzrok i policzę do dwudziestu - oświadczyła.

Patrzyła chłopcu w oczy, jakby coś mu wyznawała. On też nagle zapragnął wyznać jej prawdę. W tym momencie wyglądała pięknie - wąska talia ciasno opięta sukienką, błyszczące oczy, mały czerwony łuk ust. W jednej chwili zaufał jej - tak nieoczekiwanie, że sam nie potrafił tego zrozumieć.

Skinął głową, a wtedy dziewczyna odwróciła się i zaczęła odliczać.

Dno szklanej gabloty było wyścielone miękkim aksamitnym materiałem. Nóż miał drewnianą rączkę. Partridge przesunął palcami po ostrzu - bardziej tępym, niżby sobie życzył. Będzie jednak musiało wystarczyć.

Wetknął nóż za pasek i ukrył go pod swetrem. Zamknął gablotę i podszedł do drzwi.

- Chodźmy - rzekł do Łydy.

Przyglądała mu się przez chwilę w przyćmionym świetle. Zastanowił się, czy go o coś spyta. Nie zrobiła tego. Wyciągnęła rękę i pstryknęła włącznik. W sali zapadła ciemność. Podał jej pęk kluczy i przy tym ich dłonie się musnęły. Wyszli razem i Łyda zamknęła za nimi drzwi na klucz.

- Zachowujmy się zwyczajnie, jak wszyscy, żeby nie wzbudzić podejrzeń - powiedział, gdy szli korytarzem.

Skinęła głową.

- Dobrze.

Ujął ją za rękę. Właśnie tak robią wszyscy - trzymają się za ręce.

Kiedy ponownie znaleźli się w udekorowanej sali jadalnej, poczuł się tam

obco. Jest tutaj tylko chwilowo. Nie zabawi długo. Opuszcza to miejsce. Jego życie całkowicie się zmieni.

Oboje weszli na środek parkietu tanecznego - pod przytwierdzone do sufitu sztuczne złote gwiazdy - gdzie kołysały się inne pary. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję, a on objął ją w talii, dotykając miękkiego jedwabiu sukienki. Był wyższy od Łydy, więc pochylił ku niej głowę. Włosy dziewczyny pachniały miodem, a skórę miała ciepłą, może zarumienioną. Kiedy piosenka się skończyła, chciał zejść z parkietu, ale znieruchomiał, gdy znaleźli się twarzą w twarz. Łyda wspięła się na palce i pocałowała go. Miała miękkie soczyste wargi. Partridge poczuł woń kwiatowych perfum. Odwzajemnił pocałunek i nieznacznie przesunął dłonie w górę jej talii.

A potem, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że są w sali pełnej ludzi, dziewczyna odsunęła się od niego i rozejrzała się szybko.

Glassings opychał się ciastkami z talerzyka. Panna Pearl krążyła przy wejściu.

- Już późno - rzekła Łyda.

- Jeszcze jeden taniec?

Skinęła głową.

Tym razem ujął jej rękę i przyciągnął do swojego ramienia. Przechylił głowę na bok, żeby dotykała jej głowy. Zamknął oczy, gdyż nie chciał zapamiętać tego, co widzi, lecz to, co czuje.

PRESSIA PREZENTY

RANKIEM W DZIEŃ SWYCH szesnastych urodzin Pressia obudziła się po nocy przespanej niespokojnie w szafce. W głowie rozbrzmiewał jej głos Bradwella, który pytał ją, czy ma już szesnaście lat. Teraz rzeczywiście miała. Wciąż pamiętała kształt wypukłych liter jej nazwiska na urzędowej liście, których dotknęła czubkiem palca.

Mogłaby zostać przez cały dzień w tym ciemnym wnętrzu szafki.

Mogłaby zamknąć oczy i udawać, że jest drobiną popiołu, ulatującą wysoko w niebo, i że tylko spogląda w dół na tę dziewczynę w szafce. Spróbowała to sobie wyobrazić, ale przeszkodził jej rwany kaszel dziadka, powróciła więc do swego ciała - kręgosłupa opartego o drewnianą ściankę, zgarbionych ramion, wetkniętej pod brodę pięści z głową lalki.

To jej urodziny. Nie da się tego uniknąć.

Pressia wygramoliła się z szafki. Dziadek siedział przy stole.

- Dzień dobry! - przywitał ją.

Przed nim leżały dwie paczuszki. Jedna była po prostu niewielkim wzgórkem, przykrytym kwadratowym arkusikiem papieru i zwieńczonym kwiatkiem - żółtym dzwonkiem zszarzałym od popiołu. Druga to rulonik owinięty szmatką i związany sznurkiem na kokardkę.

Pressia minęła prezenty, podeszła do klatki Freedle'a i wetknęła palce do środka. Mechaniczna cykada zatrzepotała metalowymi skrzydłami, które zahaczały o pręty klatki.

- Nie powinieneś dawać mi prezentów.

- Oczywiście, że powinienem - odrzekł dziadek.

Nie chciała urodzin ani podarków.

- Niczego nie potrzebuję - oświadczyła.

- Pressio - szepnął - powinniśmy świętować wszystko, co możemy.

- Ale nie to - odparła. - Nie te urodziny.

- Ten prezent jest ode mnie - powiedział dziadek, wskazując na stosik udekorowany kwiatem. - A ten drugi znalazłem dziś rano pod drzwiami.

- Pod drzwiami? - powtórzyła zdziwiona.

Każdy, kto zechciał, mógł się dowiedzieć o jej urodzinach. Data była wydrukowana na liście rozlepionej w całym mieście. Pressia jednak nie miała wielu przyjaciół. Kiedy osoba, która przeżyła Wybuch, zbliża się do szesnastego roku życia, znajomości się urywają. Każdy wie, że od tej pory musi radzić sobie sam. W tygodniach poprzedzających ucieczkę Gorse'a i Fandry dziewczynka

odnosiła się do Pressii chłodno i zerwała ich kontakty, zanim musiała się pożegnać. W owym czasie Pressia nie pojmowała jej zachowania, lecz teraz je rozumiała.

Dziadek odwinął rulonik i oboje zobaczyli napis na gałganku. Pressia podeszła do stołu i usiadła po przeciwnej stronie. Odczytała: Dla ciebie, Pressio. I podpis: Bradwell.

- Bradwell? - zapytał dziadek. - Znam go. Kiedyś go zszywałem. Skąd wie, kim jesteś?

- Nie wie - odparła.

Dlaczego miałby dawać mi prezent? - zastanawiała się. Uważa mnie tylko za przedstawicielkę określonego typu ludzi - tych, którzy pragną, aby wróciło wszystko, co było kiedyś, Przedtem, i którzy uwielbiają Kopułę. Co w tym złego? Czy nie tego chciałby każdy normalny człowiek? Poczula w piersi żar gniewu. Wyobraziła sobie twarz Bradwella - dwie blizny, oparzelinę, to, jak Izy stanęły w jego oczach i jak je potem zmrużył, by znów wyglądać na twardziela.

Zignorowała prezent od niego i przysunęła do siebie ten od dziadka.

- Żałuję - powiedział - że to nie jest coś pięknego. Zaslugujesz na piękne rzeczy.

- Nie szkodzi - odrzekła.

- No dalej, otwórz.

Nachyliła się nad stołem, ujęła papier i uniosła go teatralnym gestem. Uwielbiała dostawać prezenty, choć wstydziła się do tego przyznać.

Ujrzała parę butów - grubą skórę rozciągniętą nad podeszwami z wygładzonego drewna.

- Saboty - powiedział dziadek. - Wymyślili je Holendrzy, tak jak wiatraki.

- Myślałam, że wynaleźli młyny do ziarna - rzekła. - I do produkcji papieru. Czy wiatraki to młyny do mielenia wiatru?

- Miały kształt podobny do latarni morskich - powiedział i wyjaśnił jej, czym były latarnie morskie. Dorastał w pobliżu statków. - Ale na wierzchołku

zamiast świateł miały wirniki do zamieniania wiatru w energię. Dawno temu używaliśmy ich mnóstwo.

Kto chciałby mieć wiatr? - zastanawiała się. I kto nazwałby buty sabotami? Jakby miały jakiś związek z sabotowaniem.

- Przymierz je - zaproponował dziadek.

Postawiła saboty na podłodze i wsunęła stopy w wyżłobione kawałki drewna. Skóra była jeszcze sztywna, a gdy dziewczyna wstała, zauważyła, że drewniane koturny czynią ją wyższą. Nie chciała być wyższa. Pragnęła być niska i wyglądać na małą dziewczynkę. Dziadek zamienił jej stare buty na nowe, które chyba nigdy się nie zedrą. Czy uważał, że oni wkrótce po nią przyjdą? Czy sądził, że Pressia ucieknie im w tych butach? Dokąd? Na Gruzowiska? Do Stopionych Ziem albo Martwych Ziem? Co leży za nimi? Krążą plotki o przewróconych wagonach kolejowych, szynach, tunelach wykutych w skale, olbrzymich fabrykach, parkach rozrywki - nie tylko Disneya - ogrodach zoologicznych, muzeach i stadionach. Dawniej istniały mosty; jeden z nich przerzucono kiedyś nad rzeką, która ponoć płynie na zachód stąd. Czy to wszystko zniknęło?

- Kiedy skończyłaś dwa lata, na twoim przyjęciu urodzinowym był kucyk - oznajmił dziadek.

- Kucyk? - powtórzyła.

Poczłapała w tych ciężkich butach, czując się, jakby sama była podkuta. Miała na sobie wełniane spodnie, sweter i skarpetki. Wełna na jej ubranie pochodziła z owiec hodowanych poza miastem, w rejonie, gdzie rosną małe spłachetki ostrej trawy i kępy drzew, graniczącym z terenem OPR. Ludzie polują tam na nowe gatunki zwierząt - skrzydlate i pokryte futrem stworzenia, które wykopują pazurami bulwy i korzonki, a także pozerają się nawzajem. Niektóre z tych owiec właściwie ledwie przypominają owce. Jednak nawet te zdeformowane, o ostrych poskręcanych rogach, nienadające się do jedzenia, mają dobrą wełnę. Są tacy, którzy z nich żyją.

- Dlaczego kucyk? Gdzie można trzymać kuczka? - spytała.

- Chodził dookoła po podwórku i dzieci na nim jeździły - wyjaśnił dziadek.

Pierwszy raz usłyszała o kuczku, chociaż dziadek opowiadał jej o urodzinowych przyjęciach - tortach lodowych, piętach, wodnych balonach. Skąd się to wszystko brało?

- Moi rodzice wynajęli kuczka, żeby chodził dookoła i woził dzieci?

Prawie nie pamiętała rodziców. Najmniejsza wzmianka o nich budziła w niej nienasyconą tęsknotę.

Dziadek przytaknął. Wyglądał teraz na znużonego i bardzo starego.

- Czasami cieszę się, że nie musieli oglądać tego, co stało się ze światem.

Pressia nic nie odpowiedziała, lecz jego słowa głęboko ją dotknęły. Chciała, żeby rodzice byli tu z nią. Starła się zachować w pamięci pewne zdarzenia ze swego obecnego życia, tak na wszelki wypadek, żeby móc je kiedyś im opowiedzieć - chociaż wiedziała, że obydwójce nie żyją. Nawet teraz pomyślała, że opowie im o dzisiejszym dniu, sabotach i rozmowie o wiatrakach. A jeśli kiedykolwiek znów ich spotka - choć to niemożliwe - zada im mnóstwo pytań, a oni na wszystkie odpowiedzą. Zapyta ich też o kuczka. Pragnęła, aby ją widzieli i czuwali nad nią - tak jak w niektórych religiach wierzy się w niebo i nieśmiertelne dusze. Niekiedy niemal czuła, że któreś z nich ją obserwuje - nie była pewna: matka czy ojciec? Nikomu by się do tego nie przyznała, ale przynosiło jej to pociechę.

- A ten drugi prezent od Bradwella? - zapytał dziadek tonem na poły kpiącym, a na poły podejrzliwym, jakiego nigdy dotąd u niego nie słyszała.

- To prawdopodobnie coś głupiego albo złośliwego. On potrafi być złośliwy.

- Nie otworzysz?

Właściwie nie chciała, ale wtedy myśl o tym prezencie jeszcze bardziej by ją dręczyła. Pragnąc mieć to już z głowy, rozwiązała kokardkę i sznurek zsunął

się na blat stołu. Zniosła go do klatki Fre-edle'a. Freedle lubi się bawić małymi przedmiotami - a przynajmniej lubił, kiedy był młodszy.

- Masz - powiedziała.

Freedle utkwiał wzrok w sznurku i machnął skrzydłami.

Pressia wróciła do stołu, usiadła i rozwinęła gałganek.

W środku było zdjęcie wycięte z czasopisma - to, które znalazła w nocnej szafce i które tak ją oczarowało: ludzie siedzący w kinie w okularach z kolorowymi szklami i jedzący coś z małych barwnych kartonowych kubelków; to, które z niewytłumaczalnego powodu przyprawiło ją o drżenie rąk; to, na które patrzyła, gdy Bradwell powiedział jej, że zna ludzi jej pokroju. Serce podskoczyło Pressii w piersi. Na moment zabrakło jej tchu. Czy to jakiś okrutny żart? Czy on się z niej nabijał?

Musiała się opanować. To tylko kawałek papieru, powiedziała sobie.

Ale to nie był zwykły papier. Istniał już wtedy, gdy miała jeszcze matkę i ojca i jeździła dookoła na kucyku po swoim podwórzu. Dotknęła policzka jednego z tych ludzi na zdjęciu śmiejących się w kinie. Bradwell jednak miał rację. Ona należy do ludzi tego rodzaju. Czy właśnie dlatego dał jej ten prezent? Cóż, dobrze. Chciała czegoś, co nigdy się nie spełni: aby Przedtem wróciło. Dlaczego miałyby nie zazdrościć ludziom w Kopule? Dlaczego miałyby nie pragnąć znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj? Bardzo chciałyby siedzieć w kinie w okularach 3-D z piękną matką i ojcem księgowym i jeść z kolorowych wiader. Chciałyby mieć psa w papierowym kapeluszu, samochód z kokardą i centymetr krawiecki. Czy to takie złe?

- Kina - rzekł dziadek. - Spójrz na te trójwymiarowe okulary. Pamiętam, że oglądałem takie filmy, kiedy byłem młody.

- To zdjęcie wygląda tak prawdziwie - powiedziała Pressia. - Czyż nie byłoby miło, gdyby...

Dziadek jej przerwał:

- To świat, w którym żyliśmy.,

- Wiem - odrzekła i popatrzyła na zardzewiałego Freedle'a w klatce.

Wstała i odeszła od zdjęcia na stole. Spojrzała na rząd małych zwierzątek na parapecie. Po raz pierwszy uderzyło ją, że wyglądają tak dziecinnie. Ma już szesnaście lat. Czego się spodziewa po tych zabawkach? Potem popatrzyła na fotografię z czasopisma - okulary 3-D, aksamitne fotele. W porównaniu z tym lśniącym światem jej małe motyle wydawały się niepozorne i nijakie; żalosne nędzne namiastki zabawek. Podniosła jednego z ostatnio zrobionych. Nakręciła go, a on z głośnym terkotem nieporadnie zatrzepotał skrzydłami. Odłożyła motyla na parapet, a potem uniosła swą jedyną zdrową dłoń i przycisnęła ją lekko do pękniętej szyby okna.

PARTRIDGE 3 MINUTY I 42 SEKUNDY

PO WYCIECZCE EDUKACYJNEJ do Archiwum Utraconych Bliskich Partridge przez pewien czas nie wiedział, w jaki sposób dostanie się do przewodów wentylacyjnych. Potem jednak uświadomił sobie, że jedno z miejsc dostępu znajduje się w centrum kodowania, do którego wszyscy chłopcy z akademii z jego roku udawali się na cotygodniowe sesje, odbywane w formach mumii.

Wtedy opracował plan działania.

Na dźwięk porannego dzwonka ustawił się w szeregu z plecakiem na ramionach. Miał w nim rzeczy matki oraz pojemnik pigulek soyteksu, kilka butelek wody i nóż ukradziony z wystawy artykułów gospodarstwa domowego. Ubrał się w kurtkę z kapturem i szalik, chociaż było dość ciepło.

Chłopców jak zwykle zawieziono wahadłową kolejką. Partridge trzymał się z dala od Paki. W gruncie rzeczy nigdy nie miał w akademii wielu przyjaciół. Hastings stanowił wyjątek od tej reguły. Gdy Partridge wstąpił do akademii, był aż nazbyt sławny - z powodu ojca i starszego brata. Ale potem Sedge popełnił samobójstwo i sława Partridge'a przybrała całkiem odmienny charakter. Koledzy przestali z nim rozmawiać i odnosili się do niego z

wyniosłym współczuciem.

Teraz poczłapał obok Paki i usiadł między Hastingsem, który zazwyczaj przez całą drogę spał, a Arvinem Weedem, ponieważ ten zawsze studiował w swoim kieszonkowym komputerze wielkie pliki prac naukowych z dziedzin, których nauczyciel przedmiotów ścisłych nie przerobił z nimi i prawdopodobnie nigdy nie przerobi: nanotechnologii, biomedycyny, neurobiologii. Jeśli wciągnęło się go w rozmowę, mamrotał o samogenerujących się komórkach, plastyczności synaps i blaszkach starczych w mózgu. Ponieważ Arvin spędzał większość czasu w szkolnym laboratorium fizycznym - „pracuje nad czymś i czyni wielkie postępy”, jak ujął to Glassings, „fajny gość, czeka go prawdziwa kariera” - był prawie niewidzialny, nawet kiedy miało się go tuż przed oczami. Podczas gdy Arvin klikał w pliki, Hastings zwinął marynarkę, robiąc z niej prowizoryczną poduszkę.

Jednak obecność Partridge'a nie uszła uwagi kolegów. Vic Wellingsly, jeden z Paki, krzyknął przez całą długość wagonu:

- Hej, Partridge, podobno dadzą ci dziś narkozę! Dostaniesz tykacza czy co?

Partridge spojrzał na Hastingsa. Hastings wybałuszył oczy, odwrócił wzrok i rzucił Wellingsly'owi wściekłe spojrzenie.

- Co? - rzekł Wellingsly. - Miałem nic nie mówić? Przecież wszyscy o tym wiedzą.

- Przepraszam - mruknął Hastings do Partridge'a, nerwowo odgarniając włosy z oczu.

Pragnął zostać członkiem Paki, więc nic dziwnego, że przehandlował tę informację w zamian za odrobinę uznania. Niemniej jednak jego postępek wkurzył Partridge'a.

- A więc? - odezwał się znów Wellingsly. - Tyk, tyk, tyk?

Partridge potrząsnął głową.

- Tylko zwykła sesja. Nic wielkiego.

- Wyobraźcie sobie Partridge'a z tykaczem - powiedział jeden z bliźniaków Elmsford. - Nacisną guzik tylko po to, żeby skrócić jego męki. Zabójstwo z litości, jak eutanazja.

Cała Paka wybuchnęła śmiechem.

Arvin podniósł wzrok znad lektury i przez moment wyglądało, jakby zamierzał stanąć w obronie Partridge'a. Zaraz jednak zgarbił się i znów zaczął czytać. Hastings zamknął oczy i udawał, że śpi.

Drugi bliźniak Elmsford zawołał:

- Jego głowa rozprysnie się jak melon!

- Na sukienkę Łydy Mertz - dorzucił Vic. - Bardzo mi przykro, Łydo. Widocznie ten Partridge się podniecił.

- Nie mieszajcie do tego Łydy! - powiedział Partridge tonem bardziej gniewnym, niż zamierzał.

- Bo co? - odparował Vic. - Wiesz, że z przyjemnością skopię ci tyłek.

- Naprawdę? - rzekł Partridge i wszyscy zrozumieli, co miał na myśli.

„Chcesz pobić syna Ellery'ego Willuksa? Czy to byłoby rozsądne?”. Był wściekły, że to powiedział. Po prostu mu się wyrwało. Nienawidził bycia synem Ellery'ego Willuksa. Chroniło go to, ale zarazem czyniło obiektem zaczepek.

Vic nie odpowiedział. W wagonie zapadła cisza. Partridge zastanawiał się, czy będą wspominać ten incydent, gdy już opuści Kopułę albo zginie - zależnie od rozwoju wypadków. Musi się przedostać przez olbrzymie łopaty wentylatorów, które mogą go posiekać na plasterki jak melona. Co wtedy o nim pomyślą? Ze zginął jak tchórz, próbując uciec? Ze był psychicznie upośledzony, jak Sedge?

Wyjrzał przez okno wagonu, za którym szybko przemykał krajobraz - boiska, kamienne mury akademii, wysokie domy, kompleksy handlowe, biurowce, a w oddali pracujące na polach automatyczne kombajny. Potem wjechali w ciemny tunel. Wyobraził sobie obłąkanych nieszczęśników rzucających się na niego z pazurami, zatrutą ziemię i wodę, ruiny. Nie umrze

tam, prawda? To ryzyko, które musi świadomie podjąć. Nie mógł pozostać tutaj, wiedząc, że matka być może żyje gdzieś tam na zewnątrz, a jego odmienią tak gruntownie, iż nigdy nawet sobie tego nie uświadomi.

W

W wagonie zrobiło się ciemno choć oko wykol i dopiero po chwili automatycznie zapłonęły lampy. Zawieziono ich prosto do centrum kodowania. Zgrzytnęły hamulce i chłopcami trochę rzuciło, lecz zaraz odzyskali równowagę i wstali z ławek.

W milczeniu przeszli korytarzami. Niektórzy pożegnali się zgaszonym tonem.

Zanim Hastings się oddalił, Partridge chwycił go za ramię i rzekł z wyrzutem:

- Słuchaj, nie możesz tak postępować.

- Przepraszam - odparł Hastings. - Nie powinienem był mu o tym mówić.

To plotkarz.

- Nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. Pewnego dnia będziesz musiał stawić im czoło.

- Może - mruknął Hastings.

- Na pewno. I wiem, że sobie poradzisz - powiedział Partridge.

Miał wyrzuty sumienia, że zostawia Hastingsa. Wiedział, że przyjaciel bez niego będzie się czuł nieco zagubiony. Nie chciał, żeby Hastings przypadkiem dołączył do Paki, gdyż będą tam nim pomiatać i wyśmiewać się z niego.

- Być może nie przyjdę dziś wieczorem na kolację. Będę się uczył - oznajmił. - Idź z Arvinem Weedem i usiądź przy jego stoliku.

- Dyktujesz mi, z kim mam się kumplować?

- Po prostu to zrób, dobrze? I pamiętaj, że ci to powiedziałem.

- Dziwacznie się zachowujesz.

- Wcale nie.

Podeszło do nich dwóch strażników i poprowadzili ich w przeciwnych kierunkach.

- Do zobaczenia, dziwaku - rzekł Hastings.

- Cześć - rzucił Partridge.

Zaprowadzono go do małego białego pokoiku bez okien. Forma mumii leżała na stole lekarskim. Był to idealnie gładki odlew z tylną częścią odchylaną na zawiasach, tak aby Partridge mógł się wcisnąć do środka. W górze i z boku znajdowała się aparatura: mechaniczne manipulatory, szczypce, rurki próżniowe - wszystko lśniące chromem i świeżo wypolerowane. W kącie biurko z komputerem i fotel na kółkach. Na blacie biurka stał wazon ze sztucznym kwiatem. Partridge zastanawiał się, czy ten kwiat ma przypominać o domu, czy o przyrodzie. Zwykle w Kopule nie bawiono się w takie sentymenty.,

Nagle ogarnęły go wątpliwości. Nie musi wcielać w życie swego planu. Nikt się nie dowie, że zrezygnował. Będzie mógł zjeść kolację z Hastingsem i poprosić Łydę, żeby pomogła mu zwrócić nóż. Przypomniał sobie, jak przesunął dłońmi w górę jej wąskiej talii opiętej jedwabną sukienką, gdy się całowali. Zaprzagnął znów poczuć miodową woń jej włosów.

Ktoś prawdopodobnie już zauważył zniknięcie noża - któryś z nauczycieli albo woźny. Być może Łydę przesłuchują teraz w gabinecie dyrektora szkoły. Jeśli go złapią, ojciec wpadnie w furję. A jego mogą usunąć z akademii i wysłać do ośrodka rehabilitacji, gdzie zajmie się nim ktoś taki jak pani Mertz, matka Łydy. A Łyda? Ona też może mieć kłopoty, jeśli go złapią. Będzie musiała im powiedzieć, w jaki sposób dostał się na wystawę artykułów gospodarstwa domowego i ukraść nóż.

Mógłby się zwierzyć Glassingsowi. Ale jak nauczyciel by zareagował? Zaprowadziłby go między regały biblioteki i porozmawialiby cicho, być może pisząc niektóre zdania cienkimi ołówkami na małych kwadratowych karteczkach do notatek. Glassings spociłby się, jak mu się to czasem zdarza; wyciera wtedy kroplisty pot z czoła pod cofającą się linią włosów. Niewątpliwie

poradziłby mu, żeby się przyczał i nic nikomu nie mówił.

Forma mumii czekała na Partridge'a - idealny odlew jego ciała. Zaskoczyło go, jak jest wysoki. Jeszcze kilka lat temu był najniższy w klasie i pękaty. Ale teraz odlew wydawał mu się tak długi i wąski, jakby należał do kogoś innego, starszego, kogoś takiego jak Sedge. Gdyby Sedge nadal żył, czy Partridge byłby od niego wyższy? Nigdy się tego nie dowie.

Chciał zrezygnować, lecz było już za późno.

Miał tylko kilka minut, zanim zjawi się technik. Kanałami wentylacyjnymi płynęło chłodne powietrze. Odsunął od biurka z komputerem fotel na kółkach i ustawił go pod wylotem kanału. Stanął na fotelu, licząc, że zdoła zachować równowagę. Odkręcił śruby kraty wentylacyjnej i pchnął ją. Szybko uchwycił się metalowej ramy, a potem odkopnął fotel z powrotem w kierunku biurka i wciągnął się na górę do ciemnego wylotu kanału. Na czworakach umieścił kratę z powrotem. Na dłuższą metę nikogo nie zwiedzie, ale może zyska w ten sposób przynajmniej kilka minut.

W kanale było ciemniej, niż się spodziewał. I głośniej. System wentylacyjny był włączony i ściany wibrowały szaleńczo. Partridge zaczął się czołgać najszybciej, jak potrafił, chcąc dotrzeć do pierwszego zestawu filtrów, zanim urządzenia przestaną pracować. Od tej chwili będzie miał trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy na przedostanie się przez pierwszy filtr i rząd olbrzymich wentylatorów, a potem jeszcze przez drugą zaporę filtrów. Wtedy będzie musiał wyciąć sobie w siatce ochronnej drogę wyjścia do zewnętrznego świata - to znaczy, o ile zdąży w porę i nie poszatkują go łopaty wirników.

Mając w pamięci plany z fotokopii, wypełził z bocznej odnogi do olbrzymiego głównego kanału filtracyjnego. Gdy wstał wyprostowany, głową ledwie muskał sufit tunelu. Metalowe ściany były idealnie owalne i przyszło mu na myśl słowo „kocioł”. Nie był jednak pewien, co ono oznacza, z wyjątkiem tego, iż kojarzyło mu się z kotem.

Tuż przed nim drogę zagrażał pierwszy zestaw filtrów, napiętych mocno

i przypominających grubą kotarę. Zaskoczył go ich kolor, różowy jak język, oraz to, że wszystko tutaj było jaskrawo oświetlone. Zastanawiał się po co. Dla wygody ekip konserwujących system wentylacyjny?

Wyciągnął nóż kuchenny i przesunął palcami po ostrzu. Pomyślał o Łydzie, liczącej powoli do dwudziestu w mrocznej sali wystawowej. Zaczął przepiłowywać filtry. Włókna były twarde, z przebiegającymi przez nie grubymi pasmami, przypominającymi ścięgna w mięsie. Siatka filtrów zwiotczała, a jej drobiny wirowały w powietrzu. Ten widok nasunął Partridge'owi inne mgliste wspomnienie z dzieciństwa, którego jednak nie potrafił sprecyzować. Coś jakby śnieg?

Słyszał kiedyś, że takie drobniutkie włókienka są ostre, mogą dostać się do płuc i wywołać zakażenie. Nie wiedział, czy to prawda. Przestał już wierzyć we wszystko, co przedstawiano w Kopule jako niezbite fakty. Jednak nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Wyjął szalik i obwiązał sobie twarz, zakrywając usta.

Wyciął w filtrach już wystarczająco duży otwór, więc przecisnął się przezeń, obsypując sobie kurtkę z kapturem różowym pyłem. Przed sobą ujrział szereg gigantycznych wentylatorów. Ich ostre łopaty były nieruchome. Podbiegł do pierwszego wirnika i dał nura w wąską trójkątną szczelinę między łopatami, nie dotykając ich. Poślizgnął się na wypolerowanej podłodze i upadł na biodro z głośnym hukiem, który rozbrzmiał echem w tunelu. Ten brak koordynacji ruchowej był skutkiem kodowania. Wstał szybko i zaczął się przedostawać przez kolejne wentylatory, odnajdując właściwy rytm. Czy technik już się zorientował, że forma mumii Partridge'a jest pusta? Czy już zaalarmowano Oddział Specjalny? Wiedział, że gdy rozejdzie się wieść o zaginięciu jedyne żyjącego syna Ellery'ego Willuksa, natychmiast rozpoczną się intensywne poszukiwania.

Przebiegał teraz jeszcze szybciej od jednego wirnika do następnego, jakby pokonywał tor przeszkód. Przypomniawszy sobie podwórko - może swoje podwórko z dzieciństwa, a może jakieś inne. Był tam trawnik ze źdźbłami, które można

było wrywać z ziemi, i drzewa z chropowatą korą - a nawet pies. Jego starszy brat i wysoka dziewczyna wytyczyli trasę ze sznurkami, przez które trzeba było przeskakiwać, i z piłką, którą na końcu wrzucało się do kosza. W skrzynkach stały napoje z cienkimi słomkami wygiętymi z jednej strony, by łatwiej się przez nie piło.

Nagle chłopakowi zakręciło się w głowie. Zachwiał się i przytrzymał łopaty wirnika. Jej ostra krawędź rozcięła mu dłoń i krew skapnęła na podłogę. Tylko kilka razy w życiu krwawił - na przykład u dentysty, gdy maszynę do borowania ustawiono na zbyt szybkie obroty i wypluł różową pianistą ślinę. Teraz w oczach mu się zaćmiło i przez moment widział tylko biały świetlny punkt, ale po chwili odzyskał wzrok.

Zerknął na zegarek. Pozostały mu trzydzieści dwie sekundy, a miał do pokonania jeszcze jedenaście wirników. Przeszyła go myśl, że może mu się nie udać. Może zginąć posiekany na plasterki, a ponieważ poprzecinał filtry, silny strumień powietrza wdmuchnie do środka krew i kawałki ciała wraz z małymi włóknkami siatki. Jego krew obryzga na czerwono ludzi w Kopule. Operatorzy będą musieli wyłączyć system wentylacyjny, a kilka osób trzeba będzie przenieść do tymczasowych pomieszczeń mieszkalnych. Zaczną krążyć rozmaite plotki. Prawda zostanie jednak starannie zatajona. Nie wspomni się ani słowem o kłopotach z filtracją powietrza, aby zapobiec domysłom, iż to nieszczęśnicy się zbuntowali i przypuścili atak bakteriologiczny. Mieszkańcy Kopuły mogliby nawet dojść do wniosku, że OPR, ten nieudolny reżim wojskowy, rozpętał wojnę. Wybuchłaby olbrzymia panika. Funkcjonariusze Kopuły przedstawią zatem inne wyjaśnienie, a jeśli chodzi o zniknięcie Partridge'a, zmyślą jakąś historyjkę, oby taką, która nie przyniesie mu ujmy. Ellery Willux, jego ojciec, otrzyma listy kondolencyjne. Nie będzie prawdziwego pogrzebu, podobnie jak wcześniej w przypadku jego brata. Nikt nie chce oglądać martwego ciała, nie ma tu miejsca na żadne piękne barbarzyństwo. Biedny stary Willux zostanie całkiem sam, bez żony i obydwu

synów, i będzie miał trzy pudełka w Archiwum Utraconych Bliskich.

Partridge chwiejnie pobiegł naprzód, ślizgając się na gładkiej podłodze, i rzucił się przez następną szczelinę między łopatami. Usłyszał odległe tykanie. Silnik. Skoczył przez przedostatni wirnik i puścił się sprintem. Na końcu tunelu ujrzał drugi zestaw różowych filtrów. Pragnął wydostać się na zewnątrz. Pragnął znów poczuć to wszystko - wiatr i słońce. Pragnął odnaleźć swoją dawną ulicę i dom. Wiedział, że już ich nie ma, że zniknęły, zmiecione z powierzchni ziemi, ale i tak chciał zobaczyć to miejsce. Jego organizm stawiał opór kodowaniu zachowań. Dlaczego? Jaki to ma związek z matką? Znalazł w pudełku jej rzeczy i wszystko się zmieniło. Miał je wszystkie - wisiołek w kształcie łabędzia na złotym łańcuszku, kartkę urodzinową, metalową pozytywkę - schowane w plastikowej torebce, którą przykleił do pleców. Czuł je przy sobie.

Skrajny wirnik szczęknął; łopaty drgnęły i poruszyły się o centymetr. Partridge w ostatniej chwili zanurkował pomiędzy nimi. Za jego plecami wentylator ryknął i zaczął wciągać powietrze do wnętrza Kopuły, niczym w głębokim niekończącym się wdechu. Potężny prąd powietrza powłókł chłopca wstecz. Partridge'owi przemknęło przez głowę, że tak samo działa jego pamięć ciągnąca go w przeszłość. Upadł na podłogę, ale zaparł się obcasami i zaczął powoli, mozolnie odczołgiwać się od wirujących łopat. Włączyła się jego zakodowana siła i poczuł przyływ energii. W końcu dotarł do filtrów. Wyciągnął rękę, przeciął je kuchennym nożem i z wysiłkiem popelznął naprzód, pokonując pęd wichru. Kilka różowych włókien oderwało się i pofrunęło obok niego ku wentylatorom, a jemu przyszło na myśl słowo „konfetti”.

PRESSIA PUKANIE

PRESSIA DO PÓŻNA W NOCY pracowała nad swoim małymi zwierzątkami. Dziadek spał w fotelu przy tylnych drzwiach, z cegłą na udzie. Odkąd zajął się handlem wymiennym, Pressia musiała robić więcej zwierzątek w zamian za mniejszy zysk. Czasami dziadek był zbyt słaby, by w ogóle pójść

na targ, i obydwójce czuli się bezużyteczni, czego nie cierpieli. Obecnie upływ czasu był wyznaczany przez głód. Podczas tych późnych nocnych godzin Pressia zaczynała sobie uświadamiać, że może powoli umrzeć w tej ciasnej klitce, marniejąc i stopniowo tracąc siły w pokrytej popiołem szafce. Popatrzyła na dziadka, na jego odrutowany kikut nogi, zamknięte powieki, płaty oparzelin, mozolnie wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową; wsłuchiwała się w cichy świst w jego zapchanych popiołem płucach i terkot wiatraczka w gardle. Nawet we śnie miał napiętą twarz.

Na stole przed nią leżał prezent od Bradwella - zdjęcie z ilustrowanego czasopisma. Czasami ogarniała ją nienawiść do tych ludzi w ich okularach 3-D - wstrętnego przypomnienia tego, czego nigdy nie będzie miała - lecz nie potrafiła odłożyć tej fotografii.

Od kiedy dostała ten prezent, nachodziło ją jeszcze więcej wspomnień w przelotnych błyskach: małe akwarium z rybkami śmigającymi tam i z powrotem; dotyk miękkiego frędzla z wełnianej przędzy przy notesiku matki; rura kaloryfera pod stołem, która chyba cicho terkotała. Pamiętała, jak ojciec nosił ją na barana pod kwitnącymi drzewami, jak usnęła przykryta jego płaszczem i przeniesiono ją z samochodu do jej łóżeczka. Pamiętała, jak czesała matkę drucianą szczotką do włosów, a z głośnika podręcznego komputera dobiegała piosenka - kobieta śpiewała kołysankę odziewczyni na werandzie, którą ktoś błagał, żeby wzięła go za rękę i pojechała z nim do Ziemi Obiecanej. Tylko kobiecy głos, bez żadnych instrumentów. To musiała być ulubiona kołysanka matki, gdyż puszczała ją co noc przed zaśnięciem Pressii. W owym czasie dziewczynkę nudziła ta piosenka, ale teraz dałaby wszystko, by móc znów ją usłyszeć. Matka pachniała mydłem ziołowym, świeżo isłodko. Zapach ojca był mocniejszy - coś jakby kawa. Fotografia ludzi w kinie z jakiegoś powodu pobudziła jej wspomnienia i Pressię ogarniała taka dojmująca tęsknota za rodzicami, że czasami brakło jej tchu. Mimo iż w ogóle ich nie pamiętała, doznawała wrażenia bliskości matki - jej miękkiego ciepłego ciała, jedwabistych

włosów, słodkiej woni - i przypominała sobie, że kiedy ojciec otulał ją swoim płaszczem, czuła się bezpieczna jak w kokonie.

Właśnie o tym rozmyślała, przytwierdzając skrzydła do szkieletu motyla, gdy zapukano do drzwi - pojedyncze ostre stuknięcie kostkami palców. Nie słyszała wcześniej warkotu silnika ciężarówki OPR. Kto to mógł być?

Dziadek spał, chrapiąc głośno. Pressia wstała i na palcach podeszła do stołu, co w sabotach wcale nie było łatwe. Czy ci Holendrzy, którzy je wynaleźli, nigdy nie mieli powodów, by się cicho skradać? Potrząsnęła dziadka za ramię.

- Ktoś puka - szepnęła.

Zbudził się przestraszony w momencie, gdy w ich małym pokoiku znów rozległo się stukanie.

- Wejdz do szafki - polecił jej.

Ustalili, że gdy ktoś zjawi się pod ich drzwiami, Pressia ukryje się w szafce, a jeśli dziadek wystuka laską rytm zwrotu „golenie i strzyżenie na raz”, powinna uciec przez fałszywy panel. Przypuszczała, że te słowa mają jakiś związek z zakładami fryzjerskimi i być może dlatego dziadek wybrał je na sygnał.

Podeszła szybko do szafki i wgramoliła się do środka. Zamknęła drzwiczki, lecz zostawiła wąską szczelinę, by móc się przyglądać.

Dziadek ostrożnie pokuśtykał do drewnianych drzwi i zerknął przez małą dziurkę, którą w nich wywiercił.

- Kto tam? - spytał.

Odpowiedział mu kobiecy głos.

Pressia nie rozróżniła słów, ale widocznie uspokoiły dziadka. Otworzył drzwi i kobieta weszła szybko, zdyszana, a on zatrasnął je za nią.

Pressia widziała ją w przelotnych mignięciach - rdzę na wtopionych w jej policzek kółkach zębatych, błysk metalowej opaski na oku. Kobieta była chuda, niska, o wąskich ramionach. Przyciskała do łokcia zakrwawioną szmatkę.

- Szał Śmierci! - rzekła wzburzona do dziadka Pressii. - Niezapowiedziany! Poprzedni był niecały miesiąc temu! Teraz ledwo zdołałam uciec!

Szał Śmierci? To dziwne. OPR zwykle ogłaszała go wcześniej. Pozwalano wtedy żołnierzom na dwadzieścia cztery godziny sformować bandy, które mordowały ludzi i znosiły ich ciała do kręgu wyznaczonego na nieprzyjacielskim polu. Trupy przeliczano na punkty i grupa, która zgromadziła ich najwięcej, wygrywała. OPR traktowała to jako metodę eliminowania z populacji słabych osobników. Szały Śmierci organizowano mniej więcej dwa razy w roku, ale jeden już się odbył. To właśnie wtedy dziadek rozebrał szafki i zrobił z nich fałszywy panel, gdyż tupiąca głośno i wyjąca dzicz zagłuszała odgłosy jego pracy. Nigdy dotąd nie było dwóch Szałów Śmierci tak krótko jeden po drugim i żadnego niezapowiedzianego. Dlatego Pressia przypuszczała, że ta kobieta zwariowała lub może wpadła w szok.

- Jest pani pewna co do tego Szału Śmierci? - zapytał dziadek. - Nie słyszałem żadnych śpiewów.

- A skąd miałabym tę ranę? To się zaczęło w pobliżu Gruzowisk i kieruje się na zachód, wciąż przybierając na sile. Uciekłam tutaj zamiast do swojego domu.

Kobieta zjawiała się, żeby zszyć jej ranę, ale dziadek już od dawna tego nie robił. Będzie musiał odszukać swoje narzędzia w głębi szafki i odkurzyć je.

Powiedziała:

- Boże, co za dzień! Najpierw wszystkie te plotki, a teraz jeszcze Szał Śmierci!

Usiadła przy stole i popatrzyła na zwierzątko Pressii. Zauważyła zdjęcie i lekko dotknęła go palcem. Pressia zastanawiała się, czy o nie zapyta. Pożałowała, że nie zdjęła fotografii ze stołu, zanim weszła do szafki.

- Słyszał pan ostatnie plotki, prawda? - spytała kobieta.

- Nie wychodziłem dzisiaj z domu - odparł.

Usiadł naprzeciwko i popatrzył na jej otwartą ranę.

- O niczym pan nie słyszał?

Dziadek potrząsnął głową i zaczął czyścić instrumenty wacikiem nasączonym alkoholem.

- Pojawił się Czysty - rzekła, zniżając głos. - Chłopak bez żadnych blizn, szram ani wtopień. Powiadają, że jest prawie dorosły - wysoki i chudy, z krótko ostrzyżonymi włosami.

- Niemożliwe - orzekł dziadek.

Pressia też tak sądziła. Ludzie lubią zmyślać różne rzeczy o Czystych. Słyszała to nie pierwszy raz. A tamte poprzednie pogłoski nigdy się nie potwierdziły.

- Zauważono go na Suchych Ziemiach - powiedziała kobieta. - A potem zniknął.

Dziadek wybuchnął śmiechem, który przerodził się w kaszel. Odwrócił głowę i kasłał, aż się zadyszał.

- Poradzi pan sobie z tym zszyciem rany? - spytała. - Choruje pan na płuca?

- Nic mi nie jest. To ten wiatraczek w gardle. Zbiera zbyt dużo pyłu i muszę go wykrztusić.

- Tak czy owak, nieładnie tak się wyśmiewać.

Dziadek zaczął zszywać ranę i kobieta się skrzywiła.

- Ile już razy słyszeliśmy podobną gadaninę? - rzekł.

- Tym razem to co innego - powiedziała z mocą. - Widziały go nie jakieś pijane Grupony, lecz trzy różne osoby. Każda go spostrzegła, a potem o tym zawiadomiła. Powiedziały, że ich nie zauważył, a one nie zbliżyły się do niego, ponieważ wyczuły, że jest święty.

- To tylko gromada plotkarzy, nic więcej.

Na chwilę umilkli, gdy dziadek szył ranę. Twarz kobiety stężała i kółka zębate znieruchomiały. Dziadek wytarł krew. Pracował szybko. Oczyszczył ranę

alkoholem i zabandażował ją.

- Skończone - oznajmił.

Kobieta spuściła rękaw sukienki. Jako zapłatę dała mu małą puszkę mięsa, a potem wyjęła z torebki jaskrawoczerwony owoc z grubą skórką, prawie jak w pomarańczy.

- Piękny, prawda? - rzekła i wręczyła go dziadkowi.

- Miło się z panią robi interesy - oświadczył.

Milczała przez chwilę, po czym odezwała się:

- Może mi pan wierzyć albo nie. Ale proszę posłuchać: jeśli to Czysty, który wyszedł z Kopyły, to wie pan co?

- Nie wiem - odrzekł. - Co? Niech mi pani powie.

- Jeśli jest wyjście, to znaczy, że musi być też wejście - powiedziała. Pressię przebiegł nagle zimny dreszcz. Potem kobieta uniosła palec do ucha. - Słyszysz pan? - spytała.

I teraz Pressia też to usłyszała - odległy śpiew Szalu Śmierci. A jeśli ta kobieta nie jest szalona? Pressia zapragnęła, aby pogłoska o Czystym okazała się prawdą. Wiedziała, że takie plotki bywają użyteczne, gdyż czasami zawierają rzetelną informację. Jednak przeważnie były to tylko bajdy i kłamstwa. To najgorszy rodzaj plotek - takie, które kuszą cię i dają ci złudną nadzieję.

- Jeśli jest wyjście - powtórzyła kobieta, tym razem bardzo powoli i spokojnie - to znaczy, że musi być też wejście.

- Nigdy się tam nie dostaniemy - burknął dziadek.

- Czysty - rzekła. - Czysty jest tutaj, pośród nas!

I wtedy usłyszeli hurgot ciężarówki na ulicy. Umilkli i zamarli bez ruchu.

Na zewnątrz pies zaszczekał groźnie. Rozległ się strzał i zapanowała cisza. Pressia rozpoznała po szczekaniu psa, którego kiedyś tak skatowano, że potrafił tylko kulić się ze strachu albo rzucać się na ludzi. Zawsze mu współczuła i czasami karmiła go małymi kawałkami mięsa - jednak nie z ręki,

gdyż nie można mu było całkowicie ufać.

Wstrzymała oddech. Ciszę zakłócało niskie dudnienie silnika ciężarówki stojącej na ulicy. Rano okaże się, że ktoś zniknął.

Dziadek zastukał laską w podłogę „golenie i strzyżenie na raz”. Pressia jednak nie była gotowa do ucieczki. Nie chciała zostawić dziadka. Podszedł szybko do fotela. Podniósł cegłę i trzymał ją w ręce.

Kobieta przycisnęła dłonią ranę, zbliżyła się do okna i wyjrzała.

- OPR - szepnęła przerażona.

Dziadek popatrzył na Pressię przez wąską szparę w drzwiach szafki. Ich spojrzenia się spotkały. Oczy miał szeroko otwarte i oddychał szybko. Wyglądał na zdezorientowanego i bezradnego.

Przejęta lękiem Pressia zastanowiła się, co się z nim stanie po tym, jak ona ucieknie. Może ci z OPR przyszli po kogoś innego? - pomyślała. Może po chłopca o imieniu Arturo albo po te bliźniaczki mieszkające w przybudówce. To nie znaczy, że naprawdę chciała, aby chodziło o bliźniaczki czy Artura. Jak mogłaby życzyć komukolwiek wizyty OPR?

Nie potrafiła ruszyć się z miejsca.

Z uliczki dobiegł ją stłumiony krzyk i szuranie butów na chodniku.

„Nie tutaj - szepnęła do siebie. - Proszę, nie tutaj!”. Czekwała na zgrzyt sprzęgła i warkot odjeżdżającej ciężarówki, lecz silnik wciąż terkotał na jałowym biegu.

Dziadek znów zastukał gumowym końcem laski, tym razem mocniej: „golenie i strzyżenie na raz!”.

Pressia musiała uciekać. Przedtem narysowała palcem w kurzu pokrywającym drzwi szafki krąg, dwoje oczu i uśmiechnięte usta. Chciała w ten sposób oznajmić: „Wkrótce wrócę”. Czy dziadek zauważy to i zrozumie? A jeśli ona nie wróci wkrótce do domu? Jeśli szczęście opuściło ją na zawsze?

Wzięła głęboki wdech i pięścią z głową lalki pchnęła fałszywy panel. Ugiął się nieco, a potem ustąpił i upadł z trzaskiem na zakurzoną podłogę

zakładu fryzjerskiego. Wnętrze szafki zalało światło.

Serce waliło jej w piersi jak młot. Rozejrzała się po ocienionym pomieszczeniu. Wybuch zerwał większość dachu i w górze widać było ciemne nocne niebo. Wyszędłszy z ciasnego wnętrza szafki na tę otwartą przestrzeń, Pressia poczuła się krucha i bezbronna.

W zakładzie fryzjerskim został tylko jeden obrotowy fotel z pedałem do podwyższania i obniżania. Lada przed nim też była nietknięta. W szklanym słoju wypełnionym mętną i cuchnącą niebieską cieczą pływały trzy grzebienie, jakby zawieszony w czasie.

Weszła szybko w cień pod ścianą i prześliznęła się wzdłuż niej, mijając szereg strzaskanych lusterek. Dobiegł ją warkot drugiej ciężarówki. Dziwne, że przyjechało ich więcej. Ukucnęła i wstrzymała oddech. Usłyszała radio w ciężarówce grające brzękliwie nieznaną jej staroświecką piosenkę z ryczącą gitarą elektryczną i monotonnie pulsującym basem. Mówiono, że gdy zabierają ludzi, wiążą im ręce z tyłu i zalepiają usta taśmą. Ale czy włączają radio, kiedy odjeżdżają? Z jakiegoś powodu właśnie to wydało się jej najokropniejsze.

Przykucnęła jeszcze niżej, wciąż starając się nie oddychać. Czy przyjechali tylko po nią - jedna ciężarówka blokująca alejkę, a druga na sąsiedniej równoległej ulicy? Wszystkie lustra były rozbite, z wyjątkiem ręcznego lusterka na ladzie. Kiedyś zapytała dziadka o te lusterka, a on odpowiedział, że używano ich, by pokazać klientom tył ich głów. Nie pojmowała, kto i po co miałby chcieć oglądać tył swojej głowy.

Z miejsca, w którym przycupnęła, znów zobaczyła na północy Kopułę na szczycie wzgórza. Była to skrzęca się jaskrawo kula, usiana wielkimi czarnymi lufami broni - błyszcząca twierdza zwieńczona krzyżem, który lśnił nawet w tym zasnutym popiołami powietrzu. Pomyślała o tym Czystym, którego podobno widziano na Suchych Ziemiach - wysokim i szczupłym, z krótkimi włosami. To z pewnością tylko plotka. To nie może być prawda. Kto chciałby opuścić Kopułę i zjawić się tutaj, żeby zostać zabitym?

Ciężarówka ruszyła powoli. Salę omiotło światło reflektorów - szperaczy. Pressia się nie poruszyła.

Blask reflektora oświetlił trójkątny odłamek lustra i przez chwilę widziała wpatrujące się w nią własne oczy o migdałowym kształcie, jak u jej japońskiej matki - „takiej młodej i pięknej” - i piegi po ojcu na nosie. A potem tę półkolistą oparzelinę przy oku.

Jeśli odejdzie, co się stanie z Freedle'em? Pewnego dnia Freedle się popsuje.

Promień reflektora przesunął się dalej i z hurgotem przejechała ciężarówka z wymalowanym z boku czarnym szponem i napisem „OPR”. Pressia ani drgnęła, dopóki warkot silnika i dźwięki piosenki z radia nie rozplynęły się w nocnej ciszy. Pierwsza ciężarówka wciąż stała w alejce. Dziewczynę dobiegły krzyki, ale nie usłyszała głosu dziadka.

Wyjrzała przez wielkie otwory po wybitych szybach. Było ciemno i zimno. Na ulicy nie widziała żywej duszy. Znow przemknęła w cieniu ściany do frontowych drzwi zrujnowanego zakładu fryzjerskiego. Leżał tam pęknięty i powgniatany dziwny zardzewiały walec pomalowany w bladoczerwone i niebieskie spiralne paski. Dziadek mówił, że takie przedmioty przytwierdzano na frontonie każdego zakładu fryzjerskiego i że stanowiły symbol czegoś. Pressia wyszła za drzwi, trzymając się blisko popękanej ściany.

Jaki miała plan? Ukryć się. W odległości trzech przecznic biegła olbrzymia stara rura irygacyjna, którą dziadek jej kiedyś pokazał. Pressia pomyślała, że będzie tam bezpieczna. Ale czy obecnie gdziekolwiek można czuć się bezpiecznie?

Bradwell, pomyślała. Podziemna siatka. Miała mapkę z zaznaczoną trasą do niego, którą wsunął jej złożoną do kieszeni. Być może był w domu i przygotowywał następny wykład o Historii Cieni. A gdyby tak zjawiała się u niego i podziękowała za prezent, udając, że potraktowała go jako przejaw uprzejmości, a nie złośliwego okrucieństwa? Czy Bradwell przyjmie ją pod swój

dach? Był dłużnikiem jej dziadka, który zszyl mu twarz, ale Pressia za nic nie chciała prosić go o rewanż za tamtą przysługę. Nigdy. Niemniej jednak postanowiła, że spróbuje do niego dotrzeć.

Na podłodze przy drzwiach leżał mały osmalony dzwoneczek. Zdziwiło ją to. Podniosła go, ale brakowało w nim serca, więc nie wydał żadnego dźwięku. Mimo to uznała, że kiedyś może jej się przydać.

Trzymała dzwonek tak kurczowo, że jego brzeg odcisnął się we wnętrzu jej dłoni.

Cieni. A gdyby tak zjawiała się u niego i podziękowała za prezent, udając, że potraktowała go jako przejaw uprzejmości, a nie złośliwego okrucieństwa? Czy Bradwell przyjmie ją pod swój dach? Był dłużnikiem jej dziadka, który zszyl mu twarz, ale Pressia za nic nie chciała prosić go o rewanż za tamtą przysługę. Nigdy. Niemniej jednak postanowiła, że spróbuje do niego dotrzeć.

Na podłodze przy drzwiach leżał mały osmalony dzwoneczek. Zdziwiło ją to. Podniosła go, ale brakowało w nim serca, więc nie wydał żadnego dźwięku. Mimo to uznała, że kiedyś może jej się przydać.

Trzymała dzwonek tak kurczowo, że jego brzeg odcisnął się we wnętrzu jej dłoni.

PARTRIDGE KOPYTO

PARTRIDGE USŁYSZAŁ OWCE, jeszcze zanim je zobaczył - buszujące gdzieś przed nim w krzakach leśnych jeżyn i beczące żałośnie. Ich pobekiwanie nasunęło mu wspomnienie Vica Wellingsly' a śmiejącego się z niego w wagonie wahadłowej kolejki. Ale tamto wydarzyło się w innym świecie. Zaszło słońce i zrobiło się zimno. Partridge znajdował się teraz na peryferiach miasta, wśród zwęglonych zgliszcz. Czuł zapach dymu ognisk, słyszał odległe głosy i od czasu do czasu czyjś krzyk. Niekiedy w górze rozlegał się łopot skrzydeł.

Dotarł tutaj, przemierzywszy piaszczyste połacie. Wypił tam cały zapas wody i dwukrotnie wydawało mu się, że widzi mrugające w ziemi pojedyncze

oko, które jednak szybko się schowało. Halucynacja? Nie był tego pewien.

Teraz okrążył skraj lasu. Jeśli ziemia tutaj jest żywa, to drzewa również mogą być groźne. Przypuszczał, że gdzieś tu musi mieszkać kilku nieszczęśników. Pomyślał o matce - świętej, jak dawniej nazywał ją ojciec - i nieszczęśnikach, których ponoć uratowała. Jeżeli ona nadal żyje, to czy oni też przeżyli?

Wielki i tłusty czarny ptak zanurkował tuż obok jego głowy. Partridge zobaczył jego ostry zakrzywiony dziób, rozwierające się i kurczące szpony. Przyglądał mu się zaskoczony, dopóki ptak nie odfrunął i nie zniknął wśród drzew. Pomyślał o drucianym ptaku Łydy w klatce i ogarnęły go poczucie winy i lęk. Gdzie jest teraz Łyda? Przeczuwał, że grozi jej niebezpieczeństwo i jej życie dramatycznie się zmieniło. Czy oni tylko ją przesłuchają, a potem zostawią w spokoju? W gruncie rzeczy nie miała im nic do powiedzenia. Wiedziała tylko, że ukradł nóż. Oni zapewne pomyślą, że dziewczyna coś ukrywa, że wie więcej, niż wyjawia. Czy ktoś widział, jak się całowali? Jeśli tak, to Łyda wyda się im współwinną jego ucieczki. Przypomnił sobie ten pocałunek. To wspomnienie wciąż do niego powracało, słodkie i czułe. Łyda pachniała kwiatami i miodem.

Owce wyłoniły się spośród drzew, kuśtykając na maleńkich pogruchotanych kopytkach. Przykucnął w zaroślach, by się im przyjrzeć. Powędrowały do szczeliny w spękanej wypalanej ziemi, w której zebrała się kałuża deszczówki. Ich języki poruszały się szybko; wyglądały na ostre i błyszcząły jak brzytwy. Zwierzęta miały futra wilgotne i sfilcowane. Patrzyły błędnym wzrokiem, a ich rogi - u niektórych było ich zbyt wiele, by móc je policzyć, u innych wyrastały rzędem na grzbiecie - wyglądały groteskowo. Niekiedy przypominały pnącza winorośli - były spiralnie splecione ze sobą i zakrzywione w bok. U jednej owcy zawinęły się do tyłu niczym grzywa i wrosły w kręgosłup, całkowicie unieruchamiając głowę.

Chociaż zwierzęta wyglądały przerażająco, Partridge był im wdzięczny,

gdyż dzięki nim dowiedział się, że woda z kałuży nadaje się do picia. Co jakiś czas dostawał gwałtownych ataków kaszlu - może od wdychania ostrych włókien albo drobnego piasku? Postanowił, że zaczeka, aż owce odejdą, a wtedy ponownie napełni wodą swoje butelki.

Okazało się jednak, że te owce nie są zdiczące i nie włóczą się samopas. Z lasu wytoczył się na pałkowatych nogach pasterz z kikutem ręki. W drugiej dzierzył ostro zakończony kij i szorstko przywoływał owce. Twarz szpeciły mu oparzeliny, a jedno oko miał zapadnięte. Nosił ciężkie zabłocone buty. Zagonił owce, brutalnie okładając je i szturchając kijem; wydawał przy tym gardłowe dźwięki. W pewnym momencie niechcący upuścił kij i schylił się, żeby go podnieść. Odwrócił przy tym głowę - twarz miał pomarszczoną od oparzeń i obrzęków - spostrzegł Partridge'a i skrzywił się.

- Ty - burknął. - Kradniesz? Mięso czy wełnę?

Partridge zakrył twarz szalikiem, naciągnął kaptur i potrząsnął głową.

- Potrzebuję tylko wody - wyjaśnił i wskazał kałużę.

- Wypij ją, a zgnije ci żołądek - powiedział mężczyzna. Jego zęby zalsniły jak czarne perły. - Chodź. Mam wodę.

Zawrócił owce do lasu; widać było teraz ich szare pośladki. Partridge poszedł za nim. Drzewa w lesie wciąż były osmalone, lecz tu i ówdzie wyrastały już kępy zieleni. Po niedługim czasie dotarli do zagrody otoczonej płotem z metalowej siatki na słupkach. Pasterz zagonił owce do środka. Niektóre wierzgały; wtedy smagał je po pyskach, a one pobekiwały żałośnie. Zagroda była tak mała, że owce tłoczyły się w niej, tworząc jakby gęsty wełniany dywan.

- Co to za zapach? - spytał chłopiec.

- Gnój, siki, zgnilizna, zbutwiała wełna. I trochę odoru śmierci - wyjaśnił pasterz. - Mam mocną wódkę. Ale to cię będzie kosztować.

- Chcę tylko wody - oświadczył Partridge.

Od jego oddechu szalik zwilgotniał. Wyjął z plecaka butelkę i podał mężczyźnie.

Pasterz przez chwilę wpatrywał się w butelkę i Partridge zaczął się zastanawiać, czy coś go w niej zaniepokoiło. Mężczyzna pokuśtykał do przybudówki. Otworzył spaczoną drzwiami uwalane błotem i chłopiec przelotnie dostrzegł wiszące na ścianie lśniące różowe tusze jakichś zwierząt obdartych ze skóry. Ponieważ miały odrąbane głowy, nie potrafił ich rozpoznać - choć i widok głów niekoniecznie by mu pomógł.

Poczuł ukłucie w ramię. Pacnął dłonią i ujrzał okrytego pancerzem żuka z grubymi szczypcami. Spróbował zrzucić go pstryknięciem, ale żuk wczepił się mocno. Wziął więc owada w palce i oderwał od skóry.

Mężczyzna wrócił z butelką napełnioną wodą.

- Skąd jesteś? - zapytał.

- Z miasta - odpowiedział Partridge. - Muszę już wracać.

- Z której części miasta? - dociekał pastuch.

Jego zapadnięte oko mrugało wolniej niż zdrowe. Partridge przenosił spojrzenie z jednego na drugie.

- Z przedmieścia - odrzekł i odwrócił się, by odejść. - Dziękuję za wodę.

- Niedawno straciłem żonę - oznajmił mężczyzna. - Chorowała i zmarła.

Potrzebuję pomocnika. Sam nie podołam tej pracy.

Partridge popatrzył na owce w zagrodzie. Jedna grzebała w ziemi kopytkiem w kształcie łopatk, zardzewiałym i wgniecionym.

- Nie mogę - odparł.

- Nie jesteś normalny, co?

Chłopiec znieruchomiał.

- Muszę wracać.

- Gdzie twoje blizny? Co się w ciebie wtopiło? Niczego na tobie nie widzę.

Mężczyzna podniósł kij i zamierzył się nim. Partridge teraz wyraźnie widział zaognione szramy na jego twarzy.

- Nie ruszaj się - powiedział wolno pastuch, czając się do skoku.

Partridge odwrócił się i puścił się biegiem. Włączyła się zakodowana zwinność; jego nogi i ręce poruszały się szybko i miarowo jak tłoki. Wybiegł z lasu tą samą drogą, którą poprzednio przebyli. Nagle potknął się o rozmiękłą kłodę i upadł na ziemię obok kałuży deszczówki, z której niedawno piły owce. Obejrzał się wstecz i zorientował się, że to wcale nie kłoda, tylko pęk trzcin - niektóre zielone, inne rdzawobrazowe. Przypomniały mu się kombajny pracujące na polach w pobliżu akademii. Nasłuchiwał, czy nie zbliża się pasterz, ale nie dobiegł go żaden odgłos kroków. Podszedł do trzcin i zobaczył, że są związane błyszczącym drutem. Wpatrywał się w nie, aż dostrzegł pomiędzy nimi coś lśniącego wilgocią. Sięgnął tam drżącymi rękami. Poczłł mdlący słodki zapach. Rozgarnął trzciny - rozmokłe, prawie gumowate - i odsłonił ludzką twarz. Jeden policzek był białawoszary, a drugi ciemnoczerwony, jakby przypieczony; usta fioletowe od niedokrwienia i niedotlenienia. To była żona pasterza - ta, która chorowała i niedawno zmarła. Oto jak ją pogrzebał.

To, co Partridge wcześniej ujrzał, wilgotne i nieruchome, było jej okiem, lśniącem ciemną zielenią.

ŁYDA REHABILITACJA

W BIAŁYM WYŚCIEŁANYM pokoju panował ziąb. To przypomniało Łydzie, że dawniej, przed Wybuchem, wewnątrz dużych zamrażarek były małe pojemniki. Obecnie, kiedy ludzie żywią się głównie pigułkami soyteksu, używa się tylko niewielkich lodówek. Ale właśnie w małym pojemniku wielkiej zamrażarki matka trzymała kiedyś okrągłe główki sałaty. Czy były zbyt delikatne, żeby znieść temperaturę panującą we wnętrzu głównej zamrażarki? Pomyślała o rozkloszowanych pomarszczonych brzegach zewnętrznych liści sałaty, wyglądających jak rąbek wirującej spódniczki.

Matka odwiedziła ją tutaj nieoficjalnie dwukrotnie. Podczas tych wizyt Łyda wyczuwała jej tłumiony gniew. Matka gawędziła o sąsiadach i kuchennym ogródku, ale raz powiedziała: „Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele będzie nas

kosztowało twoje postępowanie? Obecnie nikt nie potrafi spojrzeć mi w oczy”. Jednak pod koniec obydwu wizyt uściskała ją pośpiesznie i szorstko.

Dziś miała się zjawić oficjalnie, by dokonać oceny stanu psychicznego Łydy. Wejdzie ubrana jak pozostali w biały kitel, trzymając przed sobą podręczny komputer niczym tarczę zakrywającą jej ciasno opięty biust. Łyda wiedziała, że pod stanikiem i tłustymi piersiami serce jej matki bije jak szalone.

Kwadratowy pokój był mały i wyposażony tylko w łóżko, sedes i maleńki zlew. Na jednej ścianie migotało fałszywe okno. Przypomniała sobie, że matka kilka lat temu wywalczyła tę poprawę warunków pobytu pacjentów. Zainicjowała dyskusję o tej kwestii na zebraniu zarządu. Na podstawie przeprowadzonych badań ktoś ustalił kiedyś, że światło słoneczne pomaga w leczeniu osób chorych umysłowo. Oczywiście prawdziwe okno było wykluczone. Zgodzono się więc na kompromisowe rozwiązanie. Światło w fałszywym oknie zmieniało się zgodnie ze wskazaniem okrągłego zegara na ścianie. Łyda nie ufała zegarowi ani widokowi za oknem. Przypuszczała, że podczas jej snu manipuluje się czasem. Biegł zbyt szybko. Być może zresztą to wrażenie było skutkiem podawanych jej środków nasennych. Im dłużej przebywała w zamknięciu, tym jej zaburzenia psychiczne oceniano jako coraz poważniejsze i zmniejszała się szansa na zwolnienie jej z ośrodka rehabilitacji. Dawali jej pigułki również rano, na obudzenie, oraz inne na uspokojenie, chociaż zapewniała, że nie jest zdenerwowana. Ale czy rzeczywiście tak było? Jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, to jej nerwy wydawały się w nie najgorszym stanie... przynajmniej na razie.

Bez względu na to, czy stąd wyjdzie, czy nie, jej reputacja nieodwracalnie ucierpi. Nikt już nie zechce jej poślubić. A nawet gdyby znalazł się kandydat na męża, nie pozwoli jej mieć dzieci. Po prostu nie nadawała się do reprodukcji materiału genetycznego!

Sztuczne światło słońca zamigotało, jakby za fałszywym oknem przefrunęło stado ptaków. Czy to też należało do programu? Dlaczego w ogóle

pomyślała o ptakach? W Kopule było ich tak niewiele. Od czasu do czasu któryś uciekał z ptaszarni, lecz zdarzało się to rzadko. Czy skojarzenie z ptakami pochodziło z jej wyobraźni? Z głębokich zakamarków pamięci?

Jak dotąd największego zmartwienia, nie licząc dręczących ataków paniki, przysporzyły jej włosy. W ośrodku ostrzyżono ją krótko. Obliczyła, że miną co najmniej trzy lata, zanim włosy odrosną do poprzedniej długości. Znała kilka dziewczyn, które wróciły

*’ * z rehabilitacji, i wszystkie początkowo nosiły peruki. Miały twarze stężałe ze strachu, że ich stan ponownie się pogorszy, a lśnienie ich sztucznych włosów sprawiało, iż wydawały się przybyszami z kosmosu, i stanowiło jeszcze jeden powód, by się ich lękać. Łyda nosiła teraz na głowie białą chustę - w tym samym kolorze co jednoczęściowy kombinezon z grubej bawełny, zbyt obszerny i wiszący na niej z przodu; był tylko jeden rozmiar, który przydzielano wszystkim pensjonariuszom ośrodka. Wiązała tę chustę na karku i w tym miejscu ją swędziało. Wsunęła palce pod węzeł i podrapała się.

Pomyślała o Partridge’u, o dotyku jego dłoni, gdy trzymali się za ręce, wracając korytarzem na tańce. Czasami przypominała sobie o nim nagle i zamierało jej serce. Znalazła się tu z jego powodu. Wszystkie pytania, jakie jej zadawano, dotyczyły tamtej ich nocy. Naprawdę prawie go nie знаła. Mogła powtarzać to bez końca, a i tak nikt jej nie wierzył. Powiedziała to teraz w ciszy swojej celi: „Prawie go nie znam”. Nawet sama sobie nie uwierzyła. Czy on żyje? Sądziła, że jej ciało w jakiś niewytłumaczalny sposób przeczułoby jego śmierć.

O trzeciej rozległo się pukanie i zanim zdążyła zareagować, drzwi się otworzyły. Wszedł zespół - dwie lekarki i jej matka. Łyda zerknęła na nią, oczekując porozumiewawczego gestu. Ale twarz matki była nieruchoma jak powierzchnia sztucznej sadzawki w akademii. Pani Mertz nie spojrzała na córkę - utkwiała wzrok w ścianie za nią, a potem popatrzyła na podłogę, zlew i znów na ścianę.

- Jak się czujesz? - zapytała dziewczynę wyższa i smuklejsza lekarka.,

- Świetnie - odrzekła Łyda. - Ładne to okno.

Jej matka niemal niedostrzegalnie się wzdrygnęła.

- Podoba ci się? - spytała smukła lekarka. - Traktujemy je jako istotne ulepszenie.

- Zadamy ci jeszcze kilka krótkich pytań - odezwała się druga. Była przysadzista i sucho cedziła słowa. - Powiedziano nam, żebyśmy wniknęły w istotę twojego związku z Ripkardem Willuksem.

- Twoim chłopakiem Partridge'em - wyjaśniła smukła lekarka, jakby Łyda nie rozpoznała jego nazwiska.

- Tylko kilka pytań - zapewniła matka. - To nie potrwa długo.

Czyżby dawała jej do zrozumienia, żeby odpowiadała również krótko?

- Nie wiem, gdzie jest Partridge - oświadczyła Łyda. - Wciąż to wszystkim powtarzam.

Wypytywano ją już kilkakrotnie, za każdym razem nieco ostrzej.

- Zdajesz sobie sprawę, że sam Ellery Willux jest bardzo zainteresowany tym incydentem - rzekła smukła lekarka. Łyda zauważyła, że tę kobietę ekscytuje już samo wymówienie tego nazwiska. - Chodzi przecież o jego syna.

- Mogłabyś pomóc w odnalezieniu chłopca - dodała matka pogodnym tonem, jakby dając do zrozumienia, że to ocaliłoby więź między nią i córką.

Złuda okna znów zamigotała niczym od cienia skrzydła - a może przyczyną były zakłócenia, usterka programu? „Mogłabyś pomóc w odnalezieniu chłopca”. Czy on zaginął? Opuścił Kopułę? Uciekł jak ptak z ptaszarni? Jak jej ptak z drutu, którego być może wystawiono teraz w Sali Założycieli zamiast zabytkowych minut-ników do jajek, fartuchów i noży. A może jej drucianego ptaka odrzucono, ponieważ już nie była studentką akademii?

- Oświadczyłaś, że pokazałaś mu wystawę artykułów gospodarstwa domowego po godzinach jej otwarcia, w taki sam sposób, jak byś to zrobiła,

oprowadzając wycieczkę w ciągu dnia - przypomniała przysadzista lekarka.

- Ale czy to jest cała prawda? Chłopiec i dziewczyna wymknęli się do ciemnej sali, żeby potańczyć przy dźwiękach muzyki - rzekła smukła lekarka. - Wszyscy byliśmy kiedyś młodzi - dodała i mrugnęła do Łydy.

Łyda nauczyła się już odpowiadać pytaniem na pytanie, więc rzuciła:

- Co pani ma na myśli?

- Czy on cię pocałował? - zapytała wprost smukła lekarka.

Na policzki dziewczyny wypłynął gorący rumieniec. Partridge jej nie pocałował, tylko ona jego.

- Czy się obejmowaliście?

Pamiętała lekki dotyk dłoni chłopca na talii, szelest materiału sukienki. Przetańczyli dwie piosenki. Widziało ich mnóstwo osób. Dyżur na zabawie pełnili pan Glassings i panna Pearl. Partridge podczas tańca pochylił głowę i poczuła na szyi jego oddech. Za paskiem miał nóż zakryty marynarką. Tak, pocałunek. Czy ktoś to zauważył? Kiedy szli do jej akademika, trzymali się za ręce. Widziało to wielu ludzi. Czy ktoś wyjrzał przez okno? Czy tamtą ścieżką spacerowały też inne pary?

- Bez względu na to, czy ci się to spodoba, czy nie - odezwała się przysadzista lekarka - zapytam, czy sądzisz, że on może darzyć cię głębszym uczuciem?

W oczach Łydy zakręciły się łzy. Nie, pomyślała, on nic do mnie nie czuł.

Umówił się z nią tylko dlatego, że było to dla niego dogodnie. Od początku zachowywał się opryskliwie. Później stał się uprzejmy, ponieważ pozwoliła, aby uszła mu na sucho kradzież noża z gablotki wystawowej. Do czego użył tego noża? Nikt jej tego nie powie. A tańczył z nią, ponieważ chciał, żeby wyglądali zwyczajnie, nie wyróżniali się i nie zwracali uwagi. Czy oni się niepokoją, że mógł zginąć? Czy sądzą, że opuścił Kopułę i zabił się jak jego brat? Popatrzyła błagalnie na matkę. „Co powinnam zrobić?”.

- Czy on cię kocha? - powtórzyła przysadzista lekarka.

Matka kiwnęła głową. W gruncie rzeczy to nawet nie było kiwnięcie, raczej lekkie drgnienie głowy, jakby usiłowała powstrzymać kaszel. Łyda otarła oczy. Matka dawała jej znak, aby odpowiedziała twierdząco, aby oznajmiła im, że Partridge ją kocha. Czy to uczyniłoby ją cenniejszą? Miała dla nich jakąś wartość, tylko jeśli on żyje. Jeżeli sądzą, że ją kocha, to może się nią posłużą. Jako wysłan-niczka? Pośredniczką? Przynętą?

Ścisnęła dłońmi kolana, marszcząc materiał kombinezonu, po czym go wygładziła.

- Tak - odrzekła, spuszczać wzrok. - Kocha mnie. - Przez chwilę udawała sama przed sobą, że to prawda, a potem powtórzyła głośniejsz: - Powiedział mi to. Tamtej nocy wyznał, że mnie kocha.

Okno znów zamigotało. A może tylko jej się przywidziało?

PRESSIA BUT

ZMIERZAJĄC DO DOMU Bradwella, Pressia przeszła przez ulicę i ruszyła alejką biegnącą równolegle do placu targowego. Z oddali dobiegały ją śpiewy Szału Śmierci. W przeszłości czasami wmawiała sobie, że to śpiewy na przyjęciu weselnym. Dlaczego nie? Wznosiły się i opadały i brzmiały tak uroczyście, że mogłyby być świętowaniem miłości. Dziadek opowiadał jej o weselu rodziców - białych namiotach, obrusach, piętrowym torcie.

Ale teraz nie potrafiła się ludzić. Usiłowała ustalić, skąd dochodzą, i doszła do wniosku, że ze Stopionych Ziem, gdzie niegdyś znajdowały się strzeżone podmiejskie osiedla. Znała ludzi, którzy tam dorastali, i w grze w „Pamiętam” usłyszała od nich o tych osiedlach: szeregi identycznych domów, cicho szemrzące zraszacze, na podwórkach place zabaw z plastikowych elementów. Właśnie dlatego nazywano ten rejon Stopionymi Ziemiemi: każde podwórze pokrywały wielkie gruzły stopionego kolorowego plastiku, które kiedyś były zjeżdżalniami, huśtawkami i krytymi piaskownicami w kształcie żółwi.

Próbowała wywnioskować ze śpiewu, jaka to banda. Niektóre były bardziej bestialskie od innych. W gruncie rzeczy nigdy nie nauczyła się rozróżniać tych śpiewów. Dziadek nadawał im nazwy rozmaitych ptasich tryli. Pressia nie wiedziała, czy te śpiewy dopiero się rozpoczynają, czy już dobiegają końca na nieprzyjacielskim polu. Na szczęście rozbrzmiewały daleko, w południowej części Stopionych Ziem - ona zaś kierowała się w inną stronę. Teraz, gdy wsłuchiwała się uważniej, uznała, iż mogą dochodzić z jeszcze większej odległości. Być może aż z rejonu dawnych więzień, zakładów dla obłąkanych i sanatoriów - płataniny stopionej stali, gruzu i drutu kolczastego. Istniała dziecięca piosenka o tym obszarze:

Wszystkie martwe domy runęły.

Wszystkie martwe domy runęły.

Chore dusze w kółko się błakają.

Uważaj! Pod ziemię cię wciągają.

Sama nigdy nie widziała tych zwalonych budynków. Nigdy nie zapaściła się aż tak daleko.

Na ulicach nie napotkała żywej duszy. Było zimno, ciemno i wilgotno. Pressia podciągnęła w górę gruby sweter, otulając szyję, a zakrytą skarpetką pięść z głową lalki wetknęła pod ramię i szybko weszła w następną alejkę. Wciąż miała przy sobie ten głuchy dzwonek, schowany głęboko w kieszeni swetra.

Oprócz śpiewów Szału Śmierci nasłuchiwała też Gruponów. Niepokój spowodowany niemożnością oddalenia się choćby na chwilę od siebie wyganiał je nocami na ulice. Niektóre Grupony wykorzystywały swą zbiorową siłę, by tropić i rabować ludzi - co nie znaczy, że Pressia i dziadek mieli kiedyś cokolwiek cennego, co można by im zabrać. Nasłuchiwała także warkotu ciężarówek OPR. Właśnie z ich powodu omijała większe ulice i wybierała najwęższe alejki.

Przeszła przez kolejną, a potem, czując przyływ adrenaliny, zaczęła biec.

Nie mogła się powstrzymać. Ulice były tak upiornie ciche - z wyjątkiem odległego śpiewu - że zapragnęła zagłuszyć tę ciszę odgłosem pulsowania krwi w uszach. Wbiegła w następną alejkę, lecz usłyszała silnik ciężarówki OPR, więc zawróciła i ruszyła w kierunku przeciwnym do tego, z którego dochodziły śpiewy.

Przemierzała kolejne alejki; dwa razy mignęła jej ciężarówka i wtedy musiała skręcić.

Dotarła do Gruzowisk i przystanęła w cieniu ruiny ceglanego domu, jednego z szeregu zburzonych budynków. Musiała zdecydować, czy ma okrążyć Gruzowiska, co zajmie jej co najmniej godzinę, czy przez nie przejść. Ten rejon stanowił niegdyś centrum miasta, gęsto zabudowane wieżowcami, z ulicami pełnymi ciężarówek i samochodów osobowych, siecią metra i tłumami ludzi przechodzących na światłach przez skrzyżowania.

Obecnie były tutaj góry zwalonych kamieni. Bestie wykopały w nich jamy i niewielkie groty. Pressia widziała tu i ówdzie smugi dymu unoszące się ze szczelin.

To Bestie grzały się przy ogniskach.

Nie miała jednak zbyt wiele czasu na zastanawianie się, jaką trasę wybrać, gdyż nagle rozległ się ryk silnika i ciężarówka OPR zahamowała gwałtownie przed sąsiednim budynkiem. Pressia powoli przesunęła się za róg domu i wparła się plecami w ceglaną ścianę.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i na ziemię zeskoczył mężczyzna w zielonym mundurze OPR. Miał tylko jedną nogę. Druga nogawka spodni była podwinięta, a w miejscu kolana widniała kość szyjna psa oraz jego pokryta futrem czaszka z wyłupiastymi oczami i zębatym pyskiem. Nie sposób było się zorientować, czy noga tego człowieka stanowi część kręgosłupa zwierzęcia. Psu brakowało tylnej łapy i ogona, ale biegł, zastępując mężczyźnie kończynę. Nauczyli się kuśtykać razem szybkim nierównym krokiem. Mężczyzna obszedł tył ciężarówki i otworzył drzwi, z których wyskoczyło jeszcze dwóch

uzbrojonych w karabiny żołnierzy OPR w czarnych butach.

- Ostatni przystanek! - zawołał kierowca.

Pressia nie widziała jego twarzy, ale zdawało się jej, że dostrzega tam dwóch ludzi z głowami jedna przy drugiej - albo może jedna

& za drugą. Czy kierowca to Grupon? Usłyszała, jak inny głos powtórzył niczym echo:

- Ostatni przystanek.

Czy ten głos pochodził z drugiej głowy?

Serce jej waliło. Oddychała szybko i płytko.

Trzej mężczyźni wpadli do budynku.

- OPR, otwierać! - wrzasnął jeden z nich.

Potem usłyszała tupot ich butów w całym domu.

Kierowca włączył radio i Pressia zastanowiła się, czy to ta sama ciężarówka, która wcześniej tej nocy zajechała na ich alejkę.

W głębi ulicy rozbrzmiało kilka głosów. Zobaczyła jakąś postać w kurtce z kapturem, z twarzą zasłoniętą szalikiem. Było zbyt ciemno, by mogła dostrzec więcej. Postać zawołała:

- Przestańcie! Zostawcie mnie w spokoju!

Słumiony przez szalik głos brzmiał chłopięco. Ten chłopak wyglądał jednak na więcej niż szesnaście lat. Żołnierze OPR zgarną go, gdy tylko się na nich natknie.

Potem zobaczyła, że z bocznej uliczki wyłoniły się Grupony. To, co kiedyś było siedmioma czy ośmioma ludźmi, tworzyło teraz jedno olbrzymie ciało z licznymi rękami i nogami, poznaczone błyszczącym chromem. Na ich twarzach - poparzonych, odrutowanych, niekiedy stopionych dwie w jedną - malował się pożądlivy wyraz. Po tym, jak się zataczały i zbaczały z drogi, Pressia poznała, że są pijane.

Żołnierz siedzący za kierownicą ciężarówki zerknął we wsteczne lusterko, a potem obojętnie wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął sobie czyścić paznokcie.

- Daj nam to, co masz! - powiedział jeden z Gruponów.

- Oddaj to! - dorzucił drugi.

- Nie mogę - odpowiedział głos spod kaptura. - Zresztą to drobiazg. Na nic się wam nie przyda.

- Więc daj nam to! - powtórzył któryś Grupon.

Jedna z rąk wysunęła się szybko i pchnęła zakapturzonego chłopca. Upadł na ziemię, a z ręki wyslizgnęła mu się torba i wylądowała około metra dalej. Właśnie o nią chodziło Gruponom.

>

- I

Jeśli nie było w niej nic ważnego, powinien im ją oddać. Grupony potrafią być brutalne, zwłaszcza odurzone alkoholem.

Chłopak w kapturze sięgnął po torbę tak błyskawicznie i zwinnie, że jego ręka wydała się strzałą, która wypuszczona z ciała potem znów się cofnęła. Ta natychmiastowa reakcja zdezorientowała Grupony. Kilka chciało się cofnąć, lecz inne im nie pozwoliły.

Chłopak wstał tak nienaturalnie szybko, że zatoczył się do tyłu, jakby z braku koordynacji ruchowej. Gdy stracił równowagę, jeden z Gruponów kopnął go w brzuch, a potem do akcji wkroczyły pozostałe - jedno olbrzymie ciało.

Mogły zabić tego chłopca, a Pressia znenawidziła go za to, że nie oddał im torby. Mocno zacisnęła powieki i zdecydowała, że nie będzie się w to mieszać. Niech on zginie. Co ją to obchodzi?

Jednak otworzyła oczy i spojrzała na ulicę. Po drugiej stronie zobaczyła beczkę po ropie. Żołnierz za kierownicą ciężarówki pogwizdywał do wtóru piosenki z radia i w dalszym ciągu dłubał scyzorykiem za paznokciami. Pressia zdjęła swój ciężki but - sa-bot z drewnianą podeszwą - i cisnęła nim w beczkę najmocniej, jak zdołała. Wymierzyła dobrze i trafiła w sam środek. Beczka zadźwięczała donośnie, choć głucho.

Grupony podniosły wzrok; ich tępe twarze zmaćcił strach i zmieszanie.

Czy to Bestia z Gruzowisk? A może zaczajona do ataku banda Szału Śmierci z OPR? Już kiedyś wpadły w zasadzkę - Pressia poznała to po sposobie, w jaki błyskawicznie się rozejrzały. I oczywiście, same także chwytaly ludzi w pułapki.

To odwrócenie uwagi Gruponów dało chłopakowi w kapturze wystarczająco dużo czasu. Znowu dźwignął się na nogi, tym razem wolniej i rozważniej, i pognął w górę wzgórza, jak najdalej od nich. Nawet utykając, biegł niezwykle szybko.

Z jakiegoś powodu, którego Pressia nie potrafiła pojąć, pobiegł prosto do ciężarówki, wpełzł pod nią i znieruchomiał.

Grupony popatrzyły w głąb ulicy. Być może dopiero teraz spostrzegły ciężarówkę. Wydały kilka stęknień i zawróciły chyłkiem tam, skąd przyszły.

Pressia chciała wrzasnąć na chłopaka w kapturze. Odwróciła uwagę Gruponów, by go uratować, nie bacząc na obecność żołdaków z OPR, a on wczuł się pod ich ciężarówkę?!

Żołnierze z tupotem wybiegli z domu.

- Pusty! - krzyknął do kierowcy ten z psem zamiast nogi.

Wszyscy trzej wgramolili się na tył ciężarówki. Szofer odłożył nóż i kiwnął głową. Druga głowa wysunęła się i podskoczyła nad jego ramieniem. Dodał gazu, wrzucił bieg i odjechał.

Pressia przez tylną szybę ciężarówki spostrzegła twarz - na wpół ukrytą w mroku, upstrzoną odłamkami metalu, z ustami zalepionymi taśmą. Ktoś nieznajomy-jeszcze dzieciak, jak ona. Nie mogąc się powstrzymać, zrobiła krok w jego kierunku i wyszła z cienia.

Teraz, kiedy ciężarówka odjechała, chłopak w kapturze leżał odsłonięty na jezdni. Podniósł wzrok i zobaczył ją. Przy tym jego kaptur zsunął się i ujrzała krótko ostrzyżoną głowę. Był wysoki i szczupły, z twarzą bladą i gładką, bez żadnych szram, blizn ani oparzelin. Z szyi zwisał aż do ziemi długi skręcony szalik. Chłopiec chwycił torbę i szalik, wstał szybko i rozejrzał się, oszołomiony

i zdezorientowany. A potem zachwiał się nagle, jakby zakręciło mu się w głowie, i zatoczył do tyłu, w kierunku rynsztoka. Upadł, z głuchym trzaskiem uderzając ciemieniem o cement.

„Czysty - zabrzmiał w umyśle Pressii głos tamtej starej kobiety. - Czysty jest tutaj, pośród nas”.

PARTRIDGE CZASZKA

TERAZ, TUTAJ, BEZ TCHU. Gwiazdy wyglądały jak małe błyszczące dziurki - niemal zagubione w ciemnym od pyłu powietrzu - ale nie były dziurkami. To nie sufit jadalni w Kopule udekorowany przed zabawą taneczną. Niebo nad głową jest nieskończone, niezmierzone.

Dom? Dzieciństwo?

Nie.

Dom był duży, przestronny i widny. Wysokie sufity. Biel na bieli. W odległych pokojach zawsze mruczał odkurzacz. Kobieta w spodniach od dresu jeździła nim po futrzanych podłogach. Obca kobieta, nie jego matka. Ale matka była zawsze w pobliżu. Przechadzała się po domu. Mówiąc, zamazyście gestykulowała. Wyglądała przez okna. Przeklinała. Mówiła: „Nie powtarzaj ojcu”. Mówiła: „Pamiętaj, niech to zostanie tylko między nami”. Tworzyła sekrety wewnątrz sekretów. Mówiła: „Posłuchaj, opowiem ci znów tę historię”.

Opowieść była zawsze ta sama. O łabędziej żonie, która zanim została żoną, była łabędzicą i uratowała od utonięcia młodego mężczyznę. On był złym księciem. Ukradł jej skrzydła i zmusił ją, by go poślubiła. Potem został złym królem.

„Dlaczego był zły?”.

Król myślał, że jest dobry, ale był zły.

Był też dobry księżę. Mieszkał w innym kraju. Łabędzia żona nie wiedziała jeszcze wtedy o jego istnieniu.

Urodziła złemu królowi dwóch synów.

„Czy jeden był dobry, a drugi zły?”

Nie, ale byli różni. Jeden wdał się w ojca, był silny i ambitny. Drugi był podobny do matki.

„To znaczy jaki?”

Nie wiem.

Słuchaj dalej, to ważne.

„Czy ten chłopiec - ten podobny do niej - miał skrzydła?”

Nie. Ale zły król włożył skrzydła żony do wiadra i spuścił je do starej, suchej, ciemnej studni, a chłopiec podobny do łabędziej żony usłyszał szelest w tej studni i pewnej nocy zszedł na dół i znalazł skrzydła matki. Ona je włożyła, zabrała tego chłopca, którego mogła zabrać - tego podobnego do niej, który się jej nie sprzeciwiał - i odleciała.

Partridge pamiętał, że matka opowiadała mu tę historię na plaży. Miała ramiona owinięte ręcznikiem, który trzepotał na jej plecach jak skrzydła.

Przy tej plaży mieścił się ich drugi dom. Właśnie tam zrobiono zdjęcie, które znalazł w szufladzie matki w Archiwum Utraconych Bliskich. Nie jeździli tam w zimie z wyjątkiem tego jednego razu. Słońce mimo wszystko musiało wtedy przygrzewać, gdyż pamiętał, że miał skórę poparzoną jego promieniami i spękane usta. Oboje chorowali na grypę. Nie wirusową, gdyż wtedy wysłano by ich do ośrodka, tylko zwykłą grypę żołądkową. Matka wyjęła z szafy na bieliznę niebieski koc i owinęła go nim. Ona też była chora. Oboje spali na kanapach i wymiotowali do małych plastikowych wiader. Matka przykładła mu do czoła wilgotną szmatkę. I opowiadała o łabędziej żonie, o chłopcu i nowej krainie, w której znaleźli dobrego króla.

„Czy mój ojciec jest złym królem?”

„To tylko opowieść. Ale posłuchaj - przyrzeknij mi, że nigdy jej nie zapomnisz. I nie powtarzaj jej ojcu. On nie lubi takich opowiadań”.

Partridge nie mógł unieść głowy. Miał wrażenie, że przybito go do ziemi, a w jego mózgu kłębiły się wspomnienia. A potem nagle się rozwiały. W głowie

mu huczało i czuł z tyłu czaszki przeszywający, zimny ból. W uszach słyszał pulsowanie krwi tak głośne jak hurgot automatycznego kombajnu pracującego na polach za akademią. Zwykł przyglądać się tym kombajnom z pojedynczego mansardowego okna na końcu korytarza w akademiku, kiedy Hastings wyjeżdżał do domu na weekendy. Łyda - czy ona tam teraz jest? Czy słucha hałasujących kombajnów? Czy pamięta, że go pocałowała? On pamiętał. Ten pocałunek zaskoczył Partridge'a. Odwzajemnił go, a wtedy ona cofnęła się zmieszana.

Na skórze czuł powiew wiatru. To było prawdziwe powietrze. Wiatr smagał jego głowę, mierzwił krótko ostrzyżone włosy. Powietrze kłębiło się groźnie, jakby mieszane przez niewidzialny wentylator. Pomyślał o błyszczących łopatach wirnika obracających się szybko w jego głowie. Jak się tutaj dostał?

*

PRESSIA SZARE OCZY

CZYSTY PODNIÓSŁ SIĘ CHWIEJNIE i stanął pośrodku ulicy. Przez chwilę się rozglądał. Popatrzył na szereg wypalonych, pustych ruin, na Gruzowiska z pasmami dymu unoszącymi się w górę w nocnym powietrzu, a potem znów na spalone budynki. Spojrzał w niebo, jakby próbował z układu gwiazd ustalić, gdzie się znalazł. W końcu zarzucił na ramię pasek torby i ponownie owinął sobie szalikiem szyję i dół twarzy. Raz jeszcze zerknął na Gruzowiska i ruszył w ich kierunku.

Pressia szczelniej nasunęła wełnianą skarpetę na pięść z głową lalki, obciągnęła rękawy swetra i wyszła z alejki.

- Nie - powiedziała. - Nigdy nie zdołasz tam dojść.

Odwrócił się gwałtownie. Zobaczył ją i na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga, że to nie Grupony, Bestia ani nawet żołnierz OPR - choć Pressia wątpiła, by znał te nazwy. Zresztą, czego można się było bać tam, skąd

pochoził? Czy w ogóle znał strach? Czy obawiał się tortów urodzinowych, psów w okularach przeciwsłonecznych i nowych samochodów ozdobionych wielkimi czerwonymi kokardami?

Miał gładką czystą twarz i jasnoszare oczy. Pressia nie mogła uwierzyć, że patrzy na Czystego - prawdziwego żywego Czystego.

Spal Czystego i wdychaj popiół, Potem zrób szalik z jego jłaków. Z włosów skakankę sobie spleć, A z kosa mydło możesz mieć.

Właśnie te słowa przysły jej do głowy Dzieci stale śpiewają tę piosenkę, lecz żadne nigdy nawet nie pomyślało, że zobaczy prawdziwego Czystego. Nigdy Pressia poczuła w piersi coś lekkiego, zwiewnego i uskrzydłonego, zamkniętego za jej zębami jak Freedle w swojej klatce, jak zrobiony przez nią motyl w jej worku.

- Próbuję się dostać na Lombard Street - oznajmił chłopiec nieco zdyszany. Pressia zastanowiła się, na czym polega odmienność jego głosu. Jest czystszy, słodszy? Czy to głos kogoś, kto od lat nie wdychał popiołów? - Mówiąc ściślej, Lombard Street 1050. Szereg wielkich domów z kutymi żelaznymi bramami.

- Nie należy pozostawać tak na widoku - rzekła do niego Pressia. - To niebezpieczne.

- Zauważyłem. - Zrobił krok ku niej, a potem się zatrzymał. Jedną stronę twarzy miał nieco pobrudzoną popiołem. - Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

To była usprawiedliwiona uwaga. O mało nie został skatowany na śmierć przez Grupy i prawdopodobnie był trochę zdenerwowany.

Wysunęła stopę, tę bosą.

- Cisnęłam moim butem, żeby odwrócić uwagę Gruponów, które za chwilę by cię zabiły. Już raz uratowałam ci życie.

Spojrzał w głąb ulicy, w kierunku miejsca, gdzie został zaatakowany. Potem podszedł do Pressii.

- Dziękuję - powiedział.

Uśmiechnął się. Zęby miał równe i niezwykle białe, jakby przez całe życie pił świeże mleko. Z bliska jego twarz wydawała się jeszcze bardziej olśniewająco doskonała. Pressia nie potrafiła określić wieku chłopca. Sprawiał wrażenie starszego od niej, lecz zarazem w pewnym sensie wyglądał bardzo młodo. Nie chciała, by zauważył, że się na niego gapi, więc spuściła głowę i wbiła wzrok w ziemię.

- Oni rozszarpaliby mnie na kawałki - rzekł. - Mam nadzieję, że jestem wart twojego zgubionego buta.

- Mam nadzieję, że nie zginął - powiedziała, odwracając się nieco od niego, żeby nie zobaczył oparzonej strony jej twarzy.

Podciągnął pasek torby na ramieniu.

- Pomogę ci znaleźć twój but, jeśli ty pomożesz mi znaleźć Lombard Street.

- Niełatwo tutaj odszukać ulicę. Nie używamy ich nazw.

- Gdzie rzuciłaś but? W którą stronę? - zapytał, zawracając w kierunku ulicy.

- Mniejsza z tym - powiedziała, chociaż zależało jej na tym bucie, może już ostatnim prezencie od dziadka.

Usłyszała ciężarówkę na wschodzie, a potem drugą po przeciwnej stronie. I jeszcze jedną, całkiem niedaleko - a może to było echo? Tak czy owak, nie powinien stać tak na widoku.

- Daj sobie spokój - rzekła.

On jednak był już znowu na środku ulicy.

- W którą stronę? - powtórzył i rozłożył szeroko ręce, wskazując przeciwne kierunki, jakby chciał się stać żywym celem.

- W beczkę po ropie - odpowiedziała, usiłując go ponaglić.

Odwrócił się, spostrzegł beczkę i podbiegł do niej. Obszedł ją z jednej strony i schylił się, a gdy znów się wyprostował, trzymał w ręku jej but. Uniósł go nad głowę, jak zdobytą nagrodę.

- Przestań - szepnęła, pragnąc, by jak najszybciej ukrył się w cieniu ruin.

Podbiegł i przyklęknął przed nią.

- Proszę - rzekł. - Daj mi swoją stopę.

- W porządku, sama sobie poradzę - odpowiedziała.

Zaczerwieniła się. Była zakłopotana i wściekła na niego. Co on sobie myśli? Jest Czystym, który całe życie przeżył łatwo i bezpiecznie. Czy uważają za małe dziecko, które nie potrafi się samo ubrać? Pochyliła się, wyrwała mu z ręki but i włożyła na nogę.

- \$

- Co ty na to? Pomogłem ci znaleźć but, więc pomóż mi odszukać ulicę Lombard Street czy też to, co z niej zostało.

Teraz się przestraszyła. To z całą pewnością Czysty, dlatego przebywanie z nim jest niebezpieczne. Wieść o nim szybko się rozejdzie; nie da się tego zataić. Kiedy ludzie się dowiedzą, że zjawił się Czysty, on niewątpliwie stanie się celem - bez względu na to, czy będzie rozpościerał ramiona, czy nie. Niektórzy ludzie wpadną we wściekłość i postanowią złożyć go w krwawej ofierze. Symbolizuje wszystkich bogatych szczęściarzy z Kopyły, którzy zostawili ich na cierpienie i śmierć. Inni zechcą go schwytać i dostać za niego okup. A OPR będzie chciała pojmać tego chłopca, aby wydobyć od niego tajne informacje lub użyć go jako przynęty.

Pressia również miała swoje powody. „Jeśli jest wyjście, to musi być też wejście”. Tak powiedziała tamta stara kobieta i może to prawda. Pressia wiedziała, że chłopiec mógłby się okazać użyteczny. Być może zaoferuje jej wywarcie nacisku na OPR? Mogłaby wtedy odstąpić od obowiązku doniesienia na niego do centrali tej organizacji. A skoro już o tym mowa, mogłaby także wynegocjować pomoc medyczną dla dziadka.

Obciągnęła rękawy swetra. Kopyła z pewnością wyśle ludzi na jego poszukiwanie. A jeśli będą chcieli, żeby wrócił?

- Czy masz w sobie jakiś czip? - spytała.

Potarł kark.

- Nie - odparł. - Nie wszczepiono mi żadnego w dzieciństwie. Jestem czysty jak w dniu narodzin. Możesz spojrzeć, jeśli chcesz.

Po wszczępieniu implantu zawsze pozostaje niewielki guzek.

Przecząco potrząsnęła głową.

- A ty? - zapytał.

- Jest już zepsuty. To martwy czip - odrzekła. Zawsze nosiła włosy na tyle długie, by zakrywały niewielką bliznę. - Zresztą teraz one i tak nie działają. Kiedyś wszyscy dobrzy rodzice wszczepiali je swoim dzieciom.

- Chcesz powiedzieć, że moi nie byli dobrymi rodzicami? - zapytał na poły żartobliwie.

- Co ty na to? Pomogłem ci znaleźć but, więc pomóż mi odszukać ulicę Lombard Street czy też to, co z niej zostało.

Teraz się przestraszyła. To z całą pewnością Czysty, dlatego przebywanie z nim jest niebezpieczne. Wieść o nim szybko się rozejdzie; nie da się tego zataić. Kiedy ludzie się dowiedzą, że zjawił się Czysty, on niewątpliwie stanie się celem - bez względu na to, czy będzie rozpościerał ramiona, czy nie. Niektórzy ludzie wpadną we wściekłość i postanowią złożyć go w krwawej ofierze. Symbolizuje wszystkich bogatych szczęściarzy z Kopyły, którzy zostawili ich na cierpienie i śmierć. Inni zechcą go schwytać i dostać za niego okup. A OPR będzie chciała pojmać tego chłopca, aby wydobyć od niego tajne informacje lub użyć go jako przynęty.

Pressia również miała swoje powody. „Jeśli jest wyjście, to musi być też wejście”. Tak powiedziała tamta stara kobieta i może to prawda. Pressia wiedziała, że chłopiec mógłby się okazać użyteczny. Być może zaoferuje jej wywarcie nacisku na OPR? Mogłaby wtedy odstąpić od obowiązku doniesienia na niego do centrali tej organizacji. A skoro już o tym mowa, mogłaby także wynegocjować pomoc medyczną dla dziadka.

Obciągnęła rękawy swetra. Kopyła z pewnością wyśle ludzi na jego

poszukiwanie. A jeśli będą chcieli, żeby wrócił?

- Czy masz w sobie jakiś czip? - spytała.

Potarł kark.

- Nie - odparł. - Nie wszczepiono mi żadnego w dzieciństwie. Jestem czysty jak w dniu narodzin. Możesz spojrzeć, jeśli chcesz.

Po wszczępieniu implantu zawsze pozostaje niewielki guzek.

Przecząco potrząsnęła głową.

- A ty? - zapytał.

- Jest już zepsuty. To martwy czip - odrzekła. Zawsze nosiła włosy na tyle długie, by zakrywały niewielką bliznę. - Zresztą teraz one i tak nie działają. Kiedyś wszyscy dobrzy rodzice wszczepiali je swoim dzieciom.

- Chcesz powiedzieć, że moi nie byli dobrymi rodzicami? - zapytał na poły żartobliwie.

- Nie znam twoich rodziców.

- No więc nie mam czipa, skoro chciałaś wiedzieć. Pomożesz mi czy nie? - rzucił nieco poirytowanym tonem.

Nie była pewna, co go rozgniewało, ale ucieszyła się, że potrafi go wyprowadzić z równowagi. To dawało jej nad nim lekką przewagę.

Skinęła głową.

- Będą nam potrzebne stare plany miasta. Znam kogoś, kto je ma. Właśnie do niego szłam. Mogę cię tam zabrać. Może on zdoła ci pomóc.

- To świetnie. Którędy? - spytał, po czym odwrócił się i ruszył w stronę ulicy.

Złapała go za kurtkę.

- Zaczekaj - powiedziała. - Nie pójdę z tobą, jak będziesz tak wyglądał.

- Jak?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Za bardzo rzucasz się w oczy.

Wsadził ręce w kieszenie.

- Aż tak się wyróżniam?

- Oczywiście.

Milczał przez chwilę. Oboje stali nieruchomo.

- Co mnie zaatakowało? - zapytał.

- Grupon. Wielki. Każdy tutaj jest w jakiś sposób zdeformowany, stopiony z czymś, więc nie jesteśmy tacy jak przedtem.

- A ty?

Odwróciła wzrok i odpowiedziała na inne pytanie:

- Ludzie często mają skórę naszpikowaną różnymi odpryskami. Szkło czasem kłuje, zależnie od tego, jak utkwilo. Plastik może stwardnieć i utrudniać poruszanie się. Metal rdzewieje.

- Jak u Blaszanego Bohatera - powiedział Czysty.

- U kogo?

- To postać z książki i starego filmu - wyjaśnił.

- Nie mamy tu takich rzeczy Niewiele ocalało.

- Racja - przytaknął. - A co to za śpiewy?

Usiłowała je ignorować, ale słusznie zwrócił na nie uwagę. Wiatr niósł z oddali śpiew Szalu Śmierci. Wzruszyła ramionami i odrzekła:

- Może goście śpiewają na jakimś weselu.

Nie była pewna, dlaczego tak odpowiedziała. Czy ludzie dawniej śpiewali na weselach? Na przykład podczas kościelnego ślubu jej rodziców i weselnego przyjęcia w białym namiocie? Czy w Kopule nadal śpiewają?

- Będziesz też musiał uważać na ciężarówki OPR.

Uśmiechnął się.

- Co cię tak bawi?

- Po prostu to, że oni naprawdę istnieją. W Kopule mówiono o OPR. Wiemy, że zaczęli jako Operacja Poszukiwawczo-Ra-townicza, obywatelska milicja, a potem stali się czymś w rodzaju faszystowskiej dyktatury. Organizacją... jak ona się teraz nazywa?

- Przenajświętszej Rewolucji - powiedziała bezbarwnym tonem. Miała wrażenie, że Czysty się z niej nabija.

- Racja! - zawołał. - Właśnie!

- Myślisz, że to takie zabawne? - rzuciła. - Oni cię zamordują. Będą cię torturować, a potem wsadzą ci lufę do gardła i cię zastrzelą. Rozumiesz?

Wydawało się, że przyjął to do wiadomości. Potem powiedział:

- Przypuszczam, że mnie nienawidzisz. Nie mogę cię za to winić. Historycznie rzecz biorąc...

Pressia potrząsnęła głową.

- Proszę, oszczędź mi tych zbiorowych przeprosin. Niepotrzebne mi twoje poczucie winy. Ty się tam dostałeś. Ja nie. Kropka.

Wsadziła rękę do kieszeni i wyczuła twardą krawędź dzwonka. Zastanawiała się, czy nie dodać czegoś nieco łagodniejszego, żeby ukoić wyrzuty sumienia chłopca - czegoś w rodzaju: „Kiedy to się stało, byliśmy tylko dziećmi. Co mogliśmy zrobić? Co ktokolwiek mógł zrobić?”. Jednak ostatecznie zrezygnowała. Jego poczucie winy dawało jej nad nim pewną przewagę. Poza tym miał powody, by czuć się winny. Jak dostał się do Kopyły? Dzięki jakiemu przywilejowi? Zrozumiała wystarczająco dużo z teorii spiskowych Bradwella, by wiedzieć, że podejmowano wówczas paskudne decyzje. Dlaczego nie miałyby trochę obwiniać tego Czystego?

- Będziesz musiał nosić kaptur na głowie i szalik na twarzy - uprzedziła go.

- Postaram się nie wyróżniać. - Szybko owinął sobie szalik wokół szyi, zakrywając twarz, i naciągnął kaptur. - Teraz dobrze? - spytał.

Właściwie nie całkiem. Było coś w jego szarych oczach, co czyniło go odmiennym. Prawdopodobnie nic nie mógł na to poradzić. Czyż każdy na pierwszy rzut oka nie zorientuje się, że to Czysty? Ona z pewnością by się zorientowała. Był pełen nadziei jak nikt tutaj, ale wyczuwała w nim także głęboki smutek. W pewnym sensie wcale nie wyglądał na Czystego.

- Nie chodzi tylko o twoją twarz - powiedziała.

- A o co?

Potrząsnęła głową, tak aby włosy zakryły jej blizny na policzku.

- O nic - odrzekła. A potem bez namysłu spytała wprost: - Dlaczego tu przybyłeś?

- Dom - powiedział. - Próbuję odnaleźć drogę do domu.

Z jakiegoś powodu to rozwścieczyło Pressię. Podciągnęła sweter pod brodę.

- Do domu? - powtórzyła. - Tutaj, na zewnątrz Kopuły, na Lombard Street?

- Właśnie.

Przecież on kiedyś opuścił to miejsce. Zostawił swój dom. Nie zasługuje na to, by go odzyskać. Postanowiła jednak więcej tego nie roztrząsać.

- Musimy pójść na skróty przez Gruzowiska. Nie mamy wyboru - oznajmiła Czystemu, starając się na niego nie patrzeć. Mocniej naciągnęła skarpetkę i rękaw swetra. - Możemy natknąć się na Bestie i Pyły, które spróbują nas zabić, ale przynajmniej unikniemy ulic, gdzie moglibyśmy wpaść prosto w ręce tych, którzy będą chcieli cię schwytać. Poza tym tędy jest szybciej.

- Schwytać mnie?

- Ludzie już wiedzą, że tu jesteś. Pogłoski o tobie krążą po całej okolicy. A jeśli któryś z tych Gruponów nie był za bardzo pijany i przyjrzał się twojej twarzy, wówczas rozniesie wieść jeszcze dalej. Będziemy musieli poruszać się szybko i cicho, żeby nikogo nie zaalarmować. Musimy też...

- Jak się nazywasz? - przerwał jej.

- Ja?

Wystawił dłoń prosto przed siebie, celując w nią jak pistoletem, z kciukiem uniesionym w górę.

- Co ty robisz? - spytała.

- Co takiego? - Znow wysunął do niej dłoń. - Przedstawiam się. Nazywają

mnie Partridge.

- Ja jestem Pressia - powiedziała i trzepnęła go w rękę. - Przestań tak we mnie celować.

Wydawał się zmieszany i wsadził rękę w jedną z kieszeni kurtki z kapturem.

- Jeśli w tej torbie masz coś cennego, lepiej trzymaj ją przez cały czas ukrytą pod kurtką - poradziła mu i ruszyła szybkim krokiem w kierunku Gruzowisk, a on podążył tuż za nią. Poinstruowała go: - Trzymaj się z dala od wznoszących się słupów dymów. Stąpaj lekko. Niektórzy mówią, że Pyły potrafią wyczuwać drzenie gruntu. Jeśli cię chwycą, nie krzycz. Nawet nie piśnij. Będę stale oglądać się do tyłu na ciebie.

Pokonywanie Gruzowisk było prawdziwą sztuką. Trzeba iść lekko, przenosić szybko ciężar ciała z jednej nogi na drugą, jednak nie przechylając się nadmiernie na boki. Pressia opanowała te umiejętności przez lata szperania w gruzach i wiedziała, jak rozluźnić kolana i stawiać stopy elastycznie, tak aby zachować równowagę.

Poszła przez skały, słysząc tuż za sobą jego kroki. Wciąż wypatrywała oczu kryjących się pośród kamieni. Nie mogła zbyt mocno się na tym koncentrować, bo musiała nieustannie wybierać drogę pośród dymiącego ognia i zerkać przez ramię na Partridge'a. Nasłuchiwała też warkotu ciężarówek OPR. Nie chciała po dotarciu na drugą stronę Gruzowisk znaleźć się w świetle ich reflektorów.

Uświadomiła sobie, że właśnie dlatego jest dla niego cenna. Oto jej wartość. Była jego przewodniczką i nie chciała wyjawić mu zbyt wiele, ponieważ pragnęła, aby był zdany na nią, potrzebował jej, a może nawet stał się jej dłużnikiem. Chciała, by poczuł, że jest jej coś winien.

Robiła więc to wszystko - posuwała się naprzód, wypatrywała Pyłów, unikała dymu i oglądała się do tyłu na chłopca - a jednocześnie rozmyślała o Bradwellu. Co on sobie o niej pomyśli, gdy przyprowadzi mu do domu Czystego? Czy to mu zaimponuje? Wątpliwe. Nie wyglądał na kogoś, komu

łatwo zaimponować. A jednak wiedziała, że poświęcił się bez reszty odkrywaniu tajemnic przeszłości. Liczyła na to, że Bradwell ma stare plany miasta i wie, jak zastosować je do ruin, w które ono się obróciło. Na co przydadzą się nazwy ulic w mieście, w którym prawie wszystko zniknęło, w tym także większość ulic?

Właśnie o tym rozmyślała, kiedy usłyszała za plecami krzyk. Odwróciła się i zobaczyła, że Czysty leży na ziemi; jedna jego noga już znikła, wciągnięta w rumowisko.

- Pressio! - wrzasnął.

Wszędzie wokół nich rozległy się gardłowe pomruki Bestii.

- Dlaczego krzyknąłeś? - zawołała do niego. Zdała sobie sprawę, że ona teraz też krzyczy, lecz nie mogła się pohamować. - Mówiłam ci, żebyś tego nie robił!

Rozejrzała się po Gruzowiskach. Z dymiących dziur wysunęły się głowy. Bestie już zwietrzyły zdobycz i wszystkie chciały wziąć udział w uczcie. Nieco dalej czaiły się również inne wyrzutki. Stworzenia tak zdeformowane, spalone lub okaleczone, że nikt już nie potrafił ich rozpoznać. Zatraciły elementarne ludzkie cechy, a żyjąc samotnie, stały się okrutnymi potworami.

Pressia zaczęła ciskać kamieniami w głowę jednej z Bestii, potem następnej. Schowały się, lecz po chwili znów się pokazały.

- On jest silniejszy od ciebie! - zawołała do Czystego. - Nie próbuj mu się opierać. Musisz dać się wciągnąć pod ziemię i tam go pokonać. Weź w każdą rękę kamień, a potem kopnij tego stwora! Będę cię osłaniać!

Miała nadzieję, że Czysty zdoła go pokonać, choć wątpiła, czy nauczono go tego w Kopule. Przed czym mieliby się tam bronić? Jeśli on nie potrafi walczyć, nie będzie mogła zejść w dół, by mu pomóc. Kto wtedy odeprze atak Bestii? Zgromadzą się w wielki wygłodniały tłum, który tylko będzie czekał, by zabić ją i Partridge'a, gdy oboje wychyną z jamy - o ile w ogóle uda im się stamtąd wydostać.

Chłopiec popatrzył na nią oczami wytrzeszczonymi ze strachu.

- Zrób to! - ponagliła go.

Potrząsnął głową.

- Nie zejść w dół walczyć na jego warunkach - odparł.

- Nie masz wyboru!

Wtedy Partridge wczepił się palcami w skały i zaczął powoli podciągać się naprzód, centymetr po centymetrze. W pewnym momencie uchwycił się luźnego kamienia, który ustąpił, a stwór - prawdopodobnie Pył - szarpnął go; wyglądało to tak, jakby chłopiec ześlizgnął się ze szczebla drabiny. Lecz Partridge drugą ręką złapał się innego głazu i chociaż Pył trzymał go za jedną nogę, kopnął stwora drugą. Potem zgiął ręce, z brutalną siłą przyciągnął uwięzioną nogę do piersi i wywlókł Pyła z jamy. Pressia nigdy nie widziała niczego podobnego i nie sądziła nawet, że to w ogóle możliwe.

Ten przysadzisty Pył o wydatnym torsie był garbatym stworzeniem, okrytym twardym pancerzem ze stopionych kamieni. Miał grubo ciosaną twarz z mętnymi oczami i małym otworem zamiast ust. Był wielkości niewielkiego niedźwiedzia. Nawykły do ciemności i ciasnych podziemnych korytarzy, wyciągnięty na powierzchnię wydawał się nieco zdezorientowany i oszołomiony. Po chwili jednak dostrzegł Partridge'a i popęzlnął ku niemu. Pressia ciskała w Bestie kamień za kamieniem, aby wiedziały, że ona i Partridge nie są tylko bezwolnymi ofiarami, które Bestie wkrótce rozszarpiają jak sępy. Obydwoje będą walczyć. Trafiła dwie Bestie - jedna z kocią głową miauknęła i uciekła do jamy; druga, pokryta futrem i potężnie umięśniona, wygięła się w łuk i zrej terowała pod stertę gruzu.

Partridge bardzo szybko grzebał w plecaku.

Dlaczego jego ręce poruszają się tak błyskawicznie? - pomyślała Pressia.
- Jak to możliwe? A jednocześnie jest taki niezdamy. Gdyby zwolnił, mógłby łatwiej znaleźć to, czego szuka. Gorączkowo szperał w torbie, co dało Pyłowi czas, by przysiąść na zadzie i skoczyć. Stwór zwałił się swym kamiennym ciężarem Partridge'owi na pierś, wbijając go w skały za plecami. Wyduślił mu

powietrze z płuc i oszołomionemu chłopcu zabrakło tchu. Pressia jednak zobaczyła, że Partridge wyciągnął w końcu z torby nóż z drewnianą rękojeścią.

Wciąż rzucała kamieniami w Bestie, które zacieśniały krąg wokół nich.

- Poszukaj w nim czegoś ludzkiego! - zawołała do Partridge'a. - Możesz go zabić tylko, jeśli znajdziesz w nim żywą pulsującą część.

Pył przyparł chłopca do skał i uniósł toporny łeb, chcąc zgruchotać nim jego czaszkę. Czysty odepchnął go z zaskakującą siłą i stwór upadł ciężko na plecy - kamień uderzający o kamień - odsłaniając wąski pasek gołej bladoróżowej skóry na piersi. Leżał bezradnie na grzbiecie niczym żuk, młócąc w powietrzu krótkimi rękami i nogami, w których tkwiły liczne kamyki.

Czysty zaatakował błyskawicznie. Dźgnął stwora w różowy brzuch, wbijając nóż głęboko pomiędzy kamienne płyty. Pył wydał głuchy jęk, rozbrzmiewający echem wewnątrz jego kamiennej skorupy. Z rany wyciekła ciemnoszara krew. Czysty piłował ostrzem w przód i w tył, jakby wcinał się w bochenek chleba, a potem wyszarpnął nóż i otarł o głaz.

Wiatr poniósł wstrętny odór juchy stwora. Przestraszone Bestie wycofały się pośpiesznie do swoich dymiących dziur.

Pressia dyszała ciężko. Partridge, umazany kurzem i sadzą, wpatrywał się w Pyła pustym wzrokiem; nóż drżał w jego ręce. Z nosa kapłała mu krew. Wytarł ją grzbietem dłoni i popatrzył na czerwoną smugę, która na niej została.

- Partridge - szepnęła Pressia. Jego imię zabrzmiało w jej ustach dziwnie, nazbyt intymnie. Jednak powtórzyła je: - Partridge, nic ci nie jest?

Znów naciągnął kaptur na głowę. Usiadł na kamieniach, usiłując złapać oddech, i objął torbę ramionami.

- Przepraszam - rzekł.

- Za co? - spytała.

- Krzyknąłem, chociaż ostrzegałaś mnie, żebym tego nie robił. - Potarł kciukiem sadzę na drugiej dłoni, a potem wpatrzył się w nią. - Brud - powiedział dziwnie spokojnym tonem.

- O co chodzi? - spytała.

- Moja ręka jest brudna.

PRESSIA WIATR

PO DRUGIEJ STRONIE GRUZOWISK Pressia wyjęła złożoną mapkę, którą Bradwell na zebraniu wsunął jej do kieszeni, i studiowała ją przez moment. Znajdowali się zaledwie pięć przecznic od jego domu. Trzymali się bocznych uliczek i alejek. Wszędzie panowała cisza. Pressia nie słyszała żadnych ciężarówek; ucichł nawet śpiew Szału Śmierci. W pewnej chwili zapłakało jakieś niemowlę, lecz po chwili się uspokoiło.

Partridge uważnie przyglądał się wszystkiemu. Pressia nie pojmowała, co go tak interesuje. Były tu tylko wypalone szkielety domów, roztrzaskane szkło, stopiony plastik, osmalony metal i wystające z popiołu ostre krawędzie rozmaitych odpadków.

Chłopiec wyciągnął rękę w górę, jakby próbował złapać płatki śniegu.

- Co to jest ta rzecz w powietrzu? - spytał.

- Jaka rzecz?

- Ta szara.

- Ach, to - powiedziała Pressia. Ona już nawet tego nie zauważała. Przywykła, że stale wiruje w powietrzu, osiadając cienką warstewką na wszystkim, co wystarczająco długo pozostawało nieruchome. - Popiół - wyjaśniła. - Ma wiele nazw: czarny śnieg, jedwabna podszywka ziemi - jak torebka wywrócona na drugą stronę. Niektórzy nazywają go czarną śmiercią. Kiedy kłębi się, a potem osiada, mówią o nim czasem: błogosławieństwo popiołów.

- Błogosławieństwo? - powtórzył Partridge. - W Kopule bardzo często używamy tego słowa.

- Przypuszczam, że macie ku temu mnóstwo powodów - wyrwało się Pressii i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że to nie była miła uwaga.

- Kilka - przyznał.

- No cóż, są w nim sadza, kurz i resztki pozostałe po eksplozjach - rzekła.

- Niedobrze jest to wdychać.

- Masz rację - przytaknął i podciągnął szalik, zasłaniając usta i nos. - Oddychasz nim, a ono potem zanieczyszcza ci płuca. Czytałem o tym.

- Istnieją książki o nas? - spytała.

Rozsierdziła ją myśl, że ten świat jest dla mieszkańców Kopuły przedmiotem studiów i opowieści, a nie rzeczywistym miejscem pełnym ludzi usiłujących przetrwać.

Skinął głową.

- Trochę cyfrowej dokumentacji.

- Ale skąd możecie wiedzieć, jak tutaj naprawdę jest, jeśli wszyscy siedzicie w Kopule? Czy stanowimy przedmiot waszych badań naukowych?

- Nie dla mnie - rzekł tonem usprawiedliwienia. - Ja nie prowadzę takich badań. Zajmują się tym ludzie z kierownictwa. Mają nowoczesne kamery rejestrujące materiał filmowy dla celów bezpieczeństwa. Unoszący się w powietrzu popiół sprawia, że obraz jest dość niewyraźny. Z niektórych filmów wybiera się fotosy. Są też relacje o tym, jak okropnie przedstawia się sytuacja tutaj i jakimi jesteśmy szczęściarzami.

- Szczęście jest czymś względnym - powiedziała Pressia.

Na razie przyglądamy się Wam życzliwie z oddali.

Tak głosiło Przesłanie. A więc to mieli na myśli.

- Teraz widzę, że właściwie nie udaje się im naprawdę uchwycić tego świata. Na przykład to zapyłone powietrze. - Zatoczył ręką wokoło. - I to, jak osiada ci na skórze. Samo powietrze jest zimne. I wiatr. W gruncie rzeczy nikt w Kopule nie potrafi wyjaśnić powstawania wiatru. Tego, że czasem pojawia się tak nagle i kłuje cię lekko w twarz. I sprawia, że pył wiruje w powietrzu. Oni nie umieją wytłumaczyć ani zrozumieć wszystkich tych zjawisk.

- U was nie ma wiatru?

- To Kopuła. Zamknięte kontrolowane środowisko.

Pressia rozejrzała się i przez chwilę rozmyślała o wietrze. Uświadomiła sobie, że sadza i pył - resztki czegoś spalonego, rozerwanego lub zburzonego - różnią się od siebie i odmiennie zachowują się na wietrze. Wcześniej właściwie nigdy nie zwracała na to uwagi, ale teraz powiedziała:

- Sadza unosi się w górę z niemal każdym powiewem wiatru, natomiast pył jest cięższy i w końcu zawsze opada w dół.

- Właśnie tego rodzaju kwestii oni nie potrafią ogarnąć - rzekł Partridge.

Dziewczyna milczała przez chwilę, a potem spytała:

- Chcesz zagrać w „Pamiętam”?

- Co to takiego?

- Nie gracie w to w Kopule?

- To jakaś gra?

- Zgodna z jej nazwą. Kiedy spotykasz kogoś po raz pierwszy i zaczynasz poznawać, pytasz go, co zapamiętał z okresu Przedtem. Czasami tylko tyle możesz z niego wydobyć, zwłaszcza ze starych ludzi. Ale właśnie oni najlepiej grają w tę grę. Mój dziadek pamięta mnóstwo rzeczy.

Sama Pressia nie była w tej grze najlepsza. Wprawdzie jej wspomnienia były jaskrawe, barwne, żywe, czasem wręcz dotykalne, jednak nie umiała ich w pełni wyrazić. Marzyła o tym, by pewnego dnia zagrać w „Pamiętam” z matką i ojcem. Oni wypełniliby luki pomiędzy oderwanymi wspomnieniami - małym akwariem z rybkami, frędzlem przy notesiku, rurą kaloryfera, paradą, drucianą szczotką, skórą matki pachnącą ziołowym mydłem, płaszczem ojca, uchem Pressii przy jego sercu, matką szczotkującą włosy i śpiewającą z komputera kołysankę o dziewczynie na werandzie i chłopcu błagającym, żeby z nim wyjechała. Czy ta dziewczyna kiedykolwiek odważyła się wyjechać?

Pressia zapragnęła zagrać w tę grę z Partridge'em. Co mogli zapamiętać Czyści? Czy ich wspomnienia są wyraźniejsze, mniej zmacone przez tę wersję świata, w której sama żyła?

Chłopiec się roześmiał.

- Nigdy by nam nie pozwolono grać w coś takiego. Przeszłość przeminęła i byłoby nietaktem ją przywoływać. Tak robią tylko małe dzieci - powiedział i dodał szybko: - Nie chciałem cię urazić. Po prostu tak to u nas wygląda.

Jednak Pressia naprawdę poczuła się urażona.

- Przeszłość to wszystko, co tutaj mamy - rzekła, nieco przyśpieszając kroku.

Pomyślała o przemowie Bradwella. „Chcą nas unicestwić, wymazać przeszłość, ale nie pozwolimy im na to”. Właśnie tak działa zapomnianie. Wymaż przeszłość, nigdy o niej nie mów.

Partridge również przyśpieszył, dogonił Pressię i chwycił za łokieć ręki z głową lalki. Gwałtownie przycisnęła ją do ciała.

- Co ty wyprawiasz? - rzuciła. - Nigdy nie łap ludzi w ten sposób.

- Chcę zagrać w tę grę - oświadczył. - Właśnie po to tu przybyłem: żeby poznać przeszłość.

Popatrzył jej prosto w oczy, a potem przemknął spojrzeniem do boku jej twarzy, gdzie widniała półokrągła oparzelina.

Pochyliła głowę, żeby włosy zasłoniły jej twarz.

- U nas właśnie to jest nietaktowne - powiedziała.

- Co?

- Gapienie się na ludzi. Nikt z nas nie chce, żeby mu się przyglądano.

- Ja nie zamierzałem... - Odwrócił wzrok. - Przepraszam.

*

Pressia nie odpowiedziała. Pocieszyło ją to, iż Partridge wyczuł, że sprawił jej przykrość i że powinien to jakoś załagodzić. Dobrze też, że potrzebował jej wskazówek w zakresie reguł obowiązujących w tutejszym społeczeństwie. Starła się możliwie jak najbardziej go od siebie uzależnić.

Przez jakiś czas szli bez słowa. Karała go milczeniem, ale potem zdecydowała, że powinna okazać mu też wielkoduszność, aby móc zapytać go o

coś, co ją nurtowało.

- No dobrze - rzekła, postanawiając zmyślać. - Kiedyś kupiliśmy nowy samochód z olbrzymią czerwoną kokardą na dachu. I przypominam sobie Myszkę Miki w białych rękawiczkach.

- Co takiego? - zapytał. - Ach, racja!

- A pamiętasz psy w okularach przeciwsłonecznych? Były zabawne, prawda?

- Nie przypominam sobie żadnych psów noszących okulary przeciwsłoneczne - odparł.

- Och - westchnęła. - Teraz twoja kolej.

- No cóż, matka często opowiadała mi historię o łabędziej żonie i złym królu, który skradł jej skrzydła. Myślałem, że mój ojciec jest tym złym królem.

- A był złym królem?

- To tylko bajka, nic więcej. Moim rodzicom nie układało się ze sobą, a ja widziałem to i posłużyłem się dziecięcą logiką. To nie miało żadnego sensu. Ale bardzo lubiłem tę opowieść. I przypuszczam, że kochałem matkę. Kochałbym ją niezależnie od tego, co by mi mówiła. Dzieci kochają swoich rodziców - nawet tych, którzy na to nie zasługują. Tak to już jest.

Jego wspomnienie było szczere i prawdziwe. Pressia poczuła się zakłopotana, że nie zagrała uczciwie. Spróbowała jeszcze raz:

- Kiedy byłam mała, rodzice wynajęli kucyka na moje przyjęcie urodzinowe.

- Zeby dzieci mogły na nim jeździć?

- Chyba tak.

- To miłe. Kucyk... Lubiłaś kucyki?

- Nie wiem.

Zastanawiała się, czy ta gra coś jej dała. Czy on ufa jej bardziej teraz, gdy wymienili się wspomnieniami? Postanowiła to sprawdzić.

- Ten Pyl, którego zabiłeś... Kiedy wywlokłeś go z jamy i rzuciłeś się na

niego, wydawało się to czymś niezwykłym. I niemożliwym - dodała. Czekwała na jego odpowiedź, lecz Partridge spuścił głowę na pierś i milczał. - Wcześniej uciekłeś Gruponom szybciej, niż ludzie potrafią biec.

Potrząsnął głową.

- Akademia - rzekł. - Przeszedłem tam odpowiedni trening.

- Trening?

- Właściwie to było kodowanie, ale niepełne. Okazało się, że nie jestem typowym okazem.

Chyba nie miał ochoty o tym rozmawiać, a Pressia nie chciała go naciskać. Pozwoliła, aby rozmowa się urwała. Szli dalej w milczeniu i w końcu dotarli do niewielkiej zburzonej witryny sklepowej.

- To tutaj - oznajmiła.

- Co jest tutaj? - spytał Partridge.

Poprowadziła go wokół sterty gruzu do szerokich metalowych tylnych drzwi sklepu.

- Mieszkanie Bradwella - szepnęła. - Powinnam cię uprzedzić, że on jest z czymś stopiony.

- Z czym?

- Z ptakami - odrzekła.

- Z ptakami?

- Maje w plecach.

Spojrzał na nią niepewnie, zaskoczony, a jej się spodobało, że wprowadziła go w zakłopotanie.

Zapukała, stosując się do instrukcji z kartki od Bradwella - jedno mocne stuknięcie, potem dwa lekkie, pauza i znów mocne uderzenie kłykciami. Usłyszała za drzwiami hałas, po czym Bradwell zapukał od wewnątrz w taki sam sposób - krótkie stuknięcia.

- On tu mieszka? - spytał Partridge. - Czy to miejsce w ogóle nadaje się do zamieszkania?

Pressia zastukała jeszcze dwa razy.

- Zaczekaj tutaj - poleciała chłopcu i wskazała na ocienioną ścianę. - Nie chcę, żeby twój widok go zdenerwował.

- Czy on się łatwo denerwuje?

- Po prostu się odsuń.

Partridge wycofał się w cień.

Rozległo się skrobanie. Bradwell otworzył zamek i odrobinę uchylił drzwi.

- Jest środek nocy - szepnął. Sprawiał wrażenie wyrwanego ze snu. - Kim jesteś i czego, u diabła, chcesz?

- To ja, Pressia.

Drzwi otworzyły się szerzej. Bradwell wydał się jej wyższy i bardziej barczysty, niż go zapamiętała. Ktoś, kto zdołał przeżyć w tym świecie, powinien właściwie być gibki i żylasty, szczupły od żywienia się byle czym. Jednak Bradwell, aby przetrwać, musiał nabrać masy mięśniowej. Jego policzek przecinały dwie poszarpane blizny, ślad po oparzeniu, jednak to oczy Bradwella przykuły uwagę Pressii. Gdy w nie spojrzała, zaparło jej dech w piersi. Były czarne i patrzyły twardo, jednak na widok dziewczyny złagodniały, jakby Bradwell potrafił być bardziej czuły, niż sądziła.

- Pressia? - rzekł. - Myślałem, że nie chcesz mnie już nigdy więcej widzieć.

Odwróciła od niego poparzony policzek i poczuła, że zaczerwieniła się zakłopotana - ale właściwie czym? Dlaczego? Usłyszała za nim trzepot skrzydeł ptaków tkwiących w jego plecach.

- Po co tu przyszedłeś?

- Chciałam ci podziękować za prezent.

- Teraz?

- Nie - przyznała. - To nie dlatego przyszedłam. Pomyślałam, że powiem ci to teraz, kiedy tu jesteś. To znaczy, kiedy ja jestem u ciebie - paplała, nie

potrafiąc przestać. - I przyprowadziłam kogoś - dodała. - To pilne.

- Kogo?

- Kogoś potrzebującego pomocy - powiedziała i dorzuciła szybko: - Nie chodzi o mnie, lecz o kogoś innego.

Jednak gdyby nie natknęła się na tego Czystego, też stałaby teraz na progu mieszkania Bradwella, błagając, by ją uratował. Pomyślała z ulgą, że na szczęście nie przyszła tu sama, dla siebie. Na moment zapadła cisza. Czy Bradwell cofnie się i zamknie drzwi? Czy rozważa, jak ma postąpić?

- Jakiego rodzaju pomocy? - zapytał.

- To ważne. Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Partridge wyszedł z cienia.

- Ona jest tu z mojego powodu - oznajmił.

Bradwell rzucił okiem na niego, potem na Pressię.

- Wejdźcie - powiedział. - Szybko.

- Co to za miejsce? - zapytał Partridge, rozglądając się wokół.

- Sklep Mięśny Elliot Marker i Synowie, założony w roku 1933 - wyjaśnił Bradwell. - Po Wybuchu znalazłem niewielki sztyd z brązu. Wtedy ludzie układali tutaj rzędami trupy, przykrywali je plandekami i zawijali w dywany, aby później je zidentyfikowano. Łudzili się, że lada chwila zaczną działać rządowe służby, wezmą się do usuwania szkód i przywracania porządku. Parter - gdzie kiedyś były lady i szklane gabloty, pomieszczenie do porcjowania mięsa, chłodnia i gabinet - uległ całkowitemu zniszczeniu, ale w nocy odgarnąłem gruz od tylnych drzwi, mając nadzieję, że prowadzą do piwnicy. I tak rzeczywiście było. Mięso się zepsuło, ale w sklepie rzeźniczym jest mnóstwo broni.

Wzrok Pressii przyzwyczaił się do ciemności. Znajdowała się w dziwacznej klatce z rzemieniami i łańcuchami oraz pochylnią do piwnicy. Partridge stał za nią. Wyciągnął rękę i dotknął łańcucha.

- A co to jest?

- Przyrząd do ogłuszania - wyjaśnił Bradwell. - Zwierzęta wnoszono

przez tylne drzwi; kopyta miały związane rzemieniami połączonymi z prętem biegnącym wzdłuż szyn. Ogluszano je i zawieszano ich ciężkie ciała do góry nogami, a potem spuszczano w dół i oprawiano. - Trącił pochylnię ciężkim butem i rzekł do Pressii: - Ciesz się, że nie byłaś dawniej jałówką.

Dziewczyna usiadła na podłodze klatki, przysunęła się do skraju pochylni i zjechała na dół. Partridge poszedł w jej ślady, a potem oboje ruszyli za Bradwellem wzdłuż ocalałej bocznej ściany piwnicy, w kierunku bladej smugi światła padającego z chłodni w drugim końcu pomieszczenia.

- Na dole zwierzęta wykrwawiano w kadziach z wrzątkiem - powiedział Bradwell. - Następnie za pomocą systemu wciągarek przesuwano je po szynie wzdłuż stanowisk do oprawiania, gdzie obdzierano je ze skóry i ćwiartowano.

- Czy ty zawsze wygłaszasz wykłady? - wymamrotała pod nosem Pressia.

- Co takiego? - spytał Bradwell.

- Nic.

Strop był nienaruszony, z nagimi szynami prowadzącymi do przechowalni mięsa - małego pomieszczenia o rozmiarach trzy metry na pięć, z metalowymi ścianami i sufitem, po którym także biegły szyny.

- Zdjąłem z nich większość olbrzymich haków służących do wieszania tusz - oznajmił Bradwell.

Kilka jednak pozostało. Na dwóch wisały dziwaczne stworzenia, chyba mieszańce. Były obdarte ze skóry. Bradwell usunął też wszystkie części ciała z wtopionymi kawałkami metalu bądź szkła - jednemu brakowało kończyny, drugiemu amputowano ogon. Teraz, gdy zostały obdarte do krostowatego mięsa, trudno było się zorientować, do jakiego gatunku należały. W kącie pokoju stała drucziana klatka domowej roboty z dwoma stworzeniami podobnymi do szczurów.

- Gdzie je złapałeś? - spytała Pressia.

- W nieczynnych kanałach ściekowych. Kilka mniejszych rur ocalało pod gruzami i przemykają nimi rozmaite małe szkodniki.

W pewnych miejscach przewody kanalizacyjne się kończą, a niektóre całkiem pękły. Wystarczy zacząć się u wylotu którejś z tych wąskich rur, a prędzej czy później złapie się niewielkie zwierzę.

- W tej klatce mają za mało miejsca do ruchu - zauważyła Pressia i pomyślała o Freedle'u.

- Nie mają się ruszać, tylko utyc.

Stworzenia skrobały pazurkami w cementową podłogę.

Wzdłuż ścian stały regały z półkami, a pomiędzy nimi znajdowały się pionowe rzędy kolejnych haków - tak ostrych, że gdyby powiesić na którymś kapelusz, zostałby przebity na wylot. Partridge przyjrzał się uważnie tym hakom, a Bradwell rzekł do niego:

- Tylko się nie ekscytuj i nie zacznij gwałtownie gestykulować, bo się na nie nadziejesz.

W przechowalni mięsa właściwie nie było wentylacji, z wyjątkiem prowizorycznego wyciągu nad piecem kuchennym.

- Sklep jest podłączony do sieci elektrycznej o słabym napięciu, której OPR używa do oświetlenia miasta - wyjaśnił Bradwell.

Pośrodku na suficie wisiała pojedyncza żarówka.

Stały tu też, przykryte wełnianymi kocami, dwa stare fotele, które Bradwell prawdopodobnie znalazł gdzieś na ulicy. Jeden wtopił się sam w siebie, drugiemu brakowało jednej poręczy i oparcia. Z obydwu wyłaziła piankowa wyściółka, którą Bradwell bezskutecznie usiłował wepchnąć z powrotem. Były zestawione razem i zapewne na nich spał. Miał niewielki zapas mięsa w puszkach kupionego na targu i trochę dzikich jagód rosnących na kolczastych krzakach w lesie.

Pressia zastanawiała się, czy go zaskoczyła, zjawiając się tak niespodziewanie. Sprzątał teraz pośpiesznie - schował rondel, wepchnął pod fotel zapasową parę butów. Czy był zakłopotany? Zdenerwowany?

Spostrzegła pod jedną ze ścian tamtą nocną szafkę. Zapragnęła otworzyć

ją i pomyszkować w środku. Na szafce leżał poradnik szlachtowania, oprawiania i przechowywania wszelkich rodzajów mięs.

- Witam w moim uroczym domu - rzekł Bradwell.

Najwyraźniej wciąż nie przyjrzał się dokładnie Partridge'owi i nie wiedział, iż ma do czynienia z Czystym z krwi i kości. Partridge nadal miał kaptur naciągnięty na głowę i twarz zakrytą szalikiem. Mocno przyciskał torbę, którą za radą Pressii ukrył pod kurtką. Dziewczynę ogarnął niepokój. Przypomniała sobie, że Bradwell nienawidzi mieszkańców Kopuły. Martwiła się, czy podjęła właściwą decyzję. Jak on zareaguje? A jeśli uzna Partridge'a za wroga?

Tymczasem gospodarz rozsunął fotele.

- Siadajcie - zachęcił Pressię i Partridge'a.

Oboje usiedli w zapadniętych fotelach. Bradwell przysunął sobie nocną szalkę i przysiadł na niej. Ujrzała koszulę na jego plecach wypchaną przez ptaki. Współczuła mu. Te ptaki są teraz częścią niego, tak jak w jej przypadku głowa lalki. Włączyły się w funkcjonowanie jego organizmu i będą żyły, dopóki on żyje. Jeśli któryś ma zranione skrzydło, czy Bradwell to czuje? Raz, w wieku dwunastu lat, spróbowała odciąć tę głowę lalki. Myślała, że zdoła się jej pozbyć. Tylko w pierwszej chwili jej rękę przeszył ostry ból. Później, gdy zagłębiła brzytwę w karku lalki w miejscu, gdzie łączył się z jej nadgarstkiem, nic nie poczuła. Lecz jasnoczerwona krew trysnęła tak gwałtownie, że Pressia się przestraszyła. Przycisnęła do rany szmatkę, która jednak szybko przesiąkła krwią. Musiała powiedzieć o wszystkim dziadkowi. Zareagował błyskawicznie; przydały się jego umiejętności właściciela zakładu pogrzebowego. Zszył ranę równo i pozostała tylko niewielka blizna.

Pressia usiadła wygodniej i chociaż skarpetka zakrywała pięść z głową lalki, to na wszelki wypadek naciągnęła jeszcze na nią rękaw swetra. Czysty uznałby to za śmieszne, być może też za oznakę słabości. A co pomyślałby Bradwell?

Zerknęła na Partridge'a i zorientowała się, że zauważył trzepot pod koszulą Bradwella. Nic nie powiedział, jednak pewnie był zszokowany. Wszystko tutaj wydaje mu się obce. Pressia miała wiele lat, by do tego przywyknąć, a on przebywał w tym świecie najwyżej od paru dni.

- Powiesz mi wreszcie, kto to jest? - zagadnął Bradwell.

- Nazywa się Partridge - rzekła i poleciała chłopcu: - Zdejmij kaptur i szalik.

Zawahał się.

- Nie obawiaj się. Bradwell jest po naszej stronie - uspokoiła go. Ale czy naprawdę? - pomyślała. Miała nadzieję, iż przekona Bradwella, że to prawda.

Partridge ściągnął kaptur i odwinął szalik. Bradwell wpatrzył się w jego twarz - pobrudzoną pyłem, ale bez blizn.

- Pokaż ręce - rzucił.

- Nie mam żadnej broni - zapewnił go chłopiec. - Oprócz zabytkowego noża.

- Nie o to chodzi - rzekł Bradwell. Twarz miał spokojną, z wyjątkiem oczu. Spoglądał na Partridge'a ostro, jakby zamierzał wycelować w niego rewolwer. - Chcę je obejrzeć.

Chłopiec podciągnął rękawy, ukazując nieskazitelną skórę. W tym widoku było coś niepokojącego i Pressia poczuła odrazę, chociaż nie była pewna dlaczego. Czy to zazdrość i nienawiść? Czy pogardzała Partridge'em z powodu jego skóry? Jednak nie mogła zaprzeczyć, że miał piękną śmietankową cerę.

Bradwell skinieniem głowy wskazał na nogi Partridge'a. Chłopiec pochylił się i podciągnął najpierw jedną nogawkę, potem drugą.

Bradwell wstał i skrzyżował ramiona na piersi. Wyraźnie wzburzony, potarł oparzelinę na karku i przeszedł się wokoło po przechowalni mięsa, omijając mieszańce wiszące na hakach. Spojrzał na Pressię.

- Przyprowadziłaś mi Czystego?

Przytaknęła.

- Wiedziałem, że jesteś inna niż wszyscy, ale...

- Sądziłam, że należę do określonego rodzaju ludzi - przerwała mu.

- Początkowo tak myślałem, ale zbeształaś mnie za to.

- Wcale cię nie zbeształam - zaprzeczyła.

- Owszem.

- Nie, nieprawda. Powiedziałam ci tylko, że nie zgadzam się ze sposobem, w jaki mnie zaklasyfikowałeś. Czy za każdym razem, gdy ktoś wyraża opinię odmienną od twojej, uważasz, że cię beszta?

- Nie. Chodzi jedynie o to, że...

- A potem przysyłasz mu złośliwy prezent urodzinowy, aby dać do zrozumienia, co o nim myślisz?

- Myślałem, że spodobało ci się to zdjęcie. Chciałem być miły.

Milczała przez chwilę.

- Och, no cóż, wobec tego dziękuję.

- Już przedtem mi podziękowałaś, ale jak rozumiem, było to ironiczne.

- Może trochę nieszczerze.

- Hm, przepraszam - odezwał się Partridge.

- Racja - rzekł Bradwell, lecz potem znów odwrócił się do Pressii. - Przyprowadziłaś do mnie Czystego. Czy to też ma być rodzaj złośliwego prezentu?

- Nie wiedziałam, dokąd moglibyśmy pójść.

- Czysty? - powtórzył Bradwell z niedowierzaniem. - Czy on w ogóle wie cokolwiek o tym, co się wydarzyło? O Wybuchu?

- Może sam ci odpowiedzieć - rzekła.

Bradwell wbił wzrok w chłopca. Może się go obawiał. A może nim pogardzał.

- A więc? - rzucił.

- Wiem to, co mi mówiono - powiedział Partridge. - Ale znam też nieco

prawdy.

- Jakiej prawdy? - spytał Bradwell.

- Wiem, że nie należy wierzyć we wszystko, co się usłyszy. - Rozpiął kurtkę i wyciągnął skórzaną torbę. - Powiedziano mi, że przed bombardowaniem sytuacja tutaj wyglądała okropnie i że zanim jeszcze zostaliśmy zaatakowani przez wroga, zaproszono do Kopuły wszystkich, ale niektórzy odmówili wejścia. Byli to ludzie agresywni, uparci, chorowici, ubodzy, niewykształceni. Ojciec powiedział mi, że moja matka usiłowała uratować kilku tych nieszczęśników.

- Nieszczęśników? - powtórzył gniewnie Bradwell.

- Zaczekaj - powstrzymała go Pressia. - Zachowajmy spokój.

- On mówi o nas! - rzekł z oburzeniem.

- Mówię o tym, czego mnie nauczono, a nie o tym, w co wierzę - oświadczył Partridge.

Na chwilę zapadła cisza. Bradwell wbił wzrok w Pressię. Przygotowała się, by odeprzeć jego atak, ale zrezygnowała i machnęła ręką.

- Dlaczego nie mówicie o nas po prostu bracia i siostry? Tak właśnie nazwaliście nas w Przesłaniu. Bracia i siostry, jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- W jakim przesłaniu? - spytał Partridge.

- Nie słyszałeś o Przesłaniu? - zdziwiła się Pressia.

Potrząsnął głową.

- Mam mu je zacytować? - spytał ją Bradwell.

- Dajmy sobie z tym spokój - powiedziała.

Jednak Bradwell odchrząknął i wyrecytował tekst Przesłania: - Nasi bracia i siostry, wiemy, że tu jesteście. Pewnego dnia wyjdziemy z Kopuły i przyłączymy się do Was w pokoju. A na razie przyglądamy się Wam życzliwie z oddali.

- Kiedy je ogłoszono? - zapytał Partridge.

- Kilka tygodni po Wybuchu - odpowiedziała Pressia, a potem zwróciła

się do Bradwella: - Niech mówi dalej.

Partridge zerknął na Bradwella, który się nie odezwał, i podjął:

- Mieszkaliśmy w tym mieście na Lombard Street. Kiedy rozległ się alarm wzywający do Kopuły, moja matka była na zewnątrz, pomagając tym... innym ludziom... próbując ich poinstruować. Mój brat i ja przypadkiem przebywaliśmy już wtedy w Kopule, na wycieczce. Ona nie zdążyła dotrzeć tam w porę. Umarła jak święta.

- Nie było żadnego alarmu - burknął Bradwell.

Pressia popatrzyła na niego ostro. m-

- Oczywiście, że był.

- Nie było alarmu. Uwierz mi.

Dziewczyna pamiętała ostrzeżenie o korkach na autostradach, lecz jedynie z relacji dziadka. Spoglądała to na Partridge'a, to na Bradwella.

- Wiem tylko, że było mało czasu, ale ogłoszono alarm. Ludzie rzucili się do Kopuły. Wybuchła panika i wiele osób zginęło.

- Wiele osób zginęło - powtórzył Bradwell. - Mówisz tak, jakby to był zwykły przypadek.

- Co mogliśmy zrobić? Usiłowaliśmy chronić siebie - powiedział Partridge tonem usprawiedliwienia. - Nie mogliśmy uratować wszystkich.

- Nie, nigdy tego nie planowano.

Przez chwilę w pokoju panowała głucha cisza, zakłócana jedynie skrobaniem pazurków szczeropodobnych stworzeń w klatce.

- Wszystko to było znacznie bardziej skomplikowane, niż myślisz - rzekł Bradwell do Partridge'a.

- To nie pora na wykład - zaproponowała Pressia. - Pozwólmy mu mówić.

- Wykład? - powtórzył Bradwell.

- Nie musisz być taki... - dziewczyna urwała, szukając odpowiedniego określenia.

- Pedantyczny? - podsunął Bradwell.

Nie wiedziała, co znaczy to słowo, ale nie spodobał jej się jego zadufany ton.

- Coś w tym rodzaju - odrzekła. - Niech mówi.

- Na razie jestem spokojny i opanowany, ale na pewno nie pedantyczny - powiedział Bradwell. - Coś jeszcze? - zapytał Pres-się. - Może chciałabyś dokonać wiwisekcji mojej osobowości? A co powiesz na operację na otwartym sercu? Mam kilka instrumentów.

Pressia roześmiała się i rozsiadła się wygodniej. Z jakiegoś nie całkiem dla niej jasnego powodu uznała to za zabawne. Bradwell był taki apodyktyczny i pewny siebie, a jednak udało jej się zaleźć mu za skórę.

- Co cię tak śmieszy? - spytał, rozkładając ręce.

- Nie wiem - odparła. - Chyba to, że jesteś niemal legendarnym bohaterem, który zdołał tyle przetrwać, ale to jest tylko... Wydaje się, że tak łatwo... wytrącić cię z równowagi.

- Wcale nie jestem wytrącony z równowagi! - zaprzeczył Bradwell i spojrzał na Partridge'a.

- Wyglądasz na nieco wytrąconego z równowagi - potwierdził chłopiec.

Bradwell znów usiadł na nocnej szafce, kilka razy odetchnął głęboko, zamknął oczy, a potem je otworzył.

- Widzicie? Jestem całkowicie opanowany.

- Co jeszcze, Partridge? Mów dalej - zachęciła Pressia.

Chłopiec potarł smugi brudu na dłoniach. Nadal trzymał na kolanach skórzaną torbę. Otworzył zamek i wyjął niewielką książeczkę oprawną w skórę.

- Kilka tygodni temu natrafiłem na rzeczy mojej matki - oznajmił. - Poczuję się, jakbym odkrył świat całkiem odmienny od tego, o którym mnie uczono. Jej rzeczy... one wciąż istniały. Trudno to wytłumaczyć... A teraz, kiedy znalazłem się tutaj, pojmuję, że to brzydota czyni piękne rzeczy pięknymi.

Pressia wiedziała, co miał na myśli: jedno nie może istnieć bez drugiego. Polubiła Partridge'a. Był szczery i otwarty, choć nie musiał, i dlatego mu

zaufała.

- Dlaczego tu przybyłeś? - zapytał Bradwell, wracając do najistotniejszego wątku,

- Po tym jak znalazłem jej rzeczy, wciąż dalej szperałem. Mój ojciec...

Partridge urwał na moment i spochmurniał. Pressia nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Może on kocha ojca, a może go nienawidzi. Trudno orzec. Być może jego ojciec jest takim rodzicem, którego się kocha, mimo iż na to nie zasługuje.

- Był jednym z liderów programu exodusu do Kopuły - podjął opowieść Partridge opanowanym beznamiętnym tonem. - Wciąż jest tam znaczącą postacią. Naukowcem i inżynierem.

Bradwell nachylił się ku niemu.

- Jak się nazywa twój ojciec?

- Ellery Willux.

Bradwell roześmiał się i potrząsnął głową.

- Willuksowie - rzekł z przekąsem.

- Znasz jego rodziców? - zapytała Pressia.

- Może gdzieś słyszałem to nazwisko - odrzekł z sarkazmem.

- Co masz na myśli? - spytał Partridge.

- Najwspanialszy i Najbystrzejszy - powiedział Bradwell. - Spójrz tylko na siebie. Pochodzisz z dobrej rodziny.

- Skąd znasz moją rodzinę?

- Pewnie to tylko zwykły zbieg okoliczności, że kiedy uderzyły eksplozje, Kopuła już istniała i jedni dostali się do niej, a inni nie. Nie sądzisz, że za tym wszystkim krył się jakiś plan i...

- Przestań - powiedziała cicho Pressia. To spotkanie musi przebiec spokojnie. Nie mogła ryzykować, że Bradwell straci panowanie nad sobą. Odwróciła się do Partridge'a. - Jak się stamtąd wydostałeś?

- Ktoś oprawił w ramki kilka fotokopii oryginalnych planów Kopuły i dał

je mojemu ojcu w prezencie na dwudziestolecie służby Przystudiowałem je - system oczyszczania powietrza i system wentylacyjny. W środku można usłyszeć pracę systemu wentylacyjnego - głębokie basowe dudnienie wprawiające w wibracje całą Kopułę. Zacząłem prowadzić dziennik. - Uniósł w górę notes w skórzanej oprawie. - Zapisywałem w nim, kiedy system się włącza i wyłącza. Potem wpadłem na pomysł, jak mogę wśliznąć się do głównego kanału, i pojąłem, że pewnego dnia o określonej porze prawdopodobnie zdołam przedostać się przez wirniki systemu cyrkulacji powietrza, kiedy będą wyłączone na trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy I że na końcu natrafię na barierę z przepuszczających powietrze włókien, które będę mógł przeciąć, i wydostanę się na zewnątrz. Tak zrobiłem. Pod koniec musiałem walczyć z potężnym prądem powietrza, który wciągał mnie z powrotem, ale ostatecznie nie zostałem posiekany przez łopaty wentylatorów.

. >

Bradwell wpatrzył się w niego przenikliwie.

- Tak po prostu wyszedłeś. I nikogo w Kopule to nie obeszło? Nikt nie szuka cię tu, na zewnątrz?

Partridge wzruszył ramionami.

- Do tej pory pewnie już nastavili kamery, żeby mnie namierzyły, ale one nigdy nie działały zbyt dobrze. Zresztą, kto wie, czy w ogóle przyjdą tu po mnie. Nikomu nie wolno opuszczać Kopuły - pod żadnym pozorem. Nawet wyprawy zwiadowcze są zabronione.

- Ale twój ojciec... - odezwała się Pressia. - Chodzi mi o to, że jeśli jest taką ważną figurą... Czy nie wyślą ludzi na poszukiwanie ciebie?

- Z ojcem nie łączy mnie silna więź. Poza tym wcześniej nigdy tego nie robiono. Dotychczas nikt nie wydostał się na zewnątrz. Nikt nawet tego nie chciał - w każdym razie nie tak mocno jak ja.

Bradwell potrząsnął głową.

- Co jeszcze jest w tej kopercie?

- Rzeczy osobiste - odrzekł Partridge. - Typowe kobiece drobiazgi. Bizuteria, pozytywka i list.

- Chętnie rzuciłbym na nie okiem - oświadczył Bradwell. - Mogą się okazać interesujące.

Chłopiec umilkł. Pressia zorientowała się, że Partridge nie ufa Bradwellowi. Podniósł kopertę z rzeczami swojej matki i włożył ją z powrotem do skórzanej torby.

- Tam nie ma niczego wartego uwagi.

- Dlatego chciałeś się tu dostać - żeby odnaleźć swoją matkę, tę „świętą”?
- rzucił Bradwell.

Partridge zignorował jego ironiczny ton.

- Kiedy zobaczyłem jej rzeczy, zacząłem powątpiewać we wszystko, co mi mówiono. Powiedziano mi, że ona nie żyje, więc w to też zwątpiłem.

- A jeśli ona rzeczywiście nie żyje? - rzekł Bradwell.

- Miałem wiele czasu, żeby przywyknąć do tej myśli - odparł Partridge ze stoickim spokojem.

- Tak jak my - powiedział Bradwell. - Większość ludzi tutaj straciła bardzo wielu swoich bliskich.

Nie wiedział o śmierci rodziców Pressii, ale był przekonany, że dziewczyna przeżyła tego rodzaju tragedię. Każdy z tych, którzy ocaleli, doświadczył czegoś podobnego. Partridge również nie wiedział nic o niej ani o tym, kogo utraciła, a ona nie miała ochoty teraz mu tego wyjawiać.

- Partridge musi znaleźć ulicę Lombard. Mieszkał tam z rodzicami. Może przynajmniej od tego zacząć - rzekła do Bradwella. - Potrzebuje starego planu miasta.

- Dlaczego miałbym mu pomóc?

- Może on będzie mógł pomóc nam.

- Nie potrzebujemy jego pomocy.

Partridge się nie odzywał. Bradwell usiadł wygodniej i zmierzył

spojrzeniem ich oboje. Pressia nachyliła się ku niemu.

- Może ty nie potrzebujesz, aleja tak - oświadczyła.

- Czego od niego oczekujesz?

- Wsparcia. Chodzi o OPR. Może mogłabym zniknąć z ich listy. A mój dziadek jest chory. Mam na świecie tylko jego. Jeśli nie uzyska pomocy medycznej, jestem pewna, że...

Urwała, czując narastającą panikę. Jakby już samo wypowiedzenie na głos jej obaw - że dziadek umrze, ona zaś zostanie przewieziona do siedziby OPR, gdzie z powodu jej kalekiej dłoni uznają ją za bezużyteczną - mogło je urzeczywistnić. W ustach poczuła suchość. Wydawało się, że nie zdoła tego wymówić, ale wyrzuciła z siebie te słowa:

- Jestem pewna, że sobie nie poradzimy.

Bradwell ze złością kopnął szafkę. Przestraszone ptaki na jego plecach, nie mogąc odfrunąć, zaczęły szaleńczo bić skrzydłami pod koszulą. Kiedy spojrzał na Pressię, zrozumiała, że się poddał. Być może nawet uczynił to ze względu na nią.

Nie potrzebowała jego współczucia. Nie znosiła litości. Powiedziała szybko:

- Potrzebujemy tylko planu miasta. Damy sobie radę.

* *

Bradwell z powątpiewaniem potrząsnął głową.

- Nic się nam nie stanie - zapewniła go.

- Ty może sobie poradzisz, ale on nie. Nie przywykł do tutejszych warunków. Byłoby szkoda, gdyby Grupy rozwaliły łeb temu idealnemu Czystemu.

- Dzięki za to wotum zaufania - odezwał się Partridge.

- Jaka to ulica? - spytał Bradwell.

- Lombard - odrzekł chłopiec. - Lombard Street 1050.

- Jeżeli ona jeszcze istnieje, zaprowadzę cię tam. A potem może

powinieneś wrócić do domu i tatusia.

Rozzłoszczony Partridge pochylił się naprzód.

- Nie potrzebuję żadnej...

- Weźmiemy plan - przerwała mu Pressia. - Jeśli możesz zaprowadzić nas na Lombard Street, to świetnie.

Bradwell popatrzył na Partridge'a, czekając, by dokończył zdanie. Chłopiec jednak widocznie pojął, że Pressia ma rację. Powinni skorzystać z wszelkiej możliwej pomocy.

- Tak - mruknął. - Byłoby wspaniale, gdybyś nas tam zaprowadził. Nie prosimy o nic więcej.

- W porządku - rzekł Bradwell. - Ale to nie będzie łatwe. Jeżeli na tej ulicy nie stały jakieś ważne duże budynki, nigdy jej nie znajdziemy. A jeśli przebiegała w pobliżu śródmieścia, jest teraz częścią Gruzowisk. Nie mogę niczego zagwarantować.

Przykucnął i otworzył nocną szafkę. Przez kilka chwil ostrożnie przekładał w niej papiery, po czym wyjął podarty plan miasta, przetarty i wystrzępiony w miejscach złożenia.

- Lombard Street - powiedział.

Rozłożył plan na podłodze. Partridge i Pressia uklękli obok. Powiódł palcem wzdłuż siatki współrzędnych z boku, a potem wskazał kwadrat 2E.

- Znalazłeś? - spytała dziewczyna i nagle poczuła nadzieję, że ten dom wciąż stoi.

Wyobraziła sobie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, że ulica wygląda jak dawniej: równy szereg dużych domów z białymi kamiennymi schodkami, ozdobnymi drzwiami i oknami z firankami, za którymi widać piękne pokoje; rowery przykute do frontowych bram, ludzie wyprowadzający psy na spacer i pchający wózki dziecięce. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek wcześniej pozwoliła sobie na taką nadzieję. Być może miało to związek z Czystym, jakby jego ufność była zaraźliwa.

Bradwell zatrzymał palec na punkcie przecięcia linii.

- Czy zawsze tak dopisuje ci szczęście? - zapytał Partridge'a.

- Co? Znalazłeś ją?

- Wiem, gdzie jest ta ulica - oznajmił Bradwell.

Wstał i wyszedł z przechowalni mięsa do sąsiedniego większego pomieszczenia. Uklęknął przy zwalonej ścianie i odsunął kilka cegieł, odsłaniając skrytkę pełną broni - haków, noży i tasaków rzeźniczych. Wyjął kilka sztuk i przyniósł z powrotem do chłodni. Wręczył jeden nóż Partridge'owi i jeden Pressii. Dziewczyna z przyjemnością poczuła w ręce ciężar noża, chociaż wolała nie myśleć, do czego używano go w sklepie rzeźniczym - ani do czego później służył Bradwellowi.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnił i wsunął inny nóż oraz hak w pętle wszyte w podszewkę swojej kurtki. Potem uniósł w górę przedmiot przypominający rewolwer. - Znalazłem także mnóstwo tych paralizatorów. Z początku pomyślałem, że to pompki do rowerów. Zamiast pocisków mają nabój z ładunkiem elektrycznym. Ogłuszano nimi krowy i świnie, przytykając je do głowy zwierzęcia. Są doskonałe do walki wręcz. Przydadzą się, jeśli zaatakują nas Grupony.

- Mogę go obejrzeć? - poprosił Partridge.

Bradwell podał mu paralizator, a chłopiec ujął go delikatnie, jakby to było małe zwierzątko.

- Pierwszy raz posłużyłem się nim właśnie przeciwko Gru-ponom - oświadczył Bradwell. - Wyciągnąłem tę broń zza paska i pośród plątaniny ciał namacałem jedną z czaszek. Pociągnąłem za spust i głowa przeciwnika natychmiast zwiotczała. Grupony musiały odczuć nagły szok śmierci poprzez ich wspólne komórki

«_ ciała. Wycofały się i zaczęły powoli krążyć dookoła, jakby usiłowały pozbyć się trupa, którego głowa zwisała i kołysała się bezwładnie. Wtedy uciekłem.

- Nie wiem, czy zdobyłabym się na coś takiego - wyznała Pressia, spoglądając na trzymany w rękach nóż.

- Kwestia życia lub śmierci - rzekł Partridge. - Myślę, że na pewno byś to zrobiła.

- Może nie potrafię oprawić krowy - odezwał się Bradwell - ale poznałem te narzędzia nie gorzej od każdego rzeźnika - jako broń umożliwiającą przetrwanie.

Pressia wetknęła nóż w szlufkę paska spodni. Wolałaby go użyć do cięcia drutu i wykonywania małych nakręcanych zabawek niż do zabijania kogokolwiek.

- Dokąd pójdziemy? - spytała.

- Do kościoła - odrzekł Bradwell. - Zachowała się jego krypta. - Przerwał i wpatrzył się w ścianę przechowalni mięsa, jakby przenikał ją wzrokiem. - Czasami tam chodzę.

- Żeby się modlić? - spytała Pressia. - Wierzysz w Boga?

- Nie - odparł. - To po prostu bezpieczne miejsce. Solidna budowla o grubych ścianach.

Pressia nie była pewna, co sama myśli o Bogu. Wiedziała jedynie, że większość ludzi wokół niej odrzuciła ideę religii i wiary, chociaż niektórzy nadal odprawiali obrzędy religijne na swój własny sposób, a inni błędnie uważali Kopułę za wersję raję.

- Słyszałam pogłoski o ludziach, którzy zbierają się razem, palą świece i coś spisują. Czy oni się tam spotykają?

- Tak sądzę - odrzekł Bradwell, składając plan miasta. - Znajduję ślady po nich - wosk i drobne ofiary.

- Nigdy nie żywiłam nadziei, że mogłabym uzyskać cokolwiek dzięki modlitwom - oświadczyła Pressia.

Bradwell chwycił płaszcz wiszący na metalowej szynie nad jego głową.

- Oni właśnie o to się modlą. O nadzieję.

EL CAPITAN

KARABINY i TKANINA MARKIZY WYTARŁA SIĘ i pozostały jedynie aluminiowe pręty przytwierdzone śrubami do ściany szpitala. El Capitan popatrzył w górę przez osmalony metalowy szkielet markizy na szare niebo. „Pressia Belze” - to trudne nazwisko. Dlaczego Ingership dostał nagle obsesji na punkcie ocalałej dziewczyny Pressii Belze? El Capitanowi nie podobało się to nazwisko - sposób, w jaki przeciągle brzęczało mu w ustach. Zrezygnował z szukania jej. Uznał, że włóczenie się po ulicach nie należy do jego obowiązków, więc przed godziną wrócił do kwatery głównej i ponownie wysłał swoich ludzi. Teraz zastanawiał się, czy nie zapłaci słono za tę decyzję. Czy ci idioci potrafią bez niego odnaleźć tę dziewczynę? Szczerze w to wątpił.

Krzyknął do radiotelefonu:

- Macie ją? Odbiór.

Aparat milczał.

- Słyszycie mnie? Odbiór.

Nadal cisza.

- Znowu głuchy - mruknął El Capitan.

A jego brat Helmud wymamrotał:

- Znowu głuchy.

Helmud miał tylko siedemnaście lat, dwa lata mniej od El Capitana, i zawsze był od niego drobniejszy. Kiedy zaczęły się eksplozje, El Capitan i Helmud byli w wieku odpowiednio dziesięciu i ośmiu lat. I właśnie wtedy Helmud wtopił się w plecy El Capitana. Wygląda to tak, jakby El Capitan stale nosił go na barana. Helmud ma własny tułów, ale reszta wniknęła w ciało brata - guzowate kości i mięśnie ud tworzą gruby pas obejmujący dolny odcinek pleców El Capitana. Jechali razem motocyklem terenowym - Helmud na tylnym siodelku, trzymając się starszego brata - gdy eksplodowała najbliższa biel i uderzył w nich podmuch żaru. El Capitan wcześniej sam wyremontował silnik

motocykla. Teraz chude ramiona Helmuda oplatają jego gruby kark.

Radiotelefon zatrzeszczał i ożył. El Capitan usłyszał dźwięki radia ciężarówki i wysilony ryk silnika, jakby pojazd pokonywał wzgórze. W końcu przez hałas przebił się głos funkcjonariusza:

- Nie. Aleją złapiemy. Niech mi pan zaufa. Odbiór.

Zaufać ci? - pomyślał El Capitan. Wepchnął radiotelefon do kabury i zerknął do tyłu na brata.

- Nikomu nie ufam. Nawet tobie.

- Nawet tobie - powtórzył szeptem Helmud.

Jednak El Capitan zawsze musiał ufać Helmudowi. Od bardzo dawna mieli tylko siebie. W gruncie rzeczy nigdy naprawdę nie poznali ojca, a kiedy El Capitan miał dziewięć lat, matka zmarła na gripę wirusową w szpitalu - takim jak ten, przed którym teraz stał.

Wrzasnął przez radiotelefon:

- Jeśli jej nie złapiecie, Ingership dobierze się nam do dupy. Nie schrzańcie tego. Odbiór.

Było już późno. Księżyc zasnuwała szara mgła. El Capitan rozważył pójście do kuchni, żeby zobaczyć, czy Vedra jeszcze pracuje. Lubił patrzeć na nią uwijającą się pośród kłębów pary ze zmywarki do naczyń. Mógłby jej kazać, aby zrobiła mu kanapkę. Był przecież najwyższym rangą funkcjonariuszem tutaj, w kwaterze głównej. Wiedział jednak, jak to pójdzie z Vedrą. Pogawędzą, gdy będzie kroїła mięso. Ręce miała obtarte od ciężkiej pracy. Odsłaniała tylko te ręce, ale starannie zakrywała resztę ciała pokrytego bliznami i czerwonymi oparzelinami. Będzie z nim rozmawiała łagodnym głosem, ale w końcu jej spojrzenie prześlizgnie się ukradkiem ku twarzy jego brata, która zawsze tam jest, zawsze gapi się tępo nad jego ramieniem. Nienawidził, jak ludzie w trakcie rozmowy z nim nie mogą się powstrzymać i zerkają na Helmuda, na tę durną kukłę podrygującą na jego plecach. Narastała w nim wściekłość - tak ostra i gwałtowna, że mógłby stracić panowanie nad sobą i wybuchnąć. Czasami w

nocy, nasłuchując spokojnego głębokiego oddechu brata, wyobrażał sobie, że przewraca się na plecy i dusi go na dobre. Wiedział jednak, że gdyby Helmud umarł, on też umrze. Byli zanadto zrośnięci ze sobą, by jeden zdołał przeżyć śmierć drugiego. Niekiedy ta śmierć wydawała się tak nieuchronna, że El Capitan nie mógł się już jej doczekać.

Zdecydował, że zamiast spotkać się z Vedrą w oparach kuchni, pójdzie do lasu - a raczej do tego, co z niego zostało i co teraz powoli odrasta - i sprawdzi swoje potrzaski. Przez dwa dni z rzędu były okradane. Niewątpliwie coś się w nie łąpało, ale potem zjawiało się coś innego i pożerało jego zdobycz.

Wyszedł na tyły kwatery głównej. Na jałowym piaszczystym polu znajdowały się fortyfikacje z drewnianych desek i kawałków metalu oraz kamienny mur zwieńczony kolczastym drutem. Dalej stały ruiny domów. W jednym zachował się rząd kolumn; dwie z nich nie podtrzymywały już niczego oprócz zasnutego sadzami nieba. Nade wszystko uwielbiał właśnie niebo. Dawno temu, w dzieciństwie, chciał zostać pilotem wojskowym. Niegdyś wiedział wszystko o lataniu; miał zbiór książek z tej dziedziny i starą symulacyjną lotniczą grę wideo, w której przelatał treningowo wiele godzin. Nie wiedział za to nic o swoim ojcu, z wyjątkiem tego, że służył w siłach powietrznych jako pilot myśliwca i został zwolniony z powodu zaburzeń psychicznych. „Był cholernym wariatem - mawiała o nim matka. - Całe szczęście, że od nas odszedł”. Odszedł dokąd? El Capitan nie miał pojęcia. Ale wiedział, że pod pewnymi względami jest podobny do ojca - też pragnie latać i jest szalony. Przeżyciem najbardziej zbliżonym do lotu była ta pamiętna jazda motocyklem terenowym, gdy podskoczył na wyboju, a potem wyfrunął w powietrze. El Capitan nie lubił o tym myśleć.

Nie został pilotem, ale jest policjantem i odpowiada za selekcję nowych rekrutów. Decyduje o tym, którzy nadają się do szkolenia, a którzy nie. Zdatnych kieruje do placówek deedukacyjnych, gdzie ogałaca się nieco ich psychikę, aby skwapliwiej wykonywali rozkazy i nie byli skłonni do wzniesienia

zamętu. Słabych zabija, a nielicznych spośród nich przetrzymuje w starej zagrodzie dla bydła na terenach kwatery głównej. Raporty ze swoich działań wysyła bezpośrednio do Ingershipa przez jego osobistych kurierów.

Czasami Ingership przysyłał El Capitanowi żywność, aby karmił nią najsłabszych rekrutów - skręcone kolby kukurydzy, blade pomidory, w których było więcej pyłu niż mięszu, nieokreślony gatunek mięsa. El Capitan relacjonował później Ingershipowi, po czym wymiotują, a po czym nie. Nie pytał, skąd pochodzą te produkty. Sam również przeprowadzał na najsłabszych rekrutach eksperymenty dla własnych celów - dawał im do jedzenia leśne jagody, smardze, zioła, które miały być bazylią lub miętą, lecz ich nie przypominały. Niekiedy wątli rekruci chorowali, czasem umierali. Zdarzało się jednak, że zjedzenie czegoś im nie szkodziło, a wtedy El Capitan zbierał to i dzielił się z Helmudem.

Od czasu do czasu Ingership polecał rozegrać Grę, czyli wypuścić jednego z wątłych rekrutów, aby El Capitan mógł ścigać go jak chorego jelenia. El Capitan wmawiał sobie, że w gruncie rzeczy jest to wobec nich akt łaski. Po co kazać im cierpieć w zagrodzie? Lepiej ją zlikwidować. W istocie właśnie tak chciałby rozwiązać ten problem. Gra przypominała mu, jak w dzieciństwie polował na wiewiórki w lesie w pobliżu swego domu - jednak nie wyglądało to tak samo. Nic obecnie nie było takie jak kiedyś. Ingership już od jakiegoś czasu nie zlecił Gry i El Capitan miał nadzieję, że zapomniał o niej i nigdy więcej jej nie zarządzi. Ingership stał się ostatnio nieobliczalny. Nie dalej jak wczoraj sformował własny zespół Szału Śmierci, który miał atakować wszystkich bez ostrzeżenia.

Zmierzając w kierunku lasu, El Capitan minął zamkniętą zagrodę - wielkości siedem na siedem metrów, otoczoną siatką drucianą, z cementową podłogą. Rekruci tłoczyli się ściśnięci w jednym kącie. Drżeli i jęczeli, dopóki nie usłyszeli odgłosu jego kroków. Wówczas zaczęli uciszać się nawzajem i szybko umilkli. Widział ich dziwnie poskręcane członki, lśnienie wtopionych

kawałków rozmaitych metali, błyski szkła. Właściwie niewiele pozostało w nich z ludzi, kiedy im się uważniej przyjrzeć, uświadomił sobie” lecz mimo to odwrócił wzrok, kiedy tamtędy przechodził.

- Gdyby nie łaska Boga, Helmud, mógłbyś też się tam znaleźć - powiedział.

- Mógłbyś też się tam znaleźć - powtórzył brat.

- Zamknij się, Helmud.

- Zamknij się.

Nie wiedział, dlaczego Ingership tak się podekscytował sprawą tej nowej rekrutki Pressii Belze. Ingership chciał, żeby tę dziewczynę zaraz po jej przybyciu awansowano na oficera. El Capitan miał oczekiwać związanych z nią nadzwyczajnych rozkazów dotyczących specjalnej misji, a na razie powinien „umieścić ją w zagrodzie”. El Capitan nie był pewien, co to dokładnie znaczy ani ile on sam powinien wiedzieć. Na przykład, czy powinien wiedzieć, że tak naprawdę jest tylko urzędnikiem średniego szczebla? Czy powinien wiedzieć, że dowodzona przez niego milicja - trzy okręgi po pięć tysięcy ludzi w każdym oraz jeszcze trzy tysiące poddawanych deedukacji - niezależnie od tego, jak będzie liczna i silna, nigdy nie zdoła opanować Kopuły? Kopuła jest potężnie uzbrojona i nie do zdobycia. Czy Ingership wie, że El Capitan stracił zapał? Porzucił już myśli o tym, że pewnego dnia otworzy ogień do swoich Czystych „braci i sióstr”. Obecnie starał się jedynie przetrwać.

Słyszał właśnie ze zdolności przetrwania. Radził sobie sam, odkąd w wieku dziewięciu lat stracił matkę, i jeszcze w dodatku musiał opiekować się młodszym bratem. Mieszkali obydwaj w fortecy, którą zbudował w lesie otaczającym ich dawny dom. Zdobywał pieniądze, jak tylko potrafił, ubijając rozmaite interesy, i zgromadził mnóstwo broni i amunicji, w tym również tę pozostawioną przez ojca.

- Pamiętasz wszystkie nasze karabiny? - rzekł do Helmuda, przedzierając się między drzewami; z tyłu za nim majaczyła kwatera główna.

Czasami El Capitana ogarniała głęboka nostalgia za tymi karabinami.

- Karabiny - powiedział Helmud.

Przed Wybuchem w tych lasach żyło wielu twardych outsiderów. Pewien sąsiad, stary człowiek, który brał udział w jednej albo nawet dwóch wojnach, nauczył go, jak ukrywać broń i amunicję. El Capitan zastosował się do wszystkich zaleceń Starego Zande-ra. Kupił rurę z PCW 40 - polichlorku winylu - o średnicy piętnastu centymetrów, z zaślepkami na końcach, oraz trochę rozpuszczalnika do PCW. Potem pewnego popołudnia pod koniec zimy on i Helmud w ich domu rozłożyli na części swoje karabiny. El Capitan pamiętał, że śnieg z deszczem zacinał w okna i stukał o szyby. Obaj bracia natarli części karabinów smarem antykorozyjnym, przez co zarówno broń, jak i ich ręce nabrały matowego połysku. Helmud pociął na kawałki aluminiowaną folię Mylar i zawinął w nie lufy, osady, mechanizmy sprężynowe spustów, osłony, magazynki, celowniki, podpórki i kilka tysięcy pocisków kalibru.223 razem z pakietami wysuszającego żelu silikonowego. To ostatnie było pomysłem El Capitana. Znalazł te pakiety w szafie matki, w pudłach ze starymi pantoflami na wysokich obcasach. Helmud szczelnie zamknął torebki, zgrzewając ich krawędzie żelazkiem. Zapakowali je próżniowo, posługując się odkurzaczem Shop-Vac, pożyczonym od Zandera.

Spakowali sześć małych puszek trichloroetanu, przeznaczonych do późniejszego odtłuszczenia broni, a także wyciory, szmatki, rozpuszczalnik Hoppe's nr 9, rusznikarski olej antykorozyjny, smar, komplet gwintowników i wyszmelcowany poradnik posiadacza broni. Następnie okleili to wszystko taśmą monterską.

Włożyli torebki z amunicją, częściami karabinów i przyborami do rury. Szczelnie zamknęli zaślepki i wtedy Helmud zaproponował:

- Powinniśmy wymalować na niej nasze inicjały.

- Myślisz? - rzucił El Capitan.

I tak zrobili. Sądziли wówczas, że mogą zginąć, zanim odko-pią rurę, więc

jeśli w ogóle ktoś ją kiedyś znajdzie, zdobędą ulotną pośmiertną sławę. Helmud grubym czarnym markerem napisał na niej H.E.C., skrót od Helmud Elmore Croll. Jeśli zaś chodzi o El Capitan, było to przezwisko, które nadała mu matka przed pójściem do szpitala. Powiedziała: „Do mojego powrotu ty będziesz dowodził, El Capitan”. Ale nigdy nie wróciła. Tak więc napisał swoje inicjały E.C.C. - El Capitan Croll - godząc się, by jego prawdziwe imię umarło na zawsze.

Zander pożyczył im przyrząd do wkopywania pali, którym pogłębili jamę po korzeniach zwalonego dębu. Zakopali rurę pionowo, aby trudniej ją było znaleźć za pomocą wykrywacza metali. El Capitan wyrysował mapkę, odliczając kroki, ponieważ tak poradził Stary Zander, „na wypadek gdyby wybuch zmiotł z powierzchni ziemi wszystkie punkty orientacyjne”. El Capitan uważał, że Zander jest szalony, ale postąpił zgodnie z jego sugestią. Później nigdy już go nie spotkał ani nawet nie szukał.

Po Wybuchu El Capitan sądził, że Helmud umrze na jego plecach, sam też czuł się kiepsko. Był poparzony, cały w pęcherzach i zakrwawiony. Wrócił jednak do lasu w pobliżu ich domu, znalazł metalową część łopaty i odliczył z pamięci kroki. Plan już dawno zaginął. Zaczął kopać, trzymając ostrze łopaty w rękach i mając na plecach umierającego brata.

Kiedy odnalazł karabiny, pomyślał, żeby strzelić w głowę Helmudowi, a potem sobie i skończyć z tym wszystkim. Czuł jednak przez swoje żebra bicie serca brata i to nie pozwoliło mu pociągnąć za spust.

Przetrwali właśnie dzięki tym karabinom. Nie tyle używając ich - chociaż w pierwszych miesiącach El Capitan musiał zabijać ludzi, żeby przeżyć - ile przede wszystkim wykorzystując je jako argument, by zdobyć znaczącą pozycję w OPR. Wtedy już Operacja Poszukiwawczo-Ratownicza przekształciła się w Organizację Przenajświętszej Rewolucji i poszukiwała młodych zapalonych rekrutów, niemających nic do stracenia. Poza tym przyłączenie się do OPR oznaczało, że on i Helmud nie będą głodować.

Las tutaj wciąż był wypalony, a drzewa zwalone i osmalone. Niektóre przetrwały Wybuch, lecz straciły gałęzie; konary innych, wygięte na stałe w dół przez podmuch eksplozji, chyliły się ku ziemi, zamiast wystrzelać w niebo, jakby drzewa usiłowały się nimi podeprzeć. Poszycie się odrodziło, walcząc o dostęp do zaćmionego popiołami słońca. Spomiędzy korzeni drzew z wolna wyrastało ściernisko - dziwaczne nowe krzewy, do których El Capitan nie potrafił przywyknąć. Miały małe trujące jagody, a ich liście czasami były pokryte łuskami. Raz natrafił na wyrastający spod spalonego klonu niski krzak o liściach pokrytych puchowym futrem. Nie meszkciem, lecz prawdziwym futrem.

Przechodził od jednej pułapki do drugiej, zapuszczając się coraz głębiej w las. Wszystkie zostały obrabowane. Nie dostrzegł nawet plamki krwi - za to widział skóry i kości, niektóre pęknięte i wysysane do czysta ze szpiku. Był jednak bardziej skonsternowany niż wściekły. To nie miało sensu. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego stworzenia, które zrobiłoby to tak starannie, i to go irytowało.

Gdy znalazł się kilka metrów od ostatniej pułapki, dobiegł go hałas - niskie basowe buczenie. Przystanął:

- Słyszałeś? - spytał brata, choć w gruncie rzeczy było to mówienie do siebie.

Buczenie stopniowo ucichło, jakby coś oddalało się z wielką prędkością. Czy to był odgłos silnika? Wydawał się na to zbyt czysty i zbyt szybko zanikł.

El Capitan podszedł do ostatniej pułapki i zobaczył martwą zdziczałą kure, tłustą i oskubaną do czysta. Ale nie tkwiła w potrzasku, który zresztą był rozwarty, tylko leżała obok. Najwyraźniej ktoś zabił ją, ukręcając jej łeb. Wyglądało to tak, jakby była prezentem dla El Capitana. Szturchnął ją bambusowym kijem, a potem podniósł i ujrzał ułożone pod nią, niczym w jakimś dziwacznym żarcie, trzy brązowe jajka, jedno z nich nakrapiane.

Podniósł jajo i zważył na dłoni. Widocznie ktoś w ten sposób próbuje się z nim skontaktować.

Kiedy ostatni raz widział jajko, a co dopiero trzymał je w ręku? Pewnie jeszcze przed Wybuchem, gdy matka była w domu i kupowała jaja w styropianowych pojemnikach.

Te jajka i kura wydały się mu osobliwym cudem i z jakiegoś powodu przypomniawszy sobie, jak odkopywał tamtą rurę z polichlorku winylu. To było niczym wyciągnięcie długiej białej kości z ziemi, która w dotyku wydawała się jeszcze pulchna i miękka. Znalazł wtedy ułomek swojej ręcznej piły. Wytarł rurę z błota i odpiłował zaślepki. Cała zawartość wysunęła się z niej, tak jak obaj planowali - z tą różnicą, że brat był stopiony z jego plecami. El Capitan wiedział, że Helmud nie umrze i że już zawsze będzie musiał dźwigać na grzbiecie to brzemię.

Niekiedy przypominał sobie odgłos ześlizgiwania się broni wewnątrz rury z PCW, ciężar torebek z folii Mylar, ostre trzaski, gdy składał karabiny, jeden po drugim - i czuł, że kocha Helmuda równie mocno, jak go nienawidzi. Miał wrażenie, że nie poradziłby sobie bez niego. Ciężar brata uczynił go silniejszym.

Buczenie powróciło i El Capitan przykucnął nisko, a potem położył się płasko w zaroślach. Brat na jego plecach chyba cicho szlochał. Czasami Helmud płakał bez powodu.

- Zamknij się - szepnął El Capitan. - Zamknij się, Helmud. Wszystko w porządku. Zamknij się.

I wtedy ujrzał te stworzenia - ludzkie, a zarazem nieludzkie - poruszające się szybko między drzewami. dla El Capitana. Szturchnął ją bambusowym kijem, a potem podniósł i ujrzał ułożone pod nią, niczym w jakimś dziwnym żarcie, trzy brązowe jajka, jedno z nich nakrapiane.

Podniósł jajo i zważył na dłoni. Widocznie ktoś w ten sposób próbuje się z nim skontaktować.

Kiedy ostatni raz widział jajko, a co dopiero trzymał je w ręku? Pewnie jeszcze przed Wybuchem, gdy matka była w domu i kupowała jaja w styropianowych pojemnikach.

Te jajka i kura wydały się mu osobliwym cudem i z jakiegoś powodu przypomniawszy sobie, jak odkopywał tamtą rurę z polichlorku winylu. To było niczym wyciągnięcie długiej białej kości z ziemi, która w dotyku wydawała się jeszcze pulchna i miękka. Znalazł wtedy ułomek swojej ręcznej piły. Wytarł rurę z błota i odpiłował zaślepki. Cała zawartość wysunęła się z niej, tak jak obaj planowali - z tą różnicą, że brat był stopiony z jego plecami. El Capitan wiedział, że Helmud nie umrze i że już zawsze będzie musiał dźwigać na grzbiecie to brzemię.

Niekiedy przypominał sobie odgłos ześlizgiwania się broni wewnątrz rury z PCW, ciężar torebek z folii Mylar, ostre trzaski, gdy składał karabiny, jeden po drugim - i czuł, że kocha Helmuda równie mocno, jak go nienawidzi. Miał wrażenie, że nie poradziłby sobie bez niego. Ciężar brata uczynił go silniejszym.

Buczenie powróciło i El Capitan przykucnął nisko, a potem położył się płasko w zaroślach. Brat na jego plecach chyba cicho szlochał. Czasami Helmud płakał bez powodu.

- Zamknij się - szepnął El Capitan. - Zamknij się, Helmud. Wszystko w porządku. Zamknij się.

I wtedy ujrzał te stworzenia - ludzkie, a zarazem nieludzkie - poruszające się szybko między drzewami.

PARTRIDGE ŚPIEWY

NA ULICY BRADWELL RUSZYŁ naprzód długim, szybkim krokiem. Pressia podążała za nim, a na końcu szedł Partridge. Bradwell ani razu nie obejrzał się na Partridge'a, natomiast Pressia zerknęła na niego przez ramię. Chłopiec zastanawiał się, co ona o nim myśli. Czy jest dla niej tylko pionkiem, którym zamierza się posłużyć? Czy rzeczywiście, jak powiedziała, zależy jej wyłącznie na tym, by zniknąć z tej listy OPR, cokolwiek to znaczy, i zapewnić opiekę swojemu dziadkowi? Jeśli tak, to w porządku. Ona pomoże jemu, a on jej - jeśli zdoła. Poza tym dowiodła, że ma dobre serce. Uratowała mu życie, zanim

jeszcze dowiedziała się, kim on jest i co może dla niej zrobić. Ufał tej dziewczynie, a to najważniejsze.

Wiedział też, że Bradwell go nienawidzi i ma mu za złe przywilej mieszkania w Kopule. Partridge wcale się temu nie dziwił. Żywił jedynie nadzieję, że Bradwell nie darzy go aż taką nienawiścią, by pozwolić, aby jak to ujął, Grupony rozwaliły mu łeb. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie realność owego zagrożenia.

Bradwell przystanął i spojrzał w głąb alei, aby się upewnić, że jest pusta.

Powiał zimniejszy wiatr. Partridge szczelniej opatulił się swoją kurtką.

- Więc tak tu jest w zimie, co? - zagadnął do Pressii.

- Nie - odparła. - W zimie jest zimno.

- Ale przecież teraz właśnie jest zimno - zaproponował.

- To jeszcze nie jest prawdziwy zimowy mróz.

- Chciałbym zobaczyć całą tę okolicę przykrytą śniegiem - oświadczył.

- Śnieg jest czarny. Zanim spadnie na ziemię, już jest zanieczyszczony.

Bradwell zawrócił.

- Oni są zbyt blisko - zawyrokował. Partridge nie miał pojęcia,

0kim mówił. - Musimy zejść pod ziemię. Tędy.

- Pod ziemię? - powtórzył zaskoczony chłopiec.

Nie lubił podziemi. Nawet w piwnicy biblioteki akademii łatwo się gubił, pozbawiony punktów orientacyjnych, słońca, księżyca, gwiazd. Jednak tutaj jednym ze stałych punktów odniesienia była sama Kopuła, jaśniejsza od wszystkiego innego na niebie. Jej lśniący krzyż zdawał się wskazywać wprost na niebiosa - chociaż Partridge podobnie jak Pressia miał mglisty i nieokreślony stosunek do religii.

- Skoro on każe zejść pod ziemię, widocznie to najlepsza droga - powiedziała Pressia.

Bradwell wskazał kwadratowy otwór kanału ściekowego w rynsztoku. Jego metalowa kratka dawno zniknęła, prawdopodobnie skradziona. Wsunął tam

najpierw nogi, a potem opuścił się na dół. Dziewczyna wślizgnęła się za nim. Jej buty zastukały głośno o cement. Partridge zszedł ostatni. Na dole panowały mrok i wilgoć. Było tyle kałuż, że nawet nie próbował ich omijać. Musieli po prostu przejść przez nie, rozbryzgując wodę. Co jakiś czas widział cienie czmychających stworzeń, słyszał piski i świergoty.

- Ale mówiąc poważnie - odezwał się - dlaczego zeszliśmy tu na dół?

- Słyszałeś śpiewy, prawda? - rzucił Bradwell.

- Owszem - odrzekł Partridge. - Co jest złego w przyjęciu weselnym?

Bradwell przystanął, odwrócił się i popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- W przyjęciu weselnym?

Chłopiec spojrzał na Pressię.

- Mówiłaś, że...

- Chyba rzeczywiście mu powiedziałam, że te śpiewy dobiegają z jakiegoś wesela - rzekła do Bradwella.

- Dlaczego go okłamałaś? - zapytał.

- Nie wiem. Może chciałam, żeby to była prawda. Może należę do takiego rodzaju ludzi - wyjaśniła, a potem zwróciła się do Partridge'a: - To nie wesele, tylko rodzaj gry. Sport w wersji OPR.

- Ach, czyli nic groźnego - rzekł. - My w Kopule także uprawiamy rozmaite sporty. Byłem pomocnikiem w odmianie gry zespołowej, którą dawniej nazywano futbolem.

- To jest krwawy sport, noszący nazwę Szał Śmierci, wykorzystywany przez OPR do usuwania ze społeczeństwa słabszych jednostek. W gruncie rzeczy to jedyna tutejsza dyscyplina sportowa, o ile w ogóle można ją nazwać sportem - wyjaśnił Bradwell, znów ruszając szybko naprzód. - Zdobywa się w niej punkty za zabijanie ludzi.

- Lepiej zejść im z drogi - powiedziała Pressia, a potem, sama nie wiedząc dlaczego (może aby wyrzeć wrażenie na Partridge'u), dodała: - Ty byłbyś wart

dziesięć punktów.

- Tylko dziesięć? - spytał chłopiec.
- Właściwie dziesięć to komplement - rzucił Bradwell przez ramię.
- No cóż, w takim razie wielkie dzięki - powiedział Partridge.
- Gdyby odkryli, że jesteś Czystym, kto wie, co by z tobą zrobili - rzekła Pressia.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Partridge rozmyślał o tym, co niedawno powiedział do niego Bradwell w przechowalni mięsa. „Tak po prostu wyszedłeś. I nikogo w Kopule to nie obeszło? Nikt nie szuka cię tu, na zewnątrz?”. Z pewnością go szukają. I przesłuchują chłopców z akademii, którzy jako ostatni go widzieli, a może także jego nauczycieli; każdego, komu mógłby się zwierzyć. Przede wszystkim Łydeę. Zastanawiał się, co jej zrobili.

A tutaj w podziemiach są cuchnące kałuże, wilgoć i nieruchome zatęchłe powietrze. Nie skarżył się, ale to wszystko wytrącało go z równowagi. Toteż poczuł ulgę, gdy Bradwell oznajmił:

- Lombard Street. Powinna być dokładnie nad nami. Gotowy?
- Oczywiście - odpowiedział Partridge.
- Zaczekaj - rzekła do niego Pressia. - Nie spodziewaj się zbyt wiele. Czy wyglądał na aż tak naiwnego?
- Poradzę sobie.
- Nie rób sobie wielkich nadziei - powiedziała.

Obrzuciła go spojrzeniem, którego nie potrafił rozszyfrować. Czy mu współczuje? Czy jest trochę zagniewana? A może martwi się o niego?

- Nie robię sobie wielkich nadziei - odrzekł.

Wiedział, że kłamie. Pragnął coś znaleźć - jeśli nie matkę, to przynajmniej jakiś ślad, który mógłby go do niej zaprowadzić. Jeżeli nie znajdzie niczego, nie będzie miał już dokąd pójść. Ucieknie na oślep, bez żadnej drogi powrotu. Bradwell poradził mu, żeby wrócił do domu w Kopule i do taty. Lecz to niemożliwe, prawda? Czy mógłby powrócić na lekcje Glassingsa z historii

powszechnej? Czy on i Łyda mogliby umawiać się na randki, kreśląc laserowym piórem Arvina ustalone świetlne wzory na trawniku akademii? Czy dano by mu narkozę i odmieniono go na zawsze? Czy stałby się poduszczką do szpilek? Czy umieszczono by w jego ciele urządzenie podsłuchowe? Wszczepiono by mu do mózgu tykacza?

O brzeg otworu kanału ściekowego opierała się zardzewiała drabinka, ale Partridge podskoczył, chwycił się cementowej krawędzi nad głową i podciągnął w górę, jak zrobił wcześniej w tunelu Kopuły prowadzącym do przewodów systemu klimatyzacji. Wydawało mu się, że od tamtej chwili minęły już lata.

Na powierzchni w tym rejonie dawniej ciągnął się rząd domów, lecz obecnie pozostały tylko ruiny, gruz i wypalone skorupy budynków. Osmalona latarnia uliczna leżała na ziemi jak drzewo zwalone przez piorun. Obok stały szkielety dwóch samochodów, ogołoczone ze wszystkiego, co mogłoby się przydać. Na rogu dostrzegł iglicę wieży kościoła, o którym wspomniał Bradwell. Sam kościół runął i iglica upadła na niego. Sterczała teraz przechylona na bok; nie wskazywała już niebios, jak krzyż na Kopule.

- Jesteśmy na miejscu. To ulica Lombard - oznajmił Bradwell pozornie beznamiętnym tonem, jednak Partridge niemal na pewno usłyszał w jego głosie nutę radości albo przynajmniej satysfakcji.

Poryw wiatru wzbił w górę chmurę popiołu, ale Partridge nie zakrył twarzy. Postąpił kilka kroków w głąb ulicy. Poczł się zdezorientowany i zagubiony. Ogarnął spojrzeniem ruiny i zgliszcza. Co spodziewał się tu znaleźć? Resztki przeszłości? Odkurzacz? Telefon? Jakiś ślad rodzinnego domu? Matkę czytającą książkę na leżaku i czekającą na niego ze świeżą lemoniadą?

Pressia dotknęła jego ramienia.

- Przykro mi - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią.

- Muszę znaleźć dom numer 1050 - oświadczył. Miał wrażenie, że włączył się w nim rodzaj autopilota. - Przy Lombard Street.

- Chyba żartujesz? - prychnął Bradwell. - Nie ma żadnego domu numer 1050 przy Lombard Street, ponieważ w ogóle nie ma już tej ulicy. Nie widzisz tego? Zniknęła!

- Muszę znaleźć dom numer 1050 przy Lombard Street - powtórzył z uporem Partridge. - Nie rozumiesz?

- Owszem, rozumiem - rzekł Bradwell. - Zjawileś się tutaj, w tym zbombardowanym mieście, zadajesz się ze zdeformowanymi „nieszczęśnikami” i myślisz, że zasłużyłeś sobie na to, by odnaleźć matkę - tak po prostu. Uważasz, iż masz do tego prawo, ponieważ cierpiałeś. Ale jak długo? Piętnaście minut?

Partridge spoglądał na niego niewzruszenie, ale oddychał ciężko.

- Odnajdę dom 1050 przy Lombard Street. W końcu po to tu przybyłem.

Ruszył naprzód ciemną ulicą. Usłyszał, jak Pressia powiedziała:

- Bradwell.

- Słyszysz te głosy? - rzekł do niego Bradwell. Śpiewy Szalu Śmierci nie milkły. Partridge nie potrafił ocenić, z jakiej odległości dobiegają. Zdawały się rozbrzmiewać echem w całym mieście. - Masz niewiele czasu!

Zapewne niebawem wstanie świt. Pressia dogoniła Partridge'a. Przystanął przed ruiną domu, który stracił piętro. Dziury po oknach zasłonięto przywiązаныmi płachtami brezentu. Dochodził zza nich cichy śpiew.

- Musimy się pośpieszyć - powiedziała.

- Tam ktoś jest - ostrzegł.

- Mówię serio - rzekła. - Mamy mało czasu.

Zrzucił z ramion plecak, rozsunął jego suwak i wyjął fotografię w plastikowej torebce.

- Co to? - spytała dziewczyna.

- Zdjęcie mojej matki - wyjaśnił. - Zapytam, czy ten ktoś, kto tu mieszka pamięta.

Podszedł do framugi, w której drzwi zastępowała płyta ze sklejki oparta od środka.

- Nie rób tego - ostrzegła go Pressia. - Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi.

- Muszę - odrzekł.

Potrząsnęła głową.

- Wobec tego przynajmniej zasłoń twarz.

Owinął twarz szalikiem i naciągnął kaptur na głowę, tak że widać mu było tylko oczy. Śpiew za drzwiami był teraz głośniejszy; piskliwy, chrypiący głos zawodził kulawą melodię.

Partridge zastukał w sklejkę. Śpiew się urwał i rozległ się rumor, coś jak grzechotanie rondli, a potem zapadła cisza.

- Hej! - zawołał Partridge. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym o coś zapytać.

Żadnej odpowiedzi.

- Miałem nadzieję, że czegoś się tu dowiem.

- Daj spokój - powiedziała Pressia. - Chodźmy stąd.

- Nie - odparł szeptem, chociaż śpiew Szału Śmierci rozbrzmiewał teraz bliżej niż poprzednio. - Idź, jeśli chcesz. To moja jedyna szansa. Ostatnia, jaka mi pozostała.

- No, dobrze - ustąpiła. - Ale się pośpiesz.

- Szukam kogoś! - krzyknął. Hałas na chwilę ucichł. Chłopiec zerknął za siebie na Bradwella, który ponagląco pstryknął palcami. - Naprawdę potrzebuję pomocy. To ważne. Szukam mojej matki.

Znów rozległ się grzechot, a potem starczy kobiecy głos zawołał:

- Jak się nazywasz?

- Partridge - powiedział, nachylając się ku zakrytemu brezentem oknu. - Partridge Willux.

- Willux? - powtórzyła zaskoczona kobieta.

Wyglądało na to, że jego nazwisko wszędzie wywiera wrażenie.

- Mieszkaliśmy przy Lombard Street 1050 - dodał. - Mam zdjęcie.

Zza plandeki wyłoniła się szponiasta dłoń, metaliczna i pokryta rdzą. Chłopiec obawiał się, że straci jedyną fotografię matki, mimo to podał ją nieznamojem. Chwyliła zdjęcie i cofnęła rękę.

Już świta, uświadomił sobie. Nad horyzontem wstawało słońce.

Potem brezentowa płachta uniosła się bardzo powoli, ukazując twarz starej kobiety - bladą i pokrytą odłamkami szkła. Kobieta bez słowa zwróciła zdjęcie Partridge'owi. Jej oczy miały dziwny nieobecny wyraz, a na twarzy malowała się udręka.

- Czy pani ją znała? - zapytał chłopiec.

Stara kobieta szybko popatrzyła w obydwie strony ulicy. Spostrzegła stojącego w cieniu Bradwella i cofnęła się, nieco opuszczając plandekę. Utkwiła wzrok w Partridge'u.

- Chcę zobaczyć twoją twarz - zażądała.

Zerknął na Pressię. Dziewczyna pokręciła głową.

- Powiem ci coś - ciągnęła kobieta. - Ale najpierw muszę zobaczyć twoją twarz.

- Dlaczego? - spytała Pressia, podchodząc bliżej. - Niech pani powie mu, co wie. To dla niego ważne.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Muszę zobaczyć jego twarz.

Chłopiec zsunął szalik. Stara kobieta popatrzyła na niego i kiwnęła głową.

- Tak myślałam.

- Jak to? - zapytał.

Nie odpowiedziała, tylko znów potrząsnęła głową.

- Obiecała pani udzielić mi informacji, jeśli pokażę twarz. Ja dotrzymałem swojej części umowy.

- Jesteś do niej podobny - oznajmiła.

- Do mojej matki?

Przytaknęła.

Śpiewy rozbrzmiewały teraz głośniejsze. Pressia pociągnęła Partridge'a za rękaw.

- Musimy już iść.

- Czy ona żyje? - zapytał.

Stara kobieta wzruszyła ramionami.

Bradwell ponagląco gwizdnął przez zęby. Nie było czasu do stracenia. Partridge usłyszał tupot nóg członków bandy Szału Śmierci na pobliskich ulicach; ich głosy wznosiły się i opadały chóralnie, wprawiając w drżenie powietrze.

- Czy widziała ją pani po Wybuchu? - spytał.

Stara kobieta przymknęła oczy i wymamrotała coś pod nosem.

Pressia szarpnęła chłopca za kurtkę.

- Musimy iść! Natychmiast!

- Co pani mówi? - zawołał do kobiety. - Widziała ją pani czy nie? Czy ona przeżyła Wybuch?

Wreszcie staruszka podniosła głowę i rzekła:

- On jej złamał serce.

Potem znów zamknęła oczy i zaczęła głośno śpiewać drżącym udreńczonym głosem - jakby próbowała zagłuszyć wszystkie odgłosy wokół siebie.

PRESSIA SARKOFAG

PRESSIA PĘDZIŁA NAJSZYBCIEJ, jak umiała. Bradwell biegł na przodzie; pod jego koszulą na plecach szeleściły skrzydła ptaków. Partridge gnał obok niej, a jego kurtka łopotała na wietrze. Dziewczyna wiedziała, że mógłby biec szybciej dzięki specjalistycznemu treningowi w akademii, chociaż nie był „typowym okazem”. Uznała to jednak za dobry znak, że trzymał się blisko niej. Może dotarło do niego wreszcie, jak bardzo jej potrzebuje. W uliczkach gromkim echem rozbrzmiewał śpiew Szału Śmierci, przerywany od czasu do

czasu wysokim przenikliwym krzykiem.

- Wracamy pod ziemię? - zawołała do Bradwella.

- Nie! - odkrzyknął. - Oni są także w tunelu.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła przywódcę tej drużyny. Był bez koszuli, nagi do pasa. Ponabijane metalem ramiona i klatka piersiowa umazane krwią, twarz pomarszczona i lśniąca od potu. Jedną rękę miał uschniętą i przykurczoną do piersi, lecz druga była potężnie umięśniona, a do kłykci dłoni przytwierdził taśmą klejącą odłamki szkła. Mógł być jednym z żołnierzy OPR, których Pressia widywała patrolujących ulice, jednak nie rozpoznała go. Biegł na czele pogoni; pozostali rozproszyli się za nim wachlarzem, tworząc luźną grupę. Na końcu biegł funkcjonariusz, który decydował, kiedy sformować wokół ofiary zacieśniający się krąg. Pressia widziała kiedyś matkę z niemowlęciem, zaatakowaną podczas Szału Śmierci. Sama ukryła się wtedy w przewróconej starej skrzynce na listy, którą już dawno temu otwarto i wybebeszono. Teraz przypomniała sobie, że członkowie bandy skatowali tamtą kobietę na śmierć i triumfalnie unieśli jej ciało w górę, a niemowlęciem rzucali jak piłką.

Pressia potknęła się o krawężnik i upadła ciężko. Zdarła sobie dłoń i poczuła ostry ból w pięści z głową lalki. Partridge zatrzymał się i zobaczyła tuż przed sobą jego buty. Usiłowała zerwać się na nogi, ale popełniła błąd, oglądając się ponownie za siebie, i przeraził ją widok jaskrawoczerwonej krwi i lśniących ciał żołnierzy drużyny Szału Śmierci. Znow się zatoczyła.

- Tędy! - krzyknął z przodu Bradwell.

Nie wiedział, że Pressia się przewróciła. Przeskoczył przez niski popękany kamienny murek w pobliżu zwałonej iglicy.

Dziewczyna widziała zbliżającą się pogoń. Przywódca wbijał w nią wzrok.

A potem dźwignięto ją i poczuła na twarzy powiew wiatru. Skarpetka na jej pięści zaczepiła o coś i zsunęła się, odsłaniając głowę lalki. Partridge poniósł

Pressię i usłyszała, jak mówi:

- Spokojnie, jesteśmy już blisko. Zaraz tam dotrzemy.

Nie chciała, by uratował ją Czysty.

- Nie - odparła. - Nic mi nie jest. Puść mnie.

Nie odpowiedział, tylko chwycił ją mocniej. Wiedziała, że jeśli ją upuści, zostanie schwytana przez bandę Szalu Śmierci, a jednak uderzyła go w zebra pięścią z głową lalki.

- Mówię ci, puść mnie!

Spanikowana ujrzała, że Bradwell podniósł z ziemi skrzydło bramy z kutego żelaza, odsłaniając otwór ze schodami prowadzącymi w dół. Zamknęła oczy, gdy Partridge objął ją jeszcze mocniej i zbiegł, przeskakując po kilka stopni.

Gdy tylko znaleźli się na dole, pchnęła go w pierś, a on postawił ją na ziemi. Bez skarpetki zakrywającej pięść z głową lalki czuła się obnażona. Obciągnęła rękaw swetra najbardziej, jak zdołała, i usiadła. W panujących ciemnościach trudno było cokolwiek dostrzec.

- Przepraszam - odezwał się Partridge. - Musiałem cię podnieść, bo inaczej...

- Nie przepraszaj - rzuciła, pocierając zebra w miejscu, gdzie mocno ją ścisnął. - Uratowałeś mnie. Nie każ mi się czuć tak, jakbym musiała ci to wybaczyć - powiedziała, bo na nic więcej nie potrafiła się zdobyć.

Siedzieli wszyscy troje na podłodze - Pressia między obydwoma chłopakami - oparci plecami o zimną ścianę, skuleni bez ruchu w kącie, z dala od schodów. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że Partridge ją podniósł. Kiedy ostatni raz ktoś ją nosił? Pamiętała, jak ojciec otulał ją płaszczem i brał na ręce. Zażęknęła za nim, za bezpieczeństwem i ciepłem, jakie jej dawał.

Pomieszczenie było ciasne i wilgotne. Z wolna jej wzrok przywykł do mroku i spostrzegła, że nie są tu sami. Pod przeciwległą ścianą znajdowała się kamienna figura - posąg dziewczyny siedzącej na długiej i wąskiej cementowej

podstawie przypominającej trumnę, za szybą z pleksiglasu, pękniętą, ale szczelną. Do szyby przytwierdzono tabliczkę z wygrawerowanym napisem, jednak z tej odległości Pressia nie mogła go odczytać. Wyrzeźbiona dziewczyna miała długie, luźno opadające włosy, odgarnięte z twarzy, i prostą długą suknię. Piękne drobne dłonie trzymała splecione na kolanach. Sprawiała wrażenie samotnej, oderwanej od świata. W jej oczach malował się głęboki smutek, jakby utraciła ukochanych bliskich, ale jednocześnie wydawała się wyczekiwać czegoś z nadzieją.

Śpiew Szału Śmierci stał się głośniejszy, a tupot nóg narastał. Pressia jeszcze mocniej naciągnęła rękaw swetra na pięść z głową lalki. Partridge to zauważył. Zdawało się, że chce ją spytać, co ukrywa. To nie była odpowiednia pora na wypytywanie. Drużyna Szału Śmierci znalazła się nad nimi i łomotała buciorami tak głośno i ciężko, że od sufitu odkruszały się kawałki cementu.

Bradwell miał rację: ludzie przychodzili się tutaj modlić. Na krawędzi cementowej podstawy rzeźby, obok tafli pleksiglasu, Pressia dostrzegła stopiony wosk starych świec, który częściowo ściekł na podłogę z kafelków. Dziewczyna z posągu siedziała na własnej trumnie; widok tej długiej skrzyni przypomniawszy Pressii szafkę, w której ostatnio sypiała. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek wróci do tamtego pokoju na zapleczu zakładu fryzjerskiego i do dziadka. Czy on wciąż na nią czeka, trzymając na kolanach cegłę?

Odgłos kroków stał się niemal ogłuszający. Sufit zadrżał i w dół poleciały luźne kamyki, gips i grudki ziemi. Raptem Pressia przestraszyła się, że strop zawali się na nich. Wszyscy troje osłonili głowy rękami. Partridge już wcześniej włożył zdjęcie z powrotem do plastikowej torebki i teraz siedział na plecaku, jakby chciał go ochronić.

- Zginiemy tu pogrzebani żywcem! - krzyknęła Pressia.

- Prawdziwa ironia losu - powiedział Bradwell. - Zostać za życia pogrzebanym w grobowej krypcie.

- To nie jest zabawne - rzuciła.

- Wcale nie starałem się być zabawny - zaznaczył.

- Nie chciałbym umrzeć - oświadczył Partridge. - Nie teraz, kiedy się dowiedziałem, że moja matka przeżyła...

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na niego poprzez kurtynę spadającej ziemi. Czy on tak myśli? Skąd ma pewność, że jego matka żyje? Tamta stara kobieta powiedziała przecież tylko, że matce Partridge'a ktoś złamał serce. Zdaniem Pressii to nic nie znaczyło. Wstrzymała na chwilę oddech, pragnąc, by ucichł tupot nóg nad ich głowami, lecz tak się nie stało. Mocno objęła ramionami kolana i zacisnęła powieki.

Tłum na górze zaczął wiwatować. Rozległy się głośne radosne wrzaski i bojowe okrzyki.

- Złapali kogoś - orzekła Pressia.

- To dobrze - uznał Bradwell. - To ich zadowoli. Szybko ruszą dalej, by zanieść trupa na pole.

- Dobrze? - powtórzył z niedowierzaniem Partridge. - Jak można nazwać coś takiego dobrym?

- Dobro nie oznacza tego, co ci się zdaje - zripostował Bradwell.

Śpiewy oddalały się i cichły. Pressia popatrzyła na kamienną trumnę.

- Czy wewnątrz są czyjeś zwłoki? - zapytała.

- To sarkofag - wyjaśnił Bradwell.

- Co takiego? - spytał Partridge.

- Sarkofag - powtórzył Bradwell. - Innymi słowy: tak. W środku znajduje się ciało zmarłej osoby lub jego część.

- Jesteśmy w grobowcu? - upewnił się Partridge.

Bradwell skinął głową.

- W grobowej krypcie.

Partridge wciąż trzymał w dłoni fotografię w plastikowej torebce. Pressia wyciągnęła do niego rękę.

- Mogę zobaczyć?

Podał jej zdjęcie.

- Jak to? - odezwał się z oburzeniem Bradwell. - Ja nie mogę tego obejrzeć, a ona może?

Partridge z uśmiechem wzruszył ramionami. Zdjęcie przedstawiało jego w wieku mniej więcej ośmiu lat. Stał na plaży, ściskając za rękę matkę i trzymając wiaderko. Wiał silny wiatr i spieniona woda oceanu omywała im stopy. Jego matka była piękna - miała drobne piegi i cudowny uśmiech. Tamta stara kobieta się nie myliła - Partridge rzeczywiście był podobny do matki, miał taką samą promienną twarz. Pressia pomyślała, że matki zawsze będą dla niej kimś obcym, jak kraina, której nigdy nie odwiedzi.

- Jak ona ma na imię? - zapytała chłopca.

- Aribella Willux... to znaczy, z domu Cording.

Zwróciła mu torebkę ze zdjęciem, ale potrząsnął głową.

- Bradwell też może obejrzeć - powiedział.

- Ja? - rzucił Bradwell. - Sądziłem, że nie jestem godny dostąpić tego zaszczytu.

- Być może dostrzeżesz coś, czego ja nie zauważyłem.

- Niby co?

- Jakąś wskazówkę czy coś w tym rodzaju - wyjaśnił Partridge.

Pressia podała zdjęcie Bradwellowi, a on przyjrzał mu się uważnie.

- Pamiętam tamtą wyprawę - oświadczył Partridge. - Pojechaliliśmy tylko we dwoje. Mama dostała od swojej matki domek niedaleko plaży. Było dość zimno i skończyło się na tym, że oboje zachorowaliśmy na grypę żołądkową. Parzyła dla nas gorzką herbatę, a ja wymiotowałem do wiadra stojącego przy moim łóżku.

- Poszperał w plecaku i wyjął kopertę z rzeczami matki. - Proszę. Obejrzyjcie to, może rzuci się wam w oczy coś istotnego. Sam nie wiem... Moglibyście przeczytać tę kartkę urodzinową. Są tu też jeszcze pozytywka i naszyjnik.

Bradwell oddał Partridge'owi zdjęcie, wziął od niego kopertę i zajrzał do środka. Wyjął pozytywkę i otworzył. Zabrzmiała krótka melodyjka.

- Nie znam tej piosenki - powiedział Bradwell.

- Wiem, że uznacie to za dziwaczne, ale naprawdę jestem przekonany, że matka sama ją skomponowała - wyznał Partridge.

- Chociaż skąd wzięłaby pozytywkę odgrywającą melodię, którą stworzyła?

- To zwykła prosta pozytywka i chyba można by wykonać ją samemu - powiedziała Pressia. Wyciągnęła rękę. - Pozwól mi obejrzeć.

Bradwell podał jej szkatułkę. Zajrzała do środka i zobaczyła niewielkie metalowe trzpienie uderzające w małe wypustki na obracającej się metalowej szpuli.

- Mogłabym zrobić coś takiego, gdybym miała odpowiednie narzędzia - oświadczyła i kilkakrotnie zamknęła i otworzyła wieczko pozytywki, badając mechanizm stopujący.

Tymczasem Bradwell podniósł złoty łańcuszek i owinął go sobie wokół palców Wisiorek w kształcie łabędzia zawirował. Pressia pomyślała, że został wykonany ze szczerzego złota. Łabędź miał smukłą szyję i ogromne oko z jasnoniebieskiego szlachetnego kamienia wielkości szklanej kulki do gry, widoczne z obu stron wisiorka. Klejnot był doskonały, bez skazy... czysty. Dziewczyna nie mogła oderwać od niego wzroku. W gruncie rzeczy nigdy nie widziała niczego, co przetrwałoby Wybuch - oprócz Partridge'a. Błękitne oko łabędzia wywierało na nią niemal hipnotyczny wpływ.

Bradwell schował naszyjnik do koperty. Spojrzał na Pressię i jego twarz na moment złagodniała. Wydawało się, że chce jej coś powiedzieć, lecz zrezygnował i znów przybrał kamienną nieprzeniknioną minę.

- Zaprowadzę was na Lombard Street - oznajmił. - Tylko tyle wam obiecałem. - Wstał, lecz nie mógł się całkiem wyprostować w tym niskim i ciasnym pomieszczeniu. - Ludzie dziwią się, że mając dziewięć lat, przetrwałem

bez niczyjej pomocy. A ja przeżyłem właśnie dlatego, że byłem sam. Kiedy zaczniesz angażować się w sprawy innych, oni stają się dla ciebie ciężarem. Wy dwoje będziecie musieli radzić sobie sami.

- Uroczy światopogląd - rzuciła zgryźliwie Pressia. - Bardzo szlachetny i pełen życzliwości.

- Gdybyś miała trochę oleju w głowie, też byś zostawiła tego Czystego - rzekł. - Przez szlachetność i życzliwość możesz zginąć.

- Dam sobie radę - zwrócił się do niej Partridge. - Nikt nie musi prowadzić mnie za rękę.

Pojmowała, że on nie może znieść niepewności co do losu swej matki i musi poznać prawdę. Ale co mają teraz zrobić? Poczula podmuch powietrza i do niewielkiej krypty przez otwór nad ich głowami wpadły drobiny popiołu, oświetlone promieniami słońca. Wstawał ranek i zrobiło się na tyle widno, że Pressia mogła odczytać część napisu na tabliczce. ŚWIĘTA WI... - reszta imienia była zatarta - URODZONA W... JEJ OJCIEC BYŁ... PATRONKA... PRZEORYSZA... MAŁE DZIECI... TRZY CUDA... GRUŻLICA... Tylko tyle dało się odcyfrować. Rodzice Pressii wzięli ślub w kościele, a przyjęcie weselne odbyło się na dworze w białych namiotach. Spozrzegła leżący na powalonym woskiem brzegu sarkofagu uschnięty kwiatek, kruchy ze starości. Czyżby drobna ofiara?

- Chyba zabrnęliśmy w ślepią uliczkę - powiedziała.

- Niezupełnie - zaproponował Partridge. - Dowiedziałem się, że matka przeżyła Wybuch.

- Skąd to wiesz? - spytała Pressia.

- Tak powiedziała tamta stara kobieta. Sama słyszałaś.

- Powiedziała tylko, że ktoś złamał jej serce - uściśliła Pressia. - To niewiele znaczy.

- Mój ojciec naprawdę złamał jej serce. Zostawił ją tutaj na niemal pewną śmierć. Gdyby zginęła podczas Wybuchu, nie zdążyłaby mieć złamanego serca.

Ale miała. On złamał jej serce, a tamta kobieta o tym wie. Wie, że mój ojciec ją porzucił, a mnie i mojego brata zabrał ze sobą do Kopuły. Właśnie to miała na myśli, mówiąc, że złamał serce mojej matce. Może ona była świętą, jednak nie umarła jako święta - rzekł z przekonaniem Partridge.

Wsunął zdjęcie do plastikowej torebki i włożył ją do koperty, którą następnie schował w wewnętrznej kieszeni plecaka.

- Nawet jeśli przeżyła podmuch eksplozji, nadal pozostaje wiele wątpliwości - odezwał się Bradwell. - Mogła nie przetrwać tego, co nastąpiło później. Niewiele osób przetrwało.

- Możesz uważać to za głupie, ale ja myślę, że ona żyje - oświadczył Partridge.

- Twój ojciec uratował ciebie i twojego brata, ale jej nie? - spytał Bradwell.

Partridge skinął głową.

- Złamał serce nie tylko jej, lecz również mnie - rzekł. Pozwolił temu wyznaniu wybrzmieć tylko przez chwilę, po czym dodał szybko: - Chcę wrócić do tamtej starej kobiety. Ona wie więcej, niż mi powiedziała.

- Na zewnątrz już się rozwidniło - powiedziała Pressia. - Musimy zachować ostrożność. Pozwól, że najpierw ja rzucę okiem.

- Ja pójdę - zaproponował Partridge.

- Nie - zdecydował Bradwell. - Ja wyjdę i zobaczę, jakie spustoszenia poczynił Szał Śmierci.

- Powiedziałam, że najpierw ja się rozejrzę - rzekła z uporem Pressia.

Wstała i strzepnęła pył z włosów i ubrania. Pragnęła nadal być użyteczna i przekonać Partridge'a, że jest mu potrzebna. Nie zrezygnowała ze swych planów wobec niego.

- To zbyt niebezpieczne! - zaprotestował.

Chwycił dziewczynę za nadgarstek, aby ją powstrzymać. Podciągnął przy tym rękaw jej swetra, odsłaniając tył głowy lalki. To go zaskoczyło, ale nie

puścił ręki Pressii, tylko zajrzał jej w oczy.

Odwróciła przegub, pokazując mu twarz lalki zastępującej jej dłoń.

- To od podmuchu eksplozji - wyjaśniła. - Chciałeś się dowiedzieć, co to takiego, więc teraz już wiesz.

- Rozumiem - rzekł chłopiec.

- Nosimy z dumą nasze blizny, ponieważ przeżyliśmy - oznajmił Bradwell.

Pressia wiedziała, że Bradwell chciałby wierzyć w swoje słowa, ale nie były prawdziwe - przynajmniej nie w jej przypadku.

- Wyjdę na górę i zbadam sytuację - powtórzyła. - Nic mi się nie stanie.

Partridge kiwnął głową i puścił ją.

Weszła po kamiennych stopniach w światło poranka, kryjąc się w cieniu ruin kościoła. Przykucnęła za częściowo zwalonym murem i wyjrzała na ulicę. Kilka osób stało w luźnym kręgu na jezdni przed domem starej kobiety. Z otworu okiennego wyrwano brezentową płachtę, a z framugi drzwi zniknęła płyta ze sklejki. Po chwili ludzie oddalili się powoli, powłócząc nogami.

A na ziemi widniała kałuża krwi, w której błyszczały odłamki szkła.

W oczach Pressii zakręciły się łzy, ale się nie rozplakała. Pomyślała od razu, że ta kobieta nie powinna była tak śpiewać. Czyż nie wiedziała, że należało umilknąć? Współczucie Pressii zmieniło się w pogardę. Pojmowała, iż to źle, i nienawidziła siebie za to, lecz nic nie mogła na to poradzić. Śmierć tej kobiety musi stać się nauką dla pozostałych. To wszystko.

Odwróciła się.

I wtedy jej ramię ściśnięto stalowym chwytem. Usłyszała stęknięcie i zdyszany oddech, a potem ktoś chwycił ją w pól, podniósł i puścił się biegiem. Z początku pomyślała, że to Partridge albo ktoś z drużyny Szału Śmierci. Po chwili jednak usłyszała warkot silnika i domyśliła się, że to OPR. Sięgnęła po nóż od Bradwella. Ujęła rękojeść i wyciągnęła go zza paska, ale dłoń o jednym z palców z ciemnego metalu tak mocno ścisnęła jej przegub, że dziewczyna

wypuściła nóż. Upadł z brzękiem na chodnik.

Pressia usiłowała wrzasnąć, lecz dłoń z metalowym palcem zatkała jej usta, tłumiąc krzyk. Jak tamten chłopczyk, który ugryzł ją w rękę w pokoju nad salą zebrań, Pressia wbiła zęby w mięsistą część dłoni napastnika, w miejscu, gdzie skóra jest miękka. Zaklął tak gwałtownie i głośno, aż zawibrowała jego klatka piersiowa, ale tylko jeszcze mocniej chwycił dziewczynę. Poczula w ustach rdzawy i słony smak jego krwi. Wygięła grzbiet i kopnęła napastnika w plecy, jednocześnie usiłując uderzyć go pięścią z głową lalki. Czy Bradwell i Partridge zorientowali się, że ją porwano? Czy przyjdą jej z pomocą?

Pressia próbowała opluć prześladowcę. Poczula na włosach powiew wiatru i usłyszała ryk silnika. Spojrzała w górę i zobaczyła tył ciężarówki. Jednak ją dopadli. Wiedziała, że jest nieodwołalnie zgubiona.

PARTRIDGE USTA

PO UPŁYWIE KILKU MINUT Partridge wszedł na szczyt kamiennych schodów krypty, aby sprawdzić, co się dzieje z Pressią. Co ją tak długo zatrzymało? Wokoło było pusto; tylko na ziemi zauważył kałużę świeżej krwi ze lśniącymi odłamkami szkła.

Trzymając się rozpostartymi rękami obydwu poręczy schodów, odwrócił się do Bradwella.

- Dokąd ona poszła? - zapytał.

- Co ty mówisz? - Bradwell wbiegł na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz, i przepchnął się obok Partridge'a. - Co ty, u diabła, mówisz? - Rozejrzał się i zawołał: - Pressia!

- Pressia! - Partridge również krzyknął, chociaż wiedział, że nie powinni hałasować, gdyż to mogło zwrócić na nich uwagę.

Bradwell podbiegł do plamy krwi. Partridge podążył za nim, czując w żołądku skurcz lęku. Nie wiedział, co ma zrobić.

- Myślisz, że to jej krew? - spytał.

- Na powierzchni już zaczyna krzepnąć. Tę krew rozlano wcześniej - zawyrokował Bradwell, rozglądając się gorączkowo.

- Ona zniknęła - rzekł zrozpaczony Partridge. - Pressia naprawdę zniknęła!

Bradwell rozejrzał się na wszystkie strony.

*

- Przestań tak mówić! - rzucił. - Zajrzyj do domu tej starej kobiety. Ja wejść wyżej, skąd będę miał lepszy widok.

Powietrze zasnuły szare kłęby popiołu i Partridge przez chwilę poczuł się zdezorientowany. Potem dostrzegł frontowe drzwi domu starej kobiety. To właśnie od niej dowiedział się niedawno, że jego matka przeżyła Wybuch. A teraz zniknęła Pressia. To jego wina. Podbiegł do budynku. Wejścia nie zasłaniała już płyta ze sklejki. Przecisnął się przez wąski otwór drzwiowy.

- Pressia! - krzyknął.

Stara kobieta nie miała żadnych mebli. Pod dziurą w dachu znajdowało się palenisko, w ciemnym kącie walało się kilka korzonków, a pośrodku na podłodze leżał kłęb szmat uformowany w kształt niemowlęcia; jego ciemnobrązowe usta przypominały zaschniętą krew.

Usłyszał, że Bradwell woła na zewnątrz:

- Pressia!

Żadnej odpowiedzi.

Partridge wybiegł z domu na ulicę.

- Nie majej? - Nie tyle pytał, ile domagał się odpowiedzi. Bradwell wydawał się orientować we wszystkim, więc powinien wiedzieć, co się stało z Pressią. - Czyją porwano?

Bradwell odwrócił się i rąbnął go pięścią w żołądek, aż chłopcu odebrało oddech. Partridge upadł na kolano. Jedną dłoń przyciskał do brzucha, a kostkami drugiej opierał się o głaz.

- Co, u diabła? - wychrypiał bez tchu.

- Twoja matka nie żyje! Słyszysz? - wrzasnął Bradwell. - Zjawileś się tutaj i żadasz, żebyśmy ryzykowali życie dla nieżyjącej od dawna kobiety?

- Przepraszam - wymamrotał Partridge. - Ja nie chciałem...

- Myślisz, że tylko ty jeden kogoś straciłeś i chcesz odnaleźć swój dom? - Bradwell był wściekły. Żyły nabrzmiały mu na skroniach, a ptaki pod koszulą na plecach roily się z dziwacznym szelestem. - Wracaj do swojej przytulnej Kopuły i trzymaj się ustalonego planu - po prostu „przyglądaj się nam życzliwie z oddali”.

Partridge nie wstawał, gdyż wciąż usiłował złapać oddech. Zasłużył na to, by go uderzono. Co on narobił? Przez niego Pressia zniknęła.

- Przepraszam - powtórzył. - Nie wiem, co innego mogę powiedzieć.

Bradwell kazał mu się zamknąć.

- Przepraszam...

- Naraziła życie dla ciebie - powiedział z wyrzutem Bradwell.

- Tak, wiem - przyznał Partridge.

Pojmował, że Bradwell nie może ścierpieć nawet jego widoku.

Bradwell chwycił go za ramiona i szarpnięciem podniósł na nogi. Partridge poczuł nagle przyływ gniewu i odruchowo pchnął go w pierś. Zrobił to mocniej i gwałtowniej, niż zamierzał, i omal nie przewrócił Bradwella na ziemię.

- Nie chciałem, żeby zniknęła - oświadczył.

- Gdybyś się tu nie zjawił, nic by się jej nie stało.

- Wiem.

- Przeprowadziłem cię tutaj, tak jak chciałeś - rzekł Bradwell. - A teraz jesteś mi coś winien. I jej. Mamy zadanie do wykonania. Nie chodzi już o twoją matkę, lecz o Pressię. Musimy ją odnaleźć.

- My? - spytał Partridge. - Przecież przed chwilą wygłosiłeś piękną przemowę o tym, że przetrwałeś dlatego, że zawsze żyłeś sam i nigdy nie angażowałeś się w sprawy innych.

- Pomogę ci odszukać matkę tylko wtedy, gdy najpierw odnajdziemy Pressię. Kropka.

Partridge zawahał się, choć z tego powodu poczuł dla siebie pogardę. Może Bradwell miał rację wtedy w krypcie. Może lepiej wędrować samotnie. Może to najlepszy sposób, by przetrwać. Ale czy on poradziłby sobie sam? Dokąd miałby pójść? Pomyślał o Pressii. Rzuciła butem w beczkę po ropie, żeby odwrócić od niego uwagę Gruponów. Bez niej prawdopodobnie już by nie żył. Może więc właśnie tak powinien postąpić. Może to jego przeznaczenie.

- Oczywiście, musimy odnaleźć Pressię - powiedział. - Ponieważ właśnie to należy zrobić.

- Porwano ją z jakiegoś powodu.

- Jak to?

- Mówiłeś, że w jaki sposób odkryłeś drogę ucieczki z Kopuły? - zapytał Bradwell. - Fotokopia? Tak powiedziałeś?

- Jedna z oryginalnych fotokopii - potwierdził Partridge. - Prezent dla ojca.

- Niech zgadnę. Dostał je niedawno, prawda?

- Tak, na dwudziestolecie służby. A co?

- Cholerna fotokopia, oprawiona w ramki i powieszona na cholernej ścianie!

- Co w tym złego? - zapytał Partridge, lecz już zaczął się domyślać, do czego zmierza Bradwell. Dodał więc szybko: - Sam odkryłem system wentylacyjny i zmierzyłem czas pauz w jego pracy - trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że chciano, abys zauważył tę fotokopię?

- Nie, to wcale nie było tak. Ojciec nigdy by nawet nie podejrzewał, że kiedykolwiek spróbuję ucieczki. - Partridge potrząsnął głową. - Nie znasz go.

- Czyżby?

- Nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania.

- Rzeczywiście, to dość żalosne, że musieli aż oprawić tę przeklętą fotokopię i powiesić ci ją na ścianie przed nosem!

- Zamknij się! - wrzasnął Partridge.

- Mam rację, wiesz o tym. Czujesz je - to małe palące ziarenko w twoim mózgu. Wszystko zaczyna do siebie pasować i układać się w sensowną całość, nieprawdaż?

Partridge z uporem zacisnął szczęki, ale w jego głowie myśli kłębiły się gorączkowo. To prawda. Ostatnio, gdy tylko czegoś zechciał, natychmiast pojawiała się okazja, by mógł to osiągnąć. Glassings od lat występował z prośbą o możliwość zorganizowania dla klasy wycieczki edukacyjnej do Archiwum Utraconych Bliskich i oto nagle całkiem niespodziewanie wyrażono zgodę.

Bradwell zapytał go cicho, starając się zachować spokojny ton:

- W jaki sposób trafiłeś na Pressię?

- Nie wiem. Powiedziała, że kryła się przed ciężarówkami OPR. Były wszędzie.

- OPR - powtórzył Bradwell. - Obydwoje zachowaliście się jak barany, które zagnano tam, dokąd chciano.

- Zagnali nas ludzie z OPR? Sądzisz, że oni wykonują polecenia Kopuły? Nie są buntownikami?

- Powinienem był wcześniej się tego domyślić. Prawdopodobnie zaplanowano też Szał Śmierci. Śpiewy drużyn miały was zapędzić w ustalone miejsce. - Bradwell chodził tam i z powrotem, ze złością kopiąc kamyki. - Myślałeś, że przywódcy Kopuły pozwolą ci ot, tak sobie, się ulotnić? Oni to wszystko przygotowali. Twój tatuś się tym zajął.

- To nieprawda - powiedział cicho Partridge. - Omal nie zginąłem poszatkowany przez łopaty wentylatorów.

- Ale jednak nie zginąłeś - zauważył Bradwell.

- W jaki sposób namierzyliby Pressię? Powiedziała mi, że jej czip nie działa.

- Myliła się.

- Ale czego oni od niej chcą?

- Muszę przejrzeć wszystkie twoje rzeczy i usłyszeć o wszystkim, co wiesz - oznajmił Bradwell. - Chcę poznać całą zawartość twojej głowy. Tylko tyle jesteś dla mnie wart, rozumiesz?

Partridge przytaknął.

- Dobrze. Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

ŁYDA PASKI

ZE SWOJEGO POKOJU ŁYDA mogła dostrzec twarze innych dziewcząt wyglądające przez małe prostokątne okienka, umieszczone w lewych górnych rogach ich drzwi. Ona przebywała tu najdłużej. Inne twarze w tym skrzydle budynku pojawiały się, były widoczne przez jeden dzień, a potem znikwały. Gdzie? Łyda tego nie wiedziała. Strażniczki nazywały to przeniesieniem. Kiedy przynosiły jedzenie na tacach podzielonych na przegródki, napomykały o jej przeniesieniu. Dziwiły się, że pobyt Łydy tutaj tak bardzo się przeciąga. Niemal żartobliwie pytały: „Dlaczego wciąż tu jesteś?”. Była to dla nich zagadka, ale nie pozwalano im na zadawanie zbyt wielu pytań. Niektóre wiedziały o jej powiązaniu z Partridge'em. Kilka zniżonym głosem zagadnęło o niego. Jedna spytała: „Do czego zamierzał użyć tego noża?”. „Jakiego noża?” - odpowiedziała pytaniem Łyda.

Te twarze dziewcząt, na pozór bezcielesne, unoszące się w prostokątnych okienkach innych cel, stanowiły dla Łydy jedyną dostępną miarę upływu czasu. Pojawi się nowa dziewczyna; potem jej miejsce zajmie następna. Niekiedy zabierano je na terapię i niektóre wracały stamtąd, a niektóre nie. Ich ogolone głowy lśniły; oczy i nosy miały czerwone i zapuchnięte od płaczu. Dziewczyny patrzyły na nią i widziały kogoś odmiennego od siebie - kogoś, kto nie jest zagubiony, tylko został tu uziemiony. Wpatrywały się w nią błagalnie. Niektóre próbowały zadawać jej pytania za pomocą gestów dłoni, lecz nawiązanie

porozumienia tą drogą było prawie niemożliwe. Strażniczki patrolowały korytarze i uderzały w drzwi krótkimi palkami. Zanim język gestów zdołał się rozwinąć, dziewczyny znikwały.

Jednak dziś jedna ze strażniczek zjawiała się w jej celi poza porą roznoszenia posiłków. Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i oznajmiła:

- Idziesz na zawodową.

- Zawodową co? - spytała Łyda.

- Terapię - wyjaśniła strażniczka. - Będziesz splatała matę do siedzenia.

- Dobrze - rzekła Łyda. - Ale czy potrzebuję tutaj maty do siedzenia?

- Czy ktokolwiek potrzebuje takiej maty? - zapytała retorycznie strażniczka, a potem uśmiechnęła się i szepnęła: - To dobry znak. Ktoś na górze robi się wobec ciebie łagodniejszy.

Łyda zastanowiła się, czy to jej matka użyła swych kontaktów. Czy to początek prawdziwej rehabilitacji? Czy ktoś uznał, że uda się ją wyleczyć i przywrócić jej zdrowie, choć w rzeczywistości nigdy nie była chora?

Korytarz wydał się Łydzie innym światem. Przyglądała się podłodze z kafelków o równych gładkich fugach, szykownemu mundurowi strażniczki, paralizatorowi dyndającemu na biodrze u jej paska, ręcznej froterce w szafie dozorca.

W jednym z małych prostokątnych okienek drzwi celi pojawiła się twarz dziewczyny spoglądającej dzikim, błędnym wzrokiem, a potem innej, zachowującej się spokojnie. Łyda natychmiast je zaklasyfikowała: pierwsza jeszcze nie dostała leków, druga już je bierze. Łyda obecnie tylko udawała, że połyka swoje tabletki. Po wyjściu strażniczki wypluwała je i miażdżyła na proszek.

Strażniczka zajrzała do dużego notatnika i przystanęła w pobliżu celi Łydy, by otworzyć inne drzwi. W środku przebywała nowa dziewczyna. Łyda nie rozpoznała jej twarzy, gdyż nowicjuszka nie pojawiła się jeszcze w swym okienku. Dziewczyna miała szerokie biodra i wąską talię. Głowę ogolono jej

niedawno, bowiem zadraśnięcie od brzytwy były jeszcze świeże. Łyda poznała po brwiach dziewczyny, że jest ruda.

- Wstawaj! - krzyknęła strażniczka do rudowłosej. - Idziemy.

Dziewczyna zerknęła na nią i na Łydę. Wzięła z kolan białą chustę i założyła na głowę, wiążąc końce z tyłu, po czym poszła za nimi.

Zaprowadzono je do pokoju z trzema długimi stołami i ławami. Łyda zobaczyła teraz całe postacie innych dziewczyn, a nie tylko ich twarze. Ten widok ją zaskoczył, jakby zapomniała, że one w ogóle mają ciała. Rozpoznała kilka dziewcząt, które widywała w okienkach w ciągu minionych dni. Podobnie jak ona miały na głowach chusty. Wszystkie były ubrane w identyczne białe jednoczęściowe kombinezony. Dlaczego białe, zastanowiła się Łyda, skoro tak łatwo widać na nich plamy? A potem uświadomiła sobie, że ustąpił jej lęk przed poplamieniem się. Przynależał do jej dawnego życia; tutaj go nie odczuwała. O wiele bardziej dojmujący był strach przed uwięzieniem na zawsze.

Zgodnie z tym, co powiedziała strażniczka, dziewczyny wyplatały maty. Niczym dzieci na obozie łączyły różnokolorowe plastikowe paski, tworząc z nich kraciaste wzory.

Strażniczka kazała Łydzie i rudowłosej usiąść. Łyda zajęła miejsce obok dziewczyny na końcu rzędu. Rudowłosa usiadła naprzeciwko niej, wzięła paski - tylko czerwone i białe - i zaczęła je szybko splatać, pochylając głowę nad robotą.

Dziewczyna obok Łydy podniosła wzrok i popatrzyła na nią ciemnobrązowymi oczami, jakby ją rozpoznała, a potem spuściła głowę i wróciła do pracy. Łyda jej nie знаła. Wszystkie siedzące w rzędzie dziewczyny kolejno odwracały się i zerknęły na Łydę. Każda, przyjrząwszy się jej, trącała łokciem sąsiadkę, niczym w reakcji łańcuchowej.

Łyda była sławna, lecz te dziewczyny najwidoczniej wiedziały więcej od niej o powodach owej sławy.

Strażniczki przeszły w kąt sali, oparły się o ścianę i gawędziły między

sobą. Łyda popatrzyła na nie, a potem podniosła garść plastikowych pasków i zaczęła je nerwowo splatać. Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, aż wreszcie sąsiadka Łydy szepnęła:

- Wciąż tutaj jesteś.

Miała na myśli tę salę czy w ogóle ośrodek rehabilitacji? Łyda nie zareagowała. Co miałyby odpowiedzieć? Oczywiście, że wciąż tutaj była - w obydwu znaczeniach.

- Wszystkie myślałyśmy, że już cię stąd zabrano - szeptała dalej dziewczyna.

- Zabrano?

- Aby zmusić cię do mówienia.

- Ja nic nie wiem - odrzekła Łyda, a gdy dziewczyna spojrzała na nią z niedowierzaniem, spytała: - Czy wiadomo, dokąd on się udał? Co się z nim stało?

- Ty powinnaś to wiedzieć.

- Ale nie wiem.

Dziewczyna się roześmiała. Łyda postanowiła zignorować jej reakcję. Tymczasem rudowłosa zaczęła nucić przy pracy dziecięcą piosenkę, którą niegdyś śpiewała Łydzie matka: Migocz, migocz, mata gwiazdko... Była to jedna z tych okropnych natrętnych melodii, które kiedy już się do ciebie przyczepią, w kółko brzęczą ci w głowie i nie można się ich pozbyć - zwłaszcza gdy jest się uwięzionym w pojedynczej celi. Coś takiego może doprowadzić człowieka do obłądu. Łyda przypuszczała, że rudowłosą prześladowuje ta piosenka. Miała nadzieję, że jej się to nie udzieli. Rudowłosa przerwała na chwilę i spojrzała na Łydę, jakby chciała jej coś powiedzieć. Jednak nie odważyła się odezwać i znów zaczęła nucić.

Łyda miała jej już trochę dosyć. Odwróciła się do dziewczyny o brązowych oczach, która śmiała się z niej.

- Co cię tak bawi? - zapytała.

- Naprawdę nie wiesz?

Łyda potrząsnęła głową.

Strażniczki przeszły w kąt sali, oparły się o ścianę i gawędziły między sobą. Łyda popatrzyła na nie, a potem podniosła garść plastikowych pasków i zaczęła je nerwowo splatać. Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, aż wreszcie sąsiadka Łydy szepnęła:

- Wciąż tutaj jesteś.

Miała na myśli tę salę czy w ogóle ośrodek rehabilitacji? Łyda nie zareagowała. Co miałyby odpowiedzieć? Oczywiście, że wciąż tutaj była - w obydwu znaczeniach.

- Wszystkie myślałyśmy, że już cię stąd zabrano - szeptała dalej dziewczyna.

- Zabrano?

- Aby zmusić cię do mówienia.

- Ja nic nie wiem - odrzekła Łyda, a gdy dziewczyna spojrzała na nią z niedowierzaniem, spytała: - Czy wiadomo, dokąd on się udał? Co się z nim stało?

- Ty powinnaś to wiedzieć.

- Ale nie wiem.

Dziewczyna się roześmiała. Łyda postanowiła zignorować jej reakcję. Tymczasem rudowłosa zaczęła nucić przy pracy dziecięcą piosenkę, którą niegdyś śpiewała Łydzie matka: Migocz, migocz, mała gwiazdko... Była to jedna z tych okropnych natrętnych melodii, które kiedy już się do ciebie przyczepią, w kółko brzęczą ci w głowie i nie można się ich pozbyć - zwłaszcza gdy jest się uwięzionym w pojedynczej celi. Coś takiego może doprowadzić człowieka do obłądu. Łyda przypuszczała, że rudowłosą prześladowuje ta piosenka. Miała nadzieję, że jej się to nie udzieli. Rudowłosa przerwała na chwilę i spojrzała na Łydę, jakby chciała jej coś powiedzieć. Jednak nie odważyła się odezwać i znów zaczęła nucić.

Łyda miała jej już trochę dosyć. Odwróciła się do dziewczyny o brązowych oczach, która śmiała się z niej.

- Co cię tak bawi? - zapytała.

- Naprawdę nie wiesz?

Łyda potrząsnęła głową.

-

- Mówią, że on wyszedł na zewnątrz - oznajmiła brązowooka.

- Na zewnątrz?

- Poza Kopułę.

Łyda dalej splatała plastikowe paski. Na zewnątrz, poza Kopułę? Dlaczego miałby wyjść poza Kopułę? Dlaczego ktokolwiek miałby to zrobić? Ci, którzy ocaleli na zewnątrz, są niegodziwi, obłąkani, brutalni, zdeformowani i właściwie przestali już być ludźmi. Słyszała setki straszliwych mrocznych opowieści o dziewczętach, które przeżyły, zachowując przynajmniej część ludzkich cech - i zostały zgwałcone lub pożarte żywem. Co oni zrobią Partridge'owi? Wypatroszą go, ugotują i zjedzą.

Łyda ze zdenerwowania i niepokoju ledwie mogła oddychać. Rozejrzała się po twarzach wszystkich tych dziewczyn pochylonych nad splatanymi matami. Jedna z dziewcząt spojrzała na nią. Była blada i stale uśmiechnięta. Łyda podejrzewała, że ten jej uśmiech to skutek podawanych leków. Bo z jakiego innego powodu ktokolwiek miałby się tutaj uśmiechać?

Rudowłosa z głośnym plaśnięciem odłożyła matę na stół. Przestała nucić i wbiła wzrok w Łydę, jakby chciała zwrócić na siebie jej uwagę, a może nawet zyskać aprobatę. Mata była prosta - biała, z biegnącym przez środek czerwonym paskiem. Rudowłosa popatrzyła badawczo na Łydę, jakby mówiąc: „Widzisz? Spójrz, co zrobiłam”. Siedząca obok Łydy dziewczyna z brązowymi oczami szepnęła do niej:

- On już prawdopodobnie nie żyje. Kto zdołałby przetrwać tam, na zewnątrz? Był tylko zwykłym uczniem akademii. Mój chłopak powiedział, że

on nawet nie przeszedł pełnego kodowania.

Partridge. Łyda miała wrażenie, iż w ogóle opuścił tę planetę. Ale miałyby nie żyć? Nadal była przekonana, że wyczułaby, gdyby umarł. Poczuliaby się w środku martwa, a tak nie było. Przypomniła sobie, jak obejmował ją w tańcu, ich pocałunek, i serce zatrzepotało jej w piersi jak zawsze, gdy o nim myślała. Nie doznałaby tego, gdyby już nie żył. Czuliaby strach, żal i rozpacz. A tymczasem wciąż przepelniała ją nadzieja.

- Jemu by się udało - szepnęła do sąsiadki. - Zdołałby przeżyć.

Dziewczyna znów się roześmiała.

- Zamknij się! - rzuciła do niej Łyda szorstkim szeptem, a potem odwróciła się do rudowłosej i powiedziała jej to samo: - Zamknij się!

Rudowłosa znieruchomiała. Pozostałe dziewczyny uniosły głowy.

Strażniczki spojrzały na ich stół.

- Pracujcie, dziewczęta! - rzekła jedna z nich. - To dla was dobre. Trzymajcie się tego.

Łyda popatrzyła na kolorowe paski. Widziała je niewyraźnie, rozmazane, gdyż w oczach zakręciły się jej łzy. Otarła je grzbietem dłoni. Nie chciała, by ktokolwiek zobaczył, że płacze. Trzymaj się tego, powiedziała sobie w duchu. Trzymaj się tego.

PRESSIA WYBIELACZ

BYŁO TU INACZEJ, NIŻ PRESSIA się spodziewała. To miejsce bardziej przypominało stary szpital niż bazę wojskową. Woń środka antyseptycznego przenikała powietrze, które wydawało się zbyt czyste, niemal jakby oczyszczono je wybielaczem. W pokoju stało pięć polowych łóżek. Leżące na nich dzieciaki na jej widok nie podniosły się ani nawet nie poruszyły, lecz nie spały. Miały na sobie wykrochmalone zielone mundury i zdawały się na coś czekać. Jedno miało sztywną rękę pokrytą czerwonym aluminium. Głowa drugiego została chyba zmiażdżona przez jakiś gład. Jeszcze inne chowało się

pod kocem. Pressia zdawała sobie sprawę, że ona też nie jest zbyt ładna - z twarzą w bliznach i pięścią stopioną z głową lalki. Wciąż miała usta zalepione taśmą, a ręce związane z tyłu, i była w codziennym ubraniu, toteż dzieciaki poznały, że jest tutaj nowa. Gdyby mogła, spróbowałyby je zapytać, na co czekają, ale czy naprawdę chciała to wiedzieć?

Starła się pozostawać bez ruchu jak one. Usiłowała się domyślić, co się wydarzyło po tym, jak Bradwell i Partridge już się zorientowali, że zniknęła. Pragnęła wierzyć, że połączą swoje siły, odnajdą ją i spróbują uwolnić. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. W gruncie rzeczy żaden z nich nawet jej nie znał. Partridge wpadł

> na nią przypadkiem; jest pochłonięty własną sprawą. Pressia powróciła myślą w przeszłość i zaczęła się zastanawiać, czy Bradwell w ogóle ją lubi, czy też widzi w niej tylko przedstawicielkę pewnego określonego typu ludzi. Zresztą to bez znaczenia. Powiedział przecież, że przetrwał, ponieważ nie angażował się w problemy innych. Czy w odwrotnej sytuacji starałaby się go uratować? Nie musiała zbyt długo zastanawiać się nad odpowiedzią. Ten straszny świat wydaje się lepszy, gdy żyje na nim Bradwell. On wręcz tryska energią, rozświetla go wewnętrzny płomień i jest gotowy walczyć - nawet jeśli nie o nią, to przecież ma w sobie siłę, której wszyscy tutaj na zewnątrz tak bardzo potrzebują.

Pomyślała o jego podwójnej bliźnie i gniewnym trzepocie ptaków na plecach. Przeszyła ją nagła, ostra tęsknota za Bradwellem. Nie mogła zaprzeczyć swemu pragnieniu, aby on również za nią zatęsknił i podjął walkę, by ją odnaleźć. Nienawidziła tego narastającego w niej uczucia, chciałyby je odegnąć, lecz nie było jej posłuszne. Pojęła okropną prawdę, że już zawsze będzie nosiła w sobie tę bolesną tęsknotę. Wiedziała, że Bradwell nie zacznie jej szukać. Zresztą on i Partridge zanadto się nienawidzą, by móc nadal znosić nawzajem swoje towarzystwo. Kiedy jej zabrakło, prawdopodobnie pożegnali się szybko i każdy poszedł swoją drogą. Była teraz zdana tylko na siebie.

Przydzielone jej twarde łóżko polowe było starannie zasłane, co nasunęło

Pressii myśl, że gdzieś w pobliżu musi się czaić pielęgniarka. Często wyobrażała sobie szpital podobny do tego, w którym się urodziła - taki, w którym operacyjnie uwolniono by jej rękę od głowy lalki, a dziadkowi usunięto wiatraczek z gardła. Teraz oczami wyobraźni ujrzała siebie i dziadka na sąsiednich szpitalnych łóżkach, wspartych o wypchane poduszki. Leżąc na boku, mogła co najwyżej skubać wełniany koc zdrową ręką skrępowaną na plecach. Od czasu do czasu rozmyślała o Bogu i próbowała modlić się do świętej Wi, lecz czyniła to bez przekonania i modlitwa odpływała od niej.

Nagle światła zamigotały. Gdzieś na zewnątrz rozległy się odgłosy strzelaniny.

Strażniczka na korytarzu podeszła do drzwi i zajrzała do środka. W rękach trzymała karabin - a właściwie piastowała go w ramionach; wyglądało to, jakby szła ułożyć niemowlę z powrotem do snu, jakby gdzieś tutaj w pobliżu mieścił się oddział porodowy. Była ubrana w zielony mundur OPR, a na ramieniu miała opaskę z wizerunkiem czarnego szponu.

Pressia wkrótce będzie musiała wytłumaczyć się, dlaczego się ukrywała. Wiedziała, że OPR nie lubi tych, którzy nie zgłaszają się do nich sami i których trzeba tropić i łapać. Jej opór przynajmniej dowiódł, że jest twarda. Miała nadzieję, iż uda się jej wyjaśnić, że zamierzała się ujawnić, ale musiała opiekować się dziadkiem. To będzie z jej strony oznaka lojalności. Oni żądają lojalności. Musi powiedzieć wszystko, co tylko zdoła wymyślić, by ocalić życie.

Widywała już wcześniej przerażające sceny, jak żołnierze OPR wywlekają ludzi z domów i wrzucają do bud ciężarówek na oczach ich dzieci i całych rodzin. Widziała, jak rozstrzeliwują ludzi na ulicach. Zastanowiła się, jak zginęła Fandra, lecz natychmiast zabroniła sobie o tym myśleć. Musi zapomnieć o śmierci Fandry.

Strażniczka weszła do sali. Odwróciły się ku niej wszystkie twarze, napięte i oszołomione. Czy właśnie na jej przyjście czekano? Nie tuliła już w ramionach karabinu. Wskazała na Pressię.

- Ty jesteś Pressia Belze? - rzuciła.

Pressia chętnie usiadłaby i odpowiedziała twierdząco, ale nie mogła. Mając usta zakneblowane taśmą i leżąc skulona na boku, zdołała jedynie kiwnąć głową.

Strażniczka podeszła, chwyciła dziewczynę za ramię i szarpnięciem postawiła na nogi. Wychodząc za nią z pokoju, Pressia zerknęła za siebie na pozostałe dzieciaki. Żadne z nich nie patrzyło jej w oczy, z wyjątkiem jednego chłopca. Spostrzegła teraz, że to kaleka - jedna z nogawek jego spodni była pusta. Wiedziała, że chłopak nie nada się na żołnierza, a być może także nie na żywy cel. Nawet jeśli ten zrujnowany budynek był w przeszłości szpitalem, to obecnie już nim nie jest, i możliwe, że używają tu wybielacza, aby zamaskować woń śmierci. Pressia chciałaby uśmiechnąć się do kaleki, żeby choć trochę podnieść go na duchu, ale miała usta zalepione taśmą, więc on i tak się nie dowie o jej odruchu życzliwości.

Strażniczka była krępa i barczysta. Skórę miała tak poparzoną i spaloną, że na jej twarzy, szyi i rękach widniały jaskraworóżowe platy. Pressię zaciekało, czy pokrywają całe jej ciało. Kobieta zatykała dziurę w policzku starą monetą. Szła tuż obok Pressii i dziewczyna przeczuła lub może przewidziała, że szturchnie ją w żebra kolbą karabinu. Kiedy zgięła się wpół, strażniczka warknęła z nienawiścią, jakby rzucała przekleństwo:

- Pressia Belze.

Idąc korytarzem, mijaly otwarte drzwi, a w każdym pokoju na łóżkach polowych leżały czekające dzieciaki. W ciszy słyhać było tylko ciche mamrotania, skrzypienie sprężyn i szuranie butów.

Pressia zorientowała się teraz, że budynek jest stary - podłogi z kafelków, gzymsy, staroświeckie drzwi, wysokie sufity. Przeszły obie przez coś w rodzaju holu z wytartym ozdobnym chodnikiem i rzędem wysokich okien. Szyby już dawno zniknęły i w pomieszczeniu hulał wiatr, wydymając podarte strzepy cienkich zasłon, zszarzałych od popiołu. Niegdyś mieściła się tu poczekalnia, w

której ludzie czekali na krewnych wwożonych na wózkach inwalidzkich, być może na osoby z zaburzeniami psychicznymi lub chore umysłowo.

Takie domy wcześniej miały wiele nazw - zakłady dla obłąkanych, sanatoria, ośrodki rehabilitacji - ale potem i tak wszystkie przerobiono na więzienia.

Za oknami Pressia dostrzegła zbitą z desek przybudówkę, kamienny mur zwieńczony drutem kolczastym, a jeszcze dalej białe kolumny, które już niczego nie podtrzymywały, tylko sterczały smutno w niebo.

Strażniczka zatrzymała się przed jakimiś drzwiami i zapukała.

Męski głos, szorstki i ospały, zawołał:

- Wejść!

Strażniczka otworzyła drzwi i raz jeszcze pchnęła Pressię kolbą karabinu.

- Pressia Belze - warknęła ponownie, a ponieważ dziewczyna nie usłyszała od niej niczego innego, zastanowiła się, czy ta kobieta potrafi powiedzieć coś ponadto.

W pokoju za biurkiem siedział mężczyzna - a właściwie dwóch mężczyzn. Jeden był potężny i muskularny. Wydawał się znacznie starszy od Pressii, lecz miał tyle blizn i oparzelin, że trudno było określić jego wiek. Wyglądał staro, a zarazem młodo, tak naprawdę mógł być zaledwie nieco starszy od niej, tylko bardziej sterany życiem. Drugi, niższy, wydawał się jej rówieśnikiem, lecz jednocześnie sprawiał wrażenie osobliwie beczasowego z powodu bezmyślnej pustki w oczach. Większy mężczyzna nosił szary uniform, chyba oficerski. Jadł z puszki małego pieczonego kurczaka z zachowaną głową.

Mężczyzna wtopiony w jego plecy był drobny. Chudymi ramionami obejmował gruby kark tamtego i przywierał cherlawą pierś do jego szerokich pleców. Pressia przypomniała sobie kierowcę ciężarówki i drugą głowę, która zdawała się unosić za nim. Może to ci sami.

Potężny mężczyzna polecił strażnicze:

- Zdejmij jej z ust tę taśmę. Ona musi mówić.

Palce miał umazane tłuszczem kurczaka, paznokcie brudne, ale błyszczące.

Kobieta brutalnym szarpnięciem zerwała taśmę. Pressia oblizwała wargi i poczuła smak krwi.

- Możesz już iść - rzucił wielki mężczyzna do strażniczki.

Wyszła, zamykając drzwi delikatniej, niż Pressia się spodziewała. Szczęknęły cicho.

- A więc - rzekł mężczyzna - ja jestem El Capitan. To kwatera główna. Ja tu dowodzę.

Wąty osobnik na jego plecach wymamrotał:

- Ja tu dowodzę.

El Capitan go zignorował. Wziął kawałek ciemnego mięsa i wsunął między mięsiste wargi. Pressia uświadomiła sobie, że jest potwornie głodna.

- Gdzie cię znaleźli? - zapytał ją El Capitan.

Uniósł mniejszy kawałek mięsa, sięgnął przez ramię i wetknął go prosto do ust człowieka na swoich plecach, niemal jak ptak karmiący pisklę.

- Byłam na zewnątrz.

Spojrzał na nią.

- Ach, tak?

Skinęła głową.

- Dlaczego sama się nie zgłosiłaś? - spytał. - Lubisz polowania?

- Mój dziadek jest chory.

- Wiesz, ilu ludzi usprawiedliwia się, że mają w domu chorego?

- Przypuszczam, że mnóstwo ludzi ma choroby w rodzinie -

0ile w ogóle mają rodziny.

El Capitan przechylił głowę na bok. Pressia nie była pewna, co wyraża jego mina. Znow zaczął jeść kurczaka. -

- Nadchodzi rewolucja, więc mam pytanie: czy umiesz zabijać? - El Capitan powiedział to obojętnie i beznamiętnie, jakby odczytywał tekst z

broszury dla rekrutów.

Prawdę mówiąc, głód sprawił, że Pressia zapragnęła mordować ludzi. Ta wstrętna myśl przemknęła jej przez głowę.

- Mogłabym się nauczyć zabijać - oświadczyła.

Na szczęście ręce miała wciąż związane z tyłu i nie widział jej pięści z głową lalki.

- Pewnego dnia rozprawimy się z nimi. - Głos mu złagodniał. - Tego tylko pragnę. Zanim umrę, chciałbym zabić jednego Czystego. Tylko jednego. - Westchnął i kostkami palców potarł blat biurka. - A co z twoim dziadkiem? - zapytał.

- W tej chwili nic nie mogę dla niego zrobić - powiedziała.

Uderzyło ją, że to prawda, i poczuła ulgę. Natychmiast odezwały się też wyrzuty sumienia. Dziadek ma tylko puszkę mięsa itę dziwną czerwoną pomarańczę, które otrzymał od tamtej zranionej kobiety - oraz ostatni rząd wykonanych przez nią figurek zwierząt, które mógłby wymienić najedzenie.

- Rozumiem, czym są obowiązki rodzinne - oznajmił El Capitan. - Helmud... - wskazał człowieka na swoich plecach - jest moim bratem. Zabiłbym go, ale to mój krewny.

- Zabiłbym go, ale to mój krewny - powtórzył Helmud i złożył ramiona pod szyją jak robak.

El Capitan wyrwał kurze udko i podniósł, tak aby Helmud mógł je ugryźć. Trzymał je w górze tylko przez chwilę, po czym szybko wyszarpnął z powrotem i rzekł do Pressii:

- Jesteś drobna, jakbyś nigdy nie jadła prawdziwego mięsa. Nie poradziłabyś sobie. Instynkt mi podpowiada, że mogłabyś być użyteczna, ale tylko własnym kosztem.

Pressia poczuła w żołądku lodowatą kulę strachu. Pomyślała o tamtym kalekim chłopcu bez nogi. Może ona wcale tak bardzo się od niego nie różni.

Mężczyzna pochylił się naprzód, ślizgając się łokciami po blacie.

- Podejmowanie takich decyzji to moja praca. Myślisz, że ją lubię?

Nie była pewna - lubi czy nie.

Odwrócił się i krzyknął na Helmuda:

- Ty, przestań tam!

Helmud popatrzył w górę wytrzeszczonymi oczami.

- Stale skrobie mnie nerwowo paluchami. Skrob, skrob, skrob. Helmud, pewnego dnia doprowadzisz mnie do obłądu tym swoim nerwowym drapaniem. Słyszysz mnie?

- Słyszysz mnie? - powtórzył jego brat jak echo.

El Capitan ze sterty kartonowych teczek wyciągnął jedną.

- Dziwna rzecz. W twoich dokumentach napisano, że zostałeś przyjęta do służby w stopniu oficera. Piszą, że powinniśmy pozostawić twoją edukację nietkniętą, a ja mam wprowadzić cię w szkolenie.

- Naprawdę? - spytała Pressia. Uznała to za zły znak. Czy oni wiedzą o jej powiązaniu z Czystym? Z jakiego innego powodu miałyby zostać w ten sposób wyróżniona? - Szkolenie oficerskie?

- Większość naszych rekrutów przyjęłaby taką wiadomość z większym entuzjazmem - zauważył El Capitan. Potarł zatłuszczone wargi i otworzył leżące na biurku pudełko cygar. - Prawdę mówiąc, uważam, że masz cholerne szczęście. - Zapalił cygaro i otoczył się chmurą dymu. - Masz szczęście! - powtórzył.

Twarz brata była teraz ukryta za głową El Capitana, ale Pressia wciąż mogła usłyszeć jego głos.

- Masz szczęście - wyszeptał Helmud. - Masz szczęście.

PARTRIDGE HISTORIA CIENI

ZNALEŻLI SIĘ Z POWROTEM w rzeźni u Bradwella. W przechowalni unosił się zapach-wędzonego mięsa. Podczas gdy Partridge przebierał się w jego rzeczy, Bradwell odsmażył na kuchni resztki tłustego mieszańca.

- Jedz. Musimy nabrać sił - zachęcił Partridge'a.

Partridge jednak nie miał apetytu. W ubraniu Bradwella poczuł się dziwnie. Koszula była zbyt obszerna, spodnie za krótkie, a buty tak wielkie, że stopy mu się w nich ślizgały. Zapewnił, że nie wszczepiono mu czipa, lecz Bradwell był przekonany, iż umieszczono na nim pluskwę, i zapowiedział Partridge'owi, że będzie musiał spalić wszystkie swoje ubrania i rzeczy po matce. Partridge nie był pewien, czy się na to zdobędzie. Teraz w ubraniu Bradwella sam sobie wydawał się kimś obcym.

Bradwell rozłożył na podłodze wszystkie papiery, które jak sądził, mogą mu pomóc w uzyskaniu szerszego oglądu sytuacji - wydruki mejli od ojca i matki, oryginalną japońską dokumentację, ręczne notatki, fragment rękopisu książki rodziców. Teraz dodał do tego rzeczy matki Partridge'a. Dziwnie było widzieć to wszystko porozkładane jak elementy pochodzące z wielu różnych puzzli. W jaki sposób zdołają dopasować je tak, by utworzyły całość? To niemożliwe. Ale Bradwell wydawał się podekscytowany rysującymi się perspektywami. Pochłoniął już posiłek i teraz krążył wokół tych dowodów rzeczowych. Skrzydła ptaków na jego plecach ani na moment nie pozostawały nieruchome.

Partridge skupił uwagę na wyciętych z czasopism kilku zdjęciach przedstawiających jego ojca przy mikrofonie na mównicy. Na niektórych ojciec pochylał się naprzód, przyciskając jedną dłoń do krawata w pozie fałszywej pokory, którą Partridge gardził. Na wielu innych gazetowych fotkach ojciec trzymał się na uboczu, w tle.

- W gruncie rzeczy nawet go nie rozpoznaję - oświadczył Partridge. - Nie wiem, jaki on naprawdę był.

- Twój ojciec? - rzekł Bradwell. - To człowiek, który rzucał związane sentencje, chwytliwe slogany i składał mnóstwo mglistych obietnic. Między innymi był mistrzem ogólników.

Partridge podniósł jeden z zakurzonych wycinków i wpatrzył się w bladą

twarz ojca, jego wąskie wargi, oczy zawsze odwrócone od obiektywu aparatu.

- To kłamca. Wie więcej, niż jest skłonny wyjawić.

- Założę się, że wie wszystko - rzekł Bradwell.

- Co to znaczy wszystko?

- Zna całą historię wstecz aż do drugiej wojny światowej.

- Drugiej wojny światowej? - powtórzył zdziwiony Partridge.

- Moi rodzice ją badali - oznajmił Bradwell. - Otten Bradwell i Silva Bernt. Zostali wybrani w młodym wieku, tak jak twój tata - młodzi kandydaci do grona Najwspanialszych i Najbystrzejszych. W przypadkowo dobrane popołudnia w ostatnim roku nauki wyciągnięto oboje z ich liceów - które dzieliła odległość paru stanów - i zaproszono na lunch do Red Lobster.

- Red Lobster?

- To sieć restauracji. Prawdopodobnie stanowiła element procedury. Ktoś przeprowadził stosowne badania i uznał, że te restauracje doskonale nadają się do zwabienia młodych kandydatów pochodzących ze skromnie uposażonych rodzin. Twojego tatę zapewne też zabrano do Red Lobster, kiedy był w liceum.

Partridge nie potrafił sobie wyobrazić swego ojca jako licealisty. Wykluczone. On zawsze był stary. Już się taki urodził.

- W przeciwieństwie do twojego ojca moi rodzice odrzucili tę propozycję. Często żartowali potem, że restauracja Red Lobster nie zrobiła wrażenia na żadnym z nich. Okazali się na nią odporni.

Partridge'owi nie podobało się, że Bradwell przedstawia jego ojca jako człowieka słabego. Nie podobał mu się też sposób, w jaki wymawia nazwisko Ellery Willux.

- Skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś? - spytał z powątpiewaniem.

- Moi rodzice wiedzieli, co się święci. Mieli sekretny skarbiec z podwójnie wzmocnionymi ścianami wyłożonymi stalowymi płytami. Po śmierci ciotki i wuja wróciłem do rodzinnego domu i okazało się, że został doszczętnie spalony. Bez trudu odgadłem czte-rocyfrową kombinację szyfru - osiem-jeden-

zero-pięć. To numer domu w Filadelfii, w którym rodzice dawniej mieszkali i w którym przyszedłem na świat. Zabrałem stamtąd tę nocną szafkę i choć nie było to łatwe, wlokłem ją ze sobą wszędzie, w końcu trafiła tutaj.

- Być może rzeczy mojej matki nie mają żadnego znaczenia - rzekł Partridge. - Ale gdy tylko po raz pierwszy wziąłem je do rąk, poczułem, że są ważne - że stanowią rodzaj dowodu i mogą doprowadzić mnie do niej. Może to głupie.

Bradwell dotknął świetnie zachowanej małej metalowej pozytywki, musnął palcem obrazek baloników na kartce urodzinowej - tak delikatnie, jakby te przedmioty były rodzajem relikwii, pomyślał Partridge. Jednak za nic by mu nie powiedział o tym skojarzeniu. Wiedział, iż Bradwell nie mógłby znieść myśli, że ktokolwiek miałby traktować z szacunkiem rzeczy pochodzące z Kopuły.

- Nie widziałem żadnych takich przedmiotów od Wybuchu - oświadczył Bradwell - chyba że zwęglone, osmalone, częściowo zniszczone lub spopielone. Te tutaj musiały znaleźć się w Kopule jeszcze przed Wybuchem. - Dotknął złotego wisiora w kształcie łabędzia z niebieskim okiem i gładkich brzeżków kartki urodzinowej. - Chryste! - rzucił w nagłym przypływie gniewu. - Jak to jest być takim doskonałym, co, Partridge? Bez żadnych blizn, oparzelin ani ptaków? Być jak czysta tablica?

Pytanie rozzłościło Partridge'a.

- To, iż mieszkałem w Kopule, nie oznacza, że nigdy nie cierpiałem. Oczywiście nie da się tego porównać z twoimi cierpieniami. Chcesz dostać za to nagrodę? Medal z napisem: „Za zajęcie pierwszego miejsca w cierpieniu”? Wygrałeś, Bradwell. Jesteś zadowolony? Wygrałeś.

- Tu nie chodzi o nas.

- Więc przestań mówić tak, jakby jednak chodziło.

- Musimy oczyścić nasze umysły z najbardziej oczywistych i narzucających się założeń. Mamy widzieć nie to, co jest nam przedstawiane,

lecz to, co się tu naprawdę dzieje - i kryjące się za tym cienie. Historię Cieni.

- Słusznie - odrzekł Partridge, choć wciąż był poirytowany i nie miał pojęcia, jak mógłby oczyścić swój umysł.

- Ile miałeś lat podczas Wybuchu? - spytał go Bradwell.

- Osiem i pół.

- Ta kartka jest na twoje dziewiąte urodziny.

- Wiem. Ojciec nigdy mi jej nie dał.

- Twoja matka wiedziała, że nie będzie jej wtedy przy tobie - że albo zginie...

- Albo nadal będzie przebywać poza Kopułą.

- Dlaczego przygotowała kartkę tylko na jedne urodziny, a nie na wszystkie następne?

- Może to dowód na to, że ona wciąż żyje. Sądziła, iż wróci do mnie na moje dziesiąte urodziny.

- Albo może twój ojciec zachował tylko tę jedną kartkę - zasugerował Bradwell, po czym ciągnął: - Jeżeli rzeczy twojej matki znalazły się w Kopule jeszcze przed Wybuchem, czy to znaczy, że wprowadziliście się do Kopuły, zanim zaczęła się ta apokalipsa?

- Pozwolono nam zabrać jedynie kilka osobistych przedmiotów - nie dlatego, że wiedzieliśmy o nadchodzących eksplozjach, ale na wszelki wypadek.

- Na ile wcześniej przed Wybuchem?

- Kiedy rozpoczęły się eksplozje, zwiedzaliśmy Kopułę. Oglądaliśmy nasze przyszłe małe mieszkanie. Schowałem pudełeczko z moimi rzeczami - głupoty: gra wideo i pluszowe zwierzątko, które wygrałem w automacie i sądziłem, że przynosi mi szczęście - pod piętrowe łóżko.

- A więc gdy wnosiliście swoje drobiazgi, matka musiała wiedzieć, że być może nie będzie jej przy tobie.

- Tak przypuszczam.

- Willux mógł celowo ukraść kilka przedmiotów, zanim porzucił tutaj

swoją żonę. Jeśli tak, to te przedmioty są cenne. Czy podłożył je, ponieważ podejrzewał, iż są ważne, tylko nie wiedział dlaczego? Czy chciał, abyś je znalazł, i miał nadzieję, że wzbudzą w tobie jakieś skojarzenia? - Bradwell nakręcił pozytywkę i ją otworzył. - A ta melodia?

- O co ci chodzi?

- Czy z czymś ci się kojarzy?

- Jak już ci mówiłem, to dziecięca piosenka. Myślę, że matka sama ją ułożyła.

Bradwell podniósł naszyjnik za złoty łańcuszek i przyglądał się, jak łabędź obraca się z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

Partridge wyczuwał kipiącą w Bradwellu energię.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał go. - Jakiś plan?

Nad ich głowami zerwał się wiatr i z hałasem rozrzucał śmieci na ulicy. Bradwell popatrzył w górę, a potem na naszyjnik, który trzymał owinięty wokół palców.

- Wiesz, co by nam pomogło? - odezwał się. - Informacje o twojej matce.

- Wątpię, czy potrafię cokolwiek o niej powiedzieć. Prawie jej nie znałem.

- Co o niej wiesz?

- Była bystra i ładna. Poznała mojego ojca, będąc bardzo młoda - rzekł Partridge.

Podniósł kartkę urodzinową i przesunął palcami po wypukłym obrazku przedstawiającym barwne baloniki.

- Czy twoi rodzice byli szczęśliwym małżeństwem?

- To dość osobista sprawa, nie uważasz?

- Każdy szczegół jest istotny.

- Myślę, że początkowo byli szczęśliwi, ale nie pamiętam, aby kiedykolwiek śmiali się razem albo całowali ze sobą. W naszym domu... nie wiem, jak to powiedzieć... panowała zawsze sztywna atmosfera. Rodzice odnosili się do siebie bardzo oficjalnie. Zachowywali dziwacznie poprawne

maniery. Myślę, że pod koniec ona go znienawidziła.

- Dlaczego tak sądzisz?

Partridge się zawahał.

- Nie wiem. Rodzice czasami nienawidzą się nawzajem...

- Czym zajmowała się twoja matka?

- Była lingwistką - odrzekł Partridge. - Znała mnóstwo języków. Ojciec mawiał, że matka włada też biegle mową gestów. Niezależnie od tego, w jakim języku mówiła, zawsze wymachiwała przy tym rękami. - Przeciął dłońmi powietrze. - Kiedy byłem mały, podobno zabrała mnie ze sobą na rok do Azji. Zaproponowano jej tam pracę. Pragnęła wrócić do swojego zawodu. Miałem wtedy mniej więcej roczek.

- To dziwne, nieprawdaż? Zostawić męża i drugie dziecko, wyjechać na rok do pracy w Azji i zabierać ze sobą niemowlę?

- Mój starszy brat chodził już wtedy do przedszkola.

- Mimo wszystko...

- Tak, myślę, że to dziwne. - Partridge usadowił się wygodnie w jednym z foteli. Zastanawiał się, czy Bradwell go prowokuje. - Właściwie nie wiem, co jest dziwne, a co normalne.

- Gdzie jest teraz twój brat?

- Nie żyje - odpowiedział szybko, jakby to mogło złagodzić ból w jego sercu.

Bradwell milczał przez chwilę.

- Przykro mi - rzekł.

Zabrzmiało to jak przeprosiny za mnóstwo rzeczy - w tym także za przeświadczenie, że życie Partridge'a było usłane różami.

Jednak Partridge nie wykorzystał tej chwilowo uzyskanej przewagi nad Bradwellem, chociaż wiedział, że mógłby to zrobić. Rzucił tylko:

- W porządku.

- Jak on umarł?

Partridge rozejrzał się. Powiódł wzrokiem po metalowych ścianach, martwych zwierzętach wiszących w górze na hakach, nocnej szafce.

- Popęłnił samobójstwo.

- W Kopule? - zapytał z niedowierzaniem Bradwell. - Jak ktokolwiek, kto miał tyle szczęścia, że mieszkał w Kopule, mógł się zabić?

- W gruncie rzeczy to wcale nie jest nic niezwykłego. Obecnie samobójstwa nie są tak surowo potępiane jak dawniej. Niewielu ludzi umiera od chorób, a obowiązuje teoria o ograniczonych zasobach, więc targnięcie się na swoje życie wprawdzie nadal jest czymś strasznym, ale nie uważa się go za przejaw egoizmu. W niektórych przypadkach traktuje się to niemal jak czyn szlachetny.

- Teoria o ograniczonych zasobach? - powtórzył Bradwell. - Zaplanowali tę apokalipsę, ponieważ chcieli, żeby ziemia przetrwała i sama się zregenerowała, tak aby, gdy już zużyją swoje „ograniczone zasoby”, mogli ponownie wykorzystać całą planetę. Cóż za uroczy plan!

- Naprawdę w to wierzysz?

- Ja to wiem.

- A ja wiem tylko, że mój brat był fajnym gościem i ludzie go podziwiali. Był naprawdę wartościowym, dobrym człowiekiem, lepszym ode mnie. Są gorsze rzeczy niż samobójstwo. Tyle ci powiem.

- Na przykład jakie?

- Po co te wszystkie pytania? Mamy jakiś plan?

Bradwell wyciągnął zza paska niewielki nóż. Położył wisiorek z łabędziem na nocnej szafce i uklęknął przed nią.

- Co robisz? - zapytał Partridge.

Bradwell uniósł rękojeść noża i szybkim ruchem uderzył nią w wisiorek. Brzuch łabędzia pękł na pół.

Partridge bez namysłu rzucił się na Bradwella i przewrócił go na ziemię. Przygwoździł jego rękę z nożem; chwycił też drugi przegub i przycisnął go do

szyi Bradwella.

- Co ty zrobiłeś?! - wrzasnął. - To był wisiołek mojej matki! Wiesz, ile on dla mnie znaczy?

Bradwell napiął mięśnie szyi i zdołał wydusić:

- Mam gdzieś to, ile on dla ciebie znaczy.

Partridge pchnął go, a potem puścił. Bradwell usiadł i roztarł szyję. Partridge podniósł obie części łabędzia. Szyja, oko z drogiego kamienia i otwór do nawlekania wisiora na łańcuszek pozostały nienaruszone. Tylko brzuch pękł i ukazało się puste wnętrze. Partridge przyjrzał się uważnie.

- To nie jest zwykły wisiołek, prawda? - odezwał się Bradwell. Siedział na podłodze, opierając się plecami o metalową ścianę. - Został wydrążony w środku. Mam rację?

- Dlaczego, u diabła, to zrobiłeś?

- Musiałem. Czy wewnątrz coś jest?

Partridge podniósł wisiołek i ujrzał nieznane znaki, których nie potrafił odcyfrować.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jakiś napis w obcym języku. Nie umiem go odczytać.

Bradwell wyciągnął rękę.

- Mogę zobaczyć?

Partridge niechętnie położył mu na dłoni obydwie części wisiora. Bradwell oglądał je uważnie, podnosząc je do gołej żarówki wiszącej pośrodku pokoju.

- Wiesz, co tu jest napisane? - spytał niecierpliwie Partridge.

- Przez wiele lat uczyłem się japońskiego. Mój ojciec biegle władał tym językiem, a prowadzone przez niego badania wymagały licznych przekładów. Ja nie umiem mówić po japońsku, ale trochę potrafię czytać - oświadczył Bradwell. Partridge przysunął się do niego pod światło żarówki. - Te tutaj - powiedział Bradwell, wskazując dwa pierwsze znaki - oznaczają: mój. -

Przesunął palec do następnej grupy 7x-y^X.-Ato słowo rozpoznałbym wszędzie. Pierwsze, jakie sprawdziłem w słowniku. Znaczy: feniks.

-„Mój feniks?” - zdziwił się Partridge. - To bez sensu. Mój ojciec nie znał japońskiego. Poza tym nigdy nie słyszałem, żeby zwracał się pieszczotliwie do mojej matki, używając nazw zwierząt. To nie w jego stylu.

- Może ten naszyjnik nie jest od niego? - podsunął Bradwell.

- Co znaczy „mój feniks”? - spytał Partridge.

- Nie wiem, od kogo twoja matka dostała ten naszyjnik, ale zawiera on pewien przekaz. To pokazuje, że ona i ten, kto jej go dał, wiedzieli bardzo dużo - rzekł Bradwell. - Może nawet twoja matka wiedziała wszystko.

- Wszystko? Co masz na myśli?

- Operację Feniks - wyjaśnił Bradwell. - To nazwa całego tego projektu.

- Wybuchu?

- Armageddonu. Nowego Edenu. Ukochanego dziecka twojego ojca. Nowa cywilizacja powstanie z popiołów jak feniks. Pomysłowa nazwa, prawda? - rzekł Bradwell.

Wstał i zakasłał. Szyję wciąż miał zaczerwienioną i Partridge poczuł lekkie wyrzuty sumienia z powodu tego, że go dusił. Bradwell wręczył mu metalowe wiadro, używane dawniej prawdopodobnie do przechowywania zwierzęcych flaków.

- Włóż tutaj swoje ubranie i rzeczy twojej mamy - polecił. - Musimy je spalić. Zniszczyć wszystkie ślady.

Oszołomiony Partridge podał Bradwellowi niewielki kłęb ubrań oraz plecak, chociaż już wcześniej wyjął z niego wszystkie przedmioty pozostałe po matce.

- A gdybym dokładnie sprawdził jej rzeczy? - zapytał. - Jestem pewien, że są czyste.

Obmacał wypukły obrazek na froncie kartki urodzinowej w poszukiwaniu czipów. Wyczuł mały twardy guzek. Zwilżył językiem palce, potarł

powierzchnię kartki i odsłonił maleńki czip - mikroskopijny czujnik, cienki jak skrawek papieru, lecz zrobiony z twardego białego plastiku.

- Cholera - zaklął. - Czy to w ogóle prawdziwa kartka urodzinowa? Czy naprawdę napisała ją moja matka? - Szybkim krokiem obszedł pokój. - Glassings dostał zgodę na zorganizowanie tej wycieczki. Mój nauczyciel historii powszechnej - wyjaśnił. - Być może chcieli, żebym ukradł te rzeczy. Może wiedzieli, że to zrobię, i podrzucili mi je.

- Ta kartka może być autentyczna. Czip dodano później. - Bradwell wyciągnął rękę i Partridge upuścił mu go na dłoń. - Wyślemy ich na polowanie.

Przykleił czip do kawałka drutu jakąś żywicą epoksydową własnego wyrobu o ostrym zapachu, którą przechowywał w słoiku. Następnie otworzył klatkę z dwoma szczuropodobnymi stworzeniami. Wyjął jednookiego szczura i przycisnął do piersi. Zwierzę wyrywało się, podczas gdy Bradwell owijał mu tułów drutem i skręcił końce, by się nie zsunął. Potem zaniósł szczura do studzienki kanalizacyjnej, odsunął pokrywę i wrzucił go do środka. Partridge usłyszał, jak szczur upadł na podłogę i umknął.

Bradwell polał ubrania w metalowym wiadrze jakimś płynem ointensywnej woni. Partridge wziął do ręki pozytywkę i po raz ostatni ją nakręcił.

Bradwell podpalił rzeczy w wiadrze. Buchnął ogień.

Kiedy melodyjka wybrzmiała, Partridge podał mu pozytywkę i Bradwell wrzucił ją do wiadra. Stali, przyglądając się płomieniom.

- Gdzie zdjęcie? - zapytał Bradwell.

- Ono też? Koniecznie?

Bradwell skinął głową.

Partridge nie wyjął zdjęcia z ochronnej plastikowej torebki. Nie potrafił zdobyć się na to, by raz jeszcze na nie spojrzeć. Pocieszał się, że obraz matki na zawsze wrył się w jego pamięć. Uniósł fotografię nad wiadro i upuścił ją, a gdy spadała, odwrócił wzrok. Nie chciał widzieć, jak płomienie pochłaniają twarz

jego matki.

Potem podniósł część wisiorka z nienaruszoną zawieszka przytwierdzoną do łańcuszka - część z niebieskim drogim kamieniem.

- A jeśli Pressia tu wróci? - rzekł. - Chcę, aby wiedziała, że jej szukamy, że nie zostawiliśmy jej na pastwę losu. Moglibyśmy zostawić jej połówkę tego wisiorka. Weźmiemy tę z napisem, a zostawimy tę z niebieskim kamieniem.

Bradwell podszedł do miejsca, w którym trzymał schowaną broń. Uklęknął, usunął cegły i wyjął noże, tasaki rzeźnicze, haki i paralizator.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedział.

- Nie potrafię tego spalić - oświadczył Partridge. - Po prostu nie potrafię.

Bradwell sortował broń.

- Dobrze. Zatrzymaj jedną połowę, a drugą zostaw. Teraz najważniejsze, żebyśmy się pośpieszyli. Im więcej czasu stracimy, tym mniejszą mamy szansę na odnalezienie Pressii.

Włożył nóż rzeźniczy w pętlę w kurtce, a hak wetknął w szlufkę paska.

- Dokąd idziemy? - spytał Partridge.

- Znam tylko jedną osobę, która na pewno nie jest kontrolowana przez Kopułę - powiedział Bradwell. - Ta kobieta mieszka na bezkresnych Stopionych Ziemiach. Ona ma władzę i tylko jej możemy zaufać.

- Jeśli te Stopione Ziemie są takie rozległe, to jak ją znajdziemy? - zapytał Partridge.

- To się odbywa inaczej - odrzekł Bradwell i wręczył mu hak rzeźniczy oraz nóż. - To nie myją odnajdziemy, tylko ona nas.

PRESSIA GRA

TERAZ TO PRESSIA SIEDZIAŁA na skraju łóżka polowego i czekała. Na co? Nie wiedziała. Miała już własny zielony mundur, który świetnie na niej leżał. Kiedy szła, mankiety zaprasowanych w kant nogawek stosownie ocierały się z cichym szelestem o ciężkie, sztywne buty. Poruszyła palcami stóp w

ciepłych wełnianych skarpetkach. Nie tęskniła za sabotami. Nigdy nie powiedziała o tym dziadkowi, ale uwielbiała to nowe mocne obuwie, w którym tak doskonale się czuła.

Musiała z zakłopotaniem przyznać, że satysfakcję sprawia jej całe ubranie, ciepłe i dopasowane. Dziadek opowiadał, że rodzice zrobili jej zdjęcie pierwszego dnia w przedszkolu; miała na sobie przedszkolny mundurek i stała obok drzewa na podwórzu. Teraz w wojskowym uniformie czuła się pewnie i bezpiecznie. Była częścią armii; miała wsparcie. I gardziła sobą za niezaprzeczalną przyjemność należenia do wspólnoty. Pressia naprawdę nienawidziła OPR, lecz jej mrocznym sekretem, którego nigdy nie wyjawia nikomu, zwłaszcza Bradwellowi, było to, że pokochała ten mundur.

Co gorsza, opaska na ramieniu dawała jej magiczną władzę nad innymi dziećmi w sali. Był na niej wyhaftowany emblemat w kształcie czarnego szponu, symbolu OPR - taki sam, jaki widniał na ciężarówkach, obwieszeniach i wszystkich urzędowych dokumentach. Ten szpon oznaczał władzę. Dzieciaki gapily się w oszołomieniu na emblemat i na jej pięść z głową lalki, jakby te dwie rzeczy wykluczały się nawzajem. Ubolewała, że mundur uniemożliwia jej ukrycie okaleczonej dłoni. Jego rękawy sięgały dokładnie do nadgarstków. Jednak czarny szpon na opasce dawał jej takie poczucie siły i pewności siebie, że niemal wcale nie przejmowała się tą odsłoniętą głową lalki. Prawdę mówiąc, odczuwała niewytłumaczalną chęć, by szepnąć tym dzieciakom, że gdyby też miały pięści z głową lalki, im również by się poszczęściło i dostałyby opaski na ramię z wizerunkiem czarnego szponu. Ta jej reakcja była przedziwną mieszaniną dumy i wstydu.

Inną sprawą, która ją zawstydziała, było to, iż tak dobrze jada. Wczorajszą kolację i dzisiejsze wczesne śniadanie przyniesiono jej na tacach. W obydwu przypadkach była to zupa - ciemny tłusty bulion, w którym pływało kilka kawałków mięsa i plasterki cebuli. Do tego dwie piętki chleba, gruby trójkątny kawałek sera i szklanka świeżego mleka. Gdzieś tu trzymają mleczną krowę.

Zjedzenie tych posiłków wstrząsnęło nią, gdyż oznaczało kapitulację, zdradę wszystkiego, w co wierzyła. Jednak jeśli zamierza się stąd wydostać, musi się wzmocnić. W ten sposób się usprawiedliwiała - przynajmniej przed sobą.

Pozostałe dzieciaki dostawały tylko chleb, cienki plasterek sera i kubek mętnej wody. Przyglądały się jej podejrzliwie i z zazdrością.

Rekruci nie odzywali się ani słowem. Pressia domyślała się, że zabroniono im rozmów pod groźbą kary. Ciekawe, czyją obowiązują inne reguły? Pierwszy raz w życiu czuła, że dopisało jej szczęście. „Masz szczęście!”. Tak powiedział El Capitan. „Masz szczęście!”. Wiedziała jednak, że nie może ufać temu szczęściu. Nie może ufać nikomu i niczemu. Jej przywileje mają związek z Czystym. To jedyne racjonalne wytłumaczenie, prawda? W przeciwnym razie zostałyby żywym celem i prawdopodobnie już by zginęła. Lecz nie było dla niej jasne, czego konkretnie od niej oczekują.

Strażniczka zajrzała do pokoju i poszła dalej. Pressia nabrała odwagi i przerwała ciszę.

- Na co czekamy? - spytała.

- Na rozkazy - odpowiedział szeptem kaleki chłopiec bez nogi.

Pressia nie wiedziała, skąd uzyskał tę informację, ale zabrzmiało to przekonująco. Ona czekała na rozpoczęcie swojego szkolenia. Oficerskiego szkolenia.

W drzwiach pojawiła się strażniczka i rzuciła nazwisko Dreslyn Martus. Jeden z chłopców wstał z łóżka i poszedł za nią.

Już nie wrócił.

Ten dzień włókł się niemiłosiernie. Od czasu do czasu Pressia rozmyślała o dziadku. Zastanawiała się, czy zjadł ów dziwny owoc, którym tamta stara kobieta zapłaciła mu za zszycie jej rany. I czy naoliwił tryby Freedle'a? Pomyślała o swoich motylach na parapecie. Czy dziadek wymienił je na targu najedzenie? Ile mu ich jeszcze zostało?

Usiłowała wyobrazić sobie Bradwella na następnym zebraniu. Czy w

ogóle o niej pomyśli? Czy będzie się martwić o to, co się z nią stało? A jeśli któregoś dnia ona jako oficer OPR natknie się na jedno z tych tajnych zebrań? Będzie miała okazję wydać Bradwella w odwecie za to, że nie próbował jej odszukać. Oczywiście go wypuści. Bradwell będzie jej zawdzięczał wolność. Najprawdopodobniej jednak już nigdy więcej się nie spotkają.

Wsluchiwała się w odgłosy odległej strzelaniny i bezskutecznie próbowała odnaleźć w niej jakąś prawidłowość.

Rzecz jasna, myślała też o jedzeniu. Miała nadzieję, że nadal będzie tak dobrze karmiona. Z zakłopotaniem uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie, aby o nią dbano. Gdyby zdołała utrzymać się tutaj, mogłaby zostać oficerem i zapewnić opiekę dziadkowi. Mogłaby go ocalić, jeśli najpierw uda się jej ocalić siebie.

W drzwiach znów stanęła strażniczka.

- Pressia Belze - powiedziała.

Pressia wstała i podążyła za nią. Tym razem wszyscy w sali przyglądali się, jak wychodziła.

Na korytarzu strażniczka rzekła do niej:

- Zostałaś zaproszona do wzięcia udziału w Grze.

- Co to za gra? - spytała Pressia.

Strażniczka spojrzała na nią tak, jakby chciała szturchnąć ją kolbą karabinu jak zwykłego rekruta. Pressia jednak miała zostać oficerem. Nosila przecież na ramieniu opaskę ze szponem.

- Nie jestem pewna - odrzekła strażniczka i Pressia zdała sobie sprawę, że ta kobieta powiedziała prawdę - nie wiedziała, czym jest Gra, ponieważ nigdy jej do niej nie zaproszono.

Strażniczka powiodła ją korytarzem i wyprowadziła na dwór przez tylne drzwi. Pressię owionął chłodny powiew. Był ranek. Zaskoczyło ją, że straciła rachubę czasu.

Zbocze wzgórze porastał las, zwęglony i ogołocony przez Wybuch.

Potrafiła wyobrazić sobie widmowy obraz tego lasu takiego, jaki był niegdyś - wyższe drzewa, śmigające w powietrzu ptaki, szumiące liście.

- Musiało tu być pięknie Przedtem - powiedziała.

- Co takiego? - rzuciła strażniczka.

Pressię ogarnęło zakłopotanie. Pożałowała, że wypowiedziała tę uwagę na głos.

- Nic - odrzekła.

- Tam, w dole - oznajmiła strażniczka. - Widzisz go?

Pressia spostrzegła El Capitana stojącego w cieniu drzew. Ze swoim bratem Helmudem na plecach wyglądał z tej odległości jak garbus. W półmroku jarzył się koniuszek jego cygara. Miał przewieszony przez pierś karabin, którego rzemień opasywał także Helmuda.

Odwróciła się do strażniczki.

- To tam odbywa się Gra?

Czy spodziewała się jakiejś gry karcianej? Dziadek opisał jej grę w bilard - różnokolorowe kule, odbicia od bandy, luzy w rogach stołu, kije bilardowe.

- Tak, tam.

Pressia nie lubiła lasów i leśnego poszycia.

~ i-

- Jak się nazywa ta gra? - spytała.

- Po prostu Gra - odrzekła strażniczka.

Dziewczynie nie spodobał się jej ton, ale stłumiła niepokój.

- Bardzo pomysłowe. To jak nazwanie ulubionej suni Sunią - zakpiła.

Kobieta przez chwilę mierzyła ją obojętnym wzrokiem, a potem podała jej kurtkę, którą trzymała przewieszoną przez ramię.

- To dla mnie? - upewniła się Pressia.

- Włóż ją.

- Dziękuję.

Strażniczka nie odpowiedziała. Weszła z powrotem do budynku i

zatrzasnęła za sobą drzwi.

Pressii ogromnie spodobała się ta puchata kurtka. Otuliła się nią i poczuła się jak wewnątrz ciepłego wyrośniętego bochenka chleba. Przez gruby materiał nic nie przenikało - ani zimno, ani gwałtowne porywy wiatru. Naprawdę powinno się doceniać takie drobiazgi, proste przyjemności. W tym momencie tylko to się liczyło. Czasami trzeba po prostu być wdzięcznym za coś takiego jak ciepła kurtka. Kiedy ostatni raz miała takie porządne ubranie? Rozumiała, że może tutaj zginąć. Wiedziała, że ta gadka ojej awansie na oficera to brednie. Łatwo może się okazać, iż w tej Grze to ona będzie ścigana. Pomyślała jednak, że przynajmniej umrze w ciepłej kurtce.

Zaczęła schodzić zboczem, zastanawiając się, jak powinna się zwracać do czekającego w dole mężczyzny. Czy ma do niego mówić El Capitan? Dziwny przydomek. Czy sam go wymyślił? Jeśli nazwie go El Capitanem, czy to nie wyda się wymuszone lub, co gorsza, nieszczerze? Nie chciała, aby pomyślał, że się z niego nabija. Prędzej czy później on się zorientuje, że nic jej nie łączy z Czystym. Natknęła się na niego na ulicy, a potem zaprowadziła go do jego dawnego domu, który okazał się stertą gruzu. To wszystko. Pressia miała jednak nadzieję, że do czasu, gdy El Capitan odkryje prawdę, zdoła go sobie pozyskać - o ile w tej sytuacji to może w czymkolwiek pomóc. W końcu zdecydowała, że w ogóle nie będzie zwracać się do niego po imieniu.

Zeszła ze stoku i przystanąła na chwilę u stóp wzgórza, nie wiedziała bowiem, jak ma zacząć rozmowę. El Capitan wypuścił kłęb dymu z cygara, a jego brat gapił się na nią szeroko rozstawionymi oczami.

El Capitan wyglądał na zniesmaczonego i już znużonego, pomimo wczesnej pory. Popatrzył na Pressię kątem oka i z rezygnacją potrząsnął głową, jakby powątpiewał w sens tego przedsięwzięcia, lecz nie zamierzał dyskutować z rozkazami. Podał Pressii drugi karabin.

- Przypuszczam, że nie umiesz strzelać.

Dziewczyna ujęła karabin tak, jakby to był instrument muzyczny albo

szpadel. Nigdy wcześniej nie widziała broni palnej z tak bliska, nie mówiąc już o trzymaniu jej w rękach.

- Nigdy nie miałam tej przyjemności - odrzekła.

- Tak się to robi - powiedział, bezceremonialnie odbierając jej karabin.

Pokazał dziewczynie, jak go trzymać i mierzyć przez przyrządy celownicze, a potem zwrócił jej broń.

Chwyła zdrową dłonią za spust, a potem zbalansowała dłuższą część karabinu, opierając go na pięści z głową lalki.

Na ten widok El Capitan na chwilę umilkł. Przywykł jednak do najrozmaitszych deformacji. Poza tym niewątpliwie sam też musiał wysłuchiwać licznych komentarzy, będąc kimś, kto nosi na plecach swego brata. Spytał więc tylko:

- Potrafisz przynajmniej zgiąć tę rękę w nadgarstku, aby uzyskać stabilny chwyt?

Oczywiście, Pressia potrafiła to zrobić. Nauczyła się tego przez lata kalectwa.

Wówczas El Capitan szturchnął ją lekko w łokieć, korygując jej postawę. Przez moment miała wrażenie, że odnosi się do niej niemal jak starszy brat. Mimo woli przypomniała sobie, jak kiedyś dziadek uczył ją zamachu wyimaginowanym kijem golfowym, obejmując ją ramionami i splatając palce z jej palcami. Opowiadał jej, że zielone trawiaste pola golfowe ciągnęły się bez końca, a do czubków kijów przytwierdzano czasem małe kapelusiki ozdobione puchatymi piłeczkami. Łagodne zachowanie El Capitana nie trwało długo. Spojrzał na nią i rzekł ostro:

- Nie rozumiem tego.

Cisnął niedopałek cygara i rozgniół go obcasem buta.

- Czego? - spytała.

- Dlaczego akurat ty?

Wzruszyła ramionami, a on popatrzył na nią podejrzliwie, zakasłał i

splunął na ziemię.

- Teraz nie będziesz strzelać. Nie chcemy ujawnić naszej pozycji. Tylko ćwicz - polecił. - Zanim pociągniesz za cyngiel, weź głęboki wdech, a potem wypuść jedynie połowę powietrza i wtedy wystrzel.

- Wystrzel - szepnął jego brat, co przestraszyło Pressię, bo prawie już o nim zapomniała.

Wymierzyła i przypomniała sobie o oddechu. Wciągnęła powietrze, zatrzymała je, wyobraziła sobie huk wystrzału i wypuściła je z płuc.

- Nie zapomnij o tym - rzekł El Capitan i pchnął lufę jej karabinu w dół. - I nie celuj we mnie, gdy będziemy szli.

Pressia pomyślała o Helmudzie. Czy El Capitan nie powinien mówić o sobie w liczbie mnogiej? „Tylko nie celuj w nas” - prawda?

Klepnął ją w plecy.

- Idź za mną.

Jego brat powtórzył szeptem:

- Idź za mną.

- Ale co to za Gra? - zapytała Pressia.

- Nie ma sztywnych reguł. To rodzaj zabawy w berka. Ścigasz swojego przeciwnika, a potem zamiast wyeliminować klepieniem, zastrzelisz go.

- Co będziemy tropić?

- Kogo będziemy tropić - poprawił ją.

Pressia usiłowała myśleć wyłącznie o kurtce - o tym, że czuje się w niej jak w ciepłym bochnie chleba.

- A więc kogo?

- Nowicjusza. Kogoś takiego jak ty. Tylko że on nie miał tyle szczęścia co Pressia Belze.

Pressii nie podobało się, że El Capitan wciąż powtarzał, jakie to ona ma szczęście. Jakby z niej drwił. Zerknęła na Helmuda.

- Czy ten nowicjusz jest uzbrojony? - spytała.

- Nie. Takie były rozkazy. Zaczynam z tobą od poziomu A - wyjaśnił El Capitan. - Potraktuj to jako część twojego szkolenia oficerskiego.

Szli w dół wzgórza ścieżką wydeptaną między drzewami.

- Kto wydał te rozkazy? - zapytała i natychmiast przestraszyła się, że to z jej strony zbyt duża śmiałość.

Pressia wmawiała sobie, że oficer powinien być śmiały.

- Ingership - odrzekł El Capitan. - Miałem nadzieję, że już zapomniał o Grze. Od jakiegoś czasu jej nie ogłaszał. Ale rozkaz to rozkaz.

A gdyby on nie nakazał zastrzelić tego nowicjusza, tylko zdecydowałby się puścić go wolno? - pomyślała Pressia. Czy zawsze trzeba wykonywać rozkazy? Może właśnie dlatego wysłano ją na szkolenie oficerskie. Ma się nauczyć, że nie należy zadawać tego rodzaju pytań.

Usłyszała za plecami jakiś odgłos. Czy to ten nowy, którego ma zastrzelić? El Capitan się nie odwrócił, więc ona też tego nie zrobiła. Nie chciała zabić tego nowicjusza, kogoś takiego jak ona, komu jednak nie dopisało szczęście. Wiedziała, że jej szczęście nie będzie trwało wiecznie. To tylko pomyłka. Wkrótce ktoś, może ten Ingership, wezwie któregoś z podwładnych i oznajmi, że sprowadzili niewłaściwą dziewczynę. „Nie chodziło nam o Belze, tylko o kogoś innego” - powie. A wówczas ona znów znajdzie się w tym lesie, tym razem tropiona przez El Capitana i jakiegoś innego kandydata przechodzącego szkolenie oficerskie, który nigdy wcześniej nie strzelał z karabinu.

Pressia nie przepadała za grami i nie była w nich dobra. Żałowała, że nie ma przy niej Bradwella. Czy on zabiłby tropionego nowicjusza? Nie. Z pewnością znalazłby sposób, by się przeciwstawić, postąpić właściwie, złożyć stosowne oświadczenie. Ona tylko stara się przeżyć. Nie ma w tym nic złego. W gruncie rzeczy niemal pragnęła, by mógł ją teraz zobaczyć, ale jedynie jako obraz dziewczyny z karabinem w lesie. Przynajmniej sprawiała wrażenie, że potrafi sama się o siebie zatroszczyć.

Po pewnym czasie El Capitan przystanął.

- Słyszysz to?

Pressia usłyszała nikły szelest, ale to tylko wiatr poruszał liśćmi. Spojrzała w prawo i zobaczyła jakąś postać, która pokuśtykała od jednego drzewa do drugiego, a potem zniknęła jej z oczu. W głowie Pressii rozbrzmiało zawołanie z jej dziecięcych zabaw w chowanego: „Wychodźcie! Wychodźcie, gdziekolwiek jesteście!”. Te słowa napęliły ją nerwowym lękiem. W myśli namawiała tego kogoś, aby pozostał w ukryciu: „Nie wychodź. Nie wychodź”.

El Capitan poszedł w przeciwnym kierunku, w zarośla. Wskazał lufą karabinu coś na ziemi.

- Spójrz - powiedział.

Zbliżyła się i ujrzała wijące się rudawe futerko, a potem błyszczące oczy, mały świński ryjek z szorstkimi wąsikami oraz tułów podobny do lisa. Zwierzę złapało się w niewielki stalowy potrzask.

- Co to jest?

- Jakiś mieszaniec. Jednak dość rzadko spotykany, zmutowany genetycznie. Kolejne generacje zwierząt pojawiają się częściej niż nasze, ludzkie, toteż szybciej przekazują sobie dziedziczne cechy. Spójrz tutaj. - Trącił lśniący metalicznie pazur zwierzęcia. - Przeżywają okazy najlepiej przystosowane.

- Najlepiej przystosowane - powtórzył Helmud.

- Takie jak my, racja? - El Capitan spojrzał na nią.

Oczekiwał, że przytaknie, więc odczekał potwierdzenia.

- To właśnie z czasem stanie się z naszym DNA - rzekł El Capitan. - Niektórzy z nas wydadzą na świat hybrydowe potomstwo obdarzone cechami, które uczynią nasz gatunek silniejszym, a reszta wymrze. Ten tutaj jeszcze nadaje się do jedzenia.

-

- Zastrzelisz go? - spytała.

- To psuje smak mięsa, więc nie rób tego, jeśli nie musisz.

Rozejrzał się i podniósł spory kamień. Trzymał go przez chwilę nad głową zwierzęcia, a potem walnął, miażdżąc mu czaszkę. Zwierzak szarpnął się, zacisnął metalowy pazur, a po chwili oczy mu zmętniały i się zeszkliły.

Na widok takiej brutalności Pressię zemdliło, ale nic po sobie nie pokazała. El Capitan nie spuszczał z niej wzroku. Wyglądało na to, że ocenia jej odporność.

- Parę tygodni temu złapałem szczura wielkości psa, z ogonem z żelaznego łańcucha. Tutaj wszystko jest chore i pojawiają się różnego rodzaju deformacje.

- Deformacje - powtórzył Helmud.

Pressia była wstrząśnięta. Dłonie jej drżały. Aby to ukryć, mocno chwyciła karabin.

- Dlaczego mnie tu zaprosiłeś? Tylko po to, żebym wzięła udział w Grze?

- Obecnie wszystko jest grą - odrzekł El Capitan, otwierając potrzask. - Przegrywasz i jesteś martwa. Wygrana oznacza po prostu, że grasz nadal. Czasami chciałbym przegrać. Jestem znużony. Zmęczyło mnie to wszystko, i tyle. Wiesz, co mam na myśli?

Wiedziała, ale zaskoczyło ją, że wypowiedział to na głos - coś tak szczerego i ujawniającego jego słabość. Wspomniała, jak kiedyś przecięła sobie nadgarstek. Próbowiła uwolnić się od głowy lalki czy po prostu miała już dosyć życia? Zastanowiła się przez chwilę, czy El Capitan ją sprawdza. Może powinna mu odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, o czym mówił, że jest twarda i nadaje się na oficera. Jednak patrzył na nią tak, że nie potrafiła skłamać. Skinęła głową.

- Tak, wiem.

El Capitan podszedł do martwego zwierzęcia, podniósł je, wyjął z kieszeni kurtki płócienny worek i wrzucił zwierzę do środka. Worek natychmiast przesiąknął jaskrawoczerwoną krwią.

- Po raz pierwszy od tygodnia znalazłem w potrzasku całego zwierzaka.

- Jak to?

- Coś dobiera się do moich pułapek i pożera wszystko, co się w nie złapie, zanim zdążę wyjąć zdobycz.

- Jak myślisz, co to takiego?

El Capitan stopą w bucie ponownie nastawił potrzask. Potem rzucił przez ramię do brata:

- Możemy jej zaufać? Możemy zaufać tej Pressii Belze?

- Belze, Belze - powtórzył z podnieceniem Helmud, lecz dla Pressii zabrzmiało to jak „bolce, bolce”.

- Posłuchaj - rzekł El Capitan. - Jestem skłonny podzielić się z tobą mięsem. Możemy mieć własną wyzerkę, ty i ja. Nie musimy być zdani na ten szajs, który codziennie nam podają. - Wbił wzrok w Pressię. - Ten kurczak, którego jadłem parę dni temu, wyglądał całkiem nieźle, prawda?

Kiwnęła głową.

- Ale moje jedzenie nie jest złe. Lepsze niż innych - powiedziała.

- Inni gównie wiedzą - rzucił. - I nigdy niczego się nie dowiedzą. Ale ty...
- urwał i powiódł spojrzeniem po lesie.

- Co ja?

- Trzymaj się blisko mnie - polecił. - Słyszę ich. Czasami poruszają się błyskawicznie jak kolibry. Słyszysz?

Dziewczyna wyteńczyła słuch, starając się usłyszeć cokolwiek. „Nie wychodź. Nie wychodź, gdziekolwiek jesteś”.

- Czego mam słuchać?

- Powietrze staje się naelektryzowane, gdy są w pobliżu.

El Capitan pochylił się i powoli, bezszelestnie ruszył naprzód. Pressia podążyła za nim. Była teraz zadowolona z ciężaru trzymanego w ręce karabinu i z tego, że to nie jest tylko kij golfowy. Szkoda, że dziadek nie nauczył jej raczej posługiwania się bronią zamiast różnymi rodzajami wymyślonych kijów do golfa.

El Capitan przykucnął w krzakach i skinął na Pressię, żeby dołączyła do niego.

- Spójrz na to.

Ujrzała pole, na którym niegdyś stał dom. Teraz wznosiła się tam tylko olbrzymia góra gruzu. Obok dostrzegła wielką bryłę plastiku - przypuszczalnie pozostałość po dziecięcym placu zabaw. Była tam też ogromna metalowa zaciśnięta pięść i jakby wtopiona w nią żelazna drabinka. Pressia nie potrafiła odgadnąć, co to takiego.

- A więc tam są - powiedział El Capitan.

Wydawał się dziwnie spokojny i nieruchomy, jakby sparaliżowany.

Pressia zobaczyła po drugiej stronie pola jakieś sylwetki przemykające szybko w cieniu drzew. Żadna nie przypominała kulejącej postaci, która wcześniej kryła się za drzewami. Te były wielkie i tworzyły grupę poruszającą się w zorganizowany sposób. Spostrzegła najpierw dwie sylwetki, a potem jeszcze trzecią. Wyłoniły się z lasu i wtedy zorientowała się, że to młodzi mężczyźni z szerokimi twarzami. Nosili obcisłe ciemnopopielate kombinezony maskujące, które odsłaniały tylko ręce. Ich nieskazitelnie gładka bezwłosa skóra zdawała się lśnić. Do muskularnych ramion mieli przytwierdzone - a może przyrośnięte - karabiny z grubego czarnego metalu. Przechylali głowy na bok, jakby nasłuchiwali czegoś z oddali, i węszyli w powietrzu. Całe ich ciała były potężnie umięśnione. Dwaj z nich mieli wydatne torsy, a trzeci - niezwykle grube uda. Wszyscy byli krótko ostrzyżeni. Poruszali się z ogromną prędkością, pozostawiając za sobą w zimnym powietrzu obłoczki pary oddechów, a gdy zwalniali, szli sprężystym krokiem, niemal z wdziękiem. Mieli olbrzymie dłonie - nie, szpony - lecz wyglądali na ludzi. W zwykłych okolicznościach Pressia by się przeraziła, ale wobec dziwacznej elegancji tych stworzeń i niewzruszonego spokoju El Capitana nie czuła strachu.

- Widziałem już kiedyś tych trzech - oświadczył. - Może chcą osaczyć swoją ofiarę.

- Kim oni są? - szepnęła Pressia.

- Nie musisz mówić szeptem. Wiedzą, że tu jesteśmy. Gdyby chcieli nas zabić, już by to zrobili.

Pressia przyglądała się, jak jeden z tych młodych mężczyzn wskoczył na bryłę plastiku i wpatrzył się w dal, jakby potrafił sięgnąć wzrokiem na odległość wielu kilometrów.

- Skąd oni pochodzą? - zapytała.

Stworzenia poruszyły się niespokojnie. El Capitan wydawał się podekscytowany niemal jak mały chłopiec. Po raz pierwszy wyglądał prawie na jej rówieśnika. Powiedział:

- Miałem nadzieję, że się pokażą, ale nie byłem tego pewien. Teraz ty też ich widziałaś, więc już nie jestem sam.

Pressia pomyślała o bracie na jego plecach i rzekła w duchu: „Nigdy nie jesteś sam”.

- Szukają czegoś albo kogoś. - El Capitan odwrócił się do niej. - Może coś o tym wiesz?

Potrząsnęła głową.

- Interesujące, że pojawili się równocześnie z tobą.

- Nie wiem, o czym mówisz. W życiu nie widziałam niczego podobnego do nich. - Przypomniała sobie Czystego stojącego pośrodku ulicy, dokładnie tak, jak go opisywano. Czy to właśnie jego szukają te stwory? - Nie wiem nawet, czym oni są.

- Ktoś opanował umiejętność pobierania wszystkich pożądanych cech od zwierząt lub przedmiotów, a następnie łączenia ich albo stapiania z ludźmi - powiedział El Capitan. - Hiper mózg w hiperściele.

- Kopała? - spytała Pressia.

- Tak, Kopała. Któż inny? Ale ci tutaj wiedzą o naszej obecności, więc dlaczego nas nie zabili? Jesteśmy ich wrogami, prawda? Albo przynajmniej nadajemy się do zjedzenia.

- Nadajemy się do zjedzenia - powtórzył brat.

Pressia obserwowała nagle przyśpieszenia ruchów stworów, słyszała dziwaczne brzęczenie. El Capitan miał rację - w powietrzu wibrowało elektryczne napięcie.

- Widzisz tego tam? - Wskazał na osobnika, który zdawał się patrzeć prosto na nich. - Ostatnim razem też mi się tak przyglądał. Sprawia wrażenie bardziej ludzkiego niż pozostali. Widzisz?

Pressia nie była tego taka pewna. Wszystkie stwory wydawały się jej tak obce, że z trudem dostrzegała w nich ludzkie cechy.

- Chyba tak - odrzekła niepewnie.

- Stopili ich z paroma niezłymi zabawkami, co? - odezwał się El Capitan.
- To supernowoczesne karabiny i nie zdziwiłoby mnie, gdyby zawierały kilka komputerowych czipów. Inteligentna broń. Ale użyto też zwierząt. Bez względu na to, z jakimi gatunkami ich połączono, w istocie sami stali się zwierzętami. Może stopiono ich ze żbikami i niedźwiedziami. Może także z jastrzębiami ze względu na ich wzrok. Możliwe nawet, że dostali echolokacyjne sonary jak u nietoperzy. Widzisz, jak kręcą głowami? - rzekł. - Tak czy owak, stali się krwiożerczy.

- Krwiożerczy - szepnął Helmud.

Na to słowo trzy stwory jak na komendę odwróciły się jednocześnie i wpatrzyły się w ukrytych w krzakach Pressię, El Capitana i jego brata.

- Nie ruszaj się - polecił jej El Capitan.

Dziewczyna nie śmiała nawet odetchnąć. Zamknęła oczy i myślała o kurtce - o tym, jak jest w niej ciepło. Przemknęło jej przez głowę: „Jeśli umrę tutaj, to przynajmniej...”.

Po chwili uwagę stworów przykuł inny dźwięk i pobiegły w jego kierunku. Gdy pędziły między drzewami, rozległo się głośnie brzęczenie.

Potem powietrze znieruchomiało.

Pressia odwróciła się do El Capitana.

- Dlaczego mi to pokazałeś?

Wstał i wbił wzrok w swoje buty.

- Ingership wydał nadzwyczajne rozkazy dotyczące ciebie.

- Kim właściwie jest ten Ingership?

El Capitan zaśmiał się chrapliwie.

- To człowiek, który ma plan działania. - Popatrzył na Pressię spod przymrużonych powiek. - Nigdy dotąd nie otrzymałem takich rozkazów - żeby wziąć jakieś chuchro i zrobić z niego oficera, tak po prostu. W dodatku to dziewczyna. Ingership chce się osobiście z tobą spotkać. A potem zjawily się te stwory. To ma jakiś związek z tobą - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Ale ja nie mam pojęcia, jaki to mogłoby mieć związek ze mną. Jestem nikim. Nieszczęśnikiem, jak wszyscy.

- Coś wiesz albo coś masz. Oni z jakiegoś powodu cię potrzebują. Wszystko to się ze sobą wiąże - rzekł, gestykułując gwałtownie. - Nie wiem tylko, w jaki sposób. Nie jest to przypadek, prawda?

- Nie wiem - Pressia wzruszyła ramionami. - Myślę, że to prawdopodobnie właśnie jedynie ciąg przypadków.

- Mimo wszystko lepiej, jeśli będę teraz dla ciebie miły - oświadczył El Capitan. - Dla własnego dobra.

- Dla własnego dobra - powtórzył Helmud.

El Capitan zerknął przez ramię na brata, który siedział mu na plecach z głową przechyloną na bok.

W tym momencie gdzieś w pobliżu rozległ się głośny szcęk, a potem krzyk i odgłos szamotania się.

- Coś się nam złapało - oznajmił El Capitan.

Pressia na chwilę zamknęła oczy, a potem poszła za nim z powrotem do potrzasku.

Na ziemi leżał kaleki chłopiec z jej pokoju - jedyny, który spojrzał na nią, gdy po raz pierwszy się tam zjawiała. Widocznie się czołgał, gdyż w potrzask

dostała się górna połowa jego ciała. Metalowe zęby wbiły mu się w żebra. Przez cienką kurtkę sączyła się krew. Odwrócił się, spojrzął na Pressię i zakasłał krwią.

- No cóż, to nie jest prawdziwe wyzwanie - oznajmił El Capitan. - Ale mogłabyś go zastrzelić dla wprawy.

Chłopiec patrzył na Pressię. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Ściągnięta szyi miał napięte i sine.

Pressia się nie odezwała. Drżącymi rękami uniosła karabin.

- Cofnij się o kilka kroków - poradził El Capitan. - Żebyś mogła chociaż trochę pocelować.

Cofnęła się, on również. Znów uniosła karabin i spojrzała przez przyrządy celownicze. Odetchnęła głęboko, a potem wypuściła z płuc tylko połowę powietrza i wstrzymała oddech. Zanim pociągnęła za spust, uświadomiła sobie, że mogłaby przesunąć lufę broni w górę i w prawo i zabić El Capitana oraz jego brata. Jeśli ma tylko ten jeden strzał, właśnie tak powinna go wykorzystać. Była tego pewna, tak jak zawsze była pewna najważniejszych spraw w swoim życiu. Mogłaby wystrzelić i uciec.

Zmrużyła lewe oko i wycelowała. Miała na muszce głowę chłopca. Spokojnie, tak jak nauczył ją El Capitan, nabrała w płuca powietrze i wypuściła połowę, ale nie strzeliła.

Powiedziała:

- Nie mogę go zabić.

- Dlaczego? Przecież masz go tuż przed sobą.

- Nie jestem morderczynią - oświadczyła. - Moglibyśmy zanieść go z powrotem, żeby ktoś go opatrzył. Macie tu lekarzy, prawda?

- Ale to nie należy do Gry - zaproponował El Capitan.

- Jeśli musisz zabić kogoś w ramach Gry, możesz zastrzelić mnie. Ja nie potrafię go zabić. On nigdy nie zrobił mi niczego złego.

El Capitan przesunął do przodu swój karabin wiszący na rzemieniu.

Wetknął kolbę pod ramię. Przez moment Pressia myślała, że przyjął jej propozycję. Zabije ją. Serce jej załomotało, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Zacisnęła powieki.

Wówczas kulawy chłopiec leżący na ziemi wymamrotał ustami pełnymi krwi:

- Zrób to!

Pressia otworzyła oczy. El Capitan mierzył do chłopca. Pomyślała, żeby pchnąć tego mężczyznę, rzucić się na niego, lecz wiedziała, że nie da rady. Zresztą ten chłopiec chciał umrzeć. Wpatrywał się błagalnie w El Capitana i poprosił go, żeby to zrobił. Pressia patrzyła więc, jak klatka piersiowa mężczyzny uniosła się i opadła, a w połowie wydechu pociągnął za spust.

Głowa chłopca uderzyła o ziemię. Nie miał już twarzy, a jego ciało zwiotczało.

A Pressia znów zaczęła oddychać.

PARTRIDGE KLATKA

ABY DOTRZEĆ DO STOPIONYCH ZIEM, Partridge i Bradwell musieli przedostać się przez zrujnowane miasto, a gdyby zboczyli do domu Pressii, nie nadłożyliby zbyt drogi.

- Chcę sprawdzić, co z jej dziadkiem - oznajmił Bradwell. - Wiem, gdzie ona mieszka.

Partridge był tak opatulony, że nie widać było ani skrawka jego skóry. Bradwell polecił mu też, żeby się zgarbił i powłóczył nogą. W zwykłych okolicznościach wybieraliby boczne uliczki i podziemne kanały, lecz teraz nie było na to czasu.

Przepychali się przez zatłoczone targowisko. Bradwell wyjaśnił, że im większy ścisk i rozgardiasz, tym łatwiej się ukryć. Wszędzie napotykali ludzi, który wydawali się częściowo zrobotyzowani. Partridge widział odsłonięte koła zębate i druty, kawałki skóry z wtopionym szkłem i plastikiem. Widział grzbiet

dłoni, w którym błyszczała blacha ze starej puszkii po napoju gazowanym, klatkę piersiową z białego metalu dawnej obudowy jakiegoś urządzenia - może pralki? Widział narodził z boku głowy, słuchawkę wrosniętą w ucho, dłoń stopioną z klawiaturą komputera. Ktoś szedł o lasce, ponieważ miał zmartwiałą nogę, którą toczył przed sobą na wó-zeczku. Czasami chłopiec dostrzegał tylko przedramię porośnięte futrem lub rękę tak skręconą i cienką, że przypominała zwierzęcą łapę.

Najbardziej jednak dziwił go widok dzieci. W Kopule nie było ich wiele. Zniechęcano rodziców do posiadania licznych potomstwa, a niektórym małżeństwom w ogóle nie pozwalano mieć dzieci, o ile istniało zagrożenie wystąpienia wad genetycznych.

- Przestań się tak gapić - syknął do niego Bradwell.
- Nie przywykłem do widoku tylu dzieci.
- U was one tylko zużywają zasoby, tak?
- Brzmi okropnie, kiedy tak to ujmujesz.
- Patrz prosto przed siebie.
- To trudniejsze, niżby się wydawało.

Przeszli jeszcze kawałek i Partridge, chcąc odwrócić swoją uwagę od dzieci, zapytał:

- Skąd wiesz, gdzie mieszka Pressia? Często u niej bywałeś?
- Poznałem ją mniej więcej tydzień przed jej szesnastymi urodzinami, a później podrzuciłem jej prezent.

Partridge był ciekaw, co tutaj ofiarowuje się w prezencie. Poza tym chciał zobaczyć mieszkanie Pressii. Miał wyrzuty sumienia, że niczym turysta pragnie poznać miejscowe codzienne życie, ale nic nie mógł na to poradzić. Chciał zorientować się w biegu spraw w tym świecie.

- Co jej dałeś?
- Nic, co mogłoby mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie - powiedział Bradwell. - Mieszkanie Pressii i jej dziadka jest już niedaleko.

Partridge zaczynał się przyzwyczajać do sposobu bycia Bradwella i wiedział, że chciał on przez to powiedzieć: „Zamknij się i przestań zadawać pytania”.

Szli teraz wąską aleją, w której unosił się zapach zwierząt i zgnilizny.

Tutejsze siedziby zbudowano na gruzach zwalonych domów. Niektóre były zaledwie płytami sklejk opartymi o kamienie.

- To tutaj - oznajmił Bradwell.

Podszedł do okna, które zapewne niedawno wybito; z framugi wciąż sterczały małe odłamki szkła. Obydwaj zajrzeli do niewielkiego pomieszczenia, którego skąpe umeblowanie stanowiły stół, przewrócone krzesło oraz kłęb szmat na podłodze, być może służący za posłanie. Wzdłuż tylnej ściany stały szafki, wszystkie szeroko otwarte. Na wewnętrznych drzwiach Partridge zobaczył tabliczkę: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU.

- Co tu się dawniej mieściło? - zapytał.

- Zakład fryzjerski - wyjaśnił Bradwell. - Ale został zniszczony przez eksplozję. Ocalało jedynie zaplecze.

Partridge spostrzegł leżącą na ziemi klatkę dla ptaków. Z jednej strony miała wgniecione pręty. Pod sufitem wisiał pusty hak.

- To miejsce wygląda na opuszczone - zauważył.

- Niedobrze - orzekł Bradwell.

Podszedł do drzwi i delikatnie zapukał. Nie były całkiem zamknięte, więc stukanie sprawiło, że otworzyły się powoli.

- Hej! - zawołał Partridge. - Jest tu kto?

- Zabrano go - oznajmił Bradwell, obchodząc pokój.

Otworzył i zamknął jedną z szafek, rzucił okiem na stół. Potem zobaczył coś zawieszzonego na ścianie i podszedł bliżej.

- Może tylko gdzieś wyszedł - zasugerował Partridge, stając obok niego.

Bradwell nie odpowiedział. Wpatrywał się w wiszący na ścianie obrazek w koślawej drewnianej ramce.

- Ludzie siedzący w kinie w okularach przeciwsłonecznych? - spytał Partridge, zdejmując obrazek z niewielkiego haczyka, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- To okulary 3-D - wyjaśnił Bradwell. - Ona uwielbiała ten obrazek. Nie wiem, dlaczego.

- Czy to właśnie jest prezent od ciebie?

Bradwell skinął głową. Wydawał się wstrząśnięty.

Partridge odwrócił obrazek. Po drugiej stronie zobaczył inny kawałek papieru - tak stary, pognieciony i powalany szarym popiołem, że ledwie zdołał odczytać wypisane na nim słowa: Nasi bracia i siostry, wiemy, że tu jesteście. Pewnego dnia wyjdziemy z Kopuły i przyłączymy się do Was w pokoju. A na razie przyglądamy się Wam życzliwie z oddali. Spojrzał pytająco na Bradwella.

- To Przesłanie - rzekł Bradwell. - Oryginał.

Partridge'a przeniknął chłodny dreszcz. To jego ojciec zdecydował o rozpowszechnieniu tego Przesłania. Od początku stanowiło część planu. Chłopiec powiesił ramkę z powrotem na haczyku, czując, że żołądek podjeżdża mu do gardła.

- Zabrali go - powtórzył Bradwell.

Podszedł do parapetu zasłanego odłamkami szkła oraz połamanymi kawałkami metalu i drutu, czasem z przyczepionymi skrawkami materiału. Podniósł coś i trzymał w złączonych dłoniach.

- Co to takiego? - zapytał Partridge.

- Jedno ze zwierzątek Pressii - odrzekł Bradwell. - Ona je produkuje. Jej dziadek pokazał mi kilka.

Partridge rozpoznał motyla z szarymi skrzydłami i małym nakręcanym mechanizmem przymocowanym do drucianego szkieletu.

- Wymieniała je na targu najedzenie. Być może dziadek usiłował je ocalić. Doszło tu do walki - mówił dalej Bradwell.

Miał rację. Partridge dostrzegał teraz ślady tej walki: rozbite okno, klatka

dla ptaków zrzucona z haka, przewrócone krzesło.

- Ocalało tylko to jedno.

Partridge podszedł do leżącej na ziemi klatki, podniósł ją za niewielki pierścień u góry i powiesił z powrotem na haku.

- Cokolwiek w niej było, zniknęło - rzekł Bradwell.

- Może to lepiej - uznał Partridge. - Niech fruwa na wolności.

- Tak sądzisz? - spytał Bradwell.

W istocie Partridge nie był pewien, czy lepiej przebywać w klatce, czy być wolnym w tym strasznym świecie. Powinien umieć to rozstrzygnąć. Czyżby w głębi duszy pragnął wrócić do Kopuły?

ŁYDA PALCE

ŁYDA WYGLĄDAŁA PRZEZ MAŁE prostokątne okienko w drzwiach celi. Co innego mogłaby tu robić? Siedzieć na macie, która ma bezładnie dobrane pstrokate kolory, pomieszanie z poplątaniem? Łyda schowała ją pod posłanie, gdyż nie mogła znieść jej widoku.

Fałszywe okno na ścianie wypełnił blask późnego popołudnia. Światło migotało, jakby przenikało przez drżące liście. Czy identyczny obraz jest rzucany na ściany wszystkich cel? Coś w wyglądzie tego okna sprawiało, że Łyda czuła się obiektem rozbudowanej manipulacji. Odcięta od wszelkich zewnętrznych widoków, miała wrażenie, że w tym ośrodku kontrolują nawet słońce. Dla mieszkańców Kopuły słońce stanowiło jedyną realną miarę upływających dni i nocy. Bez niego czuła się jeszcze bardziej zagubiona.

Jej pokój znajdował się na końcu korytarza. Łyda widziała stąd prostokątne okienka w drzwiach cel po obydwu stronach. Wszystkie były teraz puste. Być może niektóre dziewczyny przebywały na sesjach terapeutycznych. Kilka dziewcząt zaprowadzono na wspólny posiłek. Reszta zapewne leżała na łóżkach, krążyła po swoich celach lub rozmyślała o własnych fałszywych oknach na ścianie.

Po chwili ktoś pojawił się w okienku na końcu szeregu drzwi. Rudowłosa. Twarz miała obwisłą i bladą, brwi tak jasne, że niemal niewidoczne. Rzuciła na Łydę puste, nieobecne spojrzenie. W jej oczach malował się ten sam pełen niepokoju dziwny wyczekujący wyraz, który Łyda dostrzegła wcześniej podczas wyplatania mat.

Miała wyrzuty sumienia, że kazała jej wtedy zamilknąć. Przecież ta dziewczyna tylko sobie nuciła, aby zabić czas. Co w tym złego? Postanowiła jej to teraz wynagrodzić. Podniosła rękę i pomachała przyjaźnie.

Rudowłosa też uniosła dłoń, ale przycisnęła palce do szyby okienka. Przytykała je kolejno do szkła w określonym rytmie, zaczynając od małego palca. Łyda uznała, że ta dziewczyna jest obłąkana. Ponieważ jednak nie miała nic innego do roboty, dalej się jej przyglądała. Mały palec, serdeczny i pauza. Środkowy, wskazujący. Pauza. Potem szybko kciuk, mały, serdeczny. Środkowy, wskazujący i pauza. Kciuk, mały i pauza. Potem znów szybko serdeczny, środkowy, wskazujący, kciuk, mały. Następnie w seriach po trzy: serdeczny, środkowy, wskazujący, pauza; kciuk, mały, serdeczny, pauza; środkowy, wskazujący, kciuk, pauza; mały, serdeczny, środkowy. Dopiero wtedy Łyda zorientowała się, że to piosenka - ale nie melodia wygrywana na klawiszach wyimaginowanego fortepianu, tylko jej wystukiwany rytm.

I rozpoznała tę piosenkę. To ta okropna Migocz, migocz, mała gwiazdka... która przyczepia się do ciebie i doprowadza cię do szału. Zniesmaczona, odwróciła się od okna i opierając się plecami o ścianę, osunęła się na podłogę.

A jeśli tak już będzie do końca jej życia? Jeżeli nigdy nie nadejdzie rozkaz o przeniesieniu? Spojrzała na fałszywe okno. Czyżby zapadł w nim zmierzch? Czy z czasem nauczy się na pamięć co do minuty wszystkich przemian tej złudy słońca, od brzasku do nocy?

Podpełzła do materaca i wyciągnęła matę spod pośłania. Rozplotła plastikowe paski. Postanowiła, że przerobi ją na ładniejszą. Tak, zajmie się tym.

To pomoże ukoić jej niepokój. Posortowała paski według kolorów i usiłowała wymyślić jakiś wzór, który by ją zadowolił. Chętnie wplotłaby w tę matę wiadomość. Uratujcie mnie - napisałaby. - Nie jestem wariatką. Wydostańcie mnie stąd!

Ale czy ktokolwiek by to przeczytał? Musiałaby unieść matę do okienka w nadziei, że któraś z dziewczyn zauważy wiadomość. I wtedy znów pomyślała o rudowłosej. A jeśli ona nie jest szalona? Jeśli ta piosenka zawiera jakieś przesłanie?

Przebiegła w myśli jej słowa. Świeć nad światem tak wysoko Jak diament na niebie. Zaczęła splatać plastikowe paski - niebieskie, fioletowe, czerwone, zielone - tworząc obmyślony wzór. Melodia przyczepiła się do niej i wciąż od nowa rozbrzmiewała w jej głowie, bezsensowna, pozbawiona słów. A potem palce Łydy splatające barwne paski odnalazły rytm i słowa powróciły. Lecz nie było to już Migocz, migocz, mała gwiazdko... tylko wyśpiewywany alfabet. Nigdy dotąd Łyda nie zauważyła, że te dwie piosenki mają tę samą melodię.

A, B, C, D, E, F, G... Litery, język.

Wstała gwałtownie i reszta pasków spadła na podłogę. Podbiegła do okna i zobaczyła bladą twarz rudowłosej czekającej na nią.

Łyda przycisnęła palce do szyby. Wystukała rytm melodii, przebiegając przez alfabet, i zatrzymała się na literze W, a potem zaczynała od początku, dochodząc kolejno do I, T, A i J.

Rudowłosa uśmiechnęła się i teraz to ona pomachała dłonią.

Zapadał zmrok i zaczynało się robić zbyt ciemno. Łyda narysowała na szybie znak zapytania. Co ta dziewczyna chce jej przekazać? Co to za wiadomość?

Rudowłosa wystukała: J-e-s-t n-a-s w-i-e-l-u. Z-d-o-ł-a-m-y.

Pojawiła się strażniczka. Obydwie dziewczyny szybko odeszły od okienek. Łyda położyła się na materacu, przykryła się kocem i zaczęła udawać, że śpi. Zdołamy co? - zastanawiała się. - Co?

Nasłuchiwała, aż odgłos kroków strażniczki ucichł w głębi korytarza, a wtedy wróciła do okienka. Z początku nie ujrzała rudowłosej, lecz po kilku chwilach jej twarz ponownie pojawiła się w szybce drzwi celi.

Dziewczyna znów zaczęła wystukiwać: z-w-. Zwiąć? - zastanawiała się Łyda. Czy uda się zwiąć z tego więzienia? Czyżby to było przesłanie nadziei dla wszystkich, którzy tkwią tutaj, przekonani, iż są na zawsze zgubieni.

Nie. Rudowłosa nadawała dalej. Wystukała: y-c-i-ę-ż-y-ć. Zdołamy zwyciężyć? Kogo?

Łyda najszybciej, jak potrafiła, wystukała: s-t-r-a-ż-n-i-k-ó-w, a potem znów nakreśliła palcem na szkle znak zapytania.

Rudowłosa popatrzyła na nią z kamienną twarzą i gwałtownie potrząsnęła głową. Nie, nie, nie.

Łyda narysowała na szybie kolejny znak zapytania. Więc kogo? Musiała się tego dowiedzieć.

W pokoju zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Łyda ledwie mogła dostrzec palce rudowłosej w okienku. Dziewczyna wystukała: K-o-p-u-ł-ę.

Łyda gapiała się na nią oszołomiona. Nie pojmowała. Przytknęła palec do szyby i jeszcze raz nakreśliła znak zapytania.

Rudowłosa wystukała: P-o-w-i-e-d-z m-u.

PARTRIDGE STRZAŁKI

WIĘZIENIA, ZAKŁADY DLA OBLĄKANYCH, sanatoria - wszystkie one runęły, jeden kolos po drugim, a w ich miejscu sterczały teraz tylko wypalone stalowe szkielety. Domy na strzeżonych osiedlach spłonęły lub zostały całkowicie zrównane z ziemią przez eksplozje. Trwalsze okazały się plastikowe drabinki, statki pirackie i miniaturowe zamki z dziecięcych placów zabaw. Zmieniły się w wielkie bezkształtne kolorowe bryły i tkwiły na zwęglonych, niemal całkowicie zniwelowanych terenach pokrytych gruzem i popiołem, niczym abstrakcyjne rzeźby, których zdjęcia Partridge oglądał na

lekcjach historii sztuki. Nauczyciel pan Welch nazywał tamte rzeźby instalacjami artystycznymi. A teraz, z jakiegoś dziwnego powodu, widok tych stopionych plastikowych brył sprawił Partridge'owi przyjemność. Chłopiec wyobraził sobie Welcha, który pod pewnymi względami stanowił pomniejszoną wersję Glassingsa, nauczyciela historii powszechnej. Czasami Welch stawał przed projektorem, by objaśnić jakiś obraz, i wtedy aparat rzucał rozmazane barwne świetlne plamy na jego wątłą postać, zapadniętą klatkę piersiową i lśniącą łysą głowę. Był jednym z jurorów, którzy wybrali na wystawę ptaka Łydy. Partridge przypuszczał, że już nigdy więcej nie zobaczy Welcha, Glassingsa ani Łydy i wykonanego przez nią ptaka. A Pressię?

Bradwell stał przed nim z dłonią na rękojeści noża w kieszeni kurtki. Partridge dostał od niego hak i nóż rzeźnicki, a oprócz tego miał stary nóż z wystawy artykułów gospodarstwa domowego w Kopule. Mimo to czuł się w tym świecie bezbronny i trochę zagubiony. Wpływ kodowania rozprzestrzenił się w jego ciele. Czasami owo oddziaływanie narastało w nim gwałtownie, próbując przejąć kontrolę nad jego mięśniami, wwiercić się w kości, przepalić synapsy. Nie potrafił opisać tego doznania - gęstnienia krwi w żyłach, wrażenia, że wyrośnie w nim coś obcego. Dzięki niebieskim pigułkom, które matka podała mu wtedy na plaży, zyskał odporność na kodowanie zachowań, ale pozostała część kodowania środkami chemicznymi wywierała wpływ na jego mózg. Czy mógł ufać własnemu umysłowi? W tej chwili czuł się otumaniony i niezdolny do skupienia uwagi.

- Kim jest ta godna zaufania kobieta, której szukamy?

- Trudno powiedzieć - odrzekł Bradwell.

- Czy już ją kiedyś spotkałeś?

- Nie, ale słyszałem pogłoski na jej temat.

- Pogłoski?

- Tak. Ona jest naszą jedyną nadzieją. To znaczy, o ile wcześniej nie zabiją nas jej ochroniarze.

- Jej ochroniarze mogą nas zabić?
- Nie byliby ochroniarzami, gdyby jej nie chronili.
- Cholera - zaklął Partridge. - Przyprowadziłeś mnie tutaj, opierając się

tylko na pogłoskach?

Bradwell gwałtownie odwrócił się do niego.

- Wyjašnjmy sobie jedno. To ty mnie tu sprowadziłeś, szukając Pressii, która zresztą zaginęła przez ciebie.

- Przepraszam - rzekł chłopiec.

Bradwell znów ruszył naprzód, a Partridge podążył za nim.

- Zresztą to właściwie nie są pogłoski, raczej coś w rodzaju legendy. Masz lepszy pomysł? - rzucił zaczepnie Bradwell.

Wiedział doskonale, że Partridge nie ma żadnych lepszych pomysłów ani w ogóle jakichkolwiek, gdyż jest tu obcy.

Czasami Partridge wyobrażał sobie, że to się nie dzieje naprawdę - że nie jest świadkiem katastrofy, lecz jedynie ogląda jej przedstawienie na scenie. Pamiętał wycieczkę z całą klasą do muzeum. W różnych miejscach budynku aktorzy prezentowali krótkie scenki ukazujące, jak wyglądał świat przed Powrotem do Uprzejmości. Każdy pokaz był poświęcony konkretnej kwestii: sytuacji przed wybudowaniem imponującej sieci więzień; przed rozpoczęciem odpowiedniego leczenia farmakologicznego dzieci sprawiających trudności wychowawcze; czasem, gdy feminizm nie sprzyjał rozwojowi kobiecości; gdy media odnosiły się wrogo do rządu, zamiast pracować na rzecz zwiększenia powszechnej pomyślności; gdy nie potrafiono jeszcze skutecznie identyfikować i izolować ludzi wyznających niebezpieczne idee, a władza musiała prosić o pozwolenie, aby móc chronić dobrych obywateli przed złymi; czasem, zanim wokół osiedli wyrosły ogrodzenia z systemami alarmowymi, a do pilnowania bram zatrudniono przyjaznych stróżów, znających z nazwiska wszystkich mieszkańców.

W tamten upalny dzień na rozległym trawniku przed muzeum odegrano

bunty, jakie wybuchły w niektórych miastach przeciwko ruchowi Powrót do Uprzejmości i wprowadzanemu przezeń ustawodawstwu. Owe rozruchy zaczynały się zazwyczaj od politycznych demonstracji, a potem przeradzały się w gwałtowne zamieszki. Jednak rząd przy pomocy wojska z łatwością je stłumił, a potem opanował sytuację dzięki własnej milicji noszącej nazwę Sprawiedliwa Czerwona Fala. Podczas pokazu w muzeum odtworzono z głośników ogłuszające odgłosy strzelaniny z broni maszynowej i wycie syren alarmowych. Później koledzy z klasy Partridge'a w sklepie z pamiątkami kupowali sobie megafony, niezwykle realistyczne kopie ręcznych granatów i emblematy milicji Sprawiedliwa Czerwona Fala. Partridge bardzo chciał mieć nalepkę z łopoczącą flagą amerykańską i wypisanymi na niej słowami: POWRÓT DO UPRZEJMOŚCI - NAJLEPSZY RODZAJ WOLNOŚCI oraz pod spodem: ZACHOWAJ CZUJNOŚĆ! Matka jednak nie dała mu pieniędzy na takie pamiątki, co go zresztą nie zdziwiło.

Oczywiście teraz już wiedział, że takie organizowane przez muzeum pokazy stanowiły element propagandy. Mimo to przez chwilę wmawiał sobie, że właśnie tym są Stopione Ziemie - muzealną ekspozycją mającą odtworzyć minione autentyczne realia.

- Pamiętasz, jak było tutaj przed Wybuchem? - spytał Bradwella.

- Przez pewien czas mieszkałem tu u cioci i wujka.

Partridge, którego matka nie chciała wyprowadzić się z miasta, znał takie strzeżone osiedla jedynie z odwiedzin w domach swych kolegów. Pamiętał odgłos automatycznie otwieranych i zamykanych bram - niskie brzęczenie elektryczności, zgrzyt przekładni zębatych, głośny metaliczny szcęk rygli. Mimo iż domy w tych ogrodzonych osiedlach stały stłoczone ciasno jeden obok drugiego - każdy miał tylko wąski spłachetek trawy o matowym chemicznym połysku - to w gruncie rzeczy wydawały się opuszczone.

- Wciąż masz w pamięci obrazy z tamtego okresu? - zapytał Bradwella.

- Tak, ale tylko takie, które wolałbym zapomnieć.

- Czy byłeś tutaj, kiedy zaczęły się eksplozje?

Bradwell przecząco pokręcił głową.

- Powędrowałem daleko od tej okolicy. Byłem dzieckiem, które zawsze ulatniało się z miejsc, w których powinno przebywać.

- Większości dzieci nie pozwalano opuszczać ich domów i trzymano je z dala od miejsc publicznych - rzekł Partridge. - Tak było ze mną.

Dzieciom nie można było ufać, gdyż paplały i powtarzały jak papugi zasłyszane słowa rodziców. Matka powiedziała kiedyś Partridge'owi: „Jeśli ktoś zapyta cię o moją opinię na jakiś temat, odpowiedz, że nic o tym nie wiesz”. Nigdy nie pozwalała mu na zbyt długie wizyty u kolegów. Poza tym nieustannie istniała obawa zarażenia się groźną infekcją wirusową. Środowisko naturalne było zanieczyszczone. Woda z sieci wodociągowej często nie nadawała się do picia. Zapasy żywności uległy skażeniu. Z niektórych rejonów musiano ewakuować ich mieszkańców. Na lekcjach w akademii mówiono Partridge'owi, że nawet gdyby nie doszło do ataku bombowego i Wybuchu, to i tak należałoby stworzyć Kopułę. Jej zbudowanie okazało się aktem proroczym. Wybuch... Czy to możliwe, że jego ojciec od samego początku brał udział w przygotowaniu tej akcji? W Kopule ojciec rzadko wspominał o Wybuchu, ale gdy już o nim mówił, traktował go niemal jak klęskę żywiołową. Kilka razy Partridge słyszał go mówiącego: „To był boski wyrok. I Bóg okazał się dla nas miłosierny” oraz: „Dzięki ci, Panie, że obdarzyłeś nas swą łaską”.

Partridge pamiętał, że pewnego razu odwiedził z mamą na tym osiedlu swojego kolegę i nie zastali jego matki. Ciekawe, czy ruiny tamtego domu zachowały się gdzieś na tym olbrzymim rumowisku.

- Pani Fareling - powiedział, przypomniawszy sobie jej nazwisko.

- Co? - spytał Bradwell.

- Tak się nazywała matka mojego przyjaciela. Czasami podwoziliśmy się nawzajem. Moja mama ją lubiła. Pani Fareling miała syna w moim wieku - Tyndala. Kiedyś zjawiliśmy się na dziecięcym przyjęciu w ich domu na

strzeżonym osiedlu, lecz nie zastaliśmy pani Fareling. Drzwi otworzyła nam inna kobieta. Oznajmiła, że jest pracownicą państwową i tymczasowo opiekuje się Tyndalem, podczas gdy pan Fareling poszukuje kogoś, kto zastąpi w domu jego żonę.

- I co zrobiła twoja matka? - zapytał Bradwell.

- Spytała, co się stało, a kobieta odpowiedziała, że pani Fareling przestała chodzić na zebrania KF, a potem także do kościoła.

- KobiECE Feministki - rzekł Bradwell.

- Czy twoja matka do nich należała?

- Oczywiście, że nie. Nie wyznawała konserwatywnych idei. Uważała je za brednie podobnie jak hasła w rodzaju: Czyż nie jesteśmy wspaniałe takie, jakie jesteśmy? Urocze, kobiece, łagodne.

- Moja matka też gardziła tym ruchem. Kłóciła się o to z moim tatą - oświadczył Partridge. Matki wszystkich jego kolegów m należały do KF. Zawsze malowały usta, co wyglądało ładnie, chociaż czasem szminka plamiła im zęby.

- Co się stało z panią Fareling? - zapytał Bradwell.

- Nie wiem - odrzekł Partridge.

Tamta kobieta oznajmiła, że niektórzy wracają z ośrodków rehabilitacji po odbyciu terapii. Zaoferowała doradztwo psychologiczne. „Czasami możemy pomóc osobie dotkniętej nagłą utratą kogoś bliskiego”. Jednak matka Partridge’a odmówiła. Pamiętał, że prowadząc go do samochodu, mocno ścisnęła jego ramię, jakby to on zrobił coś złego.

- W drodze powrotnej do domu powiedziała mi, że gmachy więzień, ośrodków rehabilitacji i sanatoriów wybudowano takie wysokie po to, aby wszyscy wiedzieli, iż jedyna różnica polega na tym, że jedni mieszkają wewnątrz nich, a reszta w ich cieniu.

Zapadł zmierzch i cienie poczerniały. Wszędzie w pobliżu mogły czaić się Bestie. Okrążyli kilka stopionych plastikowych dziecięcych drabinek i

przekroczyli wstęgę zmiażdżonego ogrodzenia.

- Jak twoi rodzice zdołali odkryć cokolwiek, jeśli w tych restauracjach Red Lobster odmówili wstąpienia do Najwspanialszych i Najbystrzejszych? - dopytywał Partridge. - Przecież znaleźli się wówczas poza głównym nurtem.

- Dopisało im szczęście - odrzekł Bradwell. - Chociaż gdy teraz o tym myślę, nie jestem pewien, czy to istotnie było szczęście, czy może pech. Mój tata uzyskał stypendium na badanie obrzędów w odległej japońskiej wiosce rybackiej i jedna z tamtejszych rodzin dała mu nagranie wideo przedstawiające kobietę, która przeżyła wybuch bomby atomowej w Hiroszimie, ale została osobliwie zdeformowana. Eksplozja stopiła jej rękę z zegarkiem kieszonkowym. Ukrywano tę kobietę, ponieważ byli też inni ludzie, którzy stopili się w dziwny sposób ze zwierzętami, ziemią lub ze sobą - a władze wywozły ich wszystkich i już nigdy nie wrócili.

- W Kopule zachęca się nas do studiowania starożytnych cywilizacji. Rysunki na ścianach jaskiń, skorupy wyrobów garncarskich, czasami mumie - tego rodzaju rzeczy. To znacznie łatwiejsze.

- Zapewne - zgodził się Bradwell i spojrzeniem wyraził Part-ridge'owi aprobatę dla jego wyznania. - Cóż, podobnie jak wielu historyków mój ojciec nie uważał, iż Japonia skapitulowała wyłącznie z powodu strat w ludziach wskutek wybuchu bomby atomowej. Wcześniej w trakcie tej wojny Japończycy dowiedli swej nieustraszoneści i gotowości do oddania życia za ojczyznę. Moi rodzice zastanawiali się, czy przyczyną kapitulacji nie był lęk japońskiego cesarza przed tymi potwornymi skutkami zrzucenia bomby. Japończycy stanowili bardzo jednorodną i zamkniętą społeczność. Być może cesarz obawiał się nie tyle śmierci swych poddanych, ile raczej tego, że zostaną zdeformowani i ulegną różnym strasliwym mutacjom. Japońskich generałów zmuszono do podpisania kapitulacji, a wszystkich ludzi, którzy wskutek wybuchu bomb atomowych doznali owych odrażających okaleczeń, wywieziono i poddano badaniom. Dzięki wprowadzonej przez MacAr-thura cenzurze informacji o

skutkach eksplozji atomowych, relacji naocznych świadków, przekazów ustnych, a nawet obserwacji naukowych - co w praktyce oznaczało zamknięcie ust Japończykom - udało się zatuszować prawdę o tych okropieństwach, a także o mutacjach.

Podeszli do ocalałej bramy. Bradwell wspinał się na nią pierwszy, a Partridge poszedł w jego ślady. Gdy zeskoczyli na ziemię, ujrzeli rozciągający się przed nimi kolejny obszar pełen wypalonych ruin i stopionych brył plastiku.

- A co na to Stany Zjednoczone? - zapytał Partridge.

- Naprawdę chcesz się dowiedzieć? Mnie powiedziano, że jestem nazbyt dociekliwy i drobiazgowy.

- Chcę się dowiedzieć - potwierdził Partridge.

- W Stanach Zjednoczonych wiedziano o tych straszliwych niezamierzonych skutkach zrzucenia bomb atomowych i bardzo szybko powstały nowe gałęzie nauki - ukochane dzieci twojego ojca. Zainicjowano badania nad wzmocnieniem odporności na promieniowanie radioaktywne i uzyskaniem kontroli nad jego oddziaływaniami. Zamiast przypadkowych niezamierzonych stopów rząd Stanów Zjednoczonych chciał zyskać możliwość dokonywania celowych połączeń w celu stworzenia nowych supergatunków.

- Kodowanie. Przez pewien czas poddawano mnie kodowaniu, ale ograniczono je, gdy się zorientowano, że nie jestem typowym okazem - oświadczył Partridge. Był z tego dumny, chociaż nad nikim się nie wywyższał. Po prostu stwierdzał fakt.

- Naprawdę?

- W przeciwieństwie do mojego brata Sedge'a - wyjaśnił Partridge. - Ale w jaki sposób twoi rodzice zdobyli potrzebne informacje?

- Arthur Walrond, jeden z genetyków, przyjaźnił się z moją matką Silvą Bernt. Walrond prowadził bujne życie towarzyskie, jeździł sportowym samochodem z opuszczanym dachem, nie potrafił utrzymać języka za zębami i często doświadczał poczucia winy. W któryś weekend podczas wizyty u moich

rodziców upił się i ulżył swemu sumieniu, wyjawiając kilka sekretów dotyczących tych nowych dyscyplin naukowych. Rzecz jasna, te dane doskonale pasowały do teorii moich rodziców. Odtąd Walrond zaczął dostarczać im kolejne informacje. - Bradwell przerwał i rozejrzał się po okolicy pełnej zwęglonych ruin wypalonych budynków, a potem potarł czoło. Wyglądał na znużonego.

- Co się stało? - spytał go Partridge.

- Nic. Przypomniałem sobie, jak przekonałem moich rodziców, żeby kupili mi psa. „Ten nieszczęsny chłopiec jest jedynym dzieckiem pracoholicznych rodziców Podarujcie mu jakiegoś kundelka!”. Walrond był pulchny, niski i krzywonogi, lecz umiał gładko nawijać, jeździł fajnym samochodem i, o dziwo, miał ogromne powodzenie u kobiet. Jednak w gruncie rzeczy nie był stworzony do życia, jakie wiódł. Zdawał sobie sprawę, w jaki sposób mogą zostać wykorzystane efekty jego pracy naukowej. Rząd zwykł używać zwrotu „nieograniczone możliwości”, ale Walrond zawsze dodawał: „zniszczenia”. Był lekkomyślny. Kiedy władze odkryły, że zdradza tajemnice państwowe, ostrzeżono go i dano mu trochę czasu na popełnienie samobójstwa, zanim w jego domu zjawi się policja, aby go aresztować. I on usłużnie to zrobił. Przedawkował lekarstwa. - Bradwell westchnął. - Nazwałem tego psa Art od imienia Arthura Walronda. Po śmierci rodziców musiałem go zostawić. Moja ciotka była uczulona na psy. Kochałem tego głupiego kundla.

Bradwell urwał i spojrzał na Partridge’a.

- To twój ojciec kazał zabić moich rodziców. Pewnie nawet osobiście wydał to polecenie. Jeszcze przed Wybuchem zastrzelono ich w czasie snu, z bliska, używając tłumików. Spałem wtedy w swoim łóżku, a kiedy się obudziłem, znalazłem ich martwych.

- Bradwell - rzekł Partridge i wyciągnął do niego rękę.

Bradwell jednak się cofnął.

- Wiesz, Partridge, co czasami myślę? - powiedział. Gdzieś niedaleko

rozbrzmiały zwierzęce głosy - wycie i ptasie krakanie. - Myślę, że już wtedy umieraliśmy od straszliwych chorób. Sanatoria były przepełnione. Więzienia zamieniano w ośrodki opieki nad zarażonymi. Woda była już skażona ropą. A nawet gdybyśmy nie zginęli od tego wszystkiego, to ludzie w miastach mieli mnóstwo broni i wciąż wybuchały bunty. W społeczeństwie dominowało banalne poczucie żalu i nieznośne brzemie tanich, ckliwych uczuć. Dusiliśmy się od zanieczyszczeń i promieniowania. Nasze zwęglone płuca umierały. Pozostawieni samym sobie popełnialiśmy samobójstwa, strzelając do siebie z pistoletów, lub płonęliśmy żywcem. Gdyby nie Wybuch, byłoby coraz gorzej i w końcu zatłuklibyśmy się nawzajem na śmierć. Oni tylko to przyspieszyli, nic więcej, prawda?

- W gruncie rzeczy wcale tak nie myślisz.

- Nie - przyznał Bradwell. - Gdy jestem w nieco bardziej optymistycznym nastroju, myślę, że udałoby się nam powstrzymać ten proces i uzdrowić sytuację. Walczyło o to wielu ludzi, takich jak moi rodzice. Tylko zabrakło im czasu.

- Istotnie można to uznać za przejaw optymizmu.

- Cieszę się, że zostałem wychowany przez wrogów publicznych. Wyrosłem na ostrożnego i wycofanego. Po Wybuchu nie pognałem do supermarketów jak wszyscy inni. Wiedziałem też, że nie nadejdzie żadna pomoc. Właśnie tego wszyscy się spodziewali - że zjawi się wojsko i zacznie rozdawać wodę i koce oraz zapewni niezbędną opiekę. Usłyszałem od rodziców wystarczająco dużo, by nauczyć się nikomu nie ufać. Lepiej trafić do rejestru zmarłych. Tak więc nie żyję. To wcale nie takie złe.

- Trudniej umrzeć, kiedy już jest się martwym.

- Wiesz, co mnie stale nurtuje?

- Co?!

- Pośród rzeczy rodziców znalazłem notatkę od Walronda, którą nabazgrał niewątpliwie, kiedy był pijany. Chodzi o to, że mogliby uratować wszystkich, ale

tego nie robią. To wciąż nie daje mi spokoju. I jest jeszcze ten artykuł w gazecie, w którym ktoś zapytał Wil-luksa o odporność Kopuły na promieniowanie, a on odpowiedział: „Odporność na promieniowanie stworzyła nieograniczone możliwości dla nas wszystkich”.

- Ale tak nie było. Nie dla wszystkich.

- Twój ojciec pragnął niemal całkowitego zniszczenia świata, aby móc zacząć wszystko od nowa. Czy ścigał się z tymi, którzy wyprzedzali go w tym, nad czym pracował? A może z tymi, którzy byli bliscy odkrycia metody zapewnienia odporności na promieniowanie wszystkim ludziom? Czy był jak ten wynalazca zbroi, który gdy już wszyscy nosili pancerze, musiał wynaleźć kuszę? Czy wdał się w niekończący się łańcuch eskalacji - broń, obrona, lepsza broń, lepsza obrona, i tak dalej?

- Nie wiem. Teraz wydaje mi się kimś obcym - odrzekł Partridge.

Przez chwilę żałował, że jego ojciec nie umarł. Pomyślał, że ojciec nie jest tylko zdolny do zła. On działa w imię zła. Dlaczego? - zastanowił się.

- Przykro mi z powodu twoich rodziców - powiedział.

Wszędzie wokoło widział bezmiar zniszczeń. Zszokowany, uświadomił sobie ogrom tej katastrofy. A potem potknął się o coś i zachwiał się.

Odzyskawszy równowagę, schylił się i podniósł metalowy przedmiot z trzema szprychami rozchodzącymi się promieniście od ostrego czubka, pokryty błotem i popiołem. Bradwell zawrócił i przyjrzał się uważnie.

- Czy to strzałka? - zapytał Partridge. - Pamiętam, że podobnymi rzucano do celu, ale żadna nie była tak wielka.

- To strzałki ogrodowe - wyjaśnił Bradwell.

Partridge usłyszał ten dźwięk, jeszcze zanim cokolwiek zobaczył - furkot przypominający brzęczenie. Odepchnął Bradwella na bok. Obydwaj upadli ciężko, od impetu niemal tracąc oddech, gdy kolejna strzała rąbnęła z głuchym odgłosem w ziemię za nimi. Bradwell wstał chwiejnie.

- Tędy! - krzyknął.

Puścili się pędem w kierunku stopionej czerwono-niebieskiej bryły plastiku i przycupnęli za nią.

Strzały nadlatywały szybko, furkocząc i uderzając z łomotem w grunt. Dwie wbiły się po drugiej stronie bryły, a potem zapadła cisza.

Partridge rozejrzał się po terenie pokrytym stopionym plastikiem. Spostrzegł budynek podparty ceglami i mur wzmocniony bryłami plastiku przywleczonymi z innych podwórek.

- Dom - powiedział. - A przed nim niski płot.

Przypomnił sobie parkany z furtkami zamykanymi na zasuwki, przez które wybiegały zadbane podwórkowe psy uganiające się po trawnikach. Ten płot składał się głównie z kijów wetkniętych w ziemię, a na szczycie każdego z nich coś wisiało. Początkowo nie rozpoznał tych dziwnych przedmiotów, ale potem dostrzegł zaokrągloną klatkę piersiową z poczerniałych szerokich żeber; niektóre były połamane, a kilku brakowało. Na sąsiednim kiju osadzono dużą ludzką czaszkę, pękniętą i niekompletną. Przed ruinami domu wisiały dwie inne, oświetlone od środka świecami, niczym latarnie z wydrążonych dyń. Halloween. Partridge pamiętał, że wkładał wtedy na głowę pudełko wycięte tak, żeby wyglądał jak robot. Stopione Ziemie słynęły z obchodów świąt - widm rozwieszanych na drzewach i Świętych Mikołajów ustawianych na dachach domów. Zobaczył teren przypominający ogród - zaoraną ziemię ze sterczącymi z niej kijkami, które jednak okazały się kolejnymi kośćmi. Rozmieszczono je jak ozdoby - kości rąk ułożono w kształt kwiatów. W minionym świecie te przedmioty - parkan, latarnie z dyń, ogrody - oznaczały dom. Obecnie już nie.

- Co to takiego? - rzucił zaskoczony Bradwell.

- Kiepska sprawa. Ktokolwiek tu mieszka, szczyci się swymi zabójstwami - orzekł Partridge. Kolejna strzała uderzyła w plastik. -1 dobrze celuje. Czy to ci ochroniarze, o których mówiłeś?

- Możliwe - powiedział Bradwell. - Jeśli tak, poddamy się. Pozwolimy, by nas pojmano i zaprowadzono do tej kobiety. Ale żeby się przekonać, czy to

rzeczywiście oni, muszę ich zobaczyć. Potrzebuję lepszego punktu obserwacyjnego. Pobiegnę do tamtej stopionej bryły - oświadczył, wskazując ręką przed siebie.

- Postaraj się, żeby cię nie trafili.

- Ile jeszcze mogą mieć tych strzał?

- Wolę nie myśleć, czego użyją, kiedy ich zabraknie - rzekł Partridge, potrząsając głową.

Bradwell puścił się sprintem. W jego kierunku poleciały strzały. Krzyknął, zatoczył się i złapał za lewy łokieć. Trafiono go w ramię. Jednak biegł dalej i po chwili skoczył za następną bryłę.

Partridge wystartował, zanim Bradwell zdążył go powstrzymać. Popędził i zahamował obok Bradwella, którego rękaw kurtki już przesiąkł krwią. Sięgnął do strzały tkwiącej w ramieniu towarzysza.

- Nie! - krzyknął Bradwell i od turlał się na bok.

- Trzeba ją wyjąć - powiedział Partridge. - Co z tobą, boisz się odrobiny bólu? - Chwycił Bradwella za łokieć. - Uwinę się z tym szybko, ani się obejrzysz.

- Zaczekaj - rzekł Bradwell. - Zrób to, kiedy doliczysz do trzech.

- Dobrze - zgodził się Partridge. Pochylił się nad Bradwellem, przygwoździł jego rękę do ziemi i ujął wbitą głęboko strzałę. - Raz, dwa... - Wyciągnął ją, rozrywając przy okazji rękaw kurtki.

- Cholera! - wrzasnął Bradwell. Z rany trysnęła krew. - Dlaczego nie doliczyłeś do trzech?

Rewanż, pomyślał Partridge. Odruchowa chęć, by odpłacić Bradwellowi za to, że odnosił się do niego tak pogardliwie i że go uderzył, kiedy Pressia zaginęła. Niemal znienawidził Bradwella, lecz być może tylko dlatego, że Bradwell wpierw znienawidził jego.

- Trzeba przewiązać tę ranę - zawyrokował.

- Niech to szlag! - zaklął Bradwell, przyciskając łokieć do żeber.

- Zdejmij kurtkę - polecił Partridge i pomógł mu ją ściągnąć. Oderwał rękaw w rozdartym miejscu i zawiązał go mocno wokół muskułu. - Szkoda, że nie przyjrzałem im się lepiej.

- Och, wiesz co? Myślę, że teraz będziesz miał okazję - rzeki Bradwell, wskazując przed siebie.

Partridge odwrócił się szybko i ujrzał tuż przy ziemi parę oczu. Dziecko zerkało zza nogi kogoś większego, noszącego rynsztunek bojowy - metalowe napierśniki zrobione z ostrzy kosiarki i hełm. Na jednym ramieniu tej kobiety wił się długi warkocz. Miała dużo broni, z której zdołał rozpoznać jedynie łańcuch od roweru, wiertarkę i piłę łańcuchową.

- Nie jest źle - skomentował. - Tylko ona i dziecko, a nas jest dwóch.

- Zaczekaj - rzucił Bradwell.

Za tą kobietą w milczeniu pojawiły się inne. Większość z nich z dziećmi - trzymanymi na rękach albo stojącymi obok. Te kobiety również były uzbrojone - w noże kuchenne, dwuzębne grillo-we widelce, rożny, gracie. W ich twarzach tkwiły okruchy szkła i płytek ceramicznych, odłamki luster, kawałki metalu, płyt chodnikowych i plastiku. Wiele kobiet miało biżuterię wtopioną w nadgarstki, szyje i płatki uszu. Widocznie stale rozdrapywały skórę, aby nie zarosła tych ozdób, o czym świadczyły drobne ciemnoczerwone strupki.

- Czy odnalazła nas ta grupa, o którą ci chodziło? - zapytał Partridge.

- Owszem - odrzekł Bradwell. - Tak sędzę.

- To chyba panie domu - szepnął Partridge.

- Z dziećmi - dodał Bradwell.

- Dlaczego te dzieci nie urosły?

- Nie mogły. Ich wzrost hamują ciała matek.

Partridge nie mógł uwierzyć, że ludzie, którzy dawniej zamieszkiwali te domy, zdołali przeżyć. Zawsze byli przeciętnymi członkami społeczeństwa, niczym się nie wyróżniali i brakowało im odwagi, by mieć własne poglądy. A ci spośród nich, którzy się na to

» odważyli - na przykład pani Farelina - zniknęli. Czy to są te matki i dzieci, które kiedyś mieszkały w strzeżonych ogrodzonych osiedlach i uwielbiały place zabaw z plastiku?

- Czy one chcą zatłuc nas na śmierć przy parkingu? - zapytał.

Gdy gromada kobiet podeszła bliżej, zauważył, że dzieci nie towarzyszą swoim matkom, lecz są do nich przytwierdzone. Kobieta, którą zobaczył pierwszą, szła, utykając. Dziecko, na pierwszy rzut oka trzymające się jej nogi, w rzeczywistości było stopione z tą kończyną. Chłopczyk był beznogi i miał tylko jedną rękę, a jego tułów i głowa sterczały z górnej części uda matki. W szyi innej kobiety tkwiła niczym wole cebulkowata główka niemowlęcia z zerkającymi z ciekawością oczkami.

Miały ponure miny i pochylały się nieco, jakby szykowały się do ataku.

Partridge mocniej zawiązał szalik, by lepiej zakryć swoją pozbawioną blizn twarz.

- Już na to za późno - rzekł Bradwell. - Podnieś ręce do góry i uśmiechaj się.

Obydwaj, nadal klęcząc, unieśli ręce nad głowę i Bradwell powiedział:

- Poddajemy się. Przybyliśmy tu spotkać się z Waszą Dobrą Matką. Potrzebujemy jej pomocy.

Jakaś kobieta z dzieckiem wrośniętym w biodro wystąpiła naprzód i popchnęła wózek spacerowy z przymocowanym z przodu nożem prosto na Partridge'a. Inna, uzbrojona w wielki ostry sekator, podeszła do Bradwella i z zaskakującą siłą kopnęła go w klatkę piersiową. Przysunęła lśniący sekator do jego twarzy, szczękając nim. Był wtopiony w jej dłoń, ale drugą ręką mogła nim ciachać. Postawiła bosą stopę na piersi Bradwella i szeroko rozwarła sekator, trzymając go nad jego gardłem.

Partridge poczuł, że szarpnięto mu rękę do tyłu. Wyciągnął hak do mięsa i odwrócił się błyskawicznie, wywijając nim nad głową zdeformowanej dziewczynki. W środek pleców tego dziecka była wrośnięta ręka matki.

Potykając się, zaatakował kobietę, ale chybił. Kopnęła go w brzuch, rozorała mu policzek kuchennym nożem, a potem przytknęła ostrze do jego serca.

Jej córeczka się roześmiała.

Partridge pojął, że te kobiety i wtopione w nie dzieci są brutalne i zaprawione w walce niczym żołnierze. Dysponując siłą pochodzącą z kodowania, mógłby stawić czoło kilku z nich naraz, ale zdał sobie teraz sprawę, że jest ich ponad setka. Ich cienie się poruszyły. Inne kobiety podeszły szybko i odebrały chłopcom ich noże, haki oraz świeżo zdobyte strzały.

Kobieta z nożem kuchennym chwyciła Partridge'a za ramię tak mocno, że poczuł, jakby w ciało wbiły mu się rzędy ostrych zębów. Silnym szarpnięciem podniosła go na nogi. Popatrzył na swoją bladą dłoń, teraz umazaną krwią, a potem zerknął na rękę kobiety lśniąca od odłamków lustra. Wyciągnęła zza paska starą, czarną poszewkę na poduszkę. Inna kobieta, stojąca za nim, wykręciła mu ręce do tyłu i związała je tak mocno, że jego łokcie niemal dotykały pleców. Rzucił okiem na Bradwella, który też już stał i był krępowany.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Partridge, zanim naciągnięto mu na głowę poszewkę, był złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku tkwiący w pokrytej oparzelinami klatce piersiowej. Potem ogarnęła go ciemność, w której słyszał tylko swój wilgotny oddech, stłumiony przez czarny kaptur.

Przypomniawszy sobie ocean. Czy matka owinęła go kiedyś na plaży w koc? Czy słyszał łopot materiału na wietrze, zagłuszający nieustanny ryk fal? Co się teraz stało z oceanem? Widział jego zdjęcia, czarno-białe wydruki komputerowe, na których ocean był wzburzony i rozkołysany. Wydruk ani żadna inna nieruchoma fotografia jednak nie oddadzą jego istoty. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że ma głowę schowaną pod kocem, że ocean nie leży gdzieś daleko, a matka jest tuż przy nim. Miał nadzieję, że uda mu się przeżyć, że nie umrze.

Usłyszał krzyk jakiegoś dziecka, ostry jak wrzask mewy.

PRESSIA ARABOWIE

POŁOWĘ KOŚCISTEJ TWARZY Ingershipa pokrywała metalowa płytką, a w miejscu stawu żuchwy tkwił ruchomy zawias - wstawiony przez prawdziwego fachowca, który znał się na rzeczy, a nie przez jakiegoś krawca ciał, jak jej dziadek. Nie, to było dzieło kogoś mającego rzetelne umiejętności i odpowiednie instrumenty. Zawias umożliwiał Ingershipowi mówienie, przeżuwanie i przełykanie. Mimo to mężczyzna wypowiadał słowa sztywno i z wysiłkiem. Płytką wbiła się pod brodę i sięgała w górę twarzy tak daleko, że nie sposób było rozróżnić, w którym miejscu kończy się metal, a zaczyna się skóra pokrywająca jego czaszkę, zwłaszcza że Ingership nosił wojskową czapkę. Druga strona jego głowy była gładko wygolona i różowa. Ten widok przeraził Pressię, gdyż przypominał jej strzał z karabinu, drgnięcie ciała tamtego kalekiego chłopca i to, jak jego głowa uderzyła o ziemię. Nie była morderczynią, ale pozwoliła, by El Capitan go zastrzelił. Owszem, ten chłopiec i tak by umarł. Poprosiła El Capitana, żeby ją wyręczył i go zabił. Śmierć była dla niego wybawieniem. Lecz ta świadomość nie pomagała i Pressię dręczyło poczucie winy.

Siedziała naprzeciwko Ingershipa na tylnym siedzeniu niewiarygodnie lśniącego czarnego sedana. Słońce było w zenicie. El Capitanowi polecono poprowadzić ją trzy mile do starej zrujnowanej wieży ciśnień, której cebulkowaty wierzchołek pękł i poczerniał od ognia. Tam miał czekać na nich samochód. I kiedy przybyli, pojazd już stał - nieskazitelnie czysty, jak z bajki. Boczna szyba opuściła się z cichym brzęczeniem, ukazując twarz Ingershipa.

- Wsiadajcie - rzucił.

Pressia podążyła za El Capitanem, który obszedł samochód i otworzył drzwi z drugiej strony. Wśliznęła się pierwsza do środka, a El Capitan wsiadł za nią i zatrzasnął drzwi. Z karabinem na ramieniu i Helmudem na plecach musiał przygarbić się, żeby się zmieścić. Helmud był zwalisty i w aucie zrobiło się

ciasno. Ingership zmierzył go zimnym spojrzeniem, niemal jakby chciał powiedzieć El Capitanowi, żeby zdjął brata z pleców. Pressia wyobraziła go sobie mówiącego: „Czy możemy włożyć twój bagaż do bagażnika?”.

Zamiast tego rzucił:

- Wsiadaj.

- Kto? Ja? - spytał El Capitan.

- Ja? - powtórzył jak echo Helmud.

Ingership kiwnął głową.

- Zaczekasz tutaj. Kierowca przywiezie ją z powrotem.

Pressia nie chciała, żeby El Capitan wysiadł. Nie chciała zostać sama z Ingershipem. Jego mechaniczny sposób mówienia i upiorne opanowanie budziły w niej lęk.

El Capitan otworzył drzwi, wysiadł, zatrzaskał je, a potem zastukał w okno.

- Naciśnij guzik-poleciał jej Ingership.

Pressia wcisnęła przycisk na wewnętrznej klamce i poczuła w koniuszkach palców wibracje. Szyba zjechała w dół i zniknęła w drzwiach.

- Jak długo was nie będzie? - zapytał El Capitan.

Pressia zobaczyła, że potarł palcem spust karabinu.

- Zaczekaj tu na nią - rzekł Ingership i kazał kierowcy jechać.

Samochód z szarpnięciem ruszył, wzbijając kłęb pyłu, i po chwili już mknęli naprzód. Pressia nie przypominała sobie, by kiedykolwiek jechała samochodem - z wyjątkiem niedawnej jazdy ciężarówką OPR, gdy miała skrępowane ręce, a usta zalepione taśmą. Czy w ogóle zachowała gdzieś w zakamarkach pamięci wspomnienie takiego przeżycia? Bała się, że ześlizgnie się z siedzenia. Przez otwarte okno wpadał wiatr, a wraz z nim popiół.

- Zasuń szybę! - rzucił głośno Ingership.

Przesunęła przełącznik w drugą stronę i szyba podjechała w górę.

Zaczął siąpić drobny deszczyk. Sedan był tak idealnie wypolerowany, że

lśniące krople wody osiadały na jego karoserii. Pressię ciekawiło, skąd pochodzi ten samochód, taki elegancki i nieskazitelnie utrzymany. Czy przetrwał w jakimś specjalnie wzmocnionym garażu?

Szofer - muskularny mężczyzna, ściskający kierownicę tłustymi dłońmi - obserwował ich we wstecznym lusterku. Miał ciemną cerę, z wyjątkiem głębokich jaskraworóżowych oparzelin. Wjechali na resztki zniszczonej autostrady. Jezdnię w zasadzie oczyszczono z gruzu, niemniej jednak musieli zwolnić. Okolica była opustoszała. Już dawno zostawili za sobą spalone więzienia, ośrodki rehabilitacji i sanatoria. Droga zrobiła się wyboista i zarośnięta chwastami. Z położenia słońca Pressia zorientowała się, że zacierają na północny wschód. Od czasu do czasu mijali pozbawione tablic słupy billboardów, stopione ruiny barów, stacji benzynowych i moteli oraz wypatroszone tiry i wypalone wraki mniejszych ciężarówek, porzucone na poboczu i przypominające osmalone cielska martwych wielorybów. Gdzieś tam widziało się napisy ułożone ze śmieci przywleczonych z gruzowisk, na przykład: TAM PIEKŁO, GDZIE SERCE TWOJE lub bardziej dosadnie: DO DIABŁA Z TYM WSZYSTKIM!

A potem krajobraz stał się jeszcze bardziej nagi i pusty, jechali na Martwe Ziemie. To uświadomiło Pressii, jakie miała szczęście. Tutaj pozostała tylko spalona ziemia, być może rozpościerająca się bez końca we wszystkich kierunkach. Droga się skończyła, a jedyną roślinność stanowiły suche karłowate krzaki.

Jednak nawet ten rejon nie był całkiem wymarły. Niekiedy powierzchnia gruntu marszczyła się, co świadczyło, że błędzą pod nią Pyły - stworzenia, które stały się częścią ziemi.

Widok Martwych Ziem rozstroił ich wszystkich i w samochodzie zapanowała napięta cisza, jakby w jego wnętrzu nagle wzrosło ciśnienie powietrza. Raptem tuż przed nimi wyłonił się Pył - wielki i podobny do niedźwiedzia, lecz utworzony z ziemi i popiołu. Kierowca skręcił gwałtownie i

ominał go.

Ingership siedział sztywno i nieruchomo. Dawał do zrozumienia, że nie zamierza rozmawiać o niczym istotnym - przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Nigdy nie byłaś poza miastem, co? - zagadnął Pressię, której wydało się to wstępem do chaotycznej jałowej pogawędki.

- Nie.

- Lepiej, że nie ma z nami El Capitana. On nie jest jeszcze gotowy. Nie mów mu, co tutaj zobaczyłaś. Tylko by się nadał. Ale tobie się tu spodoba, Belze. Myślę, że docenisz to, co zrobiliśmy z tym terenem. Jadasz ostrygi?

- Ostrygi? - powtórzyła Pressia. - Takie z morza?

- Mam nadzieję, że je lubisz. Są w menu.

- Skąd je zdobywasz?

- Mam swoje kontakty - odrzekł Ingership. - Ostrygi na połowce muszli. To danie, w którym trzeba się rozsmakować.

Rozsmakować się? Pressia nie była pewna, co miał na myśli, ale spodobało jej się to. Bardzo chciałaby jadać coś na tyle regularnie i długo, by móc się w tym rozsmakować. Z rozkoszą rozsmakowałyby się w jednej potrawie, a potem w drugiej i jeszcze następnej, dopóki nie poznałyby pełnego zestawu smaków. Ale nie. Przypomniała sobie, że nie może ani na jotę zaufać tym ludziom. Ostatni bastion - czy to tam biciem zamierzają wydobyć z niej potrzebne informacje?

Ponad godzinę przejechali w milczeniu. Pyły prześlizgiwały się przed maską samochodu jak węże. Kierowca rozjeżdżał je z chrzęstem opon. Pressia nie miała pojęcia, ile jeszcze potrwa ta jazda.

Całą noc? Kilka dni? Jak daleko rozciągają się Martwe Ziemie? Czy w ogóle mają kres? W którąkolwiek stronę się skierujesz, zawsze w końcu się na nie natkniesz. Nikomu nigdy nie udało się przebyć ich i powrócić - a przynajmniej Pressia nic o tym nie wiedziała. Słyszała, że tutejsze Pyły są groźniejsze niż te z Gruzowisk - szybsze i bardziej wygłodniałe. Niewiele jedzą

i nie są obciążone kamieniami. Jeśli Ingership zamierza wyciągnąć z niej informacje torturami, to czy potem porzuci ją w tych Martwych Ziemiach na pewną śmierć?

Wreszcie na horyzoncie przed nimi wyrósł jakiś kształt. Wzgórze? Kiedy podjechali bliżej, Pressia zorientowała się, że porasta je zielona roślinność. U stóp wzniesienia samochód skręcił ostro w prawo. Grunt pod kołami stał się twardszy i znów przypominał ubitą drogę. Za zakrętem dziewczyna popatrzyła w dół na dolinę - tereny uprawne otoczone przez wypalone obszary Martwych Ziem. W dolinie widniały pola porośnięte bujną roślinnością. Nie były to wprawdzie kołysane wiatrem łany pszenicy, tylko coś ciemniejszego, cięższego, upstrzonego małymi żółtymi kwiatkami. Dalej ciągnęły się rzędy suchych łądyg podpartych palikami oraz innych roślin uginających się pod ciężarem niezidentyfikowanych fioletowawych owoców. Pośród nich Pressia dostrzegła rekrutów w zielonych mundurach. Niektórzy toczyli małe plastikowe cysterny na kółkach i spryskiwali rośliny. Inni chyba zbierali próbki. Kuśtykali i wlekli się noga za nogą, a ich oszpecona bliznami skóra była odsłonięta i wystawiona na działanie zamglonego słońca.

Na pastwiskach pasły się duże zwierzęta, bardziej kudłate niż krowy i o dłuższych pyskach, ale bez rogów. Przechadzały się powoli i chwiejnie w pobliżu szklarni. Kręta droga prowadziła do strzelistego żółtego budynku, a tuż obok niej stała stodoła pomalowana na jaskrawy czerwony kolor. Wszystko tutaj wyglądało tak, jakby nigdy nie wydarzył się żaden kataklizm. Ten widok był tak zdumiewający, że Pressia ledwie mogła uwierzyć własnym oczom. Znała takie sceny z wycinków prasowych Bradwella, a jeśli sięgnąć dalej w przeszłość, to także z własnych wspomnień.

Jej dziadek w dzieciństwie miał styczność z farmerami. „Rolnictwo rozwinęło się stosunkowo niedawno, jeśli wziąć pod uwagę cały okres istnienia gatunku homo sapiens - powiedział jej. - Jeśli zdołamy odtworzyć je na nowo - czyli produkować więcej żywności, niż potrzebujemy - przywrócimy nasz

dawny sposób życia”. Ziemia jednak była spalona i jałowa, nasiona zmutowały, a światło słońca wciąż jeszcze zasnuwały pył i sadze. Ludzie radzili sobie lepiej z małymi przydomowymi ogródkami, doglądając ze swoich okien rozwoju roślin od nasion do wydania owoców - takich, które ich nie uśmierciły. Nawet w nocy pilnowali, żeby nikt ich nie ukradł. I woleli polować na zmutowane mieszańce, niż je hodować. Konieczność karmienia i doglądania zwierząt stanowiła zbyt wielkie obciążenie dla ludzi, którzy sami z trudem usiłowali przeżyć. Każda kolejna generacja zwierząt ujawniała własne odmienne wady genetyczne. Po zjedzeniu jakiegoś stworzenia mogłeś się rozchorować, a po zjedzeniu jego brata już nie. Zanim spożyło się jakieś zwierzę, lepiej było zobaczyć je żywym i na własne oczy przekonać się, że naprawdę jest zdrowe.

- Jest tu mnóstwo żywności - powiedziała Pressia. - Jak zapewniacie wystarczającą ilość światła słonecznego?

- Pomajstrowaliśmy trochę przy kodzie genetycznym. Badaliśmy, ile słońca potrzebuje dana roślina i czy możemy zmniejszyć to zapotrzebowanie. W szklarniach stosujemy lustrzane płaszczyzny oraz urządzenia, które magazynują światło słoneczne i kierują je precyzyjnie na liście roślin.

- A co ze świeżą wodą?

- Wykorzystaliśmy podobny pomysł.

- Co to właściwie za uprawy?

- Hybrydy.

- Wiecie, ilu ludzi moglibyście nakarmić całą tą żywnością?

Miał to być z jej strony wyraz podziwu, lecz Ingership uznał te słowa za uzasadnione pytanie.

- Gdyby wszystko było jadalne, moglibyśmy rozszerzyć uprawy i wyżywić jedną ósmą populacji.

- Nie można jeść tych roślin?

- Odnieśliśmy kilka sukcesów, jakkolwiek dość mizernych. Pojawiły się pewne korzystne mutacje - choć zazwyczaj nie w wyniku naszych

zaplanowanych działań.

- Jedna ósma populacji zjadłaby to wszystko bez względu na to, czy jest jadalne, czy nie - rzekła Pressia.

- Och, nie! Nie miałem na myśli jednej ósmej populacji nieszczęśników. Chodzi o jedną ósmą mieszkańców Kopuły - o zaspokojenie ich potrzeb żywnościowych, a w przyszłości wyżywienie ich, kiedy już do nas powrócą.

Kopuła? Ale przecież Ingership należy do OPR. Jest zwierzchnikiem El Capitana. A OPR planuje zdobycie Kopuły i formuje w tym celu armię.

- A co z OPR? - zapytała.

Ingership spojrzał na nią i uśmiechnął się połową twarzy.

- Wkrótce wszystko się wyjaśni.

- Czy El Capitan wie o tym?

- Wie, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Może powiedz mu, że mieszkam tutaj w namiocie jak dawni Arabowie na pustyni.

Nie potrafiła się zorientować - żartował czy mówił poważnie?

- Arabowie - powtórzyła jak echo, jakby przejęła rolę Hel-muda.

Pomyślała o przyjęciu weselnym rodziców, o opisanych przez dziadka białych namiotach, białych obrusach i białym torcie.

- W namiocie, rozumiesz? To rozkaz. - Głos Ingershipa przybrał nagle stalowe brzmienie, jakby nie tylko jego twarz, lecz także krtań była częściowo z metalu.

- Rozumiem - odrzekła szybko Pressia.

Na kilka chwil zapadła cisza, a potem Ingership powiedział:

- W wolnym czasie majstruję przy rzeczach z przeszłości. Próbuję odtworzyć rodzaje żywności, które utraciliśmy. Wciąż jeszcze nie są całkiem doskonałe, ale już bardzo tego bliskie. - Westchnął głęboko i dodał: - Odrobina staroświeckiego komfortu tutaj, w tej dziczy.

Staroświeckiego komfortu? Pressia nawet nie próbowała zrozumieć, co to mogłoby znaczyć.

- Gdzie zdobywasz ostrygi? - spytała.

- Ach - rzekł Ingership i mrugnął. - To mój mały sekret. Muszę trzymać jakiegoś asa w rękawie!

Pressia nie pojmowała, dlaczego miałby trzymać cokolwiek w rękawach.

Kierowca zatrzymał samochód przed szerokimi schodami prowadzącymi na werandę i Pressia przypomniała sobie słowa tej kołysanki, którą tak bardzo lubiła jej matka - o dziewczynie tańczącej samotnie na werandzie.

Z domu wyszła na ich powitanie kobieta. Miała na sobie ja-skrawożółtą sukienkę, harmonizującą z kolorem elewacji budynku, i z początku jej skóra wydała się Pressii nieskazitelnie biała, niemal lśniąca.

Czy ta kobieta jest Czystą?

Dopiero po chwili dziewczyna zorientowała się, że to nie skóra, tylko rodzaj trykotu z cienkiego, rozciągliwego, błyszczącego materiału, podobnego do pończochy. Łącznie z rękawiczkami na dłoniach, zakrywał każdy centymetr ciała kobiety. W tkaninie na twarzy widniały niewielkie starannie obrębione otwory na oczy i usta - a gdy nieznajoma się zbliżyła, Pressia dostrzegła nawet małe dziurki na nozdrza. Kobieta, podobnie jak Ingership, była chuda jak szczapa; jej kanciaste ramiona przypominały kościste guzy Ingership wysiadł z samochodu, a Pressia za nim.

Jego żona zawołała:

- Cudownie! Cudownie, że udało ci się przyjechać!

Gdy to mówiła, materiał na jej twarzy ani odrobinę się nie przesunął. Był idealnie dopasowany do znajdujących się pod nim mięśni - nie marszczył się przy ustach ani nie spłaszczył nosa. Kobieta nosiła nieco potarganą blond perukę, zakrywającą jej uszy i spiętą z tyłu szeroką klamrą. Nie zaryzykowała zejścia po schodach, tylko przystanęła, mocno trzymając się poręczy, aby nie stracić równowagi.

Pressia weszła za Ingershipem po stopniach i stanęła na werandzie. Mężczyzna pocałował żonę w policzek - a raczej w pokrywający go śliski

materiał.

- To moja urocza żoneczka! - powiedział.

Kobieta wydawała się nieco wstrząśnięta widokiem Pressii, jakby nie przywykła do oglądania osób, które przetrwały Wybuch. Wygięła jedną z kostek nóg w spiczastych pantofelkach.

Pressia ukryła za plecami pięść z głową lalki.

- Miło mi panią poznać - rzekła uprzejmym tonem.

- Tak - odpowiedziała żona Ingershipa.

- Ostrygi na połówce muszli? - zapytał ją.

- Schłodzone i gotowe do zjedzenia - odpowiedziała z uśmiechem; tkanina na jej twarzy pozostała gładka i napięta.

PRESSIA OSTRYGI

GDY TYLKO WESZLI DO DOMU, żona Ingershipa zatrzasnęła drzwi. Następnie wcisnęła guzik w ścianie i wzdłuż krawędzi drzwi automatycznie wysunęły się gumowe uszczelki. Zeby nie wpuszczać do środka pyłu? - zastanowiła się Pressia. Jeśli tak, to doskonale spełniały swoją funkcję. Pomalowane na kremowo ściany lśniły nieskazitelną czystością podobnie jak idealnie wypolerowany drewniany parkiet. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający ten właśnie dom pośród wzgórz pokrytych śniegiem; wszystko skrzyło się olśniewającą bielą, jakby popiół w ogóle nie istniał.

- Witamy w naszym skromnym domku - powiedział Ingership, a potem powiódł palcem po pasie białego drewna, biegnącym wzdłuż ścian mniej więcej na wysokości bioder.

Następnie uniósł ten palec, nieco pobrudzony popiołem. Nie zadał sobie nawet trudu, by wprawić w ruch metalowy zawias swojej szczęki, tylko wycedził do żony przez zaciśnięte zęby:

- Lepki?

Kobieta wyglądała na udręczoną. Jej głowa lekko drgnęła.

- Lepki! - zaświergotała.

Pressia nigdy nie widziała tak eleganckiego wnętrza. Dywan z wyhaftowanymi jaskrawoniebieskimi kwiatami, ozdobnie rzeźbiona główka poręczy u stóp schodów, złocisty sufit. Skręcili do jadalni, w której stał stół przykryty czerwonym obrusem, a na nim zastawa i lśniące sztucce. Na ścianach również widniały kwiatowe wzory. Pod sufitem wisiała olbrzymia lampa z błyszczącego szkła - nie z odłamków, lecz o misternie wyciętym kształcie. Pressia nie potrafiła sobie przypomnieć nazwy takiego oświetlenia. Słyszała, jak dziadek użył jej, kiedy bawiła się z Freedle'em, a on postanowił umieścić w jego klatce świecę, która ładnie oświetliła z góry ich pokój.

Mimo woli pomyślała o Bradwellu. Co powiedziałby na tę ostentacyjną demonstrację zamożności? Niewątpliwie nazwałby ją obrzydliwą. „Wiecie, Bóg kocha was, ponieważ jesteście bogaci!”. Wyobraziła go sobie wykpiwającego to wnętrze. Wiedziała, że sama też powinna czuć niesmak. Kto z czystym sumieniem mógłby tutaj mieszkać, wiedząc, w jakich warunkach żyją wszyscy inni ludzie? Lecz to był dom... piękny dom. Pressia zapragnęła w nim zamieszkać. Podziwiała lśniące, zaokrąglone drewniane oparcia krzeseł, aksamitne kotary, ozdobne srebrne sztucce. Gdzieś na piętrze z pewnością są wanna i wysokie miękkie łóżce. Czułaby się tu bezpiecznie, przytulnie, spokojnie. Czy snucie marzeń o tego rodzaju życiu naprawdę jest takie złe? Oczami wyobraźni ujrzała surową minę Bradwella mówiącego: „Tak, w rzeczy samej, jest złe”. Potem przypomniała sobie, że to już bez znaczenia, co Bradwell o niej pomyśli. Prawdopodobnie nigdy więcej go nie spotka. Na tę myśl znów poczuła w piersi ból. Żałowała, że tak reaguje. Wolałaby się tym nie przejmować.

Na stole leżała wielka szara koperta z wyraźnie wypisanym czarnym atramentem nazwiskiem: PRESSIA BELZE. Z jakiegoś powodu ta koperta wydała się jej złowieszczą. Zamiast się tym martwić, skupiła uwagę na jedzeniu. Półmisek ziaren kukurydzy lśniących od oliwy i coś, co zapewne było ostrygami

na połówce muszli: jasnobrązowe kulki ułożone w lśniącej wodzie na szorstkich białych muszelkach. I jajka - całe białe jajka w skorupkach oraz obrane i przecięte na pół, z żółtkiem ściętym, lecz nadal wilgotnym. Czy to są te rzeczy z przeszłości, przy których majstruje Ingership? Te „wciąż jeszcze nie całkiem doskonale” potrawy? Pressii wydawały w pełni doskonale.

Stół zastawiono dla sześciu osób. Pressię ciekawiło, czy zjawi się ktoś jeszcze. Ingership zajął miejsce u szczytu stołu, a żona - której imienia Pressia nigdy nie poznała - odsunęła sobie krzesło po jego lewej ręce.

- Usiądź, proszę - rzekła do Pressii.

Kiedy Pressia siadała, kobieta pomogła jej, przysuwając krzesło, jakby dziewczyna nie potrafiła sama sobie poradzić. Pressia ukryła głowę lalki pod blatem stołu.

- Napój cytrynowy? - zaproponowała żona Ingershipa.

Pressia wiedziała, co to są cytryny, ale nigdy nie piła napoju cytrynowego. Mężczyzna, nie patrząc na nią, skinął głową.

- Tak, poproszę. Dziękuję - wymamrotała.

Upłynęło już tyle czasu, odkąd uczono ją zasad dobrego wychowania, nie była pewna, czy odpowiedziała właściwie. Kiedy była mała, dziadek starał się wpoić jej dobre maniery, ponieważ on sam tak właśnie został wychowany. Jego matka mówiła mu: „To na wypadek, gdybyś kiedyś miał spożyć posiłek z prezydentem” - jakby bez prezydenta dobre maniery nie miały racji bytu.

Żona Ingershipa podeszła do stołu, niosąc błyszczący metalowy dzbanek, tak schłodzony, że na jego powierzchni skropliła się wilgoć. Napełniła wszystkim szklanki. Napój cytrynowy był jaskra-wozółty. Pressia bardzo chciała go wypić, ale czekała. Postanowiła, że we wszystkim będzie naśladować Ingershipa. Może dzięki temu on bardziej ją polubi, gdyż uzna, że pod pewnymi względami jest do niego podobna. W rześńcu oświetlonym pokoju metalowa płytka w jego twarzy lśniła jak chrom. Ciekawe, czy Ingership poleruje ją co wieczór?

Podniósł białą lnianą serwetkę, rozwinął ją niedbałym strzepnięciem i wetknął sobie pod brodę. Pressia zrobiła to samo, posługując się jedną ręką. Ingership zsunął w dół rondo wojskowej czapki. Pressia nie miała czapki, więc przyglądała dłonią włosy.

Kiedy jego żona podniosła półmisek ostryg, uniósł dwa palce, a ona położyła mu na talerzu dwie ostrygi. Pressia skopiowała jego zachowanie. Podobnie postąpiła przy łyżce ziaren kukurydzy w oliwie, a potem przy trzech jajkach. Wówczas kobieta powiedziała:

- Mam nadzieję, że jedzenie wam smakuje!

- Dziękuję, kochanie - odrzekł Ingership. Z dumą spojrzał na żonę i uśmiechnął się. Odpowiedziała mu uśmiechem. - Pres-sio, moja żona należała do Kobięcych Feministek w czasach naszej młodości... no wiesz, zanim...

- Ach, tak? - rzekła Pressia, chociaż nazwa „Kobiece Feministki” nic jej nie mówiła.

- Zasiadała w zarządzie, a założycielką tej organizacji była jej matka.

- To bardzo miło - wybąkała cicho Pressia.

- Pressia z pewnością zdaje sobie sprawę z trudności - powiedział Ingership. - Będzie musiała pogodzić swój status oficera ze swą kobiecością.

- Oboje jesteśmy zwolennikami gruntownego wykształcenia kobiet - oświadczyła jego żona. - Popieramy ich osiągnięcia i dokonania, ale dlaczego miałyby one pozostawać w sprzeczności z prostymi kobiecymi zaletami: urodą, wdziękiem oraz oddaniem dla domu i rodziny? Czy my, kobiety, koniecznie mamy wymachiwać aktówkami i upodabniać się do mężczyzn?

Pressia popatrzyła na Ingershipa, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy jego żona recytowała jakiś dawny tekst reklamowy? Przecież obecnie nikt nie ma możliwości zdobycia jakiegokolwiek wykształcenia. Życie domowe i rodzina? I co to jest aktówka?

- Mój Boże, nie wdawajmy się w politykę - rzekł Ingership.

Jego żona popatrzyła na napięty materiał na koniuszkach palców,

skubnęła go i powiedziała:

- Tak, masz rację. Bardzo przepraszam.

Rzuciła mu niepewny uśmiech, potrząsnęła głową i ruszyła szybko w kierunku pomieszczenia, które przypuszczalnie było kuchnią.

- Zaczekaj - powstrzymał ją mąż. - Przecież Pressia jest dziewczyną i być może chciałaby zobaczyć prawdziwą kuchnię w całej jej odzyskanej krasie. Co ty na to, Pressio?

Pressia się zawahała. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty opuszczać Ingershipa. Stał się dla niej wzorem właściwego zachowania. Nie mogła jednak odrzucić tej propozycji. Byłoby to nieuprzejme. Dziewczęta i kuchnie. Poczowała się zdegustowana, ale odpowiedziała:

- Tak, oczywiście! Kuchnia!

Zona Ingershipa sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Trudno było cokolwiek wyczytać z jej zakrytej twarzy, ale nadal nerwowo skubała jedną dłonią tkaninę na czubkach palców drugiej.

- Tak, tak - odrzekła. - To będzie dla mnie przyjemność.

Pressia wstała, położyła serwetkę na krześle, a potem przysunęła je do stołu i wyszła za żoną Ingershipa przez wahadłowe drzwi.

Kuchnia okazała się nadzwyczaj przestronna. Nad długim wąskim centralnym stołem wisiała wielka lampa. Błaty kuchenne były proste, starannie utrzymane i świeżo wytarte.

- Zlew. A to zmywarka - powiedziała kobieta i wskazała wielką lśniącą czarną skrzynię pod ladą. - Lodówka - rzekła, pokazując wielkie pudło z dwiema przegródkami - dużą dolną i małą górną.

Pressia podchodziła do każdego sprzętu i mówiła:

- Bardzo ładne.

Zona Ingershipa podeszła do zlewu, a gdy Pressia stanęła obok niej, przesunęła metalową rączkę z kulką na końcu i z kranu trysnął strumień wody. Wtedy szepnęła:

- Nie martw się, nie narażę cię na niebezpieczeństwo. Mam pewien plan.
Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Na niebezpieczeństwo? - powtórzyła zaskoczona Pressia.

- Czy on ci nie powiedział, dlaczego się tutaj znalazłaś?

Pressia przecząco pokręciła głową.

- Masz - powiedziała kobieta i podała jej białą kartkę z czerwoną linią
pośrodku... jasnoczerwoną, jak świeża krew. - Mogę ci pomóc, ale ty musisz
pomóc uratować mnie.

- Nie rozumiem - wyszeptała dziewczyna, spoglądając na kartkę.

- Weź ją - poleciła żona Ingershipa i wcisnęła jej kartkę w dłoń. - Weź.

Pressia wzięła kartkę i schowała ją głęboko do kieszeni spodni. A wtedy
kobieta odwróciła się od kranu.

- Właśnie tak to działa! Rury i tak dalej!

Dziewczyna spojrzała na nią zakłopotana.

- Zapraszam! - powiedziała żona Ingershipa.

- Dziękuję - wybąkała Pressia, lecz zabrzmiało to raczej jak pytanie.

Kobieta poprowadziła ją z kuchni z powrotem do jadalni. Pressia znów
usiadła przy stole.

- To piękna kuchnia - powiedziała, wciąż zdezorientowana.

- Nieprawdaż? - rzekł Ingership.

Jego żona skłoniła się lekko i ponownie zniknęła w kuchni. Po chwili
dobiegł stamtąd grzechot garnków.

- Przepraszam - rzucił ze śmiechem Ingership. - Ona wie, że nie powinna
rozmawiać o polityce.

Pressia usłyszała hałas przy drzwiach wejściowych i zerknęła w tamtym
kierunku. Ujrzała młodą kobietę ubraną w trykot bardzo podobny do tego, jaki
nosiła żona Ingershipa, tyle że nie tak nieskazitelnie utrzymany i czysty. Oprócz
tego miała na sobie ciemnoszarą sukienkę i tenisówki. W rękach trzymała
wiadro i gąbkę i spokojnie zmywała ściany, a zwłaszcza miejsce, które

Ingership uznał za lepkie od brudu.

Mężczyzna wziął połówkę jajka i włożył do ust. Pressia natychmiast zrobiła to samo. Przez chwilę trzymała jajko w ustach, przesuwając językiem po jego śliskiej powierzchni, a potem przeżuła je. Żółtko było posolone. Smakowało niebiańsko.

Ingership odezwał się:

- Z pewnością zastanawiasz się - co zresztą jest całkiem zrozumiałe - jak to wszystko jest możliwe. Ten dom, ta stodoła, te potrawy.

Szerokim gestem ogarnął otoczenie. Palce miał zaskakująco drobne i delikatne.

Pressia pośpiesznie przełknęła resztę jajka i uśmiechnęła się zaciśniętymi wargami, mając policzki wciąż jeszcze wypchane jedzeniem.

- No cóż, Pressio Belze, zdradzę ci mały sekret. A oto on: moja żona i ja jesteśmy łącznikami między tym światem a Kopułą. Rozjemcami. Wiesz, kim są rozjemcy? - Nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej: - Jesteśmy kimś w rodzaju pośredników. Budujemy mosty porozumienia. Wiesz, przed Wybuchem sytuacja wyglądała beznadziejnie. Członkowie Sprawiedliwej Czerwonej Fali czynili olbrzymie wysiłki i jestem im głęboko wdzięczny za powołanie ruchu Powrót do Uprzejmości. Ale trzeba było z czegoś zrezygnować. Inni uderzali pierwsi; nawet Judasz był częścią Bożego planu. Wiesz, o czym mówię? Byli tacy, którzy opowiedzieli się za uprzejmością, i tacy, którzy nigdy by tego nie zrobili. Musimy ufać, że Wybuch w pewnym sensie przyczynił się do powstania większego dobra. Niektórzy byli już gotowi, a inni nie zasługiwali na wejście do Kopuły. Kopuła jest dobra. Przygląda się nam jak dobrotliwe oko Boga, a teraz żąda czegoś ode mnie i od ciebie. I my to zrobimy. - Spojrzał ostro na Pressię. - Wiem, co sobie myślisz. Uważasz, że według wielkiego Bożego planu nie zasłużyłem na wejście do Kopuły. Tak, byłem grzesznikiem. Ty też byłaś grzeszna. Ale to nie znaczy, że musimy nadal tkwić w grzechu.

Pressia nie wiedziała, na czym najpierw ma skupić uwagę. Ingership jest

łącznikiem, który wierzy, że eksplozje były karą za grzechy. Mieszkańcy Kopuły chcieliby, aby ci, którzy ocaleli, właśnie tak sądzili - aby uważali, że zasłużyli na wszystko, co ich spotkało. Nienawidziła Ingershipa, ale głównie dlatego, że miał władzę. Głosił niebezpieczne idee, opowiadał o Bogu i grzechu, aby wzmocnić pozycję ludzi obdarzonych potęgą, ponieważ pragnął zdobyć jeszcze więcej władzy. Bradwell prawdopodobnie złapałby Ingershipa za gardło i wgniótłby jego metalową twarz, waląc nią o ścianę, a potem wygłosiłby mu wykład z historii. Pressia nie miała takiej możliwości. Siedziała przy stole i zerkła na szarą kopertę. Czy właśnie do tego zmierzał Ingership? Do wręczenia jej tej koperty? Pragnęłaby mieć to już za sobą. Czy ludzie z Kopuły czegoś od niej chcą? A co się z nią stanie, jeśli im odmówi? Przełknęła ostatni kawałek jajka. Kiwnęła głową, jakby zgadzała się z Ingershipem, lecz w rzeczywistości myślała o tych jajkach. Spróbowała wszystkich rodzajów i poznała ich smak.

Ingership podniósł do ust ostrygę, przechylił ją jak maleńką filiżankę herbaty i połknął w całości. Potem spojrzał na Pressię, jakby ją prowokował - a może to był test?

- Prawdziwy przysmak - powiedział.

Pressia też wzięła z talerza ostrygę. Poczła szorstką krawędź muszli w palcach, a potem na dolnej wardze. Przechyliła muszlę i ostryga ześlizgnęła się jej do gardła, a następnie do przełyku. Stało się to tak szybko, że dziewczyna nie zdążyła nawet poczuć jej smaku. Na języku pozostał tylko nikły posmak słonej wody.

- Wyśmienite, prawda? - rzucił Ingership.

Pressia uśmiechnęła się i skinęła głową.

Mężczyzna triumfalnie klepnął dłonią w blat stołu.

- Tak, tak - rzekł. - Móc przez chwilę poczuć w ustach smak dawnego świata to największa przyjemność, jaka nam pozostała. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął niewielkie zdjęcie. Położył je na stole i przysunął do Pressii. - Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

Fotografia przedstawiała Ingershipa i jego żonę w kącie jakiegoś białego pokoju. Obok nich stał mężczyzna w kombinezonie chroniącym przed skażeniami. Za małym, szklanym wizjerem hełmu na jego twarzy widać było uśmiech. Ingership ścisnął mu rękę w grubej rękawicy, a w drugiej dłoni trzymał jakąś tabliczkę. Na jego wymizerowanej twarzy z błyszczącą metalową płytką, a także na obliczu żony wciśniętej w lśniący trykot z materiału przypominającego pończochę widniały groteskowe uśmiechy. Obydwoje byli ubrani na biało. Czy to zdjęcie zrobiono w Kopule? Czy właśnie tak wygląda życie tam? Pressia poczuła sensacje w żołądku. Czy to z powodu tego zdjęcia? A może zbyt szybko jadła?

Pchnęła fotografię przez stół w kierunku Ingershipa. Poczula, że po plecach spływa jej strużka potu. Wypiła łyk lemoniady. To najwspanialszy napój, jakiego kiedykolwiek kosztowała - zarazem kwaśny i słodki. Dotknęła językiem podniebienia. Rozkoszowała się tym smakiem.

- To uroczystość pochwalna w Kopule - wyjaśnił Ingership. Podniósł zdjęcie i popatrzył na nie. - W istocie odbyła się w czymś w rodzaju przedpokoju. Gdy wracaliśmy, musieliśmy przejść przez szereg hermetycznie zamykanych komór.

- Czy oni tam przez cały czas noszą takie kombinezony?

- Och, nie! Żyją w świecie, w jakim my dawniej żyliśmy - z tą różnicą, że ten jest bezpieczny, w pełni kontrolowany i... i czysty.

- Schował zdjęcie z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki i poklepał ją czule. - Mieszkańcy Kopuły mogą w bardzo ograniczonym zakresie mieć dzieci. W przyszłości zamierzają ponownie zaludnić Ziemię. I potrzebują ludzi do przeprowadzania badań i przygotowań, a także takich, którzy będą ich zabezpieczać oraz - to kluczowa, fundamentalna kwestia, Pressio Belze - bronić.

- Bronić ich?

- Tak, bronić - potwierdził Ingership. - Właśnie dlatego się tutaj znalazłaś.

- Zerknął przez ramię, chcąc się przekonać, czy tamta kobieta w szarej sukience

wciąż jeszcze zmywa ściany Zmywała. Pstryknął palcami, a ona szybko podniosła wiadro i zniknęła w głębi korytarza. - Widzisz, z Kopuły uciekł pewien Czysty. Spodziewali się jego ucieczki i przygotowywali się do tego, by go wypuścić. Nie chcą zatrzymywać tam nikogo wbrew jego woli. Ale jeśli miał opuścić Kopułę, chcieli sprawować nad nim pełną kontrolę. Wszczepić mu implanty do uszu, aby go słyszeć, na wypadek gdyby potrzebował pomocy - oraz do soczewek oczu, by widzieć to samo co on i w przypadku zagrożenia móc sprowadzić go z powrotem do domu.

Pressia wspomniała, jak po raz pierwszy ujrzała Partridge'a - jego bladą twarz, chudą tyczkowatą postać, krótko ostrzyżone włosy. Wyglądał tak, jak głosiły plotki. Wiedziała, że wyjaśnienia Ingershipa mijają się z prawdą, ale nie potrafiłaby wskazać, w czym konkretnie.

- Kim jest ten Czysty? - spytała. Chciała sprawdzić, ile Ingership wie albo przynajmniej ile jest skłonny jej powiedzieć. - I dlaczego zadali sobie w związku z nim aż tyle trudu?

- Myślisz jak oficer, Pressio. To mi się podoba. Czysty jest synem dość ważnej figury. I uciekł trochę wcześniej, niż się spodziewali - zanim zdążyli poddać go narkozie i wszczepić mu te implanty dla jego własnego bezpieczeństwa.

- Ale dlaczego? - spytała. - Dlaczego miałby chcieć opuścić Kopułę?

- Wcześniej nikt nigdy tego nie zrobił. Ale ten Czysty, Ripkard Crick Willux - znany też jako Partridge - miał dobry powód. Szuka swojej matki.

- Jego matka jest jedną z tych osób, które ocalały?

- Tak, niestety, należy do tych nieszczęśników. Była grzeszna, jak my wszyscy tutaj. - Ingership połknął następną ostrygę. - To dziwna historia. Ludzie z Kopuły dopiero niedawno dowiedzieli się, że przeżyła Wybuch, i obecnie uważają, iż znajduje się w jakiejś kryjówce - zmyślnej, lecz niewielkiej. Sądzą, że przebywa tam wbrew swej woli, że jest więziona. Siły zbrojne Kopuły starają się zlokalizować tę kryjówkę za pomocą swoich nowoczesnych tajnych

urządzeń obserwacyjnych. Chcą wydostać ją stamtąd bezpiecznie, zanim kryjówka zostanie zniszczona. Nie chcemy też, aby w trakcie owej operacji ten Czysty ucierpiał. A ponieważ nie został zaopatrzony w urządzenia podsłuchowe, potrzebujemy kogoś, kto będzie mu towarzyszył, kierował nim, chronił go i bronił.

- Mnie?

- Tak, ciebie. Ludzie z Kopuły chcą, żebyś odnalazła tego Czystego i pozostała przy nim.

- Dlaczego ja?

- Tego nie wiem. Piastuję w Kopule bardzo wysoką funkcję, jednak nie mam dostępu do wszystkich informacji. Wiesz coś o tym chłopcu? Miałś z nim jakiś kontakt?

Pressia znów poczuła nerwowy skurcz w żołądku. Nie była pewna, czy powinna skłamać, czy powiedzieć prawdę. Uświadomiła sobie, że jej mina już mogła ją zdradzić. Nie potrafiła przekonująco kłamać.

- Chyba nie - odparła.

- Cóż, szkoda - rzekł Ingership.

Szkoda, że nie kontaktowała się z Partridge'em czy że zataiła informacje? Nie wiedziała, którą z tych dwóch możliwości miał na myśli.

- Uważacie, że jego matka naprawdę żyje? - spytała z nadzieją.

Mogłaby się do czegoś przydać i pomóc uratować matkę Partridge'a. W tym Ingership rzeczywiście miał rację.

- Jesteśmy tego pewni.

- Kim są „my”? Wciąż mówisz w liczbie mnogiej.

- Oczywiście mam na myśli Kopułę. Nas. Ale to określenie może dotyczyć również ciebie, Pressio. - Zabębnił palcami po blacie stołu. - Rzecz jasna, będziemy musieli cię przygotować. Dysponujemy tutaj odpowiednimi środkami. Oczywiście, wszystko odbędzie się w sposób cywilizowany. Moja żona już szykuje eter. - Nachylił się ku Pressii. - Czujesz jego zapach?

Dziewczyna wciągnęła w nozdrza powietrze i poczuła mdlącą słodką woń. Zdołała tylko słabo kiwnąć głową, gdyż nagle ogarnęły ją mdłości. Poczua gorąco w żołądku i piersi. W rękach i nogach zapłonął żar. Eter?

- Coś jest nie w porządku - powiedziała.

Była teraz oszołomiona. Mimo woli pomyślała o tamtym kalekim chłopcu w lesie. Choć to nie miało sensu, zastanawiała się, czy zasłużyła na tę karę, pozwalając mu umrzeć. Czy właśnie to spotyka tych, którzy biernie przyglądają się morderstwu?

- Czujesz to? - zapytał Ingership. - Czujesz, jak to przenika twoje ciało?

Spojrzała na niego. Widziała jego twarz niewyraźnie, rozmazaną.

- Chciałem, abyś zaznała tej przyjemności, zanim rozpoczniesz swoją misję - mówił dalej. - To mały prezent ode mnie. Ofiara.

Czy żona Ingershipa przygotowywała eter, by ją uśpić? Pressia miała w kieszeni tę dziwną kartkę - białą z czerwonym paskiem... smugą świeżej krwi?

- Jedzenie? - wymamrotała słabym głosem, nie będąc pewna, co miało być tym prezentem.

- Nie mamy wiele czasu. Ja też to czuję. - Szybkim gwałtownym ruchem zatarł ręce. - Jeszcze jedno zdjęcie.

Tym razem sięgnął do zewnętrznej kieszeni marynarki, tuż nad biodrem. Podał Pressii fotografię.

Musiała zmrużyć oczy, by móc w ogóle cokolwiek zobaczyć. Na zdjęciu był jej dziadek. Leżał w łóżku pod białym kocem. Nos zakrywało mu jakieś urządzenie do oddychania. Dostrzegła też wiatraczek w jego gardle - rozmazany wir w cieniu szczęki. Dziadek uśmiechał się do obiektywu. Twarz miał spokojną i wyglądał młodziej niż kiedykolwiek, odkąd sięgała pamięcią.

- Dobrze się nim opiekują - oznajmił Ingership.

- Gdzie on jest?

- Oczywiście w Kopule!

- W Kopule?

Czy to możliwe? Widziała kwiaty w wazonie na nocnym stoliku przy łóżku. Prawdziwe kwiaty? Pachnące? Serce podskoczyło jej w piersi. Dziadek oddychał. Wiatraczek w jego gardle wciągał czyste powietrze.

- On jest naszą polisą bezpieczeństwa - gwarancją, że będziesz odpowiednio zmotywowana, by wykonać swoje zadanie. Rozumiesz?

- Mój dziadek - powiedziała Pressia.

Jeśli ona nie zrobi tego, co jej każą, ktoś go zamorduje. Przesunęła dłonią po pięści z głową lalki, którą chowała pod stołem. Naszła ją kolejna fala zawrotów głowy. Pomyślała o swoim domu. I o Freedle'u. Jeżeli zabrano dziadka, to co się stało z Freedle'em?

- Podczas wykonywania swej misji przydzielimy ci ochronę. Oddział Specjalny będzie stale w pobliżu. Niewidoczny, ale gotowy do akcji.

- Oddział Specjalny?

- Tak, już ich widziałaś. Nieprawdaż? Powiadomili już Kopułę, że ty i El Capitan ich zauważyliście. Niesamowite okazy. Bardziej zwierzęce niż ludzkie, jednak całkowicie pod kontrolą.

- W lesie, tamte nadludzkie stwory... z Kopuły? Oddział Specjalny...

Zjedzone przez nią potrawy były tymi rzeczami z przeszłości, przy których majstruje Ingership. Teraz pojęła, co miał na myśli, kiedy mówił, że są „wciąż nie całkiem doskonałe”. „Ale już bardzo tego bliskie - jak to ujął. - Bardzo bliskie”. To jedzenie ją zatręło.

Wsunęła dłoń pod krawędź swojego talerza i chwyciła trzonek noża stołowego. Musi się stąd wydostać. Wstała, ukrywając nóż za udem. Przez chwilę wszystko wokół niej wirowało, a następnie się zakołysało. Usiłowała rozróżnić litery jej nazwiska wypisanego na szarej kopercie. W tej kopercie z pewnością są rozkazy dla niej.

- Kochanie! - zawołał Ingership do żony. - Odczuwamy już skutki! Nasz gość...

Żołądek podjechał Pressii do gardła. Rozejrzała się po pokoju, a potem

popatrzyła na twarz Ingershipa, w której żywe ciało się zapadło. Pojawiła się jego żona w swej błyszczącej drugiej skórze, lecz teraz usta zakrywała jej zielona maska. Na dłoniach w rękawiczkach miała drugie rękawice, z bladozielonego lateksu. Nagle Pressii wydało się, że podłoga pod jej stopami się poruszyła.

Ingership wyciągnął do niej rękę. Wysunęła przed siebie nóż i wymierzyła ostrze w jego brzuch.

- Wypuść mnie stąd - powiedziała.

Może zdoła zranić go na tyle, że zdąży dotrzeć do drzwi.

- To nie jest uprzejme zachowanie, Pressio! - rzekł. - Nie jest ani trochę uprzejme!

Rzuciła się na niego, lecz straciła równowagę, a gdy chciał ją złapać, rozcięła mu nożem rękę. Niemal natychmiast popłynęła krew, plamiąc mu koszulę jaskrawą czerwienią.

Podbiegła do drzwi, upuszczając po drodze nóż, by móc chwycić klamkę zdrową ręką. Klamka tylko cicho trzasnęła i nie ustąpiła.

Pressia poczuła mdłości i zawroty głowy. Upadła na kolana i zwymiotowała. Przeturlała się na bok, przyciskając do piersi głowę lalki. Ingership stanął nad nią. Spojrzała w górę w jego twarz oświetloną przez wiszącą u sufitu lampę z rzuńtego szkła. Jak się nazywa taka lampa? Jak?

- Zachęciłem cię, żebyś spróbowała wszystkich potraw - wycedził. - Ale nie obiecałem, że zdołasz je w sobie utrzymać. Powiedz mi, że nie było warto! Powiedz!

Nie miał teraz na głowie wojskowej czapki i Pressia zobaczyła dziwnie pomarszczoną skórę jego twarzy w miejscu, gdzie stykała się z metalem. Zachwiał się, jego ręka krwawiła, a potem zatoczył się i przez chwilę Pressia bała się, że przewróci się na nią. On jednak wyciągnął rękę do żony i chwycił ją za chude ramię pokryte materiałem przypominającym pończochę.

- Zaprowadź mnie do wiadra! Płonę, kochanie! Czuję żar we wszystkich

członkach. Płonę jasnym płomieniem! Płonę!

I wtedy Pressia przypomniała sobie tę nazwę.

- Żyrandol - powiedziała.

Piękne słowo. Jak mogła je zapomnieć? Gdy znów zobaczy się z dziadkiem, szepnie mu je do ucha.

„Żyrandol, żyrandol, żyrandol”.

EL CAPITAN CZAPKA

EL CAPITAN STAŁ OPARTY o jeden z grubych zaokrąglonych rogów zrujnowanej wieży ciśnień i wypatrywał Pyłów tak długo, aż zapadł zmrok. Czasami słyszał szmery pośród piasków. Próbował ustrzelić Pyły, lecz było zbyt ciemno, a one poruszały się zbyt szybko, by mógł je trafić. Zdaje się, że odstrasza! je sam huk wystrzałów.

Był głodny i przemarznięty. Nogi spuchły mu od przechadzania się z bratem na plecach. Helmud spał i wydawał się niewiarygodnie ciężki. Zaczął chrapać, a wtedy El Capitan pochylił się naprzód, po czym cofnął się gwałtownie, wbijając brata w ścianę wieży ciśnień z hartowanej stali. Helmud sapnął, jęknął, a potem zawodził, dopóki El Capitan nie kazał mu się zamknąć.

El Capitan nie potrafił określić, ile czasu minęło od odjazdu Pressii. Jego zegarek stanął. Nawiązałby łączność telefoniczną, ale radiotelefon był głuchy.

Kiedy w końcu zobaczył czarny samochód pozostawiający za sobą pióropusz pyłu, poczuł raczej gniew niż ulgę. Wóz jechał powoli, zakosami przez Martwe Ziemie. To musiało być celowe. Czy kierowca robi! takie ostre skręty z obawy przed pojawieniem się Pyłów? Trudno powiedzieć.

W końcu pojazd się zatrzymał. Był obsypany ciemnym piaskiem, a opony oblepiała skorupa zaschniętego błota. Czyżby przejeżdżali przez jakieś żyzne grunty? El Capitan wstał, a Helmud znów zaczął lamentować.

- Przestań, Helmud - rzucił El Capitan i potrząsnął nim na swoich plecach. Szyja brata trzasnęła cicho, jednak nie skręcił sobie karku. Po prostu czasem

wydawała taki odgłos.

Kierowca nie opuścił szyby. El Capitan podszedł do auta i otworzył tylne drzwi. Wewnątrz nie dostrzegł Ingershipa, co nie było niczym dziwnym, gdyż jego wizyty trwały zawsze krótko. Pressia opierała się o przeciwległe okno. Nogi miała skrzyżowane i zasłaniała dłonią oczy. W mdłym świetle lampki w suficie samochodu El Capitan spostrzegł, że jest posiniaczona i obolała. Wgramolił się do środka i mocno zatrzaskał drzwi. Na siedzeniu pomiędzy nimi leżała rozpieczętowana szara koperta, pognieciona i wymiętoszona, z wypisanym na niej nazwiskiem Pressii.

- Wracamy do bazy, tak? - zapytał szofera.

- To zależy Teraz wypełniam rozkazy Belze.

- Co? Belze?

- Tak polecił Ingership.

El Capitan przez wiele lat zabiegał o awans, a teraz władzę przejęła Pressia Belze? Po zaledwie jednej kolacji z Ingershipem?

- Ingership kazał ci słuchać rozkazów Pressii, a nie moich? Chryste!

- Zgadza się, sir.

El Capitan przelazi na przednie siedzenie i rzekł, zniżając głos:

- Ona wygląda okropnie.

- Ale nie umarła - odparł kierowca.

El Capitan rozparł się w fotelu.

- Pressio - powiedział cicho.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. Oczy miała zaczerwienione i zapuchnięte.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Kiwnęła głową.

- Ingership mieszka w namiocie, jak dawni Arabowie.

- Naprawdę? - spytał El Capitan.

- Naprawdę? - powtórzył Helmud.

Pressia wyrzwała przez okno, a potem dyskretnie uniosła pięść z głową lalki i zakołysała nią na boki, jakby potrząsała przecząco tą głową. Czy lalka mówiła za nią? Dziewczyna popatrzyła pytająco na El Capitana, jak gdyby chciała się przekonać, czy pojął ten gest. Przypuszczał, że nie ufała kierowcy i nie chciała, by podsłuchał cokolwiek z ich rozmowy.

Skinął głową i rzucił na próbę:

- Czy dobrze się bawiłaś? Zakosztowałaś trochę luksusu?

- Było cudownie - odrzekła i znów potrząsnęła głową lalki.

El Capitan zrozumiał, że wydarzyło się coś złego.

- Czy tu są rozkazy dla ciebie? - zapytał, dotykając koperty.

- Tak.

- A czyja mam odegrać w twojej misji jakąś rolę?

- Chcą, żebyś mi towarzyszył.

Kierowca odezwał się:

- Czekam na twoje rozkazy, Belze. Dokąd mam jechać?

- Nie podoba mi się twój ton - rzekł do niego El Capitan.

Miał ochotę walnąć go w łeb, ale zrezygnował. Nie chciał zdenerwować Pressii.

- Nie musi ci się podobać - odszczeknął się kierowca.

Dziewczyna podniosła kopertę za brzeżek i wysypała jej zawartość: pojedynczą kartkę z listą rozkazów, fotografię starca leżącego spokojnie na szpitalnym łóżku i jakieś małe podręczne urządzenie. El Capitan od wieków nie widział sprawnego komputera, tylko same zepsute: martwe czarne ekrany, stopiony plastik, kilka klawiatur i części utkwione w ludzkich ciałach.

- Pulsujący punkt oznacza osobę, którą mamy odszukać - powiedziała Pressia do El Capitana. - Mężczyzna, osiemnaście lat.

El Capitan podniósł urządzenie. Tak już przywykł do swojego radiotelefonu, że ten komputerek wydał mu się czymś obcym. Zgrabny, z niemal oleście lśniącym ekranem, ukazującym teren jak gdyby z lotu ptaka. I istotnie,

po ekranie przesuwała się niebieska pulsująca kropka. El Capitan dotknął jej i ekran nagle rozkwitł przed nim w powiększony obraz rejonu wokół migoczącego punktu. Pojawił się napis: DWUDZIESTA CZWARTA ULICA, CHENEY AVENUE, BANK PRZEMYSŁOWO-HANDLOWY. Czyjego matka, wymieniając kiedyś skrót BPH, nie miała na myśli właśnie tego banku? Czy właśnie w nim miała konto? Przypomnił sobie lizaki w wielkim szklanym słoju z hermetyczną zakrętką i wijącą się kolejkę ludzi ograniczoną sznurami z aksamitu. Ulice nie są teraz tym, czym były kiedyś. Ekran pokazywał prawdziwy obraz zrujnowanego miasta, na który nałożono dawny plan ulic.

- Wiem gdzie to jest - powiedział. - Ten pulsujący punkt.

- Tak? - rzekła Pressia.

Poszukał na ekranie targowiska, które niedawno otwarto w tamtej okolicy, lecz go nie znalazł.

- Ten obraz nie został uaktualniony - zawyrokował.

- Nie całkiem - przyznała.

- Znasz człowieka oznaczonego tym pulsującym punktem?

- To Czysty. Uciekł z Kopyły przez przewody filtracji powietrza.

El Capitan chciał zabić jakiegoś Czystego. Było to proste pragnienie, równie zwyczajne i przemożne jak głód.

- A co zrobimy z tym Czystym, gdy już go znajdziemy? Użyjemy go jako celu ćwiczebnego?

- Posłużymy się nim, by odszukać jego matkę. - Pressia zmrużyła oczy i popatrzyła na odległy horyzont. - A na koniec przekażemy tego Czystego i matkę Ingershipowi.

- A on dokona ich publicznej egzekucji?

- Nie. Odeśle ich z powrotem.

- Odeśle z powrotem?

- Tak.

Z powrotem do Kopyły. El Capitan uświadomił sobie, że Ingership

współpracuje z Kopułą. Miał wrażenie, że wiedział o tym już od jakiegoś czasu, tylko nie przyznawał się do tego przed samym sobą. Oczywiście, pomyślał. To oznacza, że OPR naprawdę wcale nie istnieje. Przypomniawszy sobie, jak szukał zakopanych karabinów, mając na plecach konającego brata, którego krew gorączkowo tętniła mu w żyłach, gdy starał się odnaleźć punkty orientacyjne. Świat został unicestwiony, zrównany z ziemią. Jego matka już wówczas nie żyła - spoczywała na szpitalnym cmentarzu. Czuł się wtedy strasznie zagubiony. Ale przetrwał to wszystko, przypomniał sobie teraz pośpiesznie. Powiedział:

- Miło mi widzieć, że Ingership zyskał twoją lojalność i zaufanie.

- Całkowicie - potwierdziła Pressia, nadal wyglądając przez okno samochodu.

El Capitan wpatrywał się w głowę lalki, która uniosła się odrobinę i zakołysała się w lewo i w prawo. Potem Pressia odwróciła się od okna i spojrzała mu w oczy.

- Mam nadzieję, że on może być pewien również twojej lojalności i zaufania?

Czy kierowca podsłuchiwał, a potem donosił? To bez znaczenia. El Capitan nie odpowiedział. Nie mógł nawet skinąć głową. Jeśli ma pójść na dno, to nie w ten sposób. W jego piersi narastał płomień gniewu. Helmud był niespokojny, jakby gniew brata udzielił mu się poprzez ich wspólną krew. Tkwił na plecach El Capitana i nerwowo przebierał palcami, niczym starsza pani robiąca na drutach wełniane botki dla niemowlaka.

- Dokąd mam jechać? - powtórzył szofer.

- Dowiesz się w swoim czasie! - wrzasnęła Pressia.

El Capitan był z niej dumny i zauważył z ulgą, że jej blade policzki nieco poróżwiały. Znowu popatrzył na podręczny komputer.

- Masz jakiś plan? - zapytał.

Skinęła głową lalki, a potem powiedziała na użytek kierowcy:

- Podążymy za tym niebieskim punktem.

El Capitan dotknął palcem zdjęcia i przysunął je do siebie po siedzeniu samochodu.

- To ktoś, kogo znasz?

- Mój dziadek.

- Nieźle się nim tam opiekują.

- Tak.

Mają jej dziadka jako zakładnika. A więc tak to rozegrali. Podniósł kartkę z rozkazami i przebiegł ją wzrokiem. Polecono im odszukać tego Czystego, zdobyć jego zaufanie i dotrzeć razem z nim do celu, czyli do jego matki, a potem przekazać ją Oddziałowi Specjalnemu, który wezwą przez radiotelefon.

- Oddział Specjalny? - spytał.

- Te stwory, które okradają twoje potrzaski - wyjaśniła Pressia.

El Capitan usiłował to wszystko zrozumieć. Wciąż od nowa odczytywał rozkazy. Mają za wszelką cenę zabezpieczyć siedzibę, w której znajdują matkę Czystego, i wszystkie znajdujące się tam przedmioty - zwłaszcza wszelkie pigułki, kapsułki i fiołki. Wszystko, co wygląda na lekarstwa. Belze dowodzi, a on ma jej towarzyszyć i pomagać. Poczul się słaby i schwytyany w pułapkę, jak tamci rekruci w zagrodach. Zacisnął pięści, czując też ucisk w piersi.

- Wiesz, dokąd mamy się udać? - spytał.

Skinęła głową.

- Wypełnię te rozkazy tylko pod warunkiem, że naprawdę wiesz, na czym polega twoje zadanie - oświadczył.

- Jak powiedział Ingership: „Kopuła jest dobra. Przygląda się nam jak dobrotliwe oko Boga, a teraz żąda czegoś ode mnie i od ciebie. I my to zrobimy”.

El Capitan nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

- A zatem przez wszystkie te lata patrzyłem na to w niewłaściwy sposób. Ha! To było głupie z mojej strony, co? Kopuła wcale nie jest zła. Zawsze uważaliśmy jej mieszkańców za wrogów i myśleliśmy, że pewnego dnia

będziemy musieli z nimi walczyć. Prawda, Helmud?

Helmud się nie odezwał. Pressia patrzyła prosto przed siebie przez przednią szybę.

- Nie, nie będziemy z nimi walczyć - rzekła.

Lecz El Capitan obserwował pomarszczoną głowę lalki. Dziewczyna pokiwała nią. Tak, będą walczyć. Rąbnęła pięścią w skórzane siedzenie.

- W porządku - rzucił El Capitan. Jedno było jasne: muszą się pozbyć kierowcy. - Może byś się trochę przewietrzyła? - zaproponował. Nigdy dotąd nie słyszał siebie mówiącego takim spokojnym łagodnym tonem. - Powinnaś rozprostować nogi. Przejdź się kawałek.

Pressia patrzyła na niego przez chwilę, a potem skinęła głową. Wysiadła z samochodu, wspierając się o drzwi, żeby nie upaść, i z wysiłkiem stanęła wyprostowana. Przycisnęła zdrową rękę do czoła, jakby zakręciło się jej w głowie. Potem zatrzasnęła drzwi. El Capitan przyglądał się, jak zniknęła za rogiem zrujnowanej wieży ciśnień.

- Co jest, do diabła? - rzucił kierowca, odwracając się w fotelu.

Podekscytowany Helmud zaczął kołysać się na plecach brata.

- Diabła, diabła, diabła - szeptał.

El Capitan wiedział, że to ostrzeżenie. Helmud usiłował powiedzieć kierowcy, żeby się uspokoił. Tamten jednak dalej gardłował:

- Belze ma zadanie do wykonania. Czy próbujesz jej w tym przeszkodzić? Powinienem na ciebie donieść. Ingership będzie...

El Capitan zamachnął się i rąbnął szofera pięścią w krtań. Głowa mężczyzny uderzyła w szybę. El Capitan wysiadł z samochodu, obciążony brzemieniem Helmuda. W kilku szybkich krokach okrążył auto, otworzył drzwi od strony kierowcy i wywłócił go na zewnątrz za klapy marynarki. Zatoczyli się obaj. El Capitan rąbnął kierowcę głową z byka, a potem rzucił go na ziemię w światła reflektorów pojazdu. Czoło Helmuda uderzyło o tył czaszki brata. El Capitan kopnął kierowcę w żebra, a potem obszedł jego skulone ciało i dołożył

jeszcze kopniaka w nerki. Chwycił kolbę rewolweru, chcąc go zastrzelić, ale rozmyślił się i postanowił zostawić mężczyznę tutaj, na Martwych Ziemiach, na pastwę losu.

Szofer wił się na ziemi i kaszłał krwią, która plamiła piasek. El Capitan poklepał maskę wozu. Przypomnił sobie swój motocykl i to, że jazda na nim niemal przypominała latanie. Usiadł w fotelu kierowcy, potarł deskę rozdzielczą i chwycił obiema rękami kierownicę. Niegdyś wiedział wszystko o pilotowaniu samolotów, ale wiedział też, że nigdy nie poleci. Może prowadzenie samochodu okaże się choć trochę do tego podobne.

Elektrycznym przyciskiem opuścił szybę i gwizdnął przez zęby.

- Pressia! - zawołał.

Dziewczyna znów się pojawiła; wyglądało na to, że odzyskała nieco sił.

- Usiądź w fotelu pasażera - polecił. - Kierowca jest trochę niedysponowany. Ja poprowadzę.

Pressia wsiadła i zatrzaskała drzwi, nie zadając żadnych pytań. Powietrze wewnątrz samochodu wydawało się naelektryzowane. El Capitan wrzucił wsteczny bieg, wcisnął pedał gazu i wycofał wóz, a potem ruszył naprzód, skręcając kierownicę, by ominąć leżącego na ziemi szofera. Opony wizgnęły i złapały przyczepność. Samochód szarpnął i potoczył się z niskim dudnieniem silnika - El Capitan poczuł w żebrach jego wibracje - zostawiając za sobą wijącą się wstęgę kurzu w miejscu, gdzie natychmiast pojawiły się Pyły. El Capitan dostrzegł je we wstecznym lusterku, oświetlone tylnymi światłami auta. Jeden z Pyłów o niemal zwierzęcym wyglądzie, zwabiony widokiem krwi kierowcy leżącego bezwładnie na kotłującym się piasku, rzucił się na niego i odkopnął jego czapkę, która potoczyła się po Martwych Ziemiach.

PARTRIDGE MATKI

CZARNA POSZEWKA PODUSZKI, którą naciągnięto Partridge'owi na głowę, była lekko rozdarta na szwie. Dzięki temu chłopcu od czasu do czasu

udawało się zerknąć na otoczenie, lecz to za mało, by mógł się zorientować, gdzie się znajduje. Wiedział tylko tyle, że on i Bradwell są prowadzeni przez ciężko uzbrojone kobiety z wtopionymi w nie dziećmi. Te kobiety były żyłaste i muskularne, miały tłuste pośladki i pochylone mocne grzbiety. Idąca na czele trzymała w górze starą lampę turystyczną, przymocowaną taśmą monterską do kija. Lampa kołysała się, rzucając cienie na nich wszystkich. Partridge spostrzegł, że kobiety z dziećmi wrośniętymi w tułowia szły szybko i energicznie, wielkimi krokami; natomiast te, którym dzieci przyrosły do nóg, kuśtykały i wlokły się ciężko i chwiejnie, z wyraźnym wysiłkiem. Niektóre zaś nie miały dzieci i w porównaniu z pozostałymi wydawały się niepełne, ogołocone, jakby zredukowane do pomniejszonej wersji samych siebie.

Ptaki w plecach Bradwella się nie poruszały; widocznie wyczuwały jego strach. Możliwe zresztą, że on już przywykł do takich niebezpiecznych sytuacji i wcale się nie bał. Może to jedna z zalet bycia martwym. A może ptaki po prostu wiedziały, kiedy mają zachować spokój.

Co jakiś czas Bradwell pytał, dokąd idą, lecz nie otrzymywał żadnej odpowiedzi.

Kobiety milczały. Kiedy ich dzieci zaczynały trajkotać lub kwilić, matki uciszały je albo wyciągały coś z kieszeni i wtykały im do ust. Przez dziurę w poszewce Partridge tylko przelotnie widział te dzieci, gapiące się w górę z nogi matki, przywarte do jej biodra lub uwieszone do ramienia. Miały jasne oczy i płochliwie się uśmiechały. Stale kasłały, ale nie tak chrapliwie jak dzieciaki na targowisku.

Zorientował się, że kobiety wyprowadzają ich z ogrodzonego osiedla, coraz dalej od brył stopionego plastiku. Na ziemi leżało tu więcej gruzu, będącego niegdyś cementem i asfaltem, z czego wywnioskował, iż kierują się ku jakiemś dawnemu centrum handlowemu. Przekręcił głowę tak, żeby rozdarcie w poszewce znalazło się przed jego oczami. Oprócz tej kobiety z lampą turystyczną zobaczył drugą, która trzymała w ręku latarkę i przyświecała nią

sobie, idąc szybko pośród stert gruzu i śmieci. Ujrzał resztkę markizy kina z literami W, E, G oraz O, i przypomniał sobie węgorze elektryczne. Czy to były ryby, czy węże? Innych sklepów nie dało się rozpoznać, gdyż ogołocono je ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Zabrano nawet odłamki szkła i metalu. Pozostało jedynie kilka płytek ceramicznych na suficie, a potem promień latarki sięgnął głęboko w cień i oświetlił ocalałą cudem rurę jarzeniówki.

Echo ich kroków ucichło. Widocznie zmierzali w kierunku wielkiego budynku o grubych ścianach. Bradwell domyślił się, że to jeden z tych zrujnowanych olbrzymich gmachów przemysłowych, w których dawniej trzymano więźniów, ludzi takich jak pani Farelina, wywiezionych z ich domów, albo chorych umierających od infekcji wirusowych. Weszli całą grupą do tej rudery.

Jedna z kobiet oznajmiła:

- To przez trzy lata był mój dom. Oddział kobiet, sala numer 1284. Jedzenie stawiano pod drzwiami, a po wieczornych modlitwach gaszono światła.

Partridge przekręcił głowę pod kapturem, aby zobaczyć, kto to powiedział. Była to jedna z kobiet bez dzieci.

- Ja miałam tylko jedną modlitwę - szepnęła inna. - Ocal nas, ocal nas, ocal nas.

Przez długi czas nikt się nie odzywał. Maszerowali dalej, aż któraś kobieta oznajmiła:

- Schodzimy w dół.

W tym samym momencie Partridge stracił grunt pod nogami. Po chwili natrafił na twardy stopień, a potem zszedł po schodach.

- Bradwell, wciąż tu jesteś? - zapytał.

- Jestem.

- Zamknijcie się! - odezwał się dziecięcy głos.

Zeszli do pomieszczenia, które musiało być wielką piwnicą. Powietrze szybko zrobiło się zimne i wilgotne. Było tu cicho i duszno. Partridge'a pchnięto na kolana. Ręce nadal miał związane z tyłu, ale zerwano mu z głowy kaptur. Dobrze było odetchnąć pełną piersią i móc się rozejrzeć. Wokół nich zgromadziło się kilkanaście kobiet, wciąż w pełnym uzbrojeniu, niektóre z dziećmi, a niektóre bez nich.

Bradwell, również już bez kaptura, klęczał obok niego, czerwony ze złości i oszołomiony.

Partridge przycisnął brodę do piersi, starając się ukryć swoją nieoszczędną bliznami twarz.

- Taki był twój plan? - szepnął do Bradwella.

- Myślę, że jesteśmy już blisko.

- Naprawdę? - rzucił Partridge. - Blisko czego? Śmierci?

Piwnica była olbrzymia, z rodzaju tych, jakie znajdują się pod wielkimi gmachami, na przykład sanatoriami. Jej środek był pusty, ale pod ścianami leżały sterty zwyczajnych przedmiotów, teraz pogiętych, zardzewiałych i wypalonych: wielkie koła, łopaty, kule do kręgli, młotki, a także złożone łóżka polowe, żelazne rury i metalowe wiadra na kółkach z mopami.

Stała przed nimi kobieta trzymająca w ramionach jasnowłose dziecko, dwu - lub trzyletnie; jedną rękę miała stopioną z jego główką, co wyglądało, jakby obejmowała je troskliwie. W drugiej ręce dzierżyła kij bejsbolowy z przytwierdzonym na końcu ostrzem siekiery. Powiedziała:

- Śmierci, co robiliście na ziemiach Naszej Dobrej Matki?

Partridge z wciąż pochyloną głową zerknął na Bradwella, a ten odpowiedział:

- Podjęliśmy się pewnego zadania, ale nie powiodło się nam. Dlatego potrzebujemy pomocy waszej Dobrej Matki. Chodzi o dziewczynę o imieniu Pressia. Ma szesnaście lat. Sądzymy, że pojmało ją OPR, ale nie jesteśmy tego pewni.

- To nic niezwykłego, Śmierci. OPR zgarnia ludzi w wieku szesnastu lat - rzekła kobieta i westchnęła ze znużeniem.

- Ale to nie jest zwykła sytuacja, ponieważ on jest niezwykły - powiedział Bradwell i spojrzał na Partridge'a, który odwrócił wzrok. - Pokaż im swoją twarz.

Partridge popatrzył na niego osłupiały. Czy ma tutaj zostać złożony w ofierze jako Czysty? Czy taki był plan Bradwella?

Potrząsnął głową.

- Nie - odrzekł. - Co ty wyprawiasz?

- Pokaż im swoją twarz! - powtórzył Bradwell.

Partridge nie miał wyjścia. Kobiety czekały. Podniósł głowę. Kobiety i ich dzieci podeszły bliżej i wpatrywały się w niego z rozdziawionymi ustami.

- Zdejmij koszulę - poleciała jedna z nich.

- Tam moja skóra wygląda tak samo - powiedział.

- Zrób to.

Chłopiec rozpiął kilka górnych guzików i ściągnął koszulę przez głowę.

- On jest Czysty - rzekła.

- Właśnie - przytaknął Bradwell.

Odezwała się kobieta z jasnowłosym dzieckiem:

- Nasza Dobra Matka będzie zadowolona. Słyszała pogłoski o Czystym. Będzie chciała go zatrzymać. Co chcesz w zamian za niego?

- Mną nie można handlować - zaprotestował Partridge.

- Czy on należy do ciebie i możesz go sprzedać? - spytała Bradwella kobieta.

- Niezupełnie, ale jestem pewien, że znajdziemy rozwiązanie.

- Może ona zadowoli się kawałkiem niego - rzekła kobieta do Bradwella.

- Jakim kawałkiem? - zawołał Partridge. - Chryste!

- Przypuszczamy, że matka tego Czystego wciąż żyje. On chce ją odnaleźć.-

- To również może zainteresować Naszą Dobrą Matkę.

- A czy tymczasem mogłybyście rozesłać do wszystkich matek wiadomość o zaginięciu Pressii? - spytał Bradwell. - Ona ma czarne włosy, czarne migdałowe oczy i głowę lalki zamiast dłoni. Jest drobna, ma półkolistą bliznę wokół prawego oka i oparzeliny na połowie twarzy.

Gdy Bradwell opisywał Pressię, Partridge zastanawiał się, czy on darzy tę dziewczynę uczuciem. Czyją lubi, czy tylko czuje się za nią odpowiedzialny? Nigdy co prawda nie przyszło mu do głowy, że Bradwell mógłby się w kimś zakochać, ale to możliwe. On jest tylko człowiekiem. Przez moment niemal lubił Bradwella i miał wrażenie, że mogliby się ze sobą dogadać, lecz potem przypomniał sobie, że Bradwell zaoferował tym obcym kobietom kawałek niego.

Kobieta kiwnęła głową.

- Roześlę wiadomość.

PRESSIA SZPRYCHA

PRESSIA NIE BYŁA PEWNA, co się jej przydarzyło w tamtym wiejskim domu. Straciła przytomność na podłodze w pobliżu frontowych drzwi, a ocknęła się na tylnym siedzeniu samochodu pędzącego przez Martwe Ziemie. Nic więcej nie wiedziała. Czy odurzono ją eterem? Czyją uspio, żeby zrobić jej płukanie żołądka, ponieważ została otruta? Ale dlaczego Ingership miałby ją otruć? Może dlatego, że najwyraźniej jest obłąkany, podobnie jak jego żona. Jak inaczej wyjaśnić to, że ta kobieta obiecała, iż nie narazi jej na niebezpieczeństwo, a jednocześnie podała jej truciznę?

Pressia miała bolesną ranę z tyłu czaszki, jakby uderzyła głową o podłogę - być może podczas szamotaniny z Ingershipem. Tyle pamiętała. A teraz co jakiś czas górę i tył jej głowy przeszywał ostry ból, niczym porażenie prądem elektrycznym. Czuła się fatalnie. Wciąż dokuczały jej mdłości i zgaga. Widziała niewyraźnie, jakby wzrok zasnuwały jej gęste kłęby mgły. Za każdym razem,

gdy mrugała, przed jej oczami rozkwitały pęki widmowych kwiatów, by po chwili zniknąć. Słuch miała przytępiony, jakby słyszała wszystko przez filizankę przytkniętą do ściany. Na domiar złego porywisty wiatr wzbijał kłęby pyłu, który jeszcze bardziej utrudniał jej widzenie i zatykał uszy.

A teraz jeszcze zniknął ten kierowca. Nie ma co oglądać się wstecz! Była zdana tylko na El Capitana i Helmuda. Mężczyzna prowadził samochód szybko przez Martwe Ziemie. Od czasu do czasu w promieniach reflektorów pojawiały się Pyły, a El Capitan je rozjeżdżał. Ich ciała rozpadały się na popiół, ziemię i kamienie.

Pressia wyjęła z koperty urządzenie namierzające. Pulsujący punkt przemieszczał się przez rejon Gruzowisk po idealnie prostej linii i ze zbyt wielką prędkością jak na poruszanie się po nierównym terenie. Przypomniała sobie, iż Bradwell mówił jej, że łapie stworzenia podobne do szczurów, czatując u wylotów rur, które ocalały nietknięte pod gruzami. Rury są tak wąskie, że mieszczą się w nich tylko te małe szkodniki. Widocznie Bradwell i Partridge znaleźli czip, przyczepili go do jednego z tych szczuropodobnych gryzoni i puścili zwierzę wolno.

- Musimy pojechać do domu Bradwella w pobliżu Gruzowisk - powiedziała. - To tam ostatni raz widziałam tego Czystego.

- Znasz go?

- Owszem, znam.

- Czemu wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

- A dlaczego miałabym ci powiedzieć?

- Ha - burknął El Capitan i popatrzył na Pressię, jakby uznał, że musi na nowo przemyśleć swoją opinię o niej.

- Ha - odezwał się Helmud i też na nią zerknął.

Spostrzegła teraz, że Helmud niecierpliwie skrobie palcami kark brata. El Capitan wstrząsnął ramionami i mruknął:

- Przestań.

- Przestań - odpowiedział Helmud.

- Nie możesz zabić Czystego, kiedy go znajdziemy - rzekła Pressia. - Nie wszyscy oni są źli. Ten Czysty, którego szukamy, w gruncie rzeczy jest poczciwy. Ma dobre serce. Szuka swojej matki. To mnie ujęło.

- Mnie też - wyznał El Capitan.

Pressię zaskoczył łagodny ton jego głosu, w którym pobrzmiwały smutek i poczucie osamotnienia.

- Mnie też - powtórzył Helmud.

- Nie możemy przejechać przez miasto tym samochodem - powiedział El Capitan. - Zanadto rzuca się w oczy.

- Wiem, gdzie jest mieszkanie Bradwella - oznajmiła Pressia. - Pójdę tam.

- Jesteś teraz za słaba na piesze wędrówki - orzekł El Capitan. - Poza tym jedno z nas musi zostać przy samochodzie. Nie chcę, żeby tę piękną maszynę zniszczyły Pyły.

- Dobrze - zgodziła się Pressia. - Narysuję ci plan.

Po chwili El Capitan podjechał do billboardu, który runął podczas Wybuchu, ale teraz stał oparty o stragan i służył jako przybudówka garażu. El Capitan zaparkował tam samochód.

W pobliżu leżał zwalony dach, niegdyś chroniący rząd dystrybutorów paliwa. Obydwoje skulili się za nim w nadziei, że osłoni ich od niesionego wiatrem pyłu. Obok walał się emblemat z literami B i P wpisanymi w zielony okrąg. Niegdyś coś oznaczał, ale Pressia nie była pewna co.

Znalazła w ziemi metalową szprychę, być może od koła motocykla. Nigdy nie umiała dobrze rysować, ale potrafiła rozłożyć na części zegarek dziadka, a potem z powrotem go złożyć, naprawić wewnętrzne mechanizmy Freedle'a i stworzyć swoją małą mechaniczną menażerię - gąsienicę, żółwia, szereg motyli - ponieważ była dokładna i precyzyjna. Miała cichą nadzieję, że ta dbałość oszczędzi teraz się jej przyda.

W świetle reflektorów samochodu narysowała mapę na pokrytej popiołem

ziemi; najpierw widok miasta z lotu ptaka. Wskazała skraj Gruzowisk i zaznaczyła literą X miejsce, gdzie znajdował się dawny sklep mięsny, który obecnie był mieszkaniem Bradwella.

Kiedy El Capitan oświadczył, że to zapamiętał, starła mapę i zaczęła szkicować plan wnętrza sklepu - w tym także chłodnię, w której El Capitan znajdzie pozostawione przez nich rzeczy i dodatkową broń. Musiała mu zaufać, choć nie była pewna, czy zdoła. Naprawdę szczerze go nienawidziła. Jednak pod zewnętrzną powłoką gwałtowności i okrucieństwa dostrzegała kogoś, kto pragnie stać się dobry. Przecież w gruncie rzeczy nie chciał brać udziału w Grze. Czy w innym świecie mógłby być lepszym człowiekiem? Może oni wszyscy mogliby być lepsi, niż są. Może właśnie to jest największym darem, jaki może zaoferować Kopuła: kiedy mieszkasz w miejscu wystarczająco bezpiecznym i wygodnym, możesz udawać, że zawsze podejmowałbyś najlepsze decyzje, nawet w skrajnie rozpaczliwej sytuacji. Okropny sposób, w jaki El Capitan traktuje Helmuda, można postrzegać jako formę ukrywania miłości do brata, której nie potrafi okazać. El Capitan ma tylko Helmuda i w głębi duszy jest wobec niego głęboko lojalny. Nieobliczalny i wybuchowy, ale lojalny. To już coś. Zastanawiała się, w jaki sposób stracił rodziców i czy myśli o nich równie często jak ona o swoich rodzicach i dziadku. El Capitan jest też brutalny i bezwzględny - a tych cech brakuje Pressii. Czy zdawał sobie sprawę, że gdy porzucił szofera na Martwych Ziemiach, skazał go na pożarcie żywcem przez Pyły? Pressia nie była tego pewna. Wmawiała sobie, iż jest szansa, że szofer przeżył.

El Capitan wstał.

- Chodźmy - rzekł. - Już skapowałem.

- Już skapowałem - powtórzył Helmud.

El Capitan zdjął z ramienia karabin i podał jej.

- Nie wychodź z samochodu bez względu na to, co się będzie działo. I strzelaj do wszystkiego, co się rusza.

- Tak zrobię - przyrzekła, choć nie była pewna, czy się na to zdobędzie.
Usiadła w fotelu kierowcy i zatrzasnęła drzwi.

- Jeśli będziesz musiała odjechać, nie wahaj się - powiedział. - Kluczyk jest w stacyjce. Ja sobie poradzę.

- Poradzę - rzekł Helmud.

- Nie umiem prowadzić.

- W każdym razie lepiej mieć kluczyki, niż ich nie mieć. - El Capitan delikatnie położył dłoń na masce. - Bądź ostrożna.

Najwyraźniej pokochał ten samochód.

- Nigdzie nie pojedę - odparła Pressia. Uważała, że jest to winna El Capitanowi. Kto inny pomógłby jej tak jak on? Nie poradziłaby sobie bez niego.

- Przecież ty mnie tutaj przywiozłeś.

Potrząsnął głową.

- Myśl o sobie, dobrze? - Spojrzał w kierunku posępnych konturów zrujnowanego miasta. - Pójdę za tym pasem gruzło-watego gruntu - rzekł. - Znam go. Zaprowadzi mnie w pobliże Gruzowisk. A potem skorzystam z niego, żeby odnaleźć drogę powrotną.

Pressia przyglądała się, jak odchodzi, lecz szybko straciła go z oczu. Tę część Martwych Ziem pokrywała gruba warstwa popiołu. Kłębił się i wirował po tym płaskim terenie oszpeconym niezliczonymi grudami stopionego asfaltu - świadectwem, iż niegdyś przebiegała tędy autostrada. Dostrzegła jeszcze Helmuda, który odwrócił się do niej i pomachał długą, chudą ręką. A potem w ciągu kilku chwil obydwaj rozplynęli się w mrocznej zamglonej dali. Pressia musiała zgasić reflektory samochodu i zapadła ciemność.

EL CAPITAN CHŁODNIA

EL CAPITAN ZJECHAŁ Z UBOJNI w dół po pochylni, mijając kadzie, półki i sufit z szynami. Sięgnął ręką w górę i chwycił hak.

- Chryste - rzekł do Helmuda - to miejsce jest idealne.

- Idealne - powiedział Helmud.
- Tutaj zdołalibyśmy przetrwać sami. Wiesz o tym?
- Wiesz o tym?
- Ten Bradwell to pieprzony szczęściarz - mruknął El Capitan.
- Pieprzony szczęściarz - powtórzył Helmud.

Dotarli tu szybciej, niż El Capitan się spodziewał. Na ulicach panował spokój. Kilkoro ludzi, na których się natknął, schowało się przed nim pośpiesznie w ciemnych otworach po drzwiach albo umknęło w boczne uliczki. Wystarczał sam widok munduru.

Nadal starał się poruszać najszybciej, jak mógł. Przyznawał, że kocha ten cholerny samochód. Jednym z powodów, dla których pobił kierowcę, była chęć pogazowania. A więc tak, chciał jak najprędzej wrócić do tego wozu, ale chciał też, żeby Pressia była w nim bezpieczna. Jeśli po powrocie jej nie zastanie lub znajdzie tylko poszarpane martwe ciało, nie był pewien, czy to zniesie. W tej dziewczynie coś było. Pressia ma dobre serce. Już od dawna nie spotkał nikogo takiego jak ona - albo może przestał szukać?

To dziwne uczucie - mieć kogoś, kto czeka. Krążyły legendarne opowieści o kochankach, którzy podczas Wybuchu poświęcali dla siebie życie. O ludziach, którzy jak El Capitan spodziewali się eksplozji. Przygotowywali plany ucieczki, mieli zgromadzone zapasy i ustalone miejsca spotkań. Jednak kochankowie nie odnajdywali się i jedno czekało na drugie. Być może zgodnie z planem mieli czekać tylko przez pewien czas - pół godziny, czterdzieści minut - a potem przenieść się w bezpieczniejszy rejon. Lecz ci kochankowie zawsze czekali zbyt długo, całą wieczność. Czekali, aż niebo zmieniło się w rozżarzony czerwony popiół. El Capitan słyszał kiedyś, jak ktoś śpiewał o nich piosenkę, i nigdy jej nie zapomniał. To było dziwne. Ten człowiek stał po prostu na ulicy i śpiewał.

Stoję na peronie dworca, pociągi już nie przyjeżdżają. Patrzą, jak snują się kłęby pary i na ziemi osiadają. Moja kochanka wlatuje w niebo, z uśmiechem

zerka na zegarek. Wie, że będę na nią czekał dłużej niż przez życie całe. A potem wiatr ją porywa i niesie gdzieś hen, za górami. A ja tu tkwię; wiatr rozwiewa popiół i miesza go z moimi łzami. Popiół i łzy, popiół i łzy zestalą się w twarde kamień.

. Będę stał tu i czekał wiecznie, póki nie zmienię się w kamień.

El Capitan był wtedy młodszy i dowodził ulicznym patrolem. Któryś z żołnierzy zawołał: „Chryste, zastrzel go wreszcie!”. Ale El Capitan odrzekł: „Nie. Pozwólmy mu śpiewać”. Nigdy nie zapomniał tej piosenki.

Teraz wszedł do chłodni i zobaczył szczeropodobne stworzenie w klatce, tak jak Pressia zaznaczyła na planie. Było tłuste i pomyślał, że mógłby je ukraść. W powietrzu unosił się intensywny zapach spalonego mięsa. Helmud zaczął wydawać mlaszczące odgłosy, jakby wołał do tego zwierzęcia.

- Mmmniam - zawodził.

- Tak, tak, mmmniam. Ale nie możemy się rozpraszać.

Kłopot polegał na tym, że El Capitan nie wiedział, czego właściwie szuka. Czegoś niepasującego do tego miejsca? To niełatwe, skoro nigdy wcześniej tu nie był. Ogarnął spojrzeniem dwa twarde fotele, nocną szafkę, metalowe ściany, szyny i hak. Było tam też metalowe wiadro ze spalonymi ubraniami. Podniósł je i pogrzebał w środku. Znalazł osmalone spodnie i koszulę, zwęglone resztki plecaka oraz małe metalowe pudełko. Wziął je do ręki i otworzył, a wtedy wydało kilka dziwnych brzękliwych dźwięków, po czym zamilkło. Wsunął je do kieszeni na wypadek, gdyby okazało się czymś ważnym.

Zanurkował pod hakiem do nocnej szafki. Helmud znów zaczął mlaskać do małego stworzenia w klatce.

- Zamknij się, Helmud! - rzucił El Capitan.

Brat rzucał się, usiłując dobrać się do zwierzęcia w klatce, wskutek czego El Capitan stracił równowagę i opadł na kolano.

- Do cholery, Helmud! Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Wówczas poczuł, że w kolano wbił mu się ostry kamyk. Wstał.

Na ziemi leżał wisiołek - pęknięty ptak z okiem z niebieskiego drogiego kamienia, nanizany na złoty łańcuszek. El Capitan miał nadzieję, że Pressia będzie wiedziała, co to takiego.

Podniósł naszyjnik i schował go do kieszeni. Podbiegł do wnęki w ścianie, którą Pressia zaznaczyła na planie. Nie znalazł tam aż tyle broni, ile zapowiadała. To mogło oznaczać, że Bradwell i Czysty są dobrze uzbrojeni. Wsadził rękę do środka i przesunął palcami po ostrzu noża. Potem chwycił coś, co musiało być paralizatorem. Wyjął go i włożył za pazuchę. Ostatni raz odetchnął głęboko, wdychając woń pieczonego mięsa, i wyszedł z chłodni.

PARTRIDGE DWADZIEŚCIA

- CHCIAŁEŚ ODDAĆ MNIE tym kobietom, jakbym był twoją własnością - rzekł z wyrzutem Partridge do Bradwella.

Siedzieli obok siebie na siennikach na podłodze niewielkiego pokoju, w którym podobnie jak w tamtej piwnicy pod ścianami leżały sterty dziwacznych przedmiotów, dlatego wydawał się on jeszcze mniejszy. Wyglądało to tak, jakby matki ogołociły Stopione Ziemie ze wszystkiego, co mogło mieć jakąkolwiek wartość, i zgromadziły tutaj.

- Nie chciałem cię im oddać, tylko wymienić. To zupełnie co innego.

- Tak czy owak, wpadłbym w ich ręce.

- Ale odwiódłem je od tego pomysłu, prawda? - rzekł Bradwell.

Zdjął kurtkę. Rana na jego barku była opuchnięta, ale już przestała krwawić. Zwinął kurtkę i położył się na boku, podkładając ją sobie pod głowę jak poduszkę.

- Jasne, zadowolą się kawałkiem mnie na pamiątkę. Wspaniale! Co ty, u diabła, kombinujesz?

- Pressia cię ocaliła i sam powiedziałeś, że jesteś jej winien życie.

- Nie wiedziałem, że potraktujesz to dosłownie! To tylko takie wyrażenie, używane tam, skąd pochodzę.

- To luksus, na który możesz sobie pozwolić w Kopule, ale nie tutaj. Tu każdego dnia chodzi o życie lub śmierć.

- Będę walczył - oświadczył Partridge. - To silniejsze ode mnie, kwestia instynktu. Nikt nie dostanie kawałka mnie bez walki.

- Nie radziłbym ci zadzierać z tym tłumem uzbrojonych kobiet, ale zrobisz, jak uważasz - rzekł Bradwell.

Uderzył pięścią w zwiniętą kurtkę, jakby ubijał poduszkę, i zamknął oczy. Po kilku chwilach już spał, oddychając ciężko.

Partridge także próbował usnąć. Zwinął się w kłębek na sienniku i przymknął powieki, ale przeszkadzało mu nieregularne chrapanie Bradwella. Przypuszczał, że Bradwell potrafił zasypiać nawet w najgorszych warunkach. On natomiast zawsze budził się przy najmniejszym szmerze - odgłosie kroków któregoś z nauczycieli kontrolującego sypialnię czy kogoś przechodzącego późną porą przez trawnik albo tykaniu systemu klimatyzacji.

Zapadł w niespokojną drzemkę, lecz zaraz znów się ocknął, powracając do rzeczywistości - Bradwella, zaginięcia Pressii, nocnej szafki, martwej starej kobiety, Szału Śmierci, matek. Wspomniał Łydę, jej twarz w półmroku sali wystawy artykułów gospodarstwa domowego, jej głos odliczający: „raz, dwa trzy”. Na parkiecie tanecznym pocałowała go delikatnie w usta, a on odwzajemnił jej pocałunek. Potem się odsunęła, lecz spojrzała na niego tak, jakby chciała zapamiętać na zawsze jego rysy, jakby wiedziała, że widzi go po raz ostatni - po czym odwróciła się i uciekła. Obrócił się na materacu, przez moment całkowicie rozbudzony. Gdzie ona teraz jest? Po chwili jego umysł znów spowija zasłona snu i przyśniło mu się, że jest niemowlęciem. Matka trzyma go w ramionach, szybując na skrzydłach przez zimne, mroczne przestworza. Słyszał szelest piór, łopot skrzydeł - a może to były ptaki Bradwella? I jest ciemno, ponieważ to noc, czy dlatego, że w powietrzu unosi się gęsty dym?

W tych ciemnościach rozbrzmiewał głos: „szesnaście, siedemnaście,

osiemnaście...”. Łyda odliczała do dwudziestu w mrocznej sali wystawowej, która teraz pełna była dymu. Partridge, nie zważając na to, gładził palcami ostrze noża. A Łyda powiedziała: „Dwadzieścia”.

PRESSIA ZIEMIA

PRESSIA STARAŁA SIĘ OBSERWOWAĆ zmiany wyglądu okolicy: falowanie drobnego, ciemnego piasku, tworzenie się w nim lejów i fałd. Samochód był na wpół ukryty pod zwalonym billboardem; kluczyk tkwił w stacyjce. Wciąż odczuwała otumaniające działanie eteru. Zapadła w drzemkę, ale po chwili obudziła się i poderwała przestraszona.

Zdrową ręką mocno ścisnęła karabin. Zastanawiała się, czy to przytępienie wzroku i słuchu sprawiło, że wyostrzył się jej węch. Stale czuła woń zgnilizny. Przypomniła sobie białe, wilgotne jajka z kolacji u Ingershipa i ostrygi. Znow ogarnęły ją mdłości i poczuła zawroty głowy, więc szybko zacisnęła powieki, by choć częściowo je opanować.

Kiedy miała zamknięte oczy, w jej umyśle pojawił się obraz Bradwella i Partridge’a, jedzących obiad przy stole w wielkiej sali jadalnej. Teraz, gdy już zobaczyła wiejski dom Ingershipa, takie sceny wydawały jej się możliwe, ale wciąż mało prawdopodobne i z pewnością nie dotyczyły ich dwóch. Wyobraziła sobie twarz Bradwella, jego oczy, usta. Patrzył na nią, jakby chciał jej coś powiedzieć.

Otworzyła oczy. Już prawie świtało. Na wschodzie z wolna wstawała blada poświata.

Usłyszała jakiś szelest - osypującego się piasku? Jeśli pojawi się Pył, zabije go. Będzie musiała. Czy to źle zabić coś, co chce zabić ciebie?

Zamglonym wzrokiem zobaczyła niewyraźnie kilka strzępów rozerwanych opon i szkielet furgonetki dostawczej pokryty ciemnobrązową rdzą. W oddali, w miejscu gdzie horyzont stykał się z szarą powłoką nieba, majaczył wirujący piasek. Gdzieś tam był wiejski dom, Ingership i jego żona o

skórce ukrytej pod tkaniną przypominającą pończochę.

Pressia odwróciła się i ogarnęła spojrzeniem zarysy zrujnowanego miasta, wypatrując, czy nie wyłoni się stamtąd sylwetka El Capitana. Jej głowa lalki, poszarzała od popiołu, wpatrywała się w nią wyczekująco, jakby czegoś od niej chciała. Kiedy Pressia była mała, często przemawiała do niej i uważała, że lalka ją rozumie. Tutaj nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć tę głowę lalki. Nie było nawet Kopuły, tego dobrotliwego oka Boga. Bóg to Bóg. Spróbowała przywołać z pamięci obraz krypty i pięknego posągu za pękniętą szybą z pleksiglasu.

- Święta Wi - wyszeptała, jakby to był początek modlitwy.

O co chciała się modlić? O to, żeby móc sobie przypomnieć którąś z opowieści dziadka, zamiast myśleć o tamtym zastrzelonym chłopcu i o kierowcy zjadanym żywcem przez Pyły, które teraz ją też mogą pożreć.

Wtedy z zakamarków pamięci rzeczywiście wypłynęła opowieść dziadka o włoskim święcie, które odbywało się każdego lata. O filiżankach herbaty tak olbrzymich, że można było w nich siedzieć i obracać się w kółko; a także o grach, w których miało się szansę wygrać złotą rybkę w plastikowej torebce wypełnionej wodą. Kiedy okręzało się te wydęte plastikowe torebki, rybki zdawały się zmieniać wielkość - robiły się większe, potem mniejsze, a potem znowu większe.

Kłęb piasku zawirował w podmuchu wiatru i Pressii się to nie spodobało. Zamrugła odruchowo, żeby lepiej widzieć, lecz przez to wzrok tylko jeszcze bardziej się jej zamglił. Ten wir wydawał się niezależny od porywów wiatru. A potem zobaczyła parę oczu. Krzyk uwiązał jej w gardle. Nacisnęła guzik na wewnętrznej klamce drzwi, żeby opuścić szybę. Żadnej reakcji. Zorientowała się, że musi najpierw uruchomić silnik. Chwyciła kluczyk i przekręciła go w stacyjce. Rozległo się tylko kilka głuchych trzasków. Wcisnęła kluczyk mocniej, a wtedy silnik ożył i cały samochód zawibrował od nagłej erupcji energii. Ten Pył wciąż kłębił się i przelewał. Ponownie wcisnęła guzik i szyba zjechała w dół. Do środka wpadł podmuch wiatru, gęsty od popiołu. Uniosła karabin i

odbezpieczyła go. Ręce się jej trzęsły. Zawahała się, a potem spróbowała wycelować.

Pył padł na ziemię. Znow zniknął, lecz nadal gdzieś się czaił. Pressia zastygła bez ruchu. We wnętrzu samochodu wirowały smugi popiołu. Była gotowa do otwarcia ognia, jednak nigdy wcześniej nie strzelała z broni palnej. Nie jest oficerem, tylko szesnastoletnią dziewczyną. Nawet gdyby udało się jej wypełnić polecenie Kopuły, to co stanie się z Partridge'em? Co się stanie z El Capitanem i Hel-mudem? A jej dziadek? Wyobraziła go sobie leżącego w szpitalnym łóżku, jego uśmiech, rozmazany wir śmigieł wiatraczka tkwiącego mu w gardle. Czy w jego oczach widniał cień niepokoju? Czy dziadek ją przed czymś ostrzegał?

Co dzieje się z tobą w tym świecie, gdy już przestałeś być użyteczny? Znała odpowiedź na to pytanie.

- Przebac mi - wyszeptła, przekonana, że zawiodła swojego dziadka. Oczami wyobraźni ujrzała świętą Wi, jej delikatne rysy. To była modlitwa. - Przebac mi.

Wtedy Pressia poczuła, że coś mocno szarpnęło za karabin. Pociągnęła broń do siebie, by jej nie stracić. Potem pojawiły się ręce. Były silne, utworzone z ziemi, nieludzkie, szponiaste. Chwyciły ją za ramiona i zaczęły wywlekać z samochodu. Starła się nie wypuścić karabinu, ale w tej pozycji nie mogła już wystrzelić. Wobec tego z całej siły uderzyła Pyła kolbą w pierś.

Wiedziała, że najbezpieczniejsza będzie w samochodzie. Nie mogła dać się z niego wywlec, lecz ręce Pyła wciąż ciągnęły ją nieubłaganie. Sięgnęła do tyłu pięścią z głową lalki i zahaczyła nią o kierownicę, lecz wtedy wyrwano jej karabin.

Pył przyciągnął ją tuż do siebie. Poczowała ostrą woń zgnilizny zmieszanej z zapachem rdzy. Stwór szarpał nią, usiłując oderwać jej pięść od kierownicy, a jednocześnie wywlekał jej głowę i tułów przez okno. Zapała się nogami.

Spojrzała w górę ponad ramieniem Pyła i zobaczyła, że wał piasku za

jego plecami przybiera kształt kręgosłupa z przytwierdzonymi do niego żebrami.

Pył był silniejszy od niej. Pressia nie zdołała dłużej zapierać się nogami. Obydwoje polecili do tyłu i upadli na piasek. Stwór wypuścił ją z uścisku. Przyskoczyła do karabinu, podniosła go, przeturlała się na brzuch i strzeliła. Pył rozprysnął się na kawałeczki, które opadły na ziemię.

Wtedy ruszył na nią wał piasku z kręgosłupem. Poderwała się na nogi i wycelowała w niego, ale prześliznął się pod nią, niczym rekin pod łódką. Odwróciła się i zobaczyła, że grunt faluje jak morze podczas sztormu. To wirowały i wstawały następne Pyły.

Jeden z nich, na lewo od niej, był wielkości wilka. Inny wystrzelił w górę gejerem siedmiometrowej wysokości. Odwróciła się i strzeliła, odwróciła się z powrotem i znów strzeliła, siejąc spustoszenie wśród pojawiających się Pyłów. Potem zaczęła się cofać, by dotrzeć do samochodu i schronić się w nim.

Gdzie jest El Capitan? Czy podążył niewłaściwym pasem gru-złowatego gruntu?

Inny Pył, też wielkości wilka, skoczył na nią i ją przewrócił. Pressia upadła ciężko na twardo ubitą ziemię. Nie miał pyska, lecz mimo to jej szyję i twarz owionął gorący oddech stwora. Rąbnęła go kolbą karabinu w miejsce, gdzie jak przypuszczała, mógł mieć żebra. Pył stęknął.

Dziewczyna rzuciła się do ucieczki.

Piaskowy wał z kręgosłupem nie miał zamiaru zrezygnować, zawirował nad Pressią, wytrącając jej z ręki karabin i wyduszając powietrze z płuc. Broń upadła pod nogi tamtego wilczego Pyła.

I wówczas Pressia usłyszała krzyk El Capitan?

Piaskowy wał stanął dęba. W powietrzu zawirował nóż, przecinając go niemal na pół. Wał zwiotczał i upadł, a potem w ziemię wbił się rzeźniczy nóż.

Pressia z ulgą ujrzała El Capitana.

- Zrobiłem sobie wycieczkę do sklepu rzeźniczego - oznajmił.

Teraz Pyły pojawiły się już wszędzie. Z Helmudem ciskającym się na

plecach El Capitan ciął innym nożem trzy skręcone słupy piasku i uśmiercił je szybko, zagłębiając ostrze w ich ciała. Życie - jeśli w ogóle jeszcze pozostało w tych stworach - uszło z nich z sykiem, a resztki piasku i popiołu obsypały Martwe Ziemie.

Pressia zabijała Pyły strzałami z karabinu najszybciej, jak potrafiła. El Capitan coś do niej krzyczał, ale z powodu wciąż przytępionego słuchu i huku wystrzałów nie mogła rozróżnić słów.

Następny Pył rzucił się na nią i przygwoździł ją do ziemi, a potem chwycił ją mocno w pól. Kopnęła go kolanem i rąbnęła pięścią w tułów, ale wtedy złapał ją za szyję i zaczął dusić. Napięła mięśnie szyi, upuściła karabin i usiłowała wyrwać się z jego uścisku. Nie mogła oddychać. Nagle pojawił się El Capitan i jedną ręką złapał Pyła za gardło. W drugiej trzymał paralizator. Przytknął go do czegoś, co wyglądało na głowę stwora, i nacisnął spust. Pył upadł.

Pressia z trudem łapała powietrze. El Capitan chwycił ją za rękę i wcisnął jej w dłoń jakiś mały, twardy przedmiot.

- Weź to - powiedział, a gdy nie mogła wydobyć głosu, dodał: - Może jest coś warte.

Zaatakował ich kolejny Pył. El Capitan chwycił karabin i strzelił. Jakiś inny Pył umknął z sykiem.

Pressia spojrzała na wisiołek na łańcuszku i natychmiast go rozpoznała. To dowód, że po jej zaginięciu Bradwell przyprowadził Partridge'a do sklepu rzeźniczego. Być może więc nadal są razem.

Ale dlaczego wisiołek jest złamany? Co się stało z drugą połówką?

Pressia spojrzała w górę; roily się tam Pyły. Nagle poczuła, że coś złapało ją w pasie. Z całych sił zaczęła wierzgać. Każde kopnięcie rozpylało smugę piasku i popiołu. Drapała paznokciami i waliła pięścią, ale czuła, że wciąż jest powoli ściągana w dół jakby przez samą głodną ziemię. Spróbowała się wyrwać i ujrzała wylaniającą się w oddali całą armię Pyłów. Czy ten Pył wciągnie ją pod

ziemię i pożre? Pressię przeszył strach przed uduszeniem. Nie chciała zostać pogrzebana żywcem.

Świat w jej oczach drgał, trzął się i falował. Wciąż walczyła, ale odczuwała skutki niedawnego zatrucia i narkozy i była obolała od licznych ciosów. Czuła się osłabiona, głodna i spragniona. Jej wzrok już wcześniej był zamglony, a teraz pociemniało jej w oczach.

Resztką sił zawołała El Capitana. Odkrzyknął do niej i poprzez kłęby popiołu, wzbite przez jej szamotaninę, ujrzała go z Helmu-dem na plecach walczącego z Pyłami. Nadal trzymał się na nogach, lecz nacierało na niego coraz więcej Pyłów. Stał w pobliżu samochodu; widziała czarne lśnienie karoserii. Potem Pyły cisnęły go w bok auta i upadł na ziemię. Pomyślała, że oboje tutaj zginą.

Machnęła rękami i kopnęła butami w ciało Pyła. Mocno zacisnęła powieki i pomyślała o niebieskim oku łabędzia. Nagle cały świat stał się niebieski i teraz ból w uszach i pulsowanie krwi w jej szyi były niebieskie, i El Capitan był niebieski, i samochód, i Pyły. Odwróciła się ku szarym wzgórzom - obecnie też niebieskim - szukając wzrokiem twarzy matki i ojca. Wiedziała, że to szaleństwo. Oni już nie żyją. Jednak jej umysł przed śmiercią łaknął pociechy. Domu. Gdzie jest dom?

Ziemia wciągała Pressię w siebie. Dziewczyna czuła w całym ciele wibrowanie niskich pomruków Pyłów. Otworzyła oczy i zobaczyła Martwe Ziemie, które wydały się jej teraz jeszcze bardziej martwe - tylko popiół, śmierć i brudny piasek.

Ciągle walczyła, uderzała pięścią, w której ścisnęła wisiołek, lecz już nie wyrządzała Pyłom żadnej szkody. Była zanadto wyczerpana. Zgubiła kopertę z rozkazami i urządzenie namierzające. Zdjęcie jej dziadka - ujrzała je teraz oczami duszy. Ono też zginęło, jakby w ogóle nigdy nie istniało. Gdzie on teraz jest? Co się stało z Freedle'em? Czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczy? Czy El Capitan i Helmud już nie żyją? Czy to możliwe, że udało im się dotrzeć do

samochoodu?

Odwróciła się w kierunku dudniącego dźwięku przekonana, że to, co zobaczy, będzie ostatnim widokiem w jej życiu. Głośny łomot kroków. Mętna chmura popiołu, a potem lśniąca twarz dziecka w objęciach matki. Pressia miała wrażenie, że ogląda utraconą wizję swojej matki i samej siebie jako małej dziewczynki - jakby jej matka nie została rozerwana na kawałki przez rozpryśniętą szklaną tafelę okna.

- Pressio - powiedziała matka. - Uchwycić się mnie!

Pojawiła się ręka.

A potem Pressia widziała już tylko jakby przez maleńką dziurkę, którą po chwili wypełniła czerń.

PRESSIA OFIARA

PRESSIA OBUDZIŁA SIĘ z policzkiem wspartym na czymś twardym. W głowie pulsował jej tępy ból. Ujrzała oponę z wytartym bieżnikiem. Nie była to opona smukłego czarnego samochodu. Pressia znajdowała się w pokoju, a opona należała do jednego z małych kółek przy silniku z ostrzami. Kosiarka do trawy? Zastanawiała się, czy śni, czy może to jakiś rodzaj życia pozagrobowego. Piwnica, w której przechowuje się sprzęt ogrodowy? I to ma być życie pozagrobowe?

Spróbowała usiąść.

Wszędzie wokół niej rozległy się szepty. Jeden zabrzmiał gdzieś blisko.

- Zaczekaj. - Głos był kobiecy. - Nie spiesz się.

Pressia opadła z powrotem i położyła się na boku. Przypomniała sobie Pyły. El Capitana strzelającego z karabinu. Matkę i dziecko. Zamknęła oczy.

- El Capitan i Helmud - powiedziała.

- Ci dwaj mężczyźni w samochodzie? To twoi przyjaciele?

- Czy oni nie żyją?

- Przyszliśmy tam po ciebie, nie po nich. Ich życie lub śmierć niewiele

nas obchodzą.

- Gdzie ja jestem? - spytała Pressia.

Rozejrzała się i zobaczyła twarze kobiet i dzieci - wirujące wokół niej, jakby kręciła się w jednej z tych wielkich filiżanek, o których opowiadał jej dziadek. Dzieci były wrosnięte w ciała matek. Przyjrzała się jednemu, potem drugiemu.

- Jesteś tutaj. U Naszej Dobrej Matki.

Matka? Ona nie ma matki. W pokoju było zimno i wilgotno. Zadrzała. Wokół niej przesuwały się ciała, a za nimi dostrzegła sterty pudeł, stopione plastikowe zabawki, rząd powgniatanych metalowych skrzynek na listy i na wpół stopiony rowerek na trzech kółkach.

Podniosła się z wysiłkiem. Jakaś kobieta ujęła ją za łokieć i pomogła jej uklęknąć. Trzymała w ramionach jasnowłose dziecko w wieku dwóch, może trzech lat. Jedną rękę miała wtopioną w główkę dziecka, co sprawiało wrażenie zastygłego opiekuńczego gestu.

- To Nasza Dobra Matka - powiedziała, wskazując prosto przed siebie. - Pokłoń się jej.

Pressia podniosła wzrok i ujrzała kobietę siedzącą na zwykłym drewnianym krześle wzmocnionym plastikową linką. Kobieta miała pospolitą twarz, drobną i delikatną, pokrytą mozaiką odłamków szkła, które połyskiwało w blasku jedynej lampy. Jej blada skóra niemal całkowicie zarosła na szyi sznur pereł, przez co wyglądały one jak szereg idealnie okrągłych guzów nowotworowych. Nosiła długą spódnicę i cienką zwiewną bluzkę, przez którą prześwitywał kontur olbrzymiego metalowego krzyża. Ten krzyż tkwił w jej brzuchu i klatce piersiowej, sięgał aż do szyi i rozpychał jej barki, zmuszając ją, by siedziała sztywno wyprostowana. Była uzbrojona w zwykły pogrzebacz z kutego żelaza, leżący w poprzek jej kolan.

Pressia pochyliła głowę w ukłonie i pozostała tak, czekając, aż Nasza Dobra Matka powie, że już wystarczy. U stóp kobiety spostrzegła starannie

ułożoną broń Bradwella. To oznaczało, że on może gdzieś tu być i że jest w to wszystko zamieszany. Czyżby po jej zniknięciu próbował ją odszukać? A co z Partridge'em? Serce mocno zabiło w jej piersi. Przez chwilę zalała ją fala nadziei, dopóki nie uświadomiła sobie, iż ta leżąca broń może oznaczać również to, że Bradwella rozbrojono albo nawet zraniono lub zastrzelono.

Czy celowo zostawili ten naszyjnik z wisiorkiem, aby go znalazła? Czy odeszli?

Naszyjnik. Gdzie on teraz jest?

Krew uderzyła Pressii do głowy i dziewczyna poczuła zaburzenia równowagi. Nie poruszyła się jednak. Czekwała, aż kobieta z pogrzebaczem się odezwie, i tak się stało.

- Wstań - poleciła. - Chcesz wiedzieć, podobnie jak wszyscy, skąd ten krzyż? Czy byłam zakonnica? Osobą pobożną? Pogrążoną w modlitwach? Jak to się stało?

Pressia potrząsnęła głową. Jej umysł nie sięgał jeszcze aż tak daleko. Czy ta kobieta mówiła o krzyżu w swojej piersi?

- To nie moja sprawa - powiedziała.

- Nasze opowieści są wszystkim, co mamy - rzekła Nasza Dobra Matka. - Pozwalają nam przetrwać. Przekazujemy je sobie nawzajem. Nasze opowieści są cenne. Rozumiesz?

To przypomniało Pressii, jak pierwszy raz słyszała Bradwella mówiącego w piwnicy o zachowywaniu pamięci o przeszłości. Bradwell... Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co by poczuła na wieść, że on nie żyje. Nasza Dobra Matka wpatrywała się w nią. Zadała jej pytanie, ale Pressia nie pamiętała jakiego. Mimo to skinęła głową. Czy to właściwa odpowiedź?

- Przekażę ci moją historię jako podarunek. Stałam przy oknie z metalową framugą - powiedziała Nasza Dobra Matka i powiodła palcem przez materiał bluzki wzdłuż zarysu metalowego krzyża tkwiącego w jej mostku. - Stałam z uniesioną głową i wpatrywałam się w rozedrgane niebo, z jedną dłonią

przyciśniętą do szyby. - Uniosła rękę inkrustowaną odłamkami szkła. - Potrafisz sobie wyobrazić, że byłam o włos od śmierci?

Pressia kiwnęła głową. Jej matkę zabił deszcz szklanych odłamków.

- Broń - powiedziała, wskazując na podłogę.

- To dary od tego Śmierci, który przyprowadził nam Czystego. Ten Czysty też jest Śmiercią. Wszyscy mężczyźni to dla nas Śmierci. Z pewnością to wiesz.

Czy to znaczy, że Bradwell i Partridge są żywi, czy martwi? Czy te kobiety zabijają wszystkich napotkanych mężczyzn? Czy dlatego nazywają ich Śmierciami?

Za plecami Pressii rozległ się hałas. Odwróciła się.

Do pokoju wpychano Partridge'a i Bradwella. Wciąż żyli i byli tutaj. Nadal oddychali, a ich serca wciąż biły. Pressia poczuła tak wielką ulgę, że niemal się rozplakała.

- Na kolana, Śmierci! Na kolana przed Naszą Dobrą Matką! - zawołały kobiety.

Partridge i Bradwell uklękli po obu stronach Pressii. Wyglądali na znużonych. Wzrok mieli mętny, ubrania znoszone i powalane popiołem. Jednak Bradwell się uśmiechnął, a oczy mu rozbłysły. Był szczęśliwy, że ją widzi. To ogrzało serce Pressii i sprowadziło rumieniec na jej policzki.

- Pressio - wyszeptał Partridge. - Odnaleziono cię!

Nie została pojmana, tylko odnaleziona? Czyżby oni obaj przez cały czas jej szukali? Dotąd była pewna, że drogi Partridge'a i Bradwella się rozeszły. Ze jeden kontynuował poszukiwanie matki, a drugi odciął się od wszystkiego. Przecież Bradwellowi dotychczas udawało się przetrwać właśnie dzięki temu, że nie zwracał sobie głowy sprawami innych ludzi. Dlaczego teraz starał się ją odnaleźć?

Nasza Dobra Matka klasnęła w dłonie, a wszystkie kobiety oraz dzieci skłoniły się i wycofały za drzwi, a potem na górę po schodach. Pozostała tylko

jedna, ta ze szczotką podobną do dzidy. Stała przy drzwiach na straży.

- Myślałyśmy, że ci twoi dwaj Śmierci należą do drużyny Szału Śmierci - rzekła Nasza Dobra Matka do Pressii. - Nie bierzemy udziału w tym sporcie, ale kiedy oni czasem wtargną na nasz teren, zabijamy tylu, ilu zdołamy, zanim się rozpierzchną - powiedziała i ujęła drobną dłonią rączkę pogrzebacza.

- Cieszę się, że ich nie zabiłyście - rzekła Pressia.

To nappełniło ją nadzieją, że El Capitan i Helmud również zdołali przeżyć. Przynajmniej jest na to szansa.

- Ja także się cieszę. Oni wypełniają pewne zadanie. - Nasza Dobra Matka wstała niezdarnie; z metalową listwą framugi okna wtopioną w środek jej klatki piersiowej musiała przy wstawaniu wspierać się rękami o poręcz krzesła. Ruszyła naprzód sztywnym krokiem. - Udzieliłyśmy im pomocy po części dlatego, że jesteś kobietą. Zawsze staramy się pomagać naszym siostrzycom. Ale chodzi też o coś więcej. O coś mającego związek z odszukaniem matki tego Czystego. - Zaczęła powoli krążyć po pokoju. - Każdy Czysty jest dla mnie cenny - oświadczyła. - Ma wartość przynajmniej sentymentalną. - Skinęła głową na strażniczkę przy drzwiach. Kobieta podeszła do Partridge'a i wymierzyła w jego szyję szpic szczotki-dzidy. - Wydaje mi się, że to nie jest zwykłe poszukiwanie i że nawet ten Czysty nie jest zwyczajnym Czystym. Kim jesteś? - zwróciła się do Partridge'a. - Kim są twoi ludzie?

Partridge wybałuszył oczy na Bradwella. Pressia wiedziała, o czym on myśli. Rozważa, czy ma wspomnieć o swoim ojcu. Czy to ocali mu życie? A może jeszcze bardziej go pogrąży?

Bradwell skinął głową, lecz Partridge zdawał się nie ufać tej zachęcie. Pressię ciekawiło, co zaszło między nimi dwoma po jej zniknięciu. Partridge, nie poruszając głową, zerknął na Pressię. Przełknął nerwowo; dzida wciąż mierzyła w jego grdykę.

- Jestem Ripkard Willux. Nazywają mnie Partridge.

Nasza Dobra Matka uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- No, proszę - powiedziała i odwróciła się do Pressii. - Widzisz, że on nie jest szczery? Zataja informacje, nieprawdaż? Sam dobrze o tym wie. Śmierci tak robią. Nie potrafią być uczciwi.

- Niczego nie zatajam - zaproponował Partridge.

- Śmierciom nie wolno bez pozwolenia odzywać się do Naszej Dobrej Matki! - krzyknęła strażniczka i mocno uderzyła go w plecy szczotką-dzidą.

Nasza Dobra Matka mówiła teraz wyłącznie do Pressii:

- Gdy rozpoczęły się eksplozje, wiele z nas znalazło się tutaj samotnie w swoich domach lub zostało uwięzionych w samochodach. Niektóre zaciekawione wybiegły na podwórza, by zobaczyć niebo, albo tak jak ja podeszły do okien. Tuliłyśmy do piersi nasze dzieci - te, które udało się nam przywołać do siebie. A te spośród nas, które zamknięto w więzieniach, umierały. Nas wszystkie zostawiono tu na śmierć. To my opiekowałyśmy się konającymi. Owijałyśmy ciała zmarłych. Pogrzebałyśmy nasze dzieci, a kiedy zmarło ich zbyt wiele, byśmy mogły je pochować, wznosiłyśmy stosy, na których paliłyśmy ich zwłoki. Wszystko to sprowadziły na nas te Śmierci. Dawniej nazywałyśmy ich ojcami, mężami albo panami. Znałyśmy ich najmroczniejsze występki. Gdy szamotałyśmy się, uderzając w okiennice naszych domów jak ptaki uwięzione w klatkach, lub waliłyśmy głowami w ściany więziennych cel, przyglądałyśmy się tym mężczyznom. Tylko my wiedziałyśmy, jak bardzo nienawidzą samych siebie, jak wstydzą się swojej słabości, egoizmu, odrazy. I jak obrócili tę nienawiść najpierw przeciwko nam - i swoim dzieciom - a potem przeciwko całemu światu. - Znów usiadła na krześle. - Zostawili nas na śmierć i teraz już zawsze będziemy musiały dźwigać nasze dzieci, które nigdy nie dorosną. Naszym brzemieniem jest nasza miłość.

W pokoju zapadła cisza. Pressia zastanawiała się przez chwilę, co stało się z dzieckiem lub może dziećmi Naszej Dobrej Matki. Wyglądało na to, że żadne się w nią nie wtopiło - tylko ten metalowy krzyż i odłamki szyb. Czy ciała jej dzieci spłonęły na stosach?

- Co się z tobą działo, po tym jak zniknęłaś? - zapytała ją Nasza Dobra Matka.

- Schwytali mnie żołnierze OPR i poddali szkoleniu oficerskiemu. Z początku nie wiedziałam po co. Potem zawieziono mnie na ich najdalej wysuniętą placówkę, do wiejskiego domu. Pewien wysoki urzędnik i jego żona mieszkają tam i pracują na rzecz Kopuły. Zajmują się uprawami rolnymi.

- Ich plony są niejadalne - odrzekła Nasza Dobra Matka. - Wiemy o tym, bo dotarliśmy tam, a nawet dalej. Obserwujemy ich.

- Schwytali mojego dziadka. Przebywa w Kopule - przypuszczam, że jako zakładnik. Zlecono mi sprowadzenie tego Czystego i jego matki do Ingershipa. Gdzieś tutaj w pobliżu znajduje się Oddział Specjalny złożony z dzikich superstworów. To właśnie im mamy przekazać Partridge'a i jego matkę.

- Oddział Specjalny? Poza Kopułą? - spytał Partridge.

- Powiedziano nam, że kiedy znajdziemy twoją matkę, mamy u niej szukać wszystkiego, co przypomina lekarstwa - rzekła do niego Pressia. - Uważają, że ona ukrywa się w jakimś bunkrze.

- Jeśli ludzie z Kopuły sądzą, że ona jest tutaj, to dobry znak, prawda? - powiedział Partridge.

- Musimy odnaleźć ją przed nimi - odezwał się Bradwell. - Mamy konkurencję.

- Moja matka i ja nie możemy wrócić do Kopuły. Nigdy nie będziemy mogli.

- Możemy ci pomóc - rzekła Nasza Dobra Matka. - Nie zwykłam rozmawiać ze Śmierciami, ale teraz muszę. To tylko kwestia zapłaty. Odnaleźliśmy tę dziewczynę, a jeśli chcesz wydostać się żywy ze Stopionych Ziem, by odszukać matkę, to prawdopodobnie będziesz potrzebował naszej ochrony.

Pressia popatrzyła na Bradwella. Czy to prawda, że będą potrzebowali pomocy tych matek? Skinął głową, a wtedy powiedziała:

- Nie sędę, żebyśmy mieli cokolwiek wartościowego, czym moglibyśmy wam zapłacić.

Kobieta spojrzała w dół na zgromadzoną broń.

- Gdzie to zdobyliście?

- W sklepie rzeźniczym - odpowiedział Bradwell.

- Jesteś rzeźnikiem?

- Nie. Znalazłem ten sklep niedługo po Wybuchu, kiedy byłem dzieckiem.

- Czy chcecie tę broń jako zapłatę? - spytała Pressia.

Nasza Dobra Matka spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

- Mamy wszelką broń, jakiej może potrzebować dziewczyna. - Wyciągnęła rękę. - Daj mi którąś do potrzymania.

Pressia schyliła się, podniosła jeden z noży i z ukłonem podała go jej, rękojeścią naprzód.

- Czy byłaś do końca ze swoją matką? - spytała ją Nasza Dobra Matka.

- Tak.

- Utrata zawsze jest utratą - rzekła kobieta, dotykając ostrza. - Rozumie się to albo nie.

- Więc jakiej zapłaty oczekujesz? - zapytała Pressia.

Nasza Dobra Matka pochyliła się i zwróciła się do Partridge'a:

- Obserwowałyśmy cię już od jakiegoś czasu, zanim moje kobiety wkroczyły do akcji. Zdajesz sobie sprawę, ile razy mogłeś do tej pory zostać zabity i na jak wiele różnych sposobów?

Chłopiec pokręcił głową.

- Jeśli chcesz odnaleźć swoją matkę, będziesz potrzebował naszej pomocy - mówiła dalej. - Problem w tym, czy zechcesz ponieść ofiarę dla tego celu.

Partridge popatrzył na Bradwella i Pressię.

- Sam musisz zdecydować - rzekł Bradwell łagodnym tonem.

Nasza Dobra Matka wycelowała ostrze noża w Partridge'a.

- Oto, jak ja to widzę. Jesteś tu już wystarczająco długo, prawda?

- Wystarczająco długo na co? - spytał.
- Aby przestać być Czystym.
- Nie wiem, o co ci chodzi - odpowiedział.

Pressia pomyślała o bliznach, oparzelinach, szramach, wtopieniach, a potem, spoglądając na nóż, o amputacjach.

- Czystość to ciężkie brzemie - powiedziała Nasza Dobra Matka. - To właśnie odkryłyśmy. Kiedy już nie jesteś Czystym, kiedy nie musisz już dłużej chronić swojej czystości, uwalniasz się od niej.

Partridge gwałtownie potrząsnął głową.

- To brzemie mi nie przeszkadza.

- Chciałabym, aby moja zapłata stała się zarazem darem dla ciebie. Mogę położyć kres twojej czystości. Nigdy w pełni tego nie zrozumiesz, ale mogę przynajmniej w niewielkim stopniu uczynić cię jednym z nas - zakończyła i uśmiechnęła się do niego.

Partridge wyciągnął rękę do Pressii.

- Powiedz jej, że to niepotrzebne. Możemy obmyślić inny rodzaj zapłaty. Jestem synem Ellery'ego Willuksa. To się może przydać, prawda? Czy mogę stąd dodzwonić się bezpośrednio do niego?

- Nie jesteś już w Kopule - przypomniała mu Nasza Dobra Matka.

- Nie, możemy wymyślić coś innego - rzekła do niej Pressia.

Kobieta potrząsnęła głową.

Bradwell odezwał się cichym spokojnym głosem:

- O czym właściwie mówimy?
- O czymś tylko symbolicznym - odrzekła Nasza Dobra Matka.
- Co masz na myśli? - spytał. - Palec?

Pressii zamarło serce. Żadnej więcej krwi, żadnych utrat, rzekła w duchu.
Nie!

- Mały palec - powiedziała Nasza Dobra Matka, trzymając oburącz rękojeść noża. Spojrzała na Partridge'a. - Kobiety mogą cię przytrzymać.

Pressię ogarnęła zgroza. Miała wrażenie, że w jej klatce piersiowej jakieś zwierzę drapie pazurami, chcąc się wydostać. Wyobrażała sobie, co czuje Partridge. Rzucił jej rozpaczliwe spojrzenie. Jedyne Bradwell zdawał się pojmować, że nie ma innego wyjścia.

- To podarunek - powiedział. - Zniesiesz to łatwo. Tylko mały palec.

- Nie chcę żadnego podarunku - odparł Partridge. - Jestem wdzięczny za to, co już mam. Cieszę się, że odnalazłyście Pressię. To wystarczający prezent.

Pressia chciała zaproponować Naszej Dobrej Matce, żeby amputowała coś jej, ale wiedziała, że tylko ją tym rozwścieczy. Ta kobieta nienawidzi wszystkich mężczyzn i nazywa ich Śmiercia-mi. Będzie gardzić Pressią za jakikolwiek akt poświęcenia dla nich. A potem pomyślała: Czy on jednak nie powinien zapłacić?

W końcu chodzi o jego matkę. Przybył tutaj, żeby ją odszukać, więc czego się spodziewał?

- Jeśli tego nie zrobisz, odeślą nas bez żadnej ochrony - odezwał się Bradwell. - Nigdy nie znajdziemy twojej matki, ponieważ zginiemy.

Partridge był blady i przerażony. Oddychał ciężko.

Pressia spojrzała na niego i powiedziała wprost:

- Umrzemy.

Chłopiec wpatrzył się w swoją dłoń. Potem spojrzał na Bradwella. Już naraził na niebezpieczeństwo życie jego i Pressii. Ta ofiara to najmniejsze, co mógł zrobić, i zdawał się o tym wiedzieć. Podszedł do Naszej Dobrej Matki i położył rękę na stole.

- Przytrzymaj mi ją - rzekł do Bradwella. - Tak, żebym jej nie wyrwał.

Bradwell chwycił go za przegub tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Partridge ścisnął palce razem, wystawiając tylko mały.

Kobieta przytknęła czubek noża do blatu tuż obok małego palca Partridge'a. Potem uniosła nóż i jednym szybkim ruchem cięła ostrzem dokładnie w środkowy staw palca. Rozległ się cichy trzask i Pressia jęknęła.

To stało się tak szybko, że Partridge nawet nie krzyknął. Gapił się na swoją dłoń, na płynącą krew, która utworzyła już małą kałużę, na odciętą połowę swojego małego palca. Przez moment musiał czuć dziwne odrętwienie, gdyż jego twarz była pozbawiona wyrazu. Po chwili jednak wykrzywił ją grymas, gdy napłynęła fala bólu. Chłopiec podniósł wzrok na sufit.

Nasza Dobra Matka podała Bradwellowi szmatkę i skórzaną opaskę.

- Zawiąz go mocno, a potem przyciśnij. I trzymaj w górze.

Bradwell owinął opaską palec Partridge'a. Przez chwilę trzymał go w zaciśniętej pięści, a potem przycisnął zakrwawioną szmatkę do piersi chłopca. Bukiet. Tak właśnie pomyślała o tym Pressia - czerwone róże, takie jakie widziała w jednym ze starych ilustrowanych czasopism Bradwella.

Nasza Dobra Matka podniosła ze stołu odciętą połówkę palca i trzymała ją w stulonej dłoni.

- Zabierz go z powrotem do waszego pokoju - zwróciła się do Bradwella.

- Kobiety czekają za drzwiami, żeby was odprowadzić.

- Jest jeszcze jedna kwestia - rzekł.

- Co takiego? - spytała.

- Czip w szyi Pressii. On działa.

- Nie, nie działa - zaprzeczyła dziewczyna.

- Owszem, działa - powtórzył stanowczo.

- Żaden z naszych czipów nie działa. Kto miałby się interesować nami, błąkającymi się tu bez celu?

- Z jakiegoś powodu zagnano tutaj was oboje, ciebie i Partridge'a. Teraz jest to dla mnie oczywiste - rzekł Bradwell do Pressii, a potem odwrócił się do Naszej Dobrej Matki i spytał: - Czy są tu jacyś lekarze albo pielęgniarki? Ktoś z wykształceniem medycznym?

Kobieta obeszła Pressię i stanęła za jej plecami. Ujęła garść włosów dziewczyny i podniosła je, odsłaniając szyję. Dotknęła starej białawej gruzłowatej blizny na karku. Pressia poczuła zimny dreszcz przebiegający w dół

kręgosłupa. Nie chciała, żeby ktokolwiek rozcinał jej szyję. Nasza Dobra Matka powiedziała rzeczowym tonem:

- Będziesz potrzebował noża, alkoholu i czystych szmatek. Polecę, by ci to wszystko dostarczono. Zrobisz to sam, Śmierci.

- Nie - rzekła Pressia do Bradwella. - Powiedz jej, że odmawiasz.

Bradwell popatrzył na swoje dłonie i potrząsnął głową.

- Ten czip jest w jej szyi. To niebezpieczny zabieg.

- Jesteś dobrym rzeźnikiem - powiedziała Nasza Dobra Matka.

- Właściwie wcale nie jestem rzeźnikiem.

- Dasz sobie radę.

- Dlaczego jesteś tego taka pewna?

- Ponieważ jeśli popełnisz błąd, zabiję cię. I zrobię to z przyjemnością.

To nie pocieszyło Pressii. Bradwell wyglądał teraz na jeszcze bardziej roztrzęsionego. Potarł podwójną bliznę na policzku.

- No dalej, bierz się do roboty - przynagliła go Nasza Dobra Matka.

Kobieta ze szczotką-dzidą zaprowadziła ich do drzwi. Pod Part-ridge'em trochę ugiwały się nogi, a Pressia też nie szła zbyt pewnie. Kobieta otworzyła drzwi. Pressia, zanim wyszła, obejrzała się na Naszą Dobrą Matkę, która tuliła jedną swoją rękę w drugiej i z przechyloną na bok głową wpatrywała się w swój lewy biceps. Dziewczyna podążyła za jej spojrzeniem i spostrzegła, że cienki materiał rękawa jej bluzki miarowo zapada się i wzdyma. Tylko tyle zostało z jej dziecka - sine wargi i ciemny otwór ust niemowlęcia, wtopione w jej ramię, nadal żywe i oddychające.

PRESSIA BAJKA

ZAPROWADZONO ICH DO MAŁEGO pokoiku z dwoma siennikami na podłodze. Strażniczka zamknęła za nimi drzwi na klucz. Partridge osunął się po ścianie na posłanie. Okaleczoną dłoń przyciskał do piersi.

Pressia nie mogła usiąść. W głowie jej dzwoniło. Ma pozwolić wyjąć

sobie czip komuś, kto nie jest nawet rzeźnikiem?!

- Nie mogę uwierzyć, że myślisz, iż zdołasz usunąć czip z mojej szyi - powiedziała do Bradwella. - Nie uda ci się. Nie będziesz nawet wiedział, jak się do tego zabrać.

- Oni przez cały czas wiedzą, gdzie jesteś. Czy właśnie tego chcesz? Tak bardzo uwielbiasz Kopułę, że wcale bym się nie zdziwił, gdybyś chciała zostać marionetką jej mieszkańców.

- Oszalałeś? Nie jestem ich marionetką. Masz paranoję!

- Oszalałem na tyle, by cię szukać.

- Nie prosiłam cię o jakiegokolwiek przysługi.

- Ale poprosił mnie o to twój dziadek, a ja teraz spełniłem jego prośbę.

Pressia miała wrażenie, jakby nagle uszło z niej powietrze. Czy tylko z tego powodu Bradwell jej szukał? Ponieważ był winien przysługę jej dziadkowi za zszycie mu policzka?

- Wobec tego uznaj, że już spłaciłeś swój dług. Nigdy nie chciałam być dla nikogo ciężarem.

- Nie to miałem na myśli - zaproponował Bradwell.

- Cicho! - zawołał Partridge. - Zamknijcie się!

Siedział na sienniku, blady i roztrzęsiony.

- Przykro mi z powodu twojego palca - rzekła do niego Pressia.

- Każde z nas coś poświęciło - powiedział Bradwell. - Teraz przyszła kolej na niego.

- Jakie to miłe - rzuciła zjadliwie Pressia. W tej chwili nienawidziła Bradwella. Odnalazł ją, ponieważ spłacał dług wdzięczności. Wyłącznie dlatego. Czy musiał oznajmić jej to tak obcesowo? - Naprawdę bardzo nam współczujesz.

- Dziwnie widzieć cię w mundurze OPR - powiedział. - Spójrz na te opaski na ramieniu. Jesteś już oficerem? To dopiero są mili ludzie. Naprawdę pełni współczucia!

- Urowadzono mnie, a potem zmuszono do noszenia tego munduru - wyjaśniła. - Myślisz, że mi się to podoba?

Nie zabrzmiało to przekonująco, ponieważ Pressii w istocie podobał się ten mundur i Bradwell przypuszczalnie o tym wiedział.

- Przestańcie - odezwał się Partridge. - Bradwell ma rację, Pressio. Oni zapędzili nas tutaj, żebyśmy siebie odnaleźli. Kto wie, od jak dawna wiedzą, gdzie jesteście? Pytanie tylko, dlaczego wybrali akurat ciebie.

Pressia usiadła obok niego.

- Nie mam pojęcia - powiedziała. - To bez sensu. Nie rozumiem tego.

- W tym, co mówiła Nasza Dobra Matka, zaciekała mnie jedna rzecz - rzekł Bradwell. Ukucnął i przyjrzał się Partridge'owi. - Ty coś ukrywasz. Nie jesteś szczery.

- Co ukrywam? - rzucił Partridge. - Powiedziałem wam wszystko. A przed chwilą zgodziłem się, żeby odcięto mi palec. Może byś tak się ode mnie odczepił?

Pressia przypomniała sobie o naszyjniku z wisiorkiem. Sprawdziła kieszenie i w jednej z nich namacała twarde kontur łabędzia, krawędzie jego skrzydeł. Czy zanim zemdlą, zdążyła go tam schować? A może ktoś znalazł go w jej zaciśniętej pięści i włożył jej do kieszeni? Poczowała ulgę, że wciąż ma ten wisiorek. Wyjęła go i położyła na otwartej dłoni.

- Czy wy dwaj zostawiliście to dla mnie? Jako znak?

Partridge przytaknął skinieniem głowy.

- Znalazłaś go.

Przypomniała sobie, jak grała z Partridge'em w „Pamiętam”, wymieniając się z nim wspomnieniami. Opowiedziała mu o urodzinowym kucyku, a on opowiedział jej o bajce na dobranoc o złym królu i łabędziej żonie. Łabędzia żona - jak ten wisiorek z łabędziem z niebieskim okiem. Pressia popatrzyła na Bradwella.

- Może nie chodzi o to, że on coś zataja. Tylko po prostu nie wie, co jest

ważne.

- A co jest ważne? - spytał Bradwell. - Ogromnie chciałbym się tego dowiedzieć.

- O co chodzi z tą łabędzią żoną? - rzekła do Partridge'a. - Opowiedz mi tę historię.

Partridge nie opowiadał nikomu historii o łabędziej żonie, od kiedy po Wybuchu spróbował raz opowiedzieć ją swemu bratu Sedge'owi. Wtedy wciąż pamiętał śmiech matki, lecz z czasem atmosfera w Kopule stała się tak jałowa i monotonna, że miał wrażenie, jakby zapachy, smaki, a nawet wspomnienia pochłonęła pustka w jego głowie. Wszystkie ślady po matce, Aribelli Cording Willux, powoli znikaly. Wiedział to. Już zaledwie tydzień po Wybuchu Partridge zaczął zapominać dźwięk jej głosu. Teraz był pewien, że gdyby tylko mógł go usłyszeć - choćby jedną nutę - wszystko natychmiast by do niego powróciło.

- Opowiem wam tę historię - rzekł i zaczął snuć opowieść, którą przez lata powtarzał tylko sobie: - Łabędzia żona była wcześniej łabędzicą, która uratowała młodego mężczyznę od utonięcia, a on skradł jej skrzydła. Był młodym księciem. Złym księciem.

Zmusił ją, żeby go poślubiła. A potem został złym królem. Sądził, że jest dobry, ale się mylił. Był też dobry król. Zył w innej krainie. Łabędzia żona nie wiedziała jeszcze o jego istnieniu. Dała złemu królowi dwóch synów. Jeden był taki jak ojciec: silny i ambitny. Drugi był podobny do niej.

Partridge poczuł niepokój i chociaż był jeszcze osłabiony, wstał i zaczął krążyć po pomieszczeniu, ledwie świadomy tego, co robi. Dotykał zdrową ręką różnych rzeczy - uchwytu tacek, rowka i pęknięć w cementowej ścianie. Potem przystanął i poprosił Pressię o naszyjnik. Trzymał go w dłoni, tak jak prosiła go o to matka, gdy opowiadała mu tę historię. Wyczuwał palcami ostre krawędzie łabędzich skrzydeł. Mówił dalej:

- Zły król włożył skrzydła łabędziej żony do wiadra i spuścił je do

ciemnej, starej wyschniętej studni. A synek, który był podobny do matki, usłyszał kiedyś szelest w głębi tej studni. Pewnej nocy zszedł na dno i znalazł skrzydła matki. Nałożyła je, zabrała tego chłopca, którego mogła - tego podobnego do niej, który się jej nie opierał - i odleciała.

Wtedy Partridge znów przerwał. Kręciło mu się w głowie.

- Co się stało? - spytała Pressia.

- Mów dalej - ponaglił go Bradwell.

- On potrzebuje czasu, żeby sobie przypomnieć - rzekła.

Nie chodziło jednak o to, że zawiodła go pamięć. Nie. Doskonale pamiętał tę historię. Zamilkł, ponieważ niemal poczuł obecność matki. Przekazanie tej opowieści przywołało cząstkę jej. Partridge przerwał, aby móc wchłonąć tę cząstkę - a potem się ulotniła. W takich chwilach potrafił sobie przypomnieć, jak to jest być małym chłopcem. Pamiętał swoje chłopięce ramiona i żwawe nogi. Pamiętał supełki niebieskiego koca, pod którym siedzieli oboje w domku przy plaży, dotyk wisiorka z łabędziem w zaciśniętej pięści, niczym dużego ostrego zęba.

- Łabędzia żona stała się skrzydlatym posłańcem. Zabrała ze sobą jednego z synków do krainy dobrego króla. Opowiedziała temu dobremu królowi o snutych przez złego króla planach podbicia jego ziem i o tym, iż zamierza on spuścić z górskich szczytów ognistą kulę, która zniszczy wszystko na swojej drodze. Wszyscy poddani dobrego króla zginą w owej kuli ognia, a ta nowa ziemia - oczyszczona przez ogień - przypadnie złemu królowi.

- Dobry król zakochał się w łabędziej żonie - ciągnął Partridge. - Nie zmuszał jej, by pozbyła się swych skrzydeł. Tutaj, przy nim, mogła być zarówno dziewczyną, jak i łabędzicą. I dlatego go pokochała. Obdarowała go córką - równie piękną jak ona sama. A on wybudował wielki staw, aby ugasił ognistą kulę, kiedy będzie się staczała ze szczytu góry. Ale ponieważ dobrego króla bez reszty pochłaniała miłość do łabędziej żony, nie zdążył jeszcze napełnić stawu wodą, gdy nadciągnął ogień.

Partridge źle się poczuł. Serce tłukło mu się w piersi i nie mógł złapać tchu, lecz mimo to starał się spokojnie mówić dalej. Rozumiał, że ta historia ma jakiś ukryty sens. Dlaczego nie opowiedział im o plaży i pigułkach? Przecież wiedział, co to wszystko znaczy, prawda? Matka miała zwyczaj zadawać jemu i bratu rymowane zagadki, zawierające wskazówki, gdzie znajdą ukryte przez nią ich urodzinowe prezenty. Ten zwyczaj zapoczątkował ojciec, kiedy jeszcze oboje spotykali się na randkach i byli w sobie zakochani. Rodzina lubiła zagadki. Co oznacza ta?

- Gdy z gór stoczył się ogień, łabędzia żona postanowiła zapewnić bezpieczeństwo obojgu swoim dzieciom. Zniosła je do krainy złego króla. Córeczkę - której nikt tutaj nie znał - powierzyła na wychowanie pewnej bezpłodnej kobiecie. A synka włożyła z powrotem do jego dziecięcego łóżeczka, gdyż wiedziała, że zawsze będzie traktowany jak księżę. I wtedy nadeszła pora, by odleciała i związała się z dobrym królem - ponieważ zły król by ją zabił. Gdy powoli i niechętnie odchodziła od synka, wyciągnął rączki ubrudzone sadzą od ognia i złapał ją za nogi. Nie chciał jej puścić, dopóki nie przyrzeknie, że nie odfrunie. „Ukryj się pod ziemią - błagał ją - abyś mogła zawsze mnie strzec”. Zgodziła się. Powiedziała: „Zostawię dla ciebie ślady, żebyś mógł mnie odnaleźć. Wiele, wiele śladów. Wszystkie będą prowadzić do mnie. Podążysz za nimi, kiedy dorośniesz”. Zrzuciła skrzydła i wpełzła do wnętrza ziemi. I właśnie z powodu tych powalanych sadzą dłoni chłopca wszystkie łabędzie mają czarne nogi.

Jego matka była święta.

Lubił tę wersję wydarzeń.

Matka umarła jak święta - tyle tylko że teraz wiedział już, iż w rzeczywistości przeżyła. Dowiedział się tego ze sposobu, w jaki ojciec o niej wspominał: „Twoja matka zawsze sprawia kłopo-ty”. I ze słów tej starej kobiety, którą zabito później podczas Szału Śmierci: „On jej złamał serce”.

Łabędź z wisiora nie jest tylko łabędziem.

To zapieczetowany medalion z napisem: Mój feniks.

Powtórzył:

- Włożyła synka z powrotem do jego dziecięcego łóżeczka, gdyż wiedziała, że zawsze będzie traktowany jak księżę.

Czym były te małe niebieskie pigułki? Dlaczego zmusiła go, żeby je łykał, mimo iż był pewien, że poczuje się po nich jeszcze gorzej? Pamiętał, jak krzyczał: „Nie chcę już więcej żadnych pigułek! Proszę, nie!”. Ona jednak nie ustąpiła. Oboje musieli zażywać je co trzy godziny; budziła go nawet w środku nocy. Dlaczego miałyby dawać mu pigułki, które uczynią go odpornym na kodowanie? Czy chciała go ocalić? Czy wiedziała, że pewnego dnia będzie miał szansę stać się udoskonaloną wersją siebie - częścią supergatunku - i chciała uczynić go do tego niezdatnym? W jaki sposób te pigułki zapewniły mu odporność na modyfikacje w jego kodowaniu zachowań? Dlaczego tylko na tym polegało ich działanie? Jeśli nie była świętą, to kim? Zdrajczynią?

- Właśnie dlatego łabędzia żona ma czarne stopy? - powtórzył, lecz tym razem zabrzmiało to jak pytanie.

Pressia nie była pewna, czy uchwyciła sens usłyszanej opowieści. To tylko bajka, nic więcej. Czy powinna doszukiwać się w niej czegoś więcej? Nie. Ta historia jest bez znaczenia.

Partridge popatrzył na Bradwella.

- Wiesz coś o mojej matce - domyślił się.

- Aribella Cording Willux - rzekł Bradwell, jakby trochę zdumiony samym brzmieniem tego nazwiska.

- Po prostu to powiedz! - krzyknął Partridge.

- Co mam powiedzieć? - spytał Bradwell i Pressia zorientowała się, że Partridge ma rację.

To nie on, lecz Bradwell coś zataja, jak ujęłaby to Nasza Dobra Matka.

- Ty coś wiesz - rzekła do Bradwella. - Zechcesz nam to wyjawić? Czy może mamy cię błagać?

Bradwell pokręcił głową.

- Istnieje japońska baśń o łąbiedzicy z czarnymi nogami. Wychowywał mnie specjalista od tych kwestii. Ale ta stara bajka jest inna. Nie ma w niej żadnego drugiego króla ani trzeciego dziecka - pięknej córeczki. Nie ma żadnych ognistych kul staczających się ze szczytu góry. A na końcu łąbiedzica odlatuje na swoich skrzydłach, a nie chowa się pod ziemią.

- I co z tego? - spytał Partridge.

- To, że to nie jest tylko opowiadanie na dobranoc. Twoja matka przekazywała ci w ten sposób zakodowaną wiadomość. Powinieneś ją rozszyfrować.

Pressia poczuła mrowienie skóry pod głową lalki. Potarła ją zdrową ręką, by ukoić nerwy. Pragnęła się dowiedzieć, co oznacza ta historia, a zarazem obawiała się tego. Dlaczego? Nie była pewna.

- Nie rozumiem, o co w tym chodzi - odrzekł Partridge.

Pressia jednak wyczuwała w tej historii coś głębokiego. To była opowieść o rozstaniu i utracie.

- Ależ rozumiesz - powiedział Bradwell beznamiętnym tonem.

Pressia przypomniała sobie, co Partridge mówił jej kiedyś o tej bajce.

- Uważałeś, że to twój ojciec jest tym złym królem, który ukradł jej skrzydła - sam tak powiedziałaś.

Głowa jej ciążyła, a serce waliło jak szalone. Zdawała sobie sprawę, że to jeszcze nie wszystko, jedynie pierwsza warstwa tej opowieści.

- Sądziłem, że matka lubiła tę historię z powodów osobistych - rzekł Partridge. - Relacje między moimi rodzicami nie były dobre.

- I co? - rzucił Bradwell.

- Ty mi to powiedz - odrzekł Partridge. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś już to wszystko rozgryzł, jak zwykle.

- Miała dwóch synów - powiedział szybko Bradwell. - Potem zabrała cię do Japonii, kiedy byłeś jeszcze niemowlęciem. Tam zakochała się w dobrym

królu i miała z nim dziecko. Kto był tym dobrym królem? Tego nie wiem. Ale był potężny i miał tajne informacje.

Pressia zerknęła na Partridge'a. Chłopiec był sztywny i spięty - ze strachu czy z gniewu? Bradwell zaś wydawał się podekscytowany - a może nawet zaniepokojony - tym, co przed chwilą usłyszał. Spojrzał na Pressię, potem na Partridge'a, a potem znów na nią. Powinna wiedzieć, o czym on myśli. Ale nie wiedziała. Dlaczego jest taki rozgorączkowany?

- No dalej, Pressio - rzekł Bradwell niemal błagalnie. - Nie jesteś już tylko małą dziewczynką, wstydzącą się głowy lalki. Ty już rozumiesz. Już wiesz.

- Małą dziewczynką? Myślałam, że należę do określonego rodzaju ludzi czy może raczej jestem długiem, który musiałeś spłacić. - Dotknęła lalki. - Nie potrzebuję, żebyś mi mówił, kim jestem.

Wypowiadając te słowa, pomyślała, że może jednak pod pewnymi względami ciągle jest małą dziewczynką. Zaledwie kilka dni temu zamierzała spędzić całe życie w szafce na zapleczu zakładu fryzjerskiego. Chciała się ukryć, żyć w świecie wycinków z ilustrowanych czasopism i marzyć o czasach Przedtem i Kopule.

- Nigdy nie należałaś do określonego rodzaju ludzi ani nie byłaś długiem. Wysłuchaj mnie.

- Lepiej trzymaj się tej historii - rzekła.

- Tak, powiedz nam, co naprawdę o tym sądzisz - poparł ją Partridge.

- Dobrze - zgodził się Bradwell. - Oto moja hipoteza. Mężczyzna, z którym twoja matka miała dziecko, był wtajemniczony we wszystko, czym zajmowali się Japończycy, we wszystkie zagadnienia, które usiłowali rozwiązać. Odporność na promieniowanie. Twoja matka dostarczała mu informacji. W pełni akceptuję jej decyzję. Przypuszczam, iż niektórzy z tych Japończyków byli naprawdę uczciwymi ludźmi. Moi rodzice również stali po tej samej stronie barykady. - Zamilkł na moment. - Ledwie pamiętam twarze rodziców - wyznał. Spojrzał na Partridge'a. - Dlaczego nie przeszedłeś dalszego kodowania?

Dlaczego nie byłeś typowym okazem?

- Próbowano poddawać mnie dalszemu kodowaniu. Okazałem się odporny. Nie przyjmowałem go - oświadczył Partridge matowym tonem.

- Jak twój tatuś na to zareagował?

- Nie nazywaj go tak!

- Założę się, że wpadł w szal.

- Posłuchaj, nienawidzę mojego ojca najbardziej na świecie. Jestem jego synem i mogę nienawidzić go tak jak nikt inny.

W pokoju zapadła cisza. Potem Partridge podjął:

- Nienawidzę protekcjonalności mojego ojca i jego chłodnej rezerwy. Nienawidzę tego, że nigdy nie widziałem, by śmiał się głośno albo płakał. Nienawidzę jego hipokryzji. Nienawidzę tego, że jego głowa stale lekko się trzęsie, jakby nieustannie mnie ganił. Nienawidzę sposobu, w jaki na mnie patrzy, jakbym był bezwartościowym śmieciem. Pytasz, czy był uszczęśliwiony, że mój organizm odrzuca kodowanie? Nie, nie był.

- Ponieważ? - orzekł Bradwell.

- Ponieważ uważał, że moja matka ma z tym coś wspólnego.

- Nie doceniał jej - powiedział Bradwell. - Myślę, że wiedziała wszystko o Operacji Feniks - podobnie jak człowiek, który dał jej ten wisiołek. Ów człowiek pieszczotliwie nazwał twoją matkę Feniksem, być może po to, aby choć w części odebrać tej nazwie aurę grozy. Aribella Willux musiała wiedzieć, co planują twój ojciec i jego ludzie - masowe zniszczenia, przetrwanie Kopyły, a w końcu, gdy ziemia już wystarczająco się zregeneruje, ujawnienie wyhodowanych przez niego supergatunków. I może powiadomiła drugą stronę, co on knuje. Łabędzia żona stawała się skrzydlatym posłańcem, prawda? Próbowali powstrzymać realizację tego planu, ocalić choć trochę ludzi. W pewnym momencie pojęła, że zabraknie im czasu... Nie sądzę, by Willuksa obchodziło, czy przeżyła, czy nie - przecież raz już zostawił ją na pewną śmierć. Czy żałuje, że jej nie zabił? Czy chodzi mu wyłącznie o zemstę? Czy postanowił posłużyć

się swym jedynym synem, by się upewnić, że jego żona nie żyje? A może to, iż przetrwała, oznacza, że ona coś wie, ma jakąś informację, na której mu zależy.

- Ty go nie znasz - zaproponował Partridge, ale tak cicho, że zabrzmiało to jak kapitulacja.

Bradwell wbił wzrok w podłogę i potrząsnął głową.

- Spójrz, co nam tutaj zrobił. To my możemy go nienawidzić tak, jak ty nie potrafisz.

Pressia popatrzyła na pięść z głową lalki - przypomnienie o dzieciństwie, którego nigdy naprawdę nie miała.

- Co to ma wspólnego ze mną? - spytała.

Nie potrafiła jasno myśleć. W głowie jej dudniło. Zdawała sobie sprawę, że jej życie lada moment się zmieni, ale nie wiedziała jak. Gapiała się na plastikowe frędzle rzęs lalki, na mały otwór jej ust. Oblała się rumieńcem. Każda z otaczających ją osób coś wie, tylko nie chce tego powiedzieć. Czyż ona sama już się tego nie dowiedziała? Wszystko było tutaj, w tej opowieści na dobranoc, ale nie potrafiła tego dostrzec.

- Dlaczego OPR i Kopuła chciały, żebym to ja odnalazła Partridge'a? Skąd w ogóle wiedzieli o moim istnieniu?

Partridge także wpatrzył się w podłogę. Czy on także już się w tym połapał? Być może jest bystrzejszy, niż sądził Bradwell.

- Ty jesteś tą małą dziewczynką z bajki - powiedział do niej Bradwell. - Ty jesteś dzieckiem dobrego króla.

Pressia spojrzała przenikliwie na Partridge'a.

- Ty i Partridge... - szepnął Bradwell.

- Jesteś moim przyrodnim bratem? - spytała Partridge'a. - Moja matka i twoja matka...

- To ta sama osoba - dokończył.

Pressia słyszała teraz tylko bicie swego serca. Jej matka to łabędzia żona. I być może żyje.

PRESSIA CZIP

PRESSIA POTRAFIŁA TERAZ MYŚLEĆ wyłącznie o tym, co być może nigdy nie było prawdziwe - o całym swoim dzieciństwie zmyślonym przez jej dziadka. Czy on w ogóle był jej dziadkiem? Olbrzymia mysz w białych rękawiczkach w Disneylandzie, kucyk na jej przyjęciu urodzinowym, jazda w wielkiej filizance, złota rybka na włoskim święcie, kościelny ślub rodziców i przyjęcie weselne pod białym namiotem. Czy cokolwiek z tego było prawdą?

Jednak pamiętała tę rybkę. To nie była jedna z historyjek, które dziadek wtłoczył w jej pamięć. Nie. Złota rybka w plastikowej torebce, wygrana na włoskim święcie, naprawdę istniała. Istniały też akwarium, frędzel w notesiku i perkocząca rura kaloryfera pod stołem. Ojciec naprawdę otulił ją płaszczem, naprawdę siedziała mu na ramionach i nurkowała pod gałęziami drzewa obsypanymi kwitnącym kwieciem. Wiedziała, że to był jej ojciec. Ale czy ta pachnąca słodko kobieta, której włosy czesała szczotką, to jej matka? A może jej matką była ta, która śpiewała w przenośnym magnetofonie piosenkę o dziewczynie na werandzie i chłopcu, który chciał, żeby z nim uciekła? Czy to jest jej matka? Czy właśnie dlatego to nagrała, że nie mogła być przy córce? Dlatego że musiała wrócić do swojej oficjalnej rodziny i prawowitego syna? Ktoś musiał sumiennie odtwarzać Pressii tę piosenkę, nawet gdy już się nią znudziła. Jakaś „bezpłodna kobieta”, jak nazwał ją Partridge w bajce o łabędziej żonie.

Te rzeczy nie były zmyślane. To działo się naprawdę. W jej głowie wciąż rozbrzmiewa piosenka o Ziemi Obiecanej, zawodzącej gitarze i o tym, że chłopiec chce potajemnie wywieźć dziewczynę swym samochodem.

Rozległ się zgrzyt klucza w zamku, drzwi się otworzyły i weszła ta sama kobieta ze szczotką-dzidą. Przyniosła alkohol w wielkiej butelce, stertę starannie złożonych gałganków, bandaż, inną skórzaną opaskę, podobną do tej użytej do zatamowania krwotoku z kikuta małego palca Partridge'a, i jeszcze jakiś

przedmiot zawinięty w szmatkę - prawdopodobnie nóż. Bradwell odebrał od niej wszystkie te rzeczy i kobieta wyszła, ponownie ze szczękiem zamykając drzwi na klucz. Pressia na moment zamknęła oczy, usiłując przygotować się na to, co zaraz nastąpi.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zapytał ją Bradwell.

- Wolałabym, żeby to zrobił ktoś inny. Nie chcę już od ciebie więcej żadnych przysług.

- Pressio, nie szukałem cię z powodu twojego dziadka. Tak mi się tylko wyrwało, nie wiem dlaczego. Ale to nie wszystko...

- Miejmy to już za sobą - przerwała mu.

Nie miała teraz ochoty wysłuchiwać kolejnych historyjek, a zwłaszcza prób usprawiedliwień Bradwella.

Położyła się na podłodze na brzuchu, podkładając sobie pod głowę kurtkę OPR. Jedną z kieszeni nadal wypychał głuchy dzwonek, który zabrała z zakładu fryzjerskiego. Całkiem o nim zapomniała i teraz ucieszyła się, że wciąż go ma - przypomnienie tego, jak daleko zawędrowała. Wetknęła pod policzek głowę lalki, zamknęła oczy i poczuła zapach podłogi: ziemia, przypalony kurz i nikłe ślady oleju. Bradwell odgarnął jej włosy na jedną stronę, odsłaniając kark. Dotyk jego palców ją zaskoczył - był taki delikatny, niemal jak muśnięcie piórkiem.

Bradwell wciąż mówił:

- Nie martw się. Będę ostrożny.

- Przestań gadać - rzuciła. - Po prostu to zrób.

- Chryste, zamierzasz użyć tego? - krzyknął Partridge i Pressia wyobraziła sobie wszystkie rzeźnicze noże Bradwella. - Czy już zdezynfekowałeś go alkoholem? - zapytał i westchnął. - Musi być idealnie czysty!

Czy właśnie tak zachowuj e się starszy brat? - pomyślała Pressia. - Kręci się w pobliżu i jest nadmiernie opiekuńczy?

- Nie zasłaniaj mi światła - rzekł do niego Bradwell.

- Wierz mi, wcale nie zamierzam się przyglądać.

Usłyszała, że Partridge odszedł pod ścianę, lecz ponieważ pokój był mały, nadal słyszała w pobliżu szuranie jego butów. Przypuszczała, że on też rozmyśla o tym wszystkim. To, co usłyszał, zmieniło przecież wizerunek jego matki. Czy święta może mieć romans i nieślubne dziecko z innym mężczyzną? Pressia zastanawiała się, jak on sobie z tym poradzi. W tej chwili łatwiej jej było myśleć o nim niż o sobie, ale te rozważania wiązały się też z jej własną sytuacją. Dlaczego dziadek nie powiedział jej prawdy? Dlaczego przez te wszystkie lata ją okłamywał? Zadawała sobie te pytania, jednak w gruncie rzeczy знаła odpowiedź. Prawdopodobnie znalazł ją jako małą dziewczynkę i zaopiekował się nią.

Jeżeli ona i Partridge mają tę samą matkę, a chłopiec jest biały, to matka też musi być biała. Jej matka, która pojechała do Japonii i została zdrajczynią, szpiegiem sprzedającym tajne informacje? Jej matka jest kobietą ze zdjęcia na plaży i zarazem tą z ekranu podręcznego komputerka, śpiewającą jej kołysankę. Czy nagrała ją, ponieważ wiedziała, że porzuci swoją córkę? Zdjęcie przedstawia jej matkę z włosami rozwiewanymi przez wiatr, twarzą spaloną słońcem i uśmiechem, który wydaje się zarazem szczęśliwy i smutny. Kim zatem jest kobieta, którą Pressia zapamiętała jako swoją matkę - młoda piękna Japonka, która zginęła na lotnisku?

Jej ojciec, ten dobry król z bajki, musiał więc być Japończykiem. Wobec tego kim jest młody mężczyzna, którego uważała za swojego ojca? Mężczyzna z jasnymi włosami, który stawiał stopy

« do środka, mimo to grał w liceum w futbol na wytyczonych liniami boiskach - jak opisywał go dziadek. Czy to był jego utracony ukochany syn?

Postanowiła, że musi opowiedzieć o tym wszystkim swojej prawdziwej matce, jeśli kiedykolwiek ją spotka... jeśli ona naprawdę żyje. Opowiedzieć jej całe swoje życie aż do chwili, gdy znów ją ujrzała. To pragnienie było w niej zawsze i nie zmieniło się, tylko że teraz miała nadzieję - realną nadzieję - że być

może pewnego dnia naprawdę spotka się ze swoją matką.

Ale czy może wierzyć, że jej matka żyje? Dziadek jest jedynym człowiekiem na świecie, któremu kiedykolwiek naprawdę ufała, a jednak przez tyle lat ją okłamywał. Jeśli nie może ufać jemu, to komu?

Bradwell przemył kark Pressii alkoholem. Czy to był spirytus do dezynfekcji, czy wódka? Płyn był zimny i przypawił ją o gęsią skórkę.

- Czipy to kiepski pomysł - rzekł Bradwell. - Moi rodzice wyznawali teorie spiskowe, dlatego nigdy się nie zgodzili, żeby wszczepiono mi czipa. Nie chcieli, aby megarząd znał zawsze miejsce pobytu każdego człowieka. To nadmiar władzy. Przez taki czip stajesz się łatwym celem.

- Zaczekaj - szepnęła. Nie była jeszcze gotowa.

Bradwell usiadł wygodniej. Pressia podniosła się na klęczki.

- Co się stało? - spytał.

- Partridge - powiedziała cicho.

- Tak? - szepnął chłopiec.

Nie była pewna, o co chce go zapytać. W głowie kłębiło się jej mnóstwo pytań.

- O co chodzi? - zapytał Partridge. - Odpowiem na każde twoje pytanie. Każde.

Jego głos wydał się Pressii bezcielesny, jakby chłopiec był tylko nierealnym snem albo jej wspomnieniem. Partridge zachował wspomnienia o swojej matce. Czy ona sama była zbyt młoda, by cokolwiek zapamiętać? Przypomniała sobie, że jej dziadek mawiał:

„Wspomnienia są jak woda”. Obecnie wydawało się to prawdziwsze niż kiedykolwiek. Albo może Pressia niczego nie pamięta, ponieważ matka zbyt krótko istniała w jej życiu? Czyjej matka była tą łabędzią żoną, która oddała ją kobiecie niemogącej mieć własnych dzieci?

- Czy mnie pamiętasz? - zapytała Partridge'a. - Czy w dzieciństwie kiedykolwiek się spotkaliśmy?

Przez chwilę Partridge nie odpowiadał. Może też pograżył się we wspomnieniach albo rozważał, czy ma wymyślić na jej użytek jakąś bajeczkę, tak jak zrobił to jej dziadek. Czy nie chciał jej przypomnieć utraconego dzieciństwa, jak powinien uczynić brat? Ona by to dla niego zrobiła. Wreszcie odrzekł:

- Nie, nie pamiętam cię. - Lecz zaraz dodał: - Ale to o niczym nie świadczy. Oboje byliśmy mali.

- Czy pamiętasz swoją matkę w ciąży?

Potrząsnął głową i przegarnął dłonią włosy.

- Nie.

Pressia chciała zadać bratu mnóstwo pytań. Jak pachniała moja matka? Jak brzmiał jej głos? Czy jestem do niej podobna? Czy się od niej różnię? Czy ona by mnie pokochała? Czy w ogóle kiedykolwiek mnie kochała, czy po prostu się mnie pozbyła?

- Jak mam na imię? - wyszeptala. - Nie nazywam się Pressia. Zostałam osierocona. Dziadek prawdopodobnie w ogóle mnie nie znał. Nosi nazwisko Belze. Ale to nie moje nazwisko. Willux też nie.

- Nie wiem, jak masz na imię - przyznał Partridge.

- W ogóle nie mam imienia.

Odezwał się Bradwell:

- Dano ci imię. Ktoś je zna. Dowiemy się, jak ono brzmi.

- Sedge - powiedział Partridge i jego oczy napełniły się łzami. - Szkoda, że go nie poznałaś. Polubiłby cię.

Sedge był jego zmarłym bratem. Jej zmarłym przyrodnim bratem. Świat jest szalony - daje i zaraz odbiera.

- Przykro mi - rzekła.

- W porządku - powiedział Partridge.

Pressia właściwie nie mogła tęsknić za Sedge'em, jednak zatęskniła. Miała jeszcze jednego brata, jeszcze jedną więź ze światem. I ta więź zniknęła.

Odchrząknęła. Nie chciała się rozplakać. Teraz musi być twarda.

- Dlaczego nie wszczepiono ci czipa, Partridge? - zapytała. - Czy cię nie nadzorują?

- Bradwell miał rację, mówiąc o łatwym celu. Mój ojciec powiedział, że żaden jego syn nigdy nie będzie łatwym celem.

- Umieścili w kartce urodzinowej proste urządzenie namierzające - wyjaśnił Bradwell. - Może były też inne. Spaliliśmy jego rzeczy.

- Ale to urządzenie przyczepiliście do jednego ze szczuropo-dobnych stworzeń - rzekła Pressia.

- Jak się o tym dowiedziałaś?

- Domyśliłam się - odrzekła krótko. Chciała już mieć ten ryzykowny zabieg za sobą. Nie ma sensu go odwlekać. Znow położyła się na brzuchu. - Jestem gotowa.

Bradwell pochylił się nad nią. Czy chciał jej coś szepnąć? Przewróciła się na bok i oparła policzek na dłoni. Lecz on nic nie powiedział, tylko odgarnął jej włosy za ucho. Ten gest był lekki jak muśnięcie. Nie przypuszczała, że wielkie dłonie Bradwella potrafią być takie delikatne. Wciąż jeszcze był chłopcem, który od dzieciństwa musiał radzić sobie sam - twardym, silnym i gniewnym, ale także czułym. I nerwowym, co poznawała po szeleście ptasich skrzydeł na jego plecach.

- Nie chcę tego robić, Pressio - wyznał. - Żałuję, że muszę.

- W porządku - odrzekła szeptem. - Usuń ten czip. - Po jej policzku spłynęła łza. - Usuń go.

Bradwell znow przemył jej kark alkoholem, a potem poczuła na skórze dotyk jego palców. Ręce mu drżały. Po chwili widocznie zdołał się opanować, gdyż ujął ją za szyję i znieruchomiał.

- Partridge, będę potrzebował twojej pomocy - powiedział, a gdy chłopiec podszedł do niego, polecił: - Przytrzymaj tutaj. Mocno.

Przez moment Partridge się wahał, a potem poczuła, że przytrzymał ręką

jej głowę.

- Mocniej - rzucił Bradwell. - Musisz ją unieruchomić.

Dłonie Partridge'a objęły głowę dziewczyny jak imadło. Bradwell przycisnął kolanem jej plecy. Potem znów poczuła jego dłonie. Tym razem mocno wcisnął kciuk i pozostałe palce w jej kark, a następnie nożem ostrym jak skalpel przeciął w tym miejscu ciało.

Pressia wrzasnęła głosem, jakiego nigdy dotąd u siebie nie słyszała. Miała wrażenie, że ból jest zwierzęciem, które kąsa ją od wewnątrz. Nóż sięgnął głębiej. Teraz nie mogła już krzyczeć, gdyż straciła oddech. Odruchowo usiłowała zrzucić Bradwella ze swoich pleców. Chociaż czuła, że zwierz bólu zaczyna brać nad nią górę i sprawia, iż pod jego wpływem sama zaczyna zmieniać się w zwierzę, wiedziała, że nie wolno jej poruszyć głowę.

- Przestań - rzekł Partridge.

Nie była pewna, czy mówił do niej, czy do Bradwella. Czyżby coś poszło źle? Gdyby Bradwell popełnił błąd, mógłby spowodować paraliż całego jej ciała. Wszyscy troje zdawali sobie z tego sprawę. Poczowała, że z obu stron jej szyi ściekają strumyczki krwi. Oddychała teraz szybko i urywanie. Widziała, jak krew spływa na podłogę i zaczyna tworzyć małą ciemnoczerwoną kałużę. Przygotowała się na kolejne ukąszenie bólu. Na wskroś przeniknęło ją gorąco. Wspomniała żar Wybuchu, napływający niekończącymi się falami. Przypomniała sobie, że wówczas przez chwilę poczuła się opuszczona - samotne dziecko pośród ogromu świata. Czy naprawdę to pamiętała? A może pamiętała tylko, że usiłowała to zapamiętać? Widziała umierającą młodą piękną Japonkę, swoją matkę. A teraz ta kobieta umarła ponownie, ponieważ okazało się, że wcale nie była jej matką, tylko obcą osobą, której twarz rozplynęła się w nicość. Pressia czuła, że jej skóra się topi. Leżała pośród martwych ciał, bagaży i przewróconych metalowych wózków na kółkach. W powietrzu unosił się gęsty pył i znów uderzyła fala żaru. A potem poczuła, że czyjaś dłoń ujmuje ją za rękę. Zamknęła oczy, otworzyła je i znów zamknęła. W dzieciństwie miała

zabawkę - dwuokularowy stereoskop z guzikiem. Gdy się go naciskało, pojawiał się nowy obraz. Teraz otwierała oczy, zamykała i ponownie otwierała, w nadziei, że scena przed nią się zmieni.

Wciąż jednak widziała tylko brudną podłogę, czuła ból i znowu patrzyła na brudną podłogę.

- Partridge, czy nasza matka śpiewała kołysanki? - spytała.

- Tak, śpiewała - odrzekł.

To już było coś. Punkt, od którego można zacząć.

PRESSIA WSCHÓD

PRESSIA MIAŁA KARK OWINIĘTY cienką szmatką, wilgotną od krwi, przytrzymywaną przez skórzaną opaskę, która obejmowała jej szyję jak naszyjnik obroża. Dziewczyna dodatkowo uciskała bolącą ranę przez to, że siedziała na materacu i opierała kark o ścianę.

Biały czip, starannie wytarty z krwi, leżał na podłodze jak wyrwany ząb. Jeszcze przed chwilą tkwił głęboko w ciele Pressii, a teraz się go pozbyła. Jednak z jakiegoś powodu nie czuła się oswobodzona, lecz miała wrażenie, jakby straciła kolejną więź łączącą ją z kimś w świecie - kimś, kto ją kontrolował - i żałowała tego, chociaż wiedziała, że taki nadzór w niczym nie przypomina czulej rodzicielskiej troski.

Bradwell krążył wściekle wokół niej. Ptasię skrzydła na jego plecach drżały niespokojnie. Wyciągnął z kąta kosiarkę do trawy, po czym wepchnął ją z powrotem na miejsce. Podniósł rydel ogrodniczy, a potem wlepił wzrok w ziemię.

Partridge usiadł na materacu obok Pressii.

- Co on wyprawia? - zagadnął, wskazując Bradwella.

- Jest podenerwowany - odrzekła. - Lepiej zostawić go w spokoju.

- A jak ty się czujesz? - spytał ją. V >

Uniosła pięść z głową lalki. Lalka otworzyła oczy. Nawet jej powieki

pokrywał popiół, a rzęsy były pozlepiane. Mały otwór w ustach ułożonych w kształt litery O zatkał brud. Pressia zdrową ręką przetarła plastikową głowę lalki i wyczuła pod spodem swoją utraconą dłoń. Właśnie w taki sposób jawiła się jej teraz matka - jako mglista obecność prześwitująca spod powierzchni świata.

- Dopóki się nie poruszam...

Nawet nie dokończyła odpowiedzi. Była zła na Partridge'a. Dlaczego? Czy mu zazdrościła? W przeciwieństwie do niej zachował wspomnienia o ich matce. I dostał się do Kopuły, a ona nie.

- Jest taki niepozorny - powiedział Partridge, wskazując czip na podłodze.

- Tyle kłopotów przez taki drobiazg. - Zamilkł na chwilę. - Nie wiedziałem o tym - wyszeptał. - Dowiedziałem się dopiero teraz, tak jak ty. Nie ukrywałbym przed tobą czegoś takiego.

Pressia nie mogła nawet na niego patrzeć.

- Po prostu chciałem ci to wyjaśnić - dorzucił.

Kiwnęła głową i natychmiast ostry ból przeszył jej szyję, docierając aż do tyłu czaszki.

- Co teraz o niej myślisz? - spytała.

- Sam nie wiem.

- Nadal uważasz ją za świętą? Oszukiwała twojego ojca. Urodziła nieślubne dziecko, bękarta - powiedziała Pressia.

Nigdy dotąd nie myślała o sobie jako o bękartie. Z jakiegoś powodu to się jej spodobało. Tkwiała w tym siła.

- Kiedy zdecydowałem się przybyć tutaj, nie oczekiwałem prostych odpowiedzi - oświadczył Partridge. - Cieszę się, że jesteś.

- Dzięki - odrzekła z uśmiechem.

- Dziwne jest to, że mój ojciec niewątpliwie wiedział o tobie. Obserwował cię przez wszystkie te lata, więc musiał się dowiedzieć, że jesteś nieślubną córką jego żony. Ciekawe, jak to przyjął?

- Założę się, że nie był zachwycony.

Pressia zdrową ręką zgmiotła czip. W oczach stanęły jej łzy. Pomyślała o słowie „matka”, nasuwającym wspomnienie kołysanek, i o słowie „ojciec”, kojarzącym się z ciepłym płaszczem. Ona sama była czerwonym punktem na ekranie, pulsującym jak bijące serce. Tak, władcy Kopuły wiedzieli o jej istnieniu. Śledzili ją, być może przez całe jej życie. Możliwe jednak, że rodzice też jej strzegli.

Bradwell zapytał nagle Partridge'a:

- Czy twoja matka chodziła do kościoła?
- Chodziliśmy tam co niedziela, jak wszyscy.

Pressia przypomniała sobie słowo „rejestr”. Bradwell użył go na zebraniu podczas swego miniwykładu, kiedy mówił o związkach Kościoła z państwem. Wiernych wpisywano do rejestru, a ich wizyty w kościele były odnotowywane.

- Nie wszyscy - rzekł Bradwell. - Niektórzy odmówili uczęszczania do kościoła po tym, jak kontrolę nad nim przejęło państwo. Takich ludzi zabijano w ich łóżkach.

- Dlaczego o to zapytałeś? - zwróciła się do niego Pressia.

Bradwell znów usiadł.

- Ponieważ tekst napisany przez nią na kartce urodzinowej zawierał odniesienia religijne - odpowiedział. - Jak to szło, Partridge?

- Zawsze zmierzaj ku światłu. Podążaj za swoją duszą. Ona może mieć skrzydła. Jesteś moją gwiazdą przewodnią jak ta, która weszła na wschodzie i prowadziła trzech królów.

- Gwiazda na wschodzie i trzech królów występują w Biblii - rzekła Pressia.

Jej dziadek znał na pamięć całe ustępy z Biblii, gdyż często recytowano je na pogrzebach.

- Czy takie religijne nawiązania były typowe dla twojej matki? - spytał Bradwell chłopca.

- Nie wiem. Wierzyła w Boga, ale twierdziła, że odrzuca usankcjonowaną

przez władze religię chrześcijańską właśnie dlatego, że jest chrześcijanką. Mówiła, że rząd ukradł jej kraj i Boga. Kiedyś powiedziała do ojca: „I ciebie. Oni ukradli mi też ciebie”. - Partridge miał taką minę, jakby dopiero teraz to sobie przypomniał. Usiadł wygodniej. - Dziwne, że przez cały czas miałem w głowie to wspomnienie. Niemal słyszę, jak matka mówi te słowa.

Pressia pożałowała, że nie zachowała w pamięci żadnych słów matki, nawet brzmienia jej głosu. Potem pomyślała, że jeśli to matka śpiewała jej kołysankę, to przynajmniej pamięta jej tekst.

- Więc może ta religijna aluzja była szczera - rzekł Bradwell do Partridge'a.

- A jeśli tak, to co?

- Nic. To bez znaczenia.

- Jeżeli była szczera, to ma znaczenie - zaproponowała Pressia.

- Dla nas w tej chwili jest bezużyteczna - powiedział stanowczo Bradwell.

- Twoja matka chciała, abyś zapamiętał pewne rzeczy - znaki, zaszyfrowane przesłania, naszyjnik. Dlatego miałem nadzieję, że ten tekst z kartki urodzinowej doprowadzi nas do niej. Być może była to tylko forma jej pożegnania się z tobą i udzielenia ci rady na całe życie.

Przez moment wszyscy troje milczeli. Pressia odwróciła się i oparła plecami o zimną ścianę. Jeśli to była rada jej matki, co w takim razie oznaczała?

Podążaj za swoją duszą. Ona może mieć skrzydła. Zawsze zmierzaj ku światłu. Pressia wyobraziła sobie swoją duszę ze skrzydłami. Wyobraziła sobie, że słucha jej głosu. Ale dokąd ta dusza by ją zaprowadziła? Nie istniało żadne miejsce, do którego mogliby pójść. Wokoło rozciągały się Stopione Ziemie i Martwe Ziemie. I nie było żadnego czystego, jasnego światła. Wszystko spowijała posępna zasłona drobnego popiołu. Pressia wyobraziła sobie, że wiatr wydyma tę zasłonę, jakby była welonem ukrywającym twarz matki i poruszonym jej oddechem. A jeśli matka naprawdę przetrwała Wybuch i żyje gdzieś tutaj? Jak można naprowadzać kogoś za pomocą pozostawianych

znaków, gdy wiadomo, że za chwilę wszystkie znikną starte z powierzchni ziemi?

- Jesteś moją gwiazdą przewodnią jak ta, która weszła na wschodzie i prowadziła trzech królów - powtórzył Partridge. - Myślicie, że mama chciała, abyśmy udali się na wschód?

Bradwell wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki plan miasta - ten sam, którym niedawno posłużyli się, by odnaleźć Lombard Street - i rozłożył go na podłodze. Kopuła znajdowała się na północy, otoczona przez jałowe grunty, przechodzące na obrzeżach miasta w odrastający las. Stopione Ziemie wyglądały na planie jak skupiska ogrodzonych osiedli, okalających miasto od wschodu, południa i zachodu. Za tym pierścieniem rozciągały się Martwe Ziemie.

- Ten usiany wzgórzami obszar na wschodzie był dawniej narodowym rezerwatem przyrody - wyjaśnił Bradwell.

- A w baśni łabędzia żona ukrywa się pod ziemią. Może matka mieszka w podziemnym bunkrze gdzieś pośród tych wzgórz - dodała Pressia.

- Zatem jutro ruszymy na wschód - zdecydował Partridge.

- A może popełnimy śmiertelny błąd - ostrzegła Pressia.

- Nie podoba mi się słowo „śmiertelny” - oświadczył Partridge.

- Nic innego nam nie pozostało - zawyrokował Bradwell.

Pressia spojrzała na niego i dostrzegła w jego ciemnobrązowych oczach jasnozłociste plamki. Wcześniej ich nie zauważyła. Były piękne - wyglądały jak miód.

- „Nam?” - powtórzyła. - Już spłaciłeś swój dług, prawda?

- Nadal w tym tkwię - oznajmił.

- Wyłącznie z własnego wyboru.

- A więc dobrze, to mój wybór. Mam swoje egoistyczne powody Czy takie wyjaśnienie cię zadowala?

Pressia wzruszyła ramionami. Bradwell upuścił naszyjnik na jej dłoń,

dotykając przy tym palców dziewczyny.

- Powinnaś go nosić - powiedział.

- Nie - odparła. - Nie należy do mnie.

- Ale teraz jest twój - rzekł Partridge. - Matka by tego chciała. Jesteś jej córką.

„Córka”. To słowo zabrzmiało w uszach Pressii obco.

- Chcesz go włożyć? - spytał Bradwell.

- Tak - powiedziała.

Bradwell rozpiął delikatny zameczek. Pressia obróciła się i odgarnęła w górę włosy, uważając na opatrunek. Chłopak sięgnął nad jej głowę, trzymając oburącz naszyjnik, i zapiął go.

- Wygląda ładnie - ocenił.

Pressia musnęła palcem wisiołek.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek nosiła prawdziwy naszyjnik.

Wisiołek spoczywał w zagłębieniu między jej obojczykami, poniżej skórzanej opaski podtrzymującej bandaż na karku, lśniąc błękitem łabędziego oka ze szlachetnego kamienia. Ten naszyjnik należał dawniej do matki Pressii, dotykał jej skóry. Dziewczyna pomyślała, że być może był prezentem od jej ojca. Czy kiedykolwiek dowie się czegoś o swoim ojcu?

- Teraz dostrzegam ją w tobie - oświadczył Partridge. - W gestach i sposobie, w jaki przechylasz głowę na bok.

- Naprawdę? - spytała.

Myśl, że mogłaby być podobna do matki, nieoczekiwanie ogromnie ją uszczęśliwiła.

- A teraz także w twoim uśmiechu - dodał.

- Szkoda, że dziadek nie może zobaczyć tego naszyjnika - rzekła do obydwu chłopców.

Przypomniała sobie, jak wręczając jej saboty, wyraził żal, że nie może jej ofiarować piękniejszego prezentu, na który zasługuje.

I teraz go miała - mały okruch piękna.

PRESSIA TŁOKI

PARTRIDGE USNAŁ PIERWSZY, leżąc na plecach i trzymając okaleczoną dłoń na piersi nad sercem. Pressia leżała na drugim sienniku, a Bradwell na podłodze. Uparł się przy tym, lecz teraz słyszała, jak się wierci, usiłując ułożyć się wygodniej.

- Wystarczy - rzekła. - Nie mogę spać, kiedy bez przerwy się tak kręcisz. Zrobię ci miejsce na moim posłaniu.

- Nie, dzięki. Poradzę sobie.

- Och, a więc chcesz nadal wyświadczać mi przysługi i jeszcze w dodatku zostać męczennikiem? O to ci chodzi?

- Nie szukałem cię tylko dlatego, że byłem coś winien twojemu dziadkowi. Próbowałem powiedzieć ci to wcześniej, ale nie chciałaś mnie wysłuchać.

- Teraz słyszę tylko, że zamierzasz spać na podłodze, a ja mam czuć się z tego powodu winna.

- No, dobrze - mruknął.

Podniósł się i położył obok Pressii. Nie mógł leżeć na plecach tak jak ona - z powodu swoich ptaków, które szykowały się do snu. Skulił się na boku, odwrócony ku niej. Przez chwilę Pressia niemal wyobraziła sobie, że leżą w pogodną noc na łące pod gwiazdami. W pokoju panowała cisza, lecz Pressia nie mogła zasnąć.

- Bradwell - szepnęła. - Zagrajmy w „Pamiętam”.

- Znasz moją historię. Opowiedziałem ją na zebraniu.

- Więc wymyśl coś innego. Cokolwiek. Mów, chcę słyszeć czyjś głos.

W rzeczywistości chciała usłyszeć właśnie jego głos. Chociaż Bradwell potrafił ją rozzłościć, teraz jego głos brzmiał głęboko i kojąco. Uświadomiła sobie, że pragnie usłyszeć go mówiącego, ponieważ - bez względu na to, czy się

z nim zgadza, czy nie - wie, że Bradwell zawsze jest szczerzy i że może zaufać jego słowom.

Dlatego zaskoczyło ją to, co teraz powiedział.

- Raz cię okłamałem.

- Tak?

- Wtedy w krypcie - wyjaśnił. - Znalazłem ją, kiedy byłem małym chłopcem, jeszcze zanim natrafiłem na sklep rzeźniczy. Sypiałem tam w czasach, gdy wszędzie naokoło ludzie umierali. Modliłem się do świętej Wi i przeżyłem. Dlatego wciąż tam wracam.

- Jesteś jednym z tych, którzy modlą się o nadzieję? - spytała.

- Tak-przyznał.

- To nie było wielkie kłamstwo - orzekła Pressia.

- Nie, nie było.

- Czy te modlitwy podziałały? Zyskałeś nadzieję?

Mocno potarł szczękę.

- Od kiedy cię spotkałem, wydaje mi się, że mam w sobie więcej nadziei.

Poczuła wzbierającą w piersi falę gorąca, ale nie była pewna, co miał na myśli. Czy chciał powiedzieć, że jego nadzieja ma jakiś związek z nią? Czy teraz, kiedy już przyznał się, że ją okłamał, wyznawał, że ją lubi? A może chodziło mu o coś innego? O to, że pod jej wpływem ujrzał sprawy w innym świetle?

- Ale nie o to mnie poprosiłaś - rzekł. - Chciałaś usłyszeć moje wspomnienie.

- Nie szkodzi.

- Czy teraz już uśniesz?

- Nie.

- A więc zgoda, jakieś wspomnienie. Czy musi być szczęśliwe?

- Nie - odparła. - Wolę prawdę od szczęścia.

- Dobrze. - Zastanawiał się przez chwilę. - Kiedy ciotka kazała mi wyjść z

garażu, usłuchałem jej. Na dworze wsadziłem martwego kota do skrzynki. A potem usłyszałem warkot uruchamianego silnika - i pojedynczy krzyk. Tak dawniej zwykł krzyczeć mój ojciec, kiedy zdarł sobie skórę z kostek dłoni albo nadwreżył plecy. Teraz wmawiałem sobie, że to jego krzyk. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że ojciec wychodzi spod samochodu, mając w piersi silnik zamiast serca, jak superbohaterowie z komiksów. Wyobrażałem sobie, że ożył.

Pressia oczami duszy ujrziała małego chłopca z ptakami w plecach, stojącego na zwęglonym trawniku z martwym kotem w pudełku u stóp.

Bradwell milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- To głupie. Nigdy dotąd nikomu o tym nie mówiłem.

Pressia potrząsnęła głową.

- Nie, to piękne. Chciałeś wyobrazić sobie coś wspaniałego, innego, jakiś odmienny świat. Byłeś tylko dzieckiem.

- Chyba tak - przyznał. - Teraz ty mi coś opowiedz.

- Nie pamiętam wiele z czasów Przedtem.

- To nie musi być z Przedtem.

- No dobrze - rzekła. - Jest coś, o czym też nigdy nikomu nie mówiłam.

Wie o tym wprawdzie mój dziadek, ale nie powiedziałam mu wszystkiego.

- Co to takiego?

- Kiedy miałam trzynaście lat, próbowałam odciąć tę głowę lalki. A przynajmniej tak powiedziałam dziadkowi. Natychmiast zszył mi ranę, ale nigdy nie spytał, dlaczego to zrobiłam.

- Czy została ci blizna?

Pokazała Bradwellowi niewielki ślad na wewnętrznej części nadgarstka, w miejscu gdzie głowa lalki łączyła się z jej ręką. Skóra była tam zwiotczała i pokryta siecią delikatnych bladoniebieskich żyłek.

- Próbowałam pozbyć się jej czy może...

- Może - powiedziała Pressia. - Może byłam znużona i zagubiona. Bardzo tęskniłam za matką, ojcem i przeszłością - być może dlatego, że nie zachowałam

zbyt wielu wspomnień, które mogłyby stać się dla mnie pociechą. Czułam się samotna.

- Ale nie zrobiłaś tego.

- Chciałam żyć. Uświadomiłam to sobie, gdy tylko zobaczyłam krew.

Bradwell usiadł i czubkiem palca dotknął blizny. Wpatrywał się w Pressię tak, jakby chciał ogarnąć spojrzeniem całą jej twarz - oczy, policzki, usta. W zwykłych okolicznościach odwróciłaby wzrok, lecz teraz nie potrafiła.

- Ta blizna jest piękna - powiedział.

Serce dziewczyny zatrzepotało. Przycisnęła do piersi głowę lalki.

- Piękna? Przecież to blizna.

- Jest symbolem przetrwania.

Bradwell był jedynym znanym jej człowiekiem, który mógł coś takiego powiedzieć. Poczwała, że zaparło jej dech. Zdołała tylko wyszeptać:

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek się boisz?

Nie miała na myśli wszystkich tych rzeczy, których powinna się obawiać - jutrzejszego wyruszenia z powrotem do Martwych Ziemi czy Pyłów wylaniających się z gruntu. Chodziło jej w tej chwili o nieustraszoną Bradwella nazywaną blizną piękną. Gdyby zdobyła się na odwagę, wyznałaby mu, iż jest szczęśliwa, że przeżyła, gdyż dzięki temu może być teraz przy nim.

- Ja? - rzekł Bradwell. - Boję się tak bardzo, że czuję się jak mój wuj leżący pod samochodem z tłokami wtopionymi w pierś. Zbyt wiele odczuwam. To jak bycie zatłukiwanym na śmierć od środka. Wiesz, o czym mówię?

Skinęła głową. Oboje na chwilę zamilkli. Usłyszeli, jak Partridge mamrocze coś przez sen.

- A więc... - rzekła Pressia.

- Więc co?

- Dlaczego mnie szukałeś, jeśli nie z powodu mojego dziadka?

- Wiesz dlaczego.

- Nie, nie wiem. Powiedz mi - poprosiła.

Leżeli tak blisko siebie, że Pressia czuła żar jego ciała.

Bradwell potrząsnął głową.

- Mam coś dla ciebie. - Sięgnął po kurtkę. - Szukaliśmy cię w twoim mieszkaniu. Twój dziadek zniknął.

- Wiem - odrzekła. - Wiem. Jest w Kopule.

- Uwięzili go?

- Nie. Przebywa w szpitalu.

- Mimo wszystko nie jestem pewien...

Pressia nie chciała teraz rozmawiać o dziadku.

- Co masz dla mnie? - spytała.

Wyjął z kieszeni kurtki jakiś przedmiot i położył go na brzuchu dziewczyny.

To był jeden z jej motyli.

- Kiedy go zobaczyłem, zacząłem się zastanawiać, jak wciąż jeszcze może istnieć coś tak kruchego i pięknego.

Policzki Pressii oblał rumieniec. Ujęła motyla i podniosła w górę; jego zakurzone delikatne skrzydła prześwietliło blade światło lampy.

- Utraty nakładają się na siebie - rzekł Bradwell. - Nie można doświadczać jednej, nie doświadczać jednocześnie wszystkich wcześniejszych. Ale mam wrażenie, że ten motyl stanowi dla nich przeciwwagę. Nie potrafię tego wyjaśnić. To jakby odzyskanie utraconego terenu.

- Wysilek, jaki włożyłam w ich tworzenie, teraz wydaje mi się stratą czasu. Nawet nie potrafią fruwać. Kiedy się je nakręci, tylko machają skrzydłami i nic więcej.

- Może po prostu dotychczas nie miały dokąd polecieć.

ŁYDA MAŁE, NIEBIESKIE PUDEŁKO

ABY ZABIĆ CZYMŚ CZAS, Łyda wciąż od nowa splatała swoją matę,

lecz rezultat wciąż jej nie zadowalał. Przy pracy nuciła melodię Migocz, migocz, mała gwiazdko.

Nikt jej nie odwiedzał - ani matka, ani lekarze. Zjawiały się tylko strażniczki, przynosiły jej jedzenie na tacy i pigułki.

Kiedy Łyda obudziła się następnego ranka po tym, jak rudowłosa wystukała wiadomość na małej prostokątnej szybce w drzwiach swojej celi, dziewczyny już tam nie było. Może jednak naprawdę była obłąkana. Komu innemu mogłoby przyjść do głowy, że jest wielu ludzi, którzy wierzą, iż uda im się pokonać Kopułę?

„Powiedz mu”. Komu, Partridge’owi? Czy rudowłosa sądziła, że Łyda może się z nim kontaktować? A nawet gdyby mogła, dlaczego miałyby mu to powiedzieć?

Tak, ta dziewczyna musi być szalona. Niektórzy tutaj są wariatami. Ostatecznie przecież właśnie dla takich osób stworzono ten ośrodek. Łyda jest wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Tamtego ranka w miejsce rudowłosej pojawiła się inna dziewczyna - nowa i sparaliżowana strachem. Łyda poczuła ulgę. Co miałyby odpowiedzieć rudowłosej na jej wiadomość? Jeśli zamierza w ogóle kiedykolwiek stąd wyjść, nie może nawiązywać znajomości z wariatkami, a zwłaszcza ze zbuntowanymi wariatkami. W Kopule nie dochodzi do żadnych buntów. To jedna z zalet życia tutaj. W przeciwieństwie do czasów przed Wybuchem nie trzeba się już obawiać tego rodzaju konfliktów.

Łydy nie zaprowadzono już więcej na terapię zajęciową. Odebrano jej ten przywilej wkrótce po tym, jak go przyznano. Pytała strażniczki, kiedy znów otrzyma pozwolenie, lecz one nie wiedziały. Mogłaby spróbować wydobyć od nich więcej informacji, jednak to wydawało się ryzykowne. Byłoby przyznaniem się do niewiedzy, a Łyda chciała sprawiać wrażenie dobrze poinformowanej.

Dziś jednak przed porą lunchu zjawily się dwie strażniczki i oznajmiły, że

zabierają ją do centrum medycznego.

- Przyszło polecenie przeniesienia mnie? - spytała.

- Nie jesteśmy pewne - odparła jedna z nich. Łyda pierwszy raz ją widziała. Jej partnerka czekała na zewnątrz za drzwiami. - Obecnie nie dysponujemy żadnymi innymi informacjami. Wiemy tylko, dokąd mamy cię odstawić.

Zanim wyprowadziła Łydę z celi, skrupowała jej ręce plastikową taśmą tak mocno, że dziewczyna poczuła w przegubach pulsowanie krwi.

Ale potem na korytarzu minęły ich dwie lekarki i na widok więźów jedna szepnęła do drugiej:

- Czy to naprawdę konieczne? Pomyśl o Jillyce.

Jillyce to było imię matki Łydy. Wydawało się dziwne, że mówią o niej tak poufale. Nie chciały, by zobaczyła córkę ze związanymi rękami; pragnęły oszczędzić jej takiego wstydu. Czy to znaczyło, że dziewczyna przed opuszczeniem ośrodka spotka się z matką?

Powodowane współczuciem lekarki poleciły strażniczce, aby przecięła więzy Łydy. Ta strażniczka była od niej starsza zaledwie o kilka lat. Łyda zastanawiała się przez chwilę, czy ta kobieta też kiedyś uczęszczała do akademii i czy może wówczas mijaly się na korytarzach. Strażniczka wyjęła wielki nóż z czerwoną rękojeścią i wsunęła ostrze pod plastikową taśmę. Przez krótką przelotną chwilę Łyda rozważała, jak to by było, gdyby strażniczka przecięła jej nadgarstek. Nadal miała na sobie biały jednoczęściowy kombinezon i czerwony szal. Jasna krew obficie splamiłaby biały materiał. Strażniczki kazały Łydzie iść z dłońmi splecionymi przed sobą, a ona usłuchała.

Kiedy wychodziły z ośrodka rehabilitacji, poszukała wzrokiem matki, lecz nigdzie jej nie dostrzegła.

Strażniczki wsiadły wraz z Łydą do wagonu wahadłowej kolejki, która po kilku minutach zatrzymała się przy centrum medycznym, a następnie poprowadziły dziewczynę kolejnym korytarzem. Wcześniej tylko dwukrotnie

odwiedziła to miejsce - gdy wycięto jej migdałki oraz kiedy przechodziła lekką grypę. Dziewcząt z akademii nie poddawano kodowaniu z obawy przed uszkodzeniem ich organów rozrodczych. Ten aspekt był ważniejszy niż udoskonalenie ich umysłów lub ciał. Łyda miała obecnie minimalne szanse uzyskania zgody na urodzenie dzieci. Dziewczyny nieco starsze i nieprzeznaczone do reprodukcji mogły zostać przyjęte do centrum medycznego na rozszerzone kodowanie mózgu. Lecz Łyda prawdopodobnie do tego również się nie nadawała. Po co wzmacniać mózg, który okazał się wadliwy? Wiedziała jednak, iż w przyszłości nadal ma szansę wkroczyć do Nowego Edenu. Kiedy nastanie ta nowa cywilizacja, czyż do odtworzenia ziemskiej populacji nie będą potrzebni wszyscy zdolni do rozmnażania - nawet ci, którzy tak jak ona przebywali przez pewien czas w ośrodku rehabilitacji? Wciąż miała nadzieję.

Tapeta na ścianach korytarza była w kwiaty, jakby starano się upodobnić go do pomieszczeń w prywatnych domach z okresu Przedtem. Stały tu nawet dwa bujane fotele, jak gdyby zapraszając, by przysiąść na chwilkę i uciąć sobie pogawędkę. Łyda przypuszczała, że miało to uspokajać przybyłych i wprowadzać ich w dobry nastrój. W przeciwieństwie do innych dziewcząt, które świetnie sobie radziły na lekcjach prowadzenia towarzyskich rozmów, Łyda musiała wykuć na pamięć listę stosownych pytań, aby móc podtrzymywać konwersację. Zawsze panicznie się bała, że jej rozmowa się urwie, jakby to oznaczało katastrofę. Przypomniała sobie teraz słowa Partridge'a, kiedy zaproponował jej taniec: „Zachowujmy się zwyczajnie, jak wszyscy, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń”. Ale ona nie jest taka jak wszyscy. On też nie.

Jednakże te pozory domowej atmosfery chyba nikogo nie zwiodą. Przeczą im migoczące i brzęczące lampy fluorescencyjne na suficie oraz liczne drzwi otwierające się od czasu do czasu i ukazujące nijakie pokoje, w których na postumentach spoczywają odlewy ludzkich ciał. Czy w tych formach leżą ludzie? Nie miała okazji tego sprawdzić, gdyż korytarzem nieustannie przemykali pracownicy medyczni, ubrani w kitle, maski i gumowe rękawiczki.

W głębi korytarza stali jeden za drugim chłopcy z akademii. Szybko powiodła spojrzeniem po ich twarzach. Niektórzy ją rozpoznali i gapili się na nią wytrzeszczonymi oczami. Jeden uśmiechnął się kpiąco. Nie odwróciła wzroku. Przecież nie zrobiła niczego złego. Dumnie uniosła głowę i spojrzała prosto przed siebie na kabinę telefoniczną na końcu korytarza.

Usłyszała wypowiedane szeptem swoje imię, a także imię Partridge'a. Pragnęła ich zapytać, jaką historyjkę im przedstawiono. Poznanie jakiegokolwiek wersji wydarzeń, nawet rozsiewanych o niej kłamstw, byłoby lepsze niż niewiedza.

Strażniczki skręciły na końcu korytarza i zaprowadziły ją przed jakieś drzwi. Na tabliczce widniał napis: ELLERY WILLUX.

Łydzie zaparło dech w piersi.

- Zaczekajcie - rzekła. - Nie wiedziałam.

- Jeśli ci nie powiedziano, to widocznie miała być niespodzianka - wyjaśniła strażniczka, która wcześniej przecięła jej więzy.

- Dajcie mi chwilkę - poprosiła Łyda.

Ze zdenerwowania spocły się jej dłonie. Wytarła je o nogawki białego jednoczęściowego kombinezonu.

- Przyszliśmy punktualnie - oznajmiła druga strażniczka i zapukała do drzwi.

- Wejść! - zawołał męski głos.

Willux okazał się niższy, niż się spodziewała. Był zgarbiony i skurczony. Pamiętała go jako zdrowego silnego mężczyznę.

Dawniej to właśnie on wygłaszał przez mikrofony przemówienia podczas oficjalnych uroczystości i publicznych zgromadzeń. Lecz teraz uświadomiła sobie, że już kilka lat temu bez żadnego wyjaśnienia Forested przejął wszystkie te obowiązki. Być może dlatego, że był młodszy, miał olśniewająco białe zęby i zdawał się promieniować wewnętrznym światłem. Willux się postarzał. Olbrzymia większość najważniejszych ludzi w Kopule sprawiała wrażenie

krzepkich i tryskających energią, on zaś wyglądał na słabowitego, a jego wydatny brzuch sflaczał żałościwie.

Willux odwrócił się z fotelem, ustawionym przed rzędem monitorów i klawiatur. Uśmiechnął się łagodnie i zdjął okulary. Czy nosił je tylko na pokaz? Łyda nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała u kogoś okulary. Złożył je i przycisnął do piersi.

- Witaj, Łydo.

- Dzień dobry - powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

Potrząsnął głową.

- Darujmy sobie te formalności - rzekł.

Łyda poczuła się, jakby ją odtrącił. A może zganił? Czy uważał ją za godną pogardy, ponieważ była obecnie pacjentką ośrodka rehabilitacji?

- Usiądź - zaproponował, wskazując niski czarny stółek. Przycupnęła na brzeżku. Skinął głową strażniczkom. - Porozmawiamy na osobności - oświadczył. - Dziękuję, że dostarczyłyście ją całą i zdrową.

Strażniczki skłoniły się lekko. Ta, która uwolniła Łydę od więzów, zerknęła na nią, jakby chciała dodać jej odwagi. Potem obydwie wyszły i zamknęły za sobą drzwi.

Willux położył okulary na skraju biurka, obok małego, jasnoniebieskiego pudełka, w którym zmieściłoby się ciastko. Łyda przypomniała sobie gąbczaste ciastka z zabawy tanecznej; wydawały się jej niemal zbyt słodkie i podziwiała Partridge'a, który jadł je z pasją, wielkimi kęsami. Ciekawiło ją, czy to pudełeczko zawiera jakiś prezent.

Willux zagadnął:

- Przypuszczam, że słyszałaś o zaginięciu mojego syna.

Skinęła głową.

- Ale może nie wiesz, że on właściwie zniknął.

- Zniknął? - spytała.

Nie była pewna, co Willux ma na myśli. Czy Partridge nie żyje?

- Opuścił Kopułę - wyjaśnił mężczyzna. - I jak się zapewne domyślasz, chciałbym sprowadzić go bezpiecznie z powrotem.

- Och - rzekła Łyda. Wiedziały o tym nawet te dziewczyny zamknięte w ośrodku rehabilitacji. Partridge przebywa gdzieś tam na zewnątrz. Czy powinna udać bardziej zaskoczona? - Rozumiem, że pragnie pan jego powrotu. Naturalnie.

- Krążą plotki, że on cię dosyć lubi - powiedział Willux.

Uniósł rękę i przyglądał rzadkie włosy. Widok jego niemal całkiem łysej głowy przywiódł Łydzie na myśl główkę niemowlęcia i słowo „ciemiaczko”, określające miękkie miejsce na jej czubku, gdzie u chorego dziecka bada się puls i odwodnienie. Dziewczęta w szkole miały wiele lekcji poświęconych właściwej opiece nad niemowlętami. Nazwa „ciemiaczko” Łydzie kojarzyła się zawsze ze strzemiączkiem. Dłoń Willuksa drżała. Czyżby się denerwował?

- Czy to prawda? - ciągnął. - Czy Partridge darzy cię uczuciem?

- Nie znam niczyich uczuć oprócz własnych - odparła.

- Pozwól zatem, że zapytam prościej. Czy wiedziałaś o jego zamiarach?

- Nie.

- Czy pomogłaś mu w ucieczce?

- O ile wiem, nie.

- Czy skradł nóż z wystawy, a ty mu na to pozwoliłaś?

- Nie wiem, mógł coś ukraść, kiedy nie patrzyłam. Byliśmy razem w sali wystawy artykułów gospodarstwa domowego.

- Bawiliście się w dom?

- Nie - odparła. - Nie wiem, o czym pan mówi.

- Myślę, że wiesz - powiedział i zabębnił trzema palcami po bładoniebieskim pudełku.

Teraz Łyda zaczęła się bać zawartości tego pudełka.

- Nie - powtórzyła.

Pochylił się naprzód i zniżył głos.

- Czy jesteś nietknięta?

Na policzki wypłynął jej gorący rumieniec. Poczowała ucisk w piersi. Nie zamierzała odpowiadać na to pytanie.

- Mogę wezwać którąś z kobiet i polecić, aby to sprawdziła - oświadczył.

- Albo po prostu powiesz mi prawdę.

Wbiła wzrok w podłogę wyłożoną kafelkami.

- Czy to było z moim synem? - spytał.

- Nie odpowiedziałam na pańskie pytanie - rzekła. - I nie odpowiem.

Znowu pochylił się do przodu i poklepał ją po kolanie, a potem oparł na nim dłoń.

- Nie martw się - powiedział.

Zemdliło ją. Miała ochotę go kopnąć. Zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki. Ręka Willuksa ześlizgnęła się z jej kolana. Łyda otworzyła oczy i znów wpatrzyła się w podłogę z kafelków.

- Jeżeli to zrobił mój syn, wciąż możemy wszystko odpowiednio załatwić

- rzekł. - To znaczy, jeśli uda nam się go odnaleźć i sprowadzić do domu.

- Nie chcę go poślubić, jeśli to ma pan na myśli.

- Ale to mogłoby być dla ciebie całkiem dobre rozwiązanie. Chodzi mi o to, że po tym, co cię ostatnio spotkało, trudno ci będzie znaleźć dla siebie miejsce w życiu.

- Poradzę sobie.

W pokoju na chwilę zapadła cisza, a potem Willux rzucił od niechcenia:

- Tak sądzisz?

Serce załomotało jej w piersi tak mocno, że poczuła pulsowanie krwi w uszach. Uświadomiła sobie, iż znowu splótła dłonie na kolanach i ścisła je tak, że paznokcie wbijają się jej w skórę.

- Mamy pewien plan, który wymaga twojego udziału - oznajmił Willux. - Wyjdiesz na zewnątrz.

- Dokąd?

- Poza Kopułę. Na drugą stronę.
- Poza Kopułę? - powtórzyła osłupiała.

To było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Nie będzie w stanie tam oddychać. I natychmiast dopadną ją nieszczęśnicy. Zgwałcą ją, a potem zabiją. Na zewnątrz Kopuły drzewa mają oczy i zęby. Ziemia pochłania dziewczęta, które zachowały choćby resztki ludzkiego kształtu. Są przywiązywane do pali i pieczone żywcem, a potem pożerane. I właśnie tam miała się udać. Na zewnątrz.

- Oddział Specjalny zaprowadzi cię w pewne określone miejsce na zewnątrz Kopuły i zwabisz mojego syna z powrotem do nas.

- Jest pan pewien, że on żyje?

- Tak, a przynajmniej żył jeszcze kilka godzin temu i nic nie wskazuje na to, by od tego czasu coś się zmieniło.

Łyda poczuła ulgę. Może rzeczywiście uda się jej sprowadzić Partridge'a z powrotem. Może Willux nawet zgodzi się na ich ślub. Oczywiście, to były tylko mrzonki. Co się z nią stanie, kiedy odkryją, że Partridge wcale jej nie kocha? Ze był dla niej jedynie uprzejmy, po tym jak pomogła mu ukraść nóż?

Willux klasnął w dłonie i zawołał do jakiegoś niewidocznego asystenta:

- Włącz fragment sto dwudziesty siódmy: Partridge. - Odwrócił się do Łydy. - Sama zobaczysz.

Monitor komputera ożył z trzaskiem i na ekranie ukazał się Partridge. Był brudny, zmęczony i posiniaczony, ale żywy. Łyda zobaczyła jego jasnoszare oczy i mocne, białe, odrobinę nierówne zęby. Oglądała go oczami jakiejś innej osoby... dziewczyny. Przez moment widziała jej ciało, gdy tamta zerknęła w dół, a potem znów spojrzała na Partridge'a.

Partridge szepnął do tej dziewczyny: „Nie wiedziałem o tym. Dowiedziałem się dopiero teraz, tak jak ty. Nie ukrywałbym przed tobą czegoś takiego”.

Czego? - zastanowiła się Łyda. Było oczywiste, że on dobrze zna tę dziewczynę. Żałowała, że nie mogła zobaczyć jej twarzy.

- Dokąd?
- Poza Kopułę. Na drugą stronę.
- Poza Kopułę? - powtórzyła osłupiała.

To było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Nie będzie w stanie tam oddychać. I natychmiast dopadną ją nieszczęśnicy. Zgwałcą ją, a potem zabiją. Na zewnątrz Kopuły drzewa mają oczy i zęby. Ziemia pochłania dziewczęta, które zachowały choćby resztki ludzkiego kształtu. Są przywiązywane do pali i pieczone żywcem, a potem pożerane. I właśnie tam miała się udać. Na zewnątrz.

- Oddział Specjalny zaprowadzi cię w pewne określone miejsce na zewnątrz Kopuły i zwabisz mojego syna z powrotem do nas.

- Jest pan pewien, że on żyje?

- Tak, a przynajmniej żył jeszcze kilka godzin temu i nic nie wskazuje na to, by od tego czasu coś się zmieniło.

Łyda poczuła ulgę. Może rzeczywiście uda się jej sprowadzić Partridge'a z powrotem. Może Willux nawet zgodzi się na ich ślub. Oczywiście, to były tylko mrzonki. Co się z nią stanie, kiedy odkryją, że Partridge wcale jej nie kocha? Ze był dla niej jedynie uprzejmy, po tym jak pomogła mu ukraść nóż?

Willux klasnął w dłonie i zawołał do jakiegoś niewidocznego asystenta:

- Włącz fragment sto dwudziesty siódmy: Partridge. - Odwrócił się do Łydy. - Sama zobaczysz.

Monitor komputera ożył z trzaskiem i na ekranie ukazał się Partridge. Był brudny, zmęczony i posiniaczony, ale żywy. Łyda zobaczyła jego jasnoszare oczy i mocne, białe, odrobinę nierówne zęby. Oglądała go oczami jakiejś innej osoby... dziewczyny. Przez moment widziała jej ciało, gdy tamta zerknęła w dół, a potem znów spojrzała na Partridge'a.

Partridge szepnął do tej dziewczyny: „Nie wiedziałem o tym. Dowiedziałem się dopiero teraz, tak jak ty. Nie ukrywałbym przed tobą czegoś takiego”.

Czego? - zastanowiła się Łyda. Było oczywiste, że on dobrze zna tę

dziewczyne. Żałowała, że nie mogła zobaczyć jej twarzy.

Dziewczyna już nie patrzyła na Partridge'a. Spoglądała na przeciwległą ścianę, pod którą wały się sterty połamanych i spalonych maszyn. Obydwoje znajdowali się poza Kopułą.

„Po prostu chciałem ci to wyjaśnić” - powiedział Partridge i Łyda znów ujrzała jego twarz, a także dłoń owiniętą zakrwawionym bandażem, którą przyciskał do piersi. Uśmiechnął się do dziewczyny. Kiwnęła głową - o czym świadczyło drgnięcie obrazu z kamery.

„Co teraz o niej myślisz?” - spytała Pressia.

Łyda uznała, że rozmawiają o niej. Bo z jakiego innego powodu Willux pokazywałby jej ten fragment zapisu?

„Sam nie wiem” - odrzekł Partridge.

W tym momencie ekran pociemniał i zgasł.

- On jest ranny - powiedziała Łyda. - Co mu się stało w rękę?

- Odniósł drobne obrażenie. Nie ma powodu do niepokoju. W Kopule potrafimy naprawić niemal każde uszkodzenie ciała.

- Dlaczego pan mi to pokazał?

- Po prostu po to, abyś zobaczyła, że on jest żywy i zdrowy - odrzekł Willux.

Łyda mu nie uwierzyła. Pokazał jej ten fragment, by wzbudzić w niej zazdrość. W istocie okłamywała ich i samą siebie. To ona pocałowała Partridge'a, a nie on ją. Nigdy nie powiedział, że ją kocha. Wszystko to kłamstwa. Niech Willux próbuje wywołać w niej zazdrość, jeśli chce. Nie dbała o to. Nigdy naprawdę nie zdobyła Partridge'a, więc nie może go stracić.

Było też coś jeszcze. Partridge odwzajemnił jej pocałunek, a gdy się od niego odsunęła, ujrzała na jego twarzy dziwny wyraz zaskoczenia i radości. Łyda uśmiechnęła się teraz na wspomnienie miny chłopca. Niech Willux wykorzystuje wszystkie uzyskane przez siebie informacje, jak mu się żywnie podoba. Znów przypomniała sobie, jak Partridge szepnął do niej: „Zachowujmy

się zwyczajnie, jak wszyscy, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń”. Sam tak powiedział. To znaczy, że tylko udawali zwykłych ludzi. W rzeczywistości byli wyróżnieni, odmienni od wszystkich innych. To było niczym wyznanie, ich wspólny sekret.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał Willux.

- To dobra wiadomość. Pański syn żyje.

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, a potem wziął z biurka niebieskie pudełko i podał jej.

- Dostarczysz to pewnej dziewczynie, jest oficerem OPR - powiedział. Ręka znów mu drżała. - Mieliśmy nadzieję, że będzie z nami współpracowała, ale już przyczyniła się do śmierci jednego z naszych tajnych agentów. - Willux wziął głęboki wdech i westchnął. - Obserwuję ją od wielu lat. Liczyłem, że stanie się dla kogoś kuszącą przynętą i pewnego dnia sprowadzi go do nas. Lecz okazała się bezużyteczna.

Kuszącą przynętą, aby Willux mógł zwabić w pułapkę kogoś spoza Kopuły? Kogo? - zastanowiła się Łyda, lecz zadała prostsze i mniej ryzykowne pytanie:

- Czy mogę się dowiedzieć, co jest w tym pudełku?

- Oczywiście - odrzekł i teraz zauważyła również lekkie drżenie jego głowy. - Zajrzyj do środka. Nie sądzę, by wiele ci to powiedziało, ale ta oficer, Pressia Belze, zrozumie wiadomość, którą jej wysyłamy. To może pomóc przekonać ją, by ponownie rozważyła, komu winna jest lojalność. Możesz jej powtórzyć, że tylko to zostało.

Zostało z czego? - pomyślała Łyda, ale nie zapytała o to.

W gruncie rzeczy nie miała ochoty otwierać tego pudełka, lecz musiała się dowiedzieć, co w nim jest. Podniosła pokrywkę; w środku zaszeleściła bładoniebieska bibułka. Rozchyliła ją i zobaczyła mały wiatraczek z zepsutym silniczkiem i nieruchomymi plastikowymi łopatkami.

PARTRIDGE SZNURKI

WYRUSZYLI PRZED ŚWITEM. Obecnie wciąż jeszcze był wczesny ranek, a przeszli już kawał drogi. Eskortowało ich sześć potężnie zbudowanych kobiet. Większość ich dzieci spała i Partridge przypuszczał, że są przez to jeszcze cięższe. Jedna z kobiet z dzieckiem wrośniętym w biodro podtrzymywała jego główkę, przyciskając ją do piersi jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymała nóż rzeźnicki.

Szli w milczeniu, mijając rzędy zburzonych domów; niektóre były wypalone aż do fundamentów, a z kilku pozostały jedynie zwęglone szkielety. Gdzieś tam zachowały się resztki ceglanych ścian. Bywało, że w miejscu domu, który przestał istnieć, znajdował się - niczym sceneria jakiejś niepokojącej gry - salon z zastygłą kruchą i poczerniałą pianą gaśnicy, połamanym szkieletem krzesła lub pośliską czaszką zlewu zbyt zniszczonego, by miał jakąkolwiek wartość.

Partridge nie potrafił zebrać myśli. Przetrzęsał zakamarki pamięci, usiłując odnaleźć wspomnienia kłótni rodziców, gwałtownych spięć, wzajemnej wrogości, wybuchów gniewu. Nie byli szczęśliwym małżeństwem - ale przecież ojciec wiedział, że matka ma dziecko z innym mężczyzną. Musiał o tym wiedzieć. Znał miejsce pobytu Pressii i chciał, aby poznała jego syna. Dlaczego?

Czy był to z jego strony przejaw ironii? Czy chciał zadrwić ze swojej żony, wykorzystując do tego obydwójce jej dzieci, które zdołały przeżyć eksplozję? Czy istnieje choćby nikłe prawdopodobieństwo, że ojciec chciał się z nią spotkać, ponieważ ją kocha, pragnie jej powrotu i zamierza oznajmić, że jej przebaczył? Partridge wiedział, że to tylko jego dziecinne marzenie o dwojgu kochających się rodzicach, tworzących szczęśliwy dom. Lecz nic nie mógł na to poradzić. Ojciec niewątpliwie kiedyś naprawdę kochał matkę i jej wspomnienie nadal go dręczy. Partridge dostrzegł to w jego twarzy.

Mijali kolejne centra handlowe, spustoszone i ogołocone, oraz więzienia.

Te były najgorsze. Wciąż jeszcze unosił się w nich smród, mimo iż trupy już dawno uległy rozkładowi. Więzienia nie miały w sobie nic z bajki i Partridge nie potrafił dopasować do nich łabędziej żony ani utraconych skrzydeł. Stanowiły dowód ucisku czasów Powrotu do Uprzejmości poprzedzających ostateczną zagładę.

Wszędzie śmierdziało śmiercią i zgnilizną. Przypomnił sobie mocny, dziwnie słodki zapach zwłok żony pasterza, które znalazł owinięte pękiem trzciny i obwiązane drutem. Usiłował wyrzucić z głowy ten obraz.

W pobliżu byli też inni, którzy przeżyli Wybuch. Partridge słyszał ich wołania i pohukiwania, odgłosy grzebania w stertach śmieci, głuche zwierzęce jęki. Od czasu do czasu kobiety przystawały i nasłuchiwały; ich głowy odwracały się w tym samym kierunku. Lecz nikt ich nie zaatakował.

Im dalej się posuwali, tym mniej było do oglądania. Płaski monotony krajobraz urozmaicały jedynie odległe wzgórza na wschodzie. Ziemia poczerniała. Wiatr hulał swobodnie po równinie, wzbijając ciemne kłęby pyłu.

Kobiety wydobyły z ukrytych kieszeni szarfy, którymi owinęły twarze dzieci i swoje. Partridge już wcześniej wciągnął szalik, a Bradwell zasłonił twarz ręką. Jedna z kobiet podała szarfę Pressii.

Partridge nie spuszczał wzroku z dziewczyny. Martwił się o nią. Przeszła tak wiele. Wiedział jednak, że jest twarda.

W końcu kobieta z przyciśniętą do piersi głową dziecka oznajmiła:

- My już dalej nie pójdziemy.

W innej sytuacji Partridge by im podziękował. Jednak zapłacił za eskortę swoim małym palcem, toteż nie potrafił się zdobyć na wyrazy wdzięczności.

- Dziękuję - rzekła Pressia.

Bradwell poprosił kobiety, aby przekazały od nich podziękowania Matce.

- Jesteśmy wam wdzięczni - powiedział i popatrzył na Partridge'a, który zdołał wymamrotać tylko:

- Aha.

- Stale przyglądajcie się ziemi. Uważajcie na ich oczy - poradziła kobieta.

Skloniły się na pożegnanie, ale potem jedna podeszła do Partridge'a.

Miała długie, siwe włosy. Ujęła go za ramię i powiedziała:

- Jeśli twoja matka żyje, podziękuj jej ode mnie.

- Znałaś ją?

Skinęła głową.

- Nie rozpoznałaś go? - spytała.

I wtedy Partridge spostrzegł chowającego się za jej plecami chłopczyka w wieku mniej więcej ośmiu lat. Dzieciak miał długie skudłacone włosy i twarz lśniąca od jaskrawoczerwonych oparzeń. Przyglądał się uważnie Partridge'owi.

- To Tyndal - powiedziała. - On nie mówi.

Partridge wpatrzył się w chłopca, a potem przeniósł spojrzenie z powrotem na kobietę.

- Pani Fareling?

- Myślałam, że go rozpoznasz, ponieważ on... no... nie dorósł.

Partridge poczuł się niepewnie. Tyndal wciąż był małym chłopcem - niemym i na zawsze wrośniętym w matkę.

- Przykro mi - powiedział.

- Nie musi ci być przykro - rzekła pani Fareling. - Twoja matka wydoszła mnie z ośrodka rehabilitacji. Nie wiem, jak tego dokonała. Przypuszczam, że pociągnęła za odpowiednie sznurki i dała komuś łapówkę. W każdym razie zwolniono mnie i gdy zaczęły się eksplozje, byłam już w domu z Tyndalem.

- Więc to jest Tyndal - wyszeptał Partridge, wpatrując się w twarz chłopca, jakby wciąż jeszcze usiłował go rozpoznać.

Chłopczyk zaprezentował serię krótkich i długich kiwnięć głową; być może był to rodzaj kodu.

- Życzy ci powodzenia - przetłumaczyła pani Fareling.

- Dziękuję - odrzekł Partridge.

Wtedy pani Fareling chwyciła Partridge'a, przyciągnęła go do piersi i trzymała tak, ściskając w pięściach fałdy jego kurtki. Objął j*-

- Ona nas uratowała - powiedziała pani Fareling, teraz już płacząc. - Mam nadzieję, że żyje.

- Żyje - szepnął. - Powiem jej, że pani ocalała i że jest jej pani wdzięczna.

Pani Fareling puściła Partridge'a i spojrzała na niego.

- Dziwne uczucie tak cię obejmować - wyznała. - Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, Tyndal byłby teraz pewnie twojego wzrostu.

- Przykro mi - powtórzył, gdyż tylko to można było powiedzieć.

Nic nie naprawi tej sytuacji. Szkoda, że ojciec nie może zobaczyć teraz Tyndala Farelinga.

- Już czas - powiedziała. - Uważaj na siebie.

Skinął głową.

Klepnęła go w ramię, a potem to samo zrobił Tyndal swoją drobną rączką.

- Dziękuję za wszystko - rzekł Partridge. - Dziękuję.

Pani Fareling i Tyndal ukłonili się i podążyli za pozostałymi kobietami i dziećmi z powrotem do domu.

- Dobrze się czujesz? - spytał Bradwell.

- Doskonale - odrzekł Partridge. - Możemy iść.

Każde z nich wyciągnęło nóż i ruszyli dalej. Partridge obejrzał się za siebie. Kobiety pomachały do niego. Uniósł nóż i też im pomachał. A potem poryw wiatru wzbił chmurę popiołu i Partridge zdał sobie sprawę, że kobiety już go nie widzą. Podążyły swoją drogą.

ŁYDA OTWIERAĆ

KIEDY ŁYDA WYSZŁA Z GABINETU Willuksa, przed drzwiami nie było strażniczek z centrum rehabilitacji. Zamiast nich stało tam dwóch strażników. Odprowadzili ją do wagonu wahadłowej kolejki i przekazali innemu strażnikowi - ciężko uzbrojonemu mężczyźnie z niewielką szramą na

podbródka.

Strażnik pojechał wraz z Łydą ciemnymi tunelami.

Dziewczyna siedziała w fotelu, trzymając na kolanach małe, niebieskie pudełko, i przyglądała się, jak za oknami przemykają czarne ściany. Strażnik stał pewnie, na szeroko rozstawionych nogach, przenosząc ciężar swego zwalistego ciała z jednej na drugą, gdy pociąg mijał rozjazdy torów.

Niewątpliwie wiedział, że Łyda ma zostać wyprowadzona na zewnątrz Kopuły, ale nie była pewna, czy znał powód.

- Czy dostanę kombinezon chroniący przed skażeniami? - spytała.

- Nie-odparł.

- A maskę?

- Zeby zakryła taką ładną buzię?

- Czy wcześniej eskortowałeś już kogoś poza Kopułę?

- Dziewczynę? Nigdy.

Zatem wyprowadzał na zewnątrz chłopców? Nie wiedziała, czy może mu wierzyć. Nigdy nie słyszała, by ktokolwiek przed Part-ridge'em opuścił Kopułę. Dlaczego miano by wysyłać na zewnątrz chłopców? Nikt nigdy nie wspominał o czymś takim.

- A których chłopców? - spytała. - Kogo?

- Tych, po których potem wszelki śluch zaginął - odpowiedział.

- A syna Ellery'ego Willuksa?

- Którego syna?

- Oczywiście Partridge'a - wyjaśniła z lekkim zniecierpliwieniem. - On nie wyszedł tędy, prawda?

Strażnik się roześmiał.

- Nie był przygotowany do wyjścia na zewnątrz. Wątpię, czy zdołał przeżyć. - Powiedział to takim tonem, jakby miał nadzieję, że Partridge zginął. Jakby jego śmierć miała czegoś dowieść.

Pociąg zwolnił i się zatrzymał. Drzwi się rozsunęły, ukazując długi

korytarz wyłożony białymi kafelkami. Były tam osobne boksy, a na ścianie każdego z nich wisiał wewnętrzny telefon. Strażnik i Łyda minęli pierwsze trzy. Przystanęli przed drzwiami i mężczyzna rzucił:

- Otwierać.

Drzwi się otworzyły, a gdy przez nie przeszli, zamknęły się za nimi.

- Pozostały ci do przebycia jeszcze trzy sale - rzekł do Łydy. - Przejdź przez każde drzwi dopiero, kiedy całkowicie się rozsuna. Przez ostatnie wyjdiesz na zewnątrz. Rampa załadunkowa jest zamknięta.

- Rampa załadunkowa? - powtórzyła zdziwiona.

- Nie jesteśmy tak całkowicie odcięci od świata, jak się wydaje.

- Co na niej załadujemy? - spytała.

- Wyładujemy - poprawił ją. - Pewnego dnia on znów będzie nasz.

Łyda wiedziała, iż miał na myśli cały świat, i przez chwilę się zaniepokoiła, że strażnik zacznie wygłaszać mowę o tym, jak to mieszkańcy Kopyły są prawowitymi spadkobiercami tego rajy, który jedynie tymczasowo został wysiedlony. Na szczęście mężczyzna powiedział tylko:

- Jesteśmy wybrańcami.

- Tak, wybrańcami - przytaknęła machinalnie, bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania.

- Ktoś będzie tam na ciebie czekał - oznajmił. - Ktoś z Oddziału Specjalnego.

- Wysłano Oddział Specjalny na zewnątrz Kopyły?

- Te stwory nie są ludźmi. Niech cię nie zaskoczy ich wygląd.

Łyda widziała już wcześniej członków Oddziału Specjalnego - tego niewielkiego elitarnego korpusu. Nie były to żadne stwory, tylko sześciu młodych silnych mężczyzn w eleganckich białych mundurach.

- Jak ten ktoś będzie wyglądał? - spytała.

Strażnik nie odpowiedział. Jak mogła się przygotować, jeśli nie uprzedzi jej, czego ma się spodziewać? Zerknął na budkę telefoniczną i oko kamery

umieszczonej pod sufitem. Dziewczyna pojęła, iż dawał do zrozumienia, że nie wolno mu jej nic powiedzieć. Oznajmił tylko:

- Muszę cię obszukać. To standardowa procedura. Muszę się upewnić, że zabierasz ze sobą jedynie to, co powinnaś.

- Dobrze - zgodziła się, aczkolwiek niechętnie. - Mam wziąć ze sobą i dostarczyć komuś to pudełko.

- Wiem - rzekł. Obmacał jej nogi, biodra i żebra. - Podnieś ręce - polecił.

Robił to wszystko z szorstkim profesjonalizmem i Łyda była mu za to wdzięczna. Zdziwiła się, kiedy mocno ujął obiema dłońmi jej szczękę i kazał otworzyć usta. Zajrzał do środka, świecąc małą latareczką.

- Uszy - rzucił. Odwrócił jej głowę i znów zapalił latarkę. Obejrzał uważnie jedno ucho, a potem, sprawdzając drugie, szepnął bardzo cicho: - Powiedz łabędzicy, że czekamy.

Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Łabędzicy?

- Skończyłem! - oznajmił głośno. - Jesteś czysta.

Pragnęła zapytać: „Czekacie na co? I kto czeka? Kim jesteście?”.

Lecz z szorstkiego tonu strażnika wywnioskowała, że nie powinna zadawać żadnych pytań.

- Będzie jeszcze troje drzwi. Ostatnie prowadzą na zewnątrz - przypomniał. Potem spojrzał jej w oczy i rzekł: - Powodzenia.

- Dziękuję - powiedziała.

Strażnik stanął twarzą do drzwi, przez które przed chwilą weszli.

- Otwierać - rzucił.

Drzwi się rozsunęły. Przeszedł przez nie i zamknęły się za nim.

Łyda została sama. Odwróciła się do przeciwległych drzwi.

- Otwierać - powiedziała.

Drzwi się rozsunęły. Przeszła przez nie, a one szybko zamknęły się za nią. To samo powtórzyło się przy następnych drzwiach, aż wreszcie stanęła przed ostatnimi. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Postawiła jasnoniebieskie

pudełko na podłodze, ściągnęła z głowy białą chustę, zakryła nią sobie nos i usta i zawiązała końce z tyłu głowy.

Podniosła pudełko i chwyciła je mocno w obie dłonie.

- Otwierać - rzuciła.

I ujrzała przed sobą ziemię omiataną podmuchami wiatru - i niebo, po którym przelatywał prawdziwy ptak.

PARTRIDGE MAŁE KLATKI PIERSIOWE

‘PARTRIDGE’A NIEPOKOIŁA panująca wokoło cisza. Nie podobało mu się, że wiatr zamarł, ani to, że Pressia wciąż powtarzała: „Coś jest nie w porządku”, ani to, że jej słowa denerwowały Bradwella.

- Sądysz, że nasza podróż wypadła akurat w czasie jakiejś odbywającej się gdzie indziej szalonej uczty? - zapytał go.

- Jasne, Partridge, może Pyły są teraz zajęte pożeraniem całego autobusu uczniów - szydził Bradwell. - Czyż to nie byłoby wspaniale?

- Wiesz, że nie to miałem na myśli - zaprotestował Partridge.

Grunt pod ich stopami zrobił się bardziej miękki. Nagle Partridge zobaczył jakieś małe popielate zwierzątko, trochę mniejsze od myszy. Lecz to nie była mysz - nie miała futra. Stworzenie pokrywał zwęglony piasek; miało odsłonięte zębra, jakby było pozbawione skóry. Przez chwilę przemykało po ziemi, a potem zniknęło pod nią.

- Co to było? - rzucił Partridge.

- Co takiego? - spytała Pressia.

- Przed chwilą przebiegło tu stworzenie podobne do myszy albo kreta. - Partridge popatrzył w dal ku niewyraźnej linii, gdzie naga ziemia przechodziła w podszycie ciągnące się aż do podnóża odległych wzgórz. Ujrzał tam jakiś ruch. Lecz nie były to kret ani mysz, tylko rojące się kłębówisko, przypominające narastającą falę. - Myślę, że jest ich więcej.

I wtedy nad ziemią wyrósł niewielki kłęb, wysokości mniej więcej

trzydziestu centymetrów, i potoczył się ku nim.

- Jak myślisz, ile? - zapytała Pressia.

- Zbyt wiele, by dało się je policzyć - rzekł Bradwell.

Nacierала na nich chmara małych Pyłów, wydających chórem wysokie, przenikliwe piski. Znowu zerwał się silny wiatr i wkrótce wszyscy troje musieli opierać się jego gwałtownym podmuchom. Pressia wyjęła z kieszeni kurtki dwa noże. Partridge też miał nóż, a także hak rzeźnicki. W kikucie obciętego palca czuł pulsujący ból, lecz mimo to mocno ścisnął w rękę broń. Bradwell był uzbrojony w paralizator i niewielki ostry nóż. Ziemia drżała, a w powietrzu unosił się wstrętny, ciężki smród zgnilizny.

- Co teraz zrobimy? - zawołał Partridge.

- Zostań tutaj - polecił Bradwell.

Uniósł w górę broń, wrzasnął jak barbarzyńca i ruszył przeciwko nawale małych Pyłów.

Pyły ze świdrującymi oczkami i częściowo odsłoniętymi szkieletami przemieszczały się stadnie. Niektóre były zrosnięte ze sobą klatkami piersiowymi, szczękami lub czaszkami; inne piętrzyły się jedne na drugich. Wszystkie były stopione z ziemią, która poruszała się wraz z nimi, gdy nacierały na Bradwella. Żadne z tych stworzeń nie żyło samotnie. Były Gruponami, a jednocześnie Pyłami przytwierdzonymi do gruntu. Rzuciły się na Bradwella, szarpiąc go pazurami i wlokąc za sobą zwały ziemi, którą usiłowały go zasypać.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Bradwell szybkimi ciosami noża rozcinał warstwę ziemi i drobne ciała napastników. Pyły padały pokotem, lecz wciąż nadciągały nowe i było ich coraz więcej. Ich mrowie przykryło Bradwella i został uwięziony pod zbitą masą małych rojących się popielatych stworzeń.

Pressia chciała pobiec mu na pomoc, ale Partridge pchnął ją tak mocno, że upadła na plecy.

- Ja pójdę - rzucił.

- Do diabła, co ty wyprawiasz? - wrzasnęła.

Usta miała zakryte szarfą, a wiatr rozwiewał jej włosy. W zdrowej ręce trzymała nóż, a pięścią z głową lalki gotowa była zadawać ciosy. Partridge uświadomił sobie, że to jego młodsza siostra. Ta myśl uderzyła go z taką siłą, że na moment poczuł się oszołomiony. Jego młodsza siostra!

- Zostań tutaj! - rozkazał.

Lecz nic nie mogło jej powstrzymać. Gdy tylko Partridge puścił się biegiem, popędziła za nim. Doskoczyli do Bradwella i zaczęli nożami i hakami rąbać przygniatające go stwory. Partridge był silny i szybki. Najwidoczniej kodowanie coraz bardziej oddziaływało na jego organizm. Miał jednak przeciwko sobie zbyt wiele Pyłów, by móc im sprostać. Bradwell zatoczył się do przodu, a potem stracił równowagę. Warstwa ziemi zasypała mu nogi i unieruchomiła go. Wykręcał tułów, rzucając się jak ryba na haczyku, lecz nie zdołał się oswobodzić.

Teraz Pyły rzuciły się z pazurami i ostrymi zębami także na Partridge'a i Pressię. Na koszulach obojga niemal natychmiast pojawiły się plamy krwi. Chłopiec widział, jak stwory wskoczyły Bradwello-wi na plecy i zaatakowały ptaki pod koszulą.

Bradwell zawołał do Partridge'a i Pressii:

- Nie! Wracajcie!

Lecz oni wciąż walczyli. Kopali, młócili pięściami i chlastali nożami Pyły, spychając je z Bradwella.

Po chwili zalała ich kolejna fala tych stworzeń, sięgająca im do piersi. A za nią wznosiły się następne zwały napastników o rogatych łbach i kolczastych grzbietach. Partridge był pewien, że to koniec. Już nigdy nie odnajdzie matki.

Ale Pressia zawołała, przekrzykując przenikliwy pisk Pyłów:

- On nadjeżdża! Słyszę go!

- Kto? - zapytał Bradwell.

Samochód - cudowny czarny samochód - pruł naprzód, prze-orując się przez zwały Pyłów. Pryskały miażdżone żebra, kły, błyszczące oczy Wóz

zarzuciło, gdy zahamował gwałtownie tuż przed całą trójką. Partridge niewiele widział przez chmurę popiołu, unoszącą się za pojazdem, ale usłyszał dochodzący z wnętrza krzyk:

- Wsiadajcie, do cholery! Wsiadajcie!

Nie wiedział, czy może zaufać temu nieznanemu, ale nie miał wyboru. Odwrócił się i zobaczył, że Pressia pomaga wstać Bradwellowi, który zawołał do niego:

- Otwórz drzwi!

Partridge podbiegł do drzwi samochodu i otworzył je. Bradwell i Pressia wskoczyli do środka, a on za nimi. Jeszcze zanim zdążył zatrzasać drzwi, pojazd ruszył gwałtownie.

Nieznajomy siedział tuż przy samej kierownicy z powodu czegoś, co nosił na plecach. Obejrzał się przez ramię na Partridge'a; twarz miał oszpeconą bliznami i oparzelinami.

- To on, Pressio? - zawołał. - To ten Czysty?

- Tak! - odkrzyknęła. Widocznie знаła kierowcę. - A to jest Bradwell.

Mężczyzna szarpnął kierownicę i wóz uderzył przednim zderzakiem w jakiegoś Pyła, wzbijając chmurę popiołu oraz fontannę ziemi i szczątków, które spadły na maskę. Był chudy i żyłasty i poruszał się gwałtownie jak furia. Partridge kurczowo uchwycił się fotela. W Kopule przywykł do wszechobecnych poręczy. Ledwie pamiętał samochody i nigdy nie jechał pędzącym szaleńczo autem, prowadzonym przez wariata.

- Myślałam, że obaj zginęliście - rzekła Pressia do kierowcy.

- My myśleliśmy to samo o tobie! - odpowiedział.

- To jest El Capitan! - przedstawiła go.

- Chryste! - zawołał Bradwell, wskazując chmurę Pyłów za przednią szybą. - Jest ich mnóstwo!

Rozjechali kilka; rozprysły się pod kołami.

- Czy wiemy, dokąd mamy jechać, żeby odnaleźć matkę tego Czystego? -

spytał El Capitan.

Partridge uchwycił się oparcia siedzenia przed sobą i pochylił się naprzód.

- Co wiesz o mojej matce?

I wtedy, nie wiadomo skąd, na plecach kierowcy pojawiła się nagle czyjaś głowa z drobną bladą twarzą poznaczoną bliznami. Ten ktoś rozwarł małą, ciemną jamę ust i powiedział:

- Matce.

- O rany! - wrzasnął Partridge i rzucił się wstecz, uderzając plecami w oparcie swego fotela.

Szofer wybuchnął śmiechem i tak gwałtownie skręcił kierownicę, że Partridge walnął głową w boczną szybę.

- A to jest Helmud - rzekła Pressia. - Jego brat.

Pyły nie tylko pokąsały i podrapały Bradwella, lecz także rozerwały jeden z dwóch szwów z tyłu jego koszuli. Przez rozdarcie Partridge dostrzegł jednego z ptaków wtopionych w plecy Bradwella - trzepoczące szare skrzydła, nieco poplamione krwią. Wyglądało na to, że są tam tylko trzy ptaki. Partridge spodziewał się ich więcej, sądząc po ich kotłowaniu się pod koszulą. Dwa bez przerwy roiły się nerwowo. Najspokojniejszy - ten, którego Partridge wyraźnie widział - miał czerwony dziób wbity w mięśnie Bradwella i w jego skórę pokrytą dawnymi oparzelinami. Pierze przy dziobie miał skołtunione. Jego błyszczące, czarne oczy były ledwie widoczne na tle czarnych piór. Przez chwilę Partridge miał wrażenie, że ptak przygląda mu się zaskoczony tymi nieruchomymi bystrymi oczami, jakby chciał o coś zapytać. Wyglądał na słabego i chorego.

- Jeden z ptaków jest ranny - powiedział Partridge z ustami pełnymi popiołu.

- Twoja matka będzie miała lekarstwa - rzekł z przekonaniem El Capitan.

- Ludzie z Kopuły chcieli, żebyśmy je zabezpieczyli, jeśli ją odnajdziemy. Założę się, że ona ma coś, co wyleczy twoje rany - zwrócił się do Bradwella.

- Lekarstwa? - powtórzył Bradwell, spoglądając na Pressię.

- Jeżeli rzeczywiście ją znajdziemy, nie chcę, żeby zniszczono cokolwiek należącego do niej - rzekła stanowczym tonem.

Partridge uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nie zna tych ludzi. Wkroczył bezceremonialnie w ich życie, lecz wciąż są dla niego obcy. Nie rozumiał ich ani tego świata. Czy matka też wyda mu się obca?

Wyjrzał przez okno. Jechali tak szybko, że mijany płaski, wypalony teren rozmazywał mu się przed oczami. Czyjego matka ocalała i żyje gdzieś pośród tych wzgórz? Czy opowiedziała mu historię o łabędziej żonie po to, by przypomnieć ją sobie właśnie teraz, wiele lat później? Kiedy ostatnio czuł, że naprawdę wie, co robi? Wpatrzył się w pęknięty wisiołek w kształcie łabędzia, wiszący na łańcuszku na szyi Pressii. Wisiołek kołysał się w rytm podskoków samochodu, uderzając o obojczyki dziewczyny, zakrwawione i powalane smugami sadzy. Niebieskie oko łabędzia było maleńkie i delikatne. Do czego ma posłużyć ten wisiołek? Co oznacza?

ŁYDA

ŁYDA WYSZŁA Z OSTATNIEGO pomieszczenia i drzwi zasunęły się za nią z głośnym trzaskiem ciężkiego zamka. Wbrew obietnicy strażnika na zewnątrz nie czekał na nią nikt z Oddziału Specjalnego.

Rozejrzała się po pogrążonej w mroku okolicy. Spostrzegła wirujące kłęby pyłu i popiołu, a w oddali lasy z drzewami o poskręcanych konarach oraz miasto - zwalone domy i nikłe, lecz wyraźne smugi dymu unoszące się w niebo. Była tu sama. Stała, trzymając w rękach niebieskie pudełko.

Odwróciła się w kierunku Kopuły i popatrzyła w górę na jej olbrzymie ściany. Potem delikatnie zapukała w drzwi, choć wiedziała, że po drugiej stronie nikogo nie ma. Z oddali spomiędzy drzew dobiegło ją dziwaczne wycie. Nie obejrzała się. Zaczęła walić pięścią w drzwi.

- Nikogo tu nie ma! - krzyknęła. - Nikt się nie zjawił, żeby mnie

eskortować!

Omal się nie rozplakała, ale zdołała się opanować. Pozwoliła, by jej pięść ześlizgnęła się w dół drzwi.

Odwróciła się i zauważyła koleiny wyżłobione przez koła. Ślady urywały się przed Kopułą i teraz dostrzegła wielki prostokątny zarys czegoś, co mogło być wrotami do rampy, o której wspomniał strażnik. Może nie powinien był jej o tym mówić. Teraz już wiedziała, że Kopuła nie jest całkowicie odcięta i utrzymuje łączność ze światem zewnętrznym. To kłóciło się ze wszystkim, czego ją uczono. Nie powinni byli pozwolić, żeby dowiedziała się o rampie. Lecz być może strażnik zdawał sobie sprawę, że nie ma znaczenia, czego ona się dowie, ponieważ już nigdy nie wróci do Ko-puły.

Cofnęła się o kilka kroków i poślizgnęła się na piasku. Przywykła do wyłożonych kafelkami korytarzy akademii dla dziewcząt, do kamiennych chodników wytyczonych przez darń, które nie poruszały się pod jej stopami, do szorstkich gumowych wykładzin podłogowych w ośrodku rehabilitacji. Schodziła teraz w dół zbocza, więc siłą rzeczy przyspieszyła kroku. Uświadomiła sobie, że naprawdę jest tutaj sama pod tym prawdziwym słońcem, pod zwałami chmur, które jak okiem sięgnąć zasnuwały niebo, pod bezkresem wszechświata - i puściła się biegiem. W akademii dziewczęta nie miały żadnych zespołów sportowych, chociaż każdego ranka w sali gimnastycznej odbywały godzinne zajęcia z rytmiki, ubrane w obcisłe jednoczęściowe trykoty z kusą pasiastą górą, zapinaną z przodu na zamek błyskawiczny. Łyda nie cierpiała tych trykotów i lekcji rytmiki. Kiedy ostatni raz pędziła tak jak teraz? Była dobrą biegaczką; mocne nogi niosły ją szybko.

Biegła przez jakiś czas w kierunku lasu. Nagle usłyszała elektryczne brzęczenie i niskie dudnienie. Dobiegało od skarłowaciałych drzew, ale nie potrafiła się zorientować, z jakiego kierunku. Przystanęła, lecz miała wrażenie, jakby nadal się poruszała. Tupot jej stóp zastąpiło łomotanie serca. Zlustrowała wzrokiem las i po chwili dostrzegła wielką, błyszczącą postać, poruszającą się

niezwykle szybko. Przypomniała sobie słowa strażnika: „Nie bój się. Te stwory nie są ludźmi”. I to miało być pocieszenie?

- Kto tam? - zawołała. - Kto tam jest?

Stworzenie znów załśniło, jakby jego skóra odbijała światło. A potem wstało wysokie, wyprostowane, i oddaliło się na długich muskularnych nogach, lekkością ruchów niemal przypominając pajaka. Uznała, że należy do Oddziału Specjalnego, ponieważ miało na sobie obcisły kombinezon w ciemnych maskujących barwach błota i popiołu. Do jego bladych rąk, napęczniałych od mięśni, były przytwierdzone lśniące czarne rewolwery, których nazw Łyda nie знаła. Stwór miał dłonie nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do reszty ciała, lecz doskonale dopasowane do kolb rewolwerów. Zauważyła też błysk noży, które przstraszyły ją bardziej niż broń palna, gdyż świadczyły o tym, że stwór gotów jest zadawać śmierć także w bardziej bezpośredni, intymny sposób.

Miał pociągłą, męską twarz z mocno zarysowaną szczęką, jednak Łyda nie całkiem potrafiła myśleć o nim jako o mężczyźnie. Jego oczy były wąskimi szparkami, ukrytymi pod wydatnym czołem. Stwór przyjrzał się dziewczynie, a potem podszedł do niej. Nie poruszyła się.

- Czekasz tu na mnie? - spytała. - Jesteś z Oddziału Specjalnego?

Powęszył w powietrzu wokół niej i kiwnął głową.

- Wiesz, kim jestem?

Znów pokiwał głową.

Jeśli nie był człowiekiem, to czym? I jak to się stało, że pracował dla Kopyły? Czy był jednym z nieszczęśników, którego przekształcono tak, aby strzegł Kopyły?

- Wiesz, dokąd masz mnie zaprowadzić?

- Tak - odrzekł. Głos miał ludzki, nawet z nutą melancholii i tęsknoty. - Znam cię - oświadczył.

To ją przstraszyło, choć nie umiałaby powiedzieć, dlaczego.

- Jestem twoją podopieczną - rzekła. - A może powinnam raczej

powiedzieć: zakładniczką?

- Oczywiście - potwierdził, a potem odwrócił się do niej tyłem i przykucnął. - Zaniosę cię. Tak będzie szybciej.

Zawahała się.

- Poniesiesz mnie na barana? - spytała. Zaskoczyło ją, że pamiętała to określenie. Nie używała go od wieków.

Nie odpowiedział, tylko czekał bez ruchu. Rozejrzała się. Nie miała wyboru.

- Dano mi to pudełko - oznajmiła. - Mam je komuś dostarczyć.

Wyciągnął rękę i wziął je od niej.

- Zaopiekuję się nim.

Wahała się jeszcze przez chwilę, a potem wdrapała mu się na plecy. Objęła go za szyję i splotła dłonie.

- Jestem gotowa.

Pognał między drzewami, oddalając się od miasta. Biegł równym szybkim krokiem, niemal bezszelestnie. Nawet gdy przeskakiwał przez wysokie zarośla, lądował cicho, bez hałasu. Czasami zatrzymywał się nagle i krył się za kępą drzew. Łyda usłyszała przenikliwe ujadanie zabłąkanego bezdomnego psa i czyjś śpiew. Śpiew! Zaskoczyło ją, że tutaj, na zewnątrz Kopuły, ludzie nadal śpiewają.

Stwór rwał naprzód. Łyda oddychała z trudem zimnym powietrzem, gdyż szarfa zakrywała jej nos i usta. W uszach świstał wiatr. Czy tak wyglądała dawniej jazda konna - wiatr, umykające w tył drzewa i szalony pęd? Siedziała na plecach żołnierza jak małe dziecko, obejmując go rękami za szyję i oplatając nogami jego tułów. Ale w istocie on nie był żołnierzem - i w ogóle nie do końca człowiekiem. A ona nie była dzieckiem, tylko czymś w rodzaju ofiary.

Znów ze wszystkich stron usłyszała elektryczne brzęczenie. Stwór przystanął, uniósł rękę do ust i wydał jakiś zew, którego Łyda jednak nie usłyszała; być może ten dźwięk mieścił się w rejestrze nieuchwytnym dla

ludzkiego ucha. Wiedziała jednak, że to wołanie, gdyż poczuła wibracje klatki piersiowej stwora, którą ścisnęła kolanami. Zatrzymał się bez ruchu.

- Zaczekamy tutaj - oznajmił i uklęknął, by mogła zsiąść.

Stała chwiejnie na trzęsących się nogach.

- Wiesz, kogo szukamy? - spytała.

Spojrzał na nią ostro przez ramię, jakby poczuł się dotknięty.

- Oczywiście - odrzekł.

- Przepraszam - rzuciła. Milczeli przez chwilę, a potem spytała: - Skąd mnie znasz?

Popatrzył na nią szczelinami oczu.

- Ja byłem - rzekł.

- Byłeś czym?

- Byłem - powtórzył. - A teraz nie jestem.

Łyda widziała, że stwór jest dość młody - może najwyżej kilka lat starszy od niej. Jego twarz o gęstych brwiach i mocnej szczęce nie przypominała Łydzie nikogo znajomego - ale może kiedyś wyglądał inaczej?

- Czy znam cię z akademii? - spytała. - Uczyłeś się tam?

Wpatrzył się w nią, jakby usiłował sobie przypomnieć coś dawno utraconego.

- Byłeś studentem akademii. A potem zostałeś członkiem Oddziału Specjalnego. Czy oni cię tak przekształcili?

Pomyślała o tym niewielkim elitarnym korpusie. Niemożliwe, by zrobiono im coś takiego. To byłoby niewiarygodne okrucieństwo. Dotknęła jednego z rewolwerów. Widziała miejsce na ręce stwora, w którym metal wrosłał w fałdy skóry.

Nie odezwał się ani nie poruszył. Po prostu patrzył na jej twarz.

- A co z twoją rodziną? - spytała. - Czy oni wiedzą, że przebywasz tutaj?

- Ja byłem - powtórzył. - A teraz nie jestem.

PRESSIA ŚWIATŁO

PRESSIA CZUŁA SIĘ ZAGUBIONA. Wokół samochodu wirowały tumany pyłu, a przed nimi na wschodzie rozciągał się nagi jałowy obszar dawnego parku narodowego. To była ich ostatnia szansa, ale być może ten trop zaprowadzi ich donikąd.

- Moglibyśmy dawać sygnały dymne - zaproponowała.

Bradwell obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Racja - przytaknął, jakby sam też myślał o czymś podobnym. - Wprawdzie zauważono by je również z Kopuły, ale mogłyby okazać się skuteczne.

- Powtórz jeszcze raz cały tekst z kartki urodzinowej - zwróciła się do Partridge'a. - El Capitan jeszcze go nie słyszał.

- To bezcelowe - rzekł chłopiec. - Tutaj niczego nie ma. Dalej na wschód jest tylko wzgórze, a za nim znów ciągnie się martwy pusty bezkres. Po co tu przyjechaliśmy? Tylko narażamy życie.

- Powtórz ten tekst - rzucił Bradwell.

Partridge westchnął.

- Zawsze zmierzaj ku światłu. Podążaj za swoją duszą. Ona może mieć skrzydła. Jesteś moją gwiazdą przewodnią jak ta, która weszła na wschodzie i prowadziła trzech królów. Szczęśliwych dziewiątych urodzin, Partndge'u! Kocham Cię, Mama. Bla, bla, bla!

J

- Zawsze zmierzaj ku światłu - powtórzył z namysłem El Capitan.

- Światłu - szepnął Helmud.

- Nic z tego nie rozumiem - oświadczył El Capitan.

- Nie rozumiem - powiedział Helmud.

Pressia rozpięła naszyjnik i ostry ból przeszył jej kark. Położyła wisiorok na dłoni i przyjrzała się niebieskiemu drogiemu kamieniowi. Podniosła klejnot

do oka, zmrużyła je i popatrzyła przez niego w dal, wskutek czego opustoszały krajobraz przybrał niebieski odcień.

- Jak działały okulary 3-D? - spytała. - No wiecie, te, które ludzie nosili w kinach, kiedy jedli z papierowych kubelków?

- Istniały rozmaite rodzaje okularów - odrzekł Bradwell. - W niektórych używano soczewek w odmiennych kolorach - czerwonej i niebieskiej - a na ekranie wyświetlano równocześnie dwa różne obrazy. Inne okulary były spolaryzowane i ich soczewki przetwarzały obrazy horyzontalne i wertykalne.

- Czy ktoś mógłby wysłać świetlną wiadomość, którą potrafiłaby dostrzec jedynie osoba patrząca przez specjalną soczewkę? - zapytała Pressia, myśląc na głos.

- W Kopule pewien chłopak, Arvin Weed, wysyłał wiadomości do akademika dziewcząt, błyskając laserowym piórem na szkolny trawnik - powiedział Partridge. Stukał kostkami palców w boczną szybę samochodu i wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem, jakby usiłował wyobrazić sobie tamtą scenę. - Mówiono, że próbuje wynaleźć taki typ lasera, którego światło mogłaby zobaczyć tylko jego dziewczyna.

- Zatem, gdybyś ktoś chciał, aby go odszukano, a nie mógłby użyć sygnałów dymnych, mógłby wykorzystać taki rodzaj światła, które można dostrzec wyłącznie przez specjalną soczewkę - powiedziała Pressia.

- Partridge, co wiesz o fotonach? O świetle podczerwonym i ultrafioletowym? - spytał Bradwell. - Czy w Kopule uczyli was dużo fizyki?

«1 ‘

- Nie byłem najlepszym uczniem - przyznał Partridge. - Dysponowaliśmy dość prostymi sposobami wykrywania takich rodzajów światła. Ale Weed miał rację. Istnieją inne poziomy promieniowania świetlnego. Mógłby skierować ze swojego okna do okna swej dziewczyny świetlny promień, który zobaczyłaby przez soczewkę pozwalającą dostrzec wyłącznie światło o częstotliwościach spoza zakresu widzialnego. No wiecie, dwieście sześćdziesiąt dwa, trzysta

czterdzieści dziewięć, trzysta siedemdziesiąt pięć.

Pressia i Bradwell wymienili spojrzenia. Żadne z nich nic nie wiedziało o tych kwestiach. Zobaczyła, że przez twarz Bradwella przemknął cień. Pomyślała, że pewnie bardzo chciałby móc zgłębiać tego rodzaju zagadnienia. Obydwojgu im ukradziono edukację, którą Partridge uważał za oczywistość.

Chłopiec jednak niczego nie zauważył i mówił dalej:

- Do wykrycia takiego światła byłaby potrzebna specjalna soczewka. Promień można by precyzyjnie skierować wyłącznie do osoby patrzącej przez tę soczewkę, ponieważ lasery nie rozpraszają światła, tylko wysyłają skupioną wiązkę.

- Podobnie jest z psem, który słyszy dźwięk gwizdka spoza zakresu naszego słuchu - powiedział Bradwell.

- Chyba tak - bąknął Partridge. - Nigdy nie miałem psa.

- Światło w określonym spektrum można dostrzec wyłącznie przez jeden specyficzny rodzaj filtru? - spytała Pressia.

- Właśnie - potwierdził Partridge.

Dziewczynę przebiegł dreszcz ekscytacji. Ponownie spojrzała przez niebieski klejnot i krajobraz przed nią znów zalało błękitne światło.

- A jeżeli ten kamień nie jest tylko okiem łabędzia, lecz także naszą soczewką, naszym filtrem? - zasugerowała.

- Zawsze zmierzaj ku światłu - zacytował Bradwell.

Pressia omiotła wzrokiem odległe wzgórza przed nimi. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po białym, migoczącym światełku, zatrzymało się i powróciło do niego. Wyglądało jak latarnia morska albo lampka na czubku świątecznej choinki w czasach Przedtem.

- Co zobaczyłaś? - spytał Bradwell.

- Nie wiem. Małe, białe światełko - odpowiedziała. Znów popatrzyła przez niebieski kamień i dostrzegła drugie białe światełko błyskające na wierzchołku innego odległego drzewa na zboczu wzgórza. - Czy to może być

ona?

Jeśli to dzieło jej matki, w takim razie to pierwsza rzecz, jakiej Pressia naprawdę się o niej dowiedziała - osobiście, a nie z opowieści, zdjęć czy mglistych wspomnień. Jej matka jest białym światełkiem migoczącym pośród drzew.

- Aribella Cording Willux - powiedział znowu Bradwell, podobnie jak poprzednio z lekkim zdziwieniem i podziwem.

- Mogę spojrzeć? - poprosił Partridge.

Podawała mu wisiorek. Chłopiec przesunął się na środek tylnego siedzenia, pochylił głowę, zmrużył oko i popatrzył przez klejnot.

- Widzę tylko mętną niebieską mgiełkę - oświadczył.

- Popatrz uważniej - powiedziała Pressia.

Nie oszalała. Widziała to światło. Było tam i migotało.

A potem on też je zobaczył. Wiedziała, że tak będzie.

- Czekaście - rzekł. - Ono jest prosto przed nami.

- Wobec tego kiedy pojedziemy bliżej, stracimy je z oczu - powiedział Bradwell. - Będziemy musieli znaleźć jakiś punkt orientacyjny, by nie zgubić tropu.

- Dotarliśmy już tak daleko - rzeki Partridge.

- Może dopisze nam szczęście - dorzucił El Capitan.

Helmud miał tępo otwarte usta, ale wciąż nerwowo gmerał palcami przy karku swego brata. Coś w jego wzroku kazało się Pressii zastanowić, czy nie jest bystrzejszy, niż na to wygląda.

- Szczęście - powiedział.

PRESSIA RÓJ

EL CAPITAN ZAPARKOWAŁ samochód pośród pnączy u stóp wzgórza, a następnie zamaskował go najlepiej, jak potrafił, wyrwanymi z ziemi kępami roślin, korzeniami i zielskiem. Pouczył pozostałych, jakich roślin mają

nie dotykać:

- Te z kolcami na końcach trójpalczastych liści są żrące. Pokrywa je cienka warstwa kwasu powodującego powstawanie pęcherzy na skórze. - Wskazał skupisko białych rozkwitających grzybów. - Tamte roznoszą infekcję. Jeśli się na nie nadeptnie, pękają i rozsiewają zarodniki. - Powiedział też, że jedna z grup roślin ma częściowo cechy zwierzęce. - To kręgowce - wyjaśnił. - Ich jagody zwabiają rozmaite niewielkie stworzenia, a wtedy te rośliny duszą je i pożerają.

El Capitan prowadził ich, omijając najbardziej trujące rośliny. Partridge szedł jako drugi, a za nim podążała Pressia.

Bradwell uparł się, by zamykać pochód, „żeby trzymać tylną straż”, jak powiedział. Jednak Pressia przypuszczała, że niepokoił się o nią. Przypomniała sobie dotyk jego dłoni na szyi, zanim wyciął jej czip, i to, jak delikatnie musnął palcem bliznę na jej nadgarstku. A także jego oczy ze złocistymi plamkami. Skąd się wzięły te plamki? Wyglądało na to, że pojawiły się nagle. Można znaleźć

« piękno, jeśli wystarczająco mocno się go szuka. Co jakiś czas nachodziło ją wspomnienie tego, jak na nią patrzył, ogarniając spojrzeniem całą jej twarz. Myśl o tym budziła w niej niepokój podobny do tego, gdy ukrywamy jakiś sekret, mając nadzieję, że nikt go nigdy nie odkryje.

Wdrapywali się z trudem na zbocze wzgórza. Przedzierali się przez kolczaste jeżyny i cierniste pnącza, starając się trzymać kierunku, w którym znajdowało się białe światło. Pressia szła chwiejnie i niepewnie; czuła się, jakby miała nogi nowo narodzonego źrebaka. Gdzieniedzie nieoczekiwanie natrafiali na warstwy luźnego żwiru grożącego osunięciem. Gdy po nim przechodzili, słyszała pod stopami cichy chrzęst ocierających się o siebie kamyków. El Capitan sapał, a Helmud na jego plecach niekiedy cicho mlaskał i mamrotał. Każde z nich czworga od czasu do czasu potykało się i traciło równowagę. Wiał zimny porywisty wiatr, co otrzeźwiało Pressię i pomagało jej zachować

czujność. Z tyłu za ich plecami wiły się Martwe Ziemie.

Obecnie wyraźniej odczuwała swoje ciało. Wzrok wciąż miała nieco zamglony, słuch lekko przytępiony, a w głowie i w ranie na szyi pulsował tępy ból.

Jeżeli odnajdzie matkę, to czy nie wyda tym na nią wyroku śmierci? Jeśli zdołają jakoś przenieść Aribellę w bezpieczne miejsce i nie przekażą jej Kopule, to wszyscy staną się celem polowania. A jeśli im się riie uda i Oddział Specjalny pierwszy dopadnie jej matkę, Pressia będzie już niepotrzebna i ją zabiją.

Poczuła w żołądku skurcz lęku. Powinna się cieszyć, że matka być może żyje i przebywa w bunkrze pośród wzgórz. Lecz jeśli tak jest, to dlaczego nie przyszła po córkę? Ten bunkier nie leży na końcu świata, tylko całkiem niedaleko. Dlaczego nie wyszła z niego, by odszukać Pressię i sprowadzić ją do siebie? A jeśli istnieje prosta odpowiedź: „Ponieważ uważała, że to nie jest warte ryzyka”? Jeśli odpowiedź brzmi: „Ponieważ nie kochała jej wystarczająco mocno”?

Partridge przystanął i Pressia omal na niego nie wpadła.

- Zaczekajcie - powiedział.

Wszyscy znieruchomieli i ucichli.

- Coś usłyszałem - oznajmił.

Z zarośli dobiegało nikłe brzęczenie. Po chwili stało się głośniejsze, a potem nad ich głowami rozległ się trzepot licznych skrzydeł.

Spomiędzy koron drzew opadła na nich mglista, złocista chmura. El Capitan bił rękami w powietrzu. Pressia waliła w coś, co wyglądało na rój wielkich pszczół o grubych twardych pancerzach jak u żuków. Ogłuszające brzęczenie wypełniało czaszkę i klatkę piersiową, wprawiało w drżenie pobliskie drzewa. Owady zdawały się wirować w jej głowie. Partridge trafił kilka; upadły w krzaki jeżyn.

Lecz wtedy dokładnie przyjrzała się jednemu z nich, leżącemu na ziemi. Przypominał Freedle'a, tylko że nie był zardzewiały ani cętkowany. Podniosła

go i zamknęła w dłoni, żeby nie odfrunął. Natychmiast rozpoznała to doznanie. Nawet nie patrząc, wiedziała, że trzyma w ręku grubego lśniącego owada. Złożył skrzydła przy tułowiu jak cykada - tyle że jego były z cienkiego lekkiego bogato zdobionego metalu. Miał drobne druczane żebra, obracające się powoli kółeczka zębate, żądło osy - złocistą igłę przypominającą ogon - i małe oczka po bokach głowy.

- Zaczekajcie! One nam nie zagrażają! - zawołała, a wtedy owad wydał znajomy trzask i cichy warkot.

- Skąd wiesz? - zapytał Partridge.

- Niemal przez całe życie trzymałam u siebie w domu jednego takiego owada.

- Skąd pochodził ten twój? - spytał Bradwell.

- Nie wiem. Po prostu był u nas od zawsze.

- Kartka urodzinowa - powiedział Partridge. - Podążaj za swoją duszą.

Ona może mieć skrzydła.

- Co to wszystko znaczy? - wtrącił El Capitan. - Podążaj za swoją duszą?

- Duszą - powtórzył Helmud.

- To znaczy, że jesteśmy już blisko - rzekł Partridge.

- Zaczekajcie - powiedział.

Wszyscy znieruchomieli i ucichli.

- Coś usłyszałem - oznajmił.

Z zarośli dobiegało nikłe brzęczenie. Po chwili stało się głośniejsze, a potem nad ich głowami rozległ się trzepot licznych skrzydeł.

Spomiędzy koron drzew opadła na nich mglista, złocista chmura. El Capitan bił rękami w powietrzu. Pressia waliła w coś, co wyglądało na rój wielkich pszczół o grubych twardych pancerzach jak u żuków. Ogłuszające brzęczenie wypełniało czaszkę i klatkę piersiową, wprawiało w drzenie pobliskie drzewa. Owady zdawały się wirować w jej głowie. Partridge trafił kilka; upadły w krzaki jeżyn.

Lecz wtedy dokładnie przyjrzała się jednemu z nich, leżącemu na ziemi. Przypominał Freedle'a, tylko że nie był zardzewiały ani cętkowany. Podniosła go i zamknęła w dłoni, żeby nie odfrunął. Natychmiast rozpoznała to doznanie. Nawet nie patrząc, wiedziała, że trzyma w ręku grubego lśniącego owada. Złożył skrzydła przy tułowiu jak cykada - tyle że jego były z cienkiego lekkiego bogato zdobionego metalu. Miał drobne druczane żebra, obracające się powoli kółeczka zębate, żądło osy - złocistą igłę przypominającą ogon - i małe oczka po bokach głowy.

- Zaczekajcie! One nam nie zagrażają! - zawołała, a wtedy owad wydał znajomy trzask i cichy warkot.

- Skąd wiesz? - zapytał Partridge.

- Niemal przez całe życie trzymałam u siebie w domu jednego takiego owada.

- Skąd pochodził ten twój? - spytał Bradwell.

- Nie wiem. Po prostu był u nas od zawsze.

- Kartka urodzinowa - powiedział Partridge. - Podążaj za swoją duszą.

Ona może mieć skrzydła.

- Co to wszystko znaczy? - wtrącił El Capitan. - Podążaj za swoją duszą?

- Duszą - powtórzył Helmud.

- To znaczy, że jesteśmy już blisko - rzekł Partridge.

- Myślisz, że to ona je wysłała? - spytała Pressia.

- Gdyby tak było, wiedzialaby, że przybywamy A to niemożliwe - zawyrokował Bradwell.

- Jak inaczej dowiedzielibyśmy się, dokąd mamy dalej pójść pośród tych wzgórz? Te owady przyleciały tutaj, żeby poprowadzić nas przez resztę drogi - powiedział Partridge. - To część planu opracowanego już dawno temu.

- Ale przecież każdy mógł znaleźć ten naszyjnik i podnieść do oczu klejnot w wisiorze - zaproponował Bradwell. - Te owady mogły zaprowadzić do niej wroga.

Cykada zadrżała w ręce Pressii. Dziewczyna rozchyliła dłoń na tyle, by móc zerknąć przez szczeliny między palcami.

Kółeczka zębate zwiększyły obroty. Owad przechylił głowę, a potem z jednego jego oczka trysnął promień światła, trafiając w jej lewe oko. Dziewczyna zamrugnęła; oko zaczęło jej łzawić. Stworzenie ponowiło próbę.

- Mechaniczny owad ze skanerem siatkówki - powiedział Partridge.

- Pochodzi z dawnego świata - domyślił się Bradwell. - Ale zdaje się, że nie rozpoznał Pressii.

Dziewczyna podniosła wzrok na Partridge'a.

- Ty spróbuj - rzekła. - Jeśli wysłała go matka, to ciebie rozpozna.

Koralik pośrodku piersi owada zamigotał, a skrzydełka zatrzepotały.

- On wie, kim jesteś - powiedział Bradwell do Partridge'a.

Owad zaczął machać skrzydełkami.

Pressia otworzyła dłoń i uniosła ją w górę.

- Zobaczmy, dokąd nas zaprowadzi - zaproponowała.

Jeśli te owady wysłała jej matka, to czy Freedle był prezentem od niej?

Owad rozbłysnął, wzbił się w powietrze i pofrunął między konary drzew.

PARTRIDGE IMPULSY

WSZYSTKIE OWADY ROZPROSZYŁY SIĘ, z wyjątkiem tego, który zeskanował oko Partridge'a. To dziwne uczucie - zostać rozpoznany dzięki siatkówce oka. Partridge przypuszczał, że matka zorganizowała to jeszcze przed Wybuchem, obmyśliła wszystko zawczasu i poleciła dokonać zapisu jego siatkówki. Myśl o szczegółowości jej planu wytrąciła go z równowagi. Skoro potrafiła tak precyzyjnie wszystko przygotować, to dlaczego nie zapobiegła rozpadowi rodziny? Pragnął się dowiedzieć, co wydarzyło się w tych ostatnich dniach poprzedzających zagładę świata.

Jednocześnie jej plan wydawał mu się ryzykowny i niepewny. Mógł przecież tyle razy zgubić trop, dlatego zastanawiał się, czy matka naprawdę

wierzyła, że uda mu się poskładać do kupy wszystkie te znaki i zagadki. Czyż w dzieciństwie nie zdarzało się, że nie umiał bez jej pomocy odnaleźć prezentów od niej, bo nie potrafił rozwiązać obmyślonych przez nią zagadek, mających stanowić wskazówki? Przypuszczał, iż ten jej plan zrodził się z desperacji. Zaimprovizowała go, działając pod presją, jakiej nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Owad frunął szybko przed nimi między drzewami, znacznie ich wyprzedzając. Osobliwy był widok kogoś tak twardego i szorstkiego jak El Capitan, podążającego za maleńkim skrzydlatym robaczkiem, jakby był zbieraczem motyli.

Bradwell, Pressia, El Capitan i Helmud - to byli teraz jego przyjaciele, jego paczka. Wspomniał Pakę chłopców z akademii - jak widział ich ostatni raz i żegnał się z nimi w centrum kodowania. Vic Wellingsly, Algrin Firth, bliźniacy Elmsford - barczyści, o grubych głosach. Odpychali jeden drugiego i każdy szedł własną drogą. Nieoczekiwanie Partridge zatęsknił za Hastingsem. Czy przyjaciel posłuchał jego rady i kiedykolwiek zjadł lunch z Arvi-nem Weedem? A może spróbował przyłączyć się do Paki? Partridge zastanawiał się, czy któryś z nich czasem o nim myśli. Ciekawe, jaką historyjkę opowiedziano im o jego zniknięciu? Może sądzą, że miał wstawionego tykacza i tak jak mówili, ktoś pstryknął włącznik, by skrócić jego męki?

Idący na czele El Capitan zatrzymał się i wskazał palcem drzewa. Pozostali znieruchomieli i zaczęli wypatrywać. Partridge zmrużył oczy, starając się przeniknąć wzrokiem cienie pod konarami. Zobaczył bardzo szybki ruch światła. Zakołysała się jakaś gałąź, zaszeleściły liście. Jednak nikogo tam nie dostrzegł.

- To oni - rzekł El Capitan. - Oddział Specjalny. Właśnie tak porozumiewają się ze sobą. Czujecie elektryczność w powietrzu? To coś w rodzaju echolokacji.

- Oddział Specjalny? - zdziwił się Partridge.

- Ale skąd wiedzą, że tu jesteśmy? - spytał Bradwell.

- Przecież nie mam już czipa - dodała Pressia. - To bez sensu.

Impuls elektryczny zatrzeszczał jak ładunek elektryczności statycznej i wywołał ciarki na skórze Partridge'a. Powietrze wypełniło brzęczenie. Chłopiec usiłował zlokalizować źródło tych impulsów rozchodzących się jak fale.

- Oni są częściowo zwierzętami, a częściowo maszynami - wyjaśnił El Capitan. - Mogli nas wywęszyć.

- Ale nie z odległości mili - zaproponowała Pressia. - Musieli dostać cynk. Partridge spojrzał na nią.

- Twoje oczy - powiedział. - Ten mechaniczny owad powinien był rozpoznać je tak samo jak moje. Matka prawdopodobnie zeska-nowała siatkówki oczu nas obojga, prawda?

- Nie wiem - rzekła niepewnie Pressia.

- Interferencja - domyślił się Partridge. - Oto jak nas odnaleźli.

Pomiędzy drzewami przebiegały teraz szybkie serie krzyżujących się impulsów.

- O czym ty mówisz? - rzucił Bradwell.

- Gdzie byłaś? - zapytał Partridge dziewczynę. - Chodzi mi o ten samochód. On nie ocalał z Wybuchu. Pochodzi z Kopuły. Więc są tu również inne rzeczy z Kopuły. Zgadza się? Co oni ci zrobili?

- W głównej kwaterze OPR ubrano mnie, nakarmiono i próbowano zmusić, żebym zastrzeliła człowieka, a w końcu zabrano mnie do wiejskiego domu i tam zatruto.

- Zatruto cię?

- Właściwie nie wiem, co się stało. Straciłam przytomność, uspiono mnie czymś w rodzaju eteru, a później ocknęłam się w samochodzie. Bolała mnie głowa i byłam zamroczone. Widziałam niewyraźnie i miałam przytępiony słuch.

- Wszczepiono ci pluskwę - orzekł Partridge.

- O czym mówisz? - spytał go Bradwell.

- Ojej oczach, uszach - odrzekł Partridge. - Chryste! Oni widzieli i słyszeli wszystko to co ona.

Spojrzał na Pressię i przez chwilę zastanawiał się, czy ojciec obserwuje go teraz. Wyobraził sobie, że sam zagląda do Kopuły przez jej oczy.

- Więc na próżno usunąłeś mi tamten czip? - wyszeptała do Bradwella.

- Nie - zaprzeczył. - To tylko tymczasowe, tak? Możemy uwolnić ją od tych urządzeń inwigilacyjnych, prawda?

- Nie wiem - odparł Partridge.

- Te elektryczne impulsy stają się coraz silniejsze - wtrącił El Capitan. - Co oznacza, że oni szybko się do nas zbliżają.

- No dobrze, nie wpadajmy w panikę - powiedział Bradwell. - Ona ma pluskwę, to wszystko.

- Właściwie sprawa wygląda gorzej - rzekł Partridge. Nie chciał mówić dalej, ale musiał. Odwrócił się do Pressii. - Ten twój ból głowy. Masz tam jakieś rozcięcie lub siniak?

- Myślę, że uderzyłam się w głowę, kiedy szamotałam się z In-gershipem.

Partridge przypomniał sobie, że Hastings panicznie bał się ty-kacza. Powiedział wtedy przyjacielowi, że tykacz nie istnieje, że to tylko mit. Jednak się mylił.

- Co jest? - zapytał go Bradwell. - Co się stało? Powiedz nam.

Impulsy napływały teraz jeszcze szybciej. Trzaski i elektryczne brzęczenie zdawały się odbijać wokół nich echem od okolicznych drzew.

- Ona ma w głowie bombę - oznajmił Partridge.

- Do diabła, o czym ty mówisz? - zawołał Bradwell.

Pressia wbiła wzrok w ziemię, jakby przypominała sobie, co zaszło w wiejskim domu, i dopasowywała elementy tej układanki.

Partridge wyjaśnił:

- Mają guzik, który mogą nacisnąć, i jeśli to zrobią, jej głowa eksploduje.

Wszyscy spojrzeli na Pressię. Przez chwilę Partridge zastanawiał się, czy

dziewczyna się rozplacze. Wcale by się nie dziwił. Pressia jednak tylko popatrzyła na nich z powagą, jakby zaakceptowała tę wiadomość. Partridge uświadomił sobie, iż on sam wciąż jeszcze nie potrafi pogodzić się z myślą, że ludzkie istoty są zdolne do takiego zła i okrucieństwa.

Wreszcie dziewczyna odwróciła wzrok i spojrzała w górę zbocza. Po chwili coś zauważyła.

- Ten owad się zatrzymał i unosi się w powietrzu.

Mechaniczna cykada zataczała niewielkie kręgi nad jednym miejscem. El Capitan zaczął tam kopać w ziemi gołymi rękami i odsłonił grubą półokrągłą tafłę szkła.

- To tutaj - oznajmił.

*

Partridge podbiegł, położył się na brzuchu i zajrzał do środka. Było tam ciemno, ale głęboko pod ziemią coś się jarzyło.

- Tak, to tutaj! - zawołał. - Znajdźcie jakiś kamień. Spróbujemy rozbić tę szybę i włamać się do środka.

Impulsy stały się niemal nieprzerwane, ciągłe. Elektryczne brzęczenie przybrało wyższy jękliwy ton. Nie było już czasu na szukanie kamienia.

Spomiędzy drzew wyłoniło się kolejno pięć postaci. Wyglądały groteskowo - miały monstrualnie wielkie uda i wydatne klatki piersiowe, a w ich ramiona z grubymi węzłami mięśni wtopiono cały arsenał broni. Ich twarze były zdeformowane, a czaszki rozdęte przez wydłużone i wystające kości. Czy to możliwe, że ci żołnierze - te stwory - byli kiedyś uczniami akademii? Mocowali się na zielonej darni, wysiadali na lekcjach Welcha przed projektorem wyświetlającym na ścianie reprodukcje dzieł sztuki, przysłuchiwali się, jak Glassings snuje swoje ryzykowne dygresje? Ilu jeszcze takim chłopcom Kopuła wyrządziła podobne okropieństwo? Czy zamierzano tak postąpić również z Sedge'em? Czy właśnie to stało się jedną z przyczyn jego samobójstwa?

Jeden ze stworów uderzeniem łokcia w twarz obalił na ziemię El

Capitana, który zwałił się ciężko na plecy, wskutek czego główny impet upadku przyjął na siebie Helmud. Stwór wyrwał El Capi-tanowi karabin z ręki.

Pojawił się następny; jego sylwetkę częściowo skrywała wydęta biała tkanina. Jednak po chwili Partridge zorientował się, że to materiał jednoczęściowego kombinezonu i że ta drobna postać z ogoloną głową i twarzą zasłoniętą białą szarfą to kobieta. Żołnierz - jeśli tak go można nazwać - trzymał ją, obejmując mocno w pasie. Ściągnął jej z twarzy szarfę.

To była Łyda; Partridge ujrzał jej delikatne kości policzkowe, gładką twarz, teraz ubrudzoną popiołem, cudownie błękitne oczy, mały nosek.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytał oszołomiony, lecz znał odpowiedź, przynajmniej częściowo.

Dziewczyna była zakładniczką, a sprowadzono ją tutaj, aby zmusić go do podjęcia decyzji. Ale jakiej decyzji?

- Partridge - wyszeptała.

Spostrzegł, że ściska w dłoniach małe niebieskie pudełko. Przemknęło mu przez głowę, że przebyła całą tę drogę, aby dać mu coś,

Oczym zapomniała wcześniej przed wieczorkiem tanecznym - może kwiatek do butonierki? Wiedział, że to absurdalna myśl, jednak nie potrafił się jej pozbyć.

Łyda uniosła pudełeczko.

- To dla dziewczyny, która nazywa się Pressia Belze - wyjaśniła i popatrzyła na stojącą przed nią grupkę.

Pressia wystąpiła naprzód i podeszła do Łydy, lecz najwyraźniej nie chciała wziąć od niej pudełka.

Łyda także się zawahała. Spytała:

- Czy to ty jesteś łabędzią?

- Co powiedziałaś? - rzucił szybko Partridge.

- Kto tutaj jest łabędziem? - zapytała Łyda.

- Czy ktoś wspomniał ci coś o łabędziu? - naciskał chłopiec.

- Oni czekają na łabędzicę - oświadczyła Łyda i wcisnęła pudełko w ręce Pressii. - Nic więcej nie wiem.

Chciała jak najszybciej pozbyć się tego prezentu. Budził w niej lęk.

Pressia spojrzała na Łydę, a potem na otaczających ją żołnierzy. Czerwone punkty celowników laserowych ich karabinów mierzyły w pierś Pressii. Dziewczyna drżącymi rękami otworzyła pudełko, odgarnęła bibułę i zajrzała do środka. Z początku Partridge odniósł wrażenie, że jest zdezorientowana. Potem podniosła wzrok i upuściła pudełko na ziemię. Zbladła, zatoczyła się do tyłu i osunęła się na kolana.

Łyda wyciągnęła ręce, by ją podtrzymać lub może podnieść pudełeczko, ale żołnierz szarpnął ją wstecz.

- Wstawaj! - krzyknął do Pressii. Spojrzała w górę na niego. Mierzył laserowym celownikiem w jej czoło. Potem powiedział spokojniej: - Wstań i rusz się. Już czas.

I w tym łagodniejszym tonie - a może w rytmie stów - Partridge usłyszał głos swego brata, który zwykł mówić do niego w ten sposób, kiedy Partridge był jeszcze zaspanym małym chłopcem, nie chciał się obudzić i naciągał kołdrę na głowę.

„Wstań i rusz się. Już czas”.

Sedge.

I w tym łagodniejszym tonie - a może w rytmie słów - Partridge usłyszał głos swego brata, który zwykł mówić do niego w ten sposób, kiedy Partridge był jeszcze zaspanym małym chłopcem, nie chciał się obudzić i naciągał kołdrę na głowę.

„Wstań i rusz się. Już czas”.

Sedge.

PRESSIA TUNEL

POCZĄTKOWO PRESSIA wmawiała sobie, że jej dziadek nie umarł. Po

prostu usunęli mu wiatraczek z gardła, wyleczyli je i zszyli ranę. Nadal klęczała. Nie mogła wstać. Popatrzyła w górę na twarz tej dziewczyny. To jakaś Czysta i Partridge ją zna. Nazwał ją Łyda.

- On nie umarł - powiedziała.

- Kazano mi powtórzyć ci, że tylko to zostało - rzekła do niej Łyda łagodnym tonem.

Małe łopatki wiatraczka błyszcząły, jakby ktoś je starannie wypolerował. Dziadek Pressii umarł. Właśnie to oznaczał ten przedmiot. A co znaczyło światło padające z półkolistego okna wkopanego w brudną ziemię. Ze jej matka żyje? Czy tak działa ten świat - nieustannie odbiera i daje? To okrutne.

Wciąż klęcząc, Pressia chwyciła garść ziemi.

Ma w głowie bombę. Kopuła widzi i słyszy to co ona. Słyszeli wszystko, o czym ona i Bradwell rozmawiali ubiegłej nocy - jego przyznanie się do kłamstwa i do pragnienia, by ujrzeć swego ojca z silnikiem w piersi; to, co mówił o bliźnie na jej nadgarstku. Poczuli się ogołoceni z wszelkiej prywatności i intymności. Popatrzyła na Bradwella. Na jego pięknej twarzy malowała się udręka. Zamknęła oczy, aby oni przez nie nic już nie zobaczyli. Przycisnęła do uszu pięść z głową lalki i brudną dłoń. Odetnie ich od wszystkich obrazów i dźwięków - ich, tych wrogów, ludzi, którzy zabili jej dziadka i mogą zabić również ją, rozsadzając jej głowę za pomocą zdalnie sterowanego włącznika. Lecz ta głucha ciemność była jeszcze gorsza. Chcąc ich ukarać, Pressia karała samą siebie. Pragnęła wyszeptać: „Zabijcie mnie. No dalej, zróbcie to” - jakby w ten sposób mogła zdemaskować ich blef. Ale problem polega na tym, że oni nie blefują.

Znów spojrzała na Bradwella. Wpatrywał się w nią, jakby rozpaczliwie pragnął jej pomóc. Bezgłośnie wymówił jej imię, ale pokręciła głową. Oni zamordowali Odwalda Belze'a, a potem polecili komuś, aby wypolerował wiatraczek wyjęty z gardła dziadka, owinał go w bladoniebieską bibułkę i znalazł odpowiednie pudełeczko. Ludzie, którzy to zrobili, mają dostęp do jej

głowy. To niezbite fakty.

Wstała, wciąż ściskając w pięści garść ziemi. Płakała bezgłośnie. Łzy spływały wolno po jej brudnych policzkach.

Partridge wydawał się oszołomiony. Na jego twarzy widniała dziwna mieszanina strachu i czegoś, co wyglądało na trwożne wyczekiwanie. Patrzył na tę dziewczynę Łydę i na stojącego obok niej żołnierza. Te stwory, które przed kilkoma dniami obserwowala wraz z El Capitanem, okazały się żołnierzami. Wcześniej były ludźmi, młodymi chłopcami. Spozrzegła cykadę, która przysiadła na porośniętym futrem liściu i złożyła skrzydełka. Jej światełko zgasło.

Żołnierz, który zjawił się jako pierwszy, ruszył w kierunku Partridge'a. Pressii dzwoniło w uszach, ale starała się przysłuchiwać, zachować koncentrację.

Żołnierz powiedział do niego:

- Sprowadź swoją matkę. Nie ruszaj niczego w jej siedzibie. Przekaż ją nam. Oddamy ci tę dziewczynę. Jeżeli tego nie zrobisz, zabijemy dziewczynę i zabierzemy matkę.

- Dobrze, zrobimy to - rzucił szybko Partridge.

- Nie przecisnę się przez to okno - oświadczył Bradwell.

- Ani ja - rzekł El Capitan. - Nie z tym - dodał, wskazując na Helmuda.

Jeden z żołnierzy podszedł do okna, które umieszczono w ziemi nieco ukośnie, zgodnie z kątem nachylenia stoku wzgórza. Kopnął kolaniem szybę, wybijając w niej dziurę. Następnie wypchnął resztę szkła gołą pięścią, która jednak nie zaczęła krwawić.

- Wejdą tam tylko chłopak Willuksa i Pressia - zdecydował pierwszy żołnierz.

- Może jej tam nie ma - rzekła dziewczyna. - Może nie żyje.

Żołnierz przez chwilę milczał, jakby czekał na zdalne potwierdzenie rozkazów. Potem powiedział:

- Wówczas przyniesiecie jej ciało.

Półkoliste okno było ciemne; wewnątrz jarzyła się jedynie słaba poświata. Partridge wsunął się w nie nogami naprzód. Musiał wsadzić do środka jedną rękę, a potem spuścił się na dół. Pressia usiadła na brzegu okna; ziemię w pobliżu pokrywały odłamki szkła. Wsunęła nogi do środka i przez moment kołysała nimi. Potem poczuła, że Partridge chwycił jej stopy. Rzuciła ostatnie spojrzenie za siebie. Ujrzała El Capitana i Helmuda, wpatrujących się w nią w napięciu, i tę Czystą z ogoloną głową. A potem Bradwella z brudną pokrwawioną twarzą. Patrzył na nią, jakby chciał wryć sobie w pamięć jej obraz, jakby miał już nigdy więcej jej nie zobaczyć.

- Wrócę - zapewniła, lecz nie wiedziała, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy.

Jak w tym świecie ktokolwiek może obiecywać, że wróci? Przypomniła sobie uśmiechniętą buzię, którą narysowała na zakurzonych drzwiach szafki w mieszkaniu dziadka. To dziecinne, głupie kłamstwo.

Ześlizgnęła się z brzegu okna i wpadła do środka. Mimo pomocy Partridge'a ciężko upadła na ziemię.

Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu o podłodze i ścianach z ubitej ziemi. Było stąd tylko jedno wyjście - wąski korytarz wyścielony mchem. Spojrzała w górę przez półkoliste okno, lecz

* ~

- Ani ja - rzekł El Capitan. - Nie z tym - dodał, wskazując na Helmuda.

Jeden z żołnierzy podszedł do okna, które umieszczono w ziemi nieco ukośnie, zgodnie z kątem nachylenia stoku wzgórza. Kopnął kolaniem szybę, wybijając w niej dziurę. Następnie wypchnął resztę szkła gołą pięścią, która jednak nie zaczęła krwawić.

- Wejdą tam tylko chłopak Willuksa i Pressia - zdecydował pierwszy żołnierz.

- Może jej tam nie ma - rzekła dziewczyna. - Może nie żyje.

Żołnierz przez chwilę milczał, jakby czekał na zdalne potwierdzenie rozkazów. Potem powiedział:

- Wówczas przyniesiecie jej ciało.

Półkoliste okno było ciemne; wewnątrz jarzyła się jedynie słaba poświata. Partridge wsunął się w nie nogami naprzód. Musiał wsadzić do środka jedną rękę, a potem spuścił się na dół. Pressia usiadła na brzegu okna; ziemię w pobliżu pokrywały odłamki szkła. Wsunęła nogi do środka i przez moment kołysała nimi. Potem poczuła, że Partridge chwycił jej stopy. Rzuciła ostatnie spojrzenie za siebie. Ujrzała El Capitana i Helmuda, wpatrujących się w nią w napięciu, i tę Czystą z ogoloną głową. A potem Bradwella z brudną pokrzwawioną twarzą. Patrzył na nią, jakby chciał wryć sobie w pamięć jej obraz, jakby miał już nigdy więcej jej nie zobaczyć.

- Wrócę - zapewniła, lecz nie wiedziała, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy.

Jak w tym świecie ktokolwiek może obiecywać, że wróci? Przypomniała sobie uśmiechniętą buzię, którą narysowała na zakurzonych drzwiach szafki w mieszkaniu dziadka. To dziecinne, głupie kłamstwo.

Ześlizgnęła się z brzegu okna i wpadła do środka. Mimo pomocy Partridge'a ciężko upadła na ziemię.

Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu o podłodze i ścianach z ubitej ziemi. Było stąd tylko jedno wyjście - wąski korytarz wyścielony mchem. Spojrzała w górę przez półkoliste okno, lecz zobaczyła jedynie maleńki fragment nieba zasnuty szarymi chmurami i pocięty kilkoma gałęziami drzew.

W głębi korytarza męski głos zawołał:

- Tędy!

Na końcu korytarza pojawiła się wysoka postać o wąskich ramionach. Blask światła padał na nią od tyłu, toteż nie można było dostrzec jej pogrążonej w mroku twarzy. Przez chwilę Pressii przemknęło przez głowę słowo „ojciec”, lecz natychmiast uleciało. Nie mogła w to wierzyć. Nie mogła w nic wierzyć.

Odwróciła się do Partridge'a i rzuciła nagłym szeptem:

- Musisz mi powiedzieć o tej dziewczynie.

- To Łyda.

- Żeby ją ocalić, zamierzasz wydać im naszą matkę?

- Chciałem tylko zyskać na czasie. Łyda coś wie. Słyszała o łabędzicy.

Kto czeka na łabędzicę? Co to znaczy?

- Zamierzasz wydać im naszą matkę, jeśli żyje? - powtórzyła Pressia.

- Sądzę, że to ostatecznie nie będzie zależało ode mnie.

Pressia chwyciła go za koszulę.

- Zrobiłbyś to? Zrobiłbyś? Żeby ocalić Łydę? Ja to zrobiłam. Poświęciłam
mojego dziadka. On umarł.

Czy nie mogła go uratować? Gdyby wypełniła ich rozkazy...

Partridge spojrzał na nią uważnie.

- A co z Bradwellem? - rzucił.

To ją zaskoczyło.

- Dlaczego o niego pytasz?

- Co byś zrobiła, żeby go ocalić?

- Nikt nie żąda ode mnie, abym dla uratowania go wydała naszą matkę -
wyjaśniła. Czy Partridge oskarżają o to, że darzy uczuciem Bradwella? - Więc to
bez znaczenia.

- A gdybyś musiała dokonać wyboru?

Pressia nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Wolałabym wydać siebie.

- A gdyby to nie wchodziło w grę?

- Partridge - szepnęła. - Oni mogą słyszeć i widzieć to wszystko.

- Już o to nie dbam - odparł matowym głosem. W oczach miał łzy. -
Sedge. Mój brat. On nie umarł. Jest jednym z nich.

- Co takiego?

- Należy do Oddziału Specjalnego - wyjaśnił. - Jest jednym z tych

żołnierzy tam na górze. Zmienili go w... Nie wiem, czy to w ogóle jeszcze naprawdę on. Nie wiem, co zrobili z jego duszą. Nie możemy...

- Tędy - powtórzył gdzieś przed nimi męski głos, niski i stanowczy. - Jesteśmy tutaj.

Partridge chciał wziąć Pressię za rękę, lecz natrafił na pięść z głową lalki. Spodziewała się, że się cofnie, ale tego nie zrobił. Ujął głowę lalki, jakby to była dłoń Pressii, i obejrzał się na dziewczynę.

- Jesteś gotowa?

PARTRIDGE POD ZIEMIĄ

KLEPISKO PODŁOGI ZASTĄPIŁY w tunelu brunatne kafle z czarną fugą. Wilgotne powietrze pachniało stęchlizną. Na końcu korytarza świeciło kilka lamp, a wokół nich jak ćmy fruwały mechaniczne cykady, klekocząc metalowymi skrzydłami. Partridge trzymał swoją siostrę za pięść z głową lalki. Ta lalka była częścią niej. Wyczuwał pod spodem ludzkie ciepło prawdziwej żywej dłoni. Ogarnęła go fala opiekuńczych uczuć. Odtąd sprawy mogą potoczyć się źle. Wiedział, że nie powinien się tak troszczyć o Pressię; była twardsza od niego. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, przez co w życiu przeszła. Gdzieś tutaj jest ich matka. Ale czy okaże się taka, jaką pamiętał? Niemal wszystko, co o niej sądził - nawet jej śmierć - okazało się nieprawdziwe. Jednakże pozostawiła wszystkie te ślady, aby doprowadziły ich do niej, co wydawało się przejawem szczerych macierzyńskich uczuć.

Mężczyzna na końcu korytarza miał zgarbione ramiona i kanciastą twarz.

- Jesteś Czystym? - zapytał go odruchowo Partridge.

- Nie jestem Czystym, ale nie jestem też nieszczęśnikiem - odparł. - Przetrwałem tutaj. Nazwałbym siebie Amerykaninem, ale to określenie już nic nie znaczy. Możecie mi mówić Caruso - zaproponował, po czym spytał ich, czy chcą spotkać się ze swoją matką.

- Właśnie po to przebyłem całą tę drogę - oświadczył Partridge.

- Dobrze - rzekł Caruso. - Chociaż żałujemy, że to zrobiłeś.

- Co zrobiłem? - spytał Partridge.

- Opuściłeś Kopulę - wyjaśnił Caruso. - Twoja matka miała plan na obydwie ewentualności.

- A co zaplanowała na wypadek, gdybym pozostał w Kopule?

- Przejęcie władzy od wewnątrz.

- Nie rozumiem. Jak to przejęcie władzy od wewnątrz? - rzekł Partridge. - To niemożliwe.

- Nie mów za dużo. Mam wszczepiony podsłuch - ostrzegła mężczyznę Pressia.

- Podsłuch? Kto ci to zrobił? - zapytał Caruso.

- Kopuła - wyjaśniła.

Caruso umilkł i spojrzał na nią.

- A więc niech się dobrze przyjrzą - powiedział. - Niech patrzą do woli. Dlaczego miałbym się tym przejmować? To nie ja zniszczyłem cały glob. Nie mam się czego wstydić. Żyjemy tutaj wbrew nim. Ocaleliśmy pomimo ich wytężonych wysiłków, by nas unicestwić. - Odwrócił się do Partridge'a. - Przejęcie władzy od wewnątrz jest możliwe, jeśli ma się tam przywódcę.

- Przywódcę wewnątrz Kopuły? Nikt nie podoła takiej roli. Kto jest tym przywódcą? - spytał Partridge.

- Cóż, ty miałeś nim być. Dopóki nie opuściłeś Kopuły.

Partridge był zdezorientowany. Przesunął dłonią po ścianie.

- Ja? - rzekł. - Ja byłem przywódcą? To bez sensu.

- Chodźcie - powiedział Caruso. - Twoja matka ci to wyjaśni.

Ruszyli w głąb korytarza. Cykady krążyły teraz wokół ich głów.

Mężczyzna przystanął przed drzwiami z biegnącym pośrodku pionowo rzędem zawiasów. Wbił wzrok w ziemię.

- Muszę cię uprzedzić, że Aribella nie jest taka jak dawniej. Ale przeżyła dla ciebie. Pamiętaj o tym.

- zaproponował, po czym spytał ich, czy chcą spotkać się ze swoją matką.

- Właśnie po to przebyłem całą tę drogę - oświadczył Partridge.

- Dobrze - rzekł Caruso. - Chociaż żałujemy, że to zrobiłeś.

- Co zrobiłem? - spytał Partridge.

- Opuściłeś Kopułę - wyjaśnił Caruso. - Twoja matka miała plan na obydwie ewentualności.

- A co zaplanowała na wypadek, gdybym pozostał w Kopule?

- Przejęcie władzy od wewnątrz.

- Nie rozumiem. Jak to przejęcie władzy od wewnątrz? - rzekł Partridge. - To niemożliwe.

- Nie mów za dużo. Mam wszczepiony podsłuch - ostrzegła mężczyznę Pressia.

- Podsłuch? Kto ci to zrobił? - zapytał Caruso.

- Kopuła - wyjaśniła.

Caruso umilkł i spojrzał na nią.

- A więc niech się dobrze przyjrzą - powiedział. - Niech patrzą do woli. Dlaczego miałbym się tym przejmować? To nie ja zniszczyłem cały glob. Nie mam się czego wstydić. Żyjemy tutaj wbrew nim. Ocaleliśmy pomimo ich wytężonych wysiłków, by nas unicestwić. - Odwrócił się do Partridge'a. - Przejęcie władzy od wewnątrz jest możliwe, jeśli ma się tam przywódcę.

- Przywódcę wewnątrz Kopuły? Nikt nie podoła takiej roli. Kto jest tym przywódcą? - spytał Partridge.

- Cóż, ty miałeś nim być. Dopóki nie opuściłeś Kopuły.

Partridge był zdezorientowany. Przesunął dłonią po ścianie.

- Ja? - rzekł. - Ja byłem przywódcą? To bez sensu.

- Chodźcie - powiedział Caruso. - Twoja matka ci to wyjaśni.

Ruszyli w głąb korytarza. Cykady krążyły teraz wokół ich głów.

Mężczyzna przystanął przed drzwiami z biegnącym pośrodku pionowo rzędem zawiasów. Wbił wzrok w ziemię.

- Muszę cię uprzedzić, że Aribella nie jest taka jak dawniej. Ale przeżyła dla ciebie. Pamiętaj o tym.

Partridge nie był pewien, jak ma to rozumieć. Popatrzył na Pressię.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Skinęła głową.

- A ty?

Był przerażony. Miał wrażenie, że stoi na skraju przepaści. Nie czuł się jak ktoś, kto znowu stanie się synem i odzyska część swego dawnego życia. Nie. To wyglądało na początek czegoś nieznanego i groźnego.

- Ja też. Nic mi nie jest - odrzekł, mając nadzieję, że to prawda.

Caruso nacisnął guzik i drzwi złożyły się na jedną stronę.

PRESSIA CHMURY

POD PEWNYMI WZGLEĐAMI ten pokój przywoził Pressii na myśl domowe obrazki z ilustrowanych magazynów Bradwella. Był tu fotel z wyszywanym wzorem w ptaszki, puszysty wełniany dywan, niewielka lampa stojąca i kotary. Lecz te kotary nie zasłaniały okna; znajdowali się przecież pod ziemią. Za nimi musiała być po prostu ściana.

Zarazem jednak ten widok wcale nie przypominał sielskiej domowej scenki, ponieważ stał tu też długi metalowy stół pełen urządzeń służących do nawiązywania łączności - radioodbiorników, komputerów, starych serwerów, monitorów. Wszystkie były wyłączone.

Miejsce przy przeciwległej ścianie zajmował najbardziej niezwykły sprzęt w tym pokoju - smukła metalowa kapsuła ze szklanym kołpakiem, mgliście kojarząca się z wodą. Pressia przypomniała sobie, że dziadek opowiadał jej o łodziach ze szklanym dnem - „pułapkach na turystów”, jak je nazywał. Urządzano nimi rejsy po moczarach Florydy i można z nich było obserwować krokodyle wylegające się licznie na brzegach. Dziwnie było myśleć teraz o Florydzie. Rzekomo właśnie stamtąd wracała do domu, kiedy dziadek spotkał

się z nią na lotnisku tuż przed Wybuchem.

Disneyland, mysz w białych rękawiczkach. To się nigdy nie wydarzyło.

Ta metalowa kapsuła ze szklaną kopułą przypomniała Pressii również świętą Wi, posąg dziewczyny w krypcie, kamienny sarkofag za taflą pleksiglasu.

A także jej własną szafkę i dom.

Czyjej matka spoczywa w tej kapsule?

Kilka cykad wleciało tu za nimi i teraz krążyły pod sufitem. Przez chwilę Pressia zastanawiała się, czy Caruso nie jest obłąkany. To nie byłoby wcale takie dziwne po tylu latach przeżytych w zamknięciu. Czy to ceremonia pogrzebowa? Czy matka jednak naprawdę nie żyje? A może to tylko jakiś okrutny żart?

Partridge musiał pomyśleć podobnie, gdyż odwrócił się i obrzucił gniewnym spojrzeniem Carusa, który przystanął w drzwiach.

- Co to za przedmiot?

- Mamy takich sześćdziesiąt dwa - odrzekł Caruso. - Spodziewaliśmy się zatrucia powietrza i spadku poziomu tlenu. Te kapsuły są zaopatrzone w tlen. Nie musieliśmy użyć ich do tego celu, ale okazały się przydatne do ochrony przed infekcjami wirusowymi i powszechnymi uszkodzeniami narządów.

- Sześćdziesiąt dwie? - powtórzył z niedowierzaniem Partridge.

- Wszystkie, jakie zdołaliśmy wówczas przechwycić. W pewnym momencie mieliśmy tutaj trzysta osób. Naukowców i ich rodziny.

- Gdzie oni teraz są?

- Pozostaliśmy tylko twoja matka i ja. Wielu zmarło. Reszta naznaczyła się bliznami, aby upodobnić się do innych ocalałych, i opuściła to miejsce. Nadal pozostają z nami w kontakcie. Właśnie dzięki nim dowiedzieliśmy się o twojej ucieczce z Kopuły. Rozeszły się o tym pogłoski. Nie byliśmy pewni, czy są prawdziwe, dopóki nie wychwyciliśmy błysku światła z tego klejnotu w wisiorku.

- On odbijał światło? - spytała Pressia.

- Tak, skutek refrakcji.

Pressia nie czuła się jeszcze na siłach, by zajrzeć za szklaną pokrywę. Stała nieco z tyłu za Partridge'em, pozwalając, aby spojrzał pierwszy. Nachylił się i odetchnął głęboko. Nie widziała jego twarzy.

Potem Pressia także się pochyliła. Ujrzała za szkłem pogodną kobietą twarz z zamkniętymi oczami. To była kobieta z fotografii Partridge'a, ich matka. Miała czarne włosy przetykane siwizną, rozrzucone na poduszce. Wciąż była piękna, pomimo pergaminowej skóry i sińców pod oczami.

Ale potem dziewczyna zobaczyła jej wyniszczone ciało.

Szyja kobiety wspierała się na obojczykach, z których jeden był stalowym prętem, przechodzącym w barku w metalową przekładnię. Ramię wykonano z nierdzewnej stali, perforowanej jak durszlak, być może po to, by zmniejszyć ciężar. W miejscu, gdzie powinien być nadgarstek, ręka zwężała się do zawiasu z łożyskiem kulkowym, a zamiast dłoni z palcami miała szczypcę. Drugą rękę od miejsca tuż powyżej łokcia zastępowała cienka proteza z jasno-brązowego drewna, ostruganego tak, by przypominała prawdziwą kończynę, a jej drobne palce miały zawiasy. Była przymocowana skórzanymi paskami do gruzłowatej kości ramienia.

Kobieta straciła też nogi. Miała sukienkę sięgającą do goleni i szkieletowe protezy - każda składała się z dwóch metalowych listew przypominających kości, łączących się w kostce i przechodzących dalej w coś przypominającego raczej pedał niż stopę. Obydwie protezy były powgniatane i porysowane od długotrwałego używania.

Trudno wyjaśnić, dlaczego członki matki wydały się Pressii piękne. Być może był to wpływ poglądu Bradwella, że w szramach i wtopieniach tkwi piękno, ponieważ są oznakami przetrwania, które jeśli się nad tym zastanowić, samo w sobie jest czymś pięknym. W tym przypadku ktoś zrobił te protezy rąk i nóg, ze-spawał je, wytoczył metalowe sworznie, zszył skórzane rzemienie,

obmyślił chropowaty wzór perforacji. W ich wykonanie włożono delikatność, troskę i miłość.

Matka miała na sobie białą bluzkę z rzędem poślizgniętych perłowych guzików oraz również białą spódnicę. Pressia nie potrafiła rozróżnić, gdzie dokładnie zaczynają się protezy, ale tak samo było z jej głową lalki - przechodziła płynnie w ciało.

Guziki bawełnianej bluzki miarowo wznosiły się i opadały. Gdzieś pod spodem były płuca i serce. Inni mieszkańcy bunkra znajdowali się w nim podczas Wybuchu, ale matka najwidoczniej nie. Przez chwilę Pressia zastanawiała się, czy była na zewnątrz, próbując ratować nieszczęśników - niczym święta, jak Partridge myślał o niej przez wszystkie te lata.

Caruso wcisnął guzik z boku kapsuły i szklany kołpak odskoczył z sykiem powietrza.

Partridge uchwycił się krawędzi kapsuły, by nie upaść.

Mężczyzna cofnął się i rzekł:

- Zostawię was samych, żebyście mogli swobodnie porozmawiać.

Pressia pomyślała: „Arabella Cording... pani Willux... matka. Właściwie jak powinnam się do niej zwracać?”.

Wtedy jej matka otworzyła oczy. Były szare jak u Partridge'a, jak kłęby popiołu. Spojrzała w twarz chłopca, który pochylał się tuż nad nią. Wyciągnęła drewnianą rękę i dotknęła jego policzka.

- Partridge - powiedziała i rozplakała się.

- Tak - odrzekł. - Jestem tutaj.

- Przytknij swój policzek do mojego - wyszeptwała.

Zrobił to i Pressia pomyślała, że widocznie pragnęła poczuć na twarzy dotyk jego skóry.

Teraz już obydwójce płakali cicho. Przez moment Pressia poczuła się samotna i odrzucona, jakby była intruzem. Potem Partridge odsunął się od matki.

- Sedge też tu jest - nad nami, na powierzchni.

- Sedge jest tutaj? - powtórzyła.

- I Pressia.

- Pressia? - powiedziała matka tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszała tego imienia.

I może rzeczywiście tak było. Przecież ono nie jest prawdziwe. Zostało zmyślane. Pressia nie знаła swojego prawdziwego imienia.

- Twoja córka - wyjaśnił Partridge.

Ujął dziewczynę za ramię i pchnął ją naprzód.

- Jak to? - spytała matka. Zahaczyła szczypcami o pętlę wewnątrz kapsuły i podciągnęła się do pozycji siedzącej. Zdezorientowana przyjrzała się Pressii. - To niemożliwe.

Pressia spuściła głowę i cofnęła się szybko, uderzając o stół z aparaturą elektroniczną. Jeden z radioodbiorników przewrócił się z głośnym trzaskiem na metalowy blat.

- Przepraszam - rzekła. Wyciągnęła zdrową rękę i pięść z głową lalki, by ustawić radio na miejscu. - Lepiej już pójdę - wymamrotała. - To był błąd.

- Nie, zaczekaj - powiedziała matka i wskazała na lalkę.

Pressia zrobiła krok do przodu.

Aribella rozprostowała palce na zawiasach, a Pressia uniosła głowę lalki i włożyła ją w drewnianą dłoń matki.

- Boże Narodzenie - powiedziała kobieta. Dotknęła nosa lalki, potem ust. Spojrzała na Pressię. - Twoja lalka. Rozpoznałabym ją wszędzie.

Pressia zamknęła oczy. Poczuła, jakby coś się w niej nagle otworzyło.

- Jesteś moją córką - rzekła Aribella.

Dziewczyna skinęła głową.

Matka szeroko rozłożyła ramiona.

Pressia nachyliła się nad kapsułą i pozwoliła, by kobieta przygarnęła ją do piersi. To była jej matka - jej prawdziwa matka. Słyszała słabe bicie jej serca,

widziała wznoszenie się i opadanie wątlej klatki piersiowej. Matka żyła. Pressia zapragnęła opowiedzieć jej wszystkie swoje wspomnienia, które przechowywała jak paciorki naszyjnika. Pragnęła opowiedzieć o dziadku i pokoju na zapleczu zakładu fryzjerskiego. Przypomniała sobie o schowanym w kieszeni swetra dzwonku z zakładu fryzjerskiego. Zdecydowała, że podaruje go matce. To skromny prezent, ale jest czymś, na co mogła wskazać i powiedzieć: „To było moje życie, lecz teraz ono się zmieniło”.

- Jak mam na imię? - zapytała.

- Nie znasz swojego imienia?

- Nie.

- Emi - powiedziała matka. - Emi Brigid Imanaka.

- Emi Brigid Imanaka - powtórzyła Pressia.

To brzmiało tak obco, jakby wcale nie było imieniem, tylko dźwiękiem, który idealnie wpasował się we właściwe miejsce.

Matka utkwiała spojrzenie w złamanym wisioru.

- Więc jednak tym razem się przydał - powiedziała.

- Naprawdę podrzuciłaś ten wisior, żebyśmy go znaleźli? - spytał Partridge.

- Podrzuciłam wiele rzeczy - rzekła matka. - Nie mogłam liczyć na to, że eksplozje przetrwa jakiś jeden ślad z rozrzuconych okruszków chleba, więc pozostawiłam tyle tropów, ile zdołałam. A ten odegrał swoją rolę!

- Pamiętasz tę piosenkę? - spytała Pressia.

- Jaką piosenkę?

- O zatraskiwanych drzwiach i dziewczynie stojącej na werandzie w powiewającej sukience?

- Oczywiście - odrzekła matka, a potem szepnęła: - Jesteś tutaj. Odnalazłaś mnie. Przez całe życie tęskniłam za tobą.

PRESSIA TATUAŻE

A POTEM WYPADKI potoczyły się błyskawicznie.

- Nie mamy wiele czasu - powiedział Partridge. - Właściwie wcale nie mamy czasu.

- Dobrze - rzekła Aribella i zwróciła się do Pressii: - Zdejmij to kwieciste przykrycie z fotela. A ty, Partridge, podnieś mnie i posadź w nim.

Pressia posłusznie ściągnęła pokrowiec z wydrukowanym wzorem w kwiaty. Pod nim znajdował się trzcinowy fotel z przytwierdzonymi kółkami, zrobionymi z wyklepanych okrągłych puszek obciążonych na brzegach gumą. Siedzenie było wyłożone małymi płóciennymi poduszkami.

- Mam wszczepione pluskwy - oznajmiła Pressia. - Oczy i uszy.

- Kopuła? - rzuciła matka.

Dziewczyna przytaknęła.

- Czego oni chcą? - spytała Aribella.

Partridge wyjął lekkie kruche ciało matki z kapsuły i posadził ją w fotelu. Coś w niej trzasnęło.

- Chcą tego, co znajduje się tutaj - odpowiedział.

- A zwłaszcza lekarstw - dodała Pressia. - Sądzymy, że przede wszystkim na nich im zależy.

Aribella swoimi szczypcami przekręciła korbkę z boku fotela, uruchamiając niewielki silnik przymocowany do oparcia, który zamruczał cicho. Ten fotel był samojezdny. Umieszczone z tyłu tłoki zaczęły pracować.

- Ich zdrowie się pogarsza - powiedziała bezbarwnie. - Klasyczne objawy to lekkie drżenie rąk i głowy oraz osłabienie wzroku i słuchu. Później następuje uszkodzenie skóry, która staje się cienka i sucha. W końcu dochodzi do rozpadu kości i mięśni, a narządy wewnętrzne przestają funkcjonować. Ta choroba nosi nazwę gwałtownego zwyrodnienia komórek i jest skutkiem zbyt intensywnego kodowania. Wiedzieliśmy, że do tego dojdzie.

- To się przytrafiło ojcu - powiedział Partridge takim tonem, jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. - Myślałem, że po prostu jest na mnie zły

i potrząsa głową, podświadomie okazując mi dezaprobatę. Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy mu na zdobyciu tego leku.

Aribella znieruchomiała na moment, a całe jej ciało zeszywniało.

- Więc on żyje?

- Tak - odrzekł Partridge.

- Miałam powody sądzić, że umarł.

- Jakie powody?

Matka szczypcami odwinęła kołnierzyk bluzki, odsłaniając klatkę piersiową tuż nad sercem. Znajdowało się tam sześć małych kwadracików; ich kontury były ledwo widoczne pod skórą. Trzy z nich pulsowały, a pozostałe nie.

- Każdy z nas ma umieszczone pod skórą czujniki pulsu in-nych, abyśmy wiedzieli, kto z nich żyje, a kto umarł. To rodzaj pulsującego tatuażu. - Wskazała na pierwsze dwa nieruchome kwadraciki. - Te dwa są martwe. Ten tutaj to Ivan - zginął bardzo młodo, wkrótce po tym, jak wszczepiono nam te czujniki. Drugi zmarł krótko przed Wybuchem. A puls twojego ojca - zwróciła się do Partridge'a - zmarł tuż po eksplozjach.

- Ojciec ma blizny na piersi - oznajmił Partridge. - Raz je widziałem. Szereg blizn usytuowanych podobnie jak te kwadraty.

Aribella wzięła głęboki wdech, a potem z westchnieniem wypuściła powietrze z płuc.

- Powiedział, że zerwał z nami wszystkimi. Ze odciął się od nas. I okazuje się, że naprawdę tak zrobił. Wyciął nas z siebie nożem. To wszystko układa się w sensowną całość. Nie chciał wiedzieć, czy żyjemy; zrezygnował z tej wiedzy po to, aby móc nas przekonać, że umarł.

- A pozostali, którzy przeżyli? - spytała Pressia.

Matka odpowiedziała, wskazując kolejno na pulsujące kwadraciki:

- Bertrand Kelly, Avna Ghosh i Hideki Imanaka.

- Mój ojciec? - zawołała dziewczyna.

Aribella skinęła głową.

W oczach Pressii stanęły łzy.

- Myślisz, że on żyje?

- Fakt, że jego serce nadal bije, trzyma mnie przy życiu.

- Po co te tatuaże? - zapytał Partridge. - Co łączy was wszystkich?

- Idealizm - odpowiedziała matka. Zbliżyła się do stołu i włączyła komputery. Monitory się rozjarzyły, a radia zaczęły trzeszczeć. - Wszystkich nas zwerbowano do Najwspanialszych i Najby-strzejszych. Z tej grupy wyselekcjonowano dwadzieścia dwie osoby do zrealizowania scenariusza Koniec Świata. Żadne z nas nie miało jeszcze dwudziestu lat. Wciąż byliśmy dziećmi. Potem twój ojciec wybrał spośród nas mniejsze grono. Uważał, że potrzebujemy czegoś w rodzaju wewnętrznego kręgu. Był błyskotliwy... i zagubiony. Jego umysł, nawet jeszcze zanim został poddany procesowi spotęgowania, pracował w gorączkowym tempie. Dopiero teraz z perspektywy czasu widzę, że Willux od początku był szalony. - Znów spojrzała na wisior w kształcie łabędzia. - Pressio, ten naszyjnik dał mi twój ojciec. Znam napis umieszczony wewnątrz wisiora. Już na samym początku łabędź był dla naszej siódemki ważnym symbolem. Ale potem Operacja Feniks uśmierciła łabędzia i zastąpiła go symbolem ptaka powstającego z popiołów. To był pomysł Ełłery'ego Wiłłuksa. Hideki chciał, abym była łabędziem, który stanie się feniksem i przetrwa wszystko to, co jak wiedzieliśmy, miało wkrótce nadejść. Nazywał mnie swoim feniksem. - Zamknęła oczy, z których płynęły łzy. - Zaczynaliśmy od takich dobrych intencji. Zamierzaliśmy ocalić świat, a nie go zniszczyć.

- Ale dlaczego w ogóle wyjechałaś do Japonii? - zapytała Pressia.

- Imanaka, twój ojciec, wykonywał wspaniałą pracę. Japończycy mają osobiste doświadczenia z promieniowaniem radioaktywnym i bombą atomową. Wyprzedzali wszystkich innych naukowców w badaniach nad ochroną przed promieniowaniem i odpornością na nie. Jego poszukiwania pokrywały się z moją dziedziną - leczeniem urazów za pomocą biomedycznej nano-technologii.

A Ellery, ojciec Partridge'a, chciał, abym pojechała tam przekonać się, czy Imanaka poczynił jakieś postępy w zakresie odwracania skutków promieniowania. Obawiał się, że pewnego dnia on sam może ulec degeneracji. Dlatego nade wszystko zależało mu na zdobyciu właśnie tych danych. Przypuszczam, iż nadal mu na tym zależy. Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

Zerknęła na Pressię w pełni świadoma tego, że dziewczyna ma wszczepiony podsłuch i podgląd, i mówiła dalej:

- Na powierzchni są inni, którzy przetrwali Wybuch. Jeżeli Ghosh, Kelly i Imanaka wciąż żyją, to znaczy, że przeżyło też więcej osób. Ellery nie chciałby, aby wieść o tym zaczęła krążyć po Kopule. Ale wiem, że to musi być prawda. Nie byłam w stanie nawiązać z nikim kontaktu na odległość większą niż piętnaście kilometrów. Fale radiowe, satelity - nic nie działa. Kopuła nadal blokuje wszelkie środki łączności. Lecz ja wciąż żyję nadzieją.

Pressia pomyślała o świętej Wi i o Bradwellu, który w tamtej krypcie klęczał przed niewielkim posągami umieszczonym za pękniętą szybą z pleksiglasu. Nadzieja.

- W jakiś sposób zwiększyłaś odporność, prawda? Zrobiłaś coś, żeby uczynić mnie odpornym na kodowanie - powiedział Partridge.

- Tak, ale nie zdołaliśmy powiększyć jej wystarczająco szybko. Nie byliśmy w stanie zrobić niczego, by powstrzymać Wybuch. Mogliśmy jedynie chronić przed nim i naprawiać wyrządzone przez niego szkody. Wiedzieliśmy, że to nie uratuje zbyt wielu osób. Ludzie będą masowo umierać podczas tej zagłady świata; będzie olbrzymia liczba ofiar. Ale mogliśmy uchronić tych, którzy przeżyją, przed wtopieniami i zatruciami. Chcieliśmy rozpuścić środki zwiększające odporność na promieniowanie w wodzie pitnej z publicznej sieci wodociągów. To jednak było zbyt ryzykowne. Dawki, które podziałałyby na dorosłych, mogłyby uśmiercić dzieci. Właśnie dlatego, Partridge'u, musiałam dokonać wobec ciebie wyboru. Nie mogłam uczynić cię w pełni odpornym.

Miałaś zaledwie osiem lat i zniósłbyś tylko jedną ograniczoną serię podawania preparatu.

- I wybrałaś odporność na kodowanie.

- Pragnęłam, abyś pozostał sobą. Abyś zachował prawo do powiedzenia „nie”, do stanięcia w obronie tego, co słuszne. Chciałam, by twój charakter pozostał nietknięty.

- Aja? - zapytała Pressia.

Aribella wzięła długi, drżący wdech.

- Ty byłaś o półtora roku młodsza i drobna na swój wiek. Podanie ci tego preparatu byłoby zbyt ryzykowne. Przebywałaś w Japonii pod opieką twojego ojca i jego siostry. Nie mogłam tak po prostu wrócić do domu z niemowlęciem. Wysłano by mnie do ośrodka rehabilitacji i tam bym zginęła. Odkryłam, że mój mąż planuje totalną zagładę świata, i kiedy pojęłam, iż ta katastrofa jest już bliska, posłałam po ciebie. Musiałam powiedzieć o tobie mężowi. Nie miałam wyboru. Wpadł we wściekłość. Ale było w tym też coś więcej. Nie mogę teraz wyjaśniać tego wszystkiego - spraw dotyczących przeszłości. Mrocznych spraw, o których się dowiedziałam, mimo iż chciał je przede mną ukryć. Nie mogłabym mieszkać w Kopule. Miałam plan odebrania mu obydwu synów. Zorientowałam się, że Willux działa szybko; jego umysł był taki rozgorączkowany! Wiedziałam, że posiadał olbrzymią władzę i niezwłocznie podjął decyzje, niczego nie przeoczył. Musiałam sprowadzić Pressię do siebie i umieścić ją bezpiecznie tutaj w bunkrze. Wystąpiły, niestety, opóźnienia, problemy z paszportami. Twoja ciotka, Pres-sio, miała przywieźć cię samolotem. Do terminu Wybuchu wciąż pozostawało jeszcze kilka tygodni.

Nagle tamtego dnia twój ojciec, Partridge'u, zadzwonił do mnie. Powiedział, że to już dziś, wcześniej, niż planowano. Chciał, żebym weszła do Kopuły, błagał mnie. Wiedziałam, że mówi prawdę. Już od jakiegoś czasu można było zaobserwować zwiększony ruch na drogach. Ci, którzy dostali cynk, przybywali do Kopuły. Samolot z Pressią miał w końcu przylecieć. Odmówiłam

Willuk-sowi. Powiedziałam, aby powtórzył synom, że kocham ich i zawsze będę ich kochać. Powiedziałam: „Obiecuj mi, że to zrobisz”. Wtedy odłożył słuchawkę. A ja, przerażona, pojechałam jak najszybciej na lotnisko. Twoja ciotka powiadomiła mnie telefonicznie, że samolot już wylądował. Nadal sądziłam, że zdołamy dotrzeć z powrotem do bunkra, zanim spadną bomby. Zaparkowałam samochód i pobiegłam do strefy odbioru bagaży. Widziałam cię przez tafelę okna - stałaś ze swoją ciocią, taka drobna i piękna. Moja córeczka! Potknęłam się o krawężnik i upadłam na dłonie i kolana, a kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam oślepiający błysk światła. Szyba okna się rozprysła. A ja zostałam stopiona z chodnikiem rękami i nogami. Kilku ludzi wiedziało, dokąd pojechałam. Odszukali mnie. Znaleźli cztery opaski uciskowe i piłę. Odprowadzono mnie od chodnika. Wbrew wszelkim oczekiwaniom przeżyłam.

- Czy wiedziałaś, że ocalałam? - spytała Pressia.

- Miałaś wszczepiony czip. Każdy, kto przybywał do tego kraju jako obcy obywatel, musiał zostać zaczipowany, zanim zezwolono mu na wstęp. Po bombardowaniu zostało nam jedynie szczątkowe wyposażenie. Widzieliśmy poruszające się na ekranach punkty oznaczające ludzi, ale niezbyt wyraźnie. Kiedy namierzyliśmy twój czip, wykorzystałam zapis skanowania twojej siatkówki, przysłany przez twojego ojca z Japonii. Znajdował się w jednym z komputerów odpornych na działanie promieniowania i zachował się bez większych uszkodzeń. Miałam również skany siatkówek obydwu synów. Zbudowałam małych skrzydlatych posłańców, nasze cykady. Zaprogramowałam im miejsce twojego pobytu, wyposażyłam je w czipy i wysłałam na zewnątrz. Wiele z nich zostało zniszczonych, zanim dotarło do celu. Jednak w końcu jednemu się udało.

- Zostałam zaczipowana - rzekła Pressia. - Zatem wiedziałaś, gdzie jestem. Mogłaś wysłać kogoś, by sprowadził mnie tutaj.

- W tym bunkrze sytuacja wyglądała strasznie. Stałe przebywanie w zamknięciu, choroby, wzajemna wrogość. I jak mogłabym się tobą

zaopiekować, będąc w takim stanie? - Uniosła protezy rąk, a potem wskazała na ekran komputera. Widniała na nim mapa rejonu, który Pressia rozpoznała - targ, Gruzowiska, jej zakład fryzjerski. Matka mówiła dalej: - Na ekranie były jednocześnie dwa migające punkty, oznaczające ciebie i mechaniczną cykadę, która zawsze unosiła się gdzieś w pobliżu. Często te punkty znajdowały się tak blisko siebie, że istniało tylko jedno wytłumaczenie: trzymałaś ją w dłoni. A dzięki twojemu punktowi wiedziałam, co się z tobą dzieje. W nocy był nieruchomy, zawsze w tym samym miejscu. W dzień ożywał się, błędził trochę po okolicy i wracał w to samo miejsce. Ten punkt opowiadał historię dziecka, którym ktoś się opiekuje, dziecka z ustalonym trybem życia. Zdrowego dziecka, któremu lepiej było tam na powierzchni, gdzie przebywałaś. Nic ci nie dolegało, nieprawdaż? Ktoś się o ciebie troszczył, ktoś darzył cię miłością?

Pressia skinęła głową.

- Tak - odrzekła. Łzy ciekły jej po policzkach. - Ktoś się mną opiekował i mnie kochał.

- A potem, kilka dni temu, twój migający punkt wywędrował gdzieś i nie wrócił. Miałaś już szesnaście lat i niepokoiłam się, że zgarnęła cię OPR. W tym samym czasie doszły nas pogłoski o pojawieniu się jakiegoś Czystego, a potem powróciła bardzo stara cykada z pierwszego rzutu. Twoja cykada. - Aribella otworzyła szufladę szafki pod komputerem. Wewnątrz jarzyło się ciepłe światło. To był inkubator, a w nim na małym gałganku leżał Freedle. - Nie

! przyniosła żadnej wiadomości. Sądziłam, że to może po prostu dziwny zbieg okoliczności, ale ponieważ jednocześnie wydarzyły się wszystkie te inne rzeczy, zaczęłam mieć nadzieję, iż to jakiś znak.

- Freedle - powiedziała Pressia. - Nic mu nie jest?

- Odzyskuje siły po męczącej podróży. Jest już dość wiekowy. Lecz ktoś przez wszystkie te lata dbał o jego delikatne trybiki.

Freedle przechylił głowę na bok i zatrzepotał skrzydełkiem, wydając serię trzasków.

- Staralam się - rzekła Pressia, dotykając palcem jego grzbietu. - Nie mogę uwierzyć, że zdołał tu dotrzeć. Mój dziadek... - głos uwiązł jej w gardle - już nie żyje. Ale z pewnością to on go wypuścił.

- Powinnaś zostawić Freedle'a tutaj - odezwał się Partridge. - Dzięki temu będzie bezpieczniejszy.

Dziewczyna nie do końca pojmowała, dlaczego to, że Freedle przeżył, napełniło ją taką osobliwą nadzieją.

- Pressio - zwróciła się do niej Aribella. - Mam do powiedzenia rzeczy, których Kopuła w żadnym razie nie może usłyszeć.

- Zaczekam na korytarzu - rzekła Pressia, a potem odwróciła się do Partridge'a i dotknęła jego rękawa. - Ostrzeż ją przed Sed-ge'em - szepnęła. - Nie jest już chłopcem, jakiego pamięta.

- Wiem.

Podeszła do matki i pocałowała ją w policzek.

- To nie potrwa długo - zapewniła ją Aribella.

PARTRIDGE CYGNUS

- NIE MASZ GO, PRAWDA? - spytał Partridge.

- Leku przeciwko gwałtownemu zwyrodnieniu komórek? - Aribella pokręciła głową. - Nie. Przejrzeliśmy zamysły twojego ojca. Wiedzieliśmy, że odseparował się od nas, że jest niebezpieczny.

- Skąd wiedzieliście?

- Ponieważ mnie zdradził.

- Czyż ty również go nie zdradziłaś? - rzucił Partridge tak szybko, że zaskoczyły go własne słowa.

Zerknęła na niego.

- Masz rację. Ale zrobiłam to dlatego, że okazał się inny, niż mnie zapewniał.

- Nie zawsze możemy być takimi, jakimi chcemy - rzekł Partridge i

pomyślał o Sedge'u.

Czy kiedykolwiek uda się odwrócić zmiany, jakie w nim zaszły? Czy matka zdoła go ocalić?

- Posłuchaj - powiedziała - są sprawy, o których powinienes się dowiedzieć. Twój ojciec poddał się zabiegom spotęgowania działania mózgu, zanim zostały one w pełni przetestowane, kiedy wszyscy byliśmy jeszcze młodzi. - Wpatrzyła się w podłogę. - W okresie bezpośrednio poprzedzającym Wybuch jego mózg był już całkowicie zakodowany. Willux twierdził, że musiał wzmocnić swój mózg, aby móc doprowadzić do powstania nowego świata. Do pojawienia się istot ludzkich godnych zamieszkania w tym raj - Nowym Edenie. Nieczęsto go wówczas widywałam. Powiedział mi, że w ogóle przestał sypiać. Nieustannie rozmyślał. Jego umysł płonął. Synapsy wypalały mu mózg, wzniecając co chwila mikroskopijne pożary. Mimo to uważał, że... - Urwała.

- Ze co? - spytał Partridge.

- Ze projekt Kopuły jest dla niego czymś więcej niż tylko pracą. Kopuły przez całe życie były jego obsesją. Powinienes był go słyszeć, jak w wieku dziewiętnastu lat wygłaszał wykłady na temat starożytnych kultur. Postrzegał siebie jako zasiadającego na szczycie piramidy ludzkiej cywilizacji. A jednocześnie zdawał sobie sprawę, że osiągną go negatywne skutki procesu spotęgowania funkcji mózgu, któremu się poddał. Sądził jednak, iż znajdzie sposób ich zneutralizowania, a kiedy mu się to uda, będzie żyć wiecznie.

Partridge potrząsnął głową.

- Wspomniałaś, że zajmowałaś się leczeniem urazów za pomocą biomedycznej nanotechnologii. Wiem, co to oznacza. - Pomyślał o Arvinie Weedzie rozwodzącym się na temat samogenerujących się komórek. - Dlaczego nie zaaplikowałaś tych leków sobie? Czyż nie potrafiłaś wspomóc komórek kostnych w procesie odbudowy kości? Zainicjować regeneracji tkanki mięśniowej i skóry? Czy nie masz tutaj tych specyfików?

- Oczywiście, że mam. Wiele rodzajów. Niektóre z nich powinienes

poznać. Mają bardzo silne działanie.

Otworzyła szufladę, w której w szeregu wgłębień spoczywały fiołki.

- Jakiego typu działanie? - zapytał.

- Potrafią częściowo odwrócić skutki promieniowania i kodowania. Twój ojciec potrzebuje zawartości tych fiołek. Ale potrzebuje również innego składnika, o którym nie wiadomo, czy w ogóle istnieje. Jeden z członków naszej grupy pracował nad tym zagadnieniem. A przede wszystkim potrzebuje formuły określającej, w jaki sposób należy połączyć obydwa te składniki.

- A czy ta formuła istnieje?

- Istniała dawno temu, ale nie wiem, czy się zachowała.

Partridge przypomniał sobie rewolwery wrośnięte wręce Sedge'a, głowę lalki Pressii, ptaki tkwiące w plecach Bradwella, El Capitana i jego brata.

- Czy za pomocą preparatów z tych fiołek można odwrócić skutki wtopień?

Matka zamknęła oczy, jakby przeszył ją nagły ból, a potem powoli zacisnęła szczypce. Potrząsnęła głową.

- Nie - rzuciła gniewnie. - Te preparaty nie rozdzielają tkanek, tylko łączą je i odbudowują. Twój ojciec zamierzał celowo umieścić ową biosyntetyzującą nanotechnologię w koktajlu bomb po to, aby stopić ocalałych niedobitków z otaczającym ich światem i w ten sposób stworzyć klasę podludzi, nowy rodzaj niewolników, którzy będą służyć mieszkańcom Nowego Edenu, gdy ziemia już się odrodzi. Musiałam powiadomić o tym innych członków naszej grupy. Musiałam odejść od twojego ojca, by spróbować znaleźć sposoby ocalenia ludzi. Lecz nie udało mi się ich uratować.

Zamilkła na chwilę, po czym podjęła:

- To był prawdziwy powód, dla którego zabrałam cię ze sobą do Japonii, gdzie spotkałam się ponownie z ojcem Emi... to znaczy Pressii, jednym z grupy siedmiu. Musiałam przekazać mu wszystkie sekrety twojego ojca, jakie zdołałam odkryć.

- Ale dlaczego nie zażyłaś tych leków?

- Przede wszystkim one nie są doskonałe. Czasami oddziałują w sposób niekontrolowany. Ale nawet gdyby były doskonałe, wiesz, Partridge'u, dlaczego nie chciałabym się wyleczyć?

- Nie - rzucił z irytacją. - Nie wiem!

- To byłoby jak ukrywanie prawdy. Moje ciało jest znakiem tej prawdy, świadectwem historii.

- Nie musi być - zaproponował.

Spojrzała na jego dłoń.

- Co ci się stało?

- Dokonałem niewielkiego poświęcenia - odrzekł.

- Chcesz odzyskać ten palec?

Popatrzył na opatrunek, którego czubek poczerniał od zaschniętej krwi, i potrząsnął głową.

- Nie.

- Zatem być może mnie zrozumiesz. - Zamknęła szufladę. - Zmarnowałam tyle mojego życia na żałowanie rozmaitych rzeczy. Bardzo wiele z nich to były moje błędy, Partridge'u.

Zaczęła płakać.

- Nie możesz się obwiniać - powiedział.

- W końcu musiałam przestać spoglądać w przeszłość. To mnie zżerało żywcem. Widok ciebie i twojej siostry pomaga mi dostrzec przyszłość.

- Ojciec chce czegoś jeszcze - oznajmił Partridge.

- Czego? - spytała matka, podnosząc na niego wzrok.

Jej oczy były tak podobne do jego oczu, a jednak inne. Zatęsknił do niej tak mocno, że na moment zapało mu dech w piersi. Musiał wbić wzrok w podłogę, by zachować panowanie nad sobą.

- Ciebie - odpowiedział.

- Mnie? Dlaczego? Nie ma dość służących, by mu usługiwali?

- Caruso wspomniał, że miałem być przywódcą wewnątrz Kopuły. Co miał na myśli?

- To, co powiedział. Miałeś zostać naszym przywódcą, który obali Willuksa i Kopułę. Mamy tam uśpione komórki tworzące rozległą sieć.

- Uśpione komórki?

- Ludzi wewnątrz Kopuły, którzy byli z nami - wyjaśniła Aribella. Podjechała zmotoryzowanym krzesłem do stołu z metalowym blatem. Szczypcami otworzyła szufladę i wyjęła z niej arkusz papieru, zawierający długą listę nazwisk. - Kopuła nie może się dowiedzieć o ich istnieniu. To by ich naraziło na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Partridge przebiegł wzrokiem listę.

- Weedowie? Rodzice Arvina? - zapytał zaskoczony - I ojciec Algrina Firtha? Ale przecież Algrin miał wstąpić do elitarnego Oddziału Specjalnego i zostać poddany specjalistycznemu szkoleniu. - Popatrzył dalej w dół listy. - Glassings - rzekł i przypomniał sobie rozmowę z nauczycielem w muszce podczas zabawy tanecznej. - Wiedział, że zabrałem twoje rzeczy z Archiwum Utraconych Bliskich. Powiedział, że mogę porozmawiać z nim o wszystkim, o czym zechcę, i że nie jestem sam.

- Durand Glassings - rzekła matka. - To ważna postać. Nasz najbliższy kontakt z tobą.

- To mój nauczyciel historii powszechnej.

- Właśnie on miał przygotować powstanie.

Partridge'a ogarnęło zdumienie.

- Aleja nie jestem żadnym przywódcą. Nie potrafiłbym dowodzić tymi uśpionymi komórkami ani obalić Kopuły.

- Oczekiwaliśmy na znak, że jesteś już gotowy. I otrzymaliśmy go.

- Co to za znak?

- Paradoksalnie, właśnie twoja ucieczka z Kopuły.

- I co teraz zrobimy? - zapytał. - Oni chcą, żebyśmy cię im przekazali

wraz ze wszystkim, co znajduje się tutaj w waszych laboratoriach.

- A jeśli odmówimy?

- Mają zakładniczkę - rzekł. - Dziewczynę o imieniu Łyda. - Wymówił to imię szorstkim głosem.

- Łyda - powtórzyła matka. - Czy ona wiele dla ciebie znaczy?

Skinął głową.

- Żałuję, że aż tak wiele - powiedział.

- Nie, wcale nie żałujesz.

- Zaryzykowała dla mnie życie. Gotów jestem poświęcić dla niej swoje. Ale nie chcę poświęcić twojego życia.

- Być może będziemy mogli dać im to, czego jak sądzą, potrzebują. Mogę wziąć ze sobą kilka pigułek i zanim odkryją, że są bezwartościowe, zdążycie wszyscy uciec w bezpieczne miejsce - powiedziała Aribella. - Zyskamy trochę na czasie. Jednak w końcu będziesz musiał podjąć walkę.

- Nie potrafię. Nie jestem Sedge'em. To on był urodzonym przywódcą, nie ja.

- Był? - spytała. - Co się z nim stało?

- Powiedziano mi, że umarł, że popełnił samobójstwo. Ale on żyje. Jest tam na górze. Stoi po ich stronie - jest żołnierzem przetrzymującym tę zakładniczkę. Kopuła zmieniła go w maszynę, a zarazem w rodzaj zwierzęcia. Nie potrafię tego opisać. Ale rozpoznałem go po głosie. Wszędzie rozpoznałbym ten głos.

- Chcę go zobaczyć - oświadczyła matka.

- Czy to znaczy, że chcesz wyjść na powierzchnię? Oddać się w ich ręce?

- Nie boję się stawić czoła twojemu ojcu.

- Ale on może cię zabić.

- Już jestem prawie martwa.

- To nieprawda - zaprotestował.

Było w matce coś, co czyniło ją bardziej żywą niż ktokolwiek, z kim się

dotąd zetknął.

- Potrafisz tego dokonać, synu. Możesz przejąć władzę i odbudować świat dla wszystkich ludzi. Nazywają cię Czystym. Ale co to naprawdę oznacza?

Żałował, że nie wie, co odpowiedzieć. Pragnął, aby słowa wytrysnęły z niego. W głowie jednak miał pustkę.

- Nasz kontakt z tymi w Kopule jest bardzo nikły, a od czasu twojej ucieczki całkowicie się urwał. Gdybyśmy wiedzieli, że ci ludzie wewnątrz nadal nas popierają, ogromnie by to nam pomogło.

- Popierają was - rzekł Partridge. - Wysłali wiadomość przez Łydę. Jest bardzo prosta: „Powiedz łabędzicy, że czekamy”.

- Cygnus - szepnęła Aribella.

I wtedy nad ich głowami rozległo się dudnienie. Cykada poruszyła się i zaczęła nerwowo fruwać wokół pokoju.

Były to odgłosy strzałów z karabinu maszynowego.

EL CAPITAN NA POWIERZCHNI

EL CAPITAN TRZYMAŁ RĘCE na głowie, podobnie jak Bradwell, który stał nieco niżej na zboczu wzgórza. Żołnierze polecieli Hel-mudowi, aby także położył ręce na głowie, ale El Capitan powiedział im, że to niepotrzebne, gdyż on jest kretynem.

- W tej pomyłonej głowie nie ma ani jednej własnej myśli.

- Własnej myśli - powiedział Helmud.

El Capitan sądził, że żołnierze powinni o tym wiedzieć. Obserwowali przecież jego i Helmuda w lesie; wyglądali wtedy na takich eleganckich, silnych i dziwnie spokojnych. Przyjrzał się temu z nich, który prawdopodobnie podrzucił mu oskubaną kure i jajka. Temu, który zjawił się jako pierwszy, trzymając tę ubraną na białą dziewczynę; przebywała poza Kopułą od tak niedawna, że jej strój był bielszy niż jakiegokolwiek ubranie, jakie widział od Wybuchu. Ten żołnierz od czasu do czasu spoglądał na niego w dość ludzki

sposób. Właściwie El Capitan do niedawna ufał wszystkim tym żołnierzom, ale okazało się, że się mylił. Oni pewnie zabijają jego i Helmuda tutaj, w lesie. Zabijają ich wszystkich. I to będzie koniec.

Odebrano im całą broń. Siedzieli stłoczeni na kupie. Dziewczyna się uspokoiła, choć El Capitan podejrzewał, że to skutek szoku. Była ładna... niebezpiecznie ładna. Czy członkowie Oddziału Specjalnego mają popęd seksualny? Czy ta dziewczyna powinna się niepokoić? A może wysterylizowano ich jak psy?

Żołnierz, który przyprowadził dziewczynę, teraz ją puścił, podszedł do El Capitana i dźgnął go lufą karabinu w żebra nad udem Helmuda.

- Jemu nie ufam - oznajmił.

El Capitan przypuszczał, że go zastrzeli. Przygotował się na śmierć, lecz żołnierz tylko nadal wbijał mu lufę w żebra i rzucił do reszty:

- Jakies hałasy na obrzeżach. Przeprowadźcie szybki rekonesans. Ja ich przypilnuję.

Najwyraźniej był dowódcą.

Pozostałych pięciu żołnierzy usłuchało rozkazu; natychmiast ruszyli bezszelestnie między drzewa, każdy w innym kierunku.

Potem żołnierz z wtopioną w ręce lśniącą supernowoczesną bronią szepnął do El Capitana:

- Kiedy oni wrócą, ochraniaj dziewczynę. Ukryjcie się.

Powiedział to na tyle głośno, by ona też usłyszała.

El Capitan nie wiedział, co ma o tym myśleć. Czyżby ten żołnierz był po ich stronie?

- Zrobisz to? - zapytał tamten.

Czy on zamierza zabić swoich towarzyszy? Czy El Capitan powinien być gotowy do sięgnięcia po broń?

- Tak jest - odpowiedział.

- Tak jest - rzekł Helmud.

Czasami, gdy Helmud po nim powtarzał, El Capitan miał wrażenie, że to echo rozbrzmiewające w jego własnym mózgu. Helmud był czymś więcej niż tylko jego bratem. Stanowili jedność. El Capitan znów popatrzył na dziewczynę i spostrzegł, że w jej oczach pojawiła się wściekła determinacja. Jeśli to ich jedyna szansa, dziewczyna zaryzykuje nawet życie, by ją wykorzystać.

A Bradwell, stojący z dłońmi splecionymi na czubku głowy, emanował gwałtowną energią i kipiał ze złości. Był gotowy na wszystko. El Capitan uniósł brwi, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, by wtajemniczyć go w plan. Lecz Bradwell tylko spojrzał na niego i wymówił bezgłośnie: „Co?”.

Równie cicho, jak się oddalili, żołnierze oddziału powrócili jeden po drugim w krótkich odstępach czasu. Nie mieli nic do zara-portowania. Nie natrafili na OPR ani na żadnych nieszczęśników czy inne stwory. Wszędzie panował spokój.

- Sprawdźcie swoje skanery - poleci! im dowódca. - Nie możecie popełnić żadnych błędów ani pomyłek.

I gdy zajęli się oglądaniem przyrośniętego do nich wyposażenia, dowódca pchnął dziewczynę w ramiona El Capitana. El Capitan chwycił ją wpół, przebiegł trzy czy cztery kroki i rzucił się na ziemię. Sedge otworzył ogień do pozostałych żołnierzy. Bradwell wskoczył do szczeliny w skale i przywarował. Klatka piersiowa żołnierza stojącego najbliżej eksplodowała. Obrócił się i wystrzelił na oślep serię pocisków w zarośla.

Dowódca z zimnym opanowaniem wycelował z obydwu rewolwerów wrośniętych w przedramiona i ponownie wystrzelił. A potem również z jego ramion wysunęły się przyrządy celownicze karabinów i rozległ się huk wystrzałów na przemian ze wszystkich luf. Odrzut broni kopał go to w jeden, to w drugi bark, co wyglądało tak, jakby Sedge się kołysał.

Inny żołnierz strzelił w kierunku El Capitana. Odgłosy wystrzałów zabrzmiały niemal równocześnie, gdy napastnik dostał się w krzyżowy ogień Sedge'a i padł trafiony w czaszkę.

Dwóch załatwionych, pomyślał El Capitan. Zaczął się czołgać do swojego karabinu, leżącego pośród sterty broni na ziemi, ale Łyda złapała go mocno i ściągnęła w dół.

- Zaczekaj - rzuciła.

Bradwell pierwszy dotarł do sterty i chwycił karabin El Capitana. Odwrócił się i zaczął ostrzeliwać pozostałych trzech żołnierzy. Trafił w szyję jednego, który upadł w bok za jakieś głazy. Drugi dostał w brzuch dwie czy trzy kule wystrzelone przez dowódcę.

Ten żołnierz, osuwając się na ziemię, pojął chyba, że coś jest nie w porządku i musi otworzyć ogień do swego dowódcy. Wyglądało, jakby wyłączył zadany program i przestawił się na ręczne sterowanie. Załadował broń i strzelił, trafiając go w udo. Sedge zachwiał się, ale nie upadł. Ranny w brzuch żołnierz wycofał się za drzewo.

El Capitan spostrzegł, że żołnierz postrzelony przez Bradwella ładuje broń, leżąc za wielkim sękatym pniakiem. On też przełączył się na ręczne sterowanie i szykował się do walki z dowódcą. El Capitan ze swego osłoniętego miejsca widział, że ten żołnierz jest ciężko ranny, ale nie zamierza po prostu położyć się i umrzeć. Trzeci żołnierz, który nie odniósł ran, uciekł, lecz El Capitan przypuszczał, że nie zdezerterował i wkrótce wróci.

- Zdobądź mi nóż - powiedziała Łyda.

El Capitan popęłznął do sterty broni. Chwycił nóż i cisnął dziewczynie, a ona złapała go za rękojęść.

Zobaczył, że Bradwell błyskawicznie wycelował w żołnierza, którego wcześniej ranił, chcąc go wykończyć, zanim tamten zdąży strzelić do dowódcy. Teraz trafił go w mięsień ramienia. Krew załśniła, przesiąkając przez mundur. Czy wróg był jeszcze zdolny do walki?

El Capitan sięgnął do sterty broni po inny nóż i hak rzeźnicki, ale przeszkodził mu przeciwnik krwawiący z brzucha, wymierzając mu kopniaka w żołądek. Cios był tak silny, że poderwał El Capitana z ziemi, a Helmud stracił

oddech i rozpaczliwie łapał powietrze.

Bradwell rzucił się na tego żołnierza, który nie chciał umrzeć. Lecz ten walnął go pięścią na odlew i Bradwell upadł. Wówczas stwór złapał go za koszulę; była jednak tak podarta, że został mu w rękach tylko strzęp materiału. Bradwell, z nagą piersią, leżąc na ziemi, kopnął przeciwnika w kolano, ale ten tylko lekko się wzdrygnął. Ze spokojem uniósł pistolet wtopiony w jego prawą rękę, załadował go i wymierzył w Bradwella, który skulił się na boku; ptaki w jego plecach znieruchomiały.

El Capitan usłyszał huk wystrzału i pomyślał, że Bradwell z pewnością zginął. Jednak po chwili zobaczył upadającego żołnierza. Zorientował się, że dowódca zdołał przedostać się na pozycję dogodną do strzału, gdyż dzięki natarciu Bradwella zyskał czas, by dokuśtykać tam na rannej nodze. Pozostał więc tylko jeden przeciwnik; trzymając się za ranę w brzuchu, pochylił się nad leżącym bezbronnym El Capitanem, który popełnił do tyłu.

Sedge wystrzelił, rozrywając żołnierzowi dłonie i roztrzaskując jego rewolwery. Ranny zawył z bólu. Karabiny w jego barkach waliły seriami, gdy odwracał się, szukając wzrokiem dowódcy. Świsnął grad kul. Jedna drasnęła Bradwella w ramię - nie to wcześniej zranione strzałą, tylko drugie - wytrącając mu z rąk karabin. Bradwell chwycił się za ranę; wydawał się oszołomiony krwią i hukami strzałów. Z zaciśniętymi powiekami zatoczył się za skałę.

Dowódca ponownie oddał serię strzałów, chociaż już nie mógł wstać i leżał na ziemi w powiększającej się kałuży krwi. Wystrzelone przez niego pociski przebiły pierś żołnierza i broń wtopioną w jego barki. Żołnierz próbował odpowiedzieć ogniem, lecz obydwie jego karabiny się zacięły. Słabł szybko, chwiał się i zataczał. Jednak wbił dziki wzrok w Łydę i rzucił się na nią. El Capitan skoczył mu na plecy, obalając go na kolana. Osiągnął jedynie tyle, że dał dziewczynie czas na ucieczkę, gdyż żołnierz zachował dość sił, by dźwignąć się na nogi. El Capitan złapał go za gardło i zaczął dusić.

I wtedy Helmud wyciągnął swoje chude ręce, w których trzymał cienką,

szorstką nić, splecioną chyba z wełny i ludzkich włosów. Zarzucił ją żołnierzowi na szyję. El Capitan też chwycił tę nić i uwiesił się na niej całym ciężarem swoim i Helmuda. Nić werżnęła się przeciwnikowi w gardło; rzucił się do tyłu, szarpiąc ją kikutami palców.

Wówczas do akcji wkroczyła Łyda. Dźgnęła mężczyznę nożem w podbrzusze, a potem z całej siły szarpnęła ostrze w górę.

Żołnierz się zachwiał. Łyda wyrwała nóż z rany i otarła go o swój biały kombinezon, gotowa zadać następny cios. Lecz to już nie było potrzebne. Żołnierz upadł na twarz, mając na plecach El Capitana i Helmuda.

El Capitan jedną ręką wyciągnął nić i trzymał ją przed sobą - zakrwawioną i z przyklejonymi kawałkami ciała. Przypomniał sobie wszystkie te razy, kiedy mówił Helmudowi, żeby przestał nerwowo gmerać palcami za jego karkiem.

- Helmud, czy splotłeś tę nić po to, żeby mnie nią udusić? - spytał.

Tym razem Helmud nie powtórzył ostatnich słów. Jego milczenie oznaczało potwierdzenie.

El Capitan po raz pierwszy, odkąd mógł sięgnąć pamięcią, poczuł dumę ze swego brata.

- Do diabła, Helmud! Cholera! Chciałeś mnie zabić!

Nagle usłyszał jakieś hałasy. Wszyscy zamarli bez ruchu, gotowi do kolejnego starcia. Może to wracał żołnierz, który przed chwilą uciekł.

Ale nie - dźwięki dochodziły z półokrągłego okna umieszczonego w ziemi.

Dwie dłonie uchwyciły się framugi i po chwili Partridge wciągnął się na powierzchnię, jakby gramolił się z grobu.

PARTRIDGE POCAŁUNEK

PARTRIDGE DŹWIGNĄŁ SIĘ na nogi i ogarnął spojrzeniem tę straszliwą jatkę. El Capitan i Helmud byli zakrwawieni i posiniaczeni. Bradwell

miał koszulę rozerwaną na piersi i tym razem krwawi! z drugiego ramienia. Klęczał ze spuszczoną głową i splecionymi dłońmi, oddychając ciężko. Czyżby się modlił? Łyda w białym kombinezonie, teraz splamionym krwią, oszołomiona wpatrzyła się swymi niebieskimi oczami w Partridge'a, a potem podążyła za jego wzrokiem.

W pobliżu leżały trupy żołnierzy. Jeden z rozerwaną klatką piersiową, inny z rozerzniętym brzuchem i zakrwawionymi kikutami palców. Jeszcze inny, trafiony kulą w głowę, miał tylko niewielki otwór z tyłu czaszki, ale gdy Partridge obszedł go naokoło, ujrzał krwawą miazgę zamiast twarzy.

- Co to jest? - wydusił. Poczul mdłości; nogi się pod nim ugięły. - Co tu się stało?

A potem zobaczył swojego brata leżącego na ziemi, na poły zakrytego przez leśne podszycie. Podbiegł do niego i upadł na kolana.

- Sedge! - zawołał.

Mięsień prawej nogi Sedge'a został rozszarpany przez pociski. Z rany w boku ciekła krew, wsiąkając w spodnie Partridge'a.

- O Boże - jęknął chłopiec. - Nie, nie. - Piers brata wznosiła się i opadała nieregularnie. Partridge pochylił się nad dużą głową brata o mocnej szczęce. - Wylizesz się z tego - szepnął. - Mama jest tutaj. Zaraz przyjdzie. - Potem krzyknął do pozostałych: - Sprowadźcie moją matkę! Pomóżcie Pressii wciągnąć ją na górę!

Pressia już wyszła na powierzchnię i zobaczyła trupy.

- O Boże - wyjąkała. - O Boże, nie.

Bradwell z trudem wstał z kolan i podbiegł do niej.

- Pressio - rzekł, lecz wstrząśnięta dziewczyna nie była w stanie odpowiedzieć.

El Capitan zawołał do Bradwella:

- Pomóż mi tutaj!

Razem wyciągnęli z otworu okna chudy tułów i bezwładne członki

Aribelli. Caruso pchał od dołu, ale nie wyszedł za nią na powierzchnię.

Partridge położył dłoń na piersi brata. Jego krew była lepka i ciepła.

Sedge spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Partridge - powiedział. - Ty jesteś najważniejszy.

- Nie - odparł chłopiec. - To ty jesteś najważniejszy. Zawsze byłeś.

Zawołał Pressię, a gdy się nie odezwała, spytał:

- Czy ona tu jest?

Odwrócił się i ujrzał Bradwella trzymającego na rękach jego matkę.

Bradwell zaniósł ją do Partridge'a i położył na ziemi obok jej dwóch synów.

Popatrzyła na Sedge'a błędnym wzrokiem.

- Kochanie, co ci się stało? - zapytała ostrym, rwącym się głosem. -

Sedge, spójrz na mnie. Sedge.

Sedge zamknął oczy.

- Nie - wyszeptał. - Ta historia, którą mi opowiadałeś... O łabędzicy...

- Matka naprawdę jest tutaj - powiedział Partridge.

Aribella wyjęła swymi metalowymi szczypcami flakonik pigułek i cisnęła nim w Partridge'a.

- Powiedz swojemu ojcu, że może mieć wszystko, co zechce. Może mieć te pigułki. Może zabrać mnie. Tylko nie to. Nie to.

Oczami pełnymi łez spojrziała na poranione ciało Sedge'a.

Partridge chwycił flakonik i o mało przy tym nie upadł do tyłu. Jego brat umrze, a on będzie musiał na to patrzeć. Nie mógł w żaden sposób mu pomóc.

- Sedge! - zawołała matka.

Sedge pochwycił jej spojrzenie i wpatrzył się w jej oczy, jakby dopiero teraz naprawdę ją zobaczył i rozpoznał.

- Sedge, moje dziecko! - powiedziała matka i przez chwilę Partridge myślał, że może zdoła go uratować, bo w jej głosie brzmiała nadzieja.

Jego brat uśmiechnął się, a potem zamknął oczy.

Partridge przyglądał się, jak matka pochyliła się nad ciałem Sedge'a.

Pocałowała go w czoło, tak jak co noc całowała ich obydwu przed snem, kiedy byli jeszcze dziećmi.

A potem gdzieś daleko ktoś pstryknął włącznik i głowa Sedge'a eksplodowała, a jednocześnie Partridge zobaczył, że twarz jego matki się rozpadła.

Powietrze wypełniła drobna mgielka rozprysniętej krwi.

Partridge'a ogłuszył wybuch. Widział jedynie tę krwawą mgłę. Wyciągnął ręce do matki i brata, ale stracił równowagę i upadł. Znowu wstał i powoli obszedł ich wokoło. Obydwoje byli martwi.

Pressia krzyczała. Widział jej otwarte usta, oczy szeroko otwarte ze zgrozy i to, jak przyciskała do piersi pięść z głową lalki. Bradwell ją podtrzymywał.

Partridge nadal nic nie słyszał. Łyda stanęła przy nim i objęła go ramieniem. Jej wargi się poruszyły.

El Capitan wyciągnął do niego rękę, chcąc go objąć. Partridge zacisnął pięść i zamachnął się na niego. El Capitan uchylił się, wskutek czego chłopiec stracił równowagę i upadł na skaliste podłoże. Łyda wymawiała jego imię - odczytał to z ruchu warg: „Partridge, Partridge”. Wstał i krzyknął: „Łyda!”, lecz nie usłyszał własnego głosu.

El Capitan też coś głośno do niego wołał. Partridge widział, jak nabrzmiały żyły na jego szyi. Helmud zamknął oczy, a jego wargi się poruszały, gdy mamrotał, powtarzając jak echo po swoim bracie.

A potem Partridge znów zobaczył Pressię. Pochwycił jej wzrok. Pressia miała wszczepioną pluskwę - oczy i uszy. Kopuła obserwowała ich; jest tam jego ojciec. Partridge podszedł do dziewczyny, która wciąż krzyczała. Chwycił ją za ramiona.

Zacisnęła powieki.

- Otwórz oczy! - wrzasnął i dźwięk własnego głosu wdarł mu się do uszu.

- Otwórz swoje cholerne oczy!

Pressia popatrzyła na niego, a on przez soczewki jej oczu spojrział w twarz swemu ojcu w Kopule.

- Wiem, że tam jesteś! - zawołał. - Przyjdę po ciebie i zabiję cię za to, co zrobiłeś! Gdybym mógł, wyrwałbym z siebie wszystko, co mam po tobie!

Wpatrzył się w niebo nad głową. Zaczął drzeć na całym ciele. Puścił ramiona Pressii. Znow na nią popatrzył i ujrzał twarz swojej siostry ze smugami brudu i łez. Dziewczyna spoglądała na niego. To jego siostra.

Krwawa mgła się rozwiła.

PRESSIA KREW

KIEDY PARTRIDGE JĄ PUŚCIŁ, Pressia podbiegła do ciała matki. Twarz Aribelli była cała pokryta krwią i brakowało jej szczęki, ale jedno oko pozostało nienaruszone. Zamrugało. Matka wciąż żyła. Pressia położyła dłonie na jej zakrwawionej klatce piersiowej. Trzy z sześciu małych kwadracików nadal pulsowały. Czy powinna zrobić matce sztuczne oddychanie, ugniatając klatkę piersiową?

- Ona żyje! - krzyknęła. - Żyje! Bradwell uklęknął obok niej i powiedział:

- Ona umiera, Pressio. To koniec. Nie przeżyje.

Partridge wszedł głęboko w las. Usłyszała jego zduszony szloch. Matka spojrziała w górę na nią. Pressia usłyszała głos El Capitana:

- Ona cierpi. To może jeszcze potrwać.

Aribella walczyła o oddech. Jej oko mrugało szaleńczo. Pressia wstała, a za nią Bradwell. Odwróciła się do El Capitana. Powiedział:

- Możesz okazać jej miłosierdzie? Możesz to zrobić? Dziewczyna spojrziała na niego, potem na matkę, która kurczowo zaciskała i otwierała dłoń, a jej zakrwawiona głowa uderzała o ziemię i kamienie.

- Daj mi karabin - powiedziała.

El Capitan podał jej broń. Pressia uniosła karabin, wymierzyła w matkę, zaczerpnęła powietrze do płuc, wypuściła połowę, a potem zamknęła oczy.

Pociągnęła za spust i poczuła, jak przez jej ciało przebiegł wstrząs wystrzału.

Zastygła bez ruchu i patrzyła. Twarz jej matki zniknęła. Trzy pulsujące kwadraciki zamigotały i znieruchomiały.

- Znalazła wieczny spokój - rzekł El Capitan.

Dziewczyna oddała mu karabin i zaczęła schodzić w dół zbocza.

Nie obejrzała się za siebie. Wiedziała, co chce zapamiętać.

- Ruszajmy! - krzyknął Bradwell. - Gdzieś tam został jeszcze jeden z nich!

Liście. Pnącza. Luźna ziemia usuwała się spod nóg.

Jestem tutaj, pomyślała Pressia. Przeżywam następną chwilę, a potem kolejną. Ale kim była? Pressią Belze? Emi Imanaką? Czy jest czyjąś wnuczką lub córką? Sierotą, nieślubnym dzieckiem, dziewczyną z głową lalki zamiast dłoni, żołnierzem?

Biegła w dół stoku, a wokół niej tłoczyli się pozostali. Znów miała przed oczami rozpadającą się twarz matki, rozłupaną kość, zakrwawione głowy ich obojga - matki i Sedge'a. Potem wszystko pokryła krew - pokrzywy, kielkującą trawę, kolczaste zielska.

Ale teraz już wszyscy zbiegali ze wzgórza. Gnali szaleńczo.

Chciała pogrzebać ciała. Ale nie. Jeden żołnierz nadal pozostawał na wolności i ruszy za nimi.

Jej dziadek był przedsiębiorcą pogrzebowym. Umiałby ładnie upozować zwłoki jej matki i brata. Potrafił ułożyć głowę zmarłego tak, by ukryć pęknięcie czaszki. Potrafił odtworzyć nos z kawałka kości. Potrafił uformować powieki i zaszyć je. Dawniej były trumny z jedwabną wykładziną. Lecz dziadek też już nie żyje.

Zatrzymała się u stóp wzgórza. Nie będzie żadnego pogrzebu. Ich ciała pożra zdziczałe zwierzęta. Zostały pochowane pod całunem własnej krwi.

Dotarli do samochodu, na wpół przykrytego gałęziami i pnączami. El Capitan zaczął ściągać je i zrzucać na ziemię.

Obok niej stanęli zdyszani Partridge, Bradwell i Łyda. Bradwell wcześniej oderwał kawałek materiału z nogawki spodni i obwiązał nim sobie zranione ramię. Krew na opatrunku pociemniała. Nie miał już koszuli; był nagi do pasa. Partridge zaoferował mu swoją kurtkę, ale Bradwell odparł, że płonie z gorąca.

Ptaki, wbite jasnymi dziobami w plecy Bradwella, trzepotały skrzydłami i zerkały głęboko osadzonymi oczami. Pressia zawsze chciała je zobaczyć - i teraz widziała szary wir skrzydeł, nieco jaśniejsze piersi, błyszczące oczka i maleńkie jaskrawoczerwone pazurki. Żałowała, że nie wie, do jakiego gatunku należą. Wyobraziła sobie Bradwella jako małego chłopca, wbiegającego w siedzące na ziemi stado. Ptaki podrywają się w powietrze, a potem na niebie pojawia się oślepiający błysk.

I odtąd ptaki są z nim już na zawsze.

Wyciągnął rękę, by jej pomóc.

- Nie - odrzekła.

Poradzi sobie sama.

Ścisnęła w dłoni dzwonek z zakładu fryzjerskiego, schowany w kieszeni kurtki. Już nigdy nie da matce tego dzwonka, świadectwa jej dawnego życia. Nie opowie jej wszystkich tych historii, które dla niej zachowała. Nie zdążyła. Nie miała nawet okazji powiedzieć matce, że ją kocha.

Dziewczyna w bieli była teraz umazana czerwienią. Partridge stał obok niej i to raczej ona go podtrzymywała niż on ją. Mówił:

- Ale przecież oni chcieli dostać moją matkę żywą. Chcieli ją przesłuchać. To bez sensu.

W zaciśniętej pięści ścisnął flakonik pigułek.

Pressia wciąż była oczami i uszami Kopyły. Widzieli i słyszeli wszystko to co ona. Nie pojmowała, co się stało. Czy oni zrobili to celowo? Czy właśnie tego chcieli od samego początku?

El Capitan zdjął już z samochodu wszystkie pnącza, którymi wcześniej go

zamaskował.

- Jedźmy - powiedział.

- Jedźmy - rzekł Helmud.

Wszyscy wsiedli - Partridge i Łyda na tylne siedzenie, Pressia i Bradwell z przodu, a El Capitan usiadł za kierownicą. Helmud pustym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Drżał na całym ciele.

El Capitan wyjechał na wstecznym biegu.

- Dokąd teraz? - zapytał.

- Pressia musi się pozbyć tej pluskwy - powiedział Bradwell. - Ktokolwiek jej to zrobił, musi ją usunąć.

Wjechali już z powrotem na Martwe Ziemie i kierowali się na południe wokół wzgórz.

- Do tamtego wiejskiego domu - odpowiedziała Pressia. - Musimy dostać się na drugą stronę tego wzgórza.

- Jak to możliwe, że aż tak daleko mógł stanąć wiejski dom? - spytał Partridge znużonym głosem.

Pressia przypomniała sobie słowa żony Ingershipa, że nie narazi jej na niebezpieczeństwo.

- Mieli tam ostrygi, jajka, lemoniadę, hermetyczne drzwi z gumowymi uszczelkami chroniącymi przed pyłem, piękny żyrandol w jadalni i uprawy zbóż spryskiwane przez robotników rolnych - usiłowała wyjaśnić, lecz jednocześnie zastanawiała się, czy przypadkiem nie oszalała.

Znów zobaczyła twarz matki i to, jak całuje swego starszego syna. A potem ona pociągnęła za cyngiel i matka umarła. Ta scena wciąż od nowa rozgrywała się powoli w umyśle Pressii. Dziewczyna skuliła się i pochyliła do przodu. Zamknęła oczy, otworzyła i znowu zamknęła. Za każdym razem, gdy je otwierała, widziała wpatrującą się w nią głowę lalki. Właśnie dzięki niej matka ją rozpoznała. Mrugające oczy, plastikowe rzęsy, maleńkie nozdrza i otwór pośrodku warg.

Znów pojawiły się Pyły - mniej liczne tutaj, gdzie ziemię zaczynała porastać wiążąca ją mocniej trawa. Mimo to Pyły zbliżyły się, otaczając ich kręgiem. El Capitan rozjechał jednego, a wówczas pozostałe zrej terowały.

Bradwell zawołał, że coś widzi.

- To nie Pył, tylko żołnierz z Oddziału Specjalnego!

Przejeżdżali teraz tuż przy zboczu wzgórza. Żołnierz zeskokczył ze skalnego nawisu na dach samochodu. Wylądował z łomotem, a Pressia spojrzała w górę i zobaczyła dwa wgniecenia od jego butów.

Bradwell chwycił karabin, leżący na podłodze obok nóg El Capitana. Odbezpieczył go, wycelował pionowo w górę i wystrzelił, wyrывая w metalu wielką dziurę. Kula drasnęła nogę żołnierza. Upadł na dach, ale utrzymał się na nim.

El Capitan próbował go zrzucić, ostro skręcając kierownicę w lewo, a potem w prawo, lecz mu się nie udało. Żołnierz opuścił się do bocznego okna i roztrzaskał je kopnięciem zdrowej nogi. Wsadził rękę do środka i złapał Partridge'a za gardło. Ale chłopiec miał hak rzeźnicki. Poruszając się ze swą niezwykłą szybkością, sięgnął obok szerokiej klatki piersiowej przeciwnika i wbił mu hak między łopatki.

Żołnierz wydał gardłowy jęk i puścił Partridge'a, który opadł na siedzenie wozu. Stwór jedną ręką wciąż trzymał się samochodu, a drugą usiłował dosięgnąć hak i wyrwać go z pleców. Bradwell opuścił szybę, wychylił się do połowy z okna i znów odbezpieczył broń. Lecz zanim zdążył wystrzelić, przeciwnik spostrzegł go i rzucił się na niego, wywlekając go z wozu. Obydwaj wypadli, grzmotnęli o ziemię, przetoczyli się i znieruchomieli.

Pressia chciała krzyknąć: „Tylko nie Bradwell!”. Nie mogła stracić kolejnej osoby. Nie pozwoli na to. Już nikt więcej nie zginie. Chwyciła klamkę, ale drzwi były zablokowane.

- Otwórz je!-wrzasnęła.

- Nie! - odkrzyknął El Capitan. - Nie możesz mu pomóc. To zbyt

niebezpieczne.

Walnęła w drzwi głową lalki.

- Wypuść mnie!

Partridge sięgnął nad oparciem przedniego fotela, złapał ją za ramiona i pociągnął do tyłu.

Łyda powiedziała do niej:

- Użyj karabinu. Wyceluj.

Pressia chwyciła karabin i wychyliła głowę i tułów za okno.

El Capitan skręcił i zawrócił, by ułatwić jej strzał.

- Oczekaj, aż się rozdziela. Możesz nie mieć drugiej szansy.

Żołnierz usiłował chwiejnie wstać, ale tamten pocisk wyszarpał mu z nogi mięsień. Poza tym skręcał się z bólu, gdyż w jego plecach wciąż tkwił hak. Chwycił Bradwella za gardło, ale Bradwell kopnął go w ranę, rąbnął łokciem w brzuch i zerwał się na nogi.

Zwabiony zapachem krwi żołnierza pojawił się Pyl i zaczął krążyć wokół walczących jak sęp - tyle że nie w górze, ale pod ziemią. Wzbił przy tym kłęby popiołu, tak że trudno było cokolwiek dostrzec. Bradwell kopnął żołnierza w podbrzusze, lecz ten chwycił go i cisnął na ziemię. Bradwell upadł ciężko tuż przed Pyłem i powoli popęzłnął wstecz. Tymczasem żołnierz przystanął i obejrzał ranę na nodze.

Bradwell uchwycił hak rzeźnicki i wyszarpnął go z pleców przeciwnika, lecz skutek impetu poleciał do tyłu i znów upadł.

Pressia wzięła głęboki wdech, wypuściła z płuc połowę powietrza i wystrzeliła. Żołnierz zachwiał się i bezwładnie runął na ziemię.

Bradwell wstał i jednym szybkim ruchem - ptaki na jego plecach wydawały się rozmazaną smugą łopoczących skrzydeł - przeciął Pyła rzeźnickim hakiem. Pressia patrzyła na jego poranione ramiona - wyglądały, jakby został zbyt gwałtownie pasowany na rycerza - na mocną szczękę i błyszczące oczy i pomyślała, że jest piękny.

El Capitan podjechał do Bradwella i odblokował drzwi, ale Pressia, nie czekając, już wygramoliła się przez okno. Podtrzymała chłopaka i pomogła mu dojść do samochodu. Otworzyła drzwi i oboje wśliznęli się do środka. Zamknęła je i wpatrzyła się w Bradwella, a potem uniosła dłoń i dotknęła rozcięcia na jego dolnej wardze.

- Nie umrzyj - poprosiła. - Obiecuj mi to.

El Capitan wrzucił bieg i dodał gazu.

- Obiecuję, że postaram się nie zginąć - odrzekł Bradwell.

Pressia wyjrzała przez tylną szybę. Pojawiło się jeszcze kilka Pyłów, które szybko otoczyły żołnierza. Jeden powstał i rozkloszował grzbiet jak kobra. Ziemia błyskawicznie pochłonęła żołnierza i po chwili zniknął.

Bradwell pogładził włosy dziewczyny. Objęła go, przytuliła się do niego i z zamkniętymi oczami słuchała bicia jego serca. Zapragnęła pozostać tak już na zawsze i pozwolić, by wszystko inne zniknęło.

Niedługo potem Bradwell oznajmił:

- Jesteśmy na miejscu.

Pressia uniosła głowę, gdy pokonywali zakręt, i ujrzała łany zbóż, a potem długi podjazd prowadzący do schodków przy frontowej werandzie żółtego wiejskiego domu. Przez moment wyobraziła sobie, że wracają w rodzinne strony.

Jednak gdy podjechali bliżej, zobaczyła, że w jednym z okien budynku powiewa coś przypominającego niewielką flagę: ręcznik do rąk z bieżącym pionowo przez środek krwawoczerwonym paskiem. Sięgnęła do kieszeni i dotknęła kartki z identycznym znakiem, którą w kuchni dała jej żona Ingershipa. Co oznaczała? „Musisz pomóc uratować mnie”. Czyż nie tak powiedziała ta kobieta?

PARTRIDGE UKŁAD

JEGO MATKA NIE UMARŁA. Sedge nie umarł. Partridge'owi ich

śmierć nie mieściła się w głowie. Zaszła po prostu jakaś pomyłka, którą później wyjaśni. W akademii także niekiedy zdarzały się pomyłki wskutek błędów popełnianych przez ludzi. To wina jego ojca. Jego ojciec jest człowiekiem. To był ludzki błąd.

Albo może to rodzaj testu. Ojciec celowo powiesił te fotokopie i dał mu ich zdjęcie, mając nadzieję lub nawet pewność, że syn wykorzysta zawarte w nich informacje. Może od chwili zrobienia tego zdjęcia z jaskrawym fleszem wszystko, co się później wydarzyło, stanowiło elementy większego planu, którego celem była ocena umysłowej i fizycznej kondycji Partridge'a. Na koniec wszyscy wyłonią się ze swoich kryjówek, ukrytych przed jego wzrokiem - niczym w starannie obmyślonym psikusie czy niespodziance przygotowanej na przyjęcie urodzinowe. To wyjaśnienie pozwalało zachować przy życiu jego matkę i Sedge'a. Lecz gdy Partridge tak kurczowo czepiał się tej karkołomnej, urągającej logice hipotezy, wiedział zarazem, iż to nieprawda. Inna część jego umysłu powtarzała mu wciąż, że oni zginęli, odeszli na zawsze.

Opatrunek na lewej dłoni Partridge'a skrywał brak połowy małego palca, lecz chłopiec poczuł w nim pulsujący fantomowy ból, kiedy Pressia zaczęła opowiadać o wiejskim domu. Nie uwierzył jej. Jak mógłby uwierzyć w coś takiego? Wiejski dom aż tutaj, tak daleko? Automatyczny system uszczelniania okien i drzwi zapobiegający przenikaniu do środka popiołu? Żyrandol w jadalni? A wokół domu pola, na których robotnicy rolni rozpylają pestycydy?

Jakiegokolwiek ostrygi - zatrute czy nie - byłyby cudem nauki. Jednakże przecież w Kopule istnieją laboratoria zajmujące się kwestią przywrócenia naturalnej produkcji żywności. Ten wiejski dom musi być więc wytworem Kopuły. Widocznie owe dwa światy są połączone w sposoby, jakich nigdy nawet sobie nie wyobrażał. Dowodem tego jest choćby samochód, w którym teraz siedział. Ten pojazd niewątpliwie pochodzi z Kopuły. Bo skąd?

Kiedy Pressia usiłowała opisać ten dom, Łyda rzekła:

- Widziałam przy Kopule ślady opon. Jest tam rampa załadunkowa. Z

pewnością wjeżdżają i wyjeżdżają tamtędy ciężarówki.

Partridge zastanawiał się, czy oni już testują wyjazdy z Kopuły z powrotem do ich prawowitego rajy - Nowego Edenu. „Wybrańcy”. Mieszkańcy Kopuły są „wybrańcami”. Partridge przypomniał sobie słowa matki: „nowy rodzaj niewolników”. Głos matki był niczym maleńki skrawek tkaniny, delikatnie szeleszczący w jego umyśle. A potem Partridge poczuł mrowienie w piersi, w której wzbierała wściekłość. Matka została ranna, ale jest przy niej Sedge, a ponadto opiekuje się nią Caruso, jak czynił poprzednim razem, kiedy omal nie umarła. Ludzki błąd. Nie, śmierć. Oni obydwój, a także Caruso, nigdy nie wyjdą na powierzchnię. Jedyne Caruso pozostał przy życiu. Lecz on też pewnego dnia umrze - prawdopodobnie niebawem, gdyż ojciec Partridge’a już się dowiedział, gdzie znajduje się bunkier.

Pomyślał o pani Fareling i Tyndalu. Już nigdy nie powiadomi matki, że oni obydwój przeżyli. „Dziękuję”. Jest tyle rzeczy, których jej nie powiedział - zbyt wiele, by móc je zliczyć.

Gdy Pressia oznajmiła, że zbliżają się do wiejskiego domu, Łyda odwróciła się do Partridge’a i szepnęła:

- Ktoś chciał, żebym ci coś powtórzyła.

\ *

- Kto?

- Pewna dziewczyna, którą spotkałam podczas pobytu w centrum rehabilitacji - wyjaśniła.

Wydawała się zakłopotana przyznając się, że tam przebywała. Ale Partridge już wcześniej się tego domyślił. Właśnie tam ogołono jej głowę. Chciał ją zapytać, jak wiele musiała wycierpieć z jego powodu. Żałował, że nie może cofnąć tego wszystkiego, co się stało. Jednak widział, że dziewczyna nie chce teraz o tym rozmawiać. Miała do przekazania coś ważnego.

- Kazała mi powtórzyć ci, że jest wielu takich jak ona, którzy chcą zwyciężyć Kopułę. Tylko tyle zdołała powiedzieć. Rozumiesz coś z tego?

- Uśpione komórki - wymamrotał.

A więc Łyda tkwi w tym głęboko. Jest nie tylko zakładniczką, lecz również posłańcem. Czy ona zdaje sobie sprawę, że działa teraz po stronie jego matki? Zapraǳnął opowiedzieć jej, co matka mówiła o nim jako przywódcy, lecz nie potrafił. W głowie miał zbyt wielki zamęt.

- Tak - zdołał tylko wydusić. - Rozumiem.

Pokonali ostatni ostry zakręt i El Capitan wprowadził samochód za kępę niskich, gęstych drzew owocowych, posadzonych tak ciasno, że spletały się gałęziami. I oto ujrzeli żółty wiejski dom, dokładnie taki, jak opisała go Pressia, oraz zagony ciemnozielonej, bujnej roślinności. Farma otoczona ze wszystkich stron bezkresnymi Martwymi Ziemiemi, niczym wyspa na morzu popiołów. Były tam szklarnie i czerwona stodoła z białą listwą wykończeniową. Partridge'a niemiło uderzyło, że wszystko to pojawiło się przed nimi tak nagle, jakby wyrwane z jakiegoś innego miejsca i czasu i przytwierdzone tutaj do gruntu. Na polach nie było widać żadnych pracujących żołnierzy OPR, ale o front domu opierały się dwie drabiny z ustawionymi na szczeblach wiadrami, a na ziemi leżały dwie długie żerdzie.

- Czy ktoś szorował ten budynek? - spytał Partridge.

Łyda powiedziała:

- Ta rzecz w oknie wyglądająca jak mała flaga to znak. Już go kiedyś widziałam.

- Symbol oporu - wyjaśnił Bradwell. - Moi rodzice mieli prawdziwą flagę z takim emblematem, zwiniętą w szufladzie. Pochodzi z dawnych czasów.

- Wywiesiła ją żona Ingershipa - rzekła Pressia. - Chyba ma kłopoty.

- Skąd ten budynek się tutaj wziął? - wyszeptał Partridge.

- Wygląda jak dom z ilustrowanego czasopisma - powiedziała Pressia. - Ale jest chory, gnije od środka.

- To nie przypomina żadnych dawnych Arabów mieszkających w białych namiotach - zauważył El Capitan.

Pressia rzekła do Partridge'a:

- Może daj Bradwellowi swoją kurtkę.

Gdy minęła gorączka bitewna, Bradwell zaczął się trząść z zimna. Partridge spostrzegł jego drgające ramiona. Zdjął kurtkę, która przecież i tak należała do Bradwella, i podał mu nad oparciem siedzenia. Bradwell ją włożył.

- Dziękuję - powiedział, lecz jego głos zabrzmiał głucho.

A może to szwankował słuch Partridge'a? Chłopiec nie mógł już ufać niczemu - temu, co widział i słyszał, domom pojawiającym się znikąd, krwawej mgle ani oczom swojej siostry.

- Możemy dać Ingershipowi lekarstwa w zamian za usunięcie z twojej głowy wszystkich tych urządzeń - rzekł do Pressii.

Jedynie on wiedział, że te leki są tylko fałszywą przynętą, dzięki której zyskają na czasie.

- A co z jego żoną? - spytała. - Możemy jej pomóc?

- Czy to nie ona cię uśpiła? - wtrącił Bradwell.

- Nie wiem - odparła Pressia.

Tłuste ptaki przypominające kurczęta przeczłapały przez drogę kołyszącym się krokiem, niezdarnie stawiając łapy zaopatrzone w dwa szpony. Zamiast piór były pokryte łuską, jakby łuskowata skóra nóg rozrosła się na całe ich ciała. Kościste skrzydła poruszały się niezgrabnie w górę i w dół.

- Ich nie widziałas w ilustrowanych magazynach - rzekł Bradwell.

Partridge pomyślał o swoim ojcu, gnijącym od środka jak ten dom.

- Kiedy podejdziemy bliżej, trzymaj te pigułki tuż przy głowie - polecił Pressii.

- Nie - zaproponował Bradwell. Sięgnął nad oparciem fotela i położył dłoń na piersi Partridge'a. - To zbyt wiele.

- Co? - rzekł Partridge. - On właśnie tak działa. Wysadziłby w powietrze ją, ale nie pigułki.

Jego ojciec jest mordercą. Partridge na chwilę zamknął oczy, jakby chciał

wyraźniej ujrzeć ten obraz. Wiedział jednak, że ojciec nie wciśnie żadnego włącznika, dopóki nie zobaczy flakonika z pigułkami w ręku syna, w wystarczającej odległości od Pressii.

- To dla jej bezpieczeństwa - wyjaśnił.

- On ma rację - poparła go dziewczyna.

Wyobraził sobie swego ojca, który ich obserwuje, zna każde ich słowo i gest. Ojciec zapewne pozostawał w kontakcie z przebywającym wewnątrz domu Ingershipem, gdyż w tym momencie na werandę wyszło dwóch żołnierzy w mundurach OPR. Byli to nieszczęśnicy, ale dobrze uzbrojeni. Podeszli na skraj werandy i stanęli tam w pozie wartowników.

El Capitan zmrużył oczy, wyglądając przez przednią szybę.

- Wiecie, co mnie wkurza? To są moi rekruci. Nie potrafią nawet obchodzić się z bronią. Przypuszczam, że to zapewnia nam przewagę.

- Wkurza - powtórzył Helmud chrapliwym szeptem.

- A więc jesteście gotowi? - spytał Bradwell.

Partridge pragnął jeszcze coś powiedzieć. Chciał, aby zawarli pakt, tutaj w samochodzie, zanim wyruszą. Nie wiedział jednak, na co miałyby im kazać przysięgać.

- Słuchajcie, zapomniałem o tym - odezwał się El Capitan. Wyciągnął z kieszeni kurtki jakiś przedmiot i uniósł w górę. - Czy to należy do któregoś z was?

Była to ręcznie wykonana pozytywka matki Partridge'a, poczerniała od dymu.

- Weź ją - rzekła Pressia do brata.

- Nie - odparł Partridge. - Ty powinnaś ją mieć.

- Ona wygrywa melodię, którą znaleźcie tylko wy dwoje - zaproponowała dziewczyna. - Teraz jest twoja.

Partridge wziął pozytywkę i potarł ją kciukiem, brudząc go sobie ziarnistą sadzą.

- Dziękuję - powiedział.

Poczuł, że trzyma w ręku coś ważnego - cząstkę matki, którą będzie mógł zachować na zawsze.

- Gotowi? - spytała Pressia.

Wszyscy skinęli głowami.

El Capitan wcisnął pedał gazu i samochód ruszył gwałtownie w kierunku domu. Rekruci nie otworzyli ognia, tylko rzucili się do ucieczki i zaczęli w panice walić w drzwi. El Capitan trochę za późno zahamował i staranował schodki wiodące na werandę, miażdżąc je i roztrzaskując kratownicą chłodnicy.

Wszyscy wysiedli z wozu. El Capitan miał karabin. Partridge i Łyda byli uzbrojeni w noże i haki rzeźnicze. Bradwell trzymał w ręku nóż. Pressia zacisnęła w dłoni flakonik z pigułkami i uniosła ją do głowy, przyciskając kostki palców do skroni.

- Gdzie jest Ingership? - krzyknął El Capitan.

Rekruci zerknęli na siebie nerwowo, lecz nic nie odpowiedzieli. Byli chudzi i nawet na ich spalonej skórze widać było ślady świadczące o tym, że niedawno ich pobito. Na twarzach i odsłoniętych rękach mieli świeże sińce i obrzęki.

W tym momencie otworzyło się jedno z okien na piętrze, po przeciwnej stronie budynku niż poplamiony na czerwono ręcznik. Wychylił się z niego Ingership, sztywno wyprostowany i z dumnie zadartą głową. Metalowe płytki na jego twarzy lśniły.

- A więc jesteście! - zawołał. Głos miał wesoły, ale wyglądał, jakby przed chwilą stoczył walkę. Na jego lewym policzku widniał szereg zadrapań. - Znaleźliście bez trudu to miejsce?

El Capitan odbezpieczył karabin i strzelił. Partridge wzdrygnął się na huk wystrzału. Oczami duszy znów ujrzał tamtą eksplozję - matkę i brata oraz unoszącą się w powietrzu mgiełkę ich rozprysniętej krwi.

- Chryste! - wrzasnął Ingership, chowając się w oknie. - Co za brak

kultury!

Jeden z rekrutów w spóźnionej reakcji wpakował kulę w bok samochodu.

El Capitan wystrzelił ponownie, tym razem roztrzaskując okno na parterze.

- Przestań! - krzyknął Partridge.

- Nie zamierzałem go trafić - odparł El Capitan.

- Go trafić - powtórzył Helmud.

- Już dobrze - rzekł Partridge. - Nie będziemy strzelać.

- Twój ojciec mógł kazać otoczyć to miejsce! - zawołał do niego Ingership. - Mógłby kazać cię zastrzelić. Wiesz o tym, chłopcze? Ale on postępuje z tobą fair!

Partridge wątpił, czy to prawda. Oddział Specjalny był niewielką, świeżo sformowaną elitarną jednostką. W jego skład wchodziło sześciu żołnierzy i wszyscy już nie żyją. Znał tych, którzy czekali następni w kolejce - chłopców z akademii należących do Paki. Lecz oni nie mogli być przygotowani do walki tak jak tamci. Zabrakło czasu, by poddać ich tego rodzaju transformacji i szkoleniu.

- On potrzebuje czegoś, co mamy - odpowiedział. - To całkiem proste.

Ingership milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- Macie lekarstwo z bunkra?

- A czy wy macie zdalny włącznik, by wysadzić w powietrze głowę Pressii? - zripostował Bradwell.

- Zawrzyjmy układ - zaproponował Partridge.

Ingership zniknął w oknie na piętrze, a po chwili rozległ się tam hałas.

Dwaj rekruci na werandzie wciąż mierzyli z karabinów.

Nagle od strony domu dobiegło niskie brzęczenie - odgłos odblokowania automatycznych gumowych uszczelki, chroniących przed przeniknięciem do środka popiołu.

Kliknęły zamki i frontowe drzwi otworzyły się szeroko.

W oknie na piętrze, tym z zakrwawionym ręcznikiem, Partridge zobaczył

białą twarz - żony Ingershipa? - a potem bladą dłoń przyciśniętą do szyby.

PRESSIA ŁODZIE

WESZLI DO FRONTOWEGO HOLU o białych ścianach ozdobionych dekoracyjnymi listwami. Na podłodze leżał chodnik ze wzorem w kwiaty, a na piętro prowadziły szerokie schody. Pressię ogarnęło nagle dojmujące wrażenie, że została zamknięta, schwyтана w pułapkę. Wciąż trzymała przy głowie buteleczkę z pigułkami; palce jej zeszywniały, a całe ciało miała obolałe. Zajrzała do jadalni i znowu oszołomił ją widok lśniącego żyrandola kołyszącego się lekko nad długim stołem. Usłyszała na górze odgłos kroków - żony Ingershipa? Widok żyrandola nasunął jej myśl o dziadku. Wyobraziła go sobie leżącego w szpitalnym łóżku. Usiłowała ponownie wzbudzić w sobie tamto uczucie nadziei, lecz po chwili przypomniała sobie stołowy nóż w dłoni, rękawiczki z lateksu, pieczenie w żołądku i to, że klamka drzwi w jadalni nie chciała ustąpić, tylko trzasnęła cicho. Ten trzask błyskawicznie zmienił się w szczęk spustu broni i wspomniła, jak szarpnięcie wystrzału przebiegło przez jej rękę aż do barku. Na moment mocno zacisnęła powieki, a potem znów otworzyła oczy.

Dwaj żołnierze trzymali wycelowane w nich karabiny. U szczytu schodów pojawił się Ingership i zszedł na dół, by ich przywitać. Krok miał niepewny i przesuwiał dłoń po mahoniowej poręczy. Na jego policzku widniały zadrapania od paznokci. Pressia pomyślała o jego żonie. Czy zamknięto ją w tamtej sypialni? Czy doszło między nimi do walki?

- Zostawcie tutaj całą swoją broń - powiedział Ingership. - Moi ludzie zrobią to samo. Nie jesteśmy barbarzyńcami.

- Tylko pod warunkiem, że ciebie też będziemy mogli obszukać - rzekł stanowczo Bradwell.

- Dobrze. Ale moim zdaniem zaufanie to niedoceniany towar.

- Wygląda na to, że się nas spodziewałeś - zauważył Partridge.

- Kopuła powierza mi niektóre sekrety, a ponadto jestem jednym z zaufanych ludzi twojego ojca.

- Czyżby? - rzucił z powątpiewaniem Partridge.

Pressia, wnioskując z tych niewielu rzeczy, jakie wiedziała o El-lerym Willuksie, również wątpiła, by darzył on zaufaniem kogokolwiek, a już zwłaszcza Ingershipa. Ojciec Partridge'a nie sprawiał wrażenia człowieka ufego.

- Połóżcie broń na komódce - polecił Ingership, wskazując niską szafkę przy ścianie.

Złożyli na niej swoje karabiny, noże i rzeźnicze haki, a rekruci nerwowo uczynili to samo. El Capitan obszukał swoich byłych żołnierzy. Patrzył im przy tym prosto w oczy, lecz oni odwracali wzrok. Pressia przypuszczała, że próbował ocenić ich lojalność. Nie zabili go, kiedy otworzył ogień na podwórzu. Jeden z nich strzelił tylko w samochód. Czy to znaczy, że dzielą swoją lojalność pomiędzy Ingershipa i El Capitana? Pressia na ich miejscu postępowałaby podobnie - czyli grałaby na dwa fronty, starając się przeżyć.

Bradwell obszukał Ingershipa. Pressia postanowiła, że później zapyta go, co przy tym poczuł? Ile w Ingershipie jest żywej tkanki? Czy metalowe płytki, jakie ma na połowie twarzy, zastępują też całą jedną stronę jego ciała? Uznała to za możliwe. Zastanawiała się, co Bradwell obecnie o niej myśli. Wciąż jeszcze czuła na policzku dotyk jego ciepłej skóry i miarowy rytm serca. Pamiętała, jak musnęła palcem jego zaciśnięte wargi. Powiedziała mu, żeby nie umarł, a on

* przyrzekł, że postara się uniknąć śmierci. Czy czuje do niej to co ona do niego - szalony nieodparty pociąg, przyprawiający o gwałtowne bicie serca? Utraciła już tak wiele i teraz wiedziała tylko, że nie może stracić Bradwella. Nigdy.

Potem z kolei żołnierze przeszukali ich. Pressia stanęła obok Łydy. Rekruci pobieżnie przesunęli dłońmi po ich ciałach.

- Nie lubię, jak się do mnie strzela - powiedział Ingership do El Capitana.

- A kto lubi? - rzekł El Capitan.

- A kto lubi? - powtórzył Helmud.

- Na wszelki wypadek będą mi towarzyszyć moi ludzie - oznajmił Ingership. - A dziewczyny zaczekają w salonie.

Pressia zeszywniała.

Spojrzała na Łydę, która potrząsnęła głową. Salon znajdował się po lewej stronie. Było w nim pełno kotar, ozdobnych poduszek i wyściełanych mebli.

- Nie, dziękuję - odrzekła Pressia.

Pomyślała o pokoju na zapleczu zakładu fryzjerskiego i szafce, w której się dawniej chowała. Przypomniała sobie uśmiechniętą buzię, którą narysowała w kurzu. Ten rysunek już zniknął, przykryty kolejnymi warstwami popiołu. Nie zamierzała znów się ukrywać.

- Zaczekajcie w salonie! - krzyknął Ingership tak głośno, że Pressia się przelęła.

Łyda zerknęła na nią i odpowiedziała spokojnie:

- Zrobimy to, co zechcemy.

Twarz Ingershipa poczerwieniała, przez co zadrapania stały się bardziej widoczne.

- A więc? - rzucił i popatrzył na El Capitana, Bradwella i Partridge'a, spodziewając się, że zareagują.

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie. Bradwell wzruszył ramionami.

- A więc co? One już ci odpowiedziały.

- Nie pozwolę, żeby ich paskudny upór nam przeszkodził - oświadczył Ingership.

Odwrócił się i ruszył po schodach na górę, stawiając nogi na każdym stopniu. Dotarłszy na piętro, otworzył drzwi wyjętym z kieszeni kluczem na łańcuszku.

Weszli za nim do pomieszczenia, które na początku wydało im się wielką salą operacyjną, białą i sterylną. Pod oknami ciągnęła się lada z metalowymi

tacami, małymi nożykami, bandażami, wacikami i zbiornikiem zawierającym zapewne środek znieczulający. Wszyscy skupili się wokół stołu operacyjnego. Pressia pomyślała, że wcześniej niewątpliwie zabrano ją właśnie tutaj, by wszczepić jej pluskwy i tykacza. Jednak niczego stąd nie zapamiętała - może z wyjątkiem tapety. Dotknęła jej teraz przelotnie pięścią z głową lalki. W drugiej ręce nadal trzymała przy czaszce buteleczkę z pigułkami. Tapeta była jasnozielona ze wzorem w łódki, które wyglądały znajomo. Czy właśnie to widziała, kiedy leżała na tym stole - małe łodzie z wydętymi żaglami?

- Wykonujecie tutaj wiele operacji? - spytał Bradwell.

- Trochę - odrzekł Ingership.

Żołnierze wydawali się zdenerwowani. Wpatrywali się w Ingershipa i El Capitana, niepewni, który za chwilę rzuci im szorstko następny rozkaz.

- Idź przyprowadź moją uroczą żonę - polecił Ingership jednemu z nich.

Żołnierz kiwnął głową i wyszedł. Nie było go minutę lub dwie. W tym czasie w głębi korytarza rozległ się łomot, dźwięk głosów, odgłos szamotaniny i trzaśnięcie drzwiami. Potem żołnierz wrócił z żoną Ingershipa. Jej dłonie i twarz, a także resztę ciała nadal zakrywał trykot z materiału podobnego do pończochy, z obszytymi otworami odsłaniającymi jedynie oczy, usta i miodowozłotą perukę. Miała też na sobie długą spódnicę i białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem, poplamioną krwią, która sączyła się przez tkaninę i wsiąkała w ubranie niczym ciemne plamy wody. Trykot na jednej dłoni był podarty i przez dziury sterczały palce. Na kilku z nich widniały niebieskawe sińce, jakby zostały niedawno skręcone. Być może właśnie przy tej okazji Ingership dorobił się zadrapań na twarzy. Materiał trykotu poszarpano też z boku szczęki kobiety, odsłaniając bladą skórę z ciemnym sińcem i dwoma obrzękami, które wyglądały niemal jak świeże oparzeliny.

Pressia usiłowała sobie przypomnieć, co dokładnie żona Ingershipa powiedziała do niej w kuchni. „Nie narażę cię na niebezpieczeństwo”. Czy pomogła Pressii? Jeśli tak, to w jaki sposób?

Ingership wskazał mały, obity skórą taboret w odległym kącie. Jego żona przeszła szybko przez salę i usiadła na nim. Kiedy już siedziała, Pressii przyszło na myśl, że ta kobieta wygląda jak manekin owinięty pończochami i przypomina kukły przedstawiające Czystych. Dzieciaki czasami robiły takie kukły, a potem je podpalały. Lecz oczy kobiety były bardzo żywe: zerkały i mrugały. Popatrzyła kolejno w twarze wszystkich i jej spojrzenie zatrzymało się na Bradwellu, jakby go rozpoznała i chciała, aby on też ją rozpoznał. Lecz Bradwell zdawał się jej nie znać. Potem kobieta spojrzała przelotnie na Pressię i znów spuściła oczy. Pressia skinęła jej głową. Nie potrafiła niczego wyczytać z jej kamiennej miny.

Zona Ingershipa odpowiedziała skinieniem głowy. Następnie znów szybko spuściła wzrok i popatrzyła na swoje odsłonięte palce. Czy Pressia mają uratować?

- Czy dawniej był tu pokój dziecięcy? - zapytała półgłosem Łyda, być może po to, aby przerwać pełną napięcia ciszę.

- Nie wolno nam mieć potomstwa - rzekł Ingership. - Takie są oficjalne rozkazy. Prawda, kochanie? - zwrócił się do żony.

Pressia poczuła się zdezorientowana. Oficjalne rozkazy? Potem zobaczyła, że Partridge i Łyda wymienili spojrzenia. Widocznie oni dobrze znają reguły. Pressia przypuszczała, że niektórym osobom zezwala się na posiadanie dzieci, a innym nie.

- Przynieś pudełko - zwrócił się Ingership do żony.

Kobieta wstała i podniosła jakiś przedmiot leżący obok instrumentów chirurgicznych - niewielki owalny metalowy pojemnik z przełącznikiem na zawiasach. Z pojemnika wychodził długi przewód wetknięty w gniazdko w ścianie. Zona Ingershipa znowu usiadła na skórzanym stołku, trzymając pojemnik na kolanach.

Bradwell gwałtownie pochylił się do przodu.

- To właśnie to, prawda?

Jego nagły ruch przestraszył kobietę, która przycisnęła pudełko do piersi.

- Uspokój się - rzekł do niej Ingership. - Moja słodka żoneczka jest ostatnio trochę nerwowa. - Pomachał rękami przed jej twarzą, a ona się skuliła. - Widzicie?

Skuliła się jak pies, który niegdyś mieszkał w pobliżu przybudówek - ten, którego Pressia czasami karmiła, a potem został zastrzelony przez OPR.

- Mamy to, czego chcecie - powiedział Partridge. - Tylko zachowajmy spokój.

- Dokąd zamierzasz się stąd udać? - zapytał go Ingership. - Tego właśnie nie rozumiem. Tutaj, na zewnątrz, nie masz żadnej przyszłości, ale wciąż jeszcze możesz wrócić do Kopuły. Mógłbyś się pokajać, a wtedy ojciec przyjąłby cię z powrotem. Z twoich towarzyszy nie miałby jednak żadnego pożytku. - Lekceważącym gestem wskazał resztę grupy. - Ale ty - ty mógłbyś wieść wygodne życie.

- Nie chcę przyłączyć się do ojca. Wolałbym umrzeć, walcząc - odpowiedział Partridge.

Pressia mu uwierzyła. Wcześniej go nie doceniła, być może błędnie biorąc jego brak doświadczenia w tym świecie za słabość.

- Idę o zakład, że twoje życzenie się spełni! - rzucił Ingership beztroskim tonem.

- Po prostu to rozbrój, Ingership! - krzyknął El Capitan.

- A ty - rzekł Ingership. - Ty z tym debilem na plecach. Co się z tobą stanie? Nigdy nie zwyciężysz. Nic z tego, w co wierzysz, nie istnieje. Nawet twoi żołnierze w rzeczywistości nie są twoimi żołnierzami! Gdziekolwiek spojrzysz, to wciąż świat Kopuły, jak daleko sięgniesz wzrokiem.

El Capitan popatrzył na dwóch rekrutów.

- Nie martw się o mnie, Ingership. Wiesz, że sobie poradzę.

- Poradzę - powtórzył Helmud.

- Od twojej wizyty, Pressio, żona sprawia mi kłopoty. Stała się bezczelna.

Gdybym był okrutny, wyrzuciłbym ją na pustkowie na pewną śmierć. Lecz ja potraktowałem ją łagodnie. Wyzaczyłem jej tylko pokutę. I spójrz, jaka jest teraz grzeczna. Gdybym w tej chwili kazał jej nacisnąć przełącznik, zrobiłaby to. Usłuchałaby mnie, chociaż z natury jest nadzwyczaj delikatnym stworzeniem.

Popatrzył władczo na żonę. Pressia wiedziała, że wszystko to tylko przedstawienie, ale nie była pewna, czy Ingership odgrywa je przed nimi, czy przed Kopułą, czy może chodzi o coś bardziej osobistego, a oni tylko przez przypadek stali się widzami.

Ingership zrobił krok w kierunku Pressii, która mocniej ścisnęła trzymaną przy głowie buteleczkę z pigułkami.

- A gdybym ci powiedział, że oni nadchodzą? Ze posiłki są już w drodze? Oddział Specjalny. Nie zaledwie pół tuzina żołnierzy, lecz cały pluton.

- Kłamiesz - rzuciła Łyda. - Gdyby Willux chciał ich sprowadzić, już by tu byli.

Pressia nie była pewna, czy Łyda ma rację, ale podziwiała jej zdecydowanie.

- Mówisz do mnie? - rzekł pogardliwie Ingership.

Podszedł do Łydy i uderzył ją w twarz grzbietem dłoni. Dziewczyna okręciła się i chwyciła się ściany, żeby nie upaść. Pressia poczuła w piersi płomień wściekłości.

Partridge złapał Ingershipa za klapy munduru.

- Za kogo ty się uważasz? - zawołał.

Przydusił go tak mocno, że Ingershipowi zabrakło tchu. Mimo to mężczyzna zmierzył Partridge'a chłodnym spojrzeniem.

- Stoisz po niewłaściwej stronie - burknął. Potem, nie patrząc na żonę, rzucił: - Wciśnij przełącznik.

- Nie! - krzyknął Bradwell.

Kobieta lekko, nerwowo dotknęła palcami przełącznika - właśnie tak, jak

zrobiłoby to delikatne stworzenie.

- Ona jest jeszcze młoda - rzekł do niej cicho Bradwell. - I dopiero co straciła matkę. Wyobraź to sobie. Dziecko bez matki.

Pressia pojęła jego zamysł. Zonie Ingershipa nie pozwolono mieć dzieci. Ale kiedyś oni spodziewali się dziecka, nieprawdaż? Bo inaczej skąd w tym pokoju wzięłaby się tapeta, jaką widuje się właśnie w pokojach dziecięcych? Bradwell odwoływał się do wspomnień tej kobiety, do jej łagodności.

- Okaż jej litość. Możesz ją ocalić.

Ingership zdołał jeszcze raz wrzasnąć:

- Przekręć przełącznik!

Kobieta spojrzała na męża, a potem zrobiła, co jej kazał. Pstryknęła przełącznik. Pressia głęboko wciągnęła powietrze, a Bradwell rzucił się na żonę Ingershipa, wytrącając jej z rąk owalne pudełko, które spadło na ziemię i roztrzaskało się. Wszyscy w pokoju zamarli, lecz nie nastąpił żaden wybuch.

Pressia usłyszała w uszach pojedyncze głuche tyknięcia - a potem jej słuch przestał być przytępiony. Soczewki oczu zmatowiały i na chwilę przestała widzieć. Lecz to nie trwało długo. Zanim zdążyła choćby krzyknąć, odzyskała wzrok; nie był już zamglony i widziała wszystko wyraźnie.

Partridge puścił Ingershipa i pchnął go na ścianę.

- Co się stało? - zapytał.

- Żyję. Widzę i słyszę wyraźniej. Właściwie wszystko brzmi mi w uszach głośno, nawet moje własne słowa - odpowiedziała Pressia i opuściła rękę, w której trzymała flakonik pigułek.

Zona Ingershipa wstała.

- Wcale nie uruchomiłam tykacza - oświadczyła. - Przerobiłam instalację. Gdyby ktokolwiek wcisnął przełącznik, po prostu wyłączyłby pluskwy. Powiedziałam, że nie narażę cię na niebezpieczeństwo. Przynależę ci to. - Odwróciła się do Pressii. - Musisz wziąć mnie ze sobą.

- Oni nas za to zabijają! - wrzasnął Ingership do żony. Słaniał się przy

ścianie, dysząc ciężko. - Wiesz o tym? Zabijają nas!

- Chwilowo myślą, że ona nie żyje - odpowiedziała. - Mamy czas na ucieczkę.

Ingership w osłupieniu gapił się na żonę.

*

- Zaplanowałaś sobie to wszystko?

- Tak - przyznała.

- Przed przekręceniem przełącznika, kiedy mnie duszono, udawałaś nawet wahanie, aby pomyślano, że nie chcesz zabić tej dziewczyny.

- Jestem delikatnym stworzeniem.

- Okazałaś mi nieposłuszeństwo! Zdradziłaś mnie! - wrzasnęła.

- Nie - odparła chłodnym, lekceważącym tonem. - Uratowałam nas, żebyśmy zyskali czas na ucieczkę.

- Ucieczkę dokąd? Do jakiego świata? Mamy stać się tacy jak ci wszyscy nieszczęśnicy?

Zonie Ingershipa chyba zakręciło się w głowie. Chwyliła się kotary nad ladą, by zachować równowagę. Jej twarz pod materiałem trykotu wykrzywił skurcz. Krzyknęła.

Pressia spojrzała na Łydę, na czerwony ślad i rozcięcie na jej policzku od pierścienia Ingershipa.

- Ona mnie ocaliła - rzekła.

Ingership dopadł do lady i z dolnej szafki wyjął rewolwer. Wstał i wymierzył broń w Partridge'a.

- Mógłbym cię teraz zabić, a ponieważ nikt nas już nie widzi ani nie słyszy, twój tatuś nigdy by się o tym nie dowiedział. Łapcie ich! - krzyknął do swoich ludzi.

Żołnierze się nie poruszyli. Popatrzyli na niego, a potem na El Capitana, który powiedział:

- Oni cię nie szanują, Ingership, nawet pomimo twojego rewolweru.

Prawda?

Żołnierze wciąż stali nieruchomo.

- Sam was zabiję, jedno po drugim - oświadczył Ingership. Wycelował w twarz Bradwella. - Myślisz, że on nie wie, kim jesteś?

- O czym ty mówisz? - rzucił Bradwell.

- Willux wie wszystko o tobie i twoich bliskich.

Oczy Bradwella się zwężyły.

- O moich rodzicach? Co o nich wie?

- Myślisz, że pozwoli, by ich syn mu się przeciwstawił?

- Co o nich wie? - powtórzył Bradwell. Zrobił krok w kierunku Ingershipa, który wymierzył lufę rewolweru w jego pierś. - Ga-daj!

- Chętnie dodałby cię do swojej kolekcji reliktyw. Ja natomiast wolałbym, abyś zginął.

- Jakiej kolekcji? - zapytał Partridge.

Zona Ingershipa zbyt mocno uwiesiła się na cienkiej zasłonie, która zerwała się z haków. Kobieta zatoczyła się do tyłu i omal nie upadła. Odwróciła się za plecami męża. Była oplątana białą firanką i z pozoru uwięziona w niej jak w kokonie, lecz w jej ręce błysnął jakiś przedmiot.

Skalpel.

Zasłona opadła na podłogę jak zrzucona suknia. Kobieta zrobiła krok do przodu i wbiła skalpel w plecy męża.

Ingership wrzasnął i upuścił rewolwer, który prześliznął się po kafelkach posadzki. Mężczyzna zgiął się wpół i upadł. Łyda podniosła broń i trzymała ją pewną ręką, mierząc do Ingershipa, który wił się ze skalpelem wbitym w plecy, rozmazując na podłodze własną krew.

Bradwell uklęknął przy nim.

- Co wiesz o moich rodzicach? Co Willux ci o nich powiedział?

- Zono! - wydarł się Ingership, ale nie było jasne, czy rozpaczliwie wzywa jej pomocy, czy wściekle na nią wrzeszczy.

- Moi rodzice! - krzyknął Bradwell. - Mów, co Willux ci onich powiedział!

Ingership zacisnął powieki.

- Zono! - zawołał znowu.

Sięgnęła paznokciami do rozdarcia w materiale przy szczęce i z głośnym krzykiem zerwała go z twarzy. Ściągnęła perukę, odsłaniając cienkie zmierzwiłone rudawe włosy. Jej twarz pokrywały stare blizny, lecz widniały tam również świeże sińce, obrzęki i opa-rzeliny. Pressia uświadomiła sobie, że ta kobieta była kiedyś piękna.

Ingership, leżąc na zakrwawionej podłodze, wykrzyknął:

- Zono! Zdobądź te pigułki!

- One są bezwartościowe - powiedział Partridge.

Mężczyzna wsparł się na rękę.

- Zono, chodź tutaj. Potrzebuję cię. Ja płonę!

Kobieta zatoczyła się na ścianę, przytknęła do niej policzek i lekko musnęła palcem łódkę na tapecie... tylko jedną.

Przez chwilę wydawało się, że cały ten zamęt się skończył. Bradwell wstał i spojrzał w dół na Ingershipa. Mężczyzna zamrugał, a potem wbił wzrok w przestrzeń. Umierał. Bradwell pojął, że nie wydobędzie już z niego żadnych informacji o swoich rodzicach. Podszedł do Pressii i przygarnął ją do siebie. Wtuliła głowę pod jego brodę. Objął ją mocno.

- Myślałem, że ona cię zabiła - powiedział. - Myślałem, że zginęłaś.

Pressia znowu usłyszała bicie jego serca. Przypominało ciche bębnienie. On żył, a Ingership już umarł; w oczach miał pustkę. Przypomniała sobie, że jej dziadek pracował jako przedsiębiorca pogrzebowy, i poczuła, że powinna pomodlić się nad tym martwym ciałem, jednak nie znała żadnej modlitwy. Dziadek powiedział jej kiedyś, że podczas pogrzebów, którymi się zajmował, zwykle śpiewano pieśni podobne do modlitw. Mówił, że te pieśni przynosiły żałobnikom ukojenie. Nie znała również żadnej tego rodzaju pieśni, ale przyszła

jej do głowy kołysanka, którą niegdyś śpiewała jej matka. Coś w widoku tego pokoju dziecięcego bez dziecka sprawiło, że pomyślała o swojej matce, o jej obrazie na ekranie monitora, o nagrany głosie. Pressia otworzyła usta i zaczęła cicho śpiewać.

Dźwięk głosu śpiewającej Pressii nie zdziwił Partridge'a. Chłopiec miał wrażenie, jakby od wielu lat czekał, by go usłyszeć. W śpiewie dziewczyny brzmiał smutek i Partridge dopiero po dłuższej chwili rozpoznał melodię. To była piosenka, którą matka śpiewała im wieczorami do snu. Kołysanka, która wcale nie była kołysanką, tylko opowieścią o miłości. W głosie Pressii usłyszał głos matki. Dziewczyna śpiewała o trzaskających drzwiach na werandzie, o zwiewnej sukience. Wspomnił wieczór zabawy tanecznej, dotyk piersi Łydy pod obcisłą sukienką, wznoszących się i opadających w rytm jej oddechu. Widocznie Łydę teraz też poruszyła ta piosenka, gdyż ujęła jego dłoń - tę owiniętą bandażem, z brakującą połową palca. Wiedział, że walka jeszcze się nie skończyła, ale przez chwilę mógł udawać, że tak właśnie jest. Pochylił się ku Łydzie i spytał:

- Ten twój ptak z drutu - czy kiedykolwiek trafił na wystawę w Sali Założycieli?

Łyda już miała go zapytać, co teraz się z nimi stanie. Dokąd pójda? Jaki mają plan? Lecz wszystkie te słowa uwięzły jej w gardle. Myślała teraz jedynie o tym ptaku z drutu - o samotnym ptaku, który huśtał się uroczym w drucianej klatce.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Jestem teraz tutaj. Nie było już powrotu.

Zonie Ingershipa nadano imię lilia. Rozmyślała o swoim imieniu,

o tym, by znów stać się lilią. Nie była już żoną Ingershipa, gdyż on zmarł. Pomyślała o Mary, dziewczynie z piosenki stojącej na werandzie. „Nie wyjeżdżaj” - oto, co pragnęła jej powiedzieć. Buty miała zbryzgane krwią męża. Dotknęła łódek na tapecie w pokoju dziecięcym i przypomniała sobie łódź ojca i to, że jako mała dziewczynka wybierała z niej kubelkami wodę. Poczuli się

chwiejnie iniepownie, jakby stała w kołyszącej się łódce. Usłyszała ojca mówiącego: „Niebo jest posiniaczone. Tylko burza może je uleczyć”.

El Capitan popatrzył na żołnierzy. Wyobraził sobie, co mu powiedzą. Żyją tu też inni i prawdopodobnie mają na ciele sińce od bicia, takie same jak żona Ingershipa. Mieszkają gdzieś na tym terenie. Z pewnością nie mają wiele pożywienia, które nie byłoby zatrute. Niektórzy zapewne konają. Wsparł się dłońmi o ladę pod oknem, aby lepiej ułożyć na plecach ciężar brata. Z tego miejsca matki. Dziewczyna śpiewała o trzaskających drzwiach na werandzie, o zwiewnej sukience. Wspomnił wieczór zabawy tanecznej, dotyk piersi Łydy pod obcisłą sukienką, wznoszących się i opadających w rytm jej oddechu. Widocznie Łydę teraz też poruszyła ta piosenka, gdyż ujęła jego dłoń - tę owiniętą bandażem, z brakującą połową palca. Wiedział, że walka jeszcze się nie skończyła, ale przez chwilę mógł udawać, że tak właśnie jest. Pochylił się ku Łydzie i spytał:

- Ten twój ptak z drutu - czy kiedykolwiek trafił na wystawę w Sali Założycieli?

Łyda już miała go zapytać, co teraz się z nimi stanie. Dokąd pójdą? Jaki mają plan? Lecz wszystkie te słowa uwięzły jej w gardle. Myślała teraz jedynie o tym ptaku z drutu - o samotnym ptaku, który huśtał się uroczym w drucianej klatce.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Jestem teraz tutaj. Nie było już powrotu.

Zonie Ingershipa nadano imię lilia. Rozmyślała o swoim imieniu,

0tym, by znów stać się lilią. Nie była już żoną Ingershipa, gdyż on zmarł. Pomyślała o Mary, dziewczynie z piosenki stojącej na werandzie. „Nie wyjeżdżaj” - oto, co pragnęła jej powiedzieć. Buty miała zbryzgane krwią męża. Dotknęła łódek na tapecie w pokoju dziecięcym i przypomniała sobie łódź ojca i to, że jako mała dziewczynka wybierała z niej kubelkami wodę. Poczowała się chwiejnie iniepownie, jakby stała w kołyszącej się łódce. Usłyszała ojca mówiącego: „Niebo jest posiniaczone. Tylko burza może je uleczyć”.

El Capitan popatrzył na żołnierzy. Wyobraził sobie, co mu powiedzą. Żyją tu też inni i prawdopodobnie mają na ciele sińce od bicia, takie same jak żona Ingershipa. Mieszkają gdzieś na tym terenie. Z pewnością nie mają wiele pożywienia, które nie byłoby zatrute. Niektórzy zapewne konają. Wsparł się dłońmi o ladę pod oknem, aby lepiej ułożyć na plecach ciężar brata. Z tego miejsca mógł niewyraźnie dostrzec jedynie niewielki odcinek zniszczonych resztek dawnej autostrady. Gdzieś tu w pobliżu leży szpitalny cmentarz. Był tam kiedyś z matką podczas gwałtownej burzy z piorunami. Matka zamierzała wybrać sobie działkę. Nie wszedł z nią na cmentarz. Został przed bramą w zacinających strugach deszczu i czekał na nią, trzymając za rękę Helmuda, ponieważ brat bał się błyskawic. W drodze powrotnej do domu matka powiedziała: „Nie róbcie takich ponurych min. Wcale nie potrzebuję tej działki. Umrę jako stara kobieta”. Lecz miała pójść do szpitala z powodu choroby płuc. Ustalono już datę i nie wiadomo było, kiedy stamtąd wróci. Powiedziała: „Do mojego powrotu ty będziesz dowodził, El Capitan”. I odtąd dowodził Helmudem. A nawet więcej: był Hel-mudem. Kiedy go nienawidził, nienawidził samego siebie. A gdy kochał swego brata? Czy to działa również w tę stronę? Prawdą jest, że ciężar Helmuda nie tylko uczynił go silniejszym, lecz także przytwierdził go do ziemi. Jak gdyby bez Helmuda już dawno uleciałby z tej planety.

Helmud czuł między kolanami żebra brata, czuł przy swoim sercu bicie jego serca. Powiedział:

- W dół... z rykiem naprzód. Na wietrze... unosząc się.

Serce brata zawsze dotrze do każdego miejsca, do którego będzie zmierzał, tuż przed sercem Helmuda. Właśnie w ten sposób Helmud przejdzie przez świat - serce jego brata, jedno uderzenie, a potem jego własne serce. Serce na sercu. Serce prowadzące. Serce podążające za nim. Bliźniacze serca, złączone ze sobą.

Bradwell pamiętał tę piosenkę. Art Walrond, pijany fizyk, wiarygodne

źródło tajnych informacji dla jego rodziców, zwykł puszczać ją w swoim sportowym samochodzie z podnoszonym dachem. Bradwell pamiętał przejażdżki z Walrondem i psem, którego na jego cześć nazwał Art; pęd powietrza smagający im twarze. Walrond już dawno zmarł podobnie jak rodzice Bradwella. Ale Willux znał jego rodziców. Co wyjawiliby Ingership, gdyby nadal żył? Bradwell żałował, że nigdy się tego nie dowie. Jednak nie rozmyślał o tym długo, gdyż głos Pressii przeniósł go z powrotem do chwili obecnej. Dziewczyna tuliła policzek do jego piersi, toteż czuł w swoim ciele śpiewaną przez nią piosenkę. Delikatne wibracje, ruch jej szczęki, cienkie ściągna szyi, krtań - ten kruchy instrument dźwięczący w jej gardle. Wspomnienie uformowało się i już w nim pozostanie: szybki lekki powiew oddechu, wytrzymywana każda nuta, piosenka ulatująca z warg Pressii, jej oczy zamknięte na przyszłość. Rozmyślanie o przyszłości to słabość, na którą pozwolił sobie tylko ze względu na tę dziewczynę. A jeśli zdołają wypowiedzieć wojnę Kopule i zwyciężyć? Co wtedy? Czy będzie mógł wieść życie z Pressią? Bez samochodu z podnoszonym dachem, psa i pokoju dziecięcego. Lecz będzie coś poza tym.

Partridge musiał wyjść. To było więcej, niż mógł znieść. Śmierć matki. A teraz jej głos w piosence śpiewanej przez Pressię.

Łyda pogładziła go pieszczotliwie po ramieniu.

Potrząsnął głową i odsunął się.

- Nie - rzucił.

Chciał zostać sam.

Opuścił pokój i przeszedł przez korytarz. Natrafił na drzwi. Otworzył je i ujrzał jaskrawo oświetloną salę łączności. Był tam świecący na niebiesko wielki ekran oraz pulpit ze wskaźnikami, przewodami, klawiaturą i głośnikami.

Usłyszał głos ojca przekazującego instrukcje. Ludzie odpowiadali: „Tak jest. Tak”. A potem któryś powiedział: „Ktoś tam jest, sir”.

Ojciec zawołał:

- Ingership. Do diabła! Nareszcie.

- On nie żyje - powiedział Partridge.

Twarz ojca pojawiła się na ekranie na niebieskim tle. Partridge widział jego wodniste rozbiegane oczy, lekkie drżenie głowy, dłonie rozpostarte na konsoli. Jedna dłoń była ciemnoróżowa, ze skórą łuszczącą się do żywego mięsa, jakby po niedawnym poparzeniu.

Ojciec był blady i oddychał z trudem. Klatkę piersiową miał nieco zapadniętą. Morderca.

- Partridge - powiedział cicho. - Partridge, to już koniec. Jesteś jednym z nas. Wróć do domu.

Chłopiec pokręcił głową.

- Mamy twojego dobrego przyjaciela Silasa Hastingsa - ciągnął ojciec. - A twój kumpel Arvin Weed okazał się nadzwyczaj przydatny. Nigdy byśmy się nie dowiedzieli, nad czym pracuje, gdybyśmy nie zadali mu kilku pytań o ciebie. Obydwaj chcieliby się z tobą spotkać.

- Nie! - krzyknął Partridge.

Ojciec szeptał natarczywie:

- Tam, w lesie, popełniono pomyłkę co do Sedge'a i twojej matki. To był wypadek, skutek lekkomyślności. Ale już go naprawiamy. Wszystko to już zamknięty etap.

Teraz Partridge spostrzegł, że skóra na szyi ojca także jest spalona i przypomina cienką różową błonę. Czyjego skóra ulega degeneracji? Czy to kolejny z objawów, które matka by rozpoznała?

Lekkomyślność? - pomyślał. - Naprawianie? Zamknięty etap?

- Pamiętaj, że to ja sprawiłem, iż spotkałeś swoją przyrodnią siostrę - mówił dalej ojciec. - Nie widzisz tego? To był prezent.

Partridge ledwie mógł oddychać. A więc ojciec naprawę zaaranżował to wszystko. Wiedział, jak zareaguje jego syn. Traktował go jak marionetkę.

- Zdobyłeś coś, czego tu potrzebujemy - ciągnął Willux. - To pomoże

bardzo wielu ludziom. Świetnie się spisałeś.

- Czy ty niczego nie rozumiesz?

- Co takiego? O co ci chodzi?

- To dopiero początek.

- Partridge - rzekł ojciec. - Posłuchaj mnie.

Chłopiec bez słowa wyszedł z pokoju. Zbiegł po schodach, otworzył frontowe drzwi i sam nie wiedząc dlaczego, wskoczył na dach czarnego samochodu. Popatrzył stamtąd najdalej, jak mógł sięgnąć wzrokiem. Czuł, że to prawdziwy początek.

Odwrócił się i spojrzał na wielką, żółtą bryłę budynku, na ciężkie, niskie niebo w oddali, a potem na powiewający na wietrze zwykły ręcznik do rąk, pobrudzony krwią. Wiatr wciąż jeszcze go zdumiewał.

Kiedy Pressia skończyła śpiewać piosenkę, wszyscy przez jakiś czas milczeli. Jak długo? Nie umiała tego ocenić. Czas utracił swój miarowy rytm. Płynął, a potem zanikał. Podeszła do okna, a Bradwell stanął za nią, objął ją w pasie i spojrzał ponad jej ramieniem. Oboje nie znieśliby już rozstania. Chociaż żadne z nich nie potrafiło ująć w słowa uczucia między nimi, byli obecnie związani ze sobą jeszcze mocniej, ponieważ tak niewiele brakowało, by utracili siebie na zawsze.

Zycie musiało się toczyć dalej. El Capitan i żołnierze dźwignęli za ramiona ciało Ingershipa i wynieśli je z pokoju; jego nogi w butach wlokły się po podłodze, pozostawiając krwawe smugi.

Łyda, która przed chwilą wyszła, wróciła w pośpiechu.

- Gdzie jest Partridge? Czy ktoś wie, dokąd poszedł?

Nikt nie wiedział, więc znów wybiegła z pokoju.

Zona Ingershipa podniosła z podłogi firankę, złożyła ją i trzymała w rękach. Spojrzała na Pressię i powiedziała:

- Przybyłaś po mnie.

- A ty uratowałaś mi życie - odrzekła Pressia.

- Wiedziałam to od chwili, gdy pierwszy raz cię zobaczyłam - oświadczyła kobieta. - Czasami spotykasz kogoś i wiesz, że od tej chwili twoje życie zupełnie się zmieni.

- To prawda - przyznała Pressia.

Dla niej czymś takim stało się poznanie Bradwella i Partridge'a. Już nigdy nie będzie taka jak dawniej.

Zona Ingershipa skinęła głową, a potem popatrzyła na Bradwella.

- Przypominasz mi chłopca, którego kiedyś znałam, ale to było wieki temu.

I* ‘

Jej spojrzenie minęło go, odległe i nieobecne. Dotknęła miękkiego materiału firanki, a potem wyszła z pokoju i zniknęła w głębi korytarza.

Bradwell i Pressia zostali sami w sali operacyjnej.

Dziewczyna odwróciła się do niego. Pocałował ją czule w usta; poczuła żar jego skóry, dotyk miękkich ciepłych warg na swoich wargach.

Szepnął:

- Teraz twoja kolej przyrzec, że nie umrzesz.

- Postaram się - powiedziała.

Jego pocałunek już teraz wydawał się jej snem. Czy naprawdę się zdarzył? Czy był rzeczywisty?

A potem przypomniała sobie o głuchym dzwonku. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła go. Trzymając dzwonek w stulonej dłoni, podała go Bradwellowi.

- To prezent - rzekła. - Myślimy, że będziemy mieli czas, a potem okazuje się, że go nie ma. To niewiele, ale chcę ci to dać.

Potrząsnął dzwonkiem, który nie wydał żadnego dźwięku. Podniósł go do ucha.

- Słyszę ocean - oznajmił.

- Chciałabym kiedyś zobaczyć ocean - wyznała.

- Posłuchaj.

Przysunął dzwonek do jej ucha. Zamknęła oczy. Przez okno wpadało przymglone światło słońca; czuła je przenikające przez powieki. Usłyszała stłumiony ulotny dźwięk - ocean?

- Czy on właśnie tak brzmi?

- Właściwie nie - odparł Bradwell. - Prawdziwego odgłosu oceanu nie można zatrzymać w dzwonku.

Pressia otworzyła oczy i popatrzyła przez okna na szare niebo. Wiatr niósł w powietrzu drobiny sadzy. Nagle dobiegł ją głos Partridge'a, który ich wołał.

Poczuła intensywny zapach dymu. Coś się paliło.

EPILOG

Stali na jałowym, leżącym odłogiem polu i przyglądali się, jak plonie wiejski dom. Cienkie przewody elektryczne rozbłyskiwały niczym jaskrawo oświetlone pęknięcia w fasadzie budynku. Każdy drut iskrzył z sąsiednim. Pressia przypuszczała, że sam dom miał tykacza i teraz gdzieś w Kopule pstryknięto przełącznik.

Ogień działał szybko i skutecznie. Wzrósł gwałtownie wraz z wielkimi rozprzestrzeniającymi się kłębamii dymu i strzelającym spiralą w górę rozżarzonym żuzlem. Szyby okien się rozprysły, a firanki zajęły się płomieniem; ogień pochłonął nawet poplamiony krwią ręcznik do rąk, wiszący za oknem. Pałący żar przypominał Pressii opisy Wybuchu. Wiele słońc, jedne na drugich.

Łyda mocno ścisnęła rękę Partridge'a, jakby się obawiała, że mógłby znowu uciec. A może to on trzymał ją za rękę, mając nadzieję, że dziewczyna zostanie przy nim?

Bradwell i Pressia, wtuleni w siebie, wpatrywali się w ogień niczym tańcząca para, która nie potrafi się rozdzielić, chociaż muzyka już ucichła.

El Capitan wycofał samochód spod werandy. On i Helmud przyglądali się pożarowi zza przedniej szyby. Żołnierze stanęli po drugiej stronie pojazdu, aby

osłaniał ich przed żarem. Ciało Ingershipa pozostało w budynku. El Capitan wydal żołnierzom rozkaz, by je tam zostawili. „Sprawny pogrzeb!” - skwitował z uśmiechem, chociaż Ingership nigdy nie będzie miał prawdziwego pogrzebu.

Tylko żona Ingershipa lilia nie obserwowała pożaru wiejskiego domu. Odwróciła się do niego plecami i wpatrywała się w odległe wzgórze. Pressia zerknęła na bok jej twarzy, posiniaczony i poznaczony bliznami. Z trykotu pozostał jedynie podarty strzęp wokół szyi.

Powinni już odejść, lecz nikt nie potrafił się ruszyć. Pożar przykuł ich do miejsca.

Wspomnienie Pressii z tego dnia rozmyje się. Już teraz czuła, jak w jej umyśle szczegóły zderzają się ze sobą; powolna utrata faktów, rzeczywistości.

W końcu pożar się wygasił i jeszcze tylko tliły się zgliszcza. Przednia część budynku nadal stała. Drzwi były szeroko otwarte. Pressia zrobiła kilka kroków w kierunku werandy.

- Nie - rzekł Bradwell.

Lecz ona puściła się biegiem. Nie była pewna, dlaczego - z wyjątkiem tego, że ogarnął ją przemożny lęk przed porzuceniem czegoś, przed utratą. Czy nie zostało tam coś, co można by ocalić? Wbiegła po schodkach do zwęglonego holu i skręciła do jadalni. Żyrandol spadł, przebijając blat stołu, i spoczywał teraz na strzaskanych, na wpół spalonych deskach pod ziejącą w suficie dziurą, niczym upadła królowa na osmalonym tronie.

Od strony drzwi dobiegł głos Bradwella:

- Pressio, nie możemy tu zostać.

Dziewczyna wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z ozdobnych kryształów w kształcie łezki. Wciąż był gorący. Wykręciła go z żyrandola. To przypominało zrywanie owoców z drzewa. Czy w dzieciństwie kiedykolwiek zrywała owoce? Włożyła kryształ do kieszeni.

- Pressio - rzekł łagodnie Bradwell. - Chodźmy stąd.

Weszła do kuchni, która jak się okazało, całkowicie się zawałiła. Pośród

rumowiska błyskały iskry. Odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią Bradwella. Chwycił ją za ramiona.

- Musimy stąd wyjść.

I wtedy usłyszeli ciche tykanie, niemal jak szelest pazurków szczura. Spostrzegli małe światełko przeblyskujące przez gruzy. Dobiegło ich stamtąd brzęczenie i zardzewiały terkot. Pressii przypomniał się hałas wiatraczka tkwiącego w gardle dziadka. Przez jedną oszałamiającą chwilę uwierzyła, że dziadek żyje i wrócił do niej.

Z najgłębszej części gruzowiska - z miejsca, gdzie podłoga kuchni zapadła się do znajdującej się pod nią piwnicy - wygrzebywała się mała czarna metalowa skrzynka, zaopatrzona w mechaniczne ramiona i liczne kółka. Gramoliła się w górę z chrzęstem zacinających się przekładni. Lampki na jej górnej powierzchni zamigotały, a potem przygasły.

- Co to takiego? - zapytała Pressia.

- Może Czarna Skrzynka - odrzekł Bradwell. - Takie skrzynki umieszczano w samolotach, żeby przetrwały katastrofy. Zapisywały przebieg lotu i wszystkie błędy popełnione przez pilotów, aby w przyszłości można było ich uniknąć.

Belki nad ich głowami zaskrzypiały. Bradwell zrobił krok w kierunku Czarnej Skrzynki, a ta popęzła do tyłu, cofając się przed nim.

Powiał wiatr.

- Dokąd ona próbuje się dostać? - spytała Pressia.

- Przypuszczalnie ma jakieś urządzenie samonaprowadzające.

Urządzenie samonaprowadzające. Pressia pojęła, że ta Czarna Skrzynka usiłuje powrócić do Kopuły. To jej przypomniało, że ona sama nie ma domu ani w ogóle niczego.

Belki zatrzeszczały i jęknęły. Dziewczyna popatrzyła na sufit.

- On runie - powiedziała.

Bradwell rzucił się do Czarnej Skrzynki, chwycił ją i przycisnął do piersi.

Wybiegli z tyłu budynku i zanurkowali w wysoką trawę, chcąc znaleźć w niej schronienie. Upadli obok siebie, dysząc ciężko.

Dom zatrzęszczał; deski pękły z głośnym jękiem. Potem belki nośne wygięły się i pośród gęstych kłębow pyłu reszta domu w końcu się zawaliła.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Bradwell.

Pressia zastanawiała się, czy znowu ją pocałuje. Czy odtąd właśnie tak będzie żyła, rozmyślając o tym, kiedy Bradwell nachyli się ku niej, by ją pocałować?

- A tobie?

Pokręcił głową.

- Nie mamy wyboru. Musimy ze wszystkiego wychodzić cało, prawda?

Byli jednymi z tych, którzy przetrwali, i wiedzieli o tym. Bradwell wstał i wyciągnął rękę do dziewczyny. Chwyła ją i dźwignęła się na nogi.

Spostrzegli pozostałych, stojących na polu przed ruiną domu. Było zimno i z ich ust przy każdym oddechu wydobywały się obłoczki pary, widoczne poprzez dym unoszący się ze zgliszcz budynku.

Bradwell przyciskał do żeber Czarną Skrzynkę. Delikatnie dotknął twarzy Pressii szorstkim grzbietem dłoni, a potem ujął jej podbródek.

- Miałaś trzymać się nas wyłącznie dla własnej korzyści, ze swoich egoistycznych powodów - rzekła. - Mówiłeś, że masz taki powód.

- Bo mam.

- Jaki?

- Ty jesteś moim egoistycznym powodem.

- Powiedz mi, że pewnego dnia znajdziemy coś w rodzaju domu - poprosiła.

- Znajdziemy - zapewnił ją. - Przyrzekam.

Uświadomiła sobie, że może w tej chwili kochać Bradwella tak bezgranicznie, gdyż wie, że ta chwila nie będzie trwać. Pozwoliła sobie uwierzyć w jego obietnicę. Pomógł jej wstać. Jego mocno bijące serce było

równie niespokojne jak ptaki na plecach. Wyobraziła sobie, że sadze znów pokryją ziemię czarnym śniegiem, błogosławieństwem popiołu.

A potem pod gruzami zwałonego domu, który zapadł się w jamę własnej piwnicy, znowu coś się poruszyło. Następna Czarna Skrzynka, zgrzytając trybami, wygrzebała się na powierzchnię i zaczęła przedzierać się przez rumowisko na wrzecionowatych wieloczłonowych nogach. Później w tym miejscu zadrżały zwęglone deski i kolejne Czarne Skrzynki zaczęły jedna po drugiej wydobywać się ze zgliszcz.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść przewierciła sobie drogę do moich snów Kiedy usiłowałam odwrócić od niej wzrok, kilka osób nakłoniło mnie, abym tego nie robiła. Córka wciąż mi powtarzała, że muszę dokończyć tę książkę, najlepszą rzecz, jaką kiedykolwiek napisałam. Gdy zwierzyłam się moim przyjaciółom Danowi i Amy Hartmanom, nad czym pracuję, oni również nieustannie wpychali mnie z powrotem do tego świata. Jestem im za to wdzięczna.

Pragnę podziękować mojemu ojcu, który wyszukał dla mnie tony materiałów z wielu najróżniejszych dziedzin - nanotechnologia, historia, medycyna, rzeźnictwo, światło, łączność, kamienie szlachetne, geografia, rolnictwo, czarne skrzynki - a także wykonał architektoniczne szkice Kopyły, sporządził ściśle tajny dokument Operacja Feniks oraz podsuwał mi artykuły do przeczytania i kwestie do przemyślenia. Będę też zawsze wdzięczna za stanowczy, troskliwy i pełen miłości sposób, w jaki mnie wychował.

Dziękuję doktorowi Scottowi Hannahsowi, dyrektorowi działu pól prądu stałego w Narodowym Laboratorium Silnych Oddziaływań Magnetycznych na Uniwersytecie Florydy, za zwięzłe przedyskutowanie z moim ojcem możliwości skonstruowania detektorów krystalicznych. Simonie Lumsdon, dziękuję Ci za udzielenie mi błyskotliwego wykładu na temat podstaw nanotechnologii. Jestem wdzięczna za informacje dotyczące sposobów zakopywania w ziemi broni

palnej, zamieszczone przez Charlesa Woodsa w „Backwoods Home Magazine”, dostępne pod linkiem: [http:// www.backwoodshome.com/articles2/wood115.html](http://www.backwoodshome.com/articles2/wood115.html).

Chcę podziękować mojemu mężowi Dave’owi Scottowi, który cierpliwie znosił moje napady irytacji, godził się, abym czytała mu te strony na głos, dzień po dniu, i pomógł mi przy opisywaniu scen walk. Jestem wdzięczna tym wszystkim, którzy czytali pierwsze szkice powieści: Alix Reid, Frankowi Giampietro, Kate Peterson, Kirsten Carleton i Heather Whitaker - osobom o błyskotliwych umysłach. Szczególne podziękowania ślę moim agentom Natowi Sobelowi, Judith Weber i Justinowi Manaskowi, którzy wierzyli we mnie, ponaglali mnie i pomagali mi nawigować w realnym świecie. Jestem wdzięczna Karen Rosenfelt i Emmy Castlen - ogromnie je podziwiam i czuję się zaszczycona, że życzliwie oceniły tę powieść. Przesyłam wyrazy wdzięczności wszystkim moim zagranicznym wydawcom oraz krajowemu wydawcy Jaime Levine’owi - dziękuję Wam, dziękuję, dziękuję.

Zbierając materiały do tej powieści, dotarłam do opisów skutków zrzućenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Już w trakcie procesu wydawniczego natrafiłam na napisaną przez Charlesa Pellegrino książkę z dziedziny literatury faktu *Last Train from Hiroshima* (Ostatni pociąg z Hiroszimy), która obecnie nie jest oferowana przez jej wydawcę. Stała się ona dla mnie kluczową lekturą z powodu przedstawienia ofiar oraz tych, którzy przeżyli. Mam nadzieję, że jej nowe poprawione wydanie znów trafi na półki księgarskie. Żywię też nadzieję, iż trylogia *Świat po Wybuchu* zwróci uwagę ludzi na dokumentalne relacje o bombardowaniach atomowych - potwornościach, o których nie wolno nam zapomnieć.

NOTA O AUTORCE

Julianna Baggott, ceniona przez krytykę autorka bestsellerów, pisząca również pod literackimi pseudonimami Bridget Asher i N.E. Bode, opublikowała siedemnaście książek, w tym powieści dla dorosłych i dla

młodszych czytelników oraz zbiory poezji. Jej utwory pojawiały się w „New York Timesie”, „Washington Post”, „Boston Globe”, „Best American Poetry”, „Best Creative Nonfiction”, „Real Simple” i na NPR.org, a także były czytane w programach stacji radiowej NPR: Talk of the Nation i Here and Now. Powieści Julianny Baggott były rekomendowane jako lektury na lato przez magazyn „People” i wybierane jako książki tygodnia przez „Washington Post”; trafiały do wyborów Booksense i Klubu Książki „Boston Herald”, oraz na listę najlepszych książek roku magazynu „Kirkus”. Jej powieści ukazały się w ponad pięćdziesięciu zagranicznych wydawnictwach. Julianna Baggott jest profesorem na Wydziale Pisania Kreatywnego Uniwersytetu Stanowego Florydy i założycielką organizacji non profit Kids in Need - Books in Deed.

Nowa Ziemia jest najbardziej niezwykłą powieścią młodzieżową, jaką kiedykolwiek czytałem. Piękne, bezlitosne, metaforyczne rozliczenie się z życiem, jakie wszyscy wiemy w dzisiejszych czasach. To ważna książka dla dorastającej młodzieży i dorosłych, napisana przez jedną z najwspanialszych autorek.

Robert Olen Butler, laureat Nagrody Pulitzera

Nowa Ziemia Julianny Baggott zachwyca doskonałą precyzją jej języka. Obrazy w Nowej Ziemi to mistrzostwo najwyższej próby.

.Clare Clark, „New York Times”

...szokujące i uzależniające. Zapierające dech w piersiach. Przeczytałam Nową Ziemię jednym ciągiem. Nie dało się inaczej.

Danielle Trussoni, autorka bestselleru „New York Times” Angelology

Książka dostępna także jako audiobook i e-book.